

SPEKTAKL

KINGA

WÓJ

CIK

Piórwszyński i S-ka

SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ

KINGA
WÓJ
CIK

SPEKTAKL

**SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ**

Prószyński i S-ka

Copyright © Kinga Wójcik, 2020

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
© Dave Wall/[Arcangel Images](#)

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8069-631-0

Warszawa 2020

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Rodzicom

PROLOG

Życie nie kończy się śmiercią.

Życie jest drogą.

Postanowiłam odejść.

Straciłam nadzieję.

Tak będzie lepiej. Tylko wtedy będę szczęśliwa.

Chcę umrzeć.

Dziewczyna uśmiechała się. Długie włosy opadały jej na ramiona. Śnieżnobiałe zęby odcinały się od miedzianej twarzy.

Ludzkość jest drzewem, a ludzie są liśćmi. Drzewo trwa i rośnie, chociaż liście opadają.

Dziewczyna oddaliła się, a zza jej pleców wysunął się gruby sznur.

Postawiła stopy na krześle, sprawdziła splot i uśmiechnęła się do widzów. Założyła pętlę na szyję.

Kopnęła krzesło.

Rozległ się cichy charkot dławiącego się ciała.

ROZDZIAŁ I

1

Komisarz Lena Rudnicka starła z czoła stróżkę potu. Niebo było bezchmurne. Słupki rtęci pokazywały ponad trzydzieści stopni w cieniu. Powiodła wzrokiem po wyludnionej ulicy, po czym przeniosła wzrok na parterowy dom. Nowa elewacja, starannie przycięte krzewy rosnące wzdłuż podjazdu.

Westchnęła. Za chwilę stawi czoło zrozpaczonej rodzinie. Matce, której córka kilka godzin temu popełniła samobójstwo. Ojcu, którego córka powiesiła się na oczach kilkuset tysięcy widzów na YouTube. Wiedziała, że będzie musiała odpowiedzieć na wiele pytań, na które nie znała odpowiedzi.

– Lena?

Obróciła się. Prokurator Krzysztof Nawrocki podciągnął rękawy koszuli.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– W porządku? Czy uważasz, że tutaj cokolwiek jest w porządku?

– Dziwna sprawa.

– Rzeczywiście dziwna – przyznała.

Krzysztof przyjrzał się Lenie. Wiedział, co oznacza ten błysk w jej oku. Dobrze znał własną żonę. Praca w policji była dla niej sensem życia, ale mimo wszystko miał nadzieję, że tym razem odpuści.

Jednak się mylił.

– Planowaliśmy urlop – przypomniał. – Tydzień nad morzem, pamiętasz?

– Pamiętam – mruknęła.

– Mieliśmy kąpać się w morzu, opalać i wydawać fortunę w pieprzonych restauracjach. Potrzebujesz odpoczynku, Lena. Sama mówiłaś, że dawno nie byłaś na wakacjach.

Zawahała się.

– Jedź sam.

– Sam? – Krzysztof ściągnął okulary przeciwsłoneczne i złożył je w dłoni. – Ten wyjazd miał nam pomóc. Kiedy ostatnio byłaś na urlopie?

Wsunęła ręce do kieszeni. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz wzięła wolny dzień. Krzysztof miał rację. Potrzebowała odpoczynku. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie miała ochoty

na urlop z mężem.

– Lena, w samochodzie są nasze bagaże. – Krzysztof oparł się o maskę, krzyżując ramiona. – Wystarczy, że zadzwonisz do naczelnika. Ostrowski z pewnością znajdzie kogoś, kto zajmie się tym śledztwem.

– Mamy braki na komendzie – odparła. – Zaczął się sezon urlopowy.

– Nie pracujesz sama i masz prawo do urlopu. Ostrowski na pewno sobie poradzi.

– Przecież wiesz, że...

– Pamiętasz, czemu służy ten wyjazd? To miał być nasz nowy start.

Owszem. Wspólny urlop miał być nowym początkiem w ich małżeństwie. Nowym rozdziałem, którego nie chciała. Krzysztof, w przeciwieństwie do Leny, wiązał ze wspólnym wyjazdem wiele planów. Ona zaś była zdania, że to niczego nie zmieni.

– Nie mogę jechać – powiedziała.

– Nie chcesz. A to jest różnica.

Zacisnęła usta, czekając na wybuch złości, zmrużenie oczu, zaciśnięcie pięści. Czekwała na jakikolwiek sygnał, który sugerowałby, że Krzysztof jest wściekły.

– Pojadę sam – odezwał się po chwili. Ton jego głosu pozostał obojętny. – Mamy rezerwację w hotelu. Przynajmniej jedno z nas odpocznie.

– Podrzuć moje walizki do domu?

Krzysztof zmrużył oczy i spojrzał na nią z dezaprobatą.

– Uważaj na siebie, Lena – powiedział.

Podszedł i nachylił się, by pocałować żonę w czoło, ona jednak zdążyła się uchylić. Odgarnął kosmyk z jej twarzy, a potem bez słowa wszedł do samochodu.

Przez chwilę patrzyła za odjeżdżającym audi. Zastanowiła się, czy słusznie postąpiła, rezygnując ze wspólnego urlopu. Miała wrażenie, że Krzysztof szczerze wierzył, że w ich życiu może się coś zmienić. Wystarczyła chwila, by Lena wszystko przekreśliła. Nie miała pojęcia, czy po powrocie Krzysztofa przyjdzie jej zapłacić za tę decyzję, ale nie zamierzała martwić się na zapas. Minęła podjazd i obeszła dom dookoła. Poruszała się ostrożnie, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów. Pozostawała czujna, mózg analizował każdy szczegół. Źrenice zwęziły się w poszukiwaniu czegokolwiek – śladów butów, opon, papierka rzuconego w rabatki. Z doświadczenia wiedziała, że nawet najmniejszy szczegół może mieć znaczenie. Zbyt długo pracowała w policji, by wierzyć w przypadki. Nic nie dzieje się przypadkiem.

Nie znalazła żadnych śladów włamania. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Zawróciła do domu.

Ściągnęła z wieszaka bluzę i odchyliła wieko drewnianej skrzynki wiszącej przy drzwiach. Trzy haczyki pozostawały puste, na trzecim zaś wisiał pęk kluczy. Etykieta z literą „D” kazała sądzić, że klucze należały do Diany Pulido. Dziewczyny, która powiesiła się kilka godzin temu, a której ciała do tej pory nie odnaleziono.

Kto wyniósł z domu ciało nastolatki?, pytanie kołatało się w głowie Leny. Mózg przeskakiwał od jednej myśli do drugiej. Rudnicka знаła to uczucie. Towarzyszyło jej zawsze, gdy rozpoczynała nową sprawę. Było jak narkotyk.

Lena przeszła do salonu. Prawdopodobnie nie wzbudzała zaufania jako przedstawicielka organów ścigania – w bawełnianym podkoszulku i szortach wyglądała, jakby wybierała się na plażę, czego potwierdzeniem był wzrok ojca Diany, Emilia Pulido. Spod krzaczastego wąsa wyłaniał się lekko kpiący uśmiech. Jedną ręką masował się po obfitym brzuchu, drugą zaś trzymał na kolanach żony. Matka Diany, Hanna Pulido, zadbana, wysoka blondynka, wbiła wzrok w komisarz. Była ładną kobietą o przenikliwym spojrzeniu. Teraz dygotała, pociągając nosem. Pokrytą grubą warstwą fluidu twarz przecinało kilka czarnych smug.

Rudnicka usiadła w fotelu. Milczeli przez chwilę.

– Ma pani dzieci? – zapytała Hanna Pulido.

Lena pokręciła głową.

– Rozumiem państwa niepokój, ale powinniśmy przeanalizować sytuację – odparła.

– Przeanalizować sytuację? Żartuje pani? – Matka Diany rozłożyła bezradnie ręce. – To jakiś żart, prawda?

– Chodzi o to, że...

– Chodzi o to, żebyście odnaleźli moją córkę! – Kobieta poderwała się z kanapy.

W pomieszczeniu panował zaduch. Komisarz najchętniej uchyliłaby okno i wpuściła do środka trochę powietrza.

– Zapewniam, że znajdę państwa córkę – zapewniła.

Prawdopodobnie żaden inny policjant nie składałby obietnicy z taką pewnością w głosie, jednak Lena była przekonana, że odnalezienie ciała Diany to kwestia czasu. Godzin bądź dni. W końcu zwłoki nastolatek nie znikają ot tak.

– Kiedy? Gdzie zaczniecie jej szukać? Macie znaleźć tego sukinsyna, który wyniósł jej ciało! Co to w ogóle ma znaczyć?

– Kochanie, spokojnie. – Emilio objął żonę ramieniem.

– Spokojnie?! Czy ty siebie słyszysz?

– Proszę państwa. – Rudnicka uniosła dłoń. – Za chwilę zjawi się tu ekipa kryminalistyczna. Obiecuję, że sprawdzimy cały dom. Na pewno znajdziemy jakieś ślady, które pomogą nam odnaleźć Dianę.

– Boże, mogliśmy zostać w domu! – Hanna Pulido ukryła twarz w dłoniach.

– Kochanie, nie mogliśmy tego przewidzieć.

– Proszę opowiedzieć wszystko od początku – poprosiła Rudnicka. – To bardzo ważne. Muszę ustalić, co działo się z Dianą podczas waszej nieobecności.

– Mamy rodzinę pod Sopotem. – Hanna wytarła chusteczką oczy. – Pojechaliśmy na weekend odpocząć... Skąd mogłam wiedzieć, że wydarzy się coś takiego!

– Kiedy wyjechaliście?

– W piątek – odezwał się Emilio Pulido. – To lato jest wyjątkowo gorące, więc postanowiliśmy skorzystać z ładnej pogody, bo wiadomo, jak to w Polsce bywa... Raz ciepło, raz zimno... Córka nie chciała jechać. Choć teraz to wydaje się banalne, ale uznaliśmy, że skoro nie chce, nie powinniśmy jej zmuszać. Ma szesnaście lat, swoje życie, koleżanki. Postanowiliśmy zaufać Dianie i pozwoliliśmy, żeby została w domu. Sądziliśmy, że jest wystarczająco dorosła, żeby poradzić sobie przez kilka dni. Zawsze była odpowiedzialna.

Emilio sprawiał wrażenie opanowanego. Jego ruchy były automatyczne, jakby zaginięcie Diany w ogóle go nie obeszło. Jedynie zaciśnięte w cienką linię usta zdradzały zdenerwowanie.

Rudnicka dłuższą chwilę przyglądała się mężczyźnie. Każdy człowiek inaczej reaguje na stres. W przypadku Emilia mógł zadziałać efekt wyparcia. Ojciec nie dopuszczał do siebie myśli, że jego córka nie żyje.

Albo chodziło o coś zupełnie innego.

– Opuściliście dom w piątek – powiedziała komisarz. – O której godzinie?

– Po pracy, około dziewiętnastej – odparła Hanna.

– Dzisiaj jest poniedziałek, czy przez weekend miała pani kontakt z córką?

– Rozmawiałyśmy przez telefon.

– Kiedy rozmawiała pani z Dianą po raz ostatni?

– W niedzielę, o dwudziestej. Wróciliśmy z plaży i wtedy do niej zadzwoniłam... – Kobieta urwała, próbując opanować drżenie głosu.

– Czy podczas tej rozmowy Diana wydawała się jakaś inna? Podenerwowana? Mówiła, że coś ją niepokoi?

– Nie, nic takiego nie mówiła. Powiedziała, że zjadła kolację i zamierza oglądać film na komputerze. Umówiłyśmy się, że kiedy wrócę we wtorek, pojedziemy do centrum handlowego po kostium kąpielowy. Wybierała się ze znajomymi nad rzekę...

– A czy w ostatnim czasie Diana zachowywała się inaczej niż zwykle?

– Jak inaczej? Co to znaczy?

– Może była bardziej kłótliwa albo wracała później do domu?

– Nie, Diana to dobre dziecko. Nie sprawia problemów wychowawczych. Dobrze się uczy, ma same piątki, jeździ na szkolne olimpiady.

Rudnicka z grzeczności pokiwała głową. Dobre dziecko, przykładna uczennica – rodzice zawsze wybielają własne dzieci. Mówienie o problemach nie leży w naszej naturze. Ciekawe, czy Diana rzeczywiście nie sprawiała żadnych problemów? Lena chętnie przycisnęłaby rodziców. Wystarczy zadać odpowiednie pytania i ludzie sami przyznają się do kłamstwa. Jednak w obecnej sytuacji naciskanie na rodziców Diany mogłoby przynieść odwrotny skutek. Ich współpraca z policją będzie kluczowa, więc Rudnicka nie mogła doprowadzić do sytuacji, w której poczuliby się oskarżani.

– Czy Diana miała jakieś problemy w szkole? – spytała komisarz.

– Parę dni temu skończyła gimnazjum. – Hanna Pulido pociągnęła nosem. – Czekamy na wyniki rekrutacji do liceum.

– W szkole miała wielu znajomych – dodał Emilio. – Nigdy nie narzekała na brak koleżanek. Nauczyciele ją chwalili. Diana angażowała się w szkolne imprezy, pomagała w schronisku dla zwierząt i chodziła na zajęcia teatralne.

– Zajęcia teatralne?

– Chciała zostać aktorką. Po liceum zamierzała aplikować do łódzkiej filmówki.

– Gdzie odbywały się te zajęcia?

– W domu kultury, przy Traugutta.

Rudnicka zanotowała adres w pamięci.

– Jak dowiedzieli się państwo o nagraniu? – spytała po chwili.

Hanna poderwała się z kanapy i obróciła w stronę okna.

– Axel pokazał nam film. – Emilio wskazał na syna.

Nastolatek nie odezwał się do tej pory ani słowem. Milczał, zaciskając kciuki niczym nadpobudliwy przedszkolak.

– Wszedłem rano na Facebooka – powiedział. Upstrzona pryszczami twarz poczerwieniała. Mówił piskliwym głosem, typowym dla nastolatka przechodzącego mutację. – Zobaczyłem, że wszystkie serwisy zamieszczają informacje o tajemniczym samobójstwie dziewczyny. Od razu pobiegłem do mamy i pokazałem film. Wiem, że nie powinienem. – Zerknął na matkę. – Mamo, nie powinnaś tego oglądać.

– Spakowaliśmy rzeczy i natychmiast wróciliśmy do domu – dodał ojciec. – Ale... Gdy weszliśmy, wszystko było w porządku. Nigdzie nie znaleźliśmy Diany. Boże... Gdzie ona jest?

– O której wyjechaliście?

– Około wpół do dziewiątej.

– O której weszliście do domu?

– Za piętnaście dwunasta.

Lena spojrzała na zegarek. Minęło czterdzieści pięć minut od momentu, kiedy państwo Pulido przekroczyli próg domu. Film z samobójstwa trafił do sieci o trzeciej nad ranem. Ponad dziesięć godzin temu.

Gdzie jest ciało dziewczyny?

– Kiedy weszliście, coś zwróciło waszą uwagę? – spytała Rudnicka.

– Czy coś zwróciło naszą uwagę? – Hanna przechyliła głowę, jakby komisarz zadała najgłupsze pytanie na świecie. – Oczywiście! Naszą uwagę zwróciło to, że nigdzie nie ma naszej córki! Gdzie ona jest!? Co się z nią stało?!

Emilio objął żonę i przyciągnął ją do siebie.

Lena poczuła się niezręcznie. W głowie kołatało się jeszcze wiele pytań, ale postanowiła, że na tę chwilę wystarczy. Rodzina powinna się spakować i jak najszybciej opuścić dom. Ekipa kryminalistyczna zjawi się lada moment.

- Technicy sprawdzą dom – powiedziała. – Macie gdzie się zatrzymać na jakiś czas?
- Pojedziemy do mojej siostry – odparł Emilio. – Mieszka niedaleko.

Technik kryminalistyki Luiza Krajewska zjawiała się dziesięć minut później. Rude włosy spięła w kok. Kwiecistą bluzkę przykryła policyjną kurtką. Oparła dłonie na biodrach, wodząc wzrokiem po pokoju. Lena Rudnicka podążyła za jej spojrzeniem.

Pokój Diany Pulido wyglądał, jakby nic się w nim nie wydarzyło. Urządzony w nowoczesnym stylu. Białe ściany, białe meble – dwudrzwiowa szafa, biurko, komoda ze zdjęciami i regał, na którym stał okazały zbiór powieści kryminalnych i thrillerów. Lena przejechała dłonią po grzbietach – Coben, Gerritsen, Läckberg, Nesbø. Nazwiska brzmiały znajomo. Albo tak się Lenie zdawało. Nie czytała żadnego z tych autorów.

– Nie znalazłam śladów włamania – oznajmiła komisarz. – Zamki są nietknięte, wokół domu żadnych śladów butów.

– To niemożliwe – zauważyła Liz.

– Mnie nie musisz tego mówić. Dziewczyna popełniła samobójstwo. Jeśli nie posiada magicznej umiejętności teleportacji, ktoś najzwyczajniej w świecie wyniósł ciało z domu.

– Może to jakieś sekciarskie rytuały? Wiesz, jakie są nastolatki. Łatwo ich omamić i zmusić do różnych rzeczy. Dziewczyna powiesiła się w imię wyższego dobra, a jej stuknięci koledzy złożyli ciało w ofierze.

Rudnicka zmarszczyła brwi.

– To może być jakiś trop – mruknęła bez przekonania. Jeden z wielu, dodała w duchu.

2

Rudnicka wróciła na komendę i odwiesiła urlop. Naczelnik Ostrowski przyjął tę wiadomość z zadowoleniem. Ta dwójka nie darzyła się przesadną sympatią, ale w oczach przełożonego Lena zobaczyła ulgę. Wiedział, że sprawa Diany Pulido będzie priorytetowa. Zaginięciem dziewczyny zainteresowały się media. Wścibscy dziennikarze zawsze oznaczają kłopoty.

Poza tym na komendzie brakowało rąk do pracy. Przełom czerwca i lipca to najgorętszy okres urlopowy. Większość funkcjonariuszy bierze wolne właśnie na początku sezonu.

Stała na parkingu i rozejrzała się dookoła. W twarz uderzyło ją parne powietrze. Spostrzegłszy znajomą sylwetkę, ruszyła w stronę oznakowanego radiowozu.

– No wreszcie! – zawołała. – Szukałam cię!

Sierżant sztabowy Marcel Wolski obrócił się, unosząc brwi.

– Słucham?

– Mamy sprawę – poinformowała go.

– My?

– A widzisz tutaj kogoś poza tobą? – Lena rozłożyła teatralnie ręce.

– To jakiś żart?

To musiał być żart, skonstatował w duchu. Spodziewał się wszystkiego, oprócz komisarz Rudnickiej.

Kiedy Marcel dołączył do Wydziału Kryminalnego łódzkiej komendy, prowadzili z Leną sprawę morderstwa Klemensa Chmielnego i Michaliny Kowalskiej. Po skończonym śledztwie Rudnicka w krótkich – i dość dosadnych – słowach wyjaśniła Marcelowi, że wspólna przygoda dobiegła końca. Przez kolejne miesiące rzucała Wolskiemu jedynie zdawkowe „cześć”. Na nic więcej nie mógł liczyć.

W gruncie rzeczy ich wspólny start nie należał do udanych. Po przeprowadzce do rodzinnej Łodzi Marcel poznał w barze pewną kobietę. Spędzili razem noc, a kiedy rano stawiał się w nowej pracy, znów ją spotkał... Była jego nową szefową. Na domiar złego jej mężem okazał się prokurator Nawrocki, prowadzący z nimi śledztwo w sprawie morderstwa.

Gorszego początku znajomości nie powstydziliby się reżyser najsłabszych sitcomów.

– W coś ty się ubrał? – zapytała teraz Lena, lustrując Wolskiego od góry do dołu.

Przestąpił z nogi na nogę. Miał na sobie służbowy strój – policyjne bojówki, glany i czarny podkoszulek – zestaw idealny na trzydziestostopniowy upał.

– Mam służbę – bąknął.

– Służbę? A co ty, kurwa, w prewencji robisz?

– Zaczął się sezon urlopowy. – Zapalił lodowego westa, zaciągnął się i wypuścił dym. – Są braki na komendzie. Ostrowski prosił, żebym pomógł obstawić wizytę jakiegoś polityka. Idą wybory, więc...

– Mam to gdzieś – weszła mu w słowo. – Bierz telefon, dzwoń do starego i powiedz, że nie zajmujesz się pierdołami.

– Nie mogę.

– Owszem, możesz. Powiedz mu, że jeśli ma braki w kadrach, niech ściąga gliniarzy z pobliskich dziur. Kryminalni powinni zajmować się poważnymi sprawami, a nie, kurwa, wystawianiem na ulicy i chronieniem tyłków kołkom z Wiejskiej.

– Nie mogę – powtórzył.

Naczelnik nie darzył Marcela sympatią. Przełożony nigdy nie wyjawiał powodu swojej niechęci, ale Marcel przypuszczał, że chodziło o jego ojca i jednocześnie komendanta jednostki, Andrzeja Wolskiego. Zresztą większość kolegów po fachu patrzyła na Marcela mało przychylnym okiem. Synalek komendanta, któremu tatuś załatwił robotę w kryminalnym.

– Sierżancie, przypomnij, ile dzieli nas stopni policyjnych? – Rudnicka pstryknęła palcami.

– Sześć – mruknął.

– Wiesz, że nie chcę tego mówić?

– Czego?

– Że to rozkaz.

– Słucham?

– Sam mnie do tego zmusiłeś.

Marcel stłumił westchnienie. Oczywiście mógł polemizować. Formalnie Wydziałowi Kryminalnemu szefował naczelnik Ostrowski, ale w praktyce to Lena rozwiązywała wszystkie sprawy. Wyrabiała tyle godzin, że gdyby ktoś spróbował podliczyć, zebrałby się półroczny urlop.

– Weź kogoś innego – zaproponował.

– Tymon i Ernest są na urlopie – wyjaśniła. – Zostały same tłuki, które nie umieją wynegocjować urlopu w pierwszym terminie.

– Dzięki.

– Więc jeśli mam wybierać pomiędzy tłukiem, który nie umie wynegocjować urlopu, a tłukiem, który dał się wmanewrować w obstawianie wizyty polityka, wezmę tego drugiego.

Przez chwilę Wolskiemu zrobiło się miło. Ze wszystkich gliniarzy Rudnicka wybrała właśnie jego. A potem uświadomił sobie, że wybór miała mocno ograniczony. Gdyby Tymon lub Ernest nie byli na urlopie, Lena pewnie nawet by o nim nie pomyślała.

– Okej – odezwała się. – Widzę, że trzęsiesz portkami, więc załatwię to za ciebie.

Wyjęła telefon i odeszła na bok. Marcel dopalił papierosa, obserwując komisarz. Rozmowa z naczelnikiem nie zajęła jej dużo czasu. Właściwie Lena ograniczyła się do przedstawienia przełożonemu własnego zdania i zwyczajnie się rozłączyła.

– Załatwione – rzekła. – Przebieraj się i spadamy.

Wolski przygniótł butem niedopałek.

– Nie mam ubrań na zmianę – oświadczył. – Przyjechałem tak z domu.

– Że co?

– Gdybym wiedział, że właśnie dzisiaj odwieszysz mi karę i zaproponujesz prowadzenie śledztwa...

– Nic ci nie zaproponowałam – sprostowała. – Gdyby to była propozycja, miałbyś możliwość wyboru.

– Rozumiem.

– Oboje musimy się przebrać. Spójrz na mnie. Wyglądam, jakbym szła na plażę. W tym stroju nikt nie potraktuje mnie poważnie. Brakuje mi tylko olejku do opalania w jednej ręce i drinka w drugiej.

Wolski mimowolnie powiódł wzrokiem po zaczerwienionych od słońca udach. W takim wydaniu komisarz bardzo mu się podobała, ale nie ośmielił się powiedzieć tego na głos.

Rudnicka się zawahała.

– Co zrobiłeś sobie w rękę? – zapytała, wskazując na lewy nadgarstek Marcela, owinięty elastycznym bandażem.

– Skręciłem – odbąknął. – Nic takiego.

– Co zrobiłeś?

Wolski się zawahał. Mógł skłamać. Powiedzieć, że doznał urazu podczas treningu bokserskiego (nigdy tam nie był). Zmyślić historyjkę o bohaterskim zatrzymaniu złodzieja, który wyrwał kobiecie torebkę na ulicy. Dodać, że pokonał przeciwnika, choć uszkodził sobie nadgarstek. „Ale gdybyś zobaczyła twarz tamtego gościa! To dopiero coś!”

Mógł też powiedzieć prawdę.

– Przewróciłem się.

– Jezu – stęknęła. – Zaczynam żałować, że do ciebie przyszedłem.

– Ale jednak przyszłaś. To miłe.

– Nie miałam innego wyjścia, więc nie wyobrażaj sobie za wiele.

– Sądziłem, że nasze partnerowanie to przeszłość. Szczególnie że próbowałem z tobą porozmawiać. Tak po koleżeńsku. Wiesz, ludzie tak robią, jeśli razem pracują. Czasem pogadają przy kawie, pośmieją się na korytarzu.

– Uwierz, w moim życiu nie ma niczego zabawnego.

– Och, daj spokój. Wiesz, o co mi chodzi.

Rudnicka przygryzła wargę.

– Nasze partnerowanie przeszło w stan zawieszenia, a teraz postanowiłam je odwiesić. Ot, cała tajemnica.

– Mhm. A po sprawie znowu opuścisz szlaban?

– Poza tym – uniosła palec – nie jestem i nigdy nie będę twoją koleżanką. Zapamiętaj to sobie.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Zbierajmy się – rozkazała Lena. – Ty i twoje glany zabieracie mnie do wozu i jedziemy.

– Nie masz samochodu?

– Stoi przed domem. Jeszcze parę godzin temu sądziłam, że będę smażyć się dzisiaj na plaży.

– Rodzinne wakacje?

– Coś w tym stylu – burknęła. – No? Gdzie masz samochód? Przecież nie będziemy jeździć tym czymś. – Wskazała na radiowóz.

Marcel skinął głową w stronę złotej skody fabii.

Kilka minut później zaparkował przed główną bramą zamkniętego osiedla loftów. Rudnicka wyskoczyła z samochodu i przemaszerowała przez szeroki podjazd; weszła na odpowiednie piętro i pchnęła ciężkie drzwi. Zakręciła się w salonie, odnotowując, że Krzysztof zgodnie z obietnicą podrzucił walizkę, i skierowała się do łazienki. Ochlapała twarz wodą, wytarła dłonie w ręcznik, skierowała się z powrotem na korytarz i zamarła w pół kroku.

– Czy zrozumienie prośby „poczekaj na dole, zaraz wrócę” jest dla ciebie aż tak skomplikowane? – zapytała.

– Na zewnątrz jest za gorąco – odparł Wolski, wchodząc w głąb korytarza. – Poza tym to nie była prośba, ale polecenie – dodał, starając się unikać ciężkiego spojrzenia komisarza.

– Banalnie proste – warknęła. – A nawet nie potrafisz go wykonać.

Rudnicka najchętniej wyrzuciłaby Marcela za drzwi. Nie chciała, by wchodził do środka. Ich stosunki nie powinny wykraczać poza sferę zawodową. Wpuszczenie go do mieszkania oznaczało naruszenie pewnej granicy, której Rudnicka wolałaby nie przekraczać.

– Stój tam i się nie ruszaj – poleciła, wbijając palec w klatkę piersiową Marcela. – Idę się przebrać. Nie będę przesłuchiwać świadków w gaciach ledwo zakrywających tyłek.

– Mnie się podobają.

– No jasne.

Zniknęła w sypialni, gdzie zmieniła szorty na luźne dzinsy, po czym wróciła na korytarz.

Ale Wolskiego już tam nie zastała.

Znalazła go w kuchni. Wyciągnął właśnie z szafki dwa kubki, a wcześniej uruchomił ekspres do kawy. Obejrzał się przez ramię. Rudnicka oparła dłonie na biodrach.

– Potrzebuję kofeiny – wyjaśnił. – Upał mnie wykańcza.

– Nie jestem znawczynią zasad savoir-vivre’u, ale z tego co się orientuję, to gospodarz proponuje kawę gościom – warknęła. – Nie na odwrót. Kazałam ci zostać w korytarzu, a nie zajmować się przygotowywaniem małej czarnej.

Marcel postawił pełny kubek na blacie, obrócił się i wcisnął odpowiedni guzik. Młynek zmielił świeże ziarna. Z dyszy popłynęła kolejna porcja kofeiny.

– Głuchy jesteś czy co?

– Wypijemy kawę i pojedziemy. To tylko dziesięć minut, w ciągu których wyjaśnisz okoliczności całej sprawy.

– Wyjaśniłam już, kiedy jechaliśmy do...

– Powiedziałaś tylko, że do sieci trafiło nagranie – przerwał. – Na nagraniu widać, jak nastolatka popełnia samobójstwo. Ale rodzice po przyjeździe do domu nie znaleźli ciała córki.

– Dokładnie – odparła. – Chciałbyś wiedzieć coś więcej? Świetnie, bo ja również.

– Nie rozumiem tego.

– Wcale się nie dziwię. Do najbystrzejszych nie należysz.

Uśmiechnął się, siadając przy kuchennej wyspie.

– Co z rodziną? – spytał.

– Ojciec to hiszpański amigo, pracuje w firmie transportowej. Matka jest szycią w agencji marketingowej.

– Mówiłaś, że rodziny nie było w domu, kiedy dziewczyna popełniła samobójstwo.

– Tak – przyznała i sięgnęła po kawę. Wrzuciła cztery kostki cukru, zamieszała i upiła łyk. – Pojechali nad morze, razem z czternastoletnim Axelem, bratem samobójczyni. Chłopak pokazał rodzicom film. Podobno wrócili od razu, kiedy zobaczyli nagranie.

– Nie zawiadomili wcześniej policji? Ktoś mógłby ją odratować.

– Nie. Zadzwonili, kiedy weszli do domu i zobaczyli, że nie ma ciała Diany. Sądzę, że przez cały czas nie dopuszczali do siebie myśli, że dziewczyna z nagrania jest ich córką.

– Widziałaś ten filmik?

– Widziałam. Co prawda z serwisu został skasowany, ale ludzie zdążyli zrobić wystarczającą liczbę kopii, żeby materiał krążył w necie przez następne dziesięć lat.

– Masz go?

– Zrzuciłam na telefon, chcesz zobaczyć? – zapytała tonem, jakby chciała pokazać Marcelowi kolejny filmik ze śmiesznymi kotami w roli głównej.

– Na razie nie – odparł. – Czekał, ta dziewczyna, Diana, tak?

Lena mruknęła twierdząco.

– Powiesiła się podczas relacji live? – ciągnął. – Widziałem kiedyś artykuł o dzieciaku, który popełnił samobójstwo podczas transmisji na YouTube albo na Instagramie. – Podrapał się w skroń. – Nie pamiętam. W każdym razie od razu sprowadzono pomoc, namierzając dzieciaka za pomocą danych GPS z telefonu.

– Ale nie zdążyli – ucięła. – Znam tę historię. Odpowiadając na twoje pytanie: tak, powiesiła się podczas relacji na żywo.

– Boże... Dlaczego nikt nie przyjechał?

– Może miała mało obserwatorów, nie wiem.

– W internecie wszystko rozchodzi się lotem błyskawicy. Nie wierzę, że nikt tego nie obejrzał.

– Afera wybuchła nad ranem, kiedy ludzie zaczęli wchodzić do sieci. I fakt, to dziwne, że nikt nie rozpoznał Diany na nagraniu, ale mamy teraz większy problem, Marcel.

– Ciało?

– Którego nie ma.

Marcel zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Dziewczyna była sama w domu? – zapytał w końcu.

– Tak. – Lena skinęła głową. – Kiedy przyjechała rodzina, drzwi były zamknięte od wewnątrz. Klucz należący do Diany wisiał na haczyku w specjalnej skrzynce.

– Ślady włamania?

– Wstępnie żadnych. Liz z ekipą pracuje na miejscu zdarzenia. Zadzwoń, o ile cokolwiek znajdą.

– Muszą coś znaleźć – zawyrokował. – Jeśli dziewczyna się powiesiła, to raczej sama nie usunęła swojego ciała.

– Co ty nie powiesz?

– Co o niej wiemy?

– Niewiele. Rodzina była w szoku, więc nie naciskałam...

Marcel uniósł brwi. Nie podejrzewałby Rudnickiej o taką wrażliwość. Podczas ostatniego śledztwa wyciskała świadków jak cytryny.

– Właściwie sama nie wiem dlaczego – dodała, dopijając kawę. – Może miałam przyływ empatii?

– Niewiarygodne.

– Mniejsza z tym. – Machnęła ręką. – Według rodziców Diana była przykładną uczennicą, udzielała się społecznie, wszyscy ją lubili, takie tam.

Marcel westchnął.

– Zakładamy, że ktoś wyniósł jej ciało z domu? – spytał.

– Nie. Zakładamy, że samo wyfrunęło.

Wolski podniósł się i obszedł kuchenną wyspę. Powiódł wzrokiem po wnętrzu. Fikuśne fotele, zdobione meble i przesadny porządek kompletnie nie pasowały do Leny Rudnickiej. Odnosił wrażenie, jakby znajdował się w hotelowym apartamencie. Wysprzątanym na przyjęcie kolejnych gości.

– W takim razie kto wyniósł ciało Diany? – zapytał, pocierając dłonią podbródek.

– I dokąd? – dodała Lena, odstawiając opróżniony kubek na blat. Przeszło jej przez myśl, że gdyby obok stał Krzysztof, od razu poleciliby włożenie brudnego naczynia do zmywarki. Nie lubił zawałonych blatów.

– Rodzice mają alibi? – podsunął Marcel.

– Musimy je sprawdzić.

– Więc co teraz robimy?

– Porozmawiamy z nauczycielką Diany, potem z koleżankami. Może dziewczyna miała problemy w szkole, sekretne chłopaka albo coś, czym nie podzieliła się z rodzicami.

Każdy nastolatek ma swoje sekrety. Lena liczyła, że rozmowa z przyjaciółkami Diany rzuci na tę sprawę choć trochę światła.

– Jaki jest status dziewczyny? – spytał Marcel.

– Diana nie została uznana za zmarłą. Nie ma ciała, więc nie można stwierdzić zgonu.

3

Dziewczyna szła wyprostowana, unosząc głowę ku górze. Mrużyła oczy, oślepiona promieniami słońca. Żołądek zawiązał się w supeł, a do gardła podeszła żółć.

W jej głowie wybrzmiały słowa matki. „Jesteś taka młoda, możesz wszystko”.

Gówny prawda. Przyszłość malowała się raczej w ciemnych barwach. Nic nie było w porządku. Nawet w szkole się nie układało. Ostatnio dostawała coraz gorsze stopnie. „Dobre oceny to klucz do przyszłości”, grzmiała matka, przeglądając dzienniczek ucznia, i kręciła głowę z dezaprobatą. Dziewczyna wiedziała, że ma ją za nic. Córka tylko jej zawadzała. Matka nigdy nie powiedziała tego na głos, ale dziewczyna była pewna, że najchętniej by się jej pozbyła.

Postanowiła więc jej to ułatwić.

Zresztą już dawno powinna ze sobą skończyć. Była niepotrzebnym nikomu śmieciem.

Potrząsnęła głową, jakby przy jej uchu latał natrętny owad. Odgoniła niewidzialnego insekta, a po chwili uświadomiła sobie, że brzęczenie nie ustało. Rozlegało się w jej głowie, jakby zalał się tam rój pszczoł. Dźwięk przybierał na sile z każdą sekundą.

To pewnie przez te prochy, pomyślała dziewczyna. Ostatnio przesadzała z dragami. Nie była ćpunką, po prostu czasem potrzebowała odskoczni, żeby odciąć się od ponurej rzeczywistości i nie myśleć o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Sama nie była pewna, co dokładnie łykała. Najważniejsze było, że wreszcie mogła się odprężyć.

Przeszła przez łąkę i zajrzała w zarośla. Wszystko znajdowało się na miejscu. Przygotowane. Niedługo zrealizuje swój plan. Już nie mogła się doczekać. Usiadła pod drzewem, pogrzebała w plecaku i wyciągnęła piwo. Pstryknęła zawleczką, upiła łyk i pomyślała, że nie powinna łączyć narkotyków z alkoholem. Chociaż to tylko jedno piwo. Nikomu nie powinno zaszkodzić, prawda?

Myślała o wydarzeniach ostatnich dni. O planie. Wszystko zaszło za daleko, o wiele za daleko. Nie można się już cofnąć. Przez chwilę zastanowiła się, co powiedzą rodzice, kiedy o wszystkim się dowiedzą. Czy matka będzie zadowolona? Dziewczynę naszły wątpliwości, ale uświadomiła sobie, że wystarczy moment, by zakończyć cierpienie. Sekunda. Nie miała innego wyjścia. Zrobi to. Odbierze sobie życie. Ale jeszcze nie dzisiaj. Ukryła twarz w dłoniach i się rozpląkała.

Nad jej głową kołowały trzy wrony. Ich czarne pióra połyskiwały w słońcu.

4

Pomimo wakacji szkoła przy ulicy Czajkowskiego tętniła życiem. Najwyraźniej właśnie odbywały się jakieś letnie zajęcia. Na orliku grupka chłopców grała w piłkę, a sędziował im starszy mężczyzna w koszulce trenera. Średnio co trzydzieści sekund dmuchał w gwizdek i przerywał mecz. Chociaż trudno było tę kopaninę nazwać meczem. Działania na boisku przypominały wyścig, która drużyna szybciej sfauluje przeciwnika.

– O Boże – jęknęła Rudnicka. Szli popękany chodnikiem prowadzącym do głównego wejścia. – Nawet gdyby ktoś mi oferował milion dolców, nie wróciłabym do budy.

– Ja całkiem miło wspominam szkołę – odrzekł Marcel.

– Jakoś mnie to nie dziwi. Ojciec na stanowisku pewnie wepchnął cię do najlepszego liceum w mieście.

Wolski chciał zaoponować. Skończył najlepsze liceum w mieście, ale dostał się tam ze względu na dobre stopnie. Ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

A przynajmniej tak sądził do tej pory.

– Nauczyciele mają dobrze – rzuciła Rudnicka, gdy pokonywali szkolny korytarz. Rozejrzała się w poszukiwaniu pokoju nauczycielskiego. – Pracujesz dziesięć miesięcy w roku. Masz dwa miesiące wakacji. Życ nie umierać. – Zawiesiła dłoń nad klamką.

– No nie wiem – odbąknął Marcel. – W ciągu tych dwóch miesięcy nauczyciele muszą...

Rudnicka machnęła ręką, dając mu do zrozumienia, że temat uważa za zamknięty.

W pokoju nauczycielskim panowała cisza. Przy stole siedziały dwie kobiety. Blondynka odstawiła filiżankę na spodek. Palcem wskazującym poprawiła okulary. Obrzuciła nowo przybyłych podejrzliwym spojrzeniem. Nie wyglądała na zadowoloną. I właśnie dlatego Rudnicka wolała chodzić w cywilu. Mundur tworzy barierę pomiędzy obywatelem a przedstawicielem organów ścigania. Jeśli masz na sobie mundur, ludzie nie widzą w tobie człowieka. Widzą policjanta. Stają się nieufni. Gliniarz to gliniarz. Rozmowa z policją wiąże się z niebezpieczeństwem. Gliniarz wszystko notuje, zapisuje, łapie za słówka. Wszystko, co powiesz, może obrócić się przeciwko tobie.

– Szukamy pani Guzik – powiedziała Lena.

– To ja. – Pulchna kobieta odłożyła teczkę na stół.

– Jesteśmy z policji. Komisarz Rudnicka, a to sierżant Wolski. Możemy chwilę porozmawiać?

Marcel się uśmiechnął.

– Oczywiście, proszę za mną. – Puszysta kobieta zaprowadziła policjantów do klasy, z trudem zajęła miejsce za biurkiem. Z racji słusznej postury miała ograniczone możliwości manewru. – Proszę usiąść. – Wskazała ławkę.

– Słyszała pani o Dianie Pulido? – zapytała Rudnicka.

– Od rana nie mówi się o niczym innym. – Nauczycielka zacisnęła usta. Dłonie złożyła jak do modlitwy. – Strasznie współczuję państwu Pulido. Przeżyć śmierć własnego dziecka... Och, co za tragedia. Jeszcze w taki sposób...

Lena rozejrzała się po klasie. Na ścianach wisiały tablice z wzorami i figurami geometrycznymi. Pani Guzik uczyła matematyki. Na samą myśl o znienawidzonym przedmiocie Rudnicką przeszły ciarki. Dotarło do niej, jak bardzo nienawidziła szkoły.

– W dodatku nie ma ciała Diany – dodała pani Guzik.

Lena zerknęła na Marcela, przechylając głowę.

– Skąd pani wie, że nie ma ciała? – zapytała.

– Słyszałam w radiu – wyjaśniła. – W domu nie znaleziono ciała Diany. Podobno ktoś je wyniósł. To prawda?

Rudnicka zmarszczyła brwi. Niedobrze. Dziennikarze zwęszyli sensację. Lena pomyślała, by zadzwonić do rodziców Diany i przestrzec, żeby nie rozmawiali z dziennikarzami, ale uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej i tak nie zastosują się do jej zaleceń. Byli załamani. Sądziła, że nagłośnienie sprawy pomoże w odnalezieniu ich córki.

– Dobrze – rzekła w końcu. – Porozmawiajmy o Dianie. Próbuje dowiedzieć się, jaka była i co skłoniło ją do popełnienia samobójstwa, może miała problemy w szkole?

– Och, nie! Diana była wzorową uczennicą. Świetnie się uczyła.

Marcel uderzył kolanem w spód blatu. Najwyraźniej szkolne ławki nie były przeznaczone dla osób mierzących ponad metr osiemdziesiąt.

– Przepraszam – wymamrotał.

Rudnicka zerknęła na niego przelotnie i skupiła się na pani Guzik.

– Hm, chociaż... – zaczęła nauczycielka. – Jest jedna sprawa, która wydawała mi się podejrzana.

– Tak?

– Diana jest humanistką. To znaczy... – Westchnęła. – Przepraszam. Diana była humanistką. Z polskiego i języków obcych zbierała same piątki. Startowała w olimpiadzie z angielskiego i hiszpańskiego. Miewała jednak problemy z matematyką i fizyką.

– To chyba nic dziwnego? Większość uczniów ma problemy z przedmiotami ścisłymi.

– Największe trudności sprawiała Dianie matematyka – ciągnęła pani Guzik. – Zdarzało się, że dostawała ze sprawdzianu czwórkę. Wpadała wówczas we frustrację. Musicie państwo wiedzieć, że Diana była bardzo ambitna. Czwórka nie sprawiała jej satysfakcji.

– Rozumiem – wtrącił Wolski.

Rudnicka posłała sierżantowi kpiący uśmiech. Oczami wyobraźni zobaczyła Marcela sprzed kilku lat. Pilnego ucznia z wielkim tornistrem na plecach. Prosto ze szkoły pędził do domu, by odrabiać lekcje, a następnego dnia pozwalał odpisywać kolegom.

– Przed radą pedagogiczną mieliśmy ostatni sprawdzian z geometrii – ciągnęła nauczycielka. – Diana nie radziła sobie najlepiej. Rozwiązywanie zadań szło jej opornie. Spędzałyśmy dużo czasu, by zrozumiała jakieś zagadnienie. Mam dużo pracy – zaznaczyła. – Ale czasem zostawałam po lekcjach, żeby pomóc Dianie. Sądziłam, że dziewczyna ma potencjał i daleko zajdzie w życiu. Nie chciałam, żeby jeden przedmiot zepsuł jej świadectwo. Rozumiecie państwo? – Marcel skinął głową. Lena siedziała nieruchomo. – Z ostatniego sprawdzianu Diana dostała jedynkę. Jako jedyna w klasie. Poprosiłam, żeby została po lekcjach. Pomyślałam, że posiedzę z nią kilka dni przed wyznaczoną poprawą, ale Diana odmówiła. To dziwne, ponieważ odniosłam wrażenie, że jedynka nie zrobiła na niej wrażenia.

– Co ma pani na myśli? – spytał Wolski.

– Dziewczyna dostaje czwórkę i jest załamana – wtrąciła Rudnicka. – A gdy dostaje jedynkę, w ogóle się nie przejmuje?

– Właśnie. – Wychowawczynie skinęła głową. – Co więcej, Diana nie wyraziła chęci, żeby poprawić ocenę.

– Podała powód?

– Uznała, że jedna jedynka niczego nie zmieni.

– Jaką miała ocenę całoroczną?

– Mamy dzienniki elektroniczne, więc po wpisaniu jedynki Dianie wychodziła czwórka z plusem, jednak proszę pamiętać, że na świadectwie wpisujemy pełne liczby. Powiedziałam więc Dianie, że powinna poprawić tę jedynkę, żeby mieć piątkę.

– Jak zareagowała?

– Nie chciała ze mną rozmawiać.

Oczywiście jedna jedyńka niczego nie przesądza, ale Diana wybierała się do liceum. Rudnicka nie była biegła w szkolnych sprawach, ale miała świadomość, że podczas rekrutacji do liceum oceny ze świadectwa również mają znaczenie. Najwyraźniej dobre oceny wcześniej były dla dziewczyny ważne. Dlaczego nagle przestało jej zależeć? Czy wydarzyło się coś, co zepchnęło naukę na boczny tor?

– Czy oprócz matematyki Diana opuściła się z innych przedmiotów? – spytała Rudnicka. Nauczycielka splotła dłonie na blacie.

– Nie – odparła. – Większość sprawdzianów odbyła się przed radą pedagogiczną. Ostatnio oprócz przygotowania do testów gimnazjalnych uczniowie powtarzali tylko matematykę. Inne lekcje zajmowały powtórki na nadchodzący egzamin. Ale jeśli chodzi o Dianę, zauważyłam jeszcze jedną niepokojącą rzecz.

– To znaczy? – Lena poprawiła się na krześle.

– Opuściła parę dni w szkole – oznajmiła wychowawczyni. Widząc zdezorientowaną minę komisarz, dodała: – Diana rzadko opuszczała lekcje. Pamiętam, jak kiedyś przyszła na zajęcia z gorączką. Zadzwoiłam do rodziców i odesłałam ją do domu. Diana trochę grymasiła, mówiła, że nie chce mieć nieobecności na lekcjach, że będzie zmuszona nadrabiać stracone tematy. Może jestem starej daty, ale uważam, że chorobę powinno się przeleżeć w łóżku.

– Pytała pani Dianę o powód nieobecności?

– Po radzie pedagogicznej został tydzień do zakończenia roku, więc obecności nie są już odnotowywane. Kompletujemy dokumenty, drukujemy świadectwa. Oficjalnie opuszczone godziny nie miały żadnego wpływu. Oczywiście zadzwoniłam do rodziców Diany. Pan Pulido twierdził, że wiedział o nieobecności córki w szkole.

– I nie widział nic złego w tym, że Diana nie przyszła do szkoły?

– Raczej nie. Zbył mnie, mówiąc, że jest koniec roku, że wszystkie stopnie są wystawione.

– A jakie relacje miała Diana z koleżankami? – spytał Marcel, prostując nogi. Od skurczonej pozycji zdrętwiały mu łydki.

– Diana trzymała się z trzema najlepszymi przyjaciółkami. Mówiąc szczerze, tylko z nimi widywałam ją na szkolnych korytarzach. W klasie było ponad trzydzieścioro uczniów. To normalne, że tworzą się grupki.

– Jak nazywają się koleżanki Diany?

– Karolina Wiśniewska, Sandra Kobus i Roksana Antolak.

Marcel sięgnął do kieszeni spodni po notes, ale w porę się zmitygował. Lena na pewno już zapamiętała nazwiska dziewcząt. Komisarz nigdy niczego nie notowała.

– Mogłaby pani opowiedzieć o relacji dziewcząt? – poprosił.

Nauczycielka z namysłem podparła brodę palcem wskazującym.

– Muszę przyznać, że umknął mi moment, kiedy między nimi zawiązała się przyjaźń – powiedziała. – Był początek roku i my, nauczyciele, mieliśmy sporo na głowie. Faktem

jest, że cała czwórka od samego początku trzymała się razem. Siadały razem w ławkach, dwie z przodu i dwie z tyłu, żeby mieć ze sobą ciągły kontakt. Podejrzewam, że spotykały się również po szkole, jak to nastolatki...

– Jaki kontakt miała Diana z innymi uczniami?

– Dobry, tak bym to określiła. Resztę traktowała jak zwykłych znajomych z klasy, rozmawiała z nimi, ale nic poza tym.

– Czy Diana miała chłopaka? – zapytała Lena, wstając z krzesła. Wsunęła dłonie do kieszeni spodni i przygryzła dolną wargę.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Zauważyła pani w zachowaniu Diany coś niepokojącego? Pomijam tę jedynekę i nieobecności, ale czy na przykład w rozmowie wydawała się jakaś inna? Zdenerwowana lub smutna?

Wychowawczyni się zawahała.

– Kilka razy widziałam, jak po dzwonku wybiega z klasy i nie czekając na koleżanki, wychodzi ze szkoły.

– Zawsze wychodziły razem?

– Tak, po lekcjach szły na ten sam przystanek. Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Pomyślałam, że po prostu ma inne plany albo przyjechało po nią któreś z rodziców, ale jak teraz o tym myślę, to może Diana faktycznie miała chłopaka.

5

Jerzy Jurek miętosił w ustach papierosa. Ustnik zawilgotniał od śliny. Jerzy splunął i sięgnął po pustą skrzynkę po piwach. Odwrócił ją do góry nogami i siadł ciężko. Krata wpijała się w tyłek. Bolała go głowa. Powieki same się zamykały. Nie spał prawie całą noc. Urwał dwie godziny nad ranem, lecz wciąż czuł się zmęczony. Taka praca. Nie wiadomo, kiedy komuś skończy się towar. Zapotrzebowanie ciągle rosło i ciężko wyrobić się ze wszystkimi zleceniami. Najgorsze były weekendy. W weekend miasto baluje. Ludzie chcą odetchnąć po całym tygodniu. Są zmęczeni. Potrzebują energii.

A Jerzy potrafi ją dostarczyć.

Jesteś wykończony? Jeden telefon. Dwadzieścia minut. Wszystko zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Zmęczenie znika. Miasto bawi się dalej.

Ale niedługo zabawa się skończy. Jerzy od dawna chciał rzucić tę robotę. Miał oszczędności. Przez jakiś czas pojeździ po świecie. Potem może znajdzie normalne zajęcie i będzie prowadził zwyczajne życie? Nie będzie drżał przed dzwonkiem do drzwi ani podskakiwał na dźwięk telefonu. Miał dość.

Czas wziąć się do pracy, pomyślał, wyjmując elektroniczną wagę, i rozejrzył się wokół.

O tej porze ogródki działkowe były puste. Nie licząc jednego starucha, który od paru tygodni uprzykrzał Jerzemu życie. Jerzy starał się nie wchodzić dziadkowi w drogę. Tylko

tego brakowało, żeby facet zadzwonił na policję.

Upewniwszy się, że nikt nie kręci się przy domku, Jerzy odpakował foliowe torebki i rozpoczął żmudny proces ważenia i pakowania. To ostatnie dni w tym fachu. Jak dobrze pójdzie, może dziś ostatni raz dostarczy zamówiony towar?

6

Zagadaj z ojcem, niech da ci jakąś premię – zakpiła Lena, wyglądając przez szybę. – Kupisz sobie jakiś lepszy samochód.

Marcel zaśmiał się pod nosem.

– Klimatyzację wymyślili dość dawno temu – dodała. – Twój czeski producent chyba zatrzymał się w epoce średniowiecza.

– Klimatyzacja się zepsuła – odparł Marcel.

– No jasne. Zderzak też się zepsuł? W co przydzwoniłeś?

Marcel wolał nie odpowiadać.

– Jak chcesz znaleźć koleżanki Diany? – pospiesznie zmienił temat.

– Zadzwoń do Karoliny Wiśniewskiej. Matka dziewczyny dała mi jej numer.

Wolski zabębnił palcami w kierownicę.

Kiedy stanęli przed domem jednej z koleżanek Diany, okazało się, że dziewczyna razem z przyjaciółkami wybrała się do miasta.

Wolski skręcił w lewo, wjechał w Pomorską i raz po raz hamował. Dochodziło wpół do piątej. Na ulicach było coraz gęściej. Godziny szczytu w najgorszym wydaniu.

Milczeli przez chwilę.

– Zatrzymaj się przed wjazdem w Piotrkowską – poleciła Rudnicka.

Marcel objechał rondo na placu Wolności, szukając wolnego miejsca. Lena machnęła ręką i kazała mu stanąć.

– Tam nie można parkować – zauważył.

– Więc jeśli zaparkuje tam cywil, wlep mu mandat.

– Powinniśmy dawać obywatelom dobry przykład.

– Jezu – mruknęła.

Zaparkował przy wjeździe w Piotrkowską.

Wysiadł, wyciągnął paczkę westów i ruszył za Rudnicką. Komisarz, nie rozglądając się na boki, przecięła rondo z telefonem przy uchu. Zapalił papierosa i wciągnął dym w płuca. W służbowym stroju czuł się co najmniej dziwnie. Przechodnie patrzyli na niego podejrzliwie. Przyglądził dłonią służbowy T-shirt i spojrzał przed siebie.

Wystarczyła chwila nieuwagi i stracił Lenę z oczu. Obrócił się wokół własnej osi, wypuszczając dym. Nigdzie nie dostrzegł sylwetki komisarz. Obszedł pomnik Kościuszki. Na ławce siedziała grupa chłopaków. Pomimo upału zaciągnęli na głowy kaptury. Jeden z dresów splunął w stronę Wolskiego. Marcel wtoczył do płuc kolejną porcję dymu.

Służbowa koszulka z nadrukiem „POLICJA” paliła go w plecy, a serce biło coraz szybciej. Wyjął telefon, żeby zadzwonić do Leny. Z ulgą odnotował, że zdążyła wysłać mu wiadomość.

Dotarłszy na miejsce, Marcel uśmiechnął się przepraszająco, ale ona nawet na niego nie spojrzała. Skupiała się na rozmowie z Karoliną Wiśniewską. Filigranowa blondynka miała na sobie szorty, ledwo zakrywające pośladki, i bluzkę odsłaniającą pępek.

– Nie wiem, co mam pani powiedzieć. – Dziewczyna przysiadła na murku. Znajdowali się na skwerku pomiędzy dwiema kamienicami.

Na przystanku po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się tramwaj. Stary, czerwono-żółty wagon, którego drzwi zamykały się z taką mocą, że gdyby kogoś przytrzasnęły, raczej nie byłoby czego zbierać.

– Zobaczyłam ten film rano – mówiła Wiśniewska. – W nocy spałam, przecież nie miałam pojęcia, że wydarzy się coś takiego!

– Został skasowany, ale jest mnóstwo kopii – dodała druga z dziewcząt. – Na początku weszłam ze zwykłej ciekawości. Wszyscy pisali o tym filmiku, ale jak zobaczyłam, że jest na nim Diana, to... – Ukryła w dłoniach piegowatą twarz.

– Od razu zadzwoniłam do Diany – kontynuowała Karolina Wiśniewska. – To głupie, wiem. Przecież można się było spodziewać, że nie odbierze telefonu. Nie pomyślałam o tym. Sądziłam, że film to pomyłka, głupi żart. Potem zadzwoniłam do Axela, brata Diany. On już wiedział. Szybko się rozłączył, tłumacząc, że nie może rozmawiać, bo pakują się z matką i wracają do domu.

– Kiedy widziałyście się z Dianą po raz ostatni? – zapytała komisarz.

– W sobotę, około piętnastej poszłyśmy do Manufaktury na zakupy.

– A potem?

– Wróciłyśmy około osiemnastej, może wpół do siódmej. Potem już jej nie widziałam... A ty, Sandra?

Ruda uniosła głowę. Piegi obsypywały nie tylko twarz, ale również ramiona, które pocierała nerwowo dłońmi.

– Też jej nie widziałam – odparła. – Jak wróciłyśmy z Manu, pojechałam do domu. W niedzielę się nie spotykałyśmy, bo miałam imprezę rodzinną. Urodziny taty.

– Byłyście na zakupach we trójkę? Czy był z wami ktoś jeszcze?

Sandra Kobus dotknęła małej torebki przewieszanej przez ramię. Zapewne miała tam papierosy, pomyślała Rudnicka, i szukała czegoś, by zająć ręce. Typowy odruch palacza.

– Nie wylegitymuję cię – rzuciła Lena, znacząco spoglądając na torebkę.

Dziewczyna zawahała się i przeniosła wzrok na Marcela. Powinien zaoponować. W końcu dziewczyny miały dopiero po szesnaście lat, ale nie zrobił tego. Zrozumiał, czym kierowała się Lena. Chciała, by koleżanki Diany poczuły się przy nich swobodnie. Tylko wtedy wyciągną z nich więcej informacji. A po drugie, pomyślał Marcel, niczego by to nie zmieniło. I tak zapalą, tyle że trochę później.

Skinął więc głową, dając szesnastolatkom nieme przyzwolenie, żeby paliły papierosy w obecności stróżów prawa.

– Była z nami Roksana – wyjaśniła Sandra, zaciągając się ciekim elemem. Kliknęła kulkę w ustniku, by zmienić smak na miętowy, i wciągnęła kolejną porcję dymu.

– Roksana Antolak?

– Tak. Przyjaźnimy się.

– Ale Roksi poszła wcześniej – dodała Wiśniewska. – Musiała coś załatwić.

– Mówiła, co to za sprawa?

– Nie. Pytałyśmy, ale nie chciała powiedzieć.

– Roksi od jakiegoś czasu jest dziwna – skwitowała Sandra.

– Co to znaczy? – spytał Marcel, wyciągając z kieszeni paczkę westów. Poklepał się po kieszeni, szukając zapalniczki, ale dziewczyna podała mu swoją. Zapalił papierosa, a Rudnicka odsunęła się dwa kroki na bok, by nie wdychać nikotynowej chmury.

– Jest jakaś nieobecna – odparła Sandra, obracając w palcach ciężką, metalową zapalniczkę. Nie pasowała do jej drobnej postury i małych dłoni.

– Nieobecna to mało powiedziane – dodała Wiśniewska.

Ruda przyznała koleżance rację, kiwając głową.

– Wróćmy do Diany – poleciła Rudnicka. – Czy w sobotę, kiedy byliście na zakupach, wydawała się wam jakaś inna? Czy miała problemy, o których nie powiedziała rodzicom?

Dziewczyny sposepniały. Wiśniewska wstała i przeszła wzdłuż murku, obejmując się ramionami. Włosy tańczyły wokół jej twarzy, podrywane przez wiatr. Wieczór zapowiadał się na równie gorący jak w ostatnich dniach, ale podmuchy ciepłego wiatru stanowiły miłą odmianę od kilkudniowej duchoty.

– Wydawała się normalna – rzekła w końcu. – Nic nie wskazywało na to, żeby... Gdybyśmy wiedziały, że zamierza odebrać sobie życie, to... – Z oczu popłynęły łzy. Dziewczyna starła je ze złością.

– Karo, nie mów tak – zaoponowała Sandra i uniosła głowę, by spojrzeć na policjantów. – Diana przez ostatnie tygodnie była inna...

– Ale w sobotę była normalna!

– Normalna?! Nie sądzę. To nie była nasza Diana, dobrze o tym wiesz!

– Spokojnie. – Marcel uniosł dłonie.

– Coś się wydarzyło, ale nie chciała nam powiedzieć! – krzyczała ruda. – Nie możemy tego zataić!

– Co mamy zatajać, skoro nie wiemy, co się stało?

– Spokój! – odezwała się Rudnicka. Ostry ton sprowadził nastolatki na ziemię. Wiśniewska posłusznie usiadła na murku, drapiąc nerwowo przedramię. Na jej skórze pojawiły się czerwone placki.

– O co chodzi? – zapytała komisarz.

– Nie wiemy – odparła cicho Sandra. Wydeła usta. – Właśnie chodzi o to, że niczego nie wiemy. Ostatnio Diana zrobiła się jakaś nerwowa. Twierdziła, że niby wszystko jest w porządku, ale widziałam, że ma jakiś problem.

– Zachowywała się inaczej niż zwykle?

– Tak, na przykład po szkole zawsze szłyśmy razem na autobus, a ostatnio chodziła sama. Uciekała między budynki, nie wracała z nami.

– Czy ktoś po nią przyjeżdżał?

– Na początku nie chciała zdradzić, dokąd chodzi. Ale raz ją przyłapałyśmy, prawda? – Odwróciła się do Wiśniewskiej, która kiwnęła głową.

– Miała kogoś – zawyrokowała Wiśniewska.

A jednak. Na razie chłopak Diany był czystą kartką, ale wypełnienie jej pozostawało kwestią czasu. Ponadto zeznania dziewczyn pokrywały się ze słowami wychowawczyni Diany.

Należało to sprawdzić.

– Wiecie, jak się nazywał? – spytała Lena.

– Któregoś dnia przyłapałyśmy Dianę, jak wsiadała do czyjegoś samochodu. Podeszłyśmy bliżej, a ona się speszyła. Mówiła o nim Dzejdziej.

– Dzejdziej? A coś więcej?

– Nie wiemy nawet, jak miał na imię – dodała Sandra.

– Jak wyglądał?

– Był starszy, może niedużo, ale na pewno około dwudziestki. Wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt, i chudy. Miał takie długie ręce i ogromne dłonie.

– I włosy – dorzuciła Karolina Wiśniewska. – Czarne, do pasa.

– Długie włosy?

– Mhm, związane w kucyk. Wyglądał jak rockman, ale ubranie miał raczej zwyczajne, zwykłą koszulę w kratę, ciemne spodnie i trampki.

– Ale był brzydki – uznała Sandra, po czym odwróciła wzrok, jakby zdała sobie sprawę, że nie powinna tego mówić.

– Brzydki? – zapytała Rudnicka.

– Miał blizny na twarzy. Pod okiem i na policzku.

Rudnicka zmrużyła oczy, jakby potrzebowała chwili na przetworzenie informacji. Chłopak miał blizny, pomyślała, bardzo dobrze. To oznacza, że znalezienie Dzejdżeja nie powinno stanowić problemu.

– Rozmawialiście z Dianą o tym chłopaku? – podjął Marcel.

– Nie, to znaczy... – Wiśniewska się zawahała. – Próbowaliśmy, ale mówiła, że to zbyt świeże, żeby o tym mówić. Kłamała. Zawsze się sobie zwierzałyśmy, więc dlaczego teraz miała przed nami tajemnice? Może ten chłopak zabronił Dianie z nami rozmawiać?

– Czy kiedy spotkałyście Dianę przy samochodzie, wyglądała na zastraszoną?

– Bardziej na speszoną. Zawstydziała się, jakbyśmy ją na czymś przyłapały.

– Nie mówiła wam nic na temat tego chłopaka? – upewniła się Lena.

– Mówiła, że to dla niej coś ważnego. I że kiedyś o tym porozmawiamy, ale jeszcze nie teraz.

Lena nie miała doświadczenia z nastolatkami. Zresztą sama, będąc w wieku tych dziewczyn, nie miała wielu koleżanek. Nikomu nie zwierzała się ze swoich problemów. Ale wyglądało na to, że Diana Pulido była inna. Trzy przyjaciółki, z którymi dzieliła sekrety, były tego najlepszym potwierdzeniem. Dlaczego więc nie podzieliła się przemyśleniami na temat nowego chłopaka?

Ale przynajmniej jedna rzecz się wyjaśniła. Ostatnie dni w szkole Diana opuściła zapewne z powodu Dżejdzēja. Dla nastolatki związek ze starszym chłopakiem mógł być czymś wyjątkowym.

– Kojarzycie samochód, jakim przyjechał ten Dżejdzėj? – zapytała.

– Bmw – odparła Sandra. – Białe, ale nie znam modelu. Jakiś starszy typ chyba.

– Tak, starszy – potwierdziła Karolina.

Rudnicka podziękowała dziewczynom za rozmowę. Policjanci w milczeniu poszli w kierunku samochodu.

Gdy włączali się do ruchu, myśli Leny krążyły wokół tajemniczego chłopaka Diany. Jeśli dziewczyna nie zwierzała się przyjaciółkom, istniała nadzieja, że to właśnie on przybliży policjantom, co w ostatnim czasie działo się w życiu Diany Pulido.

Muszą jak najszybciej odnaleźć tego Dżejdzēja.

7

Na podjeździe domu w Mileszkach stały dwa niedbale zaparkowane samochody. W poprzek, ze skreconymi kołami. Policyjni technicy są osobami raczej dbającymi o szczegóły i porządek, jednak w tym przypadku ich niedbałość miała uzasadnienie.

Wszyscy priorytetowo traktowali sprawę Diany Pulido.

Po szczegółowych oględzinach przekonali się, że dom państwa Pulido przypominał twierdzę. Solidna brama, antywłamaniowe drzwi i rolety w oknach oraz zaawansowany system alarmowy. Po krótkiej naradzie policjanci doszli do dwóch wniosków: jeśli ktoś wyniósł z domu ciało Diany, musiał znać kody do wszystkich zabezpieczeń. Druga możliwość – Diana sama wyłączyła alarm albo w ogóle go nie włączyła. Ale dlaczego nastolatka, przebywająca sama w domu, miałaby dezaktywować alarm? Powiesiła się w niedzielę o trzeciej w nocy. Według technik policyjnej Luizy Krajewskiej, która rozmawiała z Hanną Pulido, alarm włączał się automatycznie o dwudziestej drugiej – przechodził w tryb czuwania, rano zaś wymagał ręcznego wyłączenia. Więc jeśli intruz znał kod, miał około piętnastu sekund, żeby go rozbroić, aby system nie wykrył niepożądanego ruchu.

Marcel obserwował Lenę, która z zaciętą miną krążyła po salonie. Przez chwilę miał ochotę ją zapytać, o czym myśli. Nie odważył się. Wiedział, że ona nie dzieli się swoimi teoriami, dopóki nie pozna wszystkich faktów. A tych mieli zbyt mało.

Liz weszła do salonu. Na widok Marcela ściągnęła brwi.

– Wy znowu razem? – spytała.

– Chwilowo – burknęła Rudnicka. – Znalazłaś coś?

– Nie mam dobrych wieści.

– Jakoś mnie to nie dziwi. – Komisarz skrzyżowała ramiona.

– Chłopaki sprawdzili teren wokół domu. Żadnych śladów. Ani pod oknami, ani przy wejściu na taras. Nic podejrzanego.

– Czyli ktoś wyniósł ciało Diany, wychodząc drzwiami? – dopytał Marcel.

Rudnicka westchnęła przeciągle.

– Brawo, detektywie – zakpiła.

– Dokładnie tak – potwierdziła Liz. – Przy bramie garażowej również nic nie znaleźliśmy. Podobnie przy oknach. Sprawdziliśmy, czy są jakieś odciski palców, ale poza tymi należącymi do domowników jest czysto.

Ile może ważyć nastolatek? Z pewnością niewiele. Może czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt kilogramów. Diana była drobnej postury, ale mimo to, by wynieść ciało przez okno, sprawca potrzebowałby do pomocy jeszcze jednej osoby. Chyba że rzucił ciało na ziemię, wyskoczył oknem, a potem przeniósł w inne miejsce, ale ta teza wydawała się mało prawdopodobna. Gdyby ktoś wyrzucił ciało przez okno, technicy z pewnością znaleźliby jakieś ślady.

– To dobrze – skwitowała Rudnicka. – Przynajmniej wiemy, jak sprawca dostał się do domu.

– Nie do końca. – Liz uśmiechnęła się bez cienia wesołości. – Musiałam zasięgnąć informacji o zabezpieczeniach alarmowych. Rozmawiałam z Hanną Pulido, matką Diany. – Zrobiła pauzę. – Kody do systemu znali tylko domownicy.

Rudnicka przewróciła oczami.

– Chyba nie sugerujesz, że rodzina przyjechała z nad morza, wyniosła ciało córki, a potem zgłosiła, że nigdzie nie może go znaleźć?

– Nie – odparła Liz. – Sugeruję, że ktoś, kto wyniósł ciało Diany, znał kod alarmu.

– Może Diana albo ktoś inny z domowników podał komuś ten kod – wtrącił Marcel. – Znajomym, rodzeństwu, babci?

– Rodzina twierdzi, że nikomu ich nie podawała – uściśliła Liz.

– To, że tak twierdzą, nie oznacza, że tak właśnie jest – zauważyła Rudnicka. – Ludzie kłamią w głębszych sprawach.

– W każdym razie – Liz rozłożyła ręce – sprawdziliśmy system alarmowy. Został dezaktywowany kilka minut przed północą. Ktoś go wyłączył.

– Co to znaczy? – zapytał Marcel. O systemach alarmowych miał raczej nikłe pojęcie. Rudnicka zerknęła na Wolskiego znudzonym wzrokiem.

– To dość prosty alarm – wyjaśniła Liz. – Są zamontowane czujniki ruchu, które mają za zadanie wykryć niepożądanych gości, puszką z sygnałem dźwiękowym, system nawigacyjny przy drzwiach i tak dalej. Kiedy domownicy przebywają w domu, system jest rozbrojony, a kiedy wychodzą, uruchamiają alarm, który przechodzi w stan czuwania i wykrywa intruzów. Wtedy alarm jest uzbrojony i domownik ma piętnaście sekund, żeby opuścić dom. Gdy wraca, ma tyle samo czasu, żeby wyłączyć system.

– Wszyscy o tym wiemy, Liz.

Technik spojrzała na Lenę.

– Alarm załączał się sam o dwudziestej drugiej, ale nie uruchamiał czujników w domu – kontynuowała. – Aktywował tylko czujniki przy oknach, drzwiach i wokół budynku.

– Ale ktoś wyłączył czujniki przy domu około północy? – upewnił się Marcel.

– Tak, ale żeby to zrobić, musiał wejść do budynku. Panel jest przy drzwiach. – Liz wskazała korytarz.

– Albo być już w środku – dodała Lena.

– Albo być w środku.

– Okej, a co z domem? Jakies ślady?

– I tu się robi coraz ciekawiej... Sprawdziliśmy pokój Diany. Został wyczyszczony.

– Słucham? – Wolski uniósł brwi, pocierając zabandażowany nadgarstek.

– Wyczyszczony środkami chemicznymi. W łazience jest sporo chemikaliów i ktoś ich użył do wyszorowania podłogi. Od korytarza aż po pokój Diany. W innych pomieszczeniach nie ma śladów po tych środkach, są tylko na tym odcinku. – Uniosła palec i w powietrzu pokazała nieduży odcinek między drzwiami wejściowymi a pokojem dziewczyny. Z wiatrołapu wchodziło się na krótki korytarz, na wprost którego znajdował się salon, a po lewej rząd drzwi do pokoi domowników. Drzwi pokoju Diany były ostatnie. – U niej odnaleźliśmy największe stężenie środków czyszczących – dodała Liz. – Ktoś mocno się postarał, żeby zatrzeć ślady swojej obecności.

– Odciski? – zapytała Lena.

– Starte. Biurko, rama łóżka, szafki. Wszystko umazane w płynie do naczyń.

– Nie ma nic?

– Nic.

– Kurwa mać.

– To fascynujące – rzekła technik. – Jeszcze się nie spotkałam z czymś takim. Nawet gdy ludzie próbują zmyć po sobie ślady, zawsze coś zostaje, a tutaj wszystko wygląda tak, jakby przyjechała profesjonalna firma sprzątająca.

– Nie pocieszasz.

– Nie znaleźliśmy telefonu Diany – dodała technik. – Ale chłopaki postarają się go namierzyć.

- A komputer?
- Zabrali na komendę, ale nie zdążyli go jeszcze sprawdzić.
- Na co czekają?
- Są zawałeni pracą.
- Jak wszyscy.
- Jeśli coś znajdą, kazałam im zadzwonić do ciebie.

Pieprzone wakacje, pomyślała Rudnicka. Gdyby nie to, że na komendzie były braki kadrowe, wszystko przebiegałoby znacznie sprawniej.

- Gdzie jest moja córka?! Znaleźliście ją?!

Drzwi trzasnęły. Policjanci obrócili się w stronę korytarza. Hanna Pulido uniosła dłonie ku górze. Marcel mimowolnie się cofnął, wpadając na Rudnicką. Komisarz odepchnęła go ze wstrętem.

- Pani Pulido – zaczął Wolski.

Kobieta miała oczy spuchnięte od płaczu.

- Znaleźliście Dianę? – spytała ochryplym głosem.

- Proszę usiąść – poleciła Lena.

- Usiąść? Muszę szukać mojej córki!

– Pani Pulido, proszę usiąść – powtórzyła z naciskiem. Kobieta się zawahała. Ostatecznie zajęła miejsce na kanapie. Palcami skubała materiał spodni.

- Gdzie moja córka? – spytała już nieco spokojniej.

- Staramy się to ustalić.

- Staracie się? Minął cały dzień, a Diany wciąż nie ma! – Ukryła twarz w dłoniach.

– Proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, co w naszej mocy... – zaczął Marcel, lecz Hanna nie pozwoliła mu dokończyć zdania.

- Nic nie robicie! Moja córka w ogóle was nie obchodzi!

Rudnicka odchyliła głowę do tyłu. Miała dość.

- Diana miała chłopaka – rzekła.

– Słucham? – Hanna otworzyła szerzej oczy. – To jakiś żart? – Zaśmiała się. – Diana nie miała chłopaka. Skupiała się na nauce i przyszłości.

- Chyba nie miała pani zbyt dobrego kontaktu z córką, co?

- Słucham? Jak pani śmie?

- Dziejdziej, czy Diana wspomniała kiedyś tę ksywkę?

- Dziejdziej, kto to jest?!

- Wspomniała czy nie?

- Oczywiście, że nie! Nie wiem, o czym mówicie!

Hanna zerknęła błagalnie na Marcela.

– Rozmawialiśmy z wychowawczynią Diany – ciągnęła Rudnicka. – Twierdzi, że pani córka opuściła się w nauce, dostała jedynkę. Ponadto opuściła kilka dni w szkole.

- Jedynkę? Nic o tym nie wiem.

Ciekawe.

– Ostatnie dni przed zakończeniem roku Diana spędziła w domu, to prawda? – Lena westchnęła.

– W domu? Jak to w domu? Przecież wychodziła rano do szkoły. Nic z tego nie rozumiem.

Rudnicka przywołała w pamięci rozmowę z nauczycielką. Wychowawczyni mówiła, że ojciec Diany wiedział o nieobecności córki. Najwyraźniej mąż nie podzielił się z Hanną tą informacją.

– Zresztą! – Kobieta machnęła ręką. – Jakie to ma znaczenie? Macie ją odnaleźć, a nie rozpytywać nauczycieli!

Komisarz nie była zaskoczona słowami Hanny Pulido. Matka pragnęła jedynie wiedzieć, gdzie jest jej dziecko. Jednak by to zrobić, policjanci musieli skupić się na odtworzeniu ostatnich dni Diany. Dowiedzieć się, dlaczego nastolatka popełniła samobójstwo. I kto wyniósł zwłoki z domu.

Liczba samobójstw wśród nastolatków wciąż rośnie. Przyczyną targnięcia się na własne życie może być wszystko. Nastolatki są wrażliwe. Wystarczy błahostka. Najbliżsi często nie zauważają, że z dzieckiem dzieje się coś złego. Gdy zdadzą sobie z tego sprawę, często jest już za późno.

– Czy ktoś, oprócz domowników, znał PIN do systemu alarmowego? – zapytał Marcel.

– Oczywiście, że nie! – Hanna obróciła się do Wolskiego. – Ma mnie pan za idiotkę? Alarm jest po to, żeby nas chronić. Jaki sens miałyby udostępnianie kodów na prawo i lewo?

– Ktoś go wyłączył około północy.

Hanna Pulido wytrzeszczyła na niego oczy.

– To niemożliwe – odparła. – Byliśmy nad morzem, a w domu była tylko Diana. Ale ona nie wyłączyłaby alarmu.

– Skąd ten wniosek?

– Po co? Przecież alarm gwarantował jej bezpieczeństwo.

Rudnicka prychnęła. Naiwność ludzka nie zna granic. Żaden alarm nie gwarantuje stuprocentowego bezpieczeństwa.

– Co macie zamiar zrobić? – zapytała kobieta. – Jak chcecie odnaleźć moją córkę?

– Prosimy o cierpliwość... – rzekł Marcel. Pod naporem ciężkiego spojrzenia Hanny Pulido skulił się w sobie. Kobieta patrzyła na niego z wrogością. W jej oczach dostrzegł ból. Wolski ją rozumiał. Nie tylko straciła córkę, ale również możliwość jej pożegnania. Ten, kto zabrał ciało dziewczyny, powinien zostać ukarany. Marcel postanowił, że zrobi wszystko, by tak się stało.

– Ma pan dzieci? – zapytała Hanna.

– Nie.

– A pani? – Kobieta spojrzała na Lenę. Komisarz nie odpowiedziała. – Więc właśnie – westchnęła. – Nie macie pojęcia, co czuję. Nie macie pojęcia, co przeżywa matka, która nie wie, gdzie jest jej dziecko. – Otarła łzę spływającą po policzku. – Nie mogę czekać z założonymi rękami. Muszę działać.

To zabrzmiało niepokojąco. Marcel przełknął ślinę.

– Co ma pani na myśli? – zapytał, choć zarówno on, jak i Lena domyślali się odpowiedzi. Odpowiedzi, która z pewnością im się nie spodoba.

– Nagłośnię tę sprawę.

8

Karolina Wiśniewska grzebała stopą w piachu. Patrzyła na zachodzące słońce, które powoli zniknęło za horyzontem. Wieczór był ciepły. Przyjemny wiatr muskał twarz.

Wiśniewska spojrzała na koleżankę.

– Daj mi to. – Wyrwała z jej rąk plastikową butelkę po soku jabłkowym i upiła łyk. Wzdrygnęła się, gdy alkohol rozlał się po języku. – Mogłaś wlać więcej soku, bo za bardzo czuć wódkę.

– Mam to gdzieś – odburknęła Sandra Kobus.

– Nie będziesz miała, jak cię matka przyłapie.

– Moja matka też ma mnie gdzieś.

– No – bąknęła Karolina. – To tak jak moja.

– Dzisiaj poszła na nocną zmianę, więc mam luz.

– Zazdroszczę.

Na chwilę zapadło milczenie. Z oddali było słychać stłumione dźwięki przejeżdżających samochodów. Park powoli pustoszał. Matki zbierały dzieci z placu zabaw. Pocięchy nie odpuszczały bez walki. Wsadzanie do wózka komentowały histerycznym płaczem. Wyciągały rączki w stronę kolorowych zjeżdżalni. Jeszcze kilka minut temu sunęły po nich z uśmiechem na buzi, a teraz matki transportowały je do domu. Nie podobało im się to, ale jak ma się raptem trzy lata, niewiele można zrobić.

Nieopodal spacerował wysoki chłopak ze złotym goldenem retrieverem. Lśniaca sierść, puszysty ogon. Pies postawił uszy. Wetknął nos do jednego z wózków. Przestraszona matka błyskawicznie cofnęła pojazd, ale widok czarnego nosa rozbawił płaczącą pocięchę. Bobas zarechotał.

– Niepotrzebnie powiedziałyśmy o tym Dzejdzęju – odezwała się Karolina.

– Niby dlaczego? – spytała Sandra, pociągając łyk z butelki. Skrzywiła się.

– Diana nie chciała, żeby ktoś o nim wiedział, więc po co gadałaś o tym policji?

– Sama gadałaś!

– Ale ty zaczęłaś!

– Diana nie żyje. Jakie to ma znaczenie?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Niby żadne – mruknęła. – Ale tajemnica to tajemnica, a ciebie wystarczy dobrze podejść, a wypapłasz wszystko.

– Diana nie żyje – powtórzyła Sandra, jakby nie wierzyła we własne słowa. – Myślisz, że to ma związek z tym facetem?

– Masz wątpliwości? To przecież jasne.

– No nie wiem. Może powinniśmy powiedzieć o tym policji?

– Zwariowałaś? – Karolina wstała gwałtownie, poszperała w torbie i wyciągnęła paczkę cienkich elemów. Rozejrzała się wokół, wypatrując straży miejskiej, po czym zapaliła papierosa. Nie była wprawną palaczką, bo zaraz się rozkasłała, zakrywając dłonią usta i cisnęła niedopałek, zagłębiając go w piachu. – Życie ci niemiłe? – spytała z wyrzutem.

– A jeśli to jego wina?

– Głupia jesteś, Sandra. Naprawdę głupia. Powinnaś wiedzieć, że tacy ludzie są niebezpieczni.

– Nie wiemy nawet, czy to prawda.

– Ja nie chcę wiedzieć. To nie moja sprawa.

Sandra zastanowiła się nad słowami przyjaciółki. Karolina miała rację. Czasem lepiej zachować niektóre rzeczy dla siebie.

9

Emilio Pulido przyjechał do Polski dwadzieścia pięć lat temu. Jego matka nazywała się Marianna Stasiak i pochodziła z robotniczej łódzkiej rodziny. Za czasów jej młodości w Polsce nie działało się dobrze, a Marianna dostała od losu szansę, by wyjechać za granicę. Stara ciotka mieszkająca w Hiszpanii zgodziła się przyjąć ją do siebie.

Tak oto zwykła dziewczyna z Bałut dorastała w słonecznej Katalonii, gdzie poznała swojego przyszłego męża, Vasca Pulido.

Był od niej starszy o pięć lat, ale wyglądał co najmniej dekadę młodziej. Był wysokim mężczyzną o ciemnej karnacji, prostym, rzymskim nosie i ogromnych orzechowych oczach. Szarmancki i zawsze dobrze ubrany, świadomy swojej urody. Babcia od strony ojca wspominała, że młody Vas przebierał w dziewczynach jak w ulęgałkach. Dopiero gdy spotkał na swej drodze Mariannę, naprawdę się zakochał.

Marianna również kochała męża. Kiedy zachorował, dbała o niego i opiekowała się nim najlepiej, jak umiała. Do ostatniej chwili żywiła nadzieję, że Bóg wysłucha jej próśb i Vasco wydobrzeje.

Tak się nie stało. Wraz ze śmiercią głowy rodziny pojawiły się długi i piętrzące się problemy. Wtedy Marianna postanowiła wrócić do Polski. Odziedziczyła mieszkanie po rodzicach i zdecydowała, że właśnie w Łodzi ułoży sobie życie na nowo.

Dwudziestoletni Emilio wraz ze swoją latynoską urodą nie miał w Polsce łatwo. Nauczył się ignorować rasistowskie przytyki i prześmiewcze komentarze na ulicach. Dzień w dzień szlifował język polski, by nie odstawać od reszty społeczeństwa. Do dziś, choć językiem polskim posługiwał się płynnie, nie wyzbył się południowego akcentu.

Emilio nie odziedziczył urody po ojcu. Był niski jak matka; na twarzy miał wielki kartoflowaty nos, przypominający rozkwaszone jabłko, a przez te wszystkie lata dorobił się sporej nadwagi, ale w ogóle mu to nie przeszkadzało. Miał piękną żonę, którą kochał, a ona kochała jego. Czasem zastanawiał się, co Hanna w nim widzi – piękna, wysoka blondynka o słowiańskiej urodzie. Gdy swoją wtedy jeszcze łamaną polszczyzną zaprosił ją na kawę, od razu się zgodziła. W tamtym momencie postanowił, że zrobi wszystko, by Hannie niczego nie brakowało. Pragnął, żeby była z nim szczęśliwa.

I udawało mu się realizować ten plan aż do dzisiejszego poranka, kiedy syn przyszedł z komórką w rękę i pokazał coś, czego żadne z nich nie chciało zobaczyć.

Diana, jego pierworodna córka, wisiała na żyrandolu w swoim pokoju. Jej szczupłe ciało bujało się, jakby była wypchaną lalką. W przód i w tył. Emilio był pewien, że ten makabryczny obraz będzie nosił pod powiekami już zawsze. Nigdy nie zdoła wymazać go z pamięci.

I nigdy nie zapomni bólu w oczach żony. Usiłował pocieszyć Hannę, ale nie odnajdywał odpowiednich słów. Sam także cierpiał. Był ojcem, który stracił dziecko. Emocje tłumił w sobie. Doszedł do wniosku, że teraz powinien być przede wszystkim wsparciem dla żony. Silnym ramieniem. Cierpiał więc w ciszy i samotności, choć miał ochotę krzyczeć. Był wściekły. Na siebie. Na Hannę. Na Axela. Diana popełniła samobójstwo, a żadne z nich nie zauważyło, że z dziewczyną dzieje się coś złego.

Może wystarczyłaby chwila rozmowy? Może właśnie tego Diana potrzebowała? Rozmowy z rodzicami? Oboje razem z Hanną zatracili się w pędzie życia. Wciąż brakowało czasu. „Później, córciu”. „Nie teraz, za chwilę”. „Poczekaj, aż skończę”.

Zapłakał gorzko i upił łyk tequili. Rzadko pił, ale teraz nie widział innego wyjścia. Potrzebował ukoić skołatane nerwy, a wysokoprocentowy alkohol idealnie się do tego nadawał.

– Będziemy tak siedzieć? – spytała Hanna. W głosie żony usłyszał wyrzut, jakby to on był winien śmierci córki.

– A co chcesz zrobić? – Pociągnął kolejny łyk. W żołądku poczuł przyjemne ciepło.

– Nie wiem! Cokolwiek!

– Chcesz szukać ciała naszej córki? Gdzie? Dokąd pojedziesz?

– Nie drwij ze mnie.

Hanna ze złością ściągnęła usta w cienką linię. Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy. Sami nic nie mogli zrobić. Nawet nie wiedzieli, gdzie szukać. Ale Hanna najwyraźniej była innego zdania.

– Oczywiście – warknęła. – Lepiej siedzieć w fotelu i żłopać tequilę. To najlepsze rozwiązanie, prawda?

– Hanno...

– Nie dociera do ciebie, co się stało?

– Hanno, proszę...

– Jak chcesz – ucięła. – Ja nie zamierzam czekać z założonymi rękami.

W głosie żony zabrzmiała groźba.

– Co chcesz zrobić? – Emilio odstawił szklanę.

– Zadzwonię do tego dziennikarza.

Emilio pokręcił głową. Sięgnął po szklanę. Przez chwilę obracał ją w dłoniach. Wolał nie mieszać do sprawy dziennikarzy. Uważał, że powinni dać czas policji. Policja wie, co robić. Wierzył, że uda im się odnaleźć ciało Diany. Gdy wygłosił swoją opinię na głos, Hanna poderwała się z krzesła.

– Nie obchodzi mnie to! – krzyknęła. – Policja nic nie robi. Nic, rozumiesz?

– Daj im działać. Policja jest od tego, żeby...

– Nie – przerwała. – Policja to policja. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Włącz telewizor, to zobaczysz, jacy są nieudolni! Musimy działać sami. Już postanowiłam, dzwonię do tego reportera. To dziennikarz śledczy, więc zna się na swojej robocie. Może on odnajdzie naszą Dianę.

Emilio nie protestował, kiedy wybrała numer i wyszła do sąsiedniego pokoju. Słyszał, jak umawia się z dziennikarzem na spotkanie. Choć nie popierał jej pomysłu, uznał, że żona musi mieć poczucie, iż zrobiła wszystko, co mogła w sprawie córki. A może ten dziennikarz wcale nie jest takim złym wyborem? Każda para rąk, które może pomóc w odnalezieniu Diany, jest przydatna.

Zadumał się, zapadając głębiej w fotel.

10

Lena Rudnicka wyszła spod prysznic, natarła ciało balsamem i wciągnęła krótkie szorty. Przeszła do kuchni, zajrzała do lodówki, ale w środku znalazła tylko puszkę zimnej pepsi. Pociągnęła zawleczkę, usiadła na kanapie i aktywowała ekran telefonu.

Zignorowała wiadomości od męża i uruchomiła filmik Diany Pulido. Obejrzała go trzykrotnie, zastanawiając się, co takiego gnębiło szesnastolatkę, że zdecydowała się odebrać sobie życie.

Czy zrobiła to pod wpływem impulsu? Czy może dojrzewała do decyzji wiele tygodni? Dlaczego powiesiła się akurat w niedzielę? Dlaczego nie w sobotę albo w piątek? Jeśli zamierzała zabić się pod nieobecność rodziców, chyba zrobiłaby to właśnie w piątek, kiedy rodzina wyjechała nad morze. Dlaczego czekała dwa dni? Coś musiało się wydarzyć. Co? Lena postanowiła, że jak najprędzej znajdzie odpowiedź na to pytanie.

Bateria zamrugała na czerwono, sygnalizując, że pozostało dziesięć procent do całkowitego rozładowania. Lena przeszła do sypialni, wygrzebała z nocnej szafki ładowarkę i zawróciła do salonu. Idąc szerokim korytarzem loftu, poczuła woń roztopionego sera.

W mieszkaniu była sama. Lodówka świeciła pustkami. Skąd więc zapach sera? Planowali z Krzysztofem tygodniowe wakacje, więc nie robili żadnych zakupów. Powinna uzupełnić zapasy, ale kiedy wracała do domu, nawet o tym nie pomyślała. To Krzysztof zajmował się zaopatrywaniem lodówki, a teraz siedział w sopockim hotelu, więc...

Uniosła głowę i stanęła w pół kroku.

– Do cholery, co ty tu robisz? – warknęła.

Marcel uniósł pudełko z pizzą i pomachał foliową torebką. Butelki z piwem zastukały, obijając się o siebie.

– Powinnaś zamykać drzwi – rzekł.

– Zabieraj się stąd.

– Jesteś policjantką, powinnaś mieć świadomość, że niezamykanie drzwi jest najczęstszą przyczyną kradzieży.

– Co ty sobie, Wolski, wyobrażasz?

– Przecież twojego męża nie ma, więc pomyślałem, że...

Kilka sekund zajęło Marcelowi uświadomienie sobie, jak zabrzmiały jego słowa. Nie miał jednak nic zdrożnego na myśli. Nie chciał spędzać samotnie wieczoru w kawalerce, więc wpadł na pomysł, by odwiedzić Lenę. Był przekonany, że o tej porze nie będzie spała.

– Czyli mam spadać? – spytał.

Rudnicka zerknęła na pizzę.

– Zostań – odburknęła. – Skoro już jesteś.

Postawił karton na wyspie kuchennej i odchylił wieko, a Lena zgarnęła butelkę piwa i rozsiadła się na kanapie.

– Obsłuż się sam – powiedziała.

Sprawdził szafki w poszukiwaniu talerzy. Wyjął dwa, nałożył po kawałku pizzy i otworzył piwo.

– Gdzie masz kosz? – zapytał, obracając w palcach kapsel.

– Tam, gdzie wszyscy Polacy.

Otworzył drzwiczki pod zlewem, wyrzucił kapsel i usiadł obok Leny, podając jej talerz.

– Nie wiedziałem, jaką lubisz, więc wziąłem z salami.

– Może być.

– Przepraszam, masz rację, powinienem najpierw zadzwonić i zapytać, czy masz ochotę na towarzystwo, ale sądziłem, że nie odbierzesz ode mnie telefonu. Albo mnie spławisz.

– Słusznie sądziłeś.

– Wybacz, jeśli nie masz ochoty na towarzystwo, to sobie pójdę.

Lena zdała sobie sprawę, że wcale nie chce, żeby wyszedł. Zaniepokoiła ją ta myśl, gdyż nie należała do towarzyskich osób. Lubiła samotność, jednak teraz coś się zmieniło.

– Wyrzucę cię, jeśli nie przestaniesz – mruknęła.

– Przepraszam, po prostu...

Rudnicka uniosła dłoń, po czym ugryzła kawałek pizzy i popiła chłodnym lagerem. Odstawiła talerz na stolik i usiadła po turecku.

– Musisz to zobaczyć – powiedziała.

– Co?

– Ten film.

– Nie chcę go oglądać.

– Musisz. Chcę ci coś pokazać.

– Naprawdę wolałbym nie...

– Nie zachowuj się jak dziecko.

Marcel pokręcił głową. Nie miał ochoty na oglądanie filmu, w którym ktoś odbiera sobie życie. Ale nie miał też wyboru. Wiedział, że jeśli chce zająć się tą sprawą, musi obejrzeć nagranie. Zresztą Rudnicka już zdecydowała za niego, podtykając mu telefon pod nos. Kabel ładowarki, pod którą podpięty był telefon, okazał się zbyt krótki, więc Wolski przysunął się bliżej Leny.

– I co o tym myślisz? – zapytała po chwili, gdy ekran zasnuł się czernią.

– Sam nie wiem...

– Niczego nie zauważyłeś?

– A powinienem?

– Cholera, to obejrzyj jeszcze raz.

– Wolałbym nie...

– Oglądaj.

Dziewczyna wyglądała na szczęśliwą. Była bardzo ładna. Czarne, długie włosy, hiszpańska uroda i szczupła sylwetka sprawiały wrażenie, jakby oglądali nastoletnią modelkę, a nie zwykłą gimnazjalistkę.

Życie nie kończy się śmiercią.

Życie jest drogą.

Postanowiłam odejść.

Straciłam nadzieję.

Tak będzie lepiej. Tylko wtedy będę szczęśliwa.

Chcę umrzeć.

W pomieszczeniu było bardzo jasno, jakby ktoś specjalnie użył białych jarzeniówek.

Ludzkość jest drzewem, a ludzie są liśćmi. Drzewo trwa i rośnie, chociaż liście opadają.

Diana Pulido weszła na krzeselko, sprawdziła splot niczym zawodowa żeglarka i założyła na szyję pętlę. Pomachała do widzów, uśmiechając się figlarnie, jakby chciała powiedzieć: „nie martwcie się, spotkamy się po drugiej stronie”.

I kopnęła krzeselko.

Potem do uszu Marcela doszedł przeraźliwy charkot nastolatki oddającej ostatnie tchnienie.

– Zabierz to – powiedział. – Nie chcę tego oglądać.

– Weź się w garść, Wolski.

– To dla mnie chyba za dużo.

– Zamiast trząść portkami, powinieneś się skupić.

– Ciebie to nie rusza, prawda?

– To nie ma znaczenia...

– Tak myślałem – wszedł jej w słowo i pociągnął długi łyk piwa, opróżniając butelkę do połowy. Sapnął głośno, wsunął butelkę między uda i opadł na oparcie.

– Moje odczucia nie mają tu znaczenia. Musimy skupić się na odnalezieniu ciała dziewczyny. Tylko o nią tutaj chodzi. Widziałeś, co zrobiła?

– Powiesiła się.

– Nie o tym mówię.

– A o czym?

– W jaki sposób to zrobiła. Fascynujące.

– Nie widzę w tym nic fascynującego.

Marcel był pewien, że czeka go kilka nocy wypełnionych koszmarami.

– Spójrz – powiedziała Lena, przysuwając się bliżej. Ich twarze dzieliły centymetry. Wolski poczuł zapach jej perfum zmieszanych z kokosowym szamponem do włosów. Włączyła nagranie i czekała w milczeniu, aż dobiegnie końca. – Widzisz? – Spojrzała na niego pytająco, ale Marcel wciąż nie miał pojęcia, co powinien zobaczyć.

– Niczego nie zauważyłem.

– Tapeta. – Odsunęła się poirytowana.

Wyjął z jej rąk telefon i zmusił się do obejrzenia nagrania jeszcze raz.

– Na ścianie pokoju Diany nie było tapety – zauważył.

– Bystrzacha z ciebie – mruknęła.

– Pytanie, skąd się wzięła i dlaczego Diana ją nakleiła?

– Mnie bardziej interesuje, kto ją odkleił. Skoro Diana powiesiła się na lampie na tle tej tapety, śmiem przypuszczać, że sama sobie życia nie odebrała.

– Ale po co ktoś miałby naklejać tapetę? – zdziwił się Wolski i pociągnął łyk piwa, a potem sięgnął po następne.

– Zaraz odpowiem ci na to pytanie.

Rudnicka włączyła film ponownie. Obserwowali dziewczynę stojącą pośrodku pokoju. Zdawało się, że tryska humorem, ale w jej oczach Marcel dostrzegł ból. I strach. Była jak aktorka, która odgrywa wyuczoną rolę.

Ludzkość jest drzewem, a ludzie są liśćmi. Drzewo trwa i rośnie, chociaż liście opadają.

Ten uśmiech, sprawdzenie splotu sznura, machanie do widzów. Wolski powoli zaczynał rozumieć, co Rudnicka miała na myśli.

– Zaplanowała własne samobójstwo? – zapytał z wahaniem.

– To raczej logiczne. Musiała wszystko zaplanować, jakby reżyserowała jakieś cholerne przedstawienie. Przemyślała każdy szczegół: tapetę na ścianie, światło, przemowę. Gdyby chodziło tylko o to, żeby się zabić, po prostu wzięłaby sznur, zawiązała pętlę i się powiesiła, ale ona zrobiła ze swojej śmierci widowisko w internecie. Może była stuknięta.

Skrzywił się na te słowa.

– Jest jeszcze jedna sprawa – ciągnęła Lena. – Ktoś musiał wyłączyć nagranie, prawda?

– Faktycznie. Nie pomyślałem o tym.

Parsknęła, jakby nie spodziewała się po nim niczego innego.

– Ktoś wyłączył nagranie, wyniósł ciało Diany i wyczyścił pokój – powiedziała. – Masz jakiś pomysł, po co?

– Poczekaj. – Wstał, wyjął z kieszeni paczkę westów, ale się zmytygował. Spojrzał pytająco na Lenę, ale tylko machnęła ręką.

– Otwórz okno – mruknęła.

Zapalił i rzucił paczkę na stolik. Rudnicka także wyjęła papierosa i z wahaniem rolowała go w palcach.

– Powinniśmy wszystko uporządkować – odezwał się.

– Śmiało.

– Diana powiesiła się o trzeciej w nocy z niedzieli na poniedziałek. Ktoś wyłączył w domu alarm lub zrobiła to ona sama. Przygotowała wszystko, żeby internauci mogli zobaczyć, jak odbiera sobie życie i...

– Zwróć uwagę na to, co powiedziała.

– *Ludzkość jest drzewem, a ludzie są liśćmi. Drzewo trwa i rośnie, chociaż liście opadają.*

– To cytat z Jerzego Drobnika, dziennikarza z lat trzydziestych związanego z endecją.

– Skąd wiesz?

Rudnicka wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa.

– Wcześniej Diana powiedziała, że postanowiła odejść, że straciła nadzieję – kontynuował.

– Napisała to wcześniej.

– Co?

– Przemówienie czy jak to nazwać.

Marcel zgodził się z Leną. Rzeczywiście wyglądało na to, że Diana dobrze przygotowała się do zagranej roli.

– Sądzisz, że decyzję o samobójstwie podjęła samodzielnie? – zapytał.

– Masz na myśli to, że osoba stojąca za kamerą mogła zmusić ją do założenia sobie pętli na szyję?

– Na przykład.
– O ile w ogóle ktoś tam stał.
– Sądziłem, że to logiczne. Ktoś musiał wyłączyć nagranie.
– Może tak, a może nie. Nie mamy potwierdzenia, że człowiek, który wyniósł z domu jej zwłoki, był w domu, gdy odebrała sobie życie.

– Przyszedł później?
– Nie wiem. Nie możemy niczego zakładać, jeśli nie mamy żadnego dowodu. Ba! Nie mamy nawet poszlaki wskazującej, że ktoś stał za kamerą.

– Ale możemy tak założyć. W końcu ktoś wyłączył nagranie.

– Nie wysnuwałabym zbyt pochopnych wniosków.

Wolski zaciągnął się i powoli wypuścił dym.

– Ale możemy założyć, że przygotowywała się do popełnienia samobójstwa? – spytał.

– Zrobiła niezłe show.

– Może właśnie o to chodziło?

– Chciała zostać aktorką filmową, a została pośmiertną celebrytką. No nie wiem, czy akurat o takiej karierze marzyła.

Rudnicka upiła łyk piwa. Nie wzięła dzisiaj ani jednej tabletki przeciwbólowej, więc mogła pozwolić sobie na jedno, góra dwa piwa. Nagle się wyprostowała i odstawiła butelkę na stolik. Wolski dostrzegł błysk w jej oku.

– Liście – powiedziała.

– Co z nimi?

– Jeszcze nie wiem, ale musi chodzić o liście.

– Nie rozumiem.

– *Ludzkość jest drzewem, a ludzie są liśćmi.*

– To cytat, już mówiłaś.

– Cytat dotyczący liści i tapeta w liście. Cholera, to nie może być zbieg okoliczności.

– Liście? Co wspólnego ze śmiercią Diany mają liście?

– Nie wiem. Wystarczy, że mają znaczenie dla Diany i...

– I? Lena, nie nadążam.

Rudnicka spojrzała na niego.

– To wiadomość – powiedziała.

– Wiadomość?

– Mhm. Sprawdź w internecie symbolikę liści.

Wstała, podeszła do przeszklonej witryny i wyjęła porcelanową popielniczkę. Powróciła na kanapę i strząsnęła popiół.

– Krzysztof napisał dwie wiadomości. – Wolski obrócił komórkę w jej stronę.

– Nie kazałam ci sprawdzać tego w moim telefonie.

– Przepraszam. Był pod ręką.

Komórka Wolskiego leżała na kuchennej wyspie, ale było to słabe usprawiedliwienie.

– Nie odpiszesz mu? – zapytał.

– Sprawdziłeś symbolikę liści?

Marcel uśmiechnął się pod nosem. Głupie uczucie, pomyślał, ale w głębi duszy czuł satysfakcję. Lena zlekceważyła wiadomości od męża, a Marcelowi sprawiło to radość. Miał jednak świadomość, że Nawrocki za kilka dni wróci z urlopu i to on będzie spędzał wieczory z Leną Rudnicką.

– Liście są symbolem przemijania – przeczytał, scrollując stronę. – Nietrwałości i kruchości życia.

– Nie o to chodziło.

– Dlaczego? Pasuje. Przemijanie, kruchość życia...

– Nie, nie. Tu chodzi o coś innego.

Marcel odchylił głowę, wbijając wzrok w sufit.

– Może nadinterpretujesz to przesłanie? – spytał. – Może Diana potrzebowała tła, a cytat znalazła w internecie, spisała i postanowiła wygłosić.

– Wątpię. Dziewczyna miała artystyczną duszę. Przygotowywała się, więc każde słowo powinno mieć dla niej znaczenie. Spójrz. – Wolski zerknął na ekran i szybko odwrócił głowę. Nie miał ochoty oglądać tej makabrycznej sceny po raz kolejny. – Ubrała się elegancko w białą bluzkę i czarne spodnie, a jej włosy wyglądają, jakby właśnie wyszła od fryzjera. Zadbana o wygląd. Wiedziała, że to nagranie obiegnie całą Polskę.

– Może masz rację...

– Co z tego, skoro w tej całej sprawie gównie wiemy?

Marcel sięgnął po kolejnego papierosa, zapalił go i popił łykiem piwa. Lena uczyniła dokładnie to samo, tylko w odwrotnej kolejności.

– Miałaś nie palić.

– Mhm. Najwidoczniej wywierasz na mnie zły wpływ.

– Musimy znaleźć chłopaka Diany.

– Sama na to wpadłam.

– Od czego zacząć? Ani matka, ani przyjaciółki nie mają pojęcia, kim on jest.

Rudnicka nie odpowiedziała. Wpatrywała się w ulatujący ku górze papierosowy dym. Znalezienie chłopaka było kwestią czasu. Oczywiście wszystko poszłoby szybciej, gdyby namierzyli telefon Diany. W środku z pewnością znaleźliby numer tego Dzejdzēja.

– Dlaczego mnie odtrąciłaś? – zapytał Marcel, przerywając ciszę.

– Że co?

– Po sprawie Chmielnego. Myślałem, że się zaprzyjaźniliśmy, ale ty potraktowałaś mnie jak powietrze. Zastanawiałem się, co zrobiłem nie tak, ale nie mogłem tego wyjaśnić, bo nie chciałaś ze mną rozmawiać.

– Rozwiązaliśmy sprawę, więc...

– Nie byłem ci już potrzebny?

Rudnicka wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Jeśli nie chcesz ze mną pracować, możesz odejść – powiedziała. – Nie trzymam cię na siłę.

– Ale dzisiaj do mnie przyszedłeś.

– Bo akurat byłeś pod ręką.

Marcel uśmiechnął się bez przekonania.

– Lubię z tobą pracować – rzekł. – I nie jestem tutaj na siłę.

Spojrzała na niego spode łba. Ze złością zdusiła papierosa w popielniczce i zapaliła kolejnego, zaciągnęła się i wypuściła dym.

– Wiem – odparła.

ROZDZIAŁ II

WTOREK, 26 CZERWCA

1

Paula, nie przy dziecku.

Paulina Milewska podparła się pod boki i zmierzyła męża wzrokiem. Cisnęła ścierkę na kuchenną szafkę i wyszła z kuchni.

– Tatuś zaraz wróci. – Tymon pocałował córkę w czoło i powlókł się za żoną. Paulina spojrzała na niego. W jej oczach dostrzegł pogardę. Poczul się, jakby ostrze noża przeszło mu serce.

– Nie będę z tobą rozmawiać – odburknęła. – Mam tego dość.

– Paula, proszę.

– Rozumiem, masz ważną pracę, ale nawet na urlopie myślisz o tym, żeby wrócić na komendę.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Przecież jesteśmy na wakacjach, jest miło i...

– Nie jest miło, Tymon.

– Nie?

– Sądzisz, że tego nie widzę?

– Niby czego?

– Kiedy tylko dowiedziałeś się o śmierci tej nastolatki, myślisz tylko o tym. – Wetknęła mu palec w pierś. – Wiem, że najchętniej spakowałbyś walizkę i wrócił do Łodzi.

Paulina miała rację. Bardzo chciał wrócić do Łodzi, chociaż żonie nigdy by się do tego nie przyznał. Dowiedziawszy się o zagadkowej sprawie, jaką dostała Lena Rudnicka, nie mógł myśleć o niczym innym. Pragnienie dołączenia do śledztwa było silniejsze od niego.

Zresztą Paulina i tak by tego nie zrozumiała. Tymon marzył o urlopie z rodziną, ale kiedy już udało im się wyjechać, czuł się zagubiony. Nie potrafił odpoczywać i cieszyć się z kilku wolnych dni. Wszystkie jego myśli krążyły wokół spraw, które zostawił na komendzie. Stał się nerwowy. Zwykle błahostki wprawiały go w rozdrażnienie, a żona w niczym mu nie pomagała. Ona też się zmieniła. Nie była już tą samą dziewczyną, w której się zakochał.

– Chcesz, to jedź – odezwała się. – My z Karolinką zostaniemy. Zostały mi jeszcze trzy dni urlopu i ani mi się śni wracać do domu.

Tymon zerknął w stronę okna. Góry o tej porze roku wyglądały przepięknie, ale pobyt w Zakopanem był udręką. Zatłoczone ulice, tłumy na drodze do Morskiego Oka. Nawet na pozornie mniej uczęszczanych szlakach swobodne poruszanie się graniczyło z cudem.

– Pod jednym warunkiem – zastrzegła. – Jeżeli chcesz wracać, pojedziesz pociągiem. Zostawisz nam samochód.

– Chyba żartujesz.

– Jestem z dzieckiem i dwoma walizkami. Chyba lepiej, żebyś to ty wrócił pociągiem, prawda?

Była smutna i rozżalona, a Tymon poczuł się jak ostatni dureń. Paulina miała nadzieję, że wspólne wakacje coś zmienią w ich związku. Marzyli o nich cały rok, a kiedy w końcu udało się wyjechać, okazały się jednym wielkim nieporozumieniem.

– Przyjadę po was – zaproponował.

– Nie ma takiej potrzeby. Zresztą, benzyna kosztuje, a ty milionów nie zarabiasz, żebyś...

– Ach, no tak. – Zaśmiał się. – O to chodzi.

– Nie miałam na myśli nic złego...

– Paulina, co my robimy?

Na chwilę zapadła cisza, jakby oboje potrzebowali kilku sekund, by zastanowić się nad odpowiedzią. Ich związek się sypał. Wspólnymi siłami powoli doprowadzali do jego rozpadu. Pracowali za dużo, oddalili się od siebie, każde z nich miało inne oczekiwania od życia. Przestali się uzupełniać i mijali się bez słowa.

– Będzie lepiej, jeśli wyjedziesz – powiedziała Paulina. – Przynajmniej nie zepsujesz nam drugiej połowy wakacji.

– Uważasz, że psuję wam wakacje?

Wzruszyła ramionami.

– Trzeba było tak mówić od razu. W ogóle nie musiałem tu przyjeżdżać.

Odwróciła się do niego. Jej twarz pozostawała obojętna.

– Oczekuję od życia czegoś więcej – rzekła.

– Czegoś więcej? – Rozłożył bezradnie ramiona. – Ale czego? Co mam jeszcze zrobić, żebyś była szczęśliwa? Mamy dom, cudowną córkę, co mógłbym ci jeszcze dać?

Złapał się za głowę, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. Spędzili razem kawał życia i do tej pory myślał, że dla niej najważniejsza jest rodzina, ale się mylił. Nie poznawał kobiety, którą poślubił.

– Ciebie, Tymon. Chcę ciebie. Chcę dawnego Tymona, a nie człowieka, który nawet nie potrafi spędzić ze mną kilku wolnych dni.

Tymon cofnął się o krok. W jej głosie słyszał ból i rozczarowanie. Poczuł się, jakby wylała mu na głowę kubek zimnej wody.

Wyszedł.

2

Roksana Antolak, jedna z przyjaciółek Diany, mieszkała zaledwie kilka ulic dalej od domu państwa Pulido. Z zewnątrz domek był raczej skromny. Wyglądał na niedokończony, jakby właścicielom zabrakło pieniędzy na tynkowanie albo wymianę zardzewiałych rynien. Albo chęci. Pomimo rzędów kwiatów rosnących wzdłuż podjazdu teren wokół domu był zaniedbany. Wokół zalegały stopy gałęzi, skrzynki z żelastwem, stara przyczepa po brzegi wypełniona złomem.

Rudnicka załomotała w drzwi. Zdawało się, że wewnątrz ktoś krzyknął. Potem nastała cisza. Lena spojrzała na Marcela, odruchowo kładąc dłoń na glocku. Zapukała raz jeszcze.

Drzwi uchylił postawny mężczyzna. Siwe włosy, druciane okulary na nosie, surowy wyraz twarzy. Marcel przełknął ślinę. Przeczynał, że dzisiejszy poranek nie będzie należał do najprzyjemniejszych. Zdawało się, że mężczyzna nie jest zachwycony niezapowiedzianą wizytą.

– Czego? – warknął. Wolski wyczuł woń alkoholu. Zegarek wskazywał kilka minut przed dziewiątą, ale najwyraźniej dla gospodarza wczesna pora nie stanowiła przeszkody.

– Sierżant Wolski – poinformował Marcel. – To jest komisarz...

– W jakiej sprawie?

– Pan jest ojcem Roksany Antolak? – zapytał Wolski, wychodząc nieco naprzód. Na wszelki wypadek zasłonił Lenę barkiem.

– Jestem – odparł mężczyzna. Głos miał szorstki, ochryply od nadużywania alkoholu.

– Czy zastaliśmy córkę?

– W jakiej sprawie, pytam?

– W sprawie jej koleżanki, Diany Pulido.

– Przepraszam, o co chodzi? – W korytarzu zjawiała się pulchna kobieta ze ścierką w ręce. Na jej wydatnych biodrach wisiał kuchenny fartuszek w tulipany.

– Policja przyszła.

– Och!

– Chcielibyśmy porozmawiać z państwa...

– Nie zgadzam się.

– Kazik, co ty? – Kobieta podeszła bliżej. Marcel dostrzegł, że twarz kobiety szpeci siniak pod okiem. Przeniósł wzrok na jej męża. – Proszę, wejdźcie – dodała. – Roksana jeszcze śpi, ale pójde ją obudzić.

Kazimierz Antolak zastawił ciałem drzwi. Uśmiechał się drwiąco. Marcel zerknął na Rudnicką.

– Proszę się cofnąć – powiedziała.

– A bo co?

– Kazik, błagam cię. – Kobieta odciągnęła męża i wpuściła policjantów do mieszkania. Zaprowadziła ich do największego pokoju i usadziła na wytartej kanapie. – Zaraz przyprowadzę córkę. – Zniknęła na schodach prowadzących na piętro.

W pokoju zapadło milczenie. Kazimierz Antolak opadł ciężko na fotel. Zamachnął się, by położyć nogi na stole, lecz w porę się zmytygował. Odciągnął zawleczkę i pociągnął solidny łyk piwa. Wierzchem dłoni otarł usta.

– Co z tą Hiszpanką? – zagadnął. – Zabiła się, tak?

– Nie możemy o tym rozmawiać – odparł Marcel.

– No zabiła się, cóż to za tajemnica! Chyba cała Polska widziała. – Zarechotał. – Niezła chryja. Rodzicom tylko wstydu narobiła, głupia dziewczucha.

Kazimierz sięgnął po pilota i przeskoczył kilka kanałów. Zatrzymał się na prognozie pogody, kiedy do pokoju wróciła jego żona.

– Roksanka zaraz zejdzie – poinformowała, siadając naprzeciwko policjantów. – Państwo w sprawie Diany? Straszna tragedia... – Zawahała się, jakby niepewna, czy powinna poruszać ten temat.

– Jasne, tragedia. Tragedia to by była, gdyby zginęła w wypadku – stwierdził ojciec Roksany. – Chciała umrzeć i się powiesiła, nad czym się tu rozczulać?

Marcelowi przeszło przez myśl, żeby uciszyć Antolaka. Najchętniej ciosem prosto w zapijaczoną twarz.

– Znała pani Dianę? – spytał Antolakową.

– Trochę. Przychodziła czasami po Roksanę, kilka razy rozmawialiśmy.

– Może nam pani coś o niej powiedzieć?

– Znam Dianę tylko z opowieści córki. To dobra dziewczyna i dobrze się uczyła, to najważniejsze.

– Czy znała pani rodziców Diany?

– Niezbyt. – Złapała róg fartucha i zaczęła miętosić go w palcach. – Tylko z widzenia – dodała.

– Jakie wrażenie na pani wywarli?

– Wydawali się porządnymi ludźmi...

– Nie powiedziałbym – wtrącił Kazimierz. – Hiszpan powinien mieszkać w Hiszpanii, i koniec. Polska dla Polaków, kurwa mać.

– Pan Emilio jest Polakiem – oburzyła się Antolakowa. – Kazik, nie wygaduj głupstw.

– Nie sprawiali problemów na osiedlu? – spytał Marcel.

– Nic z tych rzeczy. Normalni ludzie, pracują uczciwie i...

– Kradną! – Kazimierz głośno odstawił puszkę na stolik. – Jak, kurwa, wszyscy przyjezdni. Pierdolone brudasy.

Kobieta nabrała powietrza, po czym odetchnęła z westchnieniem. Wzrok męża skutecznie powstrzymał ją od wygłoszenia komentarza. Skuliła się, ugniatając fartuch.

– Dzień dobry.

Trzecia z przyjaciółek Diany, Roksana Antolak, okazała się wychudzoną, krótko ostrzyżoną dziewczyną. Miała na sobie wyciągnięte spodnie, odsłaniające kościste nogi, i koszulkę z logo zespołu metalowego. Matka mówiła, że dziewczyna dopiero wstała, ale ostry makijaż zdecydowanie temu przeczył. Mocne kreski wokół oczu nie pasowały do Roksany. Przypominała małą dziewczynkę, która pod nieobecność matki dobrała się do jej kosmetyczki.

– Chodź, Kazik, państwo porozmawiają z Roksana – odezwała się pani Antolak.

– Mam prawo tu być – warknął. – Gówniara jest niepełnoletnia.

– Och, chodź. – Pociągnęła go za rękaw. Z odrazą strącił jej dłoń, ale podniósł się z fotela i z ociąganiem wyszedł z pokoju.

– Pierdolone gliny – mruknął.

Roksana usiadła tam, gdzie jeszcze przed chwilą siedział ojciec, i objęła się chudymi ramionami. Przywodziły na myśl zapalki. Wystarczyłoby mocniej ścisnąć, by pękły na pół.

– Wiesz, o czym chcemy porozmawiać? – zapytał Marcel, ale jego głos zabrzmiał niewyraźnie. Było mu szkoda niewinnej dziewczyny. Z takim ojcem pewnie nie miała łatwego życia.

– O Dianie – wyszeptała.

– Kiedy ostatni raz ją widziałaś?

– W sobotę, w Manufakturze.

– A potem?

– Nie.

– Czy Diana zachowywała się w sobotę inaczej? Coś wzbudziło twoje podejrzenia?

– Raczej nie.

Rudnicka przesunęła dłonią po zniszczonej kanapie. Wołała nie wiedzieć, czego pozostałością jest żółta plama na podłokietniku. Odchrząknęła.

– Twoja przyjaciółka popełniła samobójstwo – przypomniała. – Masz jakieś przypuszczenia, dlaczego to zrobiła?

– Nie wiem, naprawdę.

Roksana spojrzała na policjantów, potem przeniosła wzrok na korytarz, skąd dochodził głos ojca. Rudnicka miała wrażenie, że nastolatka chciałaby powiedzieć coś jeszcze, ale obecność ojca odbierała jej pewność siebie. Nie dodała nic więcej.

– Diana miała problemy? – zapytał Marcel.

– Chyba nie.

– Twoje koleżanki powiedziały nam, że poznała chłopaka. Mówią na niego Dzejdzej, wiesz coś o tym?

Dziewczyna zamrugnęła oczami.

– Ja... – zaczęła. – Nie, nic nie wiem.

Wolski spojrzał na Lenę, której but nerwowo stukał w podłogę. Obawiał się, że wybuchowy charakter komisarz zaraz przejmie nad nią kontrolę. Rudnicka podniosła się

z kanapy, przeszła przez pokój i zamknęła drzwi, po czym zwróciła się do dziewczyny.

– Słyszałaś o Dzejdzeju? – zapytała.

Dziewczyna z wahaniem ściągnęła usta. Cienka, różowa kreska na anemicznej twarzy. Nerwowo potarła nadgarstki, ale szybko się opanowała i wcisnęła dłonie między uda. Rudnicka zdążyła dostrzec zielonkawę zsinienia po wewnętrznej stronie nadgarstków.

– Ciało Diany ktoś wyniósł z domu, prawda? – spytała Roksana. – Myślą państwo, że on to zrobił?

– Chcemy się tego dowiedzieć. Problem w tym, że ani twoje koleżanki, ani rodzice Diany nie mają pojęcia, gdzie znaleźć tego chłopaka.

– Nie znam go – odrzekła. – Spotkałam go tylko kilka razy.

Lena usiadła naprzeciwko dziewczyny. Chciała, by ta poczuła się swobodniej.

– Widziałaś go parę razy? – spytała. – Gdzie? W jakich okolicznościach?

– Mieszkamy z Dianą blisko siebie, więc zdarzało się, że Dzejdziej przyjeżdżał po nią na Milezki. Widywałam go, ale nie za często. Może cztery, pięć razy.

– Rozmawiałaś z nim?

– Czasami.

– O czym rozmawialiście?

– Właściwie o niczym. Zwykła gadanina.

– Wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

Znowu zawahanie i kolejne zerknięcie na zamknięte drzwi.

– Nie wiem, gdzie dokładnie mieszka – odparła. – Wydaje mi się, że w okolicy Telefonicznej.

Rudnicka zmarszczyła czoło. Telefoniczna to cholernie długa ulica. Ciągnie się przez dwa osiedla, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, Lena wyśle patrol, by poszukały chłopaka. Prędzej czy później się znajdzie.

– Ale... – zaczęła Roksana. – Naprawdę myślicie, że to on? Że on zabrał ciało Diany?

Rudnicka zmrużyła oczy. Roksana nawet się nie zająknęła o śmierci koleżanki, jakby nie zrobiła na niej wrażenia. Albo wiedziała coś więcej. Jednak naciskanie na dziewczynę przypominało chodzenie po niestabilnej kładce. Wystarczył jeden nieostrożny krok, by delikatne drewno pękło na pół.

– Ktoś zabrał ciało twojej koleżanki. Nie mamy pewności, czy zrobił to jej chłopak, ale musimy z nim porozmawiać.

– Tylko o to chodzi?

– Wiesz, gdzie go znajdziemy?

– On... – Spojrzała w okno, zawieszając głos. – Często siedzi na ogródkach działkowych.

– Przy Telefonicznej?

– Tak, przy zajezdni. Nie wiem, który domek. Nigdy tam nie byłam, ale Diana kiedyś wspomniała, że na działkach czeka na nią Dzejdziej.

Bingo.

– Tylko nie mówcie, że wiecie ode mnie – poprosiła Roksana.

Po wyjściu od Antolaków Rudnicka stała się drażliwa. Wpatrywała się w okno, skubiąc materiał dzinsów. Wypaliła po drodze cztery papierosy – wszystkie wyciągnęła z paczki Wolskiego. Marcel nie zaprotestował, gdy sięgnęła po następnego. Komisarz wciąż żyła w przekonaniu, że nie jest nałogową palaczką. Marcel na razie nie wyprowadzał jej z błędu. Gdy zaparkowali przed komendą, wyskoczyła z samochodu jak oparzona, trzasnęła drzwiami i pognała prosto do gabinetu, gdzie czekał na nich Ostrowski. Byli spóźnieni. Naczelnik nie lubił spóźniałstwa.

Ostrowski wsunął dłonie do kieszeni żołnierskich spodni i przysiadł na skraju biurka. Pomimo że na jego twarzy malował się szyderczy uśmiech, wyglądał na zadowolonego przybyciem Rudnickiej.

Lena podeszła do ekspresu do kawy, wyjęła wielki kubek z logo Central Perku i nacisnęła odpowiedni przycisk.

Pomieszczenie wypełnił dźwięk młynka.

– Wasza dwójka znowu razem? – Ostrowski obrzucił Marcela pogardliwym spojrzeniem. Wolski czekał, spodziewając się reprimendy. Przy poprzednim śledztwie naczelnik zapowiedział, że Rudnicka i Wolski nie będą sobie partnerować.

– Bywa – odburknęła Lena, krzyżując ramiona na piersi.

– Jeśli znów coś spierdolicie, to nie ręczę, kurwa, za siebie.

– Masz jakiś problem? – Rudnicka odwróciła się gwałtownie. – Co miałam, kurwa, dzielnicowego ze sobą wziąć?

– Wolski miał inne zadania na ten tydzień.

– Pierdoli mnie to.

Marcel odebrał od Leny kubek i usiadł przy stole konferencyjnym. Humor naczelnika nie wróżył niczego dobrego. Wolski obawiał się nawet, że Ostrowski wyłączy go ze śledztwa i przydzielili Lenie kogoś innego, ale on jedynie mlasnął przeciągle i przeniósł wzrok na komisarz.

– Złożono na ciebie skargę – rzekł.

– Nie pierwszą i nie ostatnią – odparła Lena, upiła łyk kawy i wsunęła rękę do kieszeni spodni.

– Zagazowałaś gościa.

– Jakby się nie rzucał, tobym nie gazowała.

– Kurwa, nie wiesz, jak jest? Nie wiesz, że musimy odpowiadać na wszystkie pierdolone skargi?

- Więc odpowiesz.
- Słucham?
- To twój problem, nie mój.

Marcel przełknął ślinę. Faktycznie, w ostatnim czasie policja nie miała w mediach dobrej passy. Niektóre nadużycia funkcjonariuszy kończyły się tragicznie. Marcel był przeciwny takim działaniom, sam starał się działać zgodnie z prawem. Rzadko używał gazu, ale komenda to zamknięte środowisko. Na korytarzach krążyły plotki, że w ostatnich tygodniach Rudnicka wykazywała szczególne upodobanie do flakoników z gazem pieprzowym.

– Powiedz w takim razie – zaczęła Rudnicka – co powinnam zrobić, kiedy dostajemy zgłoszenie o chłopaku biegającym nago po ulicy, a gdy zajeżdżamy na miejsce, naćpany dzieciak rzuca się na mnie z łapami i próbuje dusić. No? Jakies pomysły? Może powinnam go grzecznie poprosić, żeby przestał?

– To ten, który zabił własną matkę? – spytał Ostrowski.

– Ten sam. Poderznął jej gardło, rozebrał się i urządził uliczny maraton.

– Dobra – odparł po namyśle. – Ale, kurwa, przystopuj z tym gazem, bo niedługo będę musiał załatwiać dla ciebie dwulitrowe flakony.

Wzruszyła ramionami.

– Co z tą dziewczyną? – zapytał po chwili. – W telewizji huczy, a na skrzynkę mailową przychodzi milion wiadomości od dziennikarzy.

Rudnicka w krótkich słowach wyjaśniła, co do tej pory udało się ustalić. Ostrowski odpowiedział westchnieniem, jakby słuchanie komisarz go zmęczyło.

– Uwijajcie się – nakazał. – Musimy mieć coś dla mediów.

– Dowodów ci nie wyczaruję.

– I napisz raport.

Rudnicka prychnęła, dopiła kawę i odstawiła kubek na biurko. Marcel wiedział, że zamiłowanie naczelnika do wypełniania papierów prędzej czy później weźmie górę. Mina komisarz kazała sądzić, że ma to głęboko gdzieś.

– Mówię poważnie – ostrzegł Ostrowski. – Masz takie braki w papierach, że najchętniej, kurwa, usadziłbym cię na tydzień przy biurku. – Ruszył w stronę drzwi i spojrzał na Lenę.

– Rozmawiałem z Tymonem. Chce dołączyć do śledztwa.

– Przecież jest w górach.

– Podobno przerywa urlop.

– Lena? – Liz zajrzała do gabinetu. – Mam coś dla was. Znaleźliśmy telefon tej dziewczyny.

– Gdzie?

– Na polu za Selgrosem.

– Na polu?

– Mhm. – Liz zerknęła na kartkę trzymaną w dłoniach. – Najczęściej kontaktowała się z jednym numerem. Wymieniała z nim sporo wiadomości, a z treści wynika, że numer prawdopodobnie należy do jej chłopaka. Zarejestrowany na niejakiego Jerzego Jurka.

– Jerzy Jurek? – spytał Marcel. – To nazwisko jeszcze nie pojawiło się w tej sprawie.

Lena posłała mu pobłażliwy uśmiech.

– Jot jot – rzekła. – Dziejdziej.

– Ach...

– Jest jeszcze drugi numer należący do niejakiej Izabeli Antolak.

– Matka Roksany. – Wolski spojrzał na Lenę.

Roksana była nieletnia, więc numer najprawdopodobniej należał do niej. Matka jedynie podpisywała umowę z operatorem.

– Tak – potwierdziła Liz. – Więc ten numer kontaktował się z Dianą o godzinie drugiej w nocy w poniedziałek.

– Godzinę przed samobójstwem.

– Mam jeszcze coś. Obok telefonu znaleźliśmy prześcieradło.

– Prześcieradło?

– Zabezpieczyliśmy je i sprawdzimy, czy to zwykły przypadek, że leżało obok telefonu, i czy ma jakiś związek ze sprawą.

– Co z komputerem dziewczyny?

– Chłopaki dzisiaj mają się za niego zabrać.

– Dzwoń, kiedy się czegoś dowiesz.

Marcel się uśmiechnął. Wreszcie coś ruszyło. Może dzień przyniesie więcej informacji, niż początkowo zakładali.

3

Słońce wisiało na błękitnym niebie, gorące promienie odbijały się od nagrzanego asfaltu. Odetchnęła, ścierając z czoła strużkę potu. Duszne powietrze wdzierało się do płuc, paliło ją od wewnątrz. Wytarła spocone dłonie o spodnie i spojrzała na policyjny parking.

Dwoje policjantów, mężczyzna i kobieta, stali przy samochodzie. Rozmawiali o czymś, paląc papierosy. Nagle kobieta strząsnęła popiół i powiodła wzrokiem po ulicy. Spojrzenie miała czujne niczym pies pilnujący obejścia. Dziewczyna pomyślała, że właśnie ta policjantka może stanowić problem. Mimowolnie potarła blizny na nadgarstkach i cofnęła się w cień, ale było już za późno. Komisarz zatrzymała na niej wzrok. Dziewczyna czuła, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz, serce wali jak młotem, a ciało zastyga w bezruchu. Po chwili policjantka ponownie spojrzała na mężczyznę i z uśmiechem klepnęła go w ramię.

Dziewczyna pomyślała, że jest zwykłym tchórzem. Przyszła tutaj, by porozmawiać z policjantami, ale nie miała odwagi. Chciała powiedzieć prawdę, wyjaśnić, dlaczego

Diana Pulido popełniła samobójstwo, ale była na to zbyt słaba.

Była zwykłym tchórzem.

Uciekła.

4

Ogródki działkowe przy Telefonicznej były opustoszałe. Policjanci napotkali tylko staruszka, który mimo upału miał na sobie flanelową koszulę w kratę i ocieplane, gumowe buty. W jednej ręce trzymał pustą konewkę, drugą zaś wskazał domek, w którym przebywał Dzejdziej. Policjanci nie musieli długo tłumaczyć, kogo szukają. Okazało się, że chłopak Diany był znanym – i niespecjalnie lubianym – bywalcem ogródków.

– Pani by zobaczyła, co tu się wieczorami wyprawia – gardłował emeryt. – Balują do białego rana, psia jego mać. Może policja wreszcie się tym zajmie? Wiele razy zgłaszałem zakłócanie porządku, a wy nic z tym nie robicie, psia wasza mać!

Pokonali wąskie działkowe alejki. Rudnicka osłoniła dłonią oczy, wypatrując domku wskazanego przez mężczyznę. Białego z czerwoną dachówką. W sąsiedniej alejce dostrzegła ruch. Chudy chłopak odrzucił długie włosy i zawiązał worek ze śmieciami. Butelki w środku zagrzechotały, gdy podniósł worek. Ruszył w kierunku śmietnika i zamarł. Przez długie sekundy mierzyli się wzrokiem. Dzieciak wyglądał, jakby rozważał w głowie kilka scenariuszy, aż w końcu wybrał jeden – jego zdaniem – najwłaściwszy. Odrzucił worek i puścił się biegiem.

Zanim Marcel się zorientował, Rudnicka zdążyła oddalić się o dobre sto metrów. Pobiegł za nimi, wyrzucając sobie w duchu, że jest najgorszym partnerem, jakiego można sobie wyobrazić. Tymczasem chłopak dopadł betonowego ogrodzenia. Wdrapanie się na płot zajęłoby mu raptem kilka sekund.

– Łapy do góry.

Zamarł, unosząc ręce. Rudnicka sprawnie okręciła mu nadgarstki opaską zaciskową. Chwyciła go za ramię i podniosła z ziemi.

– Dokąd koledze tak spieszno?

Dzejdziej milczał, gdy prowadziła go z powrotem do domku. Posadziła na pieńku i wyciągnęła dłoń w stronę Marcela.

Podał jej paczkę westów.

– Dlaczego uciekałeś? – zapytała, zapalając papierosa.

– Czego chcecie? – warknął zapytany, nerwowo pocierając bliznę na policzku. Opuścił nagle dłoń, jakby szrama zapłonęła ogniem.

– Dlaczego uciekałeś? – powtórzyła pytanie.

Chłopak splunął na ziemię.

– Kurwa, myślałem, że...

– Że co?

– Jakbym wiedział, że jesteście glinami, tobym nie uciekał.

– Ciekawe. A przed kim byś uciekał?

– Nieważne.

Rudnicka podparła się pod boki. Miała już dość, a dzień dopiero się zaczynał.

– Nie mam nastroju na pierdolenie – rzuciła. – Powiesz, przed kim uciekałeś, albo jedziesz na dołek.

Dżejdzęj spojrzał na Marcela.

– Poczęstuje pan fajką?

Wolski sięgnął do kieszeni, ale komisarz powstrzymała go stanowczym gestem.

Dżejdzęj z rezygnacją rozejrzał się po okolicy.

– Mam kosę z takim jednym na mieście – powiedział w końcu. – Myślałem, że kogoś wysłał.

– O co poszło? – zapytała Lena.

– Takie tam. – Uniósł dłonie. – Zdejmie to pani?

– Zastanowię się. – Usiadła naprzeciwko, zaciągnęła się dymem i wypuściła w kierunku chłopaka. – Dokumenty jakieś masz?

Dżejdzęj skinął głową w stronę ganku. Marcel wszedł na schodki, wziął do ręki czarny plecak i wyciągnął portfel.

– Jerzy Jurek – przeczytał, obracając w palcach dowód osobisty.

– Rodzice mieli poczucie humoru. – Dżejdzęj wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej – skwitowała Lena. – Diana Pulido. Masz coś do powiedzenia w tym temacie?

Zasępił się, przygryzając zębami dolną wargę.

– No? – ponagliła. – Nie mam całego dnia.

– Diana była moją dziewczyną.

– Co ty nie powiesz?

– O co wam chodzi? Czego ode mnie chcecie?

Mimo że chłopak nie był zadowolony z wizyty policji, sprawiał wrażenie, jakby obawiał się czegoś zupełnie innego. Mrużył oczy, lustrując działkowe alejki. Jeśli miał problemy na mieście, miał się czego obawiać. Łódzkie chłopaki do przyjemniaczków nie należą.

Rudnicka popatrzyła na Dżejdzęja, zastanawiając się, czy nie przycisnąć gówniarza. W domku pewnie znalazłoby się trochę trawki, a może czegoś jeszcze? To byłby dobry punkt wyjścia do rozmowy, uznała jednak, że póki chłopak będzie współpracował, przymknie oko na pewne rzeczy.

– Kiedy widziałeś ją ostatni raz? – spytała.

Dżejdzęj zawahał się, ale po chwili twarz mu się nieco rozluźniła.

– W sobotę.

– O której?

– A bo ja wiem? Wyszedłem od Diany wieczorem, około dwudziestej drugiej.

– A potem?

– Nie.

Rudnicka wypuściła dym z płuc. Założyła nogę na nogę i strąciła popiół. Była pewna, że Dzejdziej skłamał.

– Posłuchaj – zaczęła. – Albo mówimy sobie prawdę, albo porozmawiamy inaczej.

– Mówię prawdę.

– Nie wydaje mi się.

Chłopak ściągnął brwi.

– Twoja dziewczyna miała wolną chatę – przypomniała. – A ty nosisz w sobie wiadro hormonów, więc jestem pewna, że próbowałeś wykorzystać sytuację.

– Byłem u niej w sobotę – powtórzył.

– Ale niedziela to już inna historia. Próbujesz mi wmówić, że nie wykorzystałeś sytuacji, skoro twoja dziewczyna miała wolną chatę? Starzy wyjechali, a taka okazja nie trafiała się często, co?

Dzejdziej wydawał się trochę skrepowany.

– Dobra – mruknął. – Pojechałem do niej w niedzielę.

– No i?

– Zawinąłem się około północy.

Jeżeli Dzejdziej mówił prawdę, Diana wyłączyła alarm, żeby nie ściągnąć sobie na głowę firmy ochroniarskiej i żeby chłopak mógł spokojnie opuścić jej dom. Brzmiało logicznie, ale w takiej sytuacji nasunęło się pytanie, dlaczego Diana ponownie nie włączyła alarmu później. Zapomniała?

– Dlaczego skłamałeś? – zapytała Rudnicka.

Oparł łokcie na kolanach, skrywając twarz w dłoniach. Trwał w bezruchu kilka sekund.

– Bo trzy godziny później Diana się powiesiła – powiedział. – Nie wiedziałem, co o tym myśleć, ale uznałem, że lepiej dla mnie, jeśli się nie dowiecie, że tam byłem.

– Uważasz, że moglibyśmy cię podejrzewać?

– A nie? Przecież po to przyszliście, prawda? Znaleźliście u Diany moje odciski palców i porównaliście z tymi w bazie.

Rudnicka wstała. Skoro odciski chłopaka są w policyjnej bazie, był notowany. Powinni później sprawdzić jego kartotekę. Było jeszcze coś – Dzejdziej najwyraźniej nie wiedział, że pokój Diany i inne pomieszczenia zostały wyczyszczone, więc nie mogli znaleźć żadnych odcisków palców. Albo udawał, że nie wie.

Ale Lena przynajmniej na razie nie zamierzała go uświadamiać.

– Diana miała jakieś problemy? – spytała.

– Jak każdy.

– Nie każdy wiesza się na żyrandolu, transmitując swoje samobójstwo w internecie.

– Da pan papierosa? – Dzejdziej błagalnie zerknął na Marcela.

Sierżant wyciągnął westa i razem z zapalniczką podał chłopakowi. Tym razem Rudnicka nie oponowała.

– Słuchajcie – zaczął chłopak i wydmuchał dym. – Z Dianą działo się coś niedobrego. Widziałem to, ale gdy pytałem, nie chciała mówić. Nabierała wody w usta, jakby to była jakaś pierdolona tajemnica. Nie mam pojęcia, co się z nią działo. – Pokręcił głową. – Chciałem jej pomóc. Kurwa, przysięgam, że chciałem jej pomóc, ale nie wiedziałem jak!

– Koleżanki Diany twierdzą, że nie byłeś najlepszym chłopakiem.

– Co ma pani na myśli?

– Nie pozwalałeś Dianie spotykać się z nimi.

– To bzdura. Niczego jej nie zabraniałem.

– Doprawdy?

– Nie jestem tyranem.

Dziejdzęj wprowadzie na niewiniątko nie wyglądał, ale to jeszcze nie dowód, że zrobił Dianie krzywdę.

– Więc jak sądzisz, dlaczego Diana się zabiła? – zapytała.

– Skąd mam wiedzieć?!

– I kto wyniósł z domu jej ciało?

– Na pewno nie ja! Niech pani na mnie tak nie patrzy!

Rudnicka się uśmiechnęła.

– Jesteś ostatnią znaną mi osobą, która widziała Dianę żywą – powiedziała.

– Co z tego?

– W niedzielę, kiedy byłeś u Diany – odezwał się Marcel – wydawała się niespokojna? Coś ją gnębiło?

– Gnębiło ją coś od dłuższego czasu, ale nie chciała o tym rozmawiać.

– Miała problemy w domu?

– Chyba nie. Nie wiem. Nie poznałem jej rodziców.

Rudnickiej wcale to nie zdziwiło. Państwo Pulido z pewnością nie byliby zachwyceni chłopakiem córki. Dziejdzęj nie stanowił materiału na idealnego zięcia.

Przygniotła niedopałek butem i zapaliła kolejnego papierosa. Zaschło jej w ustach, ale po trzymiesięcznej abstynencji nikotynowy potwór zaatakował ze zdwojoną siłą. Wypuściła dym, spoglądając w niebo.

– Dlaczego Diana zrobiła ze swojej śmierci przedstawienie? – zapytała.

– Nie wiem, może dlatego, że chciała zostać aktorką.

– Pośmiertną?

– Widziałem ten film i nie zapomnę go do końca życia...

– Bo się wzruszę.

– Dlaczego trzymaliście swój związek w tajemnicy? – spytał Marcel.

– Niech pan na mnie spojrzy. – Dziejdzęj rozłożył ręce. – Nie jestem partią dla dziewczyny z dobrego domu. Rodzice Diany wyrzuciliby mnie na zbity pysk.

– Faktycznie, nie wzbudzasz zaufania – przyznała Lena.

– Chcieliśmy poczekać, aż Diana będzie pełnoletnia. Wtedy mogłaby robić, co by chciała, ale teraz to już nie ma znaczenia...

Po twarzy Rudnickiej przebiegł cień uśmiechu. Dzieciaki są takie naiwne. Każde z nich sądzi, że gdy odbierze dowód osobisty, zawojuje świat. Tymczasem prawda jest taka, że większość z nich wciąż siedzi na garnuszku rodziców.

Spojrzała na Wolskiego, który był tego idealnym przykładem. Ojciec wciąż rozkładał nad nim parasol ochronny. Po ostatnim śledztwie, kiedy Marcel użył służbowej broni, komendant był wściekły. Zakazał Rudnickiej kontaktów z jego synem. Uważał, że naraziła jego ukochanego jedynaka na niebezpieczeństwo, a przecież praca w policji opiera się właśnie na ryzyku. Lena nie miała nic do gadania, komendant wydał polecenie, by rozdzielić tę dwójkę, a ona nie protestowała. Uznała, że tak będzie lepiej.

– Co robiłeś po wyjściu od Diany? – zapytała.

– Poszedłem do domu – odparł Jurek.

– Świadkowie?

– Matka i ojciec spali, więc...

– Więc nie masz alibi.

– Jestem o coś oskarżony?

Komórka Rudnickiej brzęknęła dwukrotnie, oznajmiając nadejście dwóch wiadomości. Zanim sięgnęła do kieszeni, rozległo się trzecie brzęknięcie.

Przebiegła wzrokiem tekst.

– Mam dla ciebie złe wieści, kolego – poinformowała Dżejdzēja.

5

Park Śledzia był usytuowany w środku miasta, a mimo to Axel Pulido nie dostrzegł wokół ani żywej duszy. Samochody przejeżdżały leniwie, ich silniki pracowały na najwyższych obrotach, tłocząc do środka podmuchy zimnego powietrza. W taką pogodę klimatyzacja ratuje człowiekowi życie.

Axel siedział na ławce i wpatrywał się w toń jeziora. Najchętniej wskoczyłby do wody, by już nigdy nie wypłynąć na powierzchnię. Starł łzę, która zakręciła mu się w oku. Wyjął telefon i uruchomił nagranie siostry. Kolejny raz obejrzał film z samobójstwa. Czuł się z tym źle. Nie powinien na to patrzeć, a mimo to wciąż oglądał nagranie, usiłując zrozumieć, dlaczego Diana to zrobiła. Z własnej woli weszła na krzesło i zarzuciła pętlę na szyję? Axel chciał zrozumieć, co popchnęło ją do takiego kroku.

Zaczął dygotać. Włożył telefon z powrotem do kieszeni i zawahał się. Wiedział, że powinien zadzwonić na policję, ale zwyczajnie się bał. Gdyby poszedł i porozmawiał z tymi gliniarzami, wpędziłby swoją rodzinę w poważne kłopoty. Tego wolał uniknąć.

Najbardziej martwił się o matkę. Była taka delikatna, dlatego obawiał się, że zupełnie się rozsypie. To, co zrobiła Diana, było dla niej ciosem.

Kiedy matka przyszła w nocy do jego pokoju, udawał, że śpi. Płacząc, szeptała do niego, że jest całym jej światem. Tylko on jej pozostał. Nie mógł pozwolić, by całkowicie się załamała. Teraz powinien jej pomóc, wspierać ją i stać się dobrym synem. Wiedział, że rodzice nie zapomną o Dianie, ale mógł chociaż spróbować zastąpić siostrę. Dzięki temu już nigdy nie nazwą go czarną owcą. Postanowił się zmienić.

Wstał i ruszył parkową alejką. Po głowie błędziła mu myśl, żeby zadzwonić na policję, ale szybko uleciała. Teraz Axel miał inne zadanie.

6

Dziewczyna stanęła pod rozłożystym drzewem, zamknęła oczy i oparła się o twardą korę. Wyjęła z plecaka półlitrową butelkę zubrówki i pociągnęła solidny łyk. Zakaszła. Alkohol rozlał się w żołądku gorącą falą, palił w przełyk. Zawahała się, po czym upiła kolejny łyk i odłożyła butelkę do plecaka.

Od wczoraj jej myśli krążyły wokół Diany Pulido. Podziwiała ją za odwagę. Nie każdy ma odwagę odebrać sobie życie, a ona zrobiła to w pięknym stylu. Znalazła w sobie dość siły, aby przerwać to cierpienie. Była bohaterką.

Dziewczyna sprawdziła, czy statyw stoi równo i czy oko kamery skierowane jest w odpowiednie miejsce. Zajęło jej to kilka długich minut, potem jeszcze poprawiła ostrość. Chciała, by wszystko wyglądało jak najpiękniej.

Przebiegła wzrokiem tekst, upewniając się, że zna go na pamięć, i wsunęła kartkę do przegródki plecaka.

Uruchomiła nagrywanie i stanęła naprzeciwko telefonu. Wzięła głęboki oddech i wygłosiła zapamiętane przemówienie:

Życie nie kończy się śmiercią.

Życie jest drogą.

Postanowiłam odejść.

Straciłam nadzieję.

Tak będzie lepiej. Tylko wtedy będę szczęśliwa.

Chcę umrzeć.

Wdrapała się po szczeblach drabiny, odrzuciła włosy i uśmiechnęła się do widzów, ale jej uśmiech bardzo różnił się od tego, jaki w swoim filmiku zaprezentowała Diana. Był przepełniony bólem. I wahaniem. Ona wcale nie chciała się zabić, lecz nie miała innego wyjścia.

Ludzkość jest drzewem, a ludzie są liśćmi. Drzewo trwa i rośnie, chociaż liście opadają.

Założyła na szyję pętlę, sprawdziła, czy sznur jest wystarczająco mocno przywiązany do gałęzi drzewa, i pomachała do widzów.

Spuściła nogi z drabiny i kopnęła ją z całej siły. Ciężki metal opadł na zieloną trawę. Rozległ się cichy charkot duszącego się ciała.

7

Szósta łyżeczka brązowego cukru wylądowała w kubku z logo Central Perku. Komisarz nie należała do osób prowadzących zdrowy styl życia. Marcel zastanawiał się, jakim cudem udaje się jej utrzymać szczupłą sylwetkę, skoro pochłania przy tym niezliczone ilości słodczy i niezdrowego jedzenia. On nabawiłby się dodatkowych kilogramów już w pierwszym miesiącu stosowania takiej diety.

– Brązowy cukier nie oznacza, że można sypać go tonami – zauważył, upijając łyk niesłodkiej kawy.

– Co? – Lena zamieszała napój, po czym wsypała siódmą łyżeczkę. Napiała się i z uznaniem pokiwała głową.

– To wciąż cukier – poinformował.

– Ale zdrowszy.

Marcel chciał zaproponować, ale szybko skapitulował, bo Rudnicka wyciągnęła z szuflady dużą milkę z orzechami. Otworzyła opakowanie, odłamała rząddek i wsunęła go do ust.

– Częstuj się – rzuciła, próbując uporać się z nadmiarem czekolady w ustach.

Ułamał kawałek i sięgnął po dokumenty leżące na biurku. Kolejny raz przeleciał wzrokiem tekst i spojrzał na Rudnicką.

– Podejrzane – oświadczył.

– Co jest podejrzane?

– Ten telefon i prześcieradło.

– Mhm.

Marcel podrapał się w skroń. Rudnicka czekała, aż rozwinie myśl. Chętnie słuchała jego koncepcji. Często zmuszała go do formułowania różnych teorii, ale w tym przypadku Wolski miał problem ze zwerbalizowaniem myśli.

– Ktoś wysprzątał pokój Diany – zaczął. – Ale zostawił tak oczywisty dowód jak odciski palców na telefonie i ślady na prześcieradle?

– Pewność siebie może zgubić człowieka. Szczególnie jeśli działa w stresie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Lena odchyliła się na fotel i splotła dłonie na brzuchu. Spojrzała na drzwi, jakby oczekiwała niespodziewanego gościa, ale nikt nie nadszedł.

– Ten, kto wyniósł ciało Diany, zadbał, żeby w jej pokoju nie znaleziono żadnych śladów. Był pewny, że w domu policja nic nie znajdzie, ale zwyczajnie zapomniał o telefonie. Silny stres zwiększa ciśnienie krwi, w której buzuje adrenalina; przyspiesza akcję serca i wyłącza zdolność logicznego myślenia.

– Nie ten ktoś – zaproponował. – Dziejdzęj. To jego odciski są na komórce Diany.

- Odciski palców Jerzego Jurka na telefonie nie oznaczają, że wyniósł jej ciało.
- To oczywiste.
- Czyżby? Dla mnie to oznacza, że jego odciski są na telefonie. Koniec kropka. Nic więcej.

Marcel przygryzł wargę. Nie mieli jednoznacznego dowodu, ale wina Dzejdżeja wydawała się oczywista. Jurek był w domu Diany, widział ją jako ostatni, koleżanki wskazały, że relacje Diany z chłopakiem były podejrzane. Do tego linie papilarne na telefonie i ślady spermy na prześcieradle. Wystarczy dodać dwa do dwóch i mają sprawcę.

– Jesteś jak rozbitek na morzu – skwitowała, wkładając do ust kolejną porcję milki. Popiła kawą i dodała: – Chwytasz się wszystkiego, żeby utrzymać się na powierzchni. Nieważne, że łapiasz za lichą deskę, która po kilku mocniejszych przyływach zwyczajnie się rozsypie.

- Cóż za porównanie.
- Idealnie opisujące twoje myślenie.
- To jest dowód, Lena. – Wskazał na kartkę. – Ten telefon to dowód. Dam sobie rękę uciąć, że ślady spermy na prześcieradle też będą należały do Dzejdżeja.
- Na twoim miejscu byłabym ostrożna, bo stracisz rękę, a pamiętaj, że jedną już masz niesprawną.

- Niedługo zdejmę bandaże. – Uniósł owinięty nadgarstek.
- Przyznasz się w końcu, co zrobiłeś?
- Mówiłem. Przewróciłem się.
- Gdzie?
- Na schodach.
- Spadłeś ze schodów?
- Mhm. U mnie w kamienicy.
- Na trzeźwo?
- Jeśli spadłbym po pijaku, miałbym przynajmniej jakieś wytłumaczenie.
- Raczej kiepskie.
- Zawsze jakieś. A tak czuję się jak łamaga.

Mimowolnie się uśmiechnęła. Tylko Marcel mógł spaść ze schodów i skręcić przy tym nadgarstek. Na trzeźwo.

– Odciski na telefonie to dowód – powiedziała po chwili. – Ale nie wskazujący jednoznacznie, że Dzejdżej wyniósł ciało Diany.

- Możemy tak założyć.
- Okej, widzę, że nie odpuścisz – westchnęła. – Założmy więc, że Jurek wyniósł ciało Diany. Jaki miał motyw?

Na to pytanie Marcel nie miał odpowiedzi.

- Tak myślałam – rzekła. – Mnie do głowy przychodzi tylko jeden.
- Jaki?

– Że jest dewiantem seksualnym i zabrał zwłoki, żeby sobie poużywać.

Lekkość w głosie Rudnickiej sprawiła, że Wolskiemu przeszedł po plecach nieprzyjemny dreszcz.

– Motyw zdecydowanie naciągany – podsumowała. – Poczekajmy na wyniki DNA spermy z prześcieradła, chociaż przypuszczam, że potwierdzi się twoja teza, że sperma należy do Dżejdzēja.

Marcel chciał odpowiedzieć, ale do gabinetu weszła rudowłosa technik. Podparła się pod boki i zmarszczyła brwi.

– Ja haruję za troje, a wy kawkę sobie popijacie – powiedziała z udawaną złością, a potem uśmiechnęła się i podała Lenie teczkę. – Mam coś dla was.

– Co to jest? – spytała komisarz, rzucając teczkę na biurko. Nawet nie spojrzała na zawartość.

– Gdybyś zajrzała do środka, nie musiałabyś pytać.

– Super, ale wolę dowiedzieć się tego od ciebie i nie marnować czasu.

Liz rozłożyła ręce.

– Chłopaki sprawdzili komputer naszej samobójczyni – powiedziała. – Ostatnie wyszukiwania w Google to między innymi: śmierć przez powieszenie albo czas zgonu w przypadku powieszenia...

– Nic odkrywczego – przerwała jej komisarz. – Gdybym chciała się pohuścić na sznurku, też poprosiłabym o radę wujka Google'a. Wolałabym się dobrze przygotować, żeby uniknąć sytuacji, że lina pęknie i wszystko pójdzie na marne.

– No tak. – Liz wyglądała na zaintrygowaną. – Znaleźliśmy też coś na kształt pamiętnika, w którym Diana robiła różne zapiski.

– Pamiętnika? – Lena zerknęła na teczkę.

– Wydrukowałam treść.

– Jest tu coś ciekawego?

– Zależy, czego oczekujesz.

Rudnicka ściągnęła gumkę i przekartkowała plik. Rozdzieliła połowę i podała Wolskiemu.

– Więc czeka nas fascynująca lektura – bąknęła.

Po wyjściu Liz policjanci skupili się na lekturze wspomnień dziewczyny. Posługiwała się prostym językiem, używała krótkich zdań i – co najważniejsze – datowała wpisy. Na wszelki wypadek technicy sprawdzili zgodność utworzenia dokumentu z datą napisaną przez Dianę, ale wszystkie okazały się prawidłowe.

Lena nie znalazła w tekście nic szczególnego. Dziewczyna pisała, co robiła danego dnia, dokąd poszła po szkole, że posprzeczały się z Roksaną Antolak, ale już następnego dnia się pogodziły. Opisywała pogodę, książki, jakie przeczytała, i programy, które oglądała danego dnia.

– Zobacz. – Marcel podał jedną z kartek. Lena przebiegła wzrokiem po tekście, marszcząc brwi.

Poznałam kogoś. Jest cudowny. Poznaliśmy się jak w filmie romantycznym. Padał deszcz, a on stał na przystanku z parasolką w ręku. Spytał, czy chciałabym się schować. Chciałam. O Boże, chciałam! Pachniał deszczem i wodą kolońską. Chciałabym wdychać ten zapach codziennie!

– Poznali się miesiąc temu – odczytała Lena.

Marcel podał jej następną kartkę.

Boję się. Internet nie jest bezpiecznym miejscem. Słowo pisane przetrwa tylko na kartkach papieru.

– To ostatni zapis – poinformował Wolski, składając dokumenty w jeden plik. Postukał nimi o blat i położył przed Leną.

– Słowo pisane przetrwa tylko na kartkach papieru – powtórzyła. – Więc przeniosła swoje rozważania na papier.

– Pisała pamiętnik.

– Którego nie znaleźliśmy w jej pokoju.

– Nic dziwnego. Jeśli zapisała w nim coś, co naprowadziłoby nas na porywacza zwłok, ten pewnie zabrał dziennik.

– Porywacza zwłok? – Uniosła brwi.

– Tak nazwały go media.

No tak, skwitowała w duchu, nie oglądała telewizji, więc mogła się jedynie domyślać, jaką burzę w opinii publicznej wywołała sprawa Diany Pulido. Niech mówią o sprawie nawet w CNN, byle nie przeszkadzali w prowadzeniu śledztwa.

Marcel wyjął telefon, wpisał hasło: „porywacz zwłok, łódź” i kliknął w pierwszy nagłówek.

– Policja do tej pory nie odnalazła zwłok nastolatki, która dokonała makabrycznego aktu samobójstwa, transmitując wszystko za pośrednictwem kanału YouTube – odczytał. – Porywacz zwłok wciąż na wolności. Rodzice dziewczyny proszą o pomoc każdego, kto dysponuje wiedzą, gdzie mogły zostać ukryte zwłoki ich córki. Gotowi są wyznaczyć nagrodę.

– Nagrodę? – prychnęła. – Pies im zaginał czy zwłoki córki?

Lena zaklęła pod nosem, wstała i zaparzyła kolejny kubek kawy.

– To najgłupsze, co mogli zrobić – oświadczyła, obserwując, jak napój powoli spływa do kubka. – Zaraz zaroi się od przypadkowych świadków, którzy będą dzwonić dzień i noc, próbując przekonać, że widzieli sprawcę, albo wiedzą, gdzie jest ciało Diany. Oczywiście ujawnią informację, dopiero gdy dostaną kasę. A policja ma obowiązek sprawdzić każdy trop. Ja pierdolę.

Marcel przygryzł wargę. Początkowo sądził, że obecność dziennikarzy może przynieść sprawie korzyść, ale może Lena miała rację?

– O cholera. – Przesunął palec po ekranie, kliknął w odpowiedni nagłówek, po czym pokazał ekran Lenie. – Organizują konferencję.

Wyrwała mu komórkę. Szybko odczytała treść artykułu, sięgnęła po swoją i podeszła do okna, przyciskając aparat do ucha.

Hanna Pulido odebrała natychmiast. Marcel przez kilka długich minut słuchał, jak Rudnicka próbuje przekonać matkę Diany do zmiany decyzji. Komisarz nie przebiegała w słowach, ale najwyraźniej tamta wolała działać na własną rękę. Twierdziła, że musi coś zrobić, nie może beczynnie siedzieć, a dziennikarze pomogą w odnalezieniu jej córki.

– Kurwa mać! – Rudnicka rzuciła telefon na biurko. Przejechał po blacie i spadł na ziemię. – O której ta konferencja?

– O dwudziestej.

– Do gry wkraczają pismaki. Słabo. Zaraz zaczniesz się wytykanie policji błędów, jałowe dyskusje w studiach telewizyjnych o tym, czego nie zrobili, a powinni zrobić policjanci prowadzący śledztwo.

– Nie mamy na to wpływu.

Wymamrotała pod nosem kilka soczystych przekleństw i schyliła się po dzwoniący telefon. Marcel obserwował twarz Leny. Z każdym słowem wypowiedzanym przez rozmówcę po drugiej stronie wyglądała na coraz bardziej zaintrygowaną.

– Sprawdzili dom Dżejdzēja – poinformowała, gdy skończyła rozmowę. – Znalezione sznur podobny do tego, na którym powiesiła się Diana.

– Bingo! – Marcel klasnął w dłonie. A więc jego teoria zaczyna się potwierdzać.

– I trochę fety.

– Czego?

– Amfetaminy.

– Dżejdzėj handlował prochami?

– A co myślałeś?

Gdy na działkach powiedział, że ma z kimś kosę, nietrudno się było domyślić, że chłopak ma sporo za uszami. Rudnicka zakładała początkowo, że chodziło o trawkę, chociaż amfetamina też pasowała do Jerzego Jurka. Przypuszczała, że był jedynie pionkiem rozprowadzającym towar dla większego gracza. Ale dla niej nie miało to znaczenia. Gdyby od niej zależało, puściłaby chłopaka wolno i zapomniała o sprawie.

– Może podtykał dragi Dianie? – podsunął Marcel.

– Trzeba sprawdzić, czy jest czysty. Nie każdy diler ćpa. Ćpający dilerzy są dosyć ryzykowni, bo większość towaru sami wciągają. Nikt zdrowo myślący nie zatrudni ćpuna do rozprowadzania towaru.

– Nie chcę wiedzieć, skąd to wiesz.

– A ja nie chcę wiedzieć, że ty tego nie wiesz. Mieszkałam kiedyś na Bałutach – dodała, jakby to wszystko wyjaśniało.

Marcel wolał nie drążyć tematu.

- Jeśli znaleźli u niego sznur... – zaczął, ale nie zdążył dokończyć, bo do gabinetu zajrzał dyżurny.
- Lena, macie zgłoszenie – oznajmił. – Powiesiła się kolejna dziewczyna.

8

Dziewczynę znalazł przechodzień wyprowadzający na spacer nakrapianego wyżła. Spuścił psa ze smyczy, a ten pogalopował prosto pod rozłożyste drzewo, na którym huštało się ciało nastolatki. Ratownicy zdążyli ściągnąć samobójczynię i podjąć próbę przywrócenia jej życia. Razem z ratownikami przyjechał najbliższy patrol policji, który wysłał wiadomość dyżurnemu z komendy przy Sienkiewicza, ten zaś powiadomił komisarz Rudnicką.

Gdy Lena dotarła na miejsce, przesłuchała mężczyznę z psem, po czym kazała ratownikom odsłonić ciało nastolatki. Marcel, nienawykły do oglądania zwłok, odwrócił głowę i się cofnął, ale Rudnicka popchnęła go do przodu. Burknęła, by wziął się w garść. Zawstydzony zmusił się, by spojrzeć dziewczynie w twarz. Wyglądała, jakby spała. Jakby ucieła sobie drzemkę. Wisielcza bruzda wywołana przez ucisk sznura szpeciła skórę na szyi. I to właśnie pasek ciemnej skóry przyciągnął uwagę komisarz. Przykucnęła nad ciałem i przygryzła wargę, mrużąc oczy. Marcel znał ten wzrok.

Przełknął gęstą ślinę i ponownie zerknął na leżącą dziewczynę. Szukał drobiazgu, który umknął jego uwadze, ale po chwili w gardle narosło coś, co za kilka sekund prawdopodobnie znalazłoby się na trawniku obok ciała. Odwrócił głowę.

– Wygląda na starszą od Diany – rzekła Lena. – Ale niewiele. Osiemnaście, maksymalnie dwadzieścia lat. Spójrz tutaj. – Wskazała na ślad wokół szyi. – To nie było jej pierwsze spotkanie ze sznurem.

Marcel oparł dłonie na kolanach, wstrzymując odruch wymiotny. W tym momencie wiele by dał, żeby zmienić zawód. Mógłby nabijać batoniki na kasie w sklepie, remontować mieszkania albo zatrudnić się w korporacji i całymi dniami przesiadywać przy biurku, wypełniając dokumenty. Wolałby robić wszystko, byleby tylko nie oglądać martwych nastolatek.

– Miała za sobą próbę samobójczą – ciągnęła. Wolski dopiero teraz zrozumiał, o czym mówi komisarz. Obok świeżej bruzdy widniała druga. Lekko wyblakła pręga, będąca pozostałością przeszłości. – Nieudaną, jak widać.

Podeszła do plecaka, założyła lateksowe rękawiczki, przejrzała zawartość i wyjęła dowód osobisty.

– Natalia Sztompke – przeczytała. – Dziewiętnaście lat. – Wyjęła zapisaną odręcznie kartkę i przebiegła wzrokiem tekst. – Przemówienie Diany.

– Naśladowczyni? – zapytał Marcel.

– Najprawdopodobniej.

– Zły znak – zawyrokował. – Jeśli dziewczyna, która publicznie popełniła samobójstwo, staje się idolką nastolatek, to źle wróży.

Jeśli Diana Pulido zapoczątkuje falę samobójstw w Polsce, istniało ryzyko, że śledztwo przejmie Komenda Główna, a na taki obrót spraw Lena nie mogła pozwolić. Nie odda śledztwa garniakom z Warszawy.

– Muszę mieć ten filmik – powiedziała. Wyciągnęła komórkę i wystukała krótką wiadomość. Marcel przypuszczał, że za kilka minut chłopaki z komendy prześlą komisarz nagranie samobójstwa Natalii Sztompke. Lena przeanalizuje go sekunda po sekundzie. Liczył, że nie będzie zmuszony oglądać filmu razem z nią.

– Kto wyłączył transmisję? – spytał.

– Mundurowy.

– Ale tym razem nadawała live z konta na Instagramie?

– Tak.

Diana wrzuciła film na YouTube'a.

– Czy ta różnica ma jakieś znaczenie? – zapytał.

– Nie wiem, może nie miała konta na YouTube, więc wybrała Instagram – odparła. – Co nie zmienia faktu, że sprawa nabiera tempa i robi się coraz bardziej medialna.

Ratownicy medyczni zakryli ciało Natalii Sztompke i przenieśli ją do ambulansu. Marcel zadrżał na myśl, że najprawdopodobniej razem z Leną będą zmuszeni powiadomić rodzinę o śmierci córki.

– Mieszkała przy Pogranicznej – poinformowała Lena, jakby wiedziała, co zajmuje myśli sierżanta. Zmarszczyła czoło, a Wolski się uśmiechnął, bo o tym samym pomyśleli.

– Myślisz, że się znały?

Ulica Pograniczna dochodziła do Czechosłowackiej, która należała do osiedla Stoki. Diana mieszkała na Mileszkach, ale oba osiedla leżały na obrzeżach miasta i sąsiadowały ze sobą. Nie można więc wykluczyć, że dziewczyny miały ze sobą kontakt. To nie mógł być zbieg okoliczności.

– Z Czechosłowackiej na Mileszki jeździ autobus – odparła Lena, wyciągając dłoń w stronę Marcela. Podał jej paczkę westów. Zapaliła papierosa i dodała: – Teoretycznie to spora odległość, ale w gruncie rzeczy jazda autobusem trwa piętnaście minut. Stoki i Mileszki to specyficzne osiedla.

– Co masz na myśli?

– No spójrz. – Rozłożyła ręce. – Zawsze kiedy tu jestem, mam wrażenie, że dojechałam na koniec świata.

– Mnie się tu podoba. Miła odskocznia od miejskiego zgiełku.

Lena uniosła brwi, zaciągając się papierosem. Nie widziała nic interesującego w miejscu, którego główną atrakcją są podmokłe pola i łąki, a do najbliższego sklepu trzeba iść piętnaście minut piechotą.

– Nie dziwię się – odburknęła. – Akurat tutejszy klimat idealnie do ciebie pasuje.

Z papierosem w ustach podeszła do leżącego na ziemi telefonu dziewczyny. Przejrzała go, kręcąc z dezaprobatą głową.

– Nic tu nie ma – oświadczyła. – Oprócz nagrania filmu Diany. Ściągnęła go z netu i przerzuciła na telefon.

– Ciekawe, czy teraz ktoś ściągnie filmik Natalii Sztompke?

– I popełni samobójstwo?

– Mhm.

– Oby nie.

Lena nie miała zwyczaju przejmować się sprawami, które prowadziła. Gdyby podczas wielu lat pracy w policji zamartwiała się każdym trupem, jakiego przyszło jej znaleźć, pewnie już dawno rzuciłaby tę robotę. Jednak w sprawie odbierających sobie życie nastolatek było coś niepokojącego. Miały przed sobą przyszłość, a mimo to wybrały śmierć. Choć Lena nie przyznałaby się do tego Marcelowi, sprawa Diany i Natalii mocno ją poruszyła.

– Chodźmy – powiedziała. – Pojedziemy do rodziny Sztompke.

Marcel z ociąganiem wszedł do samochodu. Zastanawiał się, jak zareagują rodzice Natalii Sztompke. Kim są? I kim była dziesiętnastolatka, która odebrała sobie życie?

Ulica Pograniczna okazała się wybrukowaną kocimi łbami alejką, po obu jej stronach ciągnęły się rzędy drzew. Marcel nigdy nie był w tej części miasta. Okolica wyglądała na spokojną, ale patrząc na pozabijane deskami okna i pordzewiałe ogrodzenia, nie miał czego żałować. Pomimo pięknej pogody i prażącego z nieba słońca panujący w tym miejscu klimat był nieco przytłaczający.

Natalia Sztompke mieszkała w wielorodzinnej kamienicy z czerwonej cegły. Kawałek zakurzonego podwórka, ogrodzenie z metalowej siatki i wątpliwej jakości brama. Policjanci stanęli przed głównymi drzwiami. Były otwarte na oścież. Z wnętrza ulatywała woń starych murów zmieszana z zapachem smażonego tłuszczu. Dźwięk obijanych talerzy i szczekanie psa.

– Może załapiemy się na obiad – mruknęła Rudnicka, wchodząc na ganek. Kiedy jeszcze pełniła służbę na ulicy, często odwiedzała podobne miejsca. Dałaby sobie rękę uciąć, że przynajmniej jedno mieszkanie tej kamienicy zajmuje degenerat, do którego miejscowy patrol zagląda co najmniej raz w tygodniu.

Odnaleźli właściwe mieszkanie. Drzwi uchylila kobieta w średnim wieku. Z wnętrza buchnął zapach smażonych kotletów. Wpuściła funkcjonariuszy do środka, zaprowadziła ich do mikroskopijnej kuchni i usiadła po drugiej stronie stołu. Była zdezorientowana wizytą stróżów prawa. Roześmiane dziecięce głosy kazały sądzić, że rodzina nie ma pojęcia, co się stało z Natalią. Kobieta nie wiedziała, że jej dziecko nie żyje. Jedno z wielu,

bo oprócz trzyletniego chłopczyka pałętającego się pod nogami w pokoju obok siedziały trzy dziewczynki, w podobnym wieku. Aldona Sztompke musiała rodzić rok po roku.

Chłopczyk owinął się wokół łydki matki i głośnym pojękiwaniem domagał się jedzenia. Podąła mu butelkę i odesłała do sąsiedniego pokoju.

– Pani Sztompke, czy zastaliśmy pani męża? – zapytał Marcel.

– Nie, nie. Jest w pracy. – Jej oczy rozszerzyły się ze strachu. Przypominały dwa węgle wetknięte w oczodoły. – Coś z Bogdanem? Coś mu się stało? Miał wypadek? – Zakryła dłonią usta. – O Boże!

– Spokojnie – zaoponował. – Nie chodzi o pani męża.

– Nie?

Wolski zaczerpnął głęboki oddech, jakby miało mu to dodać odwagi. Bezskutecznie. Był bezradny. Nie potrafił wydusić słowa. Jak można powiedzieć matce, że jej córka parędziesiąt minut temu odebrała sobie życie? Odetchnął z ulgą, gdy wyręczyła go Rudnicka.

– Pani córka Natalia popełniła samobójstwo.

Aldona Sztompke zadrzała, jakby uderzył w nią podmuch zimnego powietrza. Po jej twarzy przemknął cień. Czoło przecięło kilka bruzd, a kąciki ust wyginały się w górę i w dół. Sens słów wypowiedzianych przez Lenę docierał do niej powoli. W końcu uśmiechnęła się, jakby komisarz opowiedziała dobry żart.

– Powiesiła się – dodała Rudnicka. Powinna dodać formułkę o obowiązkowej identyfikacji zwłok, ale w porę się powstrzymała.

– Powiesiła się?

Niedowierzanie, zwątpienie, nieufność – wszystkie te uczucia odmalowane na jednej twarzy. Twarzy matki, która dowiedziała się, że jej dziecko nie żyje.

– To niemożliwe – powiedziała kobieta. Nie płakała, jej oczy pozostały suche i puste. – Dlaczego?

Matka Natalii zada dzisiaj wiele pytań. Sobie, mężowi, nieżyjącej córce. Rudnicka mogła udzielić odpowiedzi na większość z nich, ale nie na zwykłe „dlaczego?”.

– Pani Sztompke – zaczęła. – Córka miała za sobą nieudaną próbę samobójczą, prawda?

– Tak. – Krótkie skinienie głową.

– Kiedy to się stało?

– Jakiś czas temu, nie pamiętam.

– Wie pani, dlaczego córka...

– Wymyślała jakieś niestworzone rzeczy – przerwała kobieta. – Mówiła, że nie wytrzyma dłużej z tym piętnem.

– Jakim piętnem?

– Nie powiedziała.

– Nie próbowała pani pytać?

– Próbowałam, ale jakbym rzucała grochem o ścianę.

Kolejne tajemnice. Niedobrze.

– Czy córka była pod opieką psychologa? – zapytał Marcel.

– Tak, chodziła do doktor Kryńskiej, do CKD.

Centralny Szpital Kliniczny na Pomorskiej.

– Rozumiem, że sytuacja jest dla pani trudna – mówił Wolski. – Ale w jakich okolicznościach Natalia próbowała odebrać sobie życie poprzednim razem?

– U nas, za komórkami... – Kobieta urwała, zakrywając dłonią usta. Z pokoju obok dobiegł radosny, dziecięcy śmiech.

– Czy mówi coś pani nazwisko Diany Pulido?

– To ta dziewczyna, która się powiesiła w internecie?

Wolski potwierdził.

– Słyszałam o niej w telewizji. Mieszkała niedaleko.

– Znała ją pani?

– Ja? Skąd? Dlaczego pan pyta?

– A pani córka znała Dianę?

Mięśnie na twarzy kobiety zastygły, jakby utraciła kontrolę nad własnym ciałem. Wykrzywiła usta w grymasie. Z jej oczu popłynęły łzy. Wstała, sięgając po rolkę papierowego ręcznika.

– Ja... – zaczęła. – Boże, powinnam się domyślić!

Lena spojrzała na Marcela.

– Oglądałyśmy wspólnie program informacyjny o Dianie – dodała, pociągając nosem. – Natalia mówiła, że Diana zrobiła coś niesamowitego. Kiedy zapytałam, dlaczego tak sądzi, odparła, że ona też marzy o śmierci, o której będzie mówiła cała Polska! Matko, powinnam się domyślić, że Natalia coś kombinuje! Już próbowała się zabić! Myślałam, że ma to za sobą! Zaczęła chodzić na kółko teatralne, uśmiechała się, była radosna! Jak mogłam być tak głupia?!

– Czy w ostatnich dniach Natalia inaczej się zachowywała? – spytał Marcel.

– Nie! Właśnie że nie! Sądziłam, że wszystko jest na dobrej drodze i wyszła z dołka! Podejrzewałam, że ma depresję, ale Natalia nie potwierdziła mojej diagnozy. Była pełnoletnia i zabroniła lekarzowi udzielać nam informacji!

– Miała jakąś przyjaciółkę, której mogłaby się zwierzyć?

– Nie. W ogóle nie miała koleżanek.

– Prowadziła pamiętnik?

– Nic o tym nie wiem.

– Jeśli znajdzie pani jej zapiski, proszę nas powiadomić.

Rudnicka wstała, włożyła ręce do kieszeni spodni i spojrzała w przybrudzone okno. Odkryła punkt styczny pomiędzy obiema dziewczynami.

I nie był to pamiętnik.

Damian Lewicki uprzątnął stos dokumentów z biurka i pogwizdując pod nosem, wsunął papiery do szuflady. Przekreślił kluczyk i umieścił w górnej kieszonce koszuli. Rozejrzył się, czy wszystko jest na swoim miejscu, i opuścił biuro.

– Panie Damianku, pan już wychodzi?

Posłał sprzątaczkę uśmiech i postukał w tarczę zegarka.

– Dochodzi wpół do piątej – wyjaśnił. – Dzisiaj nie mam już zajęć.

– A pewnie. – Kobieta machnęła ręką. – Panu należy się odpoczynek jak żadnemu innemu!

Znów się uśmiechnął. Na pochwały najwygodniej było odpowiadać uśmiechem. Pani Grażynka zdecydowanie wyolbrzymiała sprawę. Uważała go za kogoś więcej niż za zwykłego wychowawcę z domu kultury. Próbował wytłumaczyć jej, że nie robi nic specjalnego, ale odkąd wziął pod swoje skrzydła grupkę autystycznych dzieci, pani Grażynka traktowała go jak bohatera. Niesłusznie, on po prostu robił to, co kochał. Pracował z dziećmi, pomagał im, starał się, by żyły normalnie.

– Panie Damianku, a jak dzieciaczki się sprawują? – zaszczebotała sprzątaczką.

Potrząsnął głową, otrząsając się z zamyślenia.

– Nie jest łatwo – przyznał. – Ale w ich przypadku najlepiej sprawdza się metoda małych kroków. Takich dzieci nie można zmuszać. Najważniejsze, żeby same zapragnęły kontaktu z człowiekiem.

– Ma pan rację. – Poklepała go po ramieniu, po czym zniknęła we wnęce na końcu korytarza. Wróciła z plastikowym pudełeczkiem w ręku. – Upiekłam szarlotkę. Wiem, że pan lubi.

– Nie, naprawdę. – Uniósł dłonie. – Nie mogę tego przyjąć. Wystarczająco mnie pani rozpieszcza.

– Och, proszę. Chciałabym się panu odwdziaczyć. Tyle dobrego robi pan dla tych biednych dzieci.

Z rezygnacją opuścił ręce i przyjął pakunek.

– Dobrze, ale robię to tylko dlatego, że uwielbiam pani wypieki – powiedział. – Myślała pani nad otwarciem własnej cukierni? Nie żartuję. Pani ciasta są przepyszne.

– Pan Lewicki? – Głos dobiegł od strony schodów. Damian obrócił się i zobaczył dwie postacie idące w jego kierunku. – Policja, Wydział Kryminalny.

– Słucham?

– Policja? – zdziwiła się pani Grażynka. – A w jakiej sprawie?

– Pan Lewicki? – powtórzyła kobieta.

– Tak, o co chodzi?

– Musimy porozmawiać.

Damian zmierzył policjantów wzrokiem. Zbyt dużo słyszał o przestępcach podszywających się pod stróżów prawa. Zazwyczaj dotyczyło to starszych osób, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Proszę pokazać legitymację – zażądał stanowczym tonem.

Kobieta machnęła dokumentem w taki sposób, że nawet najwprawniejsze oko nie byłoby w stanie niczego dojrzeć. Damian nie miał tyle odwagi, by poprosić o okazanie dokumentów po raz drugi.

– Halo, halo! – zawołała sprzątaczką. – O co chodzi? Dlaczego nachodzicie pana Damiana? To porządny człowiek!

– Pani się nie wtrąca.

Sprzątaczką odchyliła głowę, jakby policjantka wymierzyła jej policzek. Chciała zaprotestować, ale Damian uspokoił ją, obejmując ramieniem.

– Spokojnie, panie Grażynko. Porozmawiam z państwem. Przecież to zwykła rozmowa, prawda? – Spojrzał na komisarz.

– Zobaczymy.

Otworzył biuro i zaprosił policjantów do środka.

– Przepraszam za bałagan – powiedział. – Zajmuję pokój razem z trzema koleżankami, więc trudno utrzymać porządek.

Lena rozejrzała się wokół. Cztery biurka, parę regałów i usychający kwiatek z pożółkłymi liśćmi. Na stole, przy którym usiadł Damian Lewicki, panował idealny porządek.

– O co chodzi? – spytał, marszcząc brwi.

Rudnicka usiadła naprzeciwko i przyjrzała się rozmówcy. Około czterdziestki, czarne włosy, ciemna oprawa oczu i zawadiacki uśmiezek na twarzy.

– Prowadzi pan kółko teatralne? – zapytał Marcel.

– Prowadzę różne grupy. Ale tak, zajmuję się również grupą teatralną.

– Czy Diana Pulido uczęszczała na pańskie zajęcia?

Mężczyzna wyprostował plecy, a w jego oczach błysnęła podejrzliwość.

– Tak – przyznał. – Ale od pewnego czasu już nie przychodziła. Przyznam, że trochę mnie to zaniepokoiło. I zdenerwowało, bo przygotowaliśmy przedstawienie na najbliższy przegląd teatralny.

– Co to za przedstawienie? – zapytała Lena.

– Moje. Autorskie.

– Jaki tytuł?

Damian Lewicki ściągnął wargi i popatrzył na policjantkę, jakby zastanawiał się, czy nie wyprosić jej za drzwi.

– *Cierpienia młodej dziewczyny* – odparł po chwili.

Rudnicka prychnęła.

– To chyba już było, co?

- Co ma pani na myśli?
- Inspiracja twórczością Goethego?
- Każdy artysta ma swoje inspiracje.
- Jest pan artystą?

Wychowawca niby od niechcienia wzruszył ramionami, ale Rudnicka dostrzegła w tym ruchu pewną nerwowość.

– O czym jest to przedstawienie? – zapytała.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego prowadzimy tę rozmowę. Chciałbym poznać powód państwa najścia i...

– O czym jest przedstawienie? – włączył się Marcel.

Lewicki westchnął przeciągle, jakby chciał zyskać czas do namysłu. Policjanci milczeli, czekając na odpowiedź, która nie nadchodziła.

– No? – ponagliła Lena.

– O dziewczynie, która nie odnajduje się w dzisiejszym świecie.

– Ciekawe. A jak się kończy?

Wychowawca przełknął ślinę.

– Dziewczyna popełnia samobójstwo – odparł ściszym głosem.

– W jaki sposób?

– Przez powieszenie.

– Dziwny zbieg okoliczności.

– Proszę państwa, rozumiem, że...

– Kto grał główną rolę w przedstawieniu?

– Diana.

Rudnicka klasnęła w dłonie, zakładając nogę na nogę. Pożałowała, że dopiero teraz odwiedzili wychowawcę. Może gdyby zajrzeli do niego wcześniej, sprawy potoczyłyby się inaczej? Rodzice Diany wspominali, że dziewczyna uczęszcza na zajęcia kółka teatralnego, ale tyle się działo, że Rudnicka wizytę w domu kultury odłożyła na później. I to był duży błąd.

– Chyba główna bohaterka za bardzo wczuła się w rolę – powiedziała.

– Przepraszam, pani...

– Komisarz.

– Pani komisarz, naprawdę nie rozumiem związku. Oczywiście, słyszałem o śmierci Diany. Jak chyba każdy w Polsce. Bardzo współczuję jej rodzinie, ale nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

– Nie rozumie pan? – Uniosła brwi. – Więc przedstawię panu całą sytuację: mamy dziewczynę, która publicznie popełnia samobójstwo, dziewczyna gra w przedstawieniu, które...

– Dobrze – przerwał jej. – Ale ja nie mam związku z tą sprawą.

– Nie zgodzę się z panem.

– Dlaczego Diana zrezygnowała z zajęć? – zapytał Wolski.
– Nie wyjaśniła powodu. Któregoś dnia przysłała i oświadczyła, że rezygnuje. Pytałem, czy coś się stało, ale odpowiedziała, że nie może tego zagrać i tyle.

– Jaki miał pan z nią kontakt?

– Dobry. Jak z każdym wychowankiem. Jesteśmy jak rodzina.

Jesteśmy jak rodzina.

– Czy to była zgodna rodzina? – spytała Rudnicka.

– Zgodna? – Lewicki zastanowił się, pocierając podbródek. – Tak, raczej tak.

– W zgodnej rodzinie nie powinno być tajemnic.

– Źle mnie państwo zrozumieliście – zaoponował. – Chodzi o to, że traktowaliśmy się po przyjacielsku, spędzaliśmy razem czas, bawiliśmy się sztuką. Ale były jakieś granice. Jestem wychowawcą, więc nie mogłem być jednocześnie kolegą moich uczniów. Starłem się nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Trzeba znaleźć balans.

– Pan znalazł?

– Mam nadzieję.

– Okej. – Lena wstała i przeszła się po pokoju. – Natalia Sztompke.

– Nie rozumiem.

– Coś za dużo pan nie rozumie, panie Lewicki.

– Naprawdę...

– Powiesiła się.

– Słucham?

Wychowawca wyglądał na zaskoczonego. Zmarszczył brwi, a nerwowe pocieranie dłoni wezbrało na intensywności. Na knykciach pojawiły się zaczerwienienia.

– Ona również grała w przedstawieniu, prawda? – zapytała Rudnicka.

– Tak, grała... Ale...

– Nie chcę być nieuprzejma, ale wkrótce wykruszy się panu cała obsada.

– Jaką rolę dostała Natalia Sztompke? – podjął Marcel. Nauczyciel nie zrobił na nim dobrego wrażenia. Zachowywał się dziwnie, jakby coś ukrywał. Coś, z czym za wszelką cenę nie podzieliliby się z policją. Marcel chętnie odwiózłby Lewickiego na komendę.

– Natalka... – Nauczyciel pocierał kostki na palcach. – Natalka przejęła rolę Diany.

– I to dosłownie – dodała Lena.

– Nie zrezygnowała z roli? – spytał Wolski.

– Ucieszyła się, gdy ją dostała. Podczas prób była... bardzo wiarygodna.

– Kiedy widział się pan z nią po raz ostatni?

– Wczoraj do mnie przysłała. Chciała porozmawiać, ponieważ nie radziła sobie z sytuacją po śmierci Diany. Powiedziała, że zastanawia się nad rezygnacją z przedstawienia.

– Mówiła coś jeszcze?

– Jeżeli pytacie, czy mówiła, że chce się zabić, to nie, nie mówiła nic takiego. Wyglądała na rozbitą, starałem się ją pocieszyć, ale bezskutecznie.

Rudnicka zastanowiła się. To ciekawe, że nastolatka, zamiast iść do matki albo koleżanki, poszła zwierzyć się wychowawcy z domu kultury. Najwidoczniej grupa teatralna rzeczywiście była jak rodzina. Albo Natalia przyszła do Lewickiego z innego powodu.

- Jaki miał pan kontakt z Natalią? – zapytała.
- Dobry. Była jedną z najlepszych uczennic. Miała talent aktorski.
- Ale Diana miała większy, skoro najpierw to jej powierzył pan główną rolę?
- Dziewczyny prezentowały podobne umiejętności – odrzekł. – Jednak wyglądem Diana bardziej pasowała do głównej bohaterki.
- Gdzie pan był w niedzielę pomiędzy trzecią w nocy a jedenastą?
- Lewicki zaskoczony odchylił się na krześle.
- Jestem o coś oskarżony?
- Skądże.
- Byłem w domu, z córką.
- Ile lat ma córka?
- Dwanaście.
- Czyli tylko córka może potwierdzić, że był pan w tym czasie w domu?
- Tak, o trzeciej w nocy spałem w pokoju obok. Córka spędziła u mnie weekend. Na co dzień mieszka z moją byłą żoną.
- Słabe alibi.
- Gdybym wiedział, że będziecie mnie o coś podejrzewać, załatwiłbym sobie inne.
- O nic pana nie podejrzewamy.
- Więc skąd te pytania?
- Założmy. Hipotetycznie. – Rudnicka skrzyżowała ramiona. – Że pańskie przedstawienie nie kończy się samobójczą śmiercią bohaterki. Postać popełnia samobójstwo, ale jej ciało nagle znika. Jakie napisałby pan zakończenie tej historii?
- Ja... – Wychowawca się wzdrygnął. Rozchylił usta, ale zamknął je po chwili, jakby wystraszył się słów, które pojawiły się w jego głowie. – Jeśli pisałbym taką historię. – Odchrząknął. – Ciało bohaterki nigdy nie odnaleziono.

10

Krystian Owczarek mógł zadzwonić. Kartka z zapisanym numerem telefonu komisarz Rudnickiej znajdowała się w tylnej kieszeni jego spodni, on jednak wolał poczekać. Miał czas.

W środowisku dziennikarskim mówiło się, że Rudnicka jest twardą zawodniczką. W dobie internetu i powszechnie dostępnych mediów współpraca dziennikarzy z policją nikogo nie dziwiła, ale Rudnicka opędała się od dziennikarzy jak od natrętnych much. Mimo to Krystian był święcie przekonany, że tym razem wreszcie złamie panią komisarz,

bo miał asa w rękawie, coś, co z pewnością ją zainteresuje. Ale nie ma nic za darmo. W zamian za przysługę oczekiwał informacji o śledztwie.

Spojrzał w stronę nadjeżdżającej skody fabii. Z samochodu wysiadła Rudnicka i zapaliła papierosa. Dwójka policjantów wyglądała na dobrych znajomych. Krystian miał jedynie nadzieję, że ten młody gliniarz nie przysporzy mu problemów. Podszedł do nich niespiesznym krokiem.

– Dzień dobry – odezwał się, zdejmując okulary przeciwsłoneczne.

Komisarz nawet na niego nie spojrzała.

– Do widzenia – odburknęła.

– Lena Rudnicka, prawda?

Nie doczekał się odpowiedzi. Oczywiście spodziewał się chłodnego przyjęcia. Przygotował w głowie odpowiedzi na pytania komisarz. Był gotów na wymianę argumentów, ale Rudnicka nie wyglądała na skora do rozmowy.

– Nazywam się Krystian Owczarek – zaczął. – Jestem...

– Wiem, jak się nazywasz i kim jesteś – weszła mu w słowo. – A ty wiesz, kim ja jestem, więc powinieneś wiedzieć, że nie gadam z takimi jak ty.

– Lena Rudnicka. – Zaśmiał się. – Jak zwykle nieprzejeđnana.

– Dla ciebie komisarz Rudnicka – warknęła.

– Skąd wiedziałaś, że jestem dziennikarzem?

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem, wydmuchała dym i strząsnęła popiół na ziemię.

– Trudno cię pomylić z kimś innym.

– Nie rozumiem...

– Wyglądasz jak typowy dziennikarzyna.

Wolski stał tuż obok i przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Szczupła sylwetka, krótko ścięte włosy, okulary w grubych oprawkach, koszula i przewieszona przez ramię torba. Faktycznie facet wyglądał jak typowy dziennikarz.

– Okej – odezwała się komisarz. – Załatwmy tę sprawę szybko i nie traćmy cennego czasu. Przypuszczam, że jesteś na tyle bystry, żeby zrobić na mój temat rozeznanie, więc pewnie wiesz, że nie współpracuję z mediami.

– Jasne, że zrobiłem rozeznanie. W końcu jestem dziennikarzem.

– Gratuluję.

Marcel zaciągnął się papierosem, zastanawiając się, czy Owczarkowi uda się cokolwiek ugrać. Podejrzewał, że ma dla nich jakąś propozycję.

– Myślę, że jednak mamy o czym rozmawiać – powiedział dziennikarz.

– Niby o czym?

– Daj mi pięć minut, a wszystko wyjaśnię.

– Wiem, wiem. – Machnęła ręką. – Masz bardzo istotne informacje i sądzisz, że mnie zainteresują. Inaczej byś tu nie przychodził.

– Racja. – Owczarek się uśmiechnął.

- No dawaj. Co to za rewelacje?
- Pamiętaj, że obowiązuje mnie tajemnica dziennikarska.

Rudnicka prychnęła.

– Słucham – powiedziała. – Lepiej się pospiesz, bo nie mam czasu. Idę przesłuchać głównego podejrzanego.

Oczy dziennikarza rozbłysły. Najwyraźniej informacja o zatrzymaniu Dzejdżeja jeszcze nie dotarła do mediów.

– Nie tutaj. Umówmy się, jak skończysz przesłuchanie. I – zerknął na Marcela – wolałbym porozmawiać w cztery oczy.

Wolski odchrząknął. Owczarek zrobił na nim raczej niekorzystne wrażenie i nie chciał, żeby Lena spotkała się z nim sam na sam.

– Wykluczone – odrzekła. – Albo bierzesz sierżanta w pakiecie, albo nie mamy o czym gadać. Masz mój numer, więc jeśli zmienisz zdanie, odezwij się.

Ruszyła w stronę budynku komendy, nie oglądając się za siebie, a Krystian Owczarek zachodził w głowę, skąd Rudnicka wiedziała, że ma jej numer telefonu.

W środku Wolski odetchnął z ulgą. Zimne mury dawały wytchnienie od wszechobecnego skwaru.

- Dzięki – rzucił, zrównując się z Leną na schodach.
- Za co?
- No wiesz, że mnie nie zostawiłaś.
- Daj spokój.
- Jak myślisz, z czym przyszedł ten dziennikarz?
- Nie mam pojęcia.
- Sądzisz, że się odezwie?
- Myślę, że tak, ale teraz muszę zająć się ważniejszymi sprawami.
- Dzejdżem?
- Aha – przytaknęła i pchnęła drzwi do pokoju przesłuchań.

Jerzy Jurek siedział nieruchomo, jakby kilkugodzinny pobyt w policyjnym areszcie wysał z niego energię. Podniósł nieobecny wzrok, a jego twarz nieco się rozluźniła na widok znajomych policjantów.

- No i jak ci się u nas podoba? – zagadnęła komisarz.
- Słabo.
- Tak myślałam.
- Nie mamy dobrych wieści – wtrącił Marcel.
- Tak myślałem – odparł, uśmiechając się krzywo.
- Chyba nie musimy mówić, co znaleźliśmy w twoim domu?
- Chyba nie.

Dzejdżej może sprawiał wrażenie zbuntowanego dzieciaka, ale nie był idiotą. Dobrze wiedział, że policji tak łatwo się nie wywinie. Pokiwał głową, sugerując, że zdaje sobie

sprawę z konsekwencji.

– Twoje prochy mam gdzieś – odezwała się Lena. – Interesuje mnie to, co znaleźliśmy w twojej piwnicy.

– Co znaleźliście? – Dziejdzęj zaskoczony uniósł głowę.

– Sznurek.

– Żeglarski – dodał Marcel.

– No i co z tego? Lubię żeglować.

Rudnicka westchnęła i oparła się plecami o ścianę, krzyżując ramiona.

– To, że na takim samym sznurku dyndała twoja dziewczyna. Zdradzisz nam, jakim cudem znalazł się u ciebie w piwnicy?

– Słucham? Mówiłem, że lubię żeglować.

Mówił prawdę. Mundurowi, którzy zajęli się przeszukiwaniem domu chłopaka, rozmawiali z jego rodzicami. Potwierdzili, że Jurek w każde wakacje wyjeżdżał nad wodę. Nie zmieniało to jednak faktu, że sprawa zaczynała śmierdzieć.

– Dałeś Dianie żeglarski sznur? – zapytała Lena.

– Nie! Nic jej nie dawałem, do cholery! Może to nie jest mój sznur, co? Przecież Diana mogła kupić podobny!

Mogła.

– A czy istnieje możliwość, że Diana wzięła go z twojego mieszkania?

Dziejdzęj zastanawiał się z przymkniętymi oczami. Starał się uspokoić.

– Istnieje – odparł. – Często bywała u mnie w domu, kiedy starzy byli w pracy. Może go zabrała, nie mam pojęcia! – Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. – Chyba... – Zawahał się. – Diana nosiła czasem plecak zamiast torebki. Może kiedy wyszedłem z domu, faktycznie zabrała ten sznur?

– Diana zostawała u ciebie w domu sama?

– Tak, kiedy... kiedy wychodziłem do klienta.

No tak. Handlowanie dragami to robota dwadzieścia cztery na siedem. Nigdy nie wiadomo, kiedy zadzwoni ktoś w potrzebie.

– Okej. – Lena zrobiła krok w stronę Jurka. Chłopak skulił się w sobie. – Załóżmy, że ci wierzę. Ale sznur nie jest twoim jedynym problemem.

Dziejdzęj posłał pytające spojrzenie.

– Znaleźliśmy telefon Diany – oświadczył Wolski.

– A na nim twoje odciski palców – dokończyła Rudnicka.

– Nie rozumiem. I co z tego?

– Zanim ktoś wyniósł ciało Diany, wysprzątał cały jej dom. Pozbył się wszystkich śladów, które umożliwiłyby identyfikację... – Lena się zawahała – ...porywacza zwłok. Diana nagrywała transmisję telefonem, więc o trzeciej w nocy jej komórka znajdowała się w domu, ale kiedy przyjechaliśmy na miejsce, już jej nie było.

– Czyli ktoś ją wyrzucił, żeby pozbyć się dowodu – dodał Marcel.

– Nieskutecznie, bo dość szybko ją odnaleźliśmy.
– Ale... Sugerujecie, że to ja wyniosłem ciało Diany? Oszaleliście?! Dlaczego miałbym to robić?

– Ty mi powiedz.

– Nie wyniosłem jej ciała!

– Więc jak wytłumaczysz twoje odciski na jej telefonie?

– Normalnie! Kiedy siedziałem w niedzielę u Diany, grałem w grę. Nie pamiętam nazwy, ale chodzi w niej o to, żeby układać kolorowe kulki, kojarzycie?

– Nie – ucięła komisarz.

– Układa się kulki zgodnie z kolorami... Zresztą, nieważne! – Machnął ręką. – Grałem w tę grę, bo padła moja komórka, więc dlatego na jej telefonie są moje odciski palców.

Usprawiedliwienie Dzejdżeja zabrzmiało logicznie. Ten, kto posprzątał dom, nie byłby na tyle nieostrożny, by pozostawić tak błahy dowód jak telefon z odciskami palców. Nie po to się trudził z czyszczeniem śladów w pokoju. Chyba że właśnie o to chodziło – żeby podejrzenia policji skierować na Jerzego Jurka.

– Jest jeszcze prześcieradło – powiedział Wolski.

– Jakie prześcieradło?

– Obok telefonu znaleźliśmy prześcieradło, a na nim ślady spermy.

Dzejdżej zaśmiał się, kręcąc głową.

– Jezu, to jakiś absurd – mruknął.

– Zabawiałeś się z Dianą, co? – zapytała Lena.

– Tak, ale... to przecież nie przestępstwo. I dlaczego miałbym wyrzucać pieprzone prześcieradło? To się kupy nie trzyma!

Rudnicka przygryzła wargę. W tej sprawie nic nie trzymało się kupy. Porwanie i ukrycie zwłok Diany Pulido miałyby sens, gdyby doszło do morderstwa, ale w tym przypadku denatka popełniła samobójstwo, więc dlaczego ktoś zabrał jej ciało? I po co?

– Rodzice nie potwierdzili twojego alibi – powiedziała.

Dzejdżej uniósł wzrok. Wyglądał na zdumionego, ale zaraz roześmiał się głośno.

– No jasne – odparł. – Nie spodziewałem się niczego innego. Kochani rodzice.

– Twierdzą, że spali.

– Bo pewnie spali. Chodzą na poranną zmianę do pracy. Matka kładzie się o dwudziestej pierwszej, a ojciec pół godziny później.

Rodzice chłopaka zeznali, że położyli się właśnie w tej kolejności. Nie słyszeli, by syn wychodził w nocy lub wracał nad ranem, ale nie wykluczyli takiej ewentualności. Twierdzą, że nic nie słyszeli. Rodzice często starają się chronić swoje dzieci i ukrywają niektóre fakty, ale państwo Jurek sprawiali wrażenie, jakby nie zależało im, czy syn będzie miał z tego powodu jakiegokolwiek problemy.

Dzejdżej miał w młodości kłopoty z prawem. Lena sprawdziła jego kartotekę. Pobicie, kradzież i uliczne awantury, jednak przez ostatnie dwa lata jego konto pozostawało czyste.

Być może wtedy zaczął handlować prochami i wołał nie wystawiać się policji.

– Moi starzy są na mnie wściekli – odezwał się po chwili. – Ojciec najchętniej umieściłby mnie w jakimś zakładzie albo wyrzucił z domu, ale matka się nie zgadza.

– Wybacz, ale wcale mnie to nie dziwi.

Uśmiechnął się.

– No tak, nie byłem idealnym dzieckiem.

– Okej. – Skrzyżowała ramiona. – Twoja ostatnia szansa, żeby powiedzieć prawdę. Czy masz coś wspólnego ze zniknięciem Diany Pulido?

– Nie. Wyszedłem od Diany w niedzielę o północy i wróciłem do domu. Potem jej nie widziałem.

– Znasz Natalię Sztompke? – zapytał Marcel.

– Sztompke? Nie, znam żadnej Natalii Sztompke. Kim ona jest?

Lena zmierzyła chłopaka wzrokiem, w poszukiwaniu sygnałów świadczących o tym, że Dzejdziej kłamie. Nerwowe mrugnięcie powiek, utrzymywanie kontaktu wzrokowego, zakrywanie ust dłonią.

– Nawet gdybym chciała, nie mogę cię wypuścić – rzekła w końcu.

– Dlaczego? Przecież nic nie zrobiłem, przyrzekam.

– Chłopaki z narkotykowego zainteresowali się prochami w twoim domu. I wciąż pozostajesz głównym podejrzanym w sprawie Diany.

– Jest niedobrze?

– Jest gorzej niż niedobrze.

Jeśli nie znajdą porywacza zwłok, ruszy proces poszlakowy, a Dzejdziej zostanie skazany, mimo braku jednoznacznego dowodu. Pogubiony w życiu dzieciak wyląduje w więzieniu za przestępstwo, którego nie popełnił.

11

Marzena Lewicka krążyła nerwowo po pokoju. Nie ściągnęła butów, a jej piętnastocentymetrowe szpilki wbijały się w puchaty dywan. Damian zacisnął zęby. Miał ochotę wywalić byłą żonę za drzwi. Nie pojmował, jak można chodzić po mieszkaniu w brudnych butach. Teraz będzie musiał uprać dywan i przetrzeć podłogę. Tylko dodała mu roboty, ale miał nadzieję, że będzie warto i żona zgodzi się na jego propozycję.

– Zwariowałaś – powiedziała. Piskliwy, skrzeczący głos, którego zmuszony był słuchać przez całe małżeństwo. Bardzo dobrze, że się z nią rozwiódł. Nienawidził tej głupiej pindy.

– Nie – odparł. – Nie zwariowałem. Po prostu...

– To nie było pytanie.

Potrafił zrozumieć złość żony. Niecodzienna prośba mogła wzbudzić jej niepokój. Ale w końcu zrobiliby to dla dobra dziecka. Prawda?

– Kazesz mi kłamać? – zapytała i poprawiła poły marynarki. Szary materiał idealnie dopasowywał się do szczupłej talii.

– Nie chodzi o kłamstwo – zaoponował. – Chodzi o mnie.

– Mam kłamać dla ciebie? Dobre sobie! W coś ty się wpakował?

Marzena wreszcie się zatrzymała, popatrzyła na niego z politowaniem i usiadła na kanapie. Splotła dłonie, a tona bransoletek na nadgarstkach zadźwięczała głośno.

– Marzena – zaczął z wahaniem. – Chcę tylko, żebyś powiedziała, że Baśka była u mnie na weekend.

– Komu miałabym tak powiedzieć?

– Gdyby ktoś pytał.

– Kto?

– Proszę cię tylko o jedną przysługę. Nie musisz znać szczegółów. Po prostu, kiedy ktoś zapyta cię, czy Basia była u mnie przez weekend, odpowiedz, że była. To proste.

– Nie, Damian. To wcale nie jest proste. Jeśli wpakowałeś się w jakieś gówno, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– W nic się nie wpakowałem. Potrzebuję mieć zabezpieczenie.

– Zabezpieczenie? Przed czym?

Nie mógł jej powiedzieć, chociaż chciał. Długo zastanawiał się, jak wybrnąć z tej beznadziejnej sytuacji, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Prośenie ekszony o przysługę to ostateczność.

– Jeżeli skłamię, prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw – oświadczyła, podnosząc się z kanapy. – Cały weekend spędziłam z Baśką w hotelu na Mazurach. To bardzo łatwo sprawdzić.

Damian zacisnął wargi. Akurat teraz musiały wybrać się na Mazury?

– No i oznaczyłam się na Facebooku – dodała.

– Co zrobiłaś?

– Oznaczyłam się z Basią na Facebooku.

– O rany, Marzena! – Wstał. – Czy ty musisz chwalić się wszystkim w sieci?!

– Takie czasy.

– Kurwa!

– Skąd miałam wiedzieć, że poprosisz mnie, żebym kryła twój tyłek? – Zmarszczyła brwi, jakby nagle dotarło do niej znaczenie jego prośby. – Damian, ty chcesz, żebym zapewniła ci alibi.

To znowu nie było pytanie.

– Masz problemy z policją? – zapytała.

– Nie, nie mam problemów z policją.

– I dlaczego chcesz, żebym zapewniła ci alibi? – Zastanowiła się. – Nie ja, ale nasza córka! Boże, Damian! Nie mieszaj Baśki w swoje problemy!

Marzena miała rację. Co on sobie myślał? Nie powinien narażać dziecka. Nie powinien zmuszać córki do kłamstwa.

– Baśka to gaduła – stwierdziła Marzena. – Jeśli złączą ją maglować, wypapla wszystko. Damian się odwrócił. To prawda, Baśka nie była dobra w dochowywaniu tajemnic.

– Porozmawiam z nią i wszystko wytłumaczę – zaproponował. – Powiem, że to zabawa...

– Sądzisz, że przekonasz ją do kłamstwa?

– Nie wiadomo, czy w ogóle będzie musiała kłamać. Może nikt jej o nic nie zapyta.

– Okej – mruknęła. – Zgodzę się, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Powiesz mi, co robiłeś w niedzielę, skoro nie chcesz, żeby policja się o tym dowiedziała.

Gdyby powiedział Marzenie, co robił tamtego dnia, uznałyby go za potwora i zabroniła kontaktów z córką. Na to nie mógł pozwolić. Marzena nie powinna się dowiedzieć, co robił jej były mąż tamtej nocy, kiedy Diana Pulido popełniła samobójstwo.

12

Rudnicka nalała pepsa do szklanki, dopełniła ją kruszonym lodem oraz plastrem cytryny. Spojrzała na flakonik z lekami. Drugi dzień bez tabletek przeciwbólowych. Pomyślała, by wziąć chociaż jedną. Nie powinna zaszkodzić. To tylko jedna tabletkę.

Odepchnęła tę myśl. Musi skupić się na pracy, doprowadzić śledztwo do końca. Otumanianie się tabletkami jest nie najlepszym pomysłem.

Rozsiadła się na kanapie z telefonem w ręce i laptopem na kolanach. Zgrała na dysk filmy Diany Pulido i Natalii Sztompke. Najpierw zajęła się porównaniem obu nagrań, co potwierdziło tezę, że Natalia odtworzyła przemówienie koleżanki. Nauczyła się na pamięć tekstu, który wygłosiła tamta, a w jej komórce znaleziono kopię filmu Diany.

Choć z pozoru nagrania wydawały się podobne, to znacznie różniły się od siebie. Sztompke udawała spokojną, ale w rzeczywistości była zdenerwowana. Jej głos brzmiał niepewnie, dłonie drżały, kolana uginały się, gdy wchodziła po szczeblach drabiny. Uśmiech był nieszczerzy, nerwowy. Wyglądało na to, że dziewczyna wcale nie chciała zrobić tego, co zrobiła. Nie chciała umierać, a mimo to kopnęła drabinę. Ciało podrygiwało chwilę, ręce zawędrowały na splot, jakby chciały rozsupłać węzeł, ale ktoś umiejętnie go przygotował. Może Sztompke przeszła szybki kurs żeglarski albo poprosiła znajomego, który potrafił sprawnie posługiwać się sznurem.

To był fachowy węzeł, usłyszała, gdy zadzwoniła do policyjnej technik. Ktoś profesjonalnie przygotował pętlę, by po kopnięciu drabiny nie było już żadnej drogi ucieczki. Jediną osobą, jaka przychodziła Rudnickiej do głowy, która potrafiła to zrobić,

był Dziejdziej, ale w czasie gdy Sztompke wieszala się na drzewie, przebywał na komendzie.

Chyba że przygotowali wszystko wcześniej.

Na dźwięk otwieranych drzwi uniosła lekko głowę, a potem wróciła wzrokiem na ekran laptopa.

Marcel podał Lenie zawiniątko i postawił na stoliku dwa ciemne portery dla siebie i dwa pilznerzy dla Leny. Usiadł obok i rozpakował pudełko z chińszczyzną. Nabiał na widelec kawałek kurczaka, otworzył piwo i spojrzał na Rudnicką.

– Znalazłaś coś? – zapytał.

Sięgnęła po butelkę, podważyła zapalniczką kapsel, upiła długi łyk i zapaliła papierosa. Rozejrzała się po salonie. Wolski wstał z kanapy i uchylił drzwi balkonowe. Rudnicka wygłosiła streszczenie swoich obserwacji, przerywane kilkoma łykami piwa. Gdy skończyła, wsadziła sobie frytkę do ust.

– Sądzisz, że wszystko było przygotowane wcześniej? – zapytał.

– Może – przyznała. – Sznur łatwo schować, zarzucając go na gałąź. Ale ciekawe jest coś zupełnie innego.

Wolski spojrzał wyczekująco, ale Rudnicka nie spieszyła się z rozwinięciem tematu. Napiała się piwa, poprawiła porcją kurczaka i ponownie przechyliła butelkę. Pustą odstawiła na stolik i sięgnęła po następną.

– Nie za szybkie tempo?

– Uważasz, że Sztompke dotarła tam na piechotę? – zapytała i ignorując pytanie Marcela, otworzyła kolejne piwo. Trochę szumiało jej w głowie. Faktycznie powinna zwolnić. Ale miała powody do świętowania – drugi dzień, który przeżyła bez połykania tabletek, i drugi dzień, podczas którego nie musiała oglądać własnego męża. To chyba wystarczający powód?

– Skoro pytasz, sądzę, że nie – odrzekł Marcel.

Popatrzyła na niego jak na niezbyt lotnego ucznia.

– Dziewczyna nie wyglądała na kulturystkę – powiedziała. – Więc jak na miejscu zdarzenia znalazła się metalowa drabina? Sama przyniosła ją na plecach?

Wolski potarł policzek. Kilkudniowy zarost zakłuł w dłoń. Znowu coś przeoczyłem, pomyślał ze wstydem.

– Ktoś ją przywiózł – oświadczył.

– Nawet gdyby sama ją niosła, ktoś zobaczyłby dziewczynę niosącą drabinę, prawda? To raczej niecodzienny widok.

Rudnicka nie zamierzała czekać. Postanowiła to sprawdzić i zadzwoniła do Liz. Braki w personelu na komendzie były spore, ale technik zapewniła, że wyśle mundurowych, by popytali wśród mieszkańców, czy ktoś widział nastolatkę z drabiną na plecach.

– Nawet jeśli ktoś ją podwiózł, do drzewa nie dojechał. – Lena rzuciła komórkę na stolik.

– Chyba że miał terenówkę. Na polu są zbyt wysokie trawy, osobowy samochód ugrzązłby

na pierwszym metrze. Poza tym zostawiłby ślady.

– Mógł podrzucić Sztompke do końca polnej drogi, a resztę pokonała lub pokonali pieszo.

– Racja, ale kto pomaga dziewczynie, która chce popełnić samobójstwo?

– Nikt normalny – skwitował Marcel i napił się piwa. – Jeśli Dzejdziej pomagał Natalii, musieli zawieźć drabinę wcześniej. Od rana siedział na dołku.

Rudnicka pokiwała głową.

– Sznur można ukryć – kontynuował Marcel. – Ale drabinę raczej trudno.

– Weź pod uwagę, że to miejsce jest rzadko uczęszczane. Może wrzucili drabinę w krzaki, a gdy Sztompke dotarła na miejsce, po prostu ją wyjęła.

– Jest rzadko uczęszczane, ale jednak ktoś znalazł Natalię i zawiadomił służby.

– Facet z wyżłem. Pytałam go, czy minął kogoś na drodze, ale zaprzeczył.

– Wychodzi na to, że ten, kto pomógł Natalii z drabiną, uciekł wcześniej. Po rozpoczęciu nagrania nie zdążyłby zbiec. Facet z wyżłem by go zauważył. Z tamtego miejsca jest tylko jedna polna droga, którą przejechałby samochód.

– Nie wiemy, ile czasu Sztompke przygotowywała się do samobójstwa. Równie dobrze mógł podrzucić ją z samego rana, a ona powiesiła się kilka godzin później.

– Więc... – zawiesił głos – ...podążając tym tokiem rozumowania, to mógł być Dzejdziej.

Lena spojrzała na Marcela zaintrygowana. Faktycznie. Dzejdziej rano jeszcze był wolny. Uśmiechnęła się i stuknęła piwem w butelkę Wolskiego.

– Brawo, Watsonie – rzekła i dopiła piwo, po czym odstawiła pustą butelkę na stolik. – Pijesz? – zapytała, wskazując na ciemnego portera.

– Często się.

Podważyła zapalniczką kapsel, przyłożyła szyjkę do ust i zmarszczyła brwi.

– Ohyda – skwitowała, czując na języku słodką nutę karmelu.

– Ciemne piwa są zdrowsze od jasnych.

– Mhm.

– Zawierają więcej żelaza i przeciwutleniaczy – dodał Marcel. – I są źródłem witamin, szczególnie te niefiltrowane.

– Świetnie, panie doktorze. – Nabiła na widelec kilka frytek i wsadziła sobie do ust, popijając słodkim piwem. Słabe połączenie smakowe, ale po którymś łyku słodki aromat piwa przestał przeszkadzać. Albo przestała zwracać na niego uwagę.

– Sprawdzono alibi wychowawcy? – spytał Wolski, zapalając papierosa.

Nikotynowa chmura kłębiła się pod sufitem. Po wczorajszej wizycie Marcela całe mieszkanie przesiąkło papierosowym dymem. Przed powrotem Krzysztofa powinna je porządnie wywietrzyć.

– Tak – odparła. – Córka potwierdziła, że spędziła weekend u ojca.

– Mimo to nie wykluczałbym Lewickiego.

– Dlaczego? – spytała.

– Wydaje mi się podejrzany. To przedstawienie, które przygotowywał. I zakończenie łądząco podobne do naszej sprawy.

– Podobne, ale nie takie samo.

Nie takie samo. W przedstawieniu bohaterka umiera przez powieszenie, ale jej ciała nikt nie porywa.

– Mimo to dziwny zbieg okoliczności – stwierdził.

– Obie dziewczyny popełniły samobójstwo. – Obróciła się gwałtownie w stronę Marcela.

– Filmy są dowodem, że same odebrały sobie życie, ale nie mamy dowodu na to, że nie zostały przymuszone.

– Że ktoś stał za kamerą i kazał im się powiesić?

– Na przykład.

– Musiałyby mieć niezłą siłę przekonywania. W tym przypadku zagrożenie bronią wydaje się raczej bez sensu.

– Punktem stycznym między obiema samobójczyniami jest kółko teatralne – rzekła Lena, sięgając po paczkę westów.

– Dlatego nie wykluczałbym Lewickiego.

– Jego alibi jest słabe. Podobnie zresztą jak alibi Dżejdzēja.

– Więc mamy dwóch podejrzanych?

– Dżejdzėj twierdzi, że nie zna Natalii Sztompke.

– Jeśli Diana znała Natalię, on również mógł ją poznać.

To prawda. Ale dopóki nie znajdą żadnego dowodu, poruszali się jedynie w kwestii domysłów.

– Weźmy wychowawcę pod lupę – zaproponował Marcel. – Jaki miałby motyw, żeby zabierać ciało Diany?

– Może jego artystyczna dusza wymknęła się spod kontroli.

– Albo... – Urwał, pocierając bandaż na nadgarstku. – Albo nasze założenia były błędne.

– To znaczy?

– Nie wiem... – Zawahał się. – Nie, to raczej niemożliwe.

– Nie będę w stanie tego ocenić, dopóki nie powiesz, o co chodzi.

– Pomyślałem, że Natalia brała udział w porwaniu zwłok Diany.

– Natalia?

Lena zmarszczyła czoło i pociągnęła porządną porcję nikotyny. Salon zaczynał przypominać zadymioną puszkę. Uchylone drzwi balkonowe dawały lekki przewiew, ale gorące powietrze z zewnątrz nie radziło sobie z nadmiarem dymu.

– Może była zazdrosna? – podsunął Wolski.

– O co? Przecież Diana zrezygnowała z roli.

– Wiesz, jakie są dziewczyny...

– Niby jakie?

– Zazdrosne.

Rudnicka słuchała Marcela z taką miną, jakby opowiadał o najnowszych badaniach w dziedzinie genetyki.

- Nigdy nie byłam zazdrosna – oświadczyła.
- Wątpię.
- Sądzisz, że Natalia była zazdrosna o wychowawcę? Przecież to bez sensu...
- To jedynie przypuszczenie.
- Co ty sugerujesz? Że wychowawca sypiał z uczennicami?
- Nie wiem, to luźny pomysł.
- Wcale nie głupi – przyznała po namyśle.

Uśmiechnął się i spojrzał na Lenę. Jej oczy szklily się od nadmiaru alkoholu, a policzki lekko zaróżowiły.

Marcel dopił piwo i ciężko opadł na oparcie.

– Nie nadaję się do tej roboty – powiedział, przerywając ciszę.

– Ameryki nie odkryłeś.

– Czasami... Czasami zastanawiam się nad zmianą zawodu. Szczególnie w takie dni jak dzisiaj.

– Parkingowym możesz zostać.

– Dlaczego akurat parkingowym?

– A kim innym może zostać były gliniarz? Stróżem, cieciem, ochroniarzem. Większość łąduje w zawodzie, w którym można utrzymać kontakt z bronią. Ciężko rozstać się z poczuciem władzy, jaką daje naładowany glock.

– To mi nie imponuje – odparł. – Nigdy nie ciągnęło mnie do broni.

Prychnęła.

– Jasne – bąknęła. – Mnie też nie. Tylko ciekawe, co robią na tym stoliku dwa naładowane gnaty, co?

Wolski spojrzał na stolik, na którym leżały dwa pistolety. Według regulaminu policjanci mogli przechowywać broń w domu, przy zachowaniu pewnych zasad. Między innymi: broń powinna być wyjęta z kabury, rozładowana, z odłączonym magazynkiem i przechowywana najlepiej w pancерnej szafie, by nie dostała się w niepowołane ręce.

W rzeczywistości nikt tego nie przestrzegał, a zapowiadane kontrole istniały tylko na papierze.

– Przyzwyczajenie.

– Gówno prawda. – Sięgnęła po dzwoniący telefon. Rozmowa nie trwała dłużej niż minutę. – Wstawaj – rzuciła. – Dzwonił Owczarek. Będzie za dziesięć minut.

– Tutaj?

– Mhm.

– Wpuścisz go do domu?

– Nie wpuszczam obcych do domu. A ty tu jesteś tylko dlatego, że sam się wprosiłeś.

– Nie jestem obcy. Dałem ci swoje piwo, to o czymś świadczy, prawda?

Rudnicka szczerze się zaśmiała, a potem wsunęła stopy w buty i ściągnęła z blatu pęk kluczy.

– Idziesz? – zapytała.

– Owczarek chciał rozmawiać z tobą w cztery oczy. Nie wiem, czy powinienem.

Rudnicka czekała przy bramie wjazdowej. Wypaliła dwa papierosy, które zabrała Wolskiemu, i już przymierzała się do zapalenia trzeciego, kiedy poczuła na plecach czyjś oddech. Obróciła się gwałtownie, wpadając na Marcela. Przytrzymał ją za ramiona, ratując od upadku.

– Pogrzało cię?

– Przepraszam. – Uniósł dłonie.

Rzuciła pod nosem kilka przekleństw, po czym powiodła wzrokiem po wąskiej uliczce prowadzącej do kompleksu loftów. Było cicho i pusto. Wciągnęła powietrze do płuc. Śmierdziało spalinami.

W oddali zamajaczyły światła samochodu. Jechał powoli, najwyżej na drugim biegu. Zatrzymał się nieopodal policjantów, w półmroku, unikając zasięgu miejskiej latarni.

– Ktoś naoglądał się filmów szpiegowskich – mruknęła Rudnicka, gdy Krystian Owczarek pomachał im na powitanie. Uśmiechnął się do Leny, Marcela zaś obrzucił nieprzychylnym wzrokiem.

– Wiedziałem, że się zdecydujesz – powiedział dziennikarz i podał Rudnickiej reklamówkę. Butelki zielonego lecha obity się o siebie. Wolski popatrzył na Lenę rozbawiony. Nie przyszłoby mu do głowy, by kazać dziennikarzowi zrobić zakupy w Żabce.

– Mów, bo mam niewiele czasu. – Rudnicka postawiła torbę na ziemi, wyciągnęła jedną butelkę i podważyła kapsel. – Potraktuj piwo jak klepsydrę. Wraz z ostatnim łykiem skończy się twój czas.

– Radzę się pospieszyć – wtrącił Marcel. – Komisarz ma dzisiaj dobre tempo.

– Okej. – Owczarek wsunął dłonie do kieszeni rozpinanej bluzy. – Ale zawrzyjmy obustronną umowę. Powiem wam, czego się dowiedziałem, a wy powiecie, kto siedzi na dołku.

Marcel przypuszczał, że tej nocy Owczarek raczej nie pośpi. Będzie pisał artykuł na internetową stronę gazety. Wydanie papierowe wychodzi dopiero za tydzień, więc będzie miał wystarczająco dużo czasu, aby zebrać więcej informacji. O ile Lena zechce podzielić się z dziennikarzem swoją wiedzą. Z Rudnicką nigdy nic nie wiadomo.

– Ty pierwszy – bąknęła i przechyliła butelkę.

– Rozmawiałem z Axelem Pulido, bratem Diany...

– Wiemy, kim jest Axel Pulido.

– No więc kiedy jego matka zadzwoniła z propozycją współpracy, spotkałem się z całą rodziną. Rozmawiałem z każdym po kolei, również z Axelem. Chłopak powiedział coś, co może was zainteresować.

– Streszczaj się. – Rudnicka pociągnęła kolejny łyk.

– Powiedział, że Damian Lewicki, wychowawca z kółka teatralnego, zmienił scenariusz. Lena zmarszczyła brwi.

– Wiem o przedstawieniu – dodał Owczarek, nie kryjąc zadowolenia. Teraz to on rozdawał karty. – Matka mówiła, że Diana interesowała się aktorstwem. Dotarłem do Lewickiego, potem przycisnąłem koleżanki Diany. Lewicki zmienił zakończenie przedstawienia, ale według brata Diany nowe jej się nie spodobało. Dlatego odeszła z kółka.

Twarz Rudnickiej nie wyrażała żadnych emocji.

– Jakie jest to nowe zakończenie? – zapytała.

– Główna bohaterka popełnia samobójstwo. – Owczarek odchrząknął. – Ale... Ale jej ciało znika.

ROZDZIAŁ III

ŚRODA, 27 CZERWCA

1

Ciemnowłosa dziewczyna o południowej urodzie uniosła rękę na wysokość barku, wystawiła dłoń w geście stopu i zamknęła ją drugą dłonią. Ponownie otworzyła dłoń i zamknęła. Otworzyła dłoń i zamknęła. Opuściła lewą rękę wzdłuż ciała, ale palce prawej dłoni wciąż poruszały się w górę i w dół. Przedramię pozostawało nieruchome, jedynie palce wykonywały ruch w górę i w dół.

Ludzkość jest drzewem, a ludzie są liśćmi. Drzewo trwa i rośnie, chociaż liście opadają.

Dziewczyna opuściła rękę, zakręciła się wokół własnej osi, a jej długie włosy wirowały wokół ciała niczym karuzela. Nagle upadła na kolana, a gdy podniosła głowę, zza jej pleców wyłonił się sznur. Porządny żeglarski sznur. Dziewczyna weszła na krzeselko, sprawdziła splot i uśmiechnęła się radośnie. Założyła pętlę na szyję, pomachała na pożegnanie, wykonując gest w ten sam sposób, w jaki robiła to przed chwilą. Sztywne przedramię, poruszające się palce. Kopnęła krzeselko, a wokół zapanowała ciemność.

– Widziałeś to? – odezwała się Rudnicka, kiedy ekran laptopa pojaśniał, a nagrywający przedstawienie skierował oko kamery na klaszczącą publiczność. Diana Pulido wraz z innymi aktorkami ukloniła się i zniknęła za kotarą. – Nie wiem, kto pozwala, żeby w czymś takim grały dzieci.

– Przynajmniej wiemy, że Diana nie napisała swojego przemówienia – zauważył Wolski.

Nagranie z konkursu młodych aktorów ucichło. Serwis YouTube rozpoczął odliczanie do rozpoczęcia kolejnego filmu. Rudnicka zamknęła laptop, wstała i podała Marcelowi kubek z kawą. Sama usiadła naprzeciwko, napiła się kawy i zagryzła rządkiem czekolady.

– Słodczyce na śniadanie to raczej kiepski pomysł – stwierdził.

– W lodówce mam tylko światło – odrzekła. – I keczup.

Sięgnął po czekoladę w nadziei, że cukier pobudzi zaspany mózg. Dochodziła ósma trzydzieści rano, ale Marcel czuł się, jakby nie spał całą noc. Dwukrotne mycie zębów nie zniwelowało kwaśnego posmaku alkoholu w przełyku, a chłodny prysznic nie poprawił nastroju. Ciało było otępiałe.

Przeciągnął się, rozprostowując plecy.

- Twoja kanapa jest strasznie niewygodna – bąknął.
- Nikt nie kazał ci na niej spać – odparła Rudnicka, mierząc sierżanta wzrokiem.
- Mogłaś pościelić mi w drugim pokoju.
- Drugi pokój zajmuje mój szanowny małżonek.
- Którego teraz nie ma.
- Ale zaraz wróci. – Napila się kawy. – Poza tym sam się wprosiłeś.

Wracanie w nocy do domu nie miało sensu. Marcel musiałby zostawić samochód przed mieszkaniem Leny i wrócić po niego rano. Zdawał sobie sprawę, że to kiepskie wytłumaczenie. Zwykła wymówka. Ona również to wiedziała, ale pozwoliła mu zostać na noc.

Na kanapie oczywiście.

- Pij tę kawę, bo zaraz się zwijamy – oświadczyła, wstając.

Marcel obserwował, jak Lena wkłada kubek do zmywarki i wyciąga z szafki dwa batoniki Seven Days. Rzuciła mu jednego, tego mniejszego, sobie wzięła wersję XXL. Ugryzła, opierając się plecami o kuchenny blat.

- Czego się gapisz? – spytała.

- Zastanawiam się, jak ty to robisz, że pochłaniasz tyle słodczy, a jesteś taka chuda.

Zatopila zęby w miękkim rogaliku, namyślając się nad odpowiedzią.

– Diana przed śmiercią wygłosiła przemówienie napisane na potrzeby przedstawienia – wrócił do tematu.

- No – mruknęła z pełnymi ustami.

- Nie powiesz nic więcej? Zazwyczaj trudno ci przerwać.

Przełknęła i popatrzyła na niego rozbawiona.

- Nie wiem. Mam jakiś dziwny nastrój.

- Właśnie widzę.

Dobrze wiedziała, czym spowodowany jest jej dobry nastrój. To trzeci dzień, od kiedy Krzysztof odpoczywał nad morzem. Pozostały jeszcze cztery, ale mimo to czuła się rozluźniona. Dawno nie była w domu sama. Błoga cisza i spokój były znacznie lepsze od wakacji w Sopocie.

- Zatrzymujemy Lewickiego? – zapytał Marcel.

- Pieprzony belfer musiał gdzieś popełnić błąd.

- O ile belfer zabrał ciało Diany.

Nie mieli na to żadnego dowodu. Ani w telefonie Diany, ani w komórce Natalii nie znaleźli żadnych połączeń, wiadomości na numer nauczyciela. Co nie oznaczało, że nie utrzymywał z dziewczynami kontaktów poza domem kultury. Ale jak się tego dowiedzieć?

- Spotkamy się z innymi dzieciakami – poinformowała Lena.

- Z kółka teatralnego?

- Tak. Może dowiemy się czegoś o Lewickim.

Wolski wyjął telefon i wszedł na stronę „Głosu Polski”. Kliknął pierwszy artykuł.

– Owczarek wysmażył tekst – powiedział.

– Kiedy my złopaliśmy browary, on śleczął całą noc nad klawiaturą.

– Napisał, że dzięki kontaktom z informatorem dowiedział się, że zatrzymany został chłopak Diany Pulido. Chyba zrobił słabe rozeznanie na temat Dzejdżeja, bo nadmienił tylko, że charakteryzuje się ekscentrycznym wyglądem.

– Zostałam informatorem?

– Słabym. Nie powiedziałaś mu nawet, że Jurek miał problemy z policją ani że handluje prochami.

– Informacja za informacją. Owczarek podał jedną.

– Prędzej czy później dokopie się do Dzejdżeja.

– To jego praca. Nie będę odbierać mu tej przyjemności.

Uśmiechnął się, chowając komórkę. Podszedł do kosza, wyrzucił papierek i popatrzył na Lenę. Po porannym prysznicu jej włosy były jeszcze lekko wilgotne. Marcel nabrał ochoty, by zanurzyć w nich dłoń. Szybko odpędził tę myśl, odwracając wzrok.

– Zbieraj się, sierzancie. Robota czeka. – Zniknęła w korytarzu, a kiedy po paru minutach ponownie zjawiła się w kuchni, Marcel odetchnął. Znowu stała przed nim komisarz Rudnicka. Obraz zaspanej dziewczyny ze zmierzwionymi włosami na dłuższą metę mógł być niebezpieczny.

Opuścili mieszkanie i zapakowali się do fabii. Komisarz zaczęła dzień telefonem do domu kultury. Wypytała sekretarkę o godziny, w jakich odbywały się zajęcia kółka teatralnego. Potem zadzwoniła do Felicjana Bani. Gdy skończyła rozmowę, cisnęła telefonem o deskę rozdzielczą. Najwidoczniej patolog nie miał jeszcze wyników sekcji zwłok Natalii ani badań toksykologicznych. Rudnicka chciała się dowiedzieć, czy w chwili śmierci dziewczyna była pod wpływem narkotyków. To ułatwiłoby sprawę.

– Dlaczego to tyle, kurwa, trwa? – zapytała tonem, jakby całą winę za przebieg spraw przypisywała Marcelowi. Zaciągnęła się i wypuściła dym przez otwartą szybę. – Zajęcia teatralne są o piętnastej – dodała. – Trwają półtorej godziny, więc przydybiemy dzieciaki, kiedy wyjdą z domu kultury.

Marcel dodał gazu, kierując się w stronę domu państwa Pulido. Wczoraj technicy skończyli pracę, a rodzina wróciła do domu. Jechali w milczeniu. Rudnicka zabroniła mu włączyć radio, przez uchylone okna wlatywał gwar budzącej się do życia ulicy.

Gdy podjechali przed dom Diany, Rudnicka szybkim krokiem przeszła przez podjazd i załomotała pięścią w drzwi. Hanna Pulido otworzyła błyskawicznie. Niechętnie wpuściła policjantów do środka, a Rudnicka dostrzegła w jej oczach wrogość.

Kiedy Lena ostatnio była u państwa Pulido, w domu panował porządek. Dzisiaj salon wyglądał, jakby stoczono w nim bitwę. Ubrania, brudne naczynia i papierowe opakowania po jedzeniu na wynos zajmowały większą część przestrzeni. Wszystkie okna pozostawały zamknięte. Panował zaduch. W powietrzu unosił się zapach potu.

– Pani Pulido... – zaczął Marcel.

– Mamy parę pytań – oznajmiła Rudnicka. Chciała jak najszybciej załatwić sprawę. – Proszę poprosić męża.

Hanna kiwnęła beznamyślnie głową, zniknęła na tarasie i wróciła z mężem u boku. Odór trawionego alkoholu podążał za Emiliem niczym chmura.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Wiecie coś nowego na temat Diany? – dodała jego żona.

– Mamy parę pytań – powtórzyła Lena. – Mówi wam coś nazwisko Jerzego Jurka?

– Jerzy Jurek? Kto to jest?

– Czy Diana wspomniała kiedykolwiek to nazwisko?

– Nie.

Hanna Pulido już wcześniej mówiła, że nic nie wie o chłopaku Diany, jednak Emilio nie zaprzeczył. Siedział nieruchomo, wpatrując się w policjantkę.

– A panu mówi coś nazwisko Jurek?

– Nie – odrzekł. – Oczywiście, że nie. Kim on jest?

– A Dzejdziej, czy Diana wspominała tę ksywkę?

– Nie! Na Boga, niech pani powie, o co chodzi! – zawołała Hanna, podnosząc się z fotela. Jej flanelowy szlafrok zsunął się z ramienia. Naciągnęła go ze złością i wbiła wzrok w komisarz.

– To chłopak państwa córki.

– Chłopak? – Małżonkowie wypowiedzieli pytanie niemal jednocześnie.

– Diana nie chwaliła się, że ma chłopaka – oświadczyła Hanna.

– Nic nie wiedzieliśmy – zawtórował jej Emilio.

Lena pokiwała głową. Pytanie o Dzejdżeja zadała dla porządku. Nie spodziewała się innej odpowiedzi. Teraz nadszedł czas na następny krok.

– Natalia Sztompke – powiedziała komisarz. – Znaliście ją?

– Sztompke? – Starannie wyskubane brwi pani Pulido podskoczyły do góry. – To koleżanka Diany?

– Próbuje się tego dowiedzieć – odparła Lena.

– Nie znam żadnej Sztompke.

– Natalia Sztompke wczoraj się powiesiła.

Kobieta zamarła, przenosząc wzrok z Leny na Marcela, jakby wypowiedziane przed chwilą słowa w ogóle do niej nie docierały.

– Akt swojego samobójstwa transmitowała na żywo w internecie – mówiła Lena. – I jest bliźniaczo podobny do nagrania Diany.

– Co to znaczy bliźniaczo podobny? – Emilio podniósł głos.

– Natalia Sztompke zachowuje się w podobny sposób jak państwa córka – wyjaśnił Wolski.

– Szukamy powiązań między dziewczynami. – Lena wyjęła komórkę i uruchomiła zdjęcia dziewczyny ściągnięte z internetu. – Poznajecie ją?

Oboje pokręcili głowami.

Rudnicka zakłęła w myślach, schowała telefon i spojrzała w stronę korytarza, gdzie kręcił się Axel Pulido. Zawołała chłopaka i pokazała fotografię.

– Nie znam jej – powiedział ściszym głosem, obejmując się ramionami.

Rudnicka zapytała o Dzejdżeja, a wtedy Axel również zaprzeczył. Dzieciak wyglądał na wystraszonego. Zresztą nie było w tym nic dziwnego. W końcu miał dopiero czternaście lat.

Odpuściła mu i skupiła się na rodzicach Diany.

– Pytaliśmy już panią o tę sprawę – zaczęła, spoglądając na Emilia. – Rozmawialiśmy z nauczycielką Diany. Powiedziała, że Diana opuściła szkołę kilka dni przed zakończeniem roku.

Emilio spojrzał, jakby nie widział w tym nic złego.

– Powiedział jej pan, że była w domu. To prawda?

– Tak.

Hanna wyglądała na zaskoczoną.

– Nic nie wiedziałam – stwierdziła. – Dlaczego mi nie powiedziałeś? Powinam wiedzieć.

Emilio zmarszczył brwi.

– Co to ma do rzeczy? – spytał.

– Proszę odpowiedzieć. – Lena przekładała telefon z jednej dłoni do drugiej.

– Diana mnie poprosiła – rzekł. – Mówiła, że już nie ma lekcji, że siedzą na zajęciach i nie robią nic konkretnego, bo jest już po radzie pedagogicznej. – Zerknął na żonę. – Prosiła mnie, żebym ci nie mówił. Uważała, że nie pozwolisz jej zostać w domu.

– Emilio!

– Przepraszam, kochanie, wiedziałem, że się zdenerwujesz. Dlatego nic nie mówiłem. Uznałem, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Diana została w domu.

– Powinieneś mi powiedzieć.

– Wiem, przepraszam. – Objął żonę ramieniem.

– Kiedy dowiemy się czegoś więcej, damy znać. – Rudnicka skinęła na Marcela.

Kiedy znaleźli się na podjeździe, dostrzegła kręcącego się za domem Axela. Chłopak wyglądał, jakby chciał podejść do policjantów, ale przystanął w pół kroku. Z wnętrza domu dobiegło wołanie Emilia.

Axel zawrócił na schody i zniknął za drzwiami.

Roksana Antolak zawsze pragnęła mieć rodzeństwo. Z zazdrością słuchała opowiadań koleżanek o nieznośnych młodszych siostrach podkradających ubrania lub starszych braciach, którzy uważali się za znacznie dojrzalszych i mądrzejszych, niż byli w rzeczywistości.

Roksana chciała mieć rodzeństwo. Starszego brata z zamiłowaniem do kulturystyki. Z wyrobionymi na siłowni bicepsami i szerokimi barami. Brat na pewno by mi pomógł, pomyślała, nie dopuściłby do sytuacji, jaka rozgrywała się w domu. Zaprowadziłby porządek.

Tymczasem ona nie mogła nic zrobić. Nie mogła krzyczeć, choć chciała, nie mogła zgłosić się na policję, bo matka nigdy by jej tego nie wybaczyła. Matka powtarzała, że to, co dzieje się w domu, powinno zostać w domu.

Roksana zajęła miejsce na ostatnim stopniu prowadzącym na poddasze. Obejmując się ramionami, czekała na koniec. Najchętniej zakryłaby uszy, chociaż dobrze wiedziała, że to nic nie da. Krzyki wzbierały na sile. Ojciec dopiero się rozkręcał.

Zsunęła się nieco niżej. Drewniany schodek zaskrzypiał, a Roksana zamarła w bezruchu. Umysł podpowiadał, by wstać i zacząć uciekać, lecz ciało nagle stało się ciężkie i niezdolne do ruchu. Odetchnęła, słysząc, że żadne z rodziców nie zarejestrowało jej obecności. Przesunęła się w prawo, zaglądając do kuchni.

Ojciec stał odwrócony plecami. Dyszał ciężko. Był zmęczony. Okładanie własnej żony to wyczerpujące zajęcie.

Roksana przejechała dłonią po gołych łydkach. Szramy po ostatnim spotkaniu z ojcem już się prawie zagoiły. Razy zadane kablem od telewizora były bolesne. Roksanie przemknęło przez myśl, by zakończyć to cierpienie. Spojrzała na wazon stojący na komodzie. Nadawałby się idealnie. Gdyby miała wystarczająco dużo siły, żeby uderzyć ojca w tył głowy, może zdołałaby go zabić? Choć wstydziła się swoich myśli, nie potrafiła skupić się na niczym innym. Niczego nie pragnęła bardziej niż śmierci własnego ojca.

Zsunęła się jeszcze niżej, by popatrzeć matkę. Leżała na podłodze, ubrana w fartuch w tulipany. Jej ciało dygotało. Znoszony kapeć ojca, który matka kupiła mu na urodziny, zanurzał się w fałdach tłuszczu. Jeden kopniak za drugim. Ojciec nie należał do zorganizowanych osób, więc jego ruchy były chaotyczne.

Nagle matka ucichła. Przestała krzyczeć, jak gdyby chciała zrobić ojcu na złość. Wiedziała, że krzyk go napędza. Uwielbiał, gdy prosiła, żeby przestał; gdy błagała o litość. Matka zakryła rękoma głowę. „Pamiętaj, żeby chować głowę”, powtarzała córce, gdy ojciec uderzył Roksanę po raz pierwszy.

Dziewczyna czuła, jak oczy wypełniają się łzami. Chociaż nie chciała płakać, pozwoliła, by spływały po policzku. Nie chciała okazywać słabości. Powinna być silna.

Poranny napad gniewu ojca przynosił jedną korzyść – spokój przez resztę dnia dla niej i matki. Za chwilę tamten, by uspokoić skołatane nerwy, sięgnie po piwo, po które matka codziennie biegała do sklepu (twierdziła, że kiedy ojciec nie ma się czego napić, robi się

bardziej nerwowo), usiądzie przed telewizorem, obejrzy kilka odcinków serialu paradokumentalnego, około czternastej utnie sobie drzemkę, a wieczorem otworzy następny czteropak.

Każdy dzień w rodzinie Antolaków mijał właśnie w ten sposób. Codzienne rytuały weszły domownikom w krew i zdawało się, że ani ojciec, ani matka nie widzą w tym nic dziwnego. Oczywiście czasem oberwało się Roksanie, ale to głównie matka przyjmowała ciosy na siebie, chcąc w ten sposób uchronić córkę przed rozwścieczonym ojcem. Oprawca był przekonany o swojej bezkarności, wiedział, że żadna z nich na niego nie doniesie.

Stęknienie. Ojciec głośno odsapnął i otworzył lodówkę.

– Co ja z tobą, kurwo, mam? – Otworzył piwo i pociągnął łyk. Obliznął wargi i beknął, ocierając usta wierzchem dłoni. – No i po co ci to było? – zapytał, szczerząc zęby w szyderczym uśmiechu.

Izabela Antolak nie odpowiedziała. Zresztą Kazimierz nie oczekiwał odpowiedzi. Poklepał się po brzuchu i ruszył w stronę dużego pokoju.

Roksana wycofała się na piętro. Kiedy ojciec włączy telewizor, zejdzie ze schodów i pomoże matce się pozbierać.

3

Aldona Sztompke owinęła się szlafrokiem i pomachała dzieciom na pożegnanie. Mały Filipiek ubrany w zielone spodnie i kraciatą koszulę dzielnie pokonywał podwórko. Unosił wysoko nóżki, by nie potknąć się o wystające kamienie. Wsiadł na tylne siedzenie samochodu i odwrócił się do tylnej szyby. Pomachał rączką.

Niebieski matiz wycofał się z podwórka i wyjechał na ulicę. Aldona odetchnęła. Boże, jak dobrze, że siostra zgodziła się zająć dziećmi. Nie żyły w najlepszych stosunkach, ale w obliczu takiej tragedii rodzinne animozje tracą na znaczeniu. Zresztą Katarzyna sama zaproponowała pomoc. Aldona nie myślała długo, od razu się zgodziła, by dzieci zamieszkały u siostry na kilka dni. Nie potrafiłaby udawać przed nimi, że wszystko jest w porządku. Wraz z mężem ustalili, że na razie nie powiedzą im o śmierci Natalii. Rana w sercu była zbyt świeża.

Aldona czuła się winna śmierci najstarszej córki. Była jej matką, jak mogła nie zauważyć, że dzieje się coś złego?

Natalia była dobrym dzieckiem. Z racji tego, że była najstarsza, pomagała w opiece nad maluchami. Odprowadzała rodzeństwo do przedszkola, potem do szkoły. Aldona była dumna, że córka jest tak dojrzała. Ponadto Natalia odciążała ją w niektórych obowiązkach. Życie z gromadką dzieci nie zawsze jest kolorowe. Aldona zawsze pragnęła mieć dużą rodzinę. Duża rodzina to szczęśliwy dom, ale zajmowanie się dziećmi czasem przypominało wejście na Mount Everest. Była zwyczajnie zmęczona.

Po odjeździe dzieci Aldona snuła się po mieszkaniu. W kuchni panował rozgardiasz. W zlewie zalegał stos naczyń, niedojedzone kanapki ze śniadania, na podłodze czerwona plama po porannej zupce Filipka, który rozchlapał zawartość miseczki na kafelki. Nie miała siły sprzątać. Usiadła na łóżku w pokoju Natalii i ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że musi przejrzeć rzeczy córki. Uważała, że dziecko ma prawo do prywatności, ale w takiej sytuacji...

Przykucnęła przed szafką i się zawahała. Czuła się jak intruz. Nie powinna grzebać w rzeczach Natalii, ale mimo sięgnęła po pierwszy zeszyt. Notatki z historii, biologii, matematyki. Kartki, stare sprawdziany, kolorowe gazety plotkarskie, zapasowa ładowarka do telefonu, parę książek. Nic osobistego. Aldona odsapnęła zadowolona. Wyrzuty sumienia nieco osłabły, ale rozпалиły się z nową siłą, gdy spostrzegła czarny zeszyt w żółte cytryny. Sięgnęła po niego i przekartkowała, a jej serce nagle przyspieszyło.

Pamiętnik.

Aldona przypomniała sobie słowa policjantki, która prosiła, by skontaktować się, jeśli znajdzie dziennik Natalii. Oczywiście, że poinformuje o znalezisku policję, ale najpierw sama przejrzy zawartość. Być może na tych kartkach znajdzie powód, dla którego córka odebrała sobie życie?

Przeczytawszy pierwsze zdanie, poczuła się, jakby ktoś dźgnął ją w bok. Nie powinnam tego czytać, pomyślała. To prywatne sprawy mojej córki.

Aldona zadrżała. Bała się, że dowie się czegoś, o czym nie chciałyby wiedzieć.

Zamknęła pamiętnik.

4

Kobieta w recepcji domu kultury wyglądała jak przeniesiona żywcem z lat osiemdziesiątych. Miała na sobie dzinsy z szerokimi nogawkami i neonową podkoszulkę. Natapirowane włosy opadały na ramiona, a podkrecona grzywka sprawiała wrażenie, jakby całą noc spędziła okręcona wokół wałka.

– Fanka Backstreet Boys, co? – zagadnęła Rudnicka, opierając się o ladę recepcji.

– Słucham? – zdziwiła się kobieta.

Rudnicka uśmiechnęła się kpiąco.

– Jak patrzę na ten neon, mam ochotę założyć okulary przeciwsłoneczne – powiedziała.

Recepcjonistka dłonią przyglądała bluzkę.

– Szukamy Damiana.

– Jest u siebie w...

Rudnicka już nie słuchała. Bez słowa ruszyła przed siebie. Kobieta wybiegła zza lady.

– Ale nie można mu przeszkadzać! – zawołała, próbując dogonić komisarz.

– Niby dlaczego?

– Pracuje.

– Jak każdy.

– Pan Damian załatwia dotację z Unii Europejskiej. Nie można mu przerywać.

Rudnicka obrzuciła rozmówczynię pobłażliwym spojrzeniem i nie zważając na dalsze protesty, weszła do biura Lewickiego. Cztery głowy uniosły się znad ekranów komputerów. Szybkie klik-klik i monitory wygasły.

– Policja – powiedziała Lena, a trzy kobiety wydały pomruk zaskoczenia. Cycata blondynka wypuściła z rąk mazak, który poturlał się prosto pod nogi policjantów.

Lena podniosła pisak i podała go kobiecie.

– Musimy porozmawiać z panem Lewickim – powiedziała. – Niech szanowne panie zrobią przerwę na szybką kawkę.

– Pani wybaczy, ale jesteśmy naprawdę zajęci – zaproponował Damian Lewicki, lecz w jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju.

Współpracownicy Damiana Lewickiego spojrzali na policjantów, a potem jak na komendę podniosły się z krzeseł. W pośpiechu ułożyły dokumenty w teczkach i wyszły gęsiego niczym wyszkolone żołnierki.

Policjanci przysunęli krzesła i usiedli naprzeciwko wychowawcy.

– Powiedziałem wszystko, co wiedziałem – odezwał się. – Dlaczego znowu mnie nachodzicie?

– Oglądałam *Cierpienia młodej dziewczyny* – powiedziała Rudnicka. – Diana nieźle wypadła w głównej roli.

Cisza.

– Oglądał pan film z samobójstwa Diany? – zapytała.

– Nie, nie oglądałem.

– A chce pan zobaczyć?

– Nie.

Głos Lewickiego nie brzmiał przekonująco. Komisarz podejrzewała, że widział film niejednokrotnie, jednak przyznanie się do tego raczej nie postawiłoby go w dobrym świetle.

– Czy nie wydaje się panu dziwne, że zarówno Diana, jak i Natalia wygłosiły przed śmiercią cytaty z pańskiej sztuki? – spytała Lena.

– Nie wiem, co wygłosiły. Nie widziałem nagrania.

– Ale czyta pan prasę? W każdym dzienniku przytaczano słowa dziewczyn.

Wychowawca odwrócił głowę i spojrzał w okno. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę pociągnąć za klamkę i wyskoczyć na zewnątrz.

– Dobrze – powiedział po krótkiej chwili. – Czytałem gazety.

– Brawo – mruknęła komisarz.

– I przyznaję, że zdziwiło mnie to, że dziewczyny zacytowały fragment scenariusza.

Lena nachyliła się do niego i postukała palcem w blat biurka.

– Twoja dobroczynna działalność nie robi na mnie wrażenia – stwierdziła. – Lepiej zacznij mówić prawdę, bo pożałujesz.

Damian wyprostował się, zaskoczony bezceremonialnością policjantki. Przełknął ślinę i splótł dłonie na kolanach.

– Pani komisarz, ale ja mówię prawdę. Nie mam nic wspólnego z porwaniem ciała Diany.

– Dlaczego nie powiedział pan, że zmienił zakończenie przedstawienia? – odezwał się Wolski.

Wychowawca się zarumienił.

– Nie rozumiem – wymamrotał.

– Ależ rozumiesz doskonale. – Lena założyła nogę na nogę.

– Nie, nie rozumiem, dlaczego to zrobiły. Dlaczego się powiesiły i dlaczego zacytowały fragment scenariusza.

– A może niespełniona artystyczna dusza kazała ci namówić dziewczyny do urzeczywistnienia sztuki, żeby zyskać rozgłos?

– Chyba pani żartuje? Co pani wygaduje?

– Media już dotarły do nagrania z przeglądu, na którym wystawialiście tę sztukę, i rozpisują się na pański temat.

– Raczej w nieprzychylnych słowach, więc jeśli chciałbym zrobić sobie reklamę, to jak sądzę, nie jest to najlepsza droga.

– Nieważne, jak piszą, ważne, żeby pisali.

– Naprawdę sądzi pani, że byłbym zdolny namawiać nastolatki do samobójstwa? – Zaśmiał się gorzko. – To absurd.

– Dziwnym trafem wszystkie ślady prowadzą do ciebie. Diana i Natalia miały z tobą kontakt, należały do kółka teatralnego i grały główną rolę w przedstawieniu.

Wychowawca wykrzywił lewą część twarzy, jakby nagle rozboleł go ząb. Zacisnął usta, odwracając wzrok.

– Mam alibi – powiedział w końcu. – I nie mam nic wspólnego z porwaniem ciała Diany. To jakaś paskudna pomyłka.

– Masz słabe alibi.

– Przyszliście mnie aresztować?

Rudnicka doszła do wniosku, że z tym może jeszcze chwilę poczekać. Wychodziła z założenia, że ludzie są znacznie bardziej skorzy do zwierzeń, kiedy przebywają na wolności.

– Nie – odparła z uśmiechem. – Przecież masz alibi.

Odetchnął, jakby komisarz zdjęła z niego kilkukilowy gład.

– Proszę na siebie uważać, panie Lewicki – dodała komisarz, wstając. Skinęła na Marcela i po chwili oboje opuścili gabinet wychowawcy.

Rudnicka zapaliła papierosa i oparła się o fabię. Wypuściła dym, a w ciało uderzył żar bijący od nagrzanego maski samochodu. Komisarz spojrzała na budynek domu kultury. Siermiężny, betonowy klocek postawiony w epoce komunizmu. Jeszcze niedawno odstraszał odpadającym tynkiem i szarością, ale jakiś czas temu przeprowadzono remont i znajdujący się w środku miasta gmach wreszcie przybrał formę nieco przyjemniejszą dla oka.

– Moglibyśmy iść na komendę pieszo – zaproponował Marcel.

– Pieszko?

– To minuta drogi.

Rudnicka uniosła brwi, jakby krótki spacer był wyzwaniem na miarę pieszej pielgrzymki do Częstochowy.

– Co o nim sądzisz? – spytał Wolski.

– Coś ukrywa – odparła, wypuszczając dym.

– Może popołudniowa rozmowa z dziećmi z kółka teatralnego nieco nam rozjaśni sprawę?

Lena już miała odpowiedzieć, kiedy usłyszała wołanie.

– Proszę państwa!

Policjanci obrócili się w stronę wejścia do budynku domu kultury, ale nikogo nie zauważyli.

– Tutaj! – Biuściasta blondyna z biura Lewickiego zamachała ręką. Stała pod ścianą, między dwoma oknami. Gestem zaprosiła, by podeszli bliżej, jakby nie chciała, żeby koleżanki pracujące na parterze dostrzegły, że rozmawia z policją.

– O co chodzi? – zapytał Wolski, stając naprzeciwko kobiety. Jej wydatny biust mimowolnie przyciągnął jego wzrok.

– Czytałam poranną prasę – powiedziała półgłosem, rozglądając się na boki. – Czy Damian jest o coś podejrzany? Dziwny zbieg okoliczności z tym przedstawieniem, prawda?

– Ale o co chodzi?

– No... Właśnie nie wiem o co.

Rudnicka uniosła brwi.

– Bo... – Kobieta się zawahała. – Od początku śledzę sprawę Diany i jedno nie daje mi spokoju. Ciągłe o tym myślę i uznałam, że powinnam komuś powiedzieć.

– Mhm – mruknęła Lena. – To niech pani mówi, a nie krąży jak airbus nad Okęciem.

Kobieta przeniosła ciężar z lewej na prawą nogę, wciąż nerwowo się rozglądając.

– Chodzi o Damiana – powiedziała. – Nie chciałabym, żebyście pomyśleli, że rzucam na niego jakieś oskarżenia. Ale Damian i te dziewczynki... Widziałam, jak parę razy po zajęciach zostawała pewna grupka. Damian zamykał wtedy salkę i dość długo siedział z tymi dziewczynami. To dziwne, bo nie powinien, prawda?

Oczy Leny rozbłysły. Robiło się ciekawie. Wprawdzie biuściasta nie wyglądała na bystrą, ale jak widać, pozory mogą mylić.

– „Długo” to obszerne pojęcie – odparła. – To może być pół godziny albo kilka godzin, więc jak długo Lewicki siedział w pokoju z dziewczynami?

– Różnie. Czasami tylko pół godziny, a innym razem zauważyłam, że wychodzą dopiero po osiemnastej, czyli ponad półtorej godziny po zajęciach.

– Wie pani, co robili w tej salce? – zapytał Marcel.

– Nie mam pojęcia. Kiedy pytałam, Damian odpowiadał, że rozmawiają, ale nigdy tego nie sprawdziłam. – Zasepiła się. – Jestem głupia, co? Powinnam wejść i zobaczyć, czy mówi prawdę, ale nie przyszło mi do głowy, że mógłby kłamać.

– To jeszcze nic nie znaczy – uspokoił ją Wolski. – Naprawdę mogli rozmawiać.

– Jak pani myśli? – zapytała Lena. – Co robili w salce?

Blondyna przewróciła oczami, jakby odpowiedź na to pytanie była dla niej oczywista.

– Sugeruje pani coś niestosownego? – podjął Wolski.

– Nie mam pojęcia! Chciałam, żebyście wiedzieli, że coś takiego miało miejsce.

Może w salce rzeczywiście nie działo się nic zdrożnego, ale sam fakt, że wychowawca zamykał się z nastolatkami, był zaskakujący. Nasuwało się więc jedno pytanie.

– Które dziewczyny zostawały po zajęciach?

Kobieta przełknęła ślinę, a strużka potu wpłynęła w rowek między piersiami.

– Diana i Natalia – powiedziała cicho. – I jeszcze jedna dziewczyna, ale nie znam jej. Nie uczęszczała na kółko. Przychodziła, gdy zajęcia się kończyły.

– Jak wyglądała? – spytała Lena.

– Nijak. Długie, ciemne włosy, chuda i ubrana na czarno.

Lena poczuła, że ta banalna rozmowa pchnęła śledztwo na zupełnie inne tory.

5

W gabinecie Leny było gorąco jak w piekarniku. Chociaż zaciągnięte w oknach rolety nie przepuszczały promieni słońca, to jednak pokój znajdował się od południowej strony. Temperatura wewnątrz rosła z każdą minutą.

Marcel przetarł ramieniem czoło i upił łyk schłodzonego energy drinka. Potrzebował czegoś, co doda mu energii, ale na myśl o parującej kawie robiło mu się niedobrze.

– Co za skwar – mruknięła Rudnicka, wchodząc do gabinetu. Ściągnęła marynarkę i usiadła za biurkiem. – Co to jest za kraj? Kiedy jest zimno, to wypadałoby maszerować w grubych kożuchach, a kiedy już nadejdzie cholerne lato, to najlepiej obłożyć się kostkami lodu i przetrwać do jesieni. – Otworzyła puszkę red bulla, pociągnęła łyk i odstawiła na blat.

– Gdzie byłaś? – zapytał Marcel.

– Kiedy?

– Teraz. Nie było cię dobre piętnaście minut.

– A co? – Rudnicka zmarszczyła brwi i odchyliła się na oparciu. – Książkę piszesz? Nie wróżę ci wielkiej kariery, bo czytałam twoje ostatnie raporty i muszę przyznać, że talentu pisarskiego to ty za grosz nie masz.

Wolski zagryzł wargę. Rudnicka wypowiedziała te słowa lekkim tonem, lecz Marcel wyczuł pewną nerwowość w jej głosie. Kiedy wchodzili na komendę, zadzwonił telefon Leny. Musiało to być coś ważnego, bo pognąła na spotkanie bez słowa protestu. To do niej niepodobne. Uznał jednak, że jeśli byłoby to coś związanego ze śledztwem, Rudnicka pewnie podzieliłaby się z nim nowymi informacjami. Postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy.

Opadł ciężko na fotel, zerkając na notes leżący na biurku. Zapiski nastolatki. Kiedy rozmawiali z Damianem Lewickim, na komendę zgłosiła się matka Natalii Sztompke, która przyniosła pamiętnik córki. Z tego co Marcel zdążył zobaczyć, czeka ich nie lada wyzwanie, bo Natalia Sztompke miała nadzwyczaj paskudny charakter pisma.

Tym razem Rudnicka zaczęła od kartki datowanej na miesiąc przed samobójstwem. Zanim zdążyła przeczytać pierwsze zdanie, spojrzała znacząco na Marcela, wskazując postrzępione kartki.

– Wyrwane strony – zauważył. – Ciekawe, kto je wyrwał? Matka czy Natalia?

– Matka twierdzi, że nawet nie czytała pamiętnika.

– Dlaczego?

– Powiedziała, że nie była w stanie.

– Wierzysz jej? Na miejscu Aldony Sztompke wolałbym wiedzieć, co skłoniło moją córkę do samobójstwa.

– Ale nie jesteś na jej miejscu – odburknęła. – I obyś nigdy nie był.

Wolski spochmurniał.

– Poza tym wątpię, byś kiedykolwiek dorobił się potomka – dodała Rudnicka. – Nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby się z tobą rozmnożyć. Ale dość gadania, bierz się za ten pamiętnik. – Przesunęła notes po blacie.

– Ja?

– No, a kto?

– Myślałem, że przejrzymy go razem.

– Nie myśl. Już ustaliliśmy, że myślenie nie jest twoją mocną stroną.

Wolski przekartkował zeszyt.

– Dobrze – powiedział. – Podzielimy się na pół.

– Chcesz dyktować mi warunki, sierzaniec?

Wstrzymał uśmiech i zagłębił się w lekturze. Rozpoczął od miejsca, w którym wyrwano kartki, czyli na miesiąc przed samobójstwem Natalii Sztompke. Gdy skończył, odłożył pamiętnik grzbietem do góry.

– Wnioskuje, że miała depresję – oświadczył.

Lena uniosła wzrok znad telefonu.

– Depresję? – zapytała.

– Pisała, że nie ma siły, że najchętniej przeleżałaby w łóżku cały dzień, żeby nie pokazywać się światu, takie tam.

– Dlaczego? – Lena nie wyglądała na zaskoczoną.

– Nie napisała. Robiła dość powściągliwe notatki, jakby bała się, że notes wpadnie w niepowołane ręce.

– Pewnie bała się wścibskiego rodzeństwa.

– No tak – przyznał. – Kiedy w domu jest tyle dzieci, trudno zachować prywatność. Ale spójrz na ten wpis. – Wskazał na datę drugiego czerwca i przeczytał: – „Już dłużej nie wytrzymam. Nie chcę żyć”. Dzień przed pierwszą próbą samobójczą.

– Skąd wiesz?

– Zanotowała tę informację kilka stron dalej.

Rudnicka sięgnęła po notes i przewertowała kartki.

– Czyli coś wydarzyło się przed drugim czerwca – zauważyła. – Wcześniej jej notatki nie były takie depresyjne, ale potem było coraz gorzej.

Marcel zgodził się z nią krótkim skinieniem głowy.

– Matka twierdzi, że nie ma pojęcia, co skłoniło Natalię do samobójstwa? – zapytał.

– Tak.

Marcelowi wydawało się to podejrzane. Każdy rodzic drążyłby temat do skutku, tymczasem Aldona Sztompke odpuściła. Dlaczego? Może nie chciała naciskać i czekała, aż córka sama opowie jej o swoich problemach?

– Okej, czytaj dalej – poleciła Rudnicka.

Wolski chciał zaprotestować, ale ostatecznie wziął pamiętnik i wrócił do wspomnień Natalii Sztompke.

– Z każdym dniem czuła się gorzej – zauważył. – Pisała, że nie może żyć z tym piętnem...

– Jakim piętnem? – spytała Lena znudzonym tonem, przesuwając palcem po ekranie telefonu.

– Nie mam pojęcia.

Rudnicka uniosła głowę.

– Ten pamiętnik jest bezużyteczny jak regulamin w sklepie internetowym – mruknęła.

– Nikt nie czyta regulaminów.

– No właśnie. A nawet jak przeczytasz, to i tak nic z tego nie zrozumiesz.

– Przy najbliższej okazji powinniśmy zapytać matkę Natalii o drugiego czerwca. Może zapamiętała coś istotnego z tamtych dni.

Rozległo się ciche pukanie, Lena spojrzała w stronę drzwi. Na widok aspiranta sztabowego Milewskiego zmarszczyła czoło. Nowo przybyły przejechał dłonią po podkoszulku, uwydatniając baryłkowaty brzuch.

– Serwus – rzucił niby lekkim tonem, ale w jego głosie wybrzmiało coś jeszcze, czego Lena nie potrafiła zidentyfikować. Smutek?

– Cholera, Tymon, co ty tutaj robisz? – zapytała Lena. – O ile mnie pamięć nie myli, powinieneś teraz maszerować szlakiem nad Morskie Oko. Albo wcinać obwarzanki na Krupówkach i pstrykać sobie fotki z miśkiem polarnym.

Milewski tylko wzruszył ramionami.

Wolski pozdrowił przyjaciela ruchem dłoni. Nie spodziewał się, że Tymon zrezygnuje z dwutygodniowego urlopu w rodzinnym gronie. Milewski od pół roku nie mówił o niczym innym. Tymczasem zjawiał się na komendzie raptem po tygodniu.

– Spotkałem po drodze Jankowskiego – poinformował ich Tymon, miętosząc w rękach paczkę papierosów. – Kazał przekazać, że mundurowi znaleźli świadka, który widział ludzi niosących drabinę na pole, tam gdzie powiesiła się wasza samobójczyni.

– O! – wyrwało się Marcelowi.

– Więc doskonale się składa, że cię widzę – stwierdziła Rudnicka, podnosząc się zza biurka. – Pojedziemy z nią porozmawiać.

– My? – Tymon spojrzał na nią nieco zbity z tropu. Przeniósł wzrok na Wolskiego.

– My, my. – Rudnicka wsunęła telefon do kieszeni spodni, zarzuciła marynarkę na ramiona i ruszyła w kierunku drzwi. Marcel zaszedł jej drogę.

– A ja? – zapytał.

– Ty zostajesz.

– Zostaję? To żart? – Wolski bezradnie unióśł dłonie.

– Wyglądam, jakbym żartowała?

– Ale... To nasze śledztwo i...

– Zmieniłam zdanie.

Niemożliwe.

– Zrobiłem coś nie tak? O co chodzi?

– Napisz wstępny raport – poleciała.

– Raport? Cholera, mamy tyle roboty, a ty każesz mi pisać raport?

– Ktoś musi. Ty napiszesz, a ja się podpiszę.

Uśmiechnęła się kpiarsko i wyszła. Tak po prostu.

Wolski zakręcił się wokół własnej osi i walnął pięścią w blat biurka. Był wściekły.

6

Kafle przed trzydziestu lat były ułożone dość niedbale. Wzór również do najpiękniejszych nie należał. Rubinowe kwadraty przecinały nierówne, ciemnoczerwone smugi, jakby podczas tworzenia mozaiki autorowi zdrząła ręka. Światło żarówki odbijało się od ścian, sprawiając, że w pomieszczeniu panował przygnębiający klimat.

Idealny na okazję, jaką zaplanowała na dzisiaj.

Wsparała się plecami o kafelki obok żeliwnej wanny, odchyliła materiał bluzy i przejechała palcami po bliznach na nadgarstku. Zaczęły się goić. Czas postarać się o świeże.

Zimne ostrze żyłki dotknęło rozgrzanej skóry. Docisnęła je mocniej, ale nie na tyle, by przecięło pierwszą warstwę. Bawiła się, sama ze sobą i z własnym strachem. Żonglowała bólem jak cyrkowiec na scenie. Raz mocniej, raz lżej, aż wreszcie popłynęła pierwsza krew. Przypominała rozcieńczoną farbę. Starła kroplę i oblizała palec. Tak smakuje cierpienie, pomyślała i zaśmiała się gorzko. Nie za głośno, bo za ścianą drzemał ojciec. Nie chciała go obudzić. Wlał w siebie tyle piwa, że pewnie gdy się ocknie, popędzi do łazienki. A na to nie mogła pozwolić. Nie mogła pozwolić, by ktokolwiek dowiedział się o tych małych przyjemnościach. Żyłka dawała ukojenie.

Po chwili zmieniła rękę. Prawa była mniej wprawna, dlatego blizny na lewym nadgarstku wyglądały na gorzej wykonane. Wyrzynała na skórze różne obrazki. Czasem szło opornie, szczególnie kiedy wyrzynała opływowe kształty. Proste linie wykonywało się zdecydowanie łatwiej.

Dzisiaj miała do wykonania kroplę. Wyznacznik tego, co czeka ją przez najbliższe lata. Kropla krwi. Cierpienie dziewczyny, która nie radzi sobie z życiem. *Cierpienia młodej dziewczyny.*

Zrobiła pierwszy łuk, pierwszy bok kropli. Przyjrzała się, zadowolona ze swojego dzieła, a potem nakreśliła drugi łuk, łącząc go z poprzednim. Starannie dopracowała początek kropli, wąski na końcu, szeroki ku dołowi.

Odłożyła żyłkę, obserwując, jak z rozciętego naskórka sączy się czerwony płyn. Z każdym uderzeniem serca z cienkich rowków wytaczała się strużka krwi. Patrzyła, upajając się zapachem, jaki wypełnił łazienkę. Czuła się błogo, jakby zaaplikowała do krwiobiegu porządną dawkę narkotyku. Tyle że jej narkotykiem był ból. Dzięki niemu czuła, że żyje.

7

Czarny jaguar X-Type sunął Kopcińskiego, sprytnie omijając korek na wysokości parku Trzeciego Maja. Rudnicka manewrowała kierownicą niczym rajdowiec i wjechała na pas dla autobusów. Zajechała drogę białemu punto, a potem znów wskoczyła na prawą stronę. Odsunięcie Marcela od śledztwa zmusiło ją do wzięcia prywatnego samochodu. Na szczęście przed komendą spotkali chłopaków wracających z patrolu. Mundurowi podrzucili Lenę i Tymona do loftów. Wzięcie samochodu zabrało kilka cennych minut, więc by je nadrobić, komisarz nie schodziła poniżej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Cholera – mruknął Tymon. – Dawno z tobą nie jeździłem.

– O co chodzi z tym urlopem? – zapytała, wrzucając kierunkowskaz.

Tymon wyraźnie posmutniał. Odwrócił wzrok.

– Nie chcę zawracać ci głowy – odparł. – Masz swoje problemy.

– I to niemałe, ale teraz moim największym zmartwieniem jest, że mój dobry kumpel wygląda, jakby go z krzyża zdjęli i przejechali wałkiem do ciasta.

Westchnął, obracając w dłoniach paczkę cameli. Wkładał w to tyle siły, że tekturowe pudełko wyglądało, jakby Tymon wyjął je z kubła na śmieci.

– Chętnie bym się upił.

– Nie ty jeden.

– Może skoczmy później na piwo?

Gwizdnęła, nie spodziewając się takiej propozycji. Tymon Milewski był mężczyzną, który zaraz po pracy pędził do rodziny, by spędzić z nią jak najwięcej czasu. Nie znosił zostawania po godzinach, zawsze powtarzał, że odkąd założył rodzinę, ma wobec bliskich obowiązki. Tymczasem teraz proponuje wypad na piwo. Rudnicka pomyślała, że musiało stać się coś złego.

– Wieczorem muszę podjechać do pałacu podpisać kwity.

– Myślisz, że Marcel napisze za ciebie raporty?

Spojrzała na niego w sposób, który kazał sądzić, iż uznaje pytanie za retoryczne.

– Mów, o co chodzi.

– Ach, gdyby to było takie proste. Sam chciałbym wiedzieć. Tak bardzo chciałem jechać na ten pieprzony urlop, a kiedy już pojechałem, wszystko się posypało.

– Wszystko? To znaczy co?

– Wszystko, Lena. – Obrócił się gwałtownie. – Moje małżeństwo jest do dupy.

I w tym momencie Rudnicka się wycofała. Pokiwała jedynie głową, uznając temat za skończony. Znała Tymona od wielu lat, ale jego kłopoty małżeńskie to jego prywatna sprawa. Być może chciał z kimś porozmawiać, wygadać się, ale Lena nie była odpowiednią osobą. Wybrała więc milczenie.

Świadkiem, o którym mówili mundurowi, okazała się kobieta koło pięćdziesiątki, o włosach szarych jak mury łódzkich kamienic i wielkich, świdrujących oczach. Strzelała nimi na boki, obserwując wszystko i wszystkich dookoła.

– Tak, widziałam ludzi na polu – powiedziała, gdy policjanci dotarli przed bramę piętrowego domku. Janina Ratajczak, bo tak się nazywała kobieta, czekała na funkcjonariuszy przed ogrodzeniem, z wypiekami na twarzy, podekscytowana zainteresowaniem stróżów prawa jej skromną osobą. – Widziałam chłopaka i dwie dziewczyny – dodała, nie kryjąc dumy. Jej oczy na chwilę zatrzymały się na komisarzu, ale zaraz powędrowały na podjeżdżający parę posesji dalej samochód. Spojrzała na zegarek na ręce, jakby sprawdzała, czy sąsiedzi przypadkiem nie dotarli do domu zbyt wcześnie. Chyba uznała, że pora jest odpowiednia, bo znów przeniosła wzrok na policjantkę.

– Mówi pani, że widziała ludzi na polu – zaczęła Lena. – Jak? Co pani robiła? Przecież stąd raczej nie zobaczyłaby pani ani drzewa, ani...

– Wracalam z kościoła – przerwała kobieta, jakby urazona pytaniem policjantki. – Wracalam z kościoła i widzialam.

– Dobrze, a co konkretnie pani widziala?

– Samochód, chłopaka i dwie dziewczyny.

– Kiedy i o której godzinie?

– To musiało być... – zastanowiła się Ratajczakowa, wydymając usta. Nad jej górną wargą widniał ciemny wąsik, przypominający małe druciki. – To było chwilę po dziewiętnastej, bo do siódmej sprzątałismy teren wokół kościoła, jakoś w zeszłym tygodniu.

– Potrafi sobie pani przypomnieć dzień?

– Środa albo czwartek... Nie! Czwartek! Na pewno czwartek, bo następnego dnia szłam do dentysty. Koszmarny ból.

– Dobrze – odezwał się Tymon. – Widziala pani chłopaka i dwie dziewczyny, może pani powiedzieć o nich coś więcej?

– Oczywiście! Młody mężczyzna miał długie, czarne włosy związane w kucyk. Natomiast jedną z tych dziewcząt była ta, co się powiesiła na tym drzewie. Straszna tragedia...

Policjanci wymienili spojrzenia. Chłopakiem o długich włosach z pewnością był Dziejdzęj, lecz kiedy Rudnicka z nim rozmawiała, twierdził, że nie znał Sztompke.

Ciekawe.

– Skąd pewność, że tą dziewczyną była Natalia Sztompke? – spytał Milewski.

– No a któż by inny?

– Czyli to tylko pani przypuszczenie?

– No... – Ratajczakowa się zawahała.

– Może pani ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że dziewczyną, którą pani widziala, była Natalia?

– No nie. Ale to musiała być ona!

Przypuszczenia kobiety nie stanowiły żadnego dowodu, że Natalia przyjechała na pole z Dziejdzęjem. Rudnicka wątpiła, czy kobieta w ogóle wie, jak wyglądała Natalia.

– A druga dziewczyna? – zapytała.

– Nie widzialam dokładnie... – mruknęła.

– Powiedziala pani naszym kolegom, że widziala, jak nieśli drabinę, to prawda?

– Tak! – ożywiła się kobieta. – Chłopak niósł na plecach drabinę, potem chwilę przy niej postali i wyjął kamerę.

– Kamerę?

– Tak, zaczęli kręcić. Jedna z dziewcząt weszła na drabinę, ale więcej nie widzialam, bo poszłam do domu. Gdybym wiedziala, że to ważne, tobym została!

– Wierzymy – zapewnił Tymon. – Proszę tylko powiedzieć, czy pamięta pani, jakim samochodem przyjechali?

– Bmw – oświadczyła uroczyście Ratajczakowa. – Wiem, bo mój syn ma taki sam wóz.

Lena spojrzała na Tymona z triumfem, ale ten nie podzielał jej entuzjazmu. W drodze nakreśliła mu najważniejsze aspekty sprawy, lecz zapomniała dodać, że Dzejdziej poruszał się właśnie starym bmw. Przez chwilę żałowała, że nie wzięła ze sobą Marcela.

Piętnaście minut później Rudnicka zaparkowała jaguara przed domem Jerzego Jurka. Jeszcze nie miała okazji poznać rodziców Dzejdżeja, ale liczyła, że pomogą w znalezieniu kamery syna. Lena miała przeczucie, że nagranie będzie kolejnym krokiem w śledztwie. To nie mógł być przypadek, że Dzejdziej, dwie tajemnicze dziewczyny i drabina znaleźli się w miejscu, gdzie Natalia Sztompke popełniła samobójstwo.

Na szczęście rodzice chłopaka nie zawiedli, a ojciec, Edward Jurek, z chęcią pokazał policjantom podręczną kamerę, kupioną, jak zaznaczył, parę lat temu za okazjną cenę. Podobno od kiedy weszły w modę telefony nagrywające w jakości HD, kamera leżała odłogiem na dnie komody w salonie.

Niestety po uruchomieniu okazało się, że w urządzeniu brakuje karty pamięci. Edward i w tym przypadku pospieszył z pomocą i splądrował biurko syna, gdzie odnalazł dwie karty SD. Na pierwszej nie znalazło się nic, oprócz paru utworów muzycznych, na drugiej zaś było to, czego szukali policjanci – nagranie wykonane na polu, w którym główne role odgrywały Diana Pulido i Natalia Sztompke.

Rudnicka pobieżnie obejrzała krótki, zaledwie półtoraminutowy film i wcisnęła kartę do kieszeni spodni. Usiadła naprzeciwko państwa Jurków, opierając łokcie na kolanach.

– Możemy chwilę porozmawiać? – zapytała.

– Oczywiście – odparła Małgorzata Jurek, poprawiając okulary, które przy każdym ruchu głowy zsuwały się jej z nosa.

– Pewnie wiecie, że syn był w związku z Dianą Pulido?

– Policjanci nam o tym powiedzieli – odparła pani Jurek. – Ci, którzy przyszli do nas wcześniej.

– Czy Diana bywała w waszym domu?

– Nie, nigdy jej nie spotkaliśmy.

– Dobrze, a w takim razie, czy syn w ostatnim czasie zachowywał się jakoś inaczej?

– Jak inaczej?

– Był podenerwowany, zaniepokojony? Czy robił cokolwiek, co wskazywałoby, że chce ukraść zwłoki swojej dziewczyny i wywieźć je nie wiadomo dokąd?

– Może nie powinienem tego mówić – włączył się Edward. – Ale nasz syn to degenerat.

Jego żona pokiwała głową.

– Od dziecka sprawiał problemy, wpadł w złe towarzystwo, bił się na ulicy i przez to miał problemy z prawem.

– A teraz dowiedzieliśmy się, że handlował narkotykami – dodał Edward. – Poważnie zastanawiam się nad wyrzuceniem go z domu.

– Chcieliśmy mu pomóc – zaznaczyła Małgorzata, jakby próbowała usprawiedliwić męża. – Ale on nie chciał. Wie pani, jak już wpadł w złe towarzystwo, trudno się mu było przestawić. Jurek od dziecka był narwany, ale może to nasza wina? Może na zbyt wiele mu pozwalaliśmy...

– Daj spokój! Chłopak jest dorosły, powinien mieć swój rozum!

Tymon zacisnął usta. Rodzice Dzejdżeja postawili nad nim kreskę, jakby nie był wart zachodu. Milewskiemu nie mieściło się to w głowie.

– Możecie potwierdzić, że w dniu porwania zwłok Diany Jerzy był w domu? – zapytała Rudnicka.

– Nie.

Westchnęła ciężko. Nagranie, które znaleźli, stawiało Dzejdżeja w zupełnie innym świetle. Wyglądało na to, że chłopak nie mówił im całej prawdy.

8

Trzy dziewczęta w wieku około osiemnastu lat opuściły budynek domu kultury. Najwyższa z nich odbyła krótką rozmowę telefoniczną, po czym wsunęła telefon do pikowanej torebki przewieszanej przez ramię.

– Dzień dobry.

Wysoka aż podskoczyła. Dziewczyny dopiero teraz spostrzegły, że dwójka nieznajomych zmierza w ich stronę.

– Policja.

Krępa brunetka zerknęła na broń zwisającą na biodrze policjantki, a z jej ust wydobyło się ciche stęknienie. Na pękaty policzkach rozlały się rumieńce, a po skroni spłynęła strużka potu.

– Możemy porozmawiać? – zapytał Milewski.

– O czym? – Najmniejsza i najniższa z całej trójki postąpiła krok naprzód. Miała może metr sześćdziesiąt wzrostu, a jej drobne ciało tonęło w szerokiej bluzie z przydługimi rękawami. Poprawiła czapkę z daszkiem i podparła się pod boki.

– O waszych koleżankach, Dianie i Natalii.

Z ust grubaski uleciało kolejne jęknięcie.

– Lubicie uczęszczać na zajęcia teatralne? – zapytał.

– Tak. – Trzy głosy odpowiedziały niemal jednocześnie.

– Co powiecie o panu Lewickim?

– Jest spoko – rzuciła najmniejsza, wsuwając do ust gumę do żucia.

Rudnicka popatrzyła na dziewczynę jak na przybysza z innej planety. Gorące powietrze buchało z każdej strony, a polarowa bluza raczej nie miała właściwości chłodzących.

– Uważacie, że pan Lewicki jest dobrym nauczycielem? – dopytał Tymon.

– Bardzo dobrym – potwierdziła wysoka. – Chodzę na zajęcia od paru lat. Wychowawcy często się zmieniali, ale pan Damian jest najlepszy. To dzięki niemu wygrywamy konkursy teatralne. Gdyby nie on, odpadałybyśmy na pierwszym etapie.

– To prawda. – Mała kiwała głową, mieląc w ustach gumę.

– Znałyście Dianę i Natalię – zagał Tymon. – Powiedzcie, czy łączyły je szczególne relacje z panem Lewickim?

Nastąpiła konsternacja. Chwila ciszy zdawała się trwać zdecydowanie za długo.

– Nie wiem – odparła w końcu wysoka. Jej koleżanki mruknęły twierdząco.

– To ważne – zaznaczył Milewski. – Dowiedzieliśmy się, że dziewczyny zostawały u Lewickiego po zajęciach, wiecie coś na ten temat?

– Zostawały, ale nie wiem po co.

– Może omawiały rolę? – podsunęła pyzata.

– O, chyba tak! Przecież obie grały główną postać.

Rudnicka westchnęła. Główną postać najpierw grała Diana. Dopiero gdy Diana odeszła, rolę dostała Natalia. Nie było więc potrzeby, by obie zostawały po zajęciach.

– Myślę, że dobrze wiecie, dlaczego Natalia i Diana zostawały u Lewickiego – rzuciła Lena.

Dziewczyny popatrzyły po sobie. Wahały się.

– Jeżeli wiecie, powinniście powiedzieć – dodał Tymon.

– Och, nie jesteśmy pewne! – Wysoka nagle się ożywiła. – Pytałyśmy je, dlaczego zostają po zajęciach, ale zapewniały, że to nie ma związku z przedstawieniem.

– Twierdziły, że rozmawiają – dodała najniższa.

– O czym?

– Nie wiem!

Lena wymieniła spojrzenia z Tymonem. O czym może rozmawiać dorosły mężczyzna z nastolatkami? Z pewnością nie dyskutowali o pogodzie albo powiększającym się długi publicznym.

– Ale po zajęciach przychodziła jeszcze jedna dziewczyna – odezwała się pyzata.

Lena obróciła się w jej stronę.

– Jaka dziewczyna? – zapytała.

– Nie należała do kółka. Przychodziła, kiedy kończyły się zajęcia.

– I zostawała razem z Lewickim, Dianą i Natalią?

– Tak, ale nie przychodziła zawsze. Tylko czasami.

– Znacie ją?

Dziewczyny pokręciły przecząco głowami.

– Jak wyglądała? – spytała Lena.

– Ciemne, długie włosy. I w ogóle cała ubrana na czarno.

O tej samej dziewczynie mówiła dzisiaj koleżanka Lewickiego.

Przed domem kultury stanął beżowy SUV. Kobieta za kierownicą pomachała przyjaźnie, potem przeniosła wzrok na policjantów. Zgasiła silnik i wysiadła z samochodu.

– Co tu się dzieje? – spytała.

– Mamo, państwo policjanci chcieli dowiedzieć się czegoś o Dianie – wyjaśniła wysoka.

– To wbrew prawu. Dziewczeta są nieletnie.

– Wbrew prawu jest parkowanie w tym miejscu – odparowała Rudnicka, wskazując na SUV-a. – Niedostateczna odległość do przejścia dla pieszych – trzysta złotych, zatrzymanie pojazdu na chodniku – następna stówka i naruszenie zakazu postoju w miejscu utrudniającym dojście do prawidłowo zaparkowanego pojazdu – sto złotych. Łącznie pięćset i trzy punkty karne.

Kobieta ściągnęła brwi, a jej palce mimowolnie zacisnęły się na kluczykach od samochodu.

Rudnicka uśmiechnęła się i przeniosła wzrok na trzy koleżanki.

– Rozmawialiście kiedyś z tą dziewczyną? – spytała.

– Nie, nigdy. My wychodziłyśmy, a ona wchodziła.

– Mijałyśmy się – dodała pyzata. – Ale... – Podrapała się w przedramię. – Wydaje mi się, że miała na imię Roksana. Kiedyś słyszałam, jak Diana zwraca się do niej Roksi.

Po co Roksana miałaby przychodzić do wychowawcy? Nie brała udziału w przedstawieniu, ale jeśli przychodziła na spotkania z Lewickim, dlaczego nie poinformowała o tym, kiedy z nią rozmawiali?

Pożegnawszy się z dziewczynami, Rudnicka oparła się o rozgrzaną maskę jaguara. Tymon podsunął jej paczkę cameli, ale pokręciła głową. Podczas gdy Milewski zapalał papierosa, wykręciła numer i przyłożyła telefon do ucha. Dzwoniła do Wolskiego już trzeci raz, ale znowu nie odbierał. Głupi gówniarz widocznie nie wyrósł jeszcze z czasów podstawówki. Obraził się jak kilkuletnie dziecko. Ze złością wcisnęła komórkę do kieszeni.

– Nie odbiera? – zagadnął Tymon, wypuszczając dym. W słońcu jego blond włosy przybrały słomkowy odcień.

Potoczyła wzrokiem po parkingu, zastanawiając się, po co właściwie próbuje skontaktować się z Marcelem. Wyłączyła go ze śledztwa i nie było powodu informować go o postępach w sprawie. Mimo to nieobecność sierżanta działała na nią deprymująco. Potrząsnęła głową, jakby miało to w jakiś sposób pomóc.

Nieskutecznie.

9

Axel Pulido miał swoje tajemnice.

Ukrywał pierwszego papierosa, którego wypalił w wieku dziesięciu lat. Wciąż pamiętał to paskudne uczucie, kiedy dym drażnił gardło. Kaszłał, chrząkał, ale wypalił do końca,

a potem zakopał peta w przydomowym ogródku, żeby rodzice się nie dowiedzieli.

Ukrywał również pierwszy wypity alkohol. Dwa lata temu, kiedy zamiast do szkoły poszedł do domu jednego z kolegów i wspólnie opróżnili barek rodziców Marka z szóstej c. Ciekawość przyplącił rozstrojem żołądka, kilka godzin wymiotował w toalecie. Torsje wstrząsały jego ciałem, gdy w muszli pływał domowy bimber zmieszany z pianą kostki klozetowej. Ale Axel się nie zniechęcał. Przy następnej okazji, gdy wraz z kolegami z klasy poprosili bezdomnego o zakup alkoholu, bogatszy o wcześniejsze doświadczenia pił już spokojniej. Rozrabiał wódkę z sokiem, by nadać jej smak, i popijał małymi, niespiesznymi łykami. Pech chciał, że wróciwszy do domu, natknął się na ojca.

Stał w korytarzu, a jego wzrok nie zwiastował niczego dobrego. Chociaż ojciec nigdy nie podniósł na niego ręki, Axel spodziewał się, że Emilio zaraz wyjmie pas i prewencyjnie złoży mu skórę. Ku jego zaskoczeniu tak się nie stało.

Ojciec posadził go w kuchni, wyjął dwa kieliszki o pojemności pięćdziesięciu mililitrów, a obok postawił butelkę tequili. Axel nie widział, by ojciec kiedykolwiek pił coś innego niż meksykańską tequilę.

– *Beber!* – rzekł, napełniając kieliszki.

Axel nie chciał pić. W jego żyłach krążyła wystarczająca dawka procentów, ale z twarzy ojca wyczytał, że odmowa nie wchodzi w grę. Przechylił więc kieliszek, czując, jak alkohol rozlewa swoje ciepło po całym organizmie.

Emilio nie czekał dłużej niż kilka sekund i dolał synowi. Powtórzył ten ruch jeszcze czterokrotnie, aż Axel poderwał się z krzesła i dopadł kosza na śmieci, do którego zwrócił wszystko to, co przed chwilą wlał do gardła. Skrzeczał jak mewa, rzygając do plastikowego kubła. Aż dziw, że nie obudził matki, ale Hanna Pulido zawsze miała mocny sen. Dopiero po samobójstwie Diany podrywała się na każdy, nawet najmniejszy szmer, jakby w nadziei, że córka jednak wróciła do domu.

– To lekcja, synu – powiedział Emilio, napełnił swój kieliszeczek i wypił zawartość. – Alkohol nie jest dla dzieci, zapamiętaj moje słowa.

Axel zapamiętał i do dzisiaj nie tknął alkoholu. Lekcję udzieloną mu przez ojca przyplącił zatruciem żołądkowym, na samo wspomnienie robiło mu się niedobrze.

Ojciec zawsze był dla niego wzorem. Kimś więcej niż rodzicem. Był jego przyjacielem. Po tamtym dniu, gdy Emilio wlał w syna morze tequili, Axel opowiedział mu o tym, co czuje. O tym, że matka traktuje go jak intruza, a całą uwagę skupia na wzorowej córce. Diana otrzymywała najlepsze oceny, nauczyciele chwalili ją na każdym zebraniu, jeździła na konkursy, tymczasem Axel czuł się jak zbędny mebel. Mebel, który trafił tu przypadkiem i już został, postawiony w kącie, nikomu niepotrzebny.

Emilio zaprzeczał, zapewniał, że Axel jest równie ważny jak Diana, ale nie był wiarygodny. Prawdą było, że cała rodzina traktowała Axela jak czarną owcę. Niegrzeczny, roztrzepany chłopak, który nic nie osiągnie w życiu.

Axel potrząsnął głową, ścierając z policzka łzę. Było mu przykro, ale teraz nie miał z kim porozmawiać o swoich kłopotach. Ojciec i matka pograżyli się w żałobie. Hanna Pulido co chwilę sprawdzała telefon, oczekując wiadomości od policjantki prowadzącej śledztwo albo od dziennikarza, któremu powierzyła odnalezienie Diany.

Jednak do tej pory nikt nie odnalazł ciała jego siostry.

Axel powiódł wzrokiem dookoła. Las był zwarty, drzewo stało przy drzewie, krzak przy krzaku. Gęstwina zarośli pokrywających ziemię wiała się aż po horyzont. Axel, choć szczupły, nie zaryzykował przedzierania się przez chaszczce. Pewnie utknąłby w jakiś pnączach, które oplatały korę. Przypominały chaotycznie rozłożoną siatkę z mnóstwem robactwa pod spodem.

Wyszedł na główną ścieżkę i ruszył w stronę brzegu lasu. Natura go uspokajała. Od dziecka dobrze czuł się wśród roślin i chętnie pomagał mamie w pracach ogrodowych. Las traktował jak oazę na pustyni wielkiego miasta. W morzu betonu uwielbiał odnajdywać zielone wyspy, które pozwalały na chwilę relaksu.

Pachniało igliwem i ziemią. Powietrze rozbrzmiewało ćwierkaniem ptaków. Axel rozpoznał śpiew słowika. Jego donośny trzel koił skołatane nerwy chłopaka.

10

Roksana Antolak przypominała złęknioną sarnę, która po raz pierwszy w życiu spotkała człowieka. Stała nieruchomo, strzelając oczami na boki, czujna, jakby wyczekiwała gwałtowniejszego ruchu, by umknąć w bezpieczne zarośla.

– Nie ma rodziców – powiedziała drżącym głosem.

– Dawno ścięłaś włosy? – zapytała Rudnicka.

Dziewczyna kościstą dłonią potarła języka. Fryzjer nie był mistrzem w swym fachu, bo w niektórych miejscach włosy ścięto dość nierówno. Rudnicka przypuszczała, że Roksana postanowiła pobawić się we fryzjerkę.

– Kilka dni temu – odparła.

– Dlaczego się ostrzygłaś?

– Bo jest gorąco.

Słabe wytłumaczenie.

– Racja – przytaknął Tymon. – W taką pogodę naprawdę można się zagotować.

Rudnicka obrzuciła go kpiącym spojrzeniem.

– Czy to prawda, że chodziłaś na spotkania z Damianem Lewickim? – spytała komisarz.

Dziewczyna zmrużyła oczy, zwlekając z odpowiedzią. Rudnicka zauważyła zaczerwienienie na jej szyi. Czerwona pręga zniknęła pod materiałem rozpinanej bluzy.

– Ja... – Roksana stęknęła, naciągając rękawy na nadgarstki.

– Mamy świadków, którzy twierdzą, że przychodziłaś do domu kultury. To dziwne, bo nie uczęszczałaś na kółko teatralne.

- Nie uczęszczałam.
- Więc po co przychodziłaś do Lewickiego?

Wzruszyła ramionami i usiadła na plastikowym krześle przed domem. Przez chwilę obracała w dłoniach czerwony spinacz.

– Porozmawiać – odparła.

– Porozmawiać? – Lena uniosła brwi i usiadła naprzeciwko, czego zaraz pożałowała, bo krzesło lepiło się od brudu.

– Tak, porozmawiać.

Nie zabrzmiało to przekonująco.

– A o czym?

– O życiu. Pan Damian jest mądrym człowiekiem.

– Nie wątpię.

– Nie przychodziłam często, tylko czasami.

– Tam poznałaś Natalię Sztompkę?

Roksana przytaknęła.

– Diana zaprosiła mnie kiedyś na zajęcia teatralne – wyjaśniła. – Ale to nie dla mnie. Nie czuję się dobrze na scenie. Nie lubię być w centrum uwagi.

– Ale jednak przyszłaś?

Dziewczyna zawahała się, spoglądając na wróbla, który przysiadł na parapecie. Wąskim dzióbkiem skubał nieistniejące paprochy w poszukiwaniu jedzenia.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedziała z zaskakującą stanowczością.

Rudnicka zagryzła wargę. Dziewczyna sprawiała wrażenie zastraszonej, jakby się bała czegoś albo kogoś. Damiana Lewickiego? A może ojca, który do przyjemniaczków z pewnością nie należał?

– Dlaczego nie chcesz o tym rozmawiać? – spytała Lena.

– Po prostu.

– To bardzo ważne – włączył się Tymon. – Musimy wiedzieć, co robiliście na spotkaniach z Lewickim.

Roksana zadrżała.

– Już mówiłam – odparła. – Rozmawialiśmy.

Rudnicka westchnęła. Ta rozmowa nie miała sensu.

– Okej – rzekła. – Powiesz coś o Lewickim? Lubisz go, prawda?

– Tak, lubię pana Damiana. Jest bardzo miły.

– Miły?

– I dobry. To dobry człowiek. Pomaga chorym dzieciom.

– Pomaga chorym dzieciom – mruknęła Rudnicka beznamyślnie.

Roksana co kilka sekund nerwowo spoglądała w stronę furtki. Oczekiwała kogoś. Kogoś, czyjego powrotu się obawiała.

– Masz kłopoty, prawda? – zapytała Rudnicka.

Lena nie miała zwyczaju mieszać się w sprawy innych ludzi, ale czuła, że w przypadku tej dziewczyny powinna zrobić wyjątek. Roksana potrzebowała pomocy, a policjanci mieli mało czasu. Lena nie chciałyby, żeby dziewczyna skończyła jak jej koleżanki.

– Posłuchaj – odezwał się Tymon. – Musisz nam powiedzieć, co się dzieje. Twoje koleżanki odebrały sobie życie. Jeśli wiesz coś, co mogłoby nam pomóc w odnalezieniu ciała Diany...

– Nic nie wiem.

Rudnicka najchętniej potrząsnęłaby dziewczyną, by wreszcie się obudziła. Jednak nim zdążyła cokolwiek zrobić, zaskrzypiała furka. Izabela Antolak z trudem utrzymywała się w pionie, prowadząc męża. Kazimierz szorował bezwładnie nogami, jakby ktoś usunął mu wszystkie kości. Tymon pospieszył kobiecie z pomocą i wspólnie zaprowadzili pijanego mężczyznę do domu.

Roksana spuściła wzrok.

– Boisz się ojca? – zapytała Rudnicka, gdy zostały same.

– Słucham?

– Biję was?

– Nie.

– Powinnaś porozmawiać z matką i zgłosić się na policję.

– Nie ma takiej potrzeby. Wszystko jest w porządku.

– Nie sądzę. – Lena wskazała na poharatane nadgarstki. Krwistoczerwone, świeże rany. Roksana naciągnęła rękaw z powrotem. – Dlaczego się tniesz? Byłaś u psychologa?

Roksana nie odpowiedziała. Milczała przez chwilę, wbijając wzrok w ziemię.

– Damy sobie radę – powiedziała w końcu.

– Powinnaś to zgłosić.

– Nie, nie trzeba.

– A może nie chodzi o ojca, co?

– Słucham? – Roksana podniosła się z krzesła tak szybko, że przewróciło się na ziemię. – Nie powinnam z panią rozmawiać.

– Kogo się boisz? Lewickiego czy ojca?

– Muszę iść.

– Stój. – Lena złapała ją za ramię, ale Roksana zdążyła odskoczyć.

– Niech mi pani da spokój.

– Zadzwoń, jak zmienisz zdanie.

Wetknęła dziewczynie wizytówkę i wsunęła dłonie do kieszeni spodni, patrząc, jak Roksana znika za drzwiami domu. Postanowiła nie naciskać.

Znajdzie inny sposób, żeby dowiedzieć się prawdy.

Raz, dwa, trzy.

Raz, dwa, trzy.

Liczył w myślach, by wypełnić sobie czas. Stał przed komendą już pół godziny, chociaż miał ochotę wziąć nogi za pas. Nic tu po mnie, myślał, aż wreszcie dostrzegł osobę, na którą czekał. Policjant szedł sam. Tym razem bez tej policjantki. Bardzo dobrze. Sierżant Wolski wydawał się lepszym kompanem do rozmowy.

Zrobił krok do przodu i zamarł. Funkcjonariusz minął rząd policyjnych radiowozów i skierował się w stronę przejścia dla pieszych, przeciął Sienkiewicza i wszedł w Moniuszki. Pewnie idzie do baru na Piotrkowskiej, pomyślał. I ruszył za sierżantem.

Kiedy tamten usiądzie przy stoliku, będą mieli chwilę, by pogadać.

12

Rudnicka podjęła kolejną próbę rozmowy z Dzejdżem. Chłopak wciąż siedział w policyjnym areszcie, ale już niedługo miał zostać przewiezony w miejsce, w którym poczeka na proces. Z tego co Rudnicka się dowiedziała, chłopak poszedł na współpracę i wydał paru kolegów. Niezbyt mądre posunięcie. Kiedy wyjdzie na wolność, współpraca z policją odbije mu się czkawką. Łódzkie chłopaki nie wybaczą zdrady.

Kiedy weszła do pokoju przesłuchań, Dzejdżej wyglądał, jakby w ciągu paru dni postarzał się o kilka lat. Poszarzała cera, podkrążone oczy, przetłuszczone włosy. Z pozy cwaniaczka już dawno zrezygnował.

– Miło panią widzieć – powiedział, na co Lena uśmiechnęła się krzywo.

– Zaraz zrobi się mniej miło – ucięła. Wyciągnęła kartę pamięci, wsunęła ją do policyjnego laptopa i bez słowa odtworzyła film, a twarz Dzejdżeja stężała. Zastygł w bezruchu i tylko mruganie powiek wskazywało, że w ogóle żyje.

– No i co? – zapytała, gdy pasek filmu przeleciał do końca.

Cisza.

– Kłamałeś.

– To nie tak – zapewnił.

– Mhm, a jak?

– Będę miał problemy w związku z tym filmem?

– Zależy, co powiesz.

Komputer wznowił odtwarzanie nagrania.

Łąka, bezchmurne niebo, drzewo. Dwie dziewczyny uśmiechały się do kamery. Jedna z nich, Natalia Sztompke, sprawdziła stabilność drabiny, weszła na pierwszy stopień, a potem przeniosła drabinę w inne miejsce i powtórzyła czynność. Chwyciła zwisający z gałęzi sznur i ze śmiechem zarzuciła go sobie na szyję. Stojąca obok Diana klaskała w dłonie.

– Sielski obrazek, co? Szkoda tylko, że obie dziewczyny nie żyją, a jedna z nich powiesiła się właśnie na tym samym drzewie, za pomocą tego samego sznurka, a pomogła jej w tym ta sama, kurwa, drabina. Więc wytłumacz mi, jakim cudem znalazłeś się za kamerą i o co tu, do chuja, chodzi?

– To był żart.

Prychnęła.

– Robiliśmy inscenizację – wyjaśnił.

– O, cudownie! Próba generalna przed samobójstwem?

Dziejdzęj podrapał się w skroń, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Dziewczyny chodziły na kółko teatralne, interesowały się aktorstwem i znalazły jakiś konkurs w internecie. Polegał na stworzeniu inscenizacji na jeden z wybranych tematów i przesłanie mailem do organizatorów.

– I przesłały?

– Nie zdążyły. Ten film – spojrzął na wygaszony ekran laptopa – to zwykła próbka. Diana poprosiła mnie, żebym podrzucił je na pole, gdzie chciały nagrać inscenizację. Zgodziłem się, bo skąd miałem wiedzieć, że Natalka postanowi się powiesić na tym drzewie? – Westchnął. – Zacząłem nagrywać, a one się wygłupiały. Nie miały scenariusza, więc pokręciliśmy się chwilę i Diana uznała, że przyjedziemy innym razem, kiedy ustalą, jak to zagrać.

– To nie brzmi przekonująco – odparła komisarz.

– Ale to prawda! Zostawiliśmy drabinę w krzakach, bo nie wiedziałem, czy następnym razem będę mógł je podrzucić samochodem. Wtedy dziewczyny w każdej chwili mogłyby nagrać filmik bez mojej pomocy. Miałem odebrać drabinę, kiedy nakręcą ten swój film.

– Ale nie pojechałeś.

– Nie, bo jeszcze nie nakręciły.

– Nie wydawało ci się dziwne, że chcą przesłać na konkurs film inscenizujący samobójstwo?

– Inspirowały się przedstawieniem z kółka teatralnego.

– Mnie by to zaniepokoiło.

– Bo pani jest policjantką.

Dziewczyny nagrywały film na konkurs. To w ogóle nie brzmiało wiarygodnie. Ani trochę. Ale to nie mógł być zbieg okoliczności, że inscenizowały samobójstwo przez powieszenie, a potem obie zrobiły dokładnie to samo. Dodatkowo Natalia odebrała sobie życie akurat w tym właśnie miejscu.

– To twoja lina? – zapytała komisarz.

Dziejdzęj odwrócił wzrok.

– Tak.

– A sznur? Diana pożyczyła go od ciebie?

Skinął głową.

– Dlaczego kłamałeś? Dlaczego mówiłeś, że nie wiesz, skąd Diana wzięła linę?

Lena знаła odpowiedź na to pytanie. Wcześniej Dżejdzzej twierdził, że Diana zabrała sznur bez jego wiedzy. Najwyraźniej kłamał. Nie pierwszy raz.

– Bo uznalibyście, że mam coś wspólnego z zaginięciem jej ciała.

– A nie masz?

– Nie.

– Pożyczyłeś Dianie sznur, którego używasz na łódce, a potem powiesiły się na nim dwie osoby. Co oznacza, że pożyczyłeś Dianie dwie liny.

– Powiedziała, że chcą jedną zapasową.

Rudnicka popatrzyła na niego z politowaniem.

– Cholera, skąd miałem wiedzieć, że coś takiego się wydarzy? – Dżejdzzej uderzył dłonią w blat, ale zaraz zreflektował się i schował ręce pod stół.

Mógł nie wiedzieć, że Diana chce odebrać sobie życie, ale to, że inscenizowała akt samobójczy, powinno wzbudzić jego podejrzenia.

– Nie wierz mi pani? – spytał błagalnie.

– To nie ma znaczenia. Liczą się dowody. A mamy telefon z twoimi odciskami palców, sznur należący do ciebie oraz kłamstwa, które zdecydowanie nie poprawiają twojego położenia.

Rudnicka nie dodała nic o braku śladów w samochodzie Dżejdzjeja. Technicy sprawdzili bagażnik i fotele w poszukiwaniu śladów świadczących o przewożeniu zwłok, ale natrafili tylko na woreczki z amfetaminą.

Jednak brak śladów w bmw nie dowodził niewinności Jerzego Jurka. Jeśli porwał ciało Diany, równie dobrze mógł przewieźć je innym samochodem. Nie był głupi. Wiedział, że jeżeli podejrzenia padną na jego osobę, policja sprawdzi samochód.

– Kłamałeś też w innej sprawie – zauważyła komisarz.

– Jakiej? – zapytał, ale grymas na jego twarzy kazał sądzić, że dokładnie wie.

– Twierdziłeś, że nie znasz Natalii Sztompke.

Nie odpowiedział. Chwilową ciszę przerywało jedynie nerwowe szuranie paznokciem po blacie. W końcu uniósł ręce i potarł nimi zmęczoną twarz.

– Wiem – przyznał. – Powinienem powiedzieć prawdę.

– Powinieneś.

– Bałem się, że mnie udupicie.

– Słusznie.

– Jak dowiedziałem się, że Natalia powiesiła się na... tym drzewie, a ja przecież tam wcześniej byłem i nagrywałem, jak robią tę durną próbę... Pomyślałem, że uznacie mnie za winnego, że namawiałem je do samobójstwa...

– A nie było tak?

– Nie, przysięgam. Nie mam z tym nic wspólnego.

– Jak poznałeś Natalię?

Chłopak znowu zamilkł, a Rudnicka dostrzegła w jego oczach rezygnację. Pomyślała o wszystkich faktach, którymi dysponowali. Śledztwo trwało trzeci dzień, a nie mieli nic konkretnego. Nie mieli żadnego dowodu świadczącego o tym, gdzie mogłoby znajdować się ciało Diany Pulido ani kto je zabrał. I dlaczego.

Lena miała ochotę zacząć od początku, uporządkować fakty i poukładać informacje, jakie przewinęły się w ciągu tych ostatnich dni. I porozmawiać z Marcelem. Może podsunąłby jakiś trop? Szukała go, gdy dotarła na komendę, ale okazało się, że sierżant poszedł do domu.

– Odwoziłem kiedyś Dianę do domu – wyznał Dzejdziej. – Natalia zabrała się z nami. Słabo ją znałem.

– Natalia przyjaźniła się z Dianą?

– Diana przyjaźniła się z trzema dziewczynami ze szkoły. Karoliną, Sandrą i Roksaną. Z Natalią to kolegowwały się chyba tylko ze względu na kółko teatralne.

– Spotykały się po zajęciach?

– Rzadko. Właściwie raz widziałem je razem, poza zajęciami. Właśnie na tym nieszczęsnym polu.

Rudnicka wsunęła dłonie do kieszeni spodni. Na ten moment rozmowę z Dzejdziejem mogła uznać za zakończoną. Popatrzyła na chłopaka, zawahała się, jakby chciała coś dodać, lecz ostatecznie wyszła z pokoju przesłuchań.

Dzejdziej odetchnął z ulgą.

13

Uliczny grajek szarpał struny gitary, a jego nogi w wysokich kowbojkach poruszały się rytmicznie, wybijając takt. Dopracował wizerunek: skórzana kamizelka nałożona na kraciatą koszulę, sumiasty wąs nad górną wargą i przewieszony przez ramię instrument. Mężczyzna teatralnym gestem zdjął kapelusz, uklonił się i położył go przy stopach. Przechodnie sypnęli groszem i klaskali z entuzjazmem.

Stojąca obok grajka dziewczyna również dygnęła i objęła dłonią mikrofon. Wąsacz rozpoczął kolejną piosenkę. Dziewczyna odrzuciła długie blond włosy, a z jej ust wydobył się delikatny głos. Marcel rozpoznał jeden z utworów zespołu Sugarland.

Potrząsnął głową, precyzyjnie się przez tłumek ludzi zebranych wokół muzyków i ruszył w górę Piotrkowskiej. Zerknął na telefon. Znowu Rudnicka. Odrzucił połączenie i wszedł na podwórko OFF Piotrkowska.

Zrewitalizowane pofabryczne budynki, w których kiedyś mieściły się przędzalnie, dzisiaj służyły jako centrum kultury i rozrywki. Były tu restauracje, puby, sklepy, pracownie artystyczne.

Wolski minął food trucki, omiatając wzrokiem podwórko. Parasole, ławki, leżaki, ozdobne donice, migające kolorowe lampy i wiszące nad głowami gości ledowe kule.

Marcel wypił przy barze trzy szybkie pięćdziesiątki, zamówił gin z tonikiem i zajął miejsce przy ścianie, aby mieć ogłód na całe podwórko. Postawił drinka na stoliku wykonanym z pomalowanych palet i zatopił się w miękkiej kanapie. Przymknął oczy, walcząc z wrodzoną ciekawością, która kazała mu wziąć do ręki telefon i zadzwonić do Rudnickiej. Chciał dowiedzieć się o postępach w śledztwie, ale szybko się opamiętał, przypomniawszy sobie, że został wykluczony ze sprawy Diany Pulido.

Spojrzał na studentów bawiących się przy sąsiednim stoliku. Obrócił głowę w prawo, gdzie siedziały cztery młode kobiety. Dwie blondynki, dwie brunetki, na oko czterdziestoletnie, ubrane w ołówkowe spódnice i białe bluzki pod marynarkami. Wyglądały na pracownice banku, a jedna z nich, z czerwonymi ustami i okularami w czarnych oprawkach, zerknęła na Marcela. Dostrzegł obrączkę na jej palcu. Znajomości z mężatkami nie kończą się dobrze, przemknęło mu przez głowę.

Potał dłońią policzki. Ostry, twardy zarost zakłuł go w opuszki palców. Dopił drinka i niespiesznie udał się do baru. Zamówił kolejnego, potem następnego i jeszcze jednego.

Świat zawirował.

Kiedy szedł przez podwórko w poszukiwaniu wolnego leżaka, zauważył blondynkę z Piotrkowskiej w towarzystwie wosacza z gitarą. Miała nie więcej niż dwadzieścia trzy lata, roześmiane oczy i mięsiste usta w kształcie serca. Dużo się uśmiechała i dużo mówiła, o czym przekonał się, gdy podeszła, by zaprosić go na piwo.

Maria studiowała architekturę, a ulicznym graniem zarabiała na czynsz i chesne na uniwersytecie. Prowadziła intensywne życie – w tygodniu pracowała w call center, wieczorami śpiewała na ulicy wraz z kolegą o ksywce Billy, weekendy zaś spędzała na uczelni, od dziewiątej od piętnastej. Pochodziła z Łodzi, dokładniej z Polesia, ale przez buntowniczą naturę pokłóciła się z rodzicami i wyprowadziła z rodzinnego domu.

– Może to i dobrze – podsumowała. – Wiesz, jacy są rodzice.

Marcel nie wiedział. Wyprowadził się z domu przed kilku laty, lecz do rodzinnego gniazda wracał chętnie. Rodzice go wspierali. W trudnej sytuacji zawsze mógł na nich liczyć.

– Nie wyglądasz dobrze – oznajmiła nowa znajoma, dopijając piwo.

W odpowiedzi wzruszył ramionami. Nie zapytał, czy Maria podsumowała jego wygląd, czy miała na myśli coś innego. Po kilku mocnych drinkach rzeczywiście mógł wyglądać niekorzystnie.

– Problemy z dziewczyną? – dopytywała.

– Z dziewczyną?

– Przystojny facet przyszedł do baru, żeby się upić – odparła. – Rozmawia z fajną laską, a nawet nie próbuje jej poderwać. – Uniosła palec. – Wniosek jest prosty.

Marcel dopiero teraz zauważył urodę dziewczyny i zdał sobie sprawę, że naprawdę coś musi być z nim nie tak. Maria wydawała się sympatyczna, ale nic poza tym. Mimowolnie dotknął wibrującego w kieszeni telefonu.

Roksana umyła zęby, przebrała się w piżamę i spojrzała w lustro. Z obrzydzeniem dotknęła dłonią szczeciny na głowie. Chwyliła nożyczki i przycięła wystające kępki, po czym przemknęła do pokoju. Cicho zamknęła za sobą drzwi, wsunęła się do łóżka i włączyła nocną lampkę. Wczoraj wybrała się do biblioteki, by uzupełnić zapasy książek. Dzisiaj wybór padł na trylogię Stiega Larssona, pierwszą część serii Millennium. Bibliotekarka polecała tę pozycję, więc Roksana bez wahania wypożyczyła trzy opasłe tomy. Historia wciągnęła ją od pierwszego rozdziału. Ochoczo przewróciła kartkę, kiedy usłyszała szmer dochodzący z korytarza. Nabrała powierza, nasłuchując dźwięków. Zadrzała, rozpoznając, kto wchodzi na piętro.

Chciała odłożyć książkę, wybiec z pokoju i uciec, ale skamieniałe mięśnie przyszpiliły ją do łóżka. Poczła wilgoć na plecach oraz pot spływający po czole.

Ciężki, chrapliwy oddech dochodzący z korytarza był coraz donioślejszy. Szuranie kapci. Dźwięk naciskanej klamki. Ciche domknięcie drzwi. Roksana kompletnie zapomniała, że mama pracuje na nocną zmianę. Zapomniała, że dzisiaj przypada dzień odwiedzin tatusia.

Usiadł na skraju łóżka. Śmierdział potem i zwietrzałym piwem.

– Co u ciebie, córeczko? – spytał.

Wykrzywił twarz w uśmiechu. Wsunął rękę pod kołdrę i musnął palcem po łydce. Roksana błyskawicznie odzyskała władzę nad ciałem, cofnęła nogę, podciągając kolana pod brodę.

Ojciec przesunął się bliżej i przejechał dłonią po jej krótkich włosach na głowie.

– Dlaczego je obcięłaś?

Nie odpowiedziała.

– Przecież wiesz, jak lubiłem twoje włosy.

Odkąd pamiętała, ojciec lubił bawić się jej włosami. Wpinać kokardy, zakręcać kosmyki na palec, zjeżdżać dłońmi poniżej karku.

Miała ochotę krzyczeć, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Tatuś przesunął dłoń na ramię, odsuwając krótki rękawek koszulki. Wzdrygnęła się.

– Mamy nie ma – powiedział.

Mamy nigdy nie było, kiedy tatuś do niej przychodził. Przez te wszystkie lata był bardzo ostrożny. Mama o niczym nie wiedziała, miała mnóstwo własnych problemów. I własne siniaki na ciele. Roksana nie chciała dokładać jej zmartwień.

Rudnicka dopiła czwartą kawę i spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Stwierdziła, że najwyższa pora zakończyć pracę na dzisiaj, kiedy nagle doznała olśnienia. Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć?

Olśnienie spłynęło na nią dwie godziny temu. Dwie godziny, które poświęciła na wpatrywanie się w ekran telefonu, przeplatane próbami dodzwonienia się do Marcela. Lena chciała podzielić się odkryciem, ale sierżant jak na złość nie odbierał komórki.

Wyszła wściekła z gabinetu, wsiadła do jaguara i ruszyła do domu. Zazwyczaj prowadzenie samochodu ją uspokajało, ale nie tym razem. Po krótkiej rozmowie z działem technicznym policji Lena była wściekła. Nawał pracy, poinformował ją aspirant jakiś tam, którego nazwiska nie zapamiętała, zajmiemy się tym jutro. Jutro wydawało się tak odległe, jakby kazał jej czekać do przesilenia wiosennego. Rudnicka nie zamierzała czekać z założonymi rękami. Postanowiła wpaść do domu, by się odświeżyć, a potem załatwić kilka spraw.

Po kilkunastominutowej przejażdżce skierowała się w stronę Księżego Młyna, kiedy zadzwonił telefon. Odczekała chwilę i nacisnęła zieloną słuchawkę. Wzięła głęboki oddech, by zrugać sierżanta, lecz Marcel nie dał jej dojść do słowa.

– Przyjedź do mnie jak najszybciej! – huknął tak głośno, że Rudnicka mimowolnie odsunęła telefon od ucha.

– Niby po co?

– Za ile będziesz?!

Ton Wolskiego nie zwiastował niczego dobrego. Sierżant rzadko dawał się wyprowadzić z równowagi, więc musiało wydarzyć się coś naprawdę poważnego.

– Jeśli w ciągu minuty nie powiesz, po co mam się telepać przez pół miasta, zwyczajnie się rozłączę – odparła.

– Przyjedź do mnie! Czekam! – wykrzyczał, po czym rzucił słuchawkę.

Lena westchnęła, odpaliła silnik i wyjechała z parkingu. Wystarczyło, by spojrzeć w tylne lusterko, a dostrzegłaby, że zaraz za nią ruszyło grafitowe audi należące do jej męża, Krzysztofa Nawrockiego.

Ale nie spojrzała. Zaniepokojona zachowaniem Marcela, nie zdejmowała nogi z gazu i już po pięciu minutach zaparkowała na woonerfie przy Szóstego Sierpnia. Pognęła do mieszkania Wolskiego, pokonując po dwa stopnie naraz, i nie czekając na zaproszenie, wparowała do środka. Uderzył ją zapach papierosowego dymu, kłębiącego się pod wysokim sufitem. Wolski stał w korytarzu z papierosem między palcami. Wyglądał, jakby właśnie dowiedział się o śmiertelnej diagnozie. Minęła go i otworzyła okno, wpuszczając do niewielkiego pomieszczenia podmuch świeżego powietrza.

– O co chodzi? – zapytała, rozkładając ręce.

Stęknął coś niezrozumiale, włączając dym do płuc z taką namiętnością, jakby od tego zależało jego życie.

– Halo? Pytam, po co mnie ściągnęłaś do tego kawalerskiego pierdolnika?

Marcel dawno nie sprzątał mieszkania. Brudne ubrania były porzucane wszędzie, w zlewie zalegał stos naczyń, na stole powstał całkiem pokaźny zbiór pustych butelek.

Rudnicka zerknęła na Marcela, który mamrotał coś pod nosem. Nie rozumiała ani słowa.

– Kurwa, nawaliłeś się jak szpadel – powiedziała. – Jeśli sądzisz, że będę trzymać twoją głowę nad kiblem, to możesz...

– Zgubiłem broń – wypalił.

Lena poczuła się, jakby przyłożył jej młotkiem w głowę. Zaśmiała się, uznając słowa Marcela za dobry żart, ale po chwili spoważniała. Mówił serio, czego potwierdzeniem były dygoczące dłonie. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Co zrobiłeś? – spytała bez przekonania.

– Zgubiłem glocka.

Rudnicka milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy Wolski mówił poważnie. Jak można zgubić pistolet? To nie działo się naprawdę... Pokręciła głową, sięgając po paczkę westów. Zapaliła papierosa i spojrzała na sierżanta. Trząśł się.

– Naładowanego – dodał.

– Co? – Uniosła brwi, próbując się uspokoić. Przyszło jej do głowy, że w takiej sytuacji śmiertelna diagnoza może nie byłaby złą wiadomością. – Chcesz powiedzieć, że zgubiłeś naładowaną giwerę?

Nie odpowiedział.

– Jezu! – stęknęła.

– Co mam zrobić?

– Co masz zrobić?! Pojęcia nie mam. Ja na twoim miejscu strzeliłabym sobie w łeb. Ale – uniosła palec – nie możesz, bo zgubiłeś pistolet!

– Lena, proszę...

– Co? Co tam mamrocześ?

– Nie dobijaj mnie...

Marcel patrzył na nią tępym wzrokiem. Miał wrażenie, jakby ktoś ścisnął go za gardło. Procedury w przypadku zgubienia służbowej broni są jasne. Marcel wiedział, co powinien zrobić, ale zamiast tego zadzwonił do Leny. Mimo że nie rozstali się dzisiaj w zgodzie, był pewien, że ona zrobi wszystko, by mu pomóc. A przynajmniej taką żywił nadzieję.

– Co mam zrobić? – powtórzył drżącym głosem.

– Pikuj do dyżurnego! Jak ktoś dorwie twoją giwerę i niechący wystrzeli, będzie kwas jak stąd do Warszawy!

Posłusznie kiwnął głową, wyjął telefon i wykręcił numer komendy przy Sienkiewicza. Gdy nacisnął zieloną słuchawkę, Lena wyrwała komórkę z ręki i rozłączyła się.

– Nie – mruknęła, rzucając telefon na blat. – Czekać.

– Kazałaś mi zadzwonić.

– Czekać, kurwa, bo jak ruszysz lawinę, to już jej nie zatrzymasz. Daj pomyśleć.

– Nie ma nad czym.

– No to dzwoń i od razu napisz podanie o zwolnienie ze służby, bo za zgubienie służbowej broni wylecisz z dyscyplinarką na karku.

Lena miała rację. Jeśli faktycznie ktoś znajdzie broń i kogoś postrzeli, Wolski może spakować swoje rzeczy. Albo szykować się do odsiadki, pomyślał i podzielił się tym przemyśleniem z Rudnicką.

– Ale gdyby ktoś zgłosił się z Glockiem na komendę, może uda się zamieść sprawę pod dywan – odparła, nerwowo zaciągając się papierosem.

– Pod dywan?

– Tatuś pomoże.

Marcel zdrzął na myśl o ojcu. Owszem, ojciec by mu pomógł, ale Marcel wolał nie myśleć, co byłoby potem.

– Jeśli oficjalnie zgłosisz zagubienie broni, to pozamiatane.

– Więc co mam zrobić?

– Co robiłeś po wyjściu z komendy? – zapytała. – Bo wyszedłeś, prawda? Twoje auto stoi na parkingu.

– Tak, poszedłem na Piotrkowską.

– Dokąd?

– Na OFF-a.

– Bezpośrednio tam? Zatrzymywałeś się gdzieś, wchodziłeś do innych barów?

– Nie. To znaczy tak. Zatrzymałem się przy ulicznych grajkach, ale wtedy miałem broń.

– Jesteś pewien?

Teraz nie był niczego pewien.

– Tak – odparł. – Raczej tak.

– Raczej tak czy tak?

– Miałem broń. Pamiętam.

Przynajmniej tyle.

– Okej, wiesz, w jakiej sytuacji mógłbyś ją zgubić?

Marcel zastanowił się, odtwarzając w głowie przebieg wieczoru. Nabrał powietrza i szybko streścił go Rudnickiej. Starał się nie ominąć żadnego szczegółu, chociaż sprawiało mu to spore problemy, bo nie pamiętał zbyt wiele po trzecim drinku.

– Czyli podrywałeś jakąś blondynę przy stoliku, a potem poszedłeś do domu?

– Nie podrywałem jej.

Przewróciła oczami.

– To nie ma znaczenia – warknęła. – Pukałeś ją? Może zgubiłeś gnata, jak gziliście się w jej samochodzie.

– Żartujesz?

– Bynajmniej. Gdzieś musiała ci wypaść.

Marcel zdał sobie sprawę, jak brzmią te słowa. Zgubił naładowaną broń. Był idiotą. Ktoś może zabić niewinnego człowieka. I to będzie moja wina, pomyślał, czując, jak zimny pot

spływa mu po plecach.

- Tylko z nią rozmawiałem.
- Co to za panna?
- Nie wiem, dopiero ją poznałem. Ma na imię Maria i studiuje architekturę.
- Nazwisko?
- Mam jej numer.
- Więc dzwoń.
- Mam zapytać, czy przypadkiem nie widziała zgubionego pistoletu?
- Chuj mnie obchodzi, jak to załatwisz.

Zadzwoił. Maria odebrała dopiero za trzecim razem, w tle słychać było muzykę. Najprawdopodobniej była w klubie, bo poprosiła o chwilę, by mogła wyjść na zewnątrz. Rudnicka przysłuchiwała się rozmowie, zapalając kolejnego papierosa. Pomyślała, że jeśli Wolski w taki sposób jak teraz rozmawiał z dziewczyną w barze, nic dziwnego, że nie zdołał jej przelecieć.

– Nie widziała – rzekł, gdy skończył rozmowę. Sięgnął po westy i zapalił jednego, próbując się uspokoić. Wziął do ręki butelkę ginu, ale Rudnicka zabrała ją i postawiła z powrotem na stole.

- Tobie już wystarczy.
- Powiedziała, że nie widziała, żebym miał przy sobie pistolet.
- Robi się coraz ciekawiej.
- Więc musiałem go zgubić, gdy siedziałem sam przy stoliku.
- Kiedy to było?
- Usiadłem tam, kiedy piłem pierwszego drinka, więc zaraz jak przyszedłem.
- Ja pierdołę – mruknęła pod nosem. – Po co tam w ogóle polazłeś? Trzeba było iść prosto do domu, po drodze kupić parę piw i urznąć się w czterech ścianach.
- Byłem wkurzony i poszedłem się napić.
- Raczej upić.
- Byłem zły, bo odsunęłaś mnie od sprawy.

Rudnicka miała powody, by tak postąpić, ale wyjaśnianie wszystkiego Wolskiemu nic by nie zmieniło.

- Moja wina, co? – Strzepnęła popiół do przepelnionego słoika.
- Po prostu byłem zły.
- I odmóźdzony.

Wyrzucił niedopałek i ukrył twarz w dłoniach.

- Pakuj się – powiedziała Lena.
- Dokąd?
- Pojedziemy na OFF-a.
- Myślisz, że ktoś znalazł glocka i postanowił oddać go obsłudze?
- A masz inny pomysł?

Nie miał, ale nie liczył na łut szczęścia. To byłoby zbyt piękne, pomyślał, gdy obszukiwali kanapę, na której siedział kilka godzin temu i popijał gin z tonikiem. Nie widział sensu, by pytać obsługę i barmanów, ale Rudnicka była zdeterminowana. Przemaglowała wszystkich kelnerów, a nawet menedżera pubu, ale żadne z nich nie natknęło się na policyjny pistolet.

– To bez sensu – stwierdził, gdy z powrotem wrócili do kawalerki. Usiadł na materacu, który służył mu za łóżko, i napił się ginu. Jałowcowy posmak rozlał się po języku.

Rudnicka usiadła obok.

– Jeśli nikt z komendy do ciebie nie dzwonił, to oznacza, że szczęśliwy znalazca jeszcze się nie zgłosił.

– Słabe pocieszenie. Mogę pożegnać się z robotą.

– Może stary cię wybroni.

– Daj spokój. Jestem idiotą.

Wyciągnął telefon i zawahał się.

– Nie zgłaszaj tego – powiedziała Lena. – Dopóki nic się nie wydarzy, może uda nam się odnaleźć spluwę.

– Jak chcesz ją znaleźć?

– Po co cywilowi broń? Gdybym to ja znalazła gnata, spróbowałabym opchnąć go na czarnym rynku. Znam paru gości handlujących bronią. Powiem, żeby skontaktowali się ze mną, jeśli natkną się na glocka siedemnastkę.

Marcel wolał nie pytać, skąd Rudnicka zna „paru gości handlujących bronią” ani dlaczego utrzymuje z nimi przyjacielskie stosunki.

– A jeżeli jednak ktoś użyje broni? – zapytał. – Albo wystrzela magazynek?

– Jeśli wystrzela magazynek, trudno. To da się załatwić. Ale jeśli kogoś postrzeli, powiesz, że zgubiłeś ją godzinę temu i próbowałeś odszukać na własną rękę.

– Nawet jeśli postrzeli kogoś za tydzień?

– Nawet.

– Nie ukryję tego tak długo. To szaleństwo.

– Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał i odnajdziemy ją wcześniej.

– Jeśli nie, grozi mi dyscyplinarka?

– Mhm.

Wolski potarł nerwowo czoło i upił łyk ginu. Odchrząknął, spoglądając na Lenę.

– Dzięki – rzekł.

– Za co?

– Gdyby nie ty, oszalałbym.

– Jeszcze nic nie zrobiłam.

Lena się myliła. Zrobiła bardzo dużo. Wystarczyło, że była obok, by Marcel odzyskał grunt pod nogami. Pewność siebie Rudnickiej dodała mu otuchy. I nadziei, że uda mu się jakoś wybrnąć z tej absurdalnej sytuacji. Bezwiednie dotknął jej dłoni. Zabrała rękę.

– Łapy przy sobie! Miałeś wcześniej okazję podskubać panienkę.

Uśmiechnął się.

– Na twoim miejscu nie byłoby mi do śmiechu – burknęła. – Nad twoją durną głową gromadzą się czarne chmury, a błyskawica może pojawić się w każdej chwili i jak trzaśnie, to wylecisz z komendy z hukiem.

Położył się na plecach, podsuwając pod głowę poduszkę.

– Dlaczego mnie odsunęłaś? – zapytał.

– To cię boli?

– Zastanawia.

Prychnęła.

– Lepiej zastanów się, kto może teraz trzymać palec na spuście twojego glocka.

– W gruncie rzeczy to twoja wina.

– Słucham? – Obróciła się i zgromiła go wzrokiem.

– Gdybyś mnie nie odsunęła, nie poszedłbym na OFF-a i nie zgubił broni.

– Nie denerwuj mnie, bo nie ręczę za siebie.

Igrał z ogniem. Przejechał palcem wzdłuż jej pleców.

– Zdurniałeś?!

Odskoczyła, przytrzymując się dłonią podłogi.

– Przepraszam.

– Zaraz moja pięść wyląduje między twoimi oczami, sierżancie.

– Wątpię – odparł.

– Jesteś stuknięty.

Sądził, że Lena odskoczy jak oparzona, zrużga go i wybiegnie z mieszkania, ale tak się nie stało. Wciąż siedziała w tym samym miejscu i choć jej twarz pozbawiona była emocji, w jej oczach Marcel dostrzegł wahanie.

– Co ty sobie wyobrażasz, co? – zapytała.

– Przepraszam.

– Płyta ci się zacięła?

– Wybacz.

– Jezu.

Uśmiechnął się, podnosząc się do pozycji siedzącej. Przez chwilę trwał w bezruchu, po czym postawił butelkę obok materaca.

– Masz rację, jestem idiotą.

– Widzę, że niektóre fakty docierają do ciebie z opóźnieniem.

– Nie mówię o zgubieniu glocka.

– A o czym?

Nie musiał odpowiadać, bo to, co miał na myśli, trudno było opisać słowami.

Uniósł dłoń i przesunął nią po przedramieniu Leny. Nie cofnęła się. Choć chciała. Dziwna siła zatrzymała ją wciąż w tym samym miejscu. Poczowała się, jakby przez ramię

przeskoczyło kilka iskiei.

– Marcel – upomniała go.

Opuścił rękę i oparł ją za plecami Leny. Siedzieli tak blisko, że czuła zapach jego perfum zmieszanych z alkoholem i dymem papierosowym. Wiedziała, co chodzi Wolskiemu po głowie. Wiedziała również, że powinna to przerwać, więc zerwała się na równe nogi i zapaliła papierosa.

– Jeśli chcesz mnie przelecieć, zapomnij.

– Ja nie...

– Tak to wygląda.

– Przepraszam. Nie chciałem, żeby...

– Skończ z tym przepaszaniem.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Więc lepiej się przymknij.

Z papierosem w ustach założyła marynarkę i sięgnęła po kluczyki. Gdyby Marcel był bardziej spostrzegawczy, dostrzegłby, że Lena Rudnicka pomimo zaciętej miny toczy ze sobą wewnętrzną walkę. I jest o włos od przegranej.

– Ogarnij się – powiedziała. – I wytrzeźwiej. Przyjadę koło ósmej. Pojedziemy coś załatwić.

– Co takiego?

– Dowiesz się jutro. I módl się, żeby do rana nikt nie wpakował komuś kulki w łeb z twojego gnata.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wyszła. Nie powiedziała mu o swoim dzisiejszym odkryciu, ale po aferze z glockiem wyleciało jej to z głowy.

16

Lena była w błędzie, sądząc, że ma przed sobą jeszcze kilka samotnych dni. Wszedłszy do mieszkania, szybko ściągnęła buty i skierowała się do łazienki, kiedy poczuła, że coś jest nie w porządku.

– No proszę. Wiesz, która jest godzina?

Głos męża sprawił, że przeszły ją ciarki. Cofnęła się w głąb korytarza. Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do pierwszej w nocy.

– Byłaś w pracy? – zapytał Krzysztof, obracając w dłoni kieliszek wina. – Jak sądzę, musiałaś zostać po godzinach na komendzie, prawda?

– Tak się złożyło.

Krzysztof wsunął dłonie do kieszeni garniturowych spodni.

– Ciężko rozstać się z pracą, szczególnie przy takim śledztwie – ciągnął. – Ale wiesz co? Nie wiedziałem, że przenieśli twój gabinet na Szósteo Sierpnia.

Krzysztof wiedział. Wiedział, że była u Wolskiego, i nie było sensu brnąć w te kłamstwa. Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale przypuszczała, że zwyczajnie ją śledził. Ciekawe, czy w ogóle pojechał nad morze? Może kręcił się w okolicy przez cały czas? Jeśli tak, wiedział również, że Marcel spędził u Leny noc. Spał na kanapie w salonie, ale tego Krzysztof pewnie nie wiedział.

Lena spróbowała uniknąć tego, co nieuniknione.

– To nie tak – powiedziała. – Byłam u Wolskiego, bo...

– Nie kłam. Wiesz, że nienawidzę kłamstwa.

– Nie kłamię...

– Mieliśmy jechać na cholerne wakacje. Mieliśmy zacząć od nowa, ale ty niczego nie rozumiesz!

– Czego nie rozumiem?

Dyskusje z Krzysztofem nie miały sensu i często przynosiły odwrotny skutek. Mimo to Lena robiła to za każdym razem, jakby chciała odroczyć to, co miało nastąpić.

– Chciałem, żeby było dobrze, żebyśmy zaczęli od nowa. Ale ty znowu zachowujesz się tak, jakby ci na mnie nie zależało. Ta cholerna praca zawsze ze mną wygrywa. A może to nie o pracę chodzi, co?

Zmrużył oczy, czekając na odpowiedź, która nie nadeszła.

– Pieprzysz się z nim? – spytał.

– Nie...

– Tylko czekałaś, aż wyjadę, prawda? Przyznaj się!

Lena milczała. Już kiedyś przerabiali podobną rozmowę i skończyło się to fatalnie. Dla niej.

– Jestem twoim mężem – ciągnął. – Przysięgałaś mi wierność, ale wiesz, że nie wymagam jej od ciebie. Możesz się bzykać z każdym, ale nie z tym chłopakiem. Czego nie rozumiesz, do cholery?

Fakt. Układ w ich małżeństwie był jasny. Krzysztof rzeczywiście nie wymagał od Leny wierności. On sam nie mógł sprostać jej wymaganiom, więc przyzwalał jej na przelotne romanse. Nieleczona impotencja zalewana alkoholem sprawiła, że życie seksualne Krzysztofa zupełnie się załamało. Był sfrustrowany. Lena uważała, że to jest główny powód jego agresji.

Z Marcelem Krzysztof miał jednak poważny problem. Znał własną żonę na tyle, by wiedzieć, że sierżant nie jest jej obojętny.

– Ledwie zdążyłem wyjechać, a tu już się z nim zabawiasz. I to gdzie? W moim domu!

– Nie zabawiałam się z nim...

– Ty dziwko!

Uderzył ją otwartą dłonią w policzek, ale uderzenie nie było silne. Lena zdołała utrzymać równowagę.

Podszedł do stolika kawowego i odkorkował kolejną butelkę wina. Upił kilka solidnych łyków i wierzchem dłoni otarł usta.

Spojrzał na Lenę. Poczowała ucisk w żołądku, myśląc o tym, że ta noc nie skończy się szybko.

ROZDZIAŁ IV

CZWARTEK, 28 CZERWCA

1

Poczuła czyjeś ręce na ramieniu. Potrząsały nią jak szmacianą lalką. Siłą woli otworzyła oczy. Oślepiło ją jasne światło, więc znów zacisnęła powieki. Ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Nie miała siły ruszyć ręką, jakby ktoś wypompował z niej całą energię. Słyszała słowa, głos brzmiał znajomo. Dźwięki przelatywały przez uszy i wypadały z drugiej strony. Miała wrażenie, że w głowie ma gąbkę, która puchnie z każdym uderzeniem serca. Za chwilę rozsadzi czaszkę.

Zdołała ponownie otworzyć oczy. W ustach jej zaschło, a ciało przypominało drewniany kołek. Zesztywniałe kończyny, odrętwiałe mięśnie i bolące kości. Ktoś ciągle nią potrząsał, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Twarz przykleiła się do wilgotnej poduszki.

Jak przez mgłę docierały do niej słowa. Rozpoznała głos Marcela dopiero po upływie kilku długich sekund.

– Lena? – To on próbował ją dobudzić. – Lena, obudź się, do cholery. – Trzymał ją za ramiona, a potem przeniósł dłonie na policzki. Poklepał po nich, jakby miał do czynienia z pijakiem, któremu urwał się film.

Spojrzała na niego półprzytomnie.

– Ej, obudź się! – mówił coraz głośniejszym głosem. Chciała mu powiedzieć, żeby się zamknął, ale wydusiła z siebie tylko ciche mruknięcie.

Marcel wstał, ale wrócił po chwili i usiadł z powrotem.

– Przyniosłem ci wodę, musisz... – Urwał, gdy spostrzegł, że znowu odpłynęła. Odstawił szklankę i ściągnął z Leny kołdrę.

Uświadomiła sobie, że wystarczyłoby, aby materiał bluzki lekko się podwinął, a doszłoby do katastrofy. Nie miała pojęcia, jak wygląda po wczorajszej rozmowie z mężem, ale sądząc po obecnym samopoczuciu, nie było dobrze.

A potem przypomniała sobie o rozcięciu, które zabarwiło koszulkę krwią. Spojrzała w dół, na szczęście rana już nie krwawiła.

– Zostaw – stęknęła, czując rękę Wolskiego na brzuchu. Chciała ją strącić, ale nie mogła podnieść własnej.

– Lena, wstawaj, do cholery.

Przeniosła na niego wzrok i w oczach zobaczyła troskę, która ścisnęła ją za serce. Marcel się martwił. Nie wiedziała, czy powinna się z tego cieszyć.

– Napij się – powiedział, podtykając szklankę do ust. Podniósł jej głowę, by upiła kilka łyków. Tego potrzebowała. Chłodna woda spłynęła do żołądka, zwilżając spierzchnięte wargi i wysuszone gardło.

– Która godzina? – zachrypiała.

– Czternasta.

Czternasta? Czternasta. Druga po południu. Przespała dwanaście godzin.

– O kurwa!

– Jezu, Lena.

Odgarnął włosy z jej twarzy niczym ojciec martwiący się o chorą pociechę. Wierzchem dłoni dotknął policzków i czoła, jakby sprawdzał, czy ma gorączkę.

– Dzwoniłem milion razy.

– Nie słyszałam.

– Dlatego przyjechałem. Naczelnik szuka cię od rana, więc powiedziałem, że masz wizytę u lekarza, i przyjechałem sprawdzić, co się dzieje.

– Samarytanin, kurwa mać.

Uśmiechnął się blado.

– Wściekał się o jakieś raporty, więc wypełniłem wszystkie za ciebie. Musisz się tylko podpisać.

Była mu wdzięczna, chociaż nie wyraziła tego na głos. Przerazała ją świadomość, że Marcel siedział przy łóżku, a w każdej chwili do mieszkania mógł powrócić Krzysiek.

– Jak wszedłeś? – zapytała.

– Drzwi były otwarte.

– O.

Ciekawe dlaczego. Krzysztof wciąż miał urlop. Może zszedł na chwilę do sklepu albo do samochodu i zaraz wróci? Chciała wstać, ale Marcel przytrzymał ją za ramiona i ułożył w pozycji leżącej.

– Co się dzieje? – spytał.

– Nic. Trochę mi się przysnęło.

– Trochę?

Przełknęła ślinę, czując, jak posiniaczone ciało płonie żywym ogniem.

– Wyglądasz jak śmierć – stwierdził.

– I tak się czuję.

– Co wczoraj robiłaś? Upiłaś się?

– Co?

- Zawalilaś robotę, a to do ciebie niepodobne.
- Daj mi nóż.
- Nóż? Po co ci nóż?
- Bo wolę się zabić, niż słuchać umoralniającego wykładu.

Skrzywił się.

- To nie jest śmieszne. – Sięgnął po coś na szafce nocnej. – Co to? – spytał.

Wzięła głęboki wdech i zaraz pożałowała. Stłuczone żebra odezwały się ze zdwojoną siłą. Spojrzała na flakonik oxycontin, grzebiąc w głowie w poszukiwaniu jakiejś wymówki.

- Co to jest? – powtórzył. – Na co bierzesz te leki?

– Na nic.

– Lena?

– Nie twoja sprawa. – Uniosła się na rękach do pozycji siedzącej i odgarnęła włosy z twarzy, obserwując, jak Marcel wyciąga z kieszeni telefon.

– Oxycontin jest silnym lekiem przeciwbólowym z grupy opioidów – przeczytał. – Stosowany w leczeniu bólu od umiarkowanego do silnego. Upośledza sprawność psychiczną lub fizyczną. Mogą występować działania niepożądane, jak zawroty głowy, nudności, otępienie, brak apetytu, wahania nastroju, pobudzenie, senność, nawet zaburzenia świadomości. Lek nie może być stosowany u osób, które dotychczas nie przyjmowały opioidów, ponieważ dawka może spowodować wystąpienie u nich zagrażającej życiu depresji oddechowej.

- Przestań! – warknęła.

– Wiesz, co jeszcze znalazłem? – Odchrząknął. – Oksykodon jest pochodną kodeiny, wchodzącej w skład opium. Traktowany jak narkotyk między innymi w Stanach Zjednoczonych lub Kanadzie, działaniem przypomina morfinę albo heroinę. Po zażyciu leku odnotowano wiele przypadków śmiertelnych...

- Zamknij się wreszcie.

– Po co to bierzesz?

– Nie twój zasrany interes.

– Fakt, nie mój.

Sięgnęła po telefon. Skasowała nieodebrane połączenia od Marcela i naczelnika, a potem odczytała wiadomość od męża. Pojechał do pracy, wróci wieczorem. Odetchnęła z ulgą.

- Nie uciekniesz od tematu – odezwał się Wolski.

Spojrzała na niego, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Na co bierzesz ten lek? – spytał. – Jesteś chora?

– Nie, ale zachoruję, jeśli będę musiała wysłuchiwać twojego gładzenia.

– Okej, wracasz do siebie. Odzyskałaś cięty język, a to oznacza, że możemy porozmawiać.

- Nie będę z tobą rozmawiać.

– Ile tego połknęłaś?

– Wal się.

– Ile?

Nie odpowiedziała. Spróbowała wstać, ale Wolski posadził ją z powrotem na łóżku. Zgromiła go wzrokiem, lecz nie miała siły z nim walczyć.

– Chciałaś się zabić?

– Co?

– Na to wygląda.

Uświadomiła sobie, że miała rację. Nie potrafiła odpowiedzieć, ile tabletek połknęła. Na pewno sporo. Ale nie chciała się zabić. Chciała spać i zapomnieć o bólu.

– Martwię się o ciebie – powiedział, a na jego twarzy odmalowała się rezygnacja. Pokręcił głową, a do Leny dotarło, że mówił poważnie. Martwił się o nią. Nie powinien się o nią martwić. Nie on. Nie o nią.

Wstała z łóżka, odpychając jego ręce, które próbowały ją powstrzymać. Ale nie była w stanie utrzymać równowagi. Zakręciło się jej w głowie, jakby wsiadła na górską kolejkę. Wolski przytrzymał ją za ramiona, ratując od upadku.

– Jezu, ty się po prostu naćpałaś – stęknął.

– Oddaj mi to.

– Chyba żartujesz.

Szarpnęła za flakon, który trzymał w ręce, ale nie zdołała go wyrwać. Po krótkiej walce odpuściła i przytrzymała się ramy łóżka, z wysiłkiem łapiąc oddech. Podeszła do szafy, wyjęła świeże ubranie i udała się do łazienki. Szybki prysznic pomógł jej wrócić do normalności.

Gdy wyszła, Marcel siedział na kanapie, obracając w dłoniach fiolkę z lekiem. Wszedł za nią do łazienki i wysypał tabletki do muszli klozetowej, potem wyrzucił plastik do kosza. Obserwowała go, zagryzając wargę. Nie miał pojęcia, że kiedy była w łazience, zdążyła połknąć dwie tabletki, schowane na dnie ozdobnego pudełeczka z lakierami do paznokci.

Poczuła, że żołądek wykręca jej się na drugą stronę. Chyba nie było z nią aż tak źle, skoro apetyt dopisywał. Otworzyła lodówkę, wyjęła pudełko z margaryną i znowu się zachwiała.

Marcel pospieszył jej z pomocą.

– Siadaj – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zaparzył kawę i postawił przed Leną talerz z parującymi tostami.

– Masz zjeść do końca.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmiła, odsuwając talerz, ale Marcel przysunął go z powrotem.

– Nie wyjdziemy, dopóki nie zjesz.

Spojrzała na niego z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania, ale posłusznie sięgnęła po tosty.

- Nie zapytasz, co chcę powiedzieć? – podjęła, popijając tost kawą.
- Teraz interesuje mnie coś innego.
- Co takiego?
- Ty.
- Mhm, ale to, co chcę powiedzieć, to będzie bomba.
- Na pewno nie większa niż to, że pracuję z lekomanką.

Skrzywiła się.

- Zanim zagubiłeś spluwę... A właśnie, wiadomo coś w tej sprawie?
- Nie.
- Nikt nie zgłosił się na policję?
- Nikt.
- To dobrze.

Marcel miał odmienne zdanie. Rozważał wyznanie ojcu całej prawdy.

- Zajmiemy się tym jak najszybciej – powiedziała.
- Nie wiem, czy dzisiaj powinnaś zajmować się czymkolwiek.

Ugryzła tost i dźgnęła go w bok.

- Przecież żyję.
- To nie jest zabawne.
- Odkryłam coś.
- Co takiego?
- Zanim zadzwoniłeś z tą szokującą wiadomością o twojej broni, spędziłam kilka godzin, oglądając filmik Diany i Natalii.

- No i co?
- Doszłam do wniosku, że Diana żyje.

Parsknął.

- Weź mój telefon i obejrzyj nagranie raz jeszcze.
- Nie chcę – zaproponował.
- Zrób to.

Z ociąganiem podniósł się z krzesła, wziął telefon i uruchomił filmik. Z każdą sekundą nabierał przekonania, że Rudnicka chyba wciąż jest pod wpływem leków, bo nie zauważył nic, co by wskazywało, że dziewczyna żyje.

- Spójrz na ciało – poleciła.
- Patrzę.
- I co?
- Nic nie widzę.

Stęknęła, stanęła za nim i cofnęła film do początku.

- Patrz, w jaki sposób się obraca.

Patrzył raz, drugi i trzeci. Dopiero za czwartym odtworzeniem nagrania dostrzegł coś dziwnego. Uniósł głowę, spoglądając na Lenę.

– No? – zapytała.
– Nie, to niemożliwe.
– Niby czemu?
– Chcesz powiedzieć, że nagranie zostało spreparowane?
– A ty jak sądzisz?
– Sam nie wiem.
– Ciało buja się raz w lewo, raz w prawo, a potem robi większy łuk w lewo. Te obroty powtarzają się przez całe nagranie. To niemożliwe, żeby samo bujało się w ten sposób. To jest, kurwa, niemożliwe.

W takim razie, pomyślał Wolski, nasze śledztwo nie polega na szukaniu zwłok, ale na znalezieniu nastolatki, która... zanim uciekła z domu, spreparowała własną śmierć.

– Potwierdziłaś to? – zapytał.
– Kiedy kazałam chłopakom sprawdzić, to mnie zbyli. Dzisiaj miałam się do nich odezwać, ale jeszcze nie zdążyłam.
– Więc jedziemy na komendę?
– Mhm. I to szybko.
– A potem do rodziców Diany?
– Nie. Zadzwońię do chłopaków z patrolu, żeby przywieźli ich do pałacu. Musimy porozmawiać z nimi jak najszybciej. Jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, Diana żyje, a my musimy ją odnaleźć.
– I dowiedzieć się, dlaczego zależało jej na tym, żeby wszyscy myśleli, że umarła.
– Właśnie. – Lena sięgnęła po kluczyki do jaguara i wcisnęła telefon do kieszeni, ale Marcel zastąpił jej drogę.
– Pojedziemy fabią – poinformował. – Nie powinnaś prowadzić.
– Okej. – Zrobiła krok w prawo, próbując go wyminąć, ale Marcel również poruszył się w tę stronę. – Przesuń się.
Spojrzał na niedojedzone śniadanie.
Przewróciła oczami, sięgnęła po tost i wyszła z mieszkania.

2

Marzena Lewicka usiadła naprzeciwko byłego męża i wymierzyła w niego palec.

– Mam dość – powiedziała.
Damian Lewicki obszedł fotel i położył Marzenie dłonie na ramionach. Wzdrygnęła się, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie podobało jej się zachowanie byłego męża.
– Masz coś wspólnego z zaginięciem ciała tej dziewczyny? – zapytała.
– Z zaginięciem Diany? Co ty wygadujesz, Lewka?
„Lewka”. Dawno jej tak nie nazywał. Kiedy byli małżeństwem, robił to zawsze, gdy miał coś na sumieniu, czyli przez ostatnie miesiące wspólnego życia niemal codziennie. Ich

małżeństwo nie należało do udanych. Prędzej czy później musiało skończyć się rozwodem, zdrada Damiana tylko wszystko przyspieszyła.

– Wyjaśnij mi w takim razie, dlaczego potrzebujesz alibi? – zapytała.

– Czy ty zawsze musisz zadawać tyle pytań? Nie możesz zwyczajnie pomóc?

– Niby dlaczego?

– Chcesz, żebym poszedł do więzienia? Tego chcesz? Żeby ojciec twojego dziecka poszedł siedzieć? Żeby mała odwiedzała mnie za kratami?

Marzena poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa. A jednak Damian miał coś wspólnego ze sprawą tamtej dziewczyny. Gdyby było inaczej, nie zakładałby, że pójdzie do więzienia. Marzenę ogarnęło przerażenie. W co on się wpakował?

– Zrobiłeś coś tej dziewczynie?

– Ja?! Zwariowałaś? Nie oglądałaś filmu? – Zaśmiał się nerwowo. – Przecież widać, że sama się zabiła, a ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Więc po co ci alibi?

Przełknął ślinę, odwracając się do okna.

– Odpowiedz, do jasnej cholery!

– Stul dziób, bo sąsiedzi cię usłyszą – warknął.

– Niech słyszą! Gównu mnie obchodzi, co sobie pomyślą! Chcę wiedzieć, czy zrobiłeś coś tej dziewczynie! Jeśli mam cię chronić, muszę wiedzieć!

– Przymknij się.

– Ciągle o tym myślę, Damian. Media huczą od plotek, a ten dziennikarz, Owczarek, wysmarował o tobie artykuł. Inne gazety podchwyciły temat. Odkryją prawdę prędzej, niż myślisz.

– Policja nic nie odkryła, więc dziennikarze tym bardziej.

– Jesteś pewien? A co będzie, jak mała się wygada, że tamtego dnia była ze mną? To jeszcze dziecko.

– Zakazałem jej rozmawiać na ten temat.

– Zakazałeś?

– Tak.

Marzena nie wierzyła własnym uszom. Damian zmuszał własną córkę do kłamstwa. Zmuszał ją, by kryła go przed policją. Tego już za wiele.

– Nie obchodzi mnie, czy cię wsadzą ani co masz na sumieniu – oznajmiła Marzena. – Pójdę na policję i powiem prawdę.

– Nigdzie nie pójdziesz.

– Pójdę, Damian. Nie powstrzymasz mnie. Odchodzę od zmysłów! Nie mogę tak żyć.

Damian nie wytrzymał. Uderzył pięścią w ścianę, skóra na kostkach pękła, kilka kropel krwi spadło na podłogę. Złapał się za głowę. To wszystko zaszło za daleko, pomyślał, jedno kłamstwo pociągnęło za sobą kolejne. Teraz nie mógł się wycofać. Był przekonany,

że Marzena nie żartuje. A jeśli ona pójdzie na policję, Damian będzie skończony. Nie mógł do tego dopuścić.

Marzena bez słowa ruszyła w kierunku drzwi, lecz on okazał się szybszy. Szarpnął ją za ramię, a ona zachwiała się i uniosła ręce ku górze, usiłując utrzymać równowagę. Serce mu zamarło. Wszystko widział teraz jak na zwolnionym filmie – głowa byłej żony uderzyła w metalową framugę. Mocno. Miał wrażenie, że słyszy odgłos pękającej czaszki.

Marzena upadła. Minęło raptem kilka sekund, a z tyłu jej głowy wypłynęła smuga gęstej krwi i zabarwiła jej włosy niczym farba.

Damian spojrzał na zaszklone oczy Marzeny. Osunął się na kolana, próbując złapać oddech.

– Marzena? – Ujął jej twarz w dłonie. – Marzena?

Serce mu przyspieszyło. Przełknął ślinę. Boże. Poczł ciepło pomiędzy nogami. Instynktownie zerknął w dół. Wilgotna plama pokryła materiał niebieskich dżinsów. Wstał, zakręcił się wokół siebie, trzymając za pulsujące skronie, drugą ręką zaś ściągał spodnie.

Jezu!

Chwycił telefon i wybrał sto dwanaście, ale w porę się zmitygował. Nie mógł wezwać karetki. Ściągnąłby na siebie policję, a do tego nie mógł dopuścić. Nie uwierzyliby w nieumyślne spowodowanie śmierci.

Co robić?!

Kolejny raz spojrzał na ciało Marzeny. Muszę ukryć zwłoki, pomyślał, zmieniając spodnie. Przynajmniej do czasu, aż ucichnie sprawa z Dianą. Ale jak ukryć gdzieś ciało? Jak?

Szybkim krokiem przemierzył pokój. Odstawił dwa fotele, a potem przeciągnął ciało Marzeny na dywan. Na podłodze zostały ciemne smugi krwi. Damian drżał na całym ciele. Dopiero za trzecim razem udało mu się zawinąć ciało w dywan, potem zarzucił go na plecy. Ciało wydało mu się nadzwyczaj lekkie, po chwili uświadomił sobie, że pewnie to krążąca w żyłach adrenalina sprawiła, że nie czuł ciężaru.

Pospiesznie zszedł po schodach, kłaniając się po drodze sąsiadce spod dwudziestki. Złożył przednie siedzenie w samochodzie i ostrożnie położył dywan. Usiadł za kierownicą, ale prowadzenie samochodu okazało się wyzwaniem. Dłonie mu dygotały, nogi miał jak z waty, z trudnością wciskał pedał gazu. Najchętniej docisnąłby go do oporu, ale nie mógł ryzykować, że zatrzyma go policja.

Przejechawszy znak z przekreśloną nazwą miasta, wpadł w panikę. Zatrzymał się na poboczu, by uspokoić myśli. Po pierwsze: nie mógł porzucić Marzeny w lesie. Prędzej czy później ktoś by ją znalazł, a Damian potrzebował czasu, by zorganizować ucieczkę z kraju. Właśnie tak powinien zrobić – uciec za granicę i zaszyć się w bezpiecznym miejscu. Dlatego musiał zostawić Marzenę w miejscu, w którym nie zostanie odnaleziona zbyt szybko.

Wrócił do miasta, zjechał z Rokicińskiej i zatrzymał samochód między wieżowcami, w pobliżu rzędu garaży. Wsiadł z samochodu i omiół wzrokiem okolice, a potem drżącymi dłońmi otworzył bagażnik. Z trudem zataszczył dywan pod jeden z garaży. Po drodze ze stopy Marzeny zsunęła się szpilka, więc spieszonym ruchem wrzucił ją na tylne siedzenie i wyjął pęk kluczy. Garaż należał do jego ojca, który jakiś czas temu udostępnił go Damianowi, aby mógł trzymać tam rower, zapasowe opony i inne zbędne rzeczy. Ojciec prawie nigdy nie zaglądał do garażu, więc miejsce wydawało się bezpieczne.

Lewicki rzucił dywan na ziemię i zatrzasnął drzwi.

3

Proszę, proszę! Głos naczelnika Ostrowskiego brzmiał niczym dzwon wieszczący problemy. – Kogo my tu mamy? Och! – Klasnął w dłonie. – Pani komisarz, miło panią widzieć! Jak wizyta u lekarza? Zdrowie pani dopisuje?

Lena rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie, obesła biurko i usiadła na skórzanym fotelu.

– Chorujesz na coś? – spytał. – Nie wiedziałem, że tak krucho u ciebie ze zdrowiem, ale rozumiem! Poproszę L4 i będzie po sprawie.

Wolski spojrzał na Lenę, przetykając ślinę. Gdy Ostrowski pytał Marcela o nieobecność Leny, wizyta u lekarza była pierwszym, co przyszło mu do głowy.

– Skończyłeś? – Lena odchyliła się na oparcie.

– Gdzie masz zwolnienie? – Naczelnik postukał palcem o blat biurka.

– Nie mam.

– Tak myślałem! – zagrzmiął. – Pamiętaj, że to, że masz cycki, nie zwalnia cię z obowiązku przychodzenia do pracy. Co? Okres dostałaś i nie mogłaś przyjść? – Zarechotał. – Pierdoli mnie to. Wcisnęłaś się w mundur, więc, kurwa, będziesz traktowana tak jak inni gliniarze. Mam w dupie twoją ciotę, powinnaś być w robocie od rana! Co ty, kurwa, łaskę robisz, że przychodzisz? Jest prawie wpół do czwartej! Co ty sobie myślisz, kurwa, co?!

– Przystopuj, szeryfie, bo ci żyłka pęknie.

– Mam dość przymykania oka na twoje zachowanie. Nie obchodzi mnie, że masz chody u starego, chociaż nie potrafię zrozumieć, dlaczego komendant chroni twoją chudą dupę. Albo nie – uniósł palec – mam pewne podejrzenia. No, przyznaj się, chodzi o młodego, co?

– Wystarczy. – Marcel zrobił nieśmiały krok w stronę Ostrowskiego, lecz ten nawet na niego nie spojrzał.

– Gdzie są raporty, kurwa? – zapytał. – Od tygodnia powinny być na moim biurku.

Rudnicka sięgnęła do szuflady i wyjęła dokumenty wypełnione przez Wolskiego. Machnęła kilka podpisów i popchnęła po blacie w kierunku naczelnika.

Ostrowski spojrzał na plik kartek, a potem przeniósł wzrok na komisarz. Nawet nie próbował ukryć rozczarowania.

– Jeszcze coś? – mruknęła Lena. – Bo mam dzisiaj sporo roboty.

– Kiedyś się doigrasz, Rudnicka – odparł Ostrowski, zbierając dokumenty. – Gwarantuję, że kiedyś się doigrasz.

Po wyjściu naczelnika Rudnicka zaparzyła dwie kawy i usiadła za biurkiem.

– Nie przypominam sobie, żebym mianowała cię na mojego adwokata – powiedziała. – Nie musisz kryć mi tyłka. Poradzę sobie.

– Nie byłbym tego pewien.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ do gabinetu zajrzał mężczyzna w hawajskiej koszuli. Skinął im głową na przywitanie.

– Cześć – powiedział, zamykając za sobą drzwi. – E... Sprawdziłem to nagranie, o które prosiłaś.

– No i? – Lena nagle się ożywiła.

– Sprawdziłem je już rano, ale nie mogłem cię znaleźć.

– Mogłeś zadzwonić.

– Fakt. Niby mogłem.

Spojrzała na niego, usiłując przypomnieć sobie jego imię.

– Dobra, mów co masz – ponagliła.

– Miałaś rację.

– Domyślam się.

– To nagranie jest spreparowane. Bardzo umiejętnie, ale jednak spreparowane.

– Mów.

– Przepuściłem to przez program, potem...

– Omińmy niuanse informatyki i przejdźmy do rzeczy – weszła mu w słowo. – I tak nic z tego nie zrozumieję. Mów do mnie, jakbym była sześciolatkiem. Drukowanymi literami.

– Okej... – Zawahał się. – Jak pewnie wiesz, komputerowe filmy to nic innego jak zbiór pikseli. Istnieją mniej lub bardziej profesjonalne programy do obróbki filmów, ale jeśli się nad tym popracuje, to nagranie może wyglądać na prawdziwe. W każdym razie da się je dowolnie przerabiać, możesz dokleić sobie wąsy, zmienić tło...

– Do rzeczy.

– Coś wyciąć, dociąć, przerobić, nałożyć obraz – ciągnął. – Podsumowując: możesz zrobić z filmem, co tylko chcesz. Ten film – zamachał płytą w plastikowym opakowaniu – jest bardzo dobrze zmontowany. Musiał taki być, bo inaczej nie poszedłby live.

– Co to znaczy?

– Internauci doszkaliby się manipulacji. Są jak psy myśliwskie. Wszędzie węszą przekręt, ale tutaj nie znaleźli. Może nie zainteresowała się nim odpowiednia osoba, a może nikt nie przypuszczał, że można spreparować nagranie live. W każdym razie miałaś rację, obraz został nałożony wielokrotnie, przez co wydaje się, że ciało buja się przez pięć minut.

- W rzeczywistości mogło bujać się krócej?
- Raptem parę sekund. Albo...
- Albo co?
- Albo w ogóle.
- Jak to? – Wolski uniósł brwi. Nic z tego nie rozumiał.
- Może ta wasza samobójczyni jest dobrą aktorką – odparł informatyk. – I potrafi zagrać własną śmierć?
- Czyli co? – zapytał Marcel. – Stała na czymś i odegrała scenę z powieszeniem?
- Na czym miałyby stanąć? – mruknęła Rudnicka pod nosem.
- Nie wiem. – Wolski wzruszył ramionami.
- Na materacu? – Lena podrapała się w skroń.
- Nie sędzę – odrzekł informatyk.
- Nie, nie. Nie chodzi mi o materac na łóżku, ale o taki na plażę. Na przykład ponton.
- Przypuśćmy, że ponton. Mogłaby się na nim unosić, a potem ktoś wyciął materac i wstawił obraz podłogi, żeby wyglądało to wiarygodnie.
- A krzesło? – dociekał Marcel.
- Jest prawdziwe – odparł tamten. – Rzeczywiście dziewczyna weszła na krzesło, sprawdziła linę i tak dalej. Obraz nałożono w momencie, gdy się wieszka. Wtedy ktoś podmienił ten... powiedzmy, ponton na podłogę i tło. Zagrała to raz, obróciła ciałem kilka razy, co już zdążyłaś zauważyć. Ruchy ciała powtarzają się. Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że dziewczyna faktycznie zawisała, ale ktoś szybko ją ściągnął, a potem powielił obraz, żeby myślano, że ciało wisi znacznie dłużej. Ale wersja z pontonem też nie jest najgorsza. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.
- Kurwa – rzuciła Lena. – Ale jakim cudem to poszło na żywo?
- Tapeta była po to, żeby nie odbijać światła – poinformował. – Ściany w pokoju dziewczyny były na tyle jasne, że podczas odtwarzania filmu odbiłyby światło i wyszłoby na jaw, że to fejk.
- Czyli co? Puścili to nagranie z komputera jako live?
- Najprawdopodobniej. Jeśli dobrze skierujesz kamerę, w tym przypadku telefonu, nie będzie widać odbijanych wiązek światła ani...
- Kiedy robisz zdjęcie monitorowi, pojawiają się paski – zauważył Marcel.
- Zgadza się. Pojawiające się paski zależą od częstotliwości odświeżania ekranu. Ludzkie oko tego nie widzi, ale ekran, na przykład komputera, gaśnie i zapala się około stu razy na sekundę. Czulość oka kamery jest większa, dlatego na zdjęciu mogą pojawić się pasy lub nie. Wszystko zależy od tego, w jakim momencie uda nam się zrobić zdjęcie.
- A jak z filmami?
- Istnieje aplikacja nagrywająca ekran telefonu. Czyli to, co widzicie w swojej komórce, możecie nagrać i przesłać dalej.
- Jak screen?

– Tak, ale nie zatrzymujemy jednego obrazu, ale zachowujemy cały film. Razem z dźwiękiem.

Nie do wiary. Wszyscy dali się nabrać.

– Ktoś musiał jej pomóc – stwierdziła Lena.

– Ktoś, kto zna się na obróbce filmowej. Film jest dziełem profesjonalisty.

– Okej, dzięki... – Rudnicka zmarszczyła brwi, patrząc na policjanta.

– Patryk. – Uśmiechnął się. – Wiem, że oboje nie wiecie, jak się nazywam.

– Patryk – bąknęła. – Tak właśnie myślałam.

– Nie klei się to – mruknął Marcel, gdy komputerowiec zniknął za drzwiami.

– Ale się skleci.

– Hm? – Marcel spojrział na Lenę z niedowierzaniem. Minęły cztery dni od zniknięcia ciała Diany. Cztery zmarnowane dni, które poświęcili na szukanie ciała, gdy tymczasem powinni szukać dziewczyny. Żywej.

– Tropy są porozrzucane, ale nie jest źle. Mamy kilka informacji i na tym polu możemy działać. Hm, co wiemy na sto procent?

– Wiemy, że Diana żyje.

– Nie. Tego nie wiemy.

– Spreparowała film, więc...

– Marcel, wiemy, że spreparowała film, nic ponadto.

– Rozumiem.

– Okej, co jeszcze wiemy?

Marcel przez chwilę się zastanawiał.

– Brak śladów w domu – zaczął niepewnie. – Wcześniej zakładaliśmy, że mieszkanie wysprzątał porywacz zwłok, ale teraz sędzę, że zrobiła to Diana.

– Po co?

– Widzę dwie możliwości: albo w domu wydarzyło się coś, co chciała ukryć, albo chciała zatrzeć ślady, żeby upozorować porwanie ciała.

– Dlaczego chciała upozorować porwanie ciała, Marcel?

Stropił się.

– Mogła uciec, zniknąć ewentualnie upozorować własne porwanie, żeby wydębic od starych trochę grosza na okup – oświadczyła Rudnicka, rozkładając ręce.

– No tak, ale nie zrobiła tego...

– Ciekawe, dlaczego.

– Chciała, żeby wszyscy myśleli, że jest martwa?

– Mhm, ale jest jeszcze film.

– Co z nim? – zapytał.

– Musiała nieźle się natrudzić, żeby go zmontować – wyjaśniła. – Potem wrzuciła do netu, zrobiła wokół siebie wiele szumu. Po co?

– Miała artystyczną duszę.

– Raczej chciała odwrócić uwagę.
– Czyją? Rodziców?
– Naszą. Mediów. Rodziców. Wszyscy szukali zwłok, a nie żywej dziewczyny. Kto wie, może nawet minęliśmy ją na ulicy, może zafarbowała włosy, założyła okulary przeciwsłoneczne i dokleiła sobie wąsy.

– Albo wyjechała za granicę – zauważył Marcel.
– Jest tutaj. W Łodzi. Czuję to.
– Skąd ten wniosek?
– Coś, a raczej ktoś ją tu trzyma.
– Dziejdzęj?
– Ktoś, kto pomógł w spreparowaniu filmu, pomógł posprzątać mieszkanie.
– Powinniśmy przesłuchać Dziejdzęja jeszcze raz.
– Zrobimy to, ale najpierw porozmawiamy z Roksaną.
– Dlaczego z Roksaną?
– Z Dziejdzem próbowaliśmy kilka razy. Nie puścił pary. A poza tym kłamie. Teraz albo się wszystkiego wyprze, albo znów zacznie kręcić. A sędzę, że Roksana coś ukrywa. Musimy tylko ją przycisnąć. Potem zajmiemy się Jurkiem.

– Gdybyśmy wiedzieli, że Diana żyje, nie zmarnowalibyśmy czterech dni...
– Prawda – przyznała Rudnicka. – Mogła zniknąć zaraz po wyjeździe rodziców, a my skupiliśmy się na niedzieli, ale przynajmniej wiemy, że gówniara robiła nas w balona. Szlag, wiesz, co będzie, jak dowie się o tym opinia publiczna?

Marcel wolał o tym nie myśleć. Dziennikarze będą mieli używanie, a internauci sypną teoriami spiskowymi jak z rękawa. I co najważniejsze, wszyscy wyleją wiadro pomyj na organy ścigania. Sytuacja przedstawiała się raczej beznadziejnie.

– Na razie nikt się nie dowie – oświadczyła Lena. – Nikomu ani słowa, rozumiesz?
– Tak jest.

Rudnicka usiadła na biurku, przygryzając wargę. Dlaczego Diana Pulido upozorowała własną śmierć?, zastanowiła się. Co musiało się takiego stać, żeby nastolatka chciała, by uznano ją za zmarłą?

– Cholera. Gdzieś musi się ukrywać.
– Ciekawe gdzie.

Marcel spojrzał na Lenę. Zdawało się, że oboje pomyśleli o tym samym.

– Sądziś, że Roksana będzie wiedzieć? – podsunął.
– Z trójki dziewczyn chodzących na kółko teatralne Lewickiego tylko Roksana żyje. Jeszcze.

– Myślisz, że Lewicki jest kluczem? – spytał.
– Kluczem? Nie wiem. Sędzę, że jest łącznikiem pomiędzy nimi.

Rudnicka zastanowiła się, czy warto znowu rozmawiać z Dziejdzem. Chłopak od początku kłamał. Gdyby go przycisnąć, może udałoby się wydusić z niego prawdziwe

informacje? A może wie, gdzie jest Diana? Postanowiła porozmawiać z Jurkiem, ale najpierw wybrać się do Roksany Antolak. Jeśli dziewczyna wie, gdzie jest Diana, Lena zamierzała wyciągnąć to z niej choćby siłą.

– Lena? – Szatynka z recepcji wsunęła głowę między drzwi. – Chłopaki z patrolu dzwonili i kazali przekazać, że nie zastali w domu rodziców samobójczynie.

– Nie zastali?

– Nikogo nie było w domu. Samochodu podobno też nie. Aha, i spotkałam po drodze Liz. Kazała przekazać, że prześcieradło, które znaleźliście, jest jeszcze w badaniu.

– Dzięki. – Lena skinęła głową i spojrzała na Marcela. – Ciekawe, dokąd wybrali się państwo Pulido? – Wyciągnęła telefon i wybrała numer Hanny. Matka Diany nie odbierała. Telefon ojca również milczał.

Zakłęta pod nosem i przeszła się po pokoju, pocierając dłonią czoło. Miała wrażenie, że głowa jej zaraz eksploduje. Ponownie chwyciła komórkę. Dyżurny odebrał już po pierwszym sygnale. Szybko poleciła, by patrol doprowadził na komendę Damiana Lewickiego, i rozłączyła się. – Spadamy – rzuciła, chowając telefon do kieszeni.

– Dokąd?

– Do Roksany.

– A Lewicki?

– Najwyżej chwilę poczeka. Skoro nie ma rodziców Diany, zajmiemy się najpierw Roksana – dodała, idąc korytarzem. Marcel szedł kawałek za nią, kiedy nagle się zatrzymała.

Komendant Wolski obrzucił Rudnicką surowym spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok na syna.

– Cześć, szefie – bąknęła. – Przepraszam nie mamy czasu, bo...

– Możemy porozmawiać? – zapytał Andrzej Wolski.

Zakłęta w myślach i skinęła głową.

– Marcel, poczekaj na parkingu – poleciła.

Komendant popatrzył za synem, po czym zdjął druciane okulary i swoim zwyczajem schował je w dłoni.

– Ustaliliśmy coś – rzekł.

– Tak wiem, ale sytuacja trochę się skomplikowała.

– Sytuacja się skomplikowała?

– Trochę.

– Poprosiłem, żebyś odsunęła mojego syna od śledztwa i wzięła innego partnera.

Po ostatnim śledztwie komendant dał jasno do zrozumienia, że partnerowanie Leny i Marcela nie jest dobrym pomysłem. Andrzej Wolski zrobił wszystko, by ta dwójka już nigdy razem nie pracowała. Rudnicka bez wyrzutów sumienia się na to zgodziła.

Gdy komendant dowiedział się, że znowu wspólnie pracują nad sprawą, wezwał Lenę i kazał, by odsunęła Marcela od śledztwa. „Ściągasz na siebie kłopoty, nie chcę, żeby mój

syn brał w tym udział”.

- Pana syn jest bardziej uparty, niż nam się wydawało – stwierdziła.
 - Więc postaw sprawę jasno, Lena. Mówię poważnie, jeśli znowu coś się stanie... Będę zmuszony przenieść któreś z was do innej jednostki.
 - Wszystko w porządku. Przypilnuję go.
 - Wiem, że Marcel jest uparty – przyznał. – Próbowałem zniechęcić go do pracy z tobą, ale nie słuchał moich argumentów.
 - Próbował go pan zniechęcić?
 - Powiedziałem, że raczej nie dożyjesz emerytury.
 - W firmie?
 - Nie, w życiu.
 - Ach, no tak. – Wzruszyła ramionami. – Ale jeśli chce pan, żeby Marcel się ode mnie odczepił, niech mu pan sam to powie. Ja próbowałam. Nie wyszło, więc teraz pańska kolej.
 - Nie mogę tego zrobić. Nie chcę, żeby pomyślał, że wtrącam się w jego karierę.
 - Bo wtrąca się pan.
 - Lena!
 - Szefie, naprawdę mam sporo pracy. Marcel czeka na zewnątrz. Proszę iść i powiedzieć mu, żeby się ode mnie odwalił. Będę wdzięczna.
- Obróciła się na pięcie i wyszła, a komendant patrzył za nią w niemym zdumieniu.

4

W mieszkaniu panował zaduch. Zdawało mu się, że całe ubranie przesiąkło zapachem krwi. Przekroczywszy próg, mimowolnie się cofnął. Przez kilka sekund stał w bezruchu. Zmitygował się dopiero, kiedy usłyszał szuranie charakterystyczne dla sąsiadki spod dwudziestki. Z panią Krysią Walską żył w dobrych stosunkach. Poznał ją zaraz po tym, jak się wprowadził. Pomógł staruszce wnieść torby na piętro, a ona w podzięcie zaprosiła go na kawę. Od tamtej pory często ją odwiedzał, dużo rozmawiali, opowiadał jej o pracy z niepełnosprawnymi dziećmi, ona zaś odpłacała się pysznymi ciastami własnej roboty.

Teraz jednak czmychnął do mieszkania, zamknął za sobą drzwi i oparł się plecami o framugę, usiłując uspokoić przyspieszony oddech. W głowie miał mętlik, a wspomnienie byłej żony powracało jak bumerang. Do oczu napłynęły mu łzy. Zaciśnął powieki, myśląc o tym, że powinien bezzwłocznie skończyć to, co zaczął – posprzątać mieszkanie, usunąć ślady krwi i zabrać ciało Marzeny w inne miejsce. Damian dopiero teraz uświadomił sobie, że garaż należący do rodziców nie był dobrym miejscem do przechowywania zwłok. Ojciec jednak mógł tam zajrzeć, więc Damian powinien zabrać ciało jak najszybciej. Miał już nawet pomysł dokąd.

Zabrał się do pracy. Moczył szmatę w misce i wyżywał, by starannie wytrzeć krew. Wypolerował podłogę mleczkiem czyszczącym. Wylał brunatną wodę do toalety

i przystąpił do wycierania ścian. Kilka kropel poleciało na listwę przypodłogową, przetarł więc kawałek i usunął plamy. Na drugiej ścianie smuga krwi miała około metra. Najprawdopodobniej Marzena zsunęła się po niej, gdy uderzyła głową o framugę. A przynajmniej tak przypuszczał, bo niewiele pamiętał z tamtej chwili.

Odetchnął i zaczął przestawiać meble. Kiedy zawijał Marzenę w dywan, musiał pozsuwać wszystkie i narobił przy tym sporo hałasu. Na szczęście sąsiedzi piętro niżej pracowali do późna. Nie pojawiali się w mieszkaniu wcześniej niż przed dziewiętnastą. Bardzo dobrze, pomyślał, a reszcie w razie czego wytłumaczę, że zwyczajnie wymieniałem dywan.

Skończywszy pracę, rozprostował plecy, wylał brudną wodę, a potem wypłukał ścierki. W mieszkaniu nie pozostał żaden ślad obecności Marzeny. Na wszelki wypadek dokładnie sprawdził wszystkie kąty. Czysto. Wyszedł więc na balkon, żeby wywiesić wilgotne szmatki. Przypiął je spinaczami, powiódł wzrokiem po blokowisku i zamarł.

Policyjny radiowóz wcisnął się między żółtą toyotę a zakurzonego land rovera. Kierowca z trudem manewrował, by przypadkiem nie zahaczyć o inne pojazdy, po czym razem z drugim mundurowym wyszedł z radiowozu. Damian cofnął się do mieszkania. Odór śmierci wisiał w powietrzu niczym mgła.

Obserwował, dokąd kierują się gliniarze. Gdy stanęli przed jego klatką, poczuł, że gardło zawiązuje mu się w supeł. Przytrzymał się framugi, by nie upaść. Spojrzał na wejście do klatki schodowej. Gliniarzy już nie było.

Niewiele myśląc, puścił się biegiem przez pokój, zgarnął klucze, wypadł na korytarz i zamknął drzwi na zamek. Dystans między nim a policjantami zmniejszał się z każdą sekundą. Słyszał ich kroki, szuranie ciężkich butów zdawało się coraz głośniejsze. Tych dwóch wyraźnie się spieszyło. Przywołał więc windę, ponieważ przypominając sobie, że przed kilkoma dniami uległa awarii. Panika coraz mocniej wdzierała się w jego umysł. Nie mam innej drogi ucieczki, myślał, tamci idą schodami, pewnie dotarli już na drugie piętro.

Puścił się pędem w dół. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, trzymając się poręczy. Zachwiał się na półpiętrze, ale nie zwalniając tempa, dopadł drzwi z numerem dwadzieścia. Zapukał, na tyle cicho, by dźwięk nie niósł się po klatce, ale wystarczająco głośno, żeby usłyszała go osoba znajdująca się wewnątrz. Wparował do mieszkania, nie czekając na zaproszenie i wpadając na zdumioną panią Krysię.

Starsza kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Panie Damianku! – zawołała. – Co pana do mnie sprowadza? Umówiliśmy się na jutrzejszą partyjkę szachów, ale możemy zagrać dzisiaj...

– Cholera – rzekł, starając się, by głos brzmiał pewnie. – Wpadłem... – Podrapał się w głowę. – No widzi pani? Przyszedłem, ale zapomniałem po co. Chyba będę musiał wybrać się do lekarza, bo z pamięcią coraz gorzej...

– Nie ma problemu. – Poklepała go po ramieniu. – Możemy napić się herbatki.

Damian słyszał, jak policjanci mijają drzwi pani Krysi i kierują się na górę.

– Wpadnę do pani wieczorem, możemy się tak umówić?

– No pewnie, panie Damianku! Będę czekać!

Wyszedł z mieszkania sąsiadki. Zbiegając w dół, słyszał dudnienie w drzwi gliniarzy, próbujących dobić się do mieszkania.

Do jego mieszkania.

5

Gorące powietrze wpadało przez uchylone szyby. Korek na ulicy Narutowicza zdawał się nie mieć końca. Zostało jakieś półtora kilometra w tempie, które nie pozwalało na wrzucenie drugiego biegu.

Lena milczała, skubiąc materiał dzinsów. Odkąd opuścili policyjny parking, nie odezwała się ani słowem. Zdawała się nieobecna, jakby myślami odpłynęła gdzieś bardzo daleko.

Marcel spoglądał na nią kątem oka. Martwił się. Rudnicka nigdy nie zawałała roboty. Choćby nadszedł koniec świata, Marcel był pewien, że ona spędziłaby go, przesłuchując świadków. Zwolnił sprzęgło i powoli dodał gazu. Wreszcie zdołał wrzucić drugi bieg i przeciąć skrzyżowanie Narutowicza z ulicą Polskiej Organizacji Wojskowej.

Po przejechaniu kilkunastu metrów znów stanęli, ustawiając się za niebieskim sedanem.

– O czym rozmawiałaś z moim ojcem? – zagadnął, zaciągając ręczny hamulec.

Lena obserwowała sygnalizator, jakby siłą woli usiłowała przyspieszyć zmianę świateł, po czym wysunęła rękę przez otwartą szybę.

Nie odpowiedziała.

– Nie podoba mi się, że macie przede mną tajemnice – dodał.

Zmrużyła oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Powinnaś coś zjeść. Kiepsko wyglądasz.

– Jadłam – odburknęła. – Przestań się bawić w niańkę, do cholery.

– Nalegałbym na obiad.

– Nie, dzięki.

Pomasowała dłonią bark i sięgnęła po paczkę westów. Zapaliła jednego i wolną ręką otworzyła puszkę red bulla. Musiała się otrzeźwić. Niepotrzebnie połknęła rano tabletki. Czowała się otepiała i rozdrażniona.

– Nie mamy czasu na bzdury – rzekła po chwili. – Pogadamy z Roksaną, potem jedziemy rozprawić się z Lewickim, a jeszcze czeka nas rozmowa z rodzicami Diany.

Kiedy pokonali skrzyżowanie z Kilińskiego, korek nieco się rozładował. Gdy zaparkowali przed domem Antolaków, usłyszeli krzyk.

Rudnicka trzasnęła drzwiami i błyskawicznie pokonała odcinek między furką a wejściem do domu. Załomotała do drzwi. Dłoń automatycznie powędrowała do glocka.

Gdyby Marcel nie zgubił pistoletu, zapewne zrobiłby to samo.

– Czego? – Buchnął odór alkoholu, w progu stanął Kazimierz Antolak. Pijany jak bela, przytrzymał się klamki, by nie zatoczył się na bok. Spojrzał na policjantów i dopiero po chwili doszło do niego, z kim ma do czynienia. Twarz przybrała nieco przyjaźniejszy wyraz, a zaciśnięta pięść rozwarła się w uspokajającym geście. – Państwo policjanci... – wybełkotał, prostując kręgosłup.

– Co tu się dzieje?

Rudnicka nie spuszczała dłoni z glocka. Przyjrzała się Antolakowi, a potem zabrała Wolskiemu kluczyki do fabii i szybkim krokiem przeszła do samochodu. Zanurkowała we wnętrzu, otworzyła schowek, wcisnęła coś pod marynarkę i z zaciętą miną wróciła z powrotem. Popchnęła Kazimierza w głąb mieszkania.

Zachwiał się, ale ustąpił, wpuszczając funkcjonariuszy do środka.

Rudnicka zajrzała do kuchni, a następnie przeszła do dużego pokoju. Izabela Antolak trzymała się oburącz za głowę. Gdy spostrzegła policjantkę, podniosła się z ziemi, poprawiając przyklepione do twarzy włosy. Kuchenny fartuszek w tulipany podwinął się na wysokość piersi, więc obciągnęła go, przyklepując dłonią.

– Przewróciłam się – powiedziała. – Dywan się podwinął i runęłam jak długa.

Lena spojrzała na dziewczynę kulącą się na kanapie. Chudymi ramionami obejmowała kolana, a bluzka na ramiączkach odsłaniała zbyt wiele. Czerwone pręgi za parę godzin zamieniają się w fioletowe siniaki.

– To nie tak, jak pani myśli – zaproponowała Izabela, zakrywając ciałem córkę.

– Mhm, a jak?

Marcel stanął obok i na widok poobijanej twarzy kobiety cofnął się o krok. Z mięsistego policzka ciekła strużka krwi.

– To nie tak, to...

– Chce pani zgłosić znęcanie się? – spytała Rudnicka, czując, że robi jej się niedobrze.

– Nie. – Izabela potrząsnęła głową, jakby pomysł policjantki był oderwany od rzeczywistości. – Wszystko w porządku.

– Wątpię, proszę pani – powiedział Wolski. – Wystarczy, że pani złoży zawiadomienie...

– Nie – przerwała. – Nic się nie stało. Upadłam, już mówiłam.

Wolski bezradnie opuścił ręce. Miał ochotę iść do kuchni, w której ukrył się Kazimierz, wywlec go stamtąd i odwieźć na komendę. Jeśli jednak żadna z kobiet nie złoży oficjalnego zawiadomienia, Antolak nie zostanie o nic oskarżony. Izabela będzie utrzymywać, że to nieszczęśliwy wypadek, córka potwierdzi, a policja będzie miała związane ręce.

– Roksana, chcę z tobą porozmawiać – oznajmiła Lena.

Wolski popatrzył na Rudnicką ze zdziwieniem. Oto stoją przed nimi dwie kobiety doświadczające przemocy domowej, a komisarz przechodzi nad tym do porządku dziennego? Wiedział, że Lena nie wykazuje się przesadną empatią wobec innych ludzi, ale

tę sytuację uważał za duże niedopowiedzenie. Powinniśmy zareagować, pomyślał, i wziął oddech, by wygłosić swoje przemyślenie na głos, jednak Rudnicka uciszyła go ruchem ręki.

– Możemy zająć chwilę? – spytała.

Roksana poszukała aprobaty u matki. Izabela nie zareagowała.

– Dobrze – wyszeptała dziewczyna, wstając z kanapy. Wsunęła stopy w kapcie i podeszła do policjantów. – Może na zewnątrz? – zaproponowała.

Masując ramię, Lena wyszła na ganek. Roksana starannie zamknęła drzwi i szarpnęła za klamkę, upewniając się, że na pewno są zamknięte. Obeszła stolik i usiadła na plastikowym krzeselku z pękniętym podłokietnikiem. Komisarz zajęła miejsce naprzeciwko, opierając brodę na splecionych palcach. Rozejrzała się dookoła, dostrzegając rudego dachowca spacerującego wzdłuż ogrodzenia.

– Roksana, posłuchaj – zaczęła. – Twoja matka ma swoje powody, żeby chronić ojca, ale ty nie masz wobec niego żadnych zobowiązań.

Wolski stanął za Leną, kładąc ręce na oparciu jej krzesła.

– Nie – odparła dziewczyna, skubiąc niewidzialne paprochy. – Nic się nie stało. Mama upadła.

– A to? – Wskazała na zaczerwienienia, a potem złapała Roksanę za przeguby i odwróciła je wierzchnią stroną. – Albo to? – zapytała. – Może powiesz, że tniesz się, bo nie masz nic innego do roboty?

Z wykształcenia Lena była psychologiem. Dobrze wiedziała, że samookaleczanie się jest przejawem agresji. Agresji skierowanej w nieodpowiednią stronę. Osoba czuje do siebie obrzydzenie, ma poczucie bezsilności i sama wymierza sobie karę. Przyczyn takiego stanu jest wiele: lęk, traumatyczne przeżycia, brak akceptacji, przemoc, molestowanie seksualne. Nie wiedzieć czemu Lena przypuszczała, że w przypadku Roksany nie chodzi tylko o przemoc. Przyjrzała się siniakom na nadgarstkach dziewczyny. Lena często widywała podobne okaleczenia u ofiar gwałtu.

Samookaleczanie to jeden z najgorszych sposobów radzenia sobie ze stresem. Niektóre dzieciaki uciekają z domu, inne sprawiają problemy w szkole, a jeszcze inne robią sobie krzywdę. Z czasem rozładowywanie emocjonalnego napięcia w ten sposób przestaje przynosić ulgę i ofiara popełnia samobójstwo.

– Twój ojciec pojedzie z nami – rzekła po chwili.

– Nie! – Roksana poderwała się z krzesła. – Nie, proszę... Nie możecie go zabrać.

– Nie?

– Mama by tego nie wytrzymała. – Na czole dziewczyny pojawiła się pionowa zmarszczka. – Proszę, ona bardzo martwi się o tatę. Umówiła go na spotkanie w AA. Niedługo wszystko będzie dobrze.

Nie będzie. Wiedzieli o tym wszyscy.

– Ojciec cię molestuje? – zapytała.

Roksana nabrała powietrza do płuc. Zdawało się, że przestała na chwilę oddychać.

– Mam rację czy nie? – naciskała Lena.

– Nie! To nieprawda! Po co państwo przyszlście? – Dziewczyna objęła się ramionami. – Żeby namieszać nam w życiu? Nie potrzebujemy policji, damy sobie radę.

Rudnicka nigdy nie wtrącała się w sprawy innych osób. Postawa dziewczyny kazała sądzić, że nie zdołają jej przekonać do zmiany zdania, a ona nie miała zamiaru naciskać. Każdy ma swoje problemy, pomyślała, i każdy rozwiązuje je na swój sposób.

Kiwnęła więc głową, opadając plecami na oparcie. Odcinek szyjny zetknął się z zimnymi palcami Wolskiego. Odwróciła się w jego stronę, ale sierżant nie zabrał dłoni z oparcia.

– Okej, nie zabiorę ci dużo czasu – odezwała się Lena. – Chcę zapytać, jaka relacja łączyła cię z Natalią Sztompke.

Roksana zamarła.

– Nic mnie z nią nie łączyło – odrzekła.

– Kolegowałyście się, prawda?

Krótkie skinienie głową.

– Wiemy, że Natalia razem z Dianą nagrywały film na polu. Do tego celu przyniosły drabinę i zaangażowały Dzejdżeja, żeby nakręcił nagranie na jakiś konkurs. Wiesz coś o tym?

– Nie.

Kłamała. Roksana przypominała otwartą książkę. Każdemu kłamstwu towarzyszyło nerwowe drapanie krosty na ramieniu.

– To ważne. Więc zapytam raz jeszcze: czy wiesz coś na temat nagrań, które dziewczyny miały wysłać na konkurs?

Cisza.

– Nie było żadnego konkursu, prawda? – Lena poczuła, jak palce Marcela zaciskają się na oparciu z coraz większą siłą. Poruszył kciukiem, muskając ją w okolicy łopatki.

– Przepraszam, nie mogę państwu pomóc.

– Możesz, jeśli zechcesz. Posłuchaj, od tego może zależeć życie twojej koleżanki. – Roksana pod naciskiem spojrzenia Rudnickiej skuliła się w sobie. – Bo Diana żyje, mam rację?

Pytanie zawisło w powietrzu. Dziewczyna głośno przełknęła ślinę.

– Ja nic nie wiem! – krzyknęła drżącym głosem. – Nic nie wiem, dajcie mi spokój! – Zakręciła się wokół własnej osi, wpadając na rudego kocura, który miauknął przeciągle, unosząc do góry puszysty ogon, i obrażony powędrował pod stół. Umościł się w cieniu, rozciągając tłusty korpus na chłodnym betonie.

– Roksana, potrzebujemy informacji – włączył się Wolski. – Wiesz, dokąd uciekła Diana?

– Nie wiem, nie wiem – powtarzała, przestępując z nogi na nogę.

– To proste pytanie. – Rudnicka wstała. – Wiesz, gdzie jest Diana?

– Nie! Zostawcie mnie w spokoju!

Dziewczyna wbiegła po schodach na ganek i zniknęła w domu. Lena spojrzała na Marcela. Zachowanie dziewczyny nasuwało jednoznaczne wnioski. Roksana od początku wiedziała, że Diana żyje, i co więcej, wie, gdzie się ukryła. Dlaczego to zataiła?

– Poczekaj na mnie – powiedziała Rudnicka i weszła do domu Antolaków. Minęła wąski korytarz, kierując się do kuchni. W mieszkaniu panowała cisza, którą zakłócał jedynie cichy pogłos włączonego telewizora. Odnalazła odpowiednie pomieszczenie i zajrzała do środka z nadzieją, że zastanie tam Kazimierza.

Nie pomyliła się. Mężczyzna siedział przy stole i kuchennym nożem skrobał powierzchnię schłodzonego masła. Nabrał kawałek na czubek i położył na kromce pieczywa. Sięgnął po paczkowaną szynkę i uniósł głowę, zaskoczony obecnością policjantki.

– Myślałem, że skończyliście przesłuchiwać moją córkę – warknął. – Jeszcze raz wtargniecie na mój teren, a zgłoszę do prokuratury naruszenie miru domowego i przesłuchiwanie nieletniej.

Jak na zwykłego pijusa Kazimierz wykazał się niezłą znajomością prawa. Rudnicka pokiwała z uznaniem głową, opierając się plecami o kuchenną szafkę. Skrzyżowała ramiona na piersi i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Czego? Czego, kurwa, pani chce?

Milczała, przyglądając się mężczyźnie. Siorbnął herbaty i zagryzł chlebem, mlaskając przy tym głośno.

– Proszę się uspokoić – rzekła.

– Co?

– Proszę się uspokoić.

– Dobrze się pani czuje?

Oparła dłonie na biodrach, wciąż się uśmiechając.

– Proszę o spokój, panie Antolak – mówiła, przybliżając się do niego. Mężczyzna odłożył kanapkę. – Proszę mnie nie dotykać – dodała.

– Przecież pani nie dotknąłem! – zaoponował, patrząc na Rudnicką jak na wariatkę.

– Proszę się odsunąć.

– Zwariowała pani? – Poderwał się z krzesła, a Lena cofnęła się o krok.

Westchnęła znudzona.

– Proszę się stosować do poleceń, bo w przeciwnym razie będę zmuszona zastosować środki przymusu bezpośredniego – powiedziała.

Tym razem to Kazimierz się cofnął, wpadając na krzesło. Uniósł bezradnie dłonie, które jeszcze kilkanaście minut temu okładały ciało żony. Były gładkie, ale na kostkach widniały niewielkie zaczerwienienia, powstałe od uderzenia pięścią w twardą kość.

– Ostatni raz proszę, żeby się pan uspokoił.

– Przecież ja nic... – Urwał. W ułamku sekundy jego oczy zaszklily się, a twarz pokryła czerwona opuchlizna. Zakasłał, łapiąc się za głowę, po czym schował twarz w dłoniach i z głośnym wyciem zatoczył się na stół. Runął na ziemię.

Wolski błyskawicznie stanął w progu, za nim zjawila się Izabela.

– Co się dzieje? – zapytał Marcel w momencie, gdy Rudnicka wygięła ręce Antolaka i zapięła mu kajdanki na nadgarstkach.

– Napaść na funkcjonariusza – oświadczyła, rzucając w stronę Wolskiego flakon gazu pieprzowego.

– Nie napadłem... – zachrypiał Antolak, jednak palący w przełyku gaz nie pozwolił mu dokończyć zdania.

– Groził mi nożem – dodała, wstając. Wskazała na kuchenny nóż leżący na kafelkach, który Antolak, zataczając się, najprawdopodobniej zrzucił ze stołu.

– O Boże! – Izabela zakryła dłonią usta. – Kazik, coś ty narobił?

– Ja nie... Nie... Nic...

Izabela przeniosła wzrok na policjantkę.

– Odwieziemy pani męża na komendę – poinformowała Lena. – Wyprowadź go – poleciła Marcelowi, a potem zwróciła się do Izabeli. – Mam świadka, który potwierdzi, że Kazimierz Antolak groził nożem funkcjonariuszowi policji.

Marcel spojrzał na Rudnicką. Nie musiał pytać, by wiedzieć, że on jest tym świadkiem. Wzruszył jedynie ramionami i złapał Antolaka pod rękę, po czym wyprowadził go na zewnątrz.

Izabela potarła oczy.

– Dziękuję – wyszeptala.

Rudnicka wiedziała, z jakiego powodu kobieta nie chciała zgłosić pobicia ani maltretowania. Nawet jeśli mąż zostałby skazany, kiedyś w końcu by wrócił i zemścił się na rodzinie. Tymczasem teraz Lena miała pewność, że Kazimierz nie obarczy winą żony ani córki. Może próbować złożyć na nią doniesienie, ale nie miał żadnych szans na wygranie sprawy.

– Ma pani jakąś foliową torebkę? – zapytała.

Izabela podeszła do szafki i wyciągnęła jednorazówkę. Lena zapakowała kuchenny nóż, uśmiechnęła się do kobiety i ruszyła do wyjścia.

– Ile może dostać? – Pytanie Izabeli zatrzymało ją w pół kroku.

– Maksymalnie dziesięć lat – odparła, wyglądając przez okno. Marcel wrzucił Antolaka do samochodu, jakby ten ważył zaledwie kilka kilogramów. – Pogadam z prokuratorem. Mam znajomości.

Ostatni raz zerknęła na kobietę, która nagle otrzymała w prezencie dziesięć lat spokojnego życia.

– Dziękuję – powiedziała Izabela.

Rudnicka z uśmiechem opuściła dom Antolaków. Marcel wyszedł jej naprzeciw, wyciągając paczkę westów. Lena zapaliła papierosa i uniosła głowę ku górze, spoglądając na sierżanta.

– Może sposób, w jaki załatwiłaś sprawę, jest kontrowersyjny – powiedział. – Ale nie zamierzam polemizować. Antolakowi należała się kara.

Lena wypuściła dym i sięgnęła po dzwoniący telefon. Przeciągnęła zieloną słuchawkę na wyświetlaczu i przyłożyła komórkę do ucha. W mgnieniu oka uśmiech na jej twarzy zastąpiło przerażenie. Rozłączyła się i wybrała numer dyżurnego. W krótkich słowach wyłuszczyła sytuację Kazimierza Antolaka.

– Więc przyślij najbliższy patrol, żeby zgarnął tego klienta – dodała. – Jak najszybciej. Niech odwiozą go na dołek, potem się nim zajmę – zakończyła rozmowę i spojrzała na Marcela. – Znalezione ciało Diany – oznajmiła i cisnęła niedopałek na suchą ziemię.

6

Volkswagen bora utrzymywał stałą prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Siedzący za kierownicą Krystian Owczarek starał się nie zgubić srebrnego audi. Wybrał bezpieczny środkowy pas, ukrywając się za dwoma osobówkami i dostawczakiem.

Krystian zaciskał palce na kierownicy. Oddychał płytko. Od buzującej w żyłach adrenaliny szumiało mu w głowie. Otarł z czoła krople potu i podkręcił klimatyzację na trzysta pięćdziesiąt stopni. By dobrze wykonać robotę, musiał ostudzić emocje. Czuł się jak myśliwy w poszukiwaniu zwierzyny. Tyle że Krystian już miał swój cel. Wystarczyło, by nie stracił go z oczu, a dopadnie ofiarę w najodpowiedniejszym miejscu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zdobędzie świetny materiał na artykuł. Kto wie, może zostanie nową gwiazdą dziennikarstwa śledczego?

Potrząsnął głową. Na razie lepiej o tym nie myśleć. Powinien skupić się na teraźniejszości i na zadaniu, które ma do wykonania.

Srebrne audi wyhamowało na czerwonym świetle, przymierzając się do skrętu w prawo. Krystian zmienił pas i stanął w kolejce do sygnalizatora. Ciekawe, dokąd zaprowadzi go właściciel audi? Wyglądało na to, że wybiera się za miasto.

Zerknął na telefon. Powinienem zadzwonić, pomyślał, tak postąpiłby porządny obywatel. Krystian jednak wiedział, że telefon na policję pokrzyżowałby jego plany, a na to nie mógł pozwolić. Każdy ma swoje priorytety – najpierw on wykona swoje zadanie, a potem zawiadomi odpowiednie służby.

Minęli zieloną tablicę z przekreśloną nazwą Łodzi. Wszystko wskazywało na to, że podróż potrwa nieco dłużej. Na szczęście Krystian był przygotowany na taką ewentualność. Na siedzeniu obok leżało kilka butelek wody i dwie puszki oranżady. W schowku miał również kilka ciastek, na wypadek gdyby zgłodniał.

Mógł więc śledzić swój cel nawet przez kilka godzin.

Po przejechaniu kilku kilometrów audi objechało rondo i skierowało się na Karpin. Robiło się coraz ciekawiej. Krystian spojrział w tylne lusterko i zwolnił, by wyprzedził go kierowca jadący z tyłu. Za miastem na ulicy był mniejszy ruch. Krystian wolał nie ryzykować i zachować odstęp trzech samochodów. Gdyby audi skręciło w którąś z uliczek, Krystian dostrzeże to odpowiednio wcześniej.

Nigdy nikogo nie śledził, ale przeczytał kilka powieści szpiegowskich i wiedział, że podstawową zasadą szpiega jest nie wyróżniać się. Volkswagen bora nadawał się do tego idealnie. Nikt nie zwraca uwagi na starą borę z odpryskującym lakierem.

Po przejechaniu kilkunastu kilometrów audi zjechało na polną drogę. Niedobrze. Jeśli Krystian pojedzie za nim, kierowca szybko zorientuje się, że coś jest nie tak. Minął więc zjazd, zatrzymał samochód kawałek dalej i po chwili powrócił w to samo miejsce, lecz po audi nie było już śladu.

Krystian wjechał w tę samą drogę. Poruszał się ostrożnie. Droga była wyboista, samochód bujał się na boki. Pokonał dwa kilometry i napotkał ścianę lasu. Cholera. Nigdzie nie było srebrnego audi.

Wycofał samochód i zawrócił. Dopiero wtedy dostrzegł świeże ślady opon na trawie. Zaciągnął ręczny, zastanawiając się, czy warto jechać w pole, czy zostawić samochód na poboczu? Jeśli pojedzie, a audi będzie stało na otwartej przestrzeni, kierowca od razu go rozpozna. Na to nie mógł na to pozwolić. Obrócił kierownicą, wrzucił wsteczny i schował borę za pobliskimi drzewami. Cóż, środki bezpieczeństwa są najważniejsze, więc resztę drogi pokona pieszo.

Uszedł zaledwie dwieście metrów, gdy w oddali zobaczył drewnianą chatkę. Wyglądem przypominała stróżówkę, przez zmurszałe drewno i dach porośnięty mchem. Dom ogradzał rozpadający się drewniany płot.

Krystian schował się za gęstymi krzakami. Od domku dzieliło go może pięćdziesiąt metrów. W dłoni ścisnął telefon z wybranym numerem komisarz Rudnickiej. Nagle ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Poczł się, jakby był na otwartej przestrzeni, wystawiony na strzał. Był sam. Gdyby cokolwiek się wydarzyło, przyjazd na miejsce zająłby policji co najmniej kilkanaście minut.

Potrząsnął głową i skupił się na sprawie. Wolną ręką chwycił aparat.

Damian Lewicki obszedł srebrne audi, wyciągnął z tylnego siedzenia torbę i zniknął za drzwiami drewnianego domku. Krystian cmoknął niezadowolony. Tylko tyle? Lewicki uciekał przed policją, by ukryć się w chatce pośrodku niczego?

Namiary na wychowawcę podała Krystianowi pracownica domu kultury. Wystarczyło pudełko czekoladek i bajka o przyjacielu ze szkolnych lat, a blondynka podyktowała mu adres Lewickiego. Tym sposobem Krystian stanął przed jego blokiem w tym samym momencie, kiedy pod klatką zjawiała się policja. Przeczucie kazało mu zostać w samochodzie. I słusznie, bo zaraz po wejściu policji z klatki schodowej wybiegł Lewicki. Wskoczył do srebrnego audi i odjechał. Krystian, niewiele myśląc, ruszył za nim

i dotarł do domku pod lasem. Ale o co tyle zachodu?, zastanawiał się; jeśli policja przyszła do mieszkania Lewickiego, należało założyć, że znaleźli jakieś dowody wskazujące na winę wychowawcy.

Krystian powinien zadzwonić do komisarz Rudnickiej i powiadomić o swoim odkryciu. Lewicki uciekł gliniarzom, ale nie uciekł czujnemu oku dziennikarza. Wewnętrzny głos kazał Krystianowi jeszcze chwilę poczekać.

Coś przykuło jego uwagę.

Czarny mercedes okularnik sunął przez wysoką trawę.

Krystian zmrużył oczy. Zdawało mu się, że rozpoznał kierowcę. Czy to możliwe? Czy możliwe, by mercedesem kierował słynny senator celebryta rządzącej partii?

A jednak.

Gdy mercedes minął zarośla, Krystian upewnił się, że na fotelu kierowcy siedzi nie kto inny, jak senator Sebastian Tolis.

7

Rudnicka zaszalutowała mundurowym i przeszła pod policyjną taśmą. Na miejscu zjawili się technik Luiza Krajewska oraz lekarz medycyny sądowej Felicjan Bania. Na widok komisarz medyk ukłonił się teatralnie, po czym przyklęknął przy zwłokach. Odślonił skrawek bluzki, mrużąc oczy.

– To na pewno ona? – zapytała Lena.

Technik wsparła ręce na biodrach. Rudnicka podążyła za jej wzrokiem. Wystarczyło jedno spojrzenie, by przekonała się, że osobą leżącą pomiędzy drzewami jest Diana Pulido. Rudnicka oglądała nagranie z samobójstwa tyle razy, że rozpoznałaby dziewczynę obudzona w środku nocy. Ciemne włosy sklezione zaschniętą krwią, lekko zadarty nos i południowe rysy twarzy. Na szczęście ktoś zamknął dziewczynie oczy.

– Kurwa – mruknęła Rudnicka.

– Pani komisarz, proszę się nie wyrażać – upomniał ją patolog.

Lena spojrzała na medyka. Bania, którego zazwyczaj nie opuszczał dobry humor, wyglądał na przygnębionego.

– Felicjanie, mogę? – Liz przesunęła się w lewo, trzymając aparat fotograficzny. Medyk ustąpił jej miejsca.

– Straszny upał – rzekł, ocierając ramieniem czoło. – Kiedy tutaj jechałem, na termometrze było dwadzieścia osiem stopni. Wyobrażacie sobie? A dochodzi osiemnasta. Nawet wieczorem pogoda daje nam w kość.

Rudnicka zignorowała słowa lekarza. Omiotła wzrokiem pobliskie zarośla, po czym przeniosła spojrzenie na ścieżkę.

– Nie umarła tutaj, prawda? – zapytała.

– Ktoś ją przeciągnął – przyznała Liz, naciskając spust migawki. – Zabezpieczyłam ślady od ścieżki do miejsca znalezienia ciała.

Rudnicka oceniła odcinek na najwyżej czterdzieści metrów. Odległość była wystarczająca, a zarośla dość gęste, by ukryć ciało.

– Kto ją znalazł? – zapytała.

– Para biegaczy. – Liz wskazała kobietę z blond kucykiem i chudego mężczyznę w obcisłych szortach. – Mundurowi spisali ich zeznania, ale możesz z nimi porozmawiać.

– Zaraz to zrobię. – Lena rozejrzała się dookoła. Dopiero teraz spostrzegła, że Marcel pali papierosa, stojąc za policyjną taśmą. Przywołała go ruchem ręki.

Z ociąganiem ruszył w jej stronę.

– A ty co? – spytała.

– Wolałbym nie oglądać jej w takim stanie.

– W takim stanie? Gdzie ty pracujesz? Może załatwić ci przeniesienie na dzielnicowego? Tam będziesz miał spokój.

– Widok martwych nastolatek źle na mnie działa. – Wolski potarł brodę. – W sumie źle znoszę widok każdych zwłok.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Weź się w garść – mruknęła.

– Okej. – Liz schowała podręczną miarkę, zapisała coś w notesie i schowała długopis. – Felicjanie, możesz działać. Resztą zajmę się za chwilę. Nie chcę cię zatrzymywać.

– Słusznie – odparł patolog, pochylając się nad zwłokami.

– Chodźcie, pokażę wam coś jeszcze. – Liz przeszła kawałek dalej i zatrzymała się przy kamieniu wielkości piłki koszykowej.

– Uderzyła w ten głaz – oświadczyła Rudnicka, wskazując nierówne i ostro zakończone krawędzie.

– Uhm.

– Tyłem głowy?

– Dokładnie. Uderzenie najprawdopodobniej spowodowało śmierć.

Lena pochyliła się nad kamieniem.

– Ziemia wokół jest nienaruszona – powiedziała. – Od dłuższego czasu nikt go nie podnosił, więc można wykluczyć, że ktoś ją łupnął nim w głowę.

– Potknęła się i sama upadła czy ktoś jej pomógł? – włączył się Marcel.

Rudnicka spojrzała na niego, unosząc brwi.

– A potem sama tam się teleportowała? – Wskazała na zarośla. – Sprawca przeciągnął ją, żeby nikt nie zauważył ciała. Być może chciał zyskać trochę czasu.

Wolski spochmurniał.

– Gdyby zostawił zwłoki w tym miejscu, od razu ktoś by je zobaczył – dodała Liz. – Jest lato, ładna pogoda, ludzie chodzą na spacer. Ktoś natknąłby się na ciało.

– Tutaj są ślady. – Rudnicka skinęła głową w kierunku ziemi. Była porośnięta rzadką trawą, jednak po przyjrzeniu się można było dostrzec ślady świadczące o tym, że ktoś ciągnął coś ciężkiego. Na przykład ludzkie zwłoki. Na pojedynczych źdźbłach trawy widniały ślady krwi, podobne pokrywały zruszony piasek.

– Zabezpieczymy kamień – powiedziała technik. – Ale śmiem przypuszczać, że znajdująca się na nim krew należy do denatki.

Rudnicka podeszła do zwłok Diany. Szczupłe ciało niedbale rzucone na ziemię. Zbrodnia nie była zaplanowana. Miejsce przypadkowe. Uderzenie w kamień było wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Sprawca popchnął ofiarę, ta uderzyła głową. Może żyła, kiedy przeciągał jej ciało w zarośla? Wystraszony, przypadkowy morderca nie sprawdził oznak życia i pozostawił dziewczynę samą sobie. A może zginęła na miejscu?

– Masz coś? – Lena zwróciła się do patologa.

Felicjan Bania wstał, zdjął lateksowe rękawiczki i otrzepał dłonie, by pozbyć się nieistniejącego brudu.

– Muszę ją mieć na stole – rzekł.

– Jak zawsze.

– Skoro wiesz, to dlaczego pytasz? – W głosie medyka nie było pretensji, raczej lekkie rozbawienie. Zawsze grali w tę grę. On mówił, że udzieli informacji po sekcji, a komisarz naciskała, by cokolwiek z niego wydusić.

Marcel odwrócił głowę, by nie patrzeć na leżącą przed nimi martwą dziewczynę. Zapalił papierosa, ale zaraz go zgasił i schował do paczki, żeby nie zanieczyścić miejsca zbrodni.

– Wstępnie mogę określić czas zgonu. – Patolog zerknął na Dianę. – Między osiemnastą a dwudziestą wczorajszego dnia.

Lena zakłęta pod nosem. Tego się spodziewała. Zwłoki wyglądały na świeże i na pewno nie leżały tu od niedzieli. Dziś był czwartek, co oznaczało, że dziewczyna przez te wszystkie dni gdzieś się ukrywała. Gdzie? I po co przysłała do lasu?

Ostatnie pytanie Rudnicka wypowiedziała na głos.

– Może z kimś się umówiła? – podsunął Marcel.

– Okej, ale czym przyjechała? Ma szesnaście lat, więc raczej nie samochodem.

– Może ktoś ją podwiózł?

– Albo przyjechała komunikacją miejską.

– Musiała się gdzieś ukrywać, więc obstawiałbym, że jednak ktoś ją podwiózł. Może nawet sam sprawca.

– Wywiózł ją do lasu i zabił? Wątpię.

– Dlaczego?

– Wszyscy myśleli, że jest martwa – odparła Lena. – Sprawca nie zadbał o staranne ukrycie zwłok. Nie był zorganizowany, spójrz na ślady, jakie po sobie pozostawił. Gdyby chciał zataić zbrodnię, zatarłby je; może zabrał kamień i zwłoki, żeby nikt nie połączył go z Dianą. Opinia publiczna prędzej czy później zajęłaby się innym tematem, a wtedy byłby

najlepszy czas, żeby pozbyć się ciała. Tymczasem mamy denatkę, słabo ukrytą, a wokół mnóstwo poszlak. Uważam więc, że zabił przypadkiem i niewiele myśląc, w szoku, przeciągnął ciało w zarośla, żeby zyskać na czasie i uciec. Był świadom, że prędzej czy później ktoś je znajdzie. I tak dziwię się, że nastąpiło to tak późno. Dziewczyna leżała tu prawie cały dzień, ludzie przechodzili obok i niczego nie widzieli.

– Bo nie szukali.

– To prawda – przyznała. – Orientujecie się, jakie linie dojeżdżają do Lasu Łagiewnickiego?

– Z centrum nie da się tu dotrzeć bez przesiadki – zauważyła Liz. – A z przystanku trzeba iść kwadrans.

– Ale w autobusach są kamery, prawda? Polecę mundurowym przejrzeć nagrania. Jeśli dopisze nam szczęście, Diana załapała się w którymś autobusie. Odtworzymy połączenie, jak tu dotarła, i może uda nam się oszacować, skąd wyruszyła.

– Mogła przyjechać taksówką – podsunął Marcel.

– To też sprawdzimy, ale jeśli miała choć trochę oleju w głowie, zamówiła taksówkę na fałszywe nazwisko. Jednak namierzenie kursu w okolicy Lasu Łagiewnickiego nie powinno być trudne. Potem dotrzemy do kierowcy, sprawdzimy, czy wiozł Dianę.

– W Łodzi jest mnóstwo firm taksówkarskich.

– I Uber – zauważyła Liz.

– Zamówienie Ubera wymaga posiadania telefonu, a komórka Diany jest u nas na komendzie, co oczywiście nie oznacza, że nie mogła mieć drugiej, ale...

– Przepraszam, że przerywam te dywagacje – wtrącił patolog. – Ale nie mam czasu. Spieszę się.

– Twoi podopieczni raczej nie uciekną.

Felicjan Bania posłał komisarz karcące spojrzenie i złożył dłonie w trójkąt.

– Chciałem tylko powiedzieć, że najprawdopodobniejszą przyczyną zgonu, jak się zapewne domyślacie, było uderzenie w głowę.

Marcel uniósł brwi.

– Musiała uderzyć z dużą siłą – stwierdził.

– Wyczuwam nutę niedowierzania, młody człowieku. – Medyk potarł w zamyśleniu policzki. – No dobrze, zobrazuję sprawę bardziej szczegółowo. – Wolnym krokiem podszedł do Wolskiego i postukał go w czoło. – W twojej głowie znajduje się magiczna rzecz zwana mózgiem, który osłonięty jest przez trzy warstwy opon mózgowych, a pomiędzy nimi mieści się płyn mózgowy. Twój mózg można podzielić na dwie części: mózdzek i pień mózgowy. Półkule zaś dzielą się na płaty: potyliczny, skroniowy, ciemieniowy oraz czołowy. Niektórzy zastanawiają się, jak krew dociera do mózgu, skoro ten znajduje się najwyżej. Przecież to przeczy grawitacji, prawda? Spieszę z wyjaśnieniem – krew dociera do czaszki poprzez dwie tętnice szyjne i dwie tętnice kręgowe, do mózgu zaś kierują trzy pary tętnic mózgowych. Kiedy ktoś mówi, że nabił sobie guza, nie znaczy

to nic innego, jak odkształcenie powstałe w wyniku uderzenia kości czaszki o twardy przedmiot. Gorzej, jeśli wtedy nabawimy się krwiaka. Czasem, kiedy interwencja lekarska przychodzi szybko, bywają niegroźne...

– Do rzeczy... – stęknęła Rudnicka.

– Już, już. Wspomniałem już o pniu mózgu, prawda? No więc pień mózgu jest bardzo ważny. Należy do ośrodkowego układu nerwowego i odpowiada za podstawowe czynności życiowe, jak oddychanie, ciśnienie krwi lub pracę serca. Jeśli dojdzie do uszkodzenia pnia mózgu albo, nie daj Bóg, niedotlenienia tkanki nerwowej, której komórki obumierają już po trzech minutach, obserwujemy zatrzymanie krążenia, a towarzyszy temu wiele objawów: zaburzenie ciśnienia tętniczego, spowolnienie akcji serca, bezdech. Wszystkie wymienione objawy, jeżeli lekarze nie zdążą z pomocą, prowadzą do zgonu. – Uśmiechnął się. – Wnioski zatem są dwa. Pierwszy taki, że wasza pacjentka zmarła wskutek pourazowego uszkodzenia pnia mózgu, drugi zaś taki, żebyście zawsze zabezpieczali głowę kaskiem. Nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek upadnie.

– Dziękujemy za wykład.

– Gdyby Diana osłoniła rękoma głowę przed upadkiem, przeżyłaby? – zapytał Marcel, po czym spojrzał na leżące ciało. Mimowolnie się cofnął.

– Nie wiadomo, chłopcze – odparł patolog i uniósł dłoń na widok nadchodzącego prokuratora Nawrockiego.

Rudnicka się odsunęła.

Krzysztofa nie powinno tu być. Teoretycznie wciąż miał urlop. Była pewna, że kiedy dowiedział się o znalezieniu ciała niedoszłej samobójczynie, zrobił wszystko, by dostać tę sprawę. I nie chodziło wcale o zawodowe wyzwanie, lecz o to, że śledztwo prowadziła Lena.

Technik wyręczyła Rudnicką i przekazała prokuratorowi, co udało się do tej pory ustalić.

– Aha, zapomniałabym. – Liz spojrzała na Lenę. – Miałam do ciebie zadzwonić, ale skoro już się widzimy... Dostaliśmy wyniki badań toksykologicznych Natalii Sztompke. Przed śmiercią była pod wpływem, nie tylko alkoholu.

Lena zmrużyła oczy.

– We krwi wykryliśmy amfetaminę.

– Była naćpana? – Marcel wsunął papierosa między wargi.

– To zmienia postać rzeczy – wtrąciła Lena, spoglądając na ulatujący dym. Chętnie by zapaliła, ale Krzysztof nie tolerował papierosów.

– Zadam kilka pytań tej parze biegaczy – oznajmił Wolski. Dwójka młodych ludzi wciąż rozmawiała z mundurowym. Mężczyzna nerwowo zerkał na sportowy zegarek.

– Pójdę z tobą.

– Lena, zaczekaj. – Nawrocki przytrzymał ją za ramię. – Chciałem porozmawiać.

Westchnęła. Dobrze wiedziała, czego będzie dotyczyć rozmowa. Nie chciała słuchać kolejnych przeprosin i tłumaczeń. Szarpnęła ręką, wyswobadzając się z uścisku.

– Pogadamy w domu – rzuciła.

8

Rodzina Pulido siedziała po jednej stronie niskiego kawowego stolika, policjanci zajęli miejsce naprzeciwko. Wyglądali, jakby przystępowali do biznesowych pertraktacji. Marcel splótł palce obu dłoni, pocierając kciukiem wystającą kostkę.

– Nie żyje? – Hanna Pulido wpatrywała się w niego, jakby nie wierzyła w jego słowa. Przewróciła oczami i zamrugowała.

Rudnicka bez ogródek poinformowała ich o odnalezieniu ciała Diany. Spodziewała się płaczu i krzyku. Przypuszczała, że choć rodzice Diany widzieli film, nie dopuszczali myśli, że ich córka rzeczywiście umarła. Dopóki nie znaleziono ciała, nic nie było przesądzone. Tymczasem śmierć Diany stała się faktem, a Lena musiała przyznać sama przed sobą, że spieprzyła robotę. Skupiła się na odnalezieniu zwłok. Nie przypuszczała, że dziewczyna wykręci taki numer. A powinna, bo pracowała w policji wystarczająco długo. Gdyby wcześniej dostrzegli, że nagranie zostało spreparowane, śmierci dziewczyny można było zapobiec.

Teraz było już za późno.

– Chcecie powiedzieć, że moje dziecko zostało zamordowane? – zapytała Hanna.

– Nic z tego nie rozumiem. – Emilio podniósł się z kanapy i przeszedł kilka kroków w stronę okna.

– Państwa córka sfingowała nagranie – wyjaśnił Marcel. – Odkryliśmy to zbyt późno, żeby zareagować...

– Zbyt późno?!

– Chcieliśmy porozmawiać z państwem rano, ale policjanci nie zastali nikogo w domu.

– Byliśmy na zakupach.

– Całą rodziną? – zapytała Rudnicka.

– Tak. – Emilio zmrużył oczy. – To chyba nie jest zabronione?

Lena nie odpowiedziała. Przeniosła wzrok na Hannę.

– Moja córka nie żyje? Jak to się stało? Gdzie się podziewała przez te wszystkie dni? – Jej oczy wypełniły się łzami. Sięgnęła po pudełko chusteczek higienicznych leżących na stoliku. Wyciągnęła kilka naraz i wytarła powieki, nie zważając na rozmazany tusz do rzęs.

– Jeśli potrzebują państwo czasu, możemy przyjść jutro – zaproponował Wolski. Lena posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Rozmowa musiała odbyć się dzisiaj.

– Diana upozorowała własną śmierć – odezwała się komisarz. – Dlaczego to zrobiła?

– Nie mam pojęcia. Boże, nie mam pojęcia!

– Pani Pulido, to naprawdę ważne. Jeżeli podczas naszej poprzedniej rozmowy coś zatailiście, teraz nadszedł najlepszy moment, żeby o tym powiedzieć.

– Co mielibyśmy zataić? – zaatakował Emilio.

– Nie wiem. Niecodziennie szesnastolatka ucieka się do upozorowania własnej śmierci, a potem znika z domu, prawda?

Hiszpan zacisnął zęby.

– Musiało ją coś gnębić – ciągnęła Rudnicka. – Nie zadawałaby sobie tyle trudu z powodu jakiejś błażostki.

– Dla nastolatki czasem małe problemy urastają do rangi wielkiego kłopotu – zauważył Wolski. – Przypominacie sobie cokolwiek, co mogło mieć wpływ na Dianę w ostatnich dniach?

– Nie. Wszystko było w porządku.

Lena odczekała chwilę, aż Hanna Pulido wydmucha nos, po czym zadała kolejne pytanie:

– Dokąd mogła się udać Diana? Gdzie mogłaby spędzić te kilka dni?

– Ten chłopak – odparła Hanna. – Jak mu było?

– Jerzy Jurek.

– Jerzy Jurek. – Hanna kiwnęła głową. – Może pojechała do niego? Może to on ją zabił w tym lesie?!

– Jurek ma alibi.

– Alibi można podrobić! To na pewno on!

– Wykluczone – ucięła Lena. – Jurek siedział w tym czasie w areszcie.

Emilio parsknął.

– To jego wina – rzekł. – Mówię wam, przyjrzyjcie się temu obdartusowi. On na pewno maczał w tym palce.

– Skąd ta pewność? – zapytała Rudnicka, gromiąc Emilia wzrokiem. Bingo. Miała go w garści i nie zamierzała wypuścić.

Obrócił się do okna, unikając spojrzenia policjantki.

– Skąd ta pewność, panie Pulido? – powtórzyła, opierając łokcie na kolanach.

Hiszpan mruknął coś pod nosem. Jego gęsty wąs poruszał się w górę i w dół, jakby żył własnym życiem.

– Panie Pulido?

Cisza. Hanna spojrzała na męża.

– Dlaczego użył pan określenia „obdartus”? – naciskała komisarz. – Twierdził pan, że nie spotkał Jerzego Jurka, a co więcej, nie wiedział, że Diana ma chłopaka.

– Emilio? – Hanna wstała.

– Dobrze – bąknął Hiszpan, opierając się o parapet. Skrzyżował ramiona. – Poznałem go.

– Ciekawe. W jakich okolicznościach? – Rudnicka również wstała.

– Zobaczyłem kiedyś Dianę w towarzystwie tego chłopaka. Paskudny typ. Nie wzbudził we mnie zaufania, dlatego uważam, że maczał palce w całej sprawie.

– Dlaczego mówił pan, że nie zna Jurka?

– Co by to zmieniło?

– Może nic. A może wiele.

Spojrzał na policjantkę, a potem podszedł do barku. Nalał kieliszek tequili i wypił jednym haustem.

– Skoro sądzi pan, że Dzejdzej jest podejrzany, dlaczego pan nam o tym nie powiedział?

– Nie wiedziałem, jak się nazywa. A poza tym... poza tym, obiecałem Dianie. Nie chciała, żeby Hanna się dowiedziała. Mojej żonie również by się nie spodobał. Ten dzieciak nie pasował do mojej córki. Wyglądał jak ćpun.

– Emilio! – Hanna wymierzyła w niego palec. – Do cholery, jak mogłeś zataić to przed policją? Po tym pieprzonym filmie powinieneś wszystko powiedzieć!

Rudnicka przyznała kobiecie rację.

– Chyba nie tylko to ukrywał pan przed nami, prawda? – zapytała.

Zanim odpowiedział, przechylił kolejne dwa kieliszki tequili.

– Nie powiedział pan żonie, że Diana tuż przed zakończeniem roku nie chodziła do szkoły – włączył się Wolski.

– Tak – przyznał. – To prawda. Nie powiedziałem, ponieważ Hanna byłaby temu przeciwna. Diana zapytała mnie, czy może zostać w domu. Pozwoliłem jej. Raptem kilka dni, nic to nie zmieniało. Oceny miała wystawione.

– Diana opuściła się w nauce.

– Och, doprawdy. – Załamał rękę. – Bzdura. Zawaliła jeden sprawdzian. I to wszystko przez tego gnojka. Zakazałem Dianie spotykać się z nim. Nic dobrego by z tego nie wynikło.

– Zakazał pan?

– Tak.

– Gdy zapytałam cię o te opuszczone dni, mówiłeś, że nie miałeś o nich pojęcia. – Hanna wyrwała mężowi kieliszek i głośno odstawiła go na blat.

– Nie chciałem cię denerwować. To nie ma żadnego znaczenia. – Emilio spojrzał oskarżycielsko na policjantów. – To wy spapraliście sprawę, a teraz zwalacie winę na nas! Wmawiacie nam, że źle wychowywaliśmy córkę? Pogadajcie lepiej z tym Jurkiem. To on jest winien śmierci Diany!

Rudnicka zauważyła, że Emilio wypowiada się w liczbie mnogiej. Próbował ustanowić jeden front z żoną. Hanna jednak wyglądała na wzburzoną jego zachowaniem.

– Coś ty zrobił?! – krzyknęła. – Może gdybyś powiedział o wszystkim wcześniej, nasza córka by żyła!

– Spokojnie. – Marcel wstał, przytrzymując kobietę, która z zaciśniętymi pięściami ruszyła w stronę męża.

– Najprawdopodobniej Diana wyszła z domu w niedzielę, a właściwie w poniedziałek nad ranem – powiedziała Lena. – W sobotę widziano ją w Manufakturze z koleżankami, a potem był u niej Dzejdzej. Zanim do państwa przyjechaliśmy, mundurowi rozmawiali z sąsiadami, którzy potwierdzili, że widzieli ją przez cały weekend, kiedy kręciła się wokół

domu. Wiecie, dokąd mogła się udać? Zgon nastąpił wczoraj wieczorem. Minęły więc trzy dni. Musiała gdzieś być przez ten czas.

Hanna zanosła się płaczem.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. – Ścierała łzy, które spływały po policzkach.

Axel od początku wizyty policjantów nie odezwał się ani słowem. Teraz wstał i objął matkę ramionami. Pogłaskał ją po głowie, patrząc z nienawiścią na policjantów.

– Chodź, mamo. Musisz się położyć.

Uniósł ją, przytrzymując za ręce, i zaprowadził do sypialni. W tym czasie Emilio wlał w siebie kolejną porcję tequili, po czym zapadł się w fotel.

– Naprawdę, nie pomyślałem – rzekł. – Ja... Możecie uznać mnie za głupca, ale sądziłem, że Diana żyje. Byłem tego pewien. Ojcowskie przeczucie, nie wiem, nazwijcie to, jak chcecie. Byłem pewien, że Diana żyje. Że to wszystko... film, poszukiwania ciała... brałem to za żart.

– Żart? – Rudnicka uniosła brwi.

– Źle się wyraziłem. Chodzi o to, że nie dopuszczałem do siebie myśli, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

– Powinien pan powiedzieć o chłopaku – oświadczyła.

– Wiem. Nie mam dla siebie żadnego usprawiedliwienia. A teraz wybaczcie. – Wstał, spoglądając na drzwi. – Wolałbym zostać sam.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Chwila była wystarczająco długa, by Emilio poczuł się niezręcznie.

Gdy wyszli na zewnątrz, przez uchylone okno w sypialni dobiegło ich łkanie Hanny.

9

Krystian Owczarek zajął strategiczne miejsce tuż pod oknem drewnianego domku, od którego wnętrza oddzielała go tylko przybrudzona szyba i niezaciągnięta zasłona. Szpara pomiędzy dwoma częściami materiału była wystarczająca, by mógł widzieć, co się dzieje w środku.

Salonik był niewielki. Ściany w całości wykonano z niemalowanego drewna, na pokrytej dębowymi deskami podłodze leżała zwierzęca skóra. Krystian stawił na jelenia, choć z tej odległości nie dałby sobie ręki uciąć, ale sądząc po wiszących na ścianie rogach, było to bardzo prawdopodobne. Po lewej stronie znajdował się nieduży kominek z zapasem drewna, nad nim zaś wisiała sporo myśliwskich trofeów. Na widok rozwartego ryja dzika Krystiana przeszły ciarki. Po drugiej stronie stały skórzana kanapa, ława kawowa, dwa fotele i biblioteczka, a obok niej mahoniowy globus na fikuśnych nóżkach.

Krystian obserwował, jak Damian Lewicki podchodzi do globusa, rozsuwa jedną półkulę i wyciąga butelkę whisky. Krystian nie był smakoszem szkockiej, ale od razu rozpoznał

charakterystyczną butelkę Chivas Regal. Lewicki rozlał alkohol do dwóch szklanek i jedną podał gościowi, a drugą opróżnił dwoma łykami i odstawił na stolik.

Krystian zastanawiał się, o co tutaj chodzi. Po co senator przyjechał do Damiana Lewickiego? Po co tłuł się taki kawał do chaty na odludziu? Czy to wszystko miało jakiś związek ze zniknięciem Diany Pulido?

Sebastian Tolis, senator wywodzący się z ramienia partii rządzącej, cieszył się ogromną popularnością i charakteryzował doskonałym wyczuciem mediów. Młody, przystojny blondyn o niebieskich oczach i nordyckich rysach surowej twarzy podobał się kobietom. Jego podobizna często zdobiła okładki brukowców. Senator wiedział, jak manipulować mediami, by zyskać ich przychylność. Posiadał konta na wszystkich możliwych portalach społecznościowych, odwiedzał różne studia telewizyjne, w ostrych słowach wypowiadał się na rozmaite tematy, ale co najważniejsze – chronił swoją prywatność. Nikt nie wiedział nic o jego życiu. Wiele dziennikarskich głów pracujących w serwisach plotkarskich zastanawiało się, jak wygląda wybranka Sebastiana Tolisa. Co robi w wolnym czasie? Czym się interesuje?

Do tej pory nikt nic nie wiedział, ale teraz sytuacja uległa zmianie.

Krystian obrał najlepszą pozycję i wyjął aparat. Zapomniał zabrać zmiennych obiektywów, ale na szczęście ten, który założył wcześniej, okazał się wystarczający.

Przybliżył obraz, a potem pstryknął zdjęcie. Spojrzał na niewielki wyświetlacz. Pięknie.

Naciskał spust migawki, nie chcąc przegapić żadnego momentu. Gdy zrzuci zdjęcia na twardego dysku, wybierze kilka najlepszych ujęć i... zarobi trochę grosza. Przydałoby się. Łódzkie wydanie gazety nie płaci zbyt wiele. Czasem Krystian musi dorabiać u konkurencji, jednak teraz wszystko się zmieni. W końcu niecodziennie zyskuje się tak wdzięczny temat.

Opuścił aparat i nacisnął przycisk otwierający galerię. Z ekscytacji aż spocily mu się dłonie. Już czuł pieniądze wpadające do jego kieszeni. Miał ochotę gwizdnąć z radości, ale się powstrzymał. Nie chciał, by tych dwóch go usłyszało.

Teraz pozostało bezpiecznie się wycofać, iść do samochodu i pędzić do mieszkania, by zgrać zdjęcia. Najpierw jednak powinien zadzwonić na policję. W końcu gliniarze szukają Lewickiego, przypomniało mu się. Nie mieli tyle szczęścia, co Krystian. Gdyby złapali go wcześniej, nie zrobiliby tych zdjęć i nie zarobił kasy. Przeleciał raz jeszcze galerię. Cudownie!

Odnalazł w kontaktach Lenę Rudnicką i wcisnął zieloną słuchawkę. Serce waliło mu jak młotem. Ten dzień zapisze się wielkimi literami w jego życiu. Wreszcie zacznie nowy rozdział. Może dostanie ofertę pracy w stolicy? To byłoby coś. Po pierwszym sygnale usłyszał dziwny szelest za plecami. Pewnie jakieś zwierzę, pomyślał i zamarł, zobaczywszy przed sobą Damiana Lewickiego.

Mężczyzna zamachnął się, a Krystian poczuł uderzenie. Coś ciężkiego przygniotło mu czaszkę, a tępy ból wypełnił głowę. Krzyknął, a potem usłyszał kolejny sygnał połączenia.

Spod przymkniętych powiek widział, jak tamten podnosi jego telefon i przerywa połączenie.

10

Dlaczego im nie powiedział?

Dlaczego?

Bał się. Tak, to był strach. Powinien powiedzieć gliniarzom, ale gdy pomyślał o ojcu, zwyczajnie się wystraszył.

Ale musiał powiedzieć prawdę. Nie mógł już tego dłużej dusić w sobie. Wsiadł więc do autobusu jadącego do centrum. Potem szybka przesiadka i znalazł się na Sienkiewicza. Przed komendą kręciło się paru policjantów. Duży, okratowany ducato wyjechał na parking. W środku siedziało dwóch kolosów w czarnych mundurach. Axela ścisnęło w żołądku.

A jeśli ojcu coś grozi? Jeśli Axel powie policji prawdę, ojciec pójdzie do więzienia?

Nie. Nie pójdzie. Przecież nic nie zrobił. To tylko jedno małe kłamstwo. Bez znaczenia.

Jednak miało znaczenie, skoro Axel nie mógł przestać o tym myśleć. Nie chciał źle dla ojca, ale widok martwej Diany przyprawiał go o ciarki. Musiał coś z tym zrobić. Nie mógł żyć dłużej w strachu.

Wyciągnął telefon. Napisać do tej policjantki? A może lepiej zadzwonić?

11

Z budki na rogu Piotrkowskiej i Zielonej dolatywał zapach majonezowych surówek i pieczonego mięsa. Mężczyzna o śniadej karnacji i kruczoczarnych włosach uwijał się jak w ukropie, odkrawając kawałki baraniny z pionowego rusztu.

Marcel zapłacił i przysiadł przy stoliku, obserwując dwójkę ludzi stojących po drugiej stronie ulicy. Zastawili pół chodnika, przechodnie musieli ich omijać. Barczysty mężczyzna rozmawiający z Rudnicką ani drgnął. Dwie dziewczyny omal nie wjechały w nich rowerami, ale wystarczyło jedno spojrzenie osiłka, by popedałowały dalej, nie oglądając się za siebie.

Facet mierzył ze dwa metry, a w bicepsie miał pewnie tyle, ile Marcel w obwodzie uda. Ogolona na łyso czaszka i kartoflowaty nos boksera wzbudzały w Wolskim pewne obawy. Wolałyby, aby Lena nie zadawała się z tym typem. Chciał do niej dołączyć, ale komisarz go spławiła. Wprawdzie uprzedziła, że jadą na spotkanie z facetem, który handluje nielegalną bronią, i Wolski nie spodziewał się rzecz jasna eleganckiego gościa z aktówką w rękę, ale Pułkownik przerósł jego wyobrażenia.

– Proszę, pana zamówienie. – Głos Turka wyrwał go z zamyślenia. Odebrał dwa kebaby. Jednego w rozmiarze XXL dla Rudnickiej oraz średniego dla siebie. Wyszedł na zewnątrz,

ale zatrzymał się tuż za progiem. Nie wiedział, czy powinien podejść do Leny, czy jednak zaczekać. Wyglądało na to, że rozmowa jeszcze potrwa. Lena stała odwrócona plecami, ale wyłowił ostrzegawcze spojrzenie mięśniaka. Rozum podpowiadał, by nie podchodzić, jednak nogi same ruszyły w stronę komisarza.

Odchrząknął.

– Miałeś poczekać – warknęła Rudnicka, gdy Wolski stanął przed nią z kebabami w ręce.

– To ten frajer? – Pułkownik wsunął dłonie za pasek spodni. Wydawało się, że koszulka na jego torsie zaraz rozejdzie się w szwach.

– Mhm – mruknęła. – Ten.

– Czeka cię piekło, jak wieść się rozniesie.

Marcel przestąpił z nogi na nogę.

– Ale dobrze, dobrze. Kierowniczo, zobaczymy, co da się zrobić. – Pułkownik zasalutował po żołniersku i się oddalił. Wsiadł do czarnego bmw, które stało nieopodal.

– Można mu ufać? – zapytał Wolski.

– Jak nikomu innemu.

Nie był pewien, czy porównanie Rudnickiej jest trafne. Pułkownik był zwykłym kryminalistą. Oczywiście Marcel nie był durniem i wiedział, że policję od przestępczego światka dzielą milimetry, lecz nie przypuszczał, że te relacje są aż tak bliskie.

– Uważałbym na niego.

– Mhm. Ja uważałabym na ciebie, bo to ty jesteś gliniarzem, który zgubił broń.

– Mimo wszystko...

– Jeśli twój glock krąży po mieście, Pułkownik jest jedyną osobą, która może go znaleźć. Więc nie rzucałabym słów na wiatr, bo za parę dni będziesz całował go po stopach i zanosił pudła czekoladek w podzięce.

Przeszli na drugą stronę, kierując się na parking na ulicy Narutowicza, kiedy nagle Marcela uderzyła pewna myśl. Plastikowy widelec z nabitym mięsem zastygł w drodze do ust.

– On nie robi tego za darmo, mam rację? – spytał.

Lena popatrzyła na niego jak na sześciolatka wrzuconego do gimnazjalnej klasy. Spojrzenie sugerowało, by nie poruszał tematów, o których nie ma pojęcia. I nigdy nie będzie miał.

– Mam rację? – powtórzył.

Cisza.

– Co chce w zamian?

Rudnicka ugryzła kawałek bułki, unikając odpowiedzi.

– Pieniędzy? – naciskał.

– Pułkownik ma więcej kapusty niż moja podwójna sałatka w kebsie.

– No więc co chce w zamian? Do cholery, jeżeli wmiszasz się w jakieś gówno, lepiej, żebyś zrezygnowała. Pójdę na komendę i zgłoszę zgubienie broni...

– Nie – weszła mu w słowo. – Narobisz sobie kłopotów.

– Jeśli ja uniknę kłopotów, ty zyskasz cały ich worek.

– Mam ich aż nadto. Jeden czy dwa nie robią różnicy.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Mówię poważnie – powiedział. – Nie mieszaj się w sprawy z jakimś gangsterem.

– Ja też mówię poważnie. – Przystanęła, mrużąc oczy. – Nie powinno cię interesować, jaki układ zawarłam z Pułkownikiem. Jedyne, co cię interesuje, to odnalezienie glocka.

I na tym się skup, sierzancie.

– Ale...

– Koniec tematu.

Podrapał się w skroń, zastanawiając nad argumentem, którym mógłby przekonać Lenę do zmiany zdania, ale nic nie przyszło mu do głowy

– Okej – rzucił po chwili. – W takim wypadku ja wykonam tę robotę.

– Skąd wiesz, że chodzi o jakąś robotę? – Kąciki jej ust drgnęły i choć nie przywołała na twarz pełnego uśmiechu, wydawała się rozbawiona.

– A o co?

– O nic. Poza tym Pułkownik nie zgodzi się z tobą współpracować. Nikt nie chciałby współpracować z gościem, który zgubił własną spluwę.

No tak.

W milczeniu skręcili na parking. Marcel otworzył drzwi fabii, by przewietrzyć samochód. Rudnicka przysiadła na rozgrzanej masce, jedząc prowizoryczny obiad składający się z tłustego mięsa i jeszcze tłustszej sałatki, utaplanej w kalorycznym majonezie. Lena wyglądała, jakby nie potrzebowała do szczęścia niczego więcej niż wielkiego kebaba. Opróżniła zawartość grubej bułki, skleiała dwa brzegi i zatopiła w niej zęby.

– Przydałoby się chłodne piwo – zagadnął Wolski, przerywając milczenie.

Uniosła nieco głowę, odgarniając kosmyk włosów. Nie odpowiedziała. Powiodła wzrokiem po ulicy, zatrzymując się na matce z kilkuletnim chłopcem. Kobieta usadziła dziecko w foteliku, wsiadła do samochodu i powoli włączyła się do ulicznego ruchu.

– Co sądzisz o ojcu Diany? – spytał niezrażony milczeniem Rudnickiej. – Myślisz, że miał coś wspólnego ze zniknięciem dziewczyny?

– Dlaczego?

– Zataił parę rzeczy.

– Nie tylko on. Przypominam, że Dzejdziej i Roksana też mają swoje za uszami.

– Cała ta sprawa jest cholernie dziwna – mruknął. – Nie mogę znieść myśli, że gdybyśmy tylko wcześniej odkryli, że film jest spreparowany, Diana by żyła.

– Tego nie wiemy.

– Ale nie możemy wykluczyć.

Kiwnęła głową.

– Dziewczyna chciała od czegoś uciec – stwierdziła Lena, wkładając do ust końcówkę bułki. – Pytanie, od czego. Od rodziców? Od chłopaka? Od wychowawcy? Zaraz pojedziemy do Dżejdzēja. Przyciśniemy go. Jeśli dowie się o śmierci Diany, może puści parę z ust.

– Co z Lewickim? – zapytał.

– Patrol nie zastał go w mieszkaniu.

– Niedobrze.

– Nawet bardzo. – Zerknęła na telefon. Na ekranie wyświetliło się nieodebrane połączenie od Krystiana Owczarka. Nacisnęła klawisz „oddzwoń”, jednak po kilku sygnałach w słuchawce odezwała się automatyczna sekretarka. – Ten pismak pewnie chciał wydębić jakieś informacje – dodała, chowając komórkę.

– Nie mogę uwierzyć, że nastolatka tak precyzyjnie sfingowała własną śmierć.

– Polemizowałabym, że precyzyjnie. W końcu odkryliśmy przekręt w tym nagraniu.

– Ty odkryłaś. A to różnica.

– Nieistotne. – Machnęła ręką. – Gdyby nie pieprzony sezon urlopowy, a goście z działu technicznego bardziej przykładaliby się do pracy, też by do tego doszli.

– Powinni dojść do tego już pierwszego dnia. Wtedy od początku wiedzielibyśmy, że szukamy dziewczyny, a nie zwłok.

– Prewencja obstawiała wizytę jakiegoś polityka partii rządzącej. – Spojrzała na niego. – Wiesz, jak jest.

Wiedział, ale mimo wszystko miał ochotę iść do informatyków i wygarnąć, co o nich myśli. Gdyby nie ich opieszałość, Diana by żyła.

Marcel zapalił westa, z żalem stwierdzając, że to ostatni papieros w paczce. Zgniół opakowanie i podał go Lenie.

– Chociaż mamy na koncie mały sukces – stwierdził, stając naprzeciw.

– O! Jaki? – Wypuściła dym.

– Antolak.

– Postaram się, żeby trochę posiedział za kratami.

– Roksana i Izabela odpoczną od tego pieprzonego damskiego boksera.

Lenę ścisnęło w żołądku, a siniaki na ciele zapiekły ze zdwojoną siłą. Zaciągnęła się i drugą połowę papierosa oddała Marcelowi.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie była Diana przez te dni – powiedziała. – A potem dopaść Lewickiego. Czuję, że ten cholerny nauczyciel jest zamieszany w tę sprawę. Wydaje się śliski. Poza tym jego alibi jest słabe.

Kolejnym tropem, jaki się pojawił, była amfetamina we krwi Natalii Sztompke. Trop prowadził prosto do Dżejdzēja. Choć wykluczał udział chłopaka w samobójstwie Sztompke, nie wykluczał go z udziału w zniknięciu Diany. Rodzice Pulido byli przeciwni ich związkowi. Może dzieciaki chciały uciec za granicę i rozpocząć nowe życie? Jeśli tak, ukartowanie samobójstwa zdawało się niezłym pomysłem. Diana miała szesnaście lat,

więc jej wyjazd musieliby zaakceptować rodzice. Z pewnością by tego nie zrobili, czego potwierdzeniem była dzisiejsza reakcja Emilia.

– Zbierajmy się – rzuciła, wsiadając do samochodu. – Zobaczymy, co ma do powiedzenia nasz obdartus.

Marcel posłusznie zajął miejsce za kierownicą i wycofał samochód, wyjeżdżając na ulicę Narutowicza. Ustawili się w kolejce do zmiany świateł, kiedy telefon Leny zabrzączał, zwiastując nadejście SMS-a. Wyjęła go, odczytała wiadomość i gwizdnęła.

– Zmiana planów – obwieściła. – Synek postanowił wreszcie przemówić.

– Słucham?

– Axel Pulido czeka przed komendą. Chce z nami porozmawiać.

Marcel zmienił pas, skręcił w prawo i po dwóch minutach zatrzymał fabię na policyjnym parkingu. Axel Pulido stał pod niewysokim drzewem. Na widok dwójki policjantów zrobił nieśmiały krok w ich stronę, a potem się cofnął, jakby niewidzialna siła zatrzymywała go przed rozmową z policją.

– Co jest? – Rudnicka stanęła naprzeciwko.

Chłopak potarł upstrzoną pryszczami twarz. Axel odziedziczył hiszpańskie rysy po ojcu, jednak przewrotne geny obdarzyły go wzrostem matki. Był wyższy od Leny co najmniej o głowę.

Zawahał się.

– Nie wiedziałem, czy powinienem o tym mówić – zaczął niepewnym głosem.

– Dopóki nie dowiemy się, o co chodzi, nie będziemy mogli tego ocenić.

– Nie chciałbym, żebyście mnie źle zrozumieli.

Lena skrzyżowała ramiona na piersi. Czekwała.

– Rodzice kazali trzymać głowę na kłódkę – stwierdził, tocząc stopą kółka w ziemi.

– Więc co skłoniło cię do tego, żeby skontaktować się z nami?

– Moja siostra... Diana...

Lena odeszła dwa kroki na bok, żeby uciec przed palącymi promieniami słońca.

– Mów, chłopaku, bo czasu mam niewiele – rzuciła do niego po chwili.

– Mój tata... – Axel spojrzał najpierw w prawo, potem w lewo, jakby w obawie, że ojciec ukrywa się między samochodami i usłyszy rozmowę. Wziął głęboki wdech i dodał:

– Mojego taty nie było z nami nad morzem.

Marcel zerknął na Lenę. Stała nieruchomo. Tylko nerwowe przygryzanie wargi zdradzało, że ta informacja zrobiła na niej jakieś wrażenie.

– A gdzie był? – zapytała.

– Dojechał do nas rano – odparł Axel.

– Po obejrzeniu filmu Diany wróciliście do Łodzi. Twoja matka twierdziła, że wyjechaliście o wpół do dziewiątej. Na miejsce dotarliście ponad trzy godziny później.

– To prawda.

– Ale twój ojciec przyjechał nad morze rano?

– Tak.

Ciekawe.

– Nie wyjechał z wami w piątek? – zapytała komisarz.

– Nie. Dojechał w poniedziałek.

– O której zjawiał się na miejscu?

– Przed ósmą.

A więc gdzie prawie dwie doby przebywał Emilio Pulido? Jeżeli został w Łodzi i maczał palce w zniknięciu Diany, miał mnóstwo czasu, by pomóc jej uciec, posprzątać mieszkanie i wyruszyć nad morze. Ale jaki Emilio miałby mieć cel, żeby pomagać córce w sfigowaniu własnej śmierci? I dlaczego zeznał, że spędzał czas z rodziną nad morzem?

Dianę widziano zarówno w sobotę, jak i w niedzielę, zniknęła więc w nocy z niedzieli na poniedziałek. Film został opublikowany o trzeciej. Podróż na Wybrzeże trwa około trzech godzin. W nocy nie ma tłoku na autostradzie, więc taki czas byłby osiągalny. Co nie zmienia faktu, że musiałyby wyruszyć najpóźniej o piątej rano, by dotrzeć na ósmą.

Czy Emilio był w domu z Dianą? A może przebywał w zupełnie innym miejscu? Dziejdzaj, który odwiedził Dianę w niedzielę, nic nie wspomniał o jej ojcu, więc najpewniej go tam nie było.

– Dlaczego nie wyjechał z wami w piątek? – zapytała Rudnicka.

– Zatrzymały go obowiązki w pracy. Tata pracuje w firmie transportowej. Musiał rozwieźć towar pod Gdańsk, a potem kolega podwiózł go do nas, do Sopotu. Według planu miał spędzić z nami dwa dni, a potem wrócić we wtorek wieczorem.

„Zatrzymały go obowiązki w pracy”. To nie brzmiało przekonująco.

– Dlaczego twoi rodzice zataili tę informację?

Axel wzruszył ramionami.

– A dlaczego ty postanowiłeś się nią podzielić?

– Bo... – Axel zawahał się, a po jego policzku spłynęła pojedyncza łza. – Diana nie żyje. Nie chciałem kłamać. Kocham ojca, ale uznałem, że powinniście wiedzieć, że nie było go z nami nad morzem. To pewnie nie ma żadnego znaczenia. Przecież tata był w pracy, prawda? Ale musiałem wam o tym powiedzieć. Dręczyło mnie to od kilku dni.

– Jesteś pewien, że był w pracy? – zapytała.

– Tak. – Axel przetarł ramieniem oczy. – A gdzie miałby być?

Pewność w głosie Axela była zaskakująca. Podobnie jak to, że syn postanowił wydać własnego ojca. Może Axel wiedział jeszcze coś, o czym nie powiedział policji? Teraz nie mają możliwości tego zweryfikować. Młody Pulido szybko się pożegnał i pobiegł na przystanek.

Rudnicka wyjęła telefon.

– Co robisz? – Marcel spojrział na nią, a potem powiódł wzrokiem po ulicy. Musi wybrać się do sklepu po papierosy, przypomniało mu się. Chętnie by zapalił.

– Wezwę patrol – oznajmiła. – Niech przywiezie Emilia na komendę.

- A co z Dzejdzejem?
- On akurat nigdzie nie ucieknie.

12

Nieładnie tak podglądać. – Głos brzmiał jakby zza szyby. Obraz był zamazany, lekko przyciemniony. Spod przymkniętych powiek zobaczył głowę dzika. Jego czarne oczy przypomniały dwa wetknięte w czaszkę kamyki. Z ryja wystawały śnieżnobiałe kły, jakby ktoś codziennie czyścił je pastą wybielającą.

W głowie pojawił się tępy ból, a mięśnie pleców zapiekły. Czuł na skórze coś lepkiego. Krew? Poruszył ramieniem, ale stawiało opór. Kajdanki na nadgarstkach zadźwięczały, objając się o żeliwny kaloryfer. Zmusił się, by jeszcze raz otworzyć oczy.

W saloniku panował półmrok, ale nawet w słabym oświetleniu dostrzegł sylwetkę wychowawcy. Stał niczym kat. Ktoś zapalił lampkę na stoliku. Jasne światło raziło go w oczy.

– Obudź się. – Kopnięcie w skroń. W głowie zaszumiało, ale posłusznie otworzył oczy. W pokoju śmierdziało starym drewnem i alkoholem. Kałuża miedzianego płynu znajdowała się kilka metrów od niego, a obok leżała rozbita szklaneczka po whisky.

Poruszył rękoma. Stęknął, gdy zimny metal wpił się w skórę. Wyswobodzenie dłoni graniczyło z cudem. Gdyby oprawca użył plastikowych opasek zaciskowych, byłoby łatwiej, pomyślał. Może zdołałby nawet sięgnąć kawałek rozbitego szkła i przeciąć plastik?

– Dlaczego tu wieszysz? Kto cię nasłał?

Krystian powoli odzyskał orientację. Pamiętał, że obserwował Damiana Lewickiego i Sebastiana Tolisa. Przeglądał zdjęcia na aparacie, kiedy ktoś uderzył go w głowę. Nie ktoś, sprostował w duchu, uderzył go Lewicki, a potem razem z senatorem Tolisem przetransportowali go do domku i przywiązali do kaloryfera. Po co? Krystian poczuł, że ogarnia go panika. Dlaczego Lewicki przywiązał go do cholernego kaloryfera? Szarpnął rękoma. Mężczyźni musieli dostrzec Krystiana za oknem, a gdy ten zajął się przeglądaniem zdjęć, wyszli i na niego napadli.

Spróbował sięgnąć po komórkę. Wygiął nogę, by rękoma dosięgnąć kieszeni, ale uzmysłowił sobie, że kieszeń jest pusta. Dopiero po upływie kilku sekund przypomniało mu się, że zanim Lewicki łupnął go czymś w głowę, dzwonił do komisarz Rudnickiej. Może odebrała? Może słyszała wszystko i pomoc zaraz nadejdzie? Spojrzał na stół i zobaczył swój aparat, a obok kartę pamięci. Przełamaną. A więc nici z łatwego zarobku.

– Tu jest twoja zguba. – Uniósł głowę i zobaczył swojego białego iPhone'a. Lewicki rzucił go na dębową podłogę i przygniół butem. Na ekranie rozlała się pajęczyna. – Nikt cię nie znajdzie – dodał, podchodząc do kominka. Wsunął w otwór kilka drewienek, podlał płynem w plastikowej butelce, a potem sięgnął na stół. Igiełką wysunął tackę z kartą SIM i cisnął ją w ogień. Po chwili to samo zrobił z telefonem.

Krystian poczuł, że ogarnia go panika. O co tu chodzi?

– Rozkuj mnie – wychrypiał.

Prośba spotkała się z głośnym śmiechem.

– Proszę, nikomu nic nie powiem.

– Gówno prawda. Jeśli szukałeś sensacji, właśnie ją znalazłeś. Tyko jest jeden mały szkopuł... – Kucnął i nachylił się do Krystiana. – Z nikim się nią nie podzielił.

Owczarek słyszał swój urywany oddech. Starł się uspokoić szaleńcze tempo serca. Miał wrażenie, że zaraz wyskoczy mu z piersi i odtańczy pożegnalny taniec.

– Obudził się?

Owczarek przeniósł wzrok na korytarz, gdzie stał senator Tolis. Wyglądał jak model. Wysoki, w idealnie skrojonym garniturze. Podszedł i popatrzył na Krystiana jak na kupkę cuchnących śmieci. Pokręcił głową z odrazą i usiadł na kanapie.

– Rozkujcie mnie, nikomu nie powiem.

– To fakt – rzekł Lewicki. – Nie powiesz.

Tolis nalał do szklaneczki resztkę whisky i pił małymi łykami.

– Co wy robicie? – spróbował. – To nielegalne. Jestem dziennikarzem, mam prawo...

– Stul pysk. – But Lewickiego wylądował na nosie Krystiana. Rozległ się chrzęst łamanej kości, a Krystian poczuł, jak krew spływa mu na górną wargę.

Sebastian Tolis poruszył się na kanapie. Wytarta skóra na obiciu zaskrzypiała.

Krystian wypluł krew zmieszaną ze śliną. W gardle rosła mu gęstwa. Nie mógł oddychać przez nos, przez co jego oddech stał się jeszcze bardziej słyszalny. Dyszał jak zziębnięty pies.

Po twarzy Lewickiego przemknął cień. Nie przypominał już dobrodusznego wychowawcy. Zaciśnięte usta i pięści zdradzały zdenerwowanie, ale wyraz twarzy pozostał nieodgadniony.

Krystian poczuł, jak głowa bezwładnie opada mu na ramię. Przymknął oczy, a wtedy spostrzegł coś dziwnego. Początkowo nie miał pojęcia, na co patrzy, ale wystarczyło kilka sekund, by zrozumiał. Pod ścianą leżał dywan zawinięty w rulon, a z jego końca wystawała ludzka głowa. Włosy kobiety sklejała ciemna, zaschnięta krew.

– Wypuść mnie – jęknął. – Nic nie powiem.

– Zamknij się.

Lewicki przeszedł do stolika, przy którym siedział senator. Wyciągnął z szafki szklanę i nalał sobie whisky.

– Nie powinieneś pić – odezwał się Tolis.

Lewicki upił łyk, po czym odstawił szklanę.

– Masz rację. Muszę pozbyć się samochodu. Pojedziesz ze mną.

– Jak chcesz.

– Załatwmy to jak najszybciej. – Podszedł do Krystiana i obszukał jego kieszenie. W tylnej odnalazł kluczyki do volkswagena bory. – Gdzie zostawiłeś wóz? – zapytał.

Cisza.

Lewicki chwycił Krystiana za gardło, odcinając dopływ powietrza. Dziennikarz zacharczał, zanosząc się kaszlem.

– W krzakach.

– No widzisz? – Zajrzał mu w oczy. – Powinieneś od razu współpracować.

Tolis wstał, obciągnął nogawki spodni i wyszedł za wychowawcą. Owczarek pomyślał, że spróbuje się uwolnić, ale jego umysł zasnuła mgła. Ból wniknął do każdej komórki ciała. Ciemność wciągała go coraz bardziej. Zwiesił głowę na ramieniu i wtedy dostrzegł jakiś ruch. Miał wrażenie, że wystająca z dywanu głowa się poruszyła. A może to przytępiony umysł splątał Krystianowi figla.

13

Emilio Pulido splótł dłonie na brzuchu. Zdezorientowane spojrzenie kazało sądzić, że nie ma pojęcia, dlaczego został przywieziony na komendę. Przenosił mętny wzrok z Leny na Marcela. Śmierdział alkoholem. Pewnie nie poprzestał na kilku szklaneczkach tequili, które wypił przy policjantach.

– Powiniennem być przy żonie – odezwał się w końcu. – Hanna źle zniosła waszą dzisiejszą wizytę. Połknęła kilka tabletek i poszła spać, ale kiedy wstanie, znów będę musiał ją uspokajać. Moja żona cierpi, a ja razem z nią. Dlaczego nie pozwolicie nam spokojnie przeżyć żałoby po córce? Jakim prawem wysyła pani po mnie policyjny radiowóz? Gliniarze wyprowadzili mnie jak zwykłego przestępcę. Wie pani, co sąsiedzi sobie pomyślą?

– Czy funkcjonariusze użyli wobec pana siły? – zapytała Lena. Siedzieli w jej zaciemnionym gabinecie, a wokół unosił się aromat świeżo zmielonej kawy. Na biurku stały dwa kubki, na które Emilio zerkał ukradkiem. Rudnicka upiła łyk.

– Nie – przyznał po namyśle.

– Jak rozumiem, wyszedł pan dobrowolnie?

– Tak, ale sąsiedzi na pewno zobaczyli radiowóz. Takie traktowanie jest niedorzeczne. Zaraz pojawią się plotki o...

– O czym, panie Pulido?

Umilkł. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w splecione palce.

– Panie Pulido. – Lena nachyliła się ponad blatem. – Zapewniam, że sąsiedzkie plotki są teraz pana najmniejszym problemem.

– Co pan robił od godziny dziewiętnastej w piątek do ósmej rano w poniedziałek? – spytał Wolski, spoglądając na Lenę. Skinieniem głowy dała mu pozwolenie na przejęcie inicjatywy. Sama założyła nogę na nogę, jakby sadowiła się w kinowym fotelu.

Emilio zeszywniał.

– Przebywałem z rodziną nad morzem – odparł.

– Nie przebywał pan.
– Słucham?
– Wiemy, że nie było pana nad morzem.
– To jakiś żart?
– Widzi pan, mój kolega ma anielską cierpliwość, czego potwierdzeniem jest to, że wciąż ze mną pracuje – wtrąciła Rudnicka. – Ja niekoniecznie. I jeżeli zaraz nie powie pan prawdy, mogę się zdenerwować.
Emilio poruszył się niespokojnie.
– Gdzie pan był? – powtórzył Marcel.
– Już mówiłem. Byłem z rodziną nad morzem.
– Nie był pan nad morzem. Co więcej, w pracy pana również nie było.
Lena postukała paznokciami w blat.
– Nas pan okłamał, ale okłamał pan również żonę i syna, którzy pana kryli – ciągnął Wolski. – Gdzie pan był, kiedy pańska córka sfingowała własną śmierć, a potem zniknęła z domu?
– Dobrze, już dobrze. Wystarczy. – Emilio oblizał wargi, zahaczając językiem o gęsty wąs. – Byłem tutaj, w Łodzi.
– Gdzie?
– W hotelu.
– W którym hotelu?
– W centrum. Nie pamiętam nazwy.
– Na jakiej ulicy?
Wzruszył ramionami.
– Mieszka pan w Łodzi wystarczająco długo, żeby kojarzyć nazwy ulic – zauważył Marcel.
– Na Piotrkowskiej.
– A dokładniej?
– Mówiłem, nie pamiętam nazwy.
– Dlaczego pan kłamał?
– To pomysł mojej żony. Hanna powiedziała, że tak będzie lepiej, że nie ściągnę na siebie niepotrzebnej uwagi.
– Co to znaczy?
– Och, dobrze. – Emilio spojrzał tęsknie na kubek z kawą. Nie zaproponowano mu filiżanki, więc kontynuował: – Weszliśmy do domu, a ciała Diany nie było. Działaliśmy w silnych emocjach, moja żona zasugerowała, że lepiej będzie, jeśli powiemy, że wszyscy byliśmy nad morzem.
– A pan na to przystał?
– Nie zastanawiałem się nad tym. Proszę zrozumieć, dowiedziałem się, że moja córka nie żyje. Wróciłem do domu, a jej ciała po prostu nie było.

– Żona chciała pana chronić?

– Myślę, że tak. Później zrozumiałem, że to był głupi pomysł, ale za późno, żeby wszystko odkręcić.

– Nie było za późno – włączyła się Lena. Upiła łyk kawy i położyła ręce na blacie. – Sęk w tym, panie Pulido, że żonę również pan okłamał, ponieważ Hanna sądziła, że był pan w pracy.

– Dlaczego został pan w mieście? – zapytał Wolski.

– Ja... – Emilio poczerwieniał. – Miałem sprawę.

– Mhm, jaką?

Pulido poderwał się z krzesła. Wolski błyskawicznie zrobił to samo, odruchowo sięgając w miejsce, gdzie powinien mieć glocka. Oczywiście nie miał.

– Niech pan usiądzie – polecił.

– Dobrze, dobrze. – Hiszpan uniósł obie dłonie, siadając na miejscu. – Powiem prawdę, tylko proszę, nie mówcie mojej żonie.

– Zamieniam się w słuch.

– Mam romans.

– O.

– Dlatego powiedziałem żonie, że szef wezwał mnie do pracy. Nie jestem z tego dumny, ale taka jest prawda.

– Z kim ma pan ten romans? Imię i nazwisko poproszę.

– Nie mogę tego ujawnić, ale zapewniam, że mówię prawdę.

– Nie wierzę panu. – Lena spojrzała na zegarek. – No trudno – rzekła. – Musimy pana zatrzymać.

– Słucham? Nie, nie. Mówię prawdę, nie mam nic wspólnego ze zniknięciem ciała mojej córki.

– A ja mówię, że panu nie wierzę.

– Proszę podać personalia tej osoby – powiedział Wolski.

– Nie mogę.

– Pańska córka nie żyje. – Lena wstała. – Śledztwo zmieniło priorytet. Nie prowadzimy poszukiwań ciała, teraz szukamy mordercy.

– Chyba nie myślicie, że zabiłem własne dziecko?!

– Nie wiem, panie Pulido – odparła komisarz. – A może tak właśnie myślimy? Do tej pory nie był pan z nami szczerzy. Kłamał pan w sprawie nieobecności Diany w szkole, kłamał w sprawie wyjazdu i mam dziwne przeczucie, że teraz też nie mówi pan całej prawdy.

– Naprawdę...

Lena obeszła biurko i stanęła za Marcelem.

– Ostatnia szansa – rzuciła, tłumiąc ziewnięcie.

– Nie mogę, obiecałem.

Rudnicka kiwnęła głową i wyszła na korytarz. Zamachała ręką, a po chwili w drzwiach stanął mundurowy.

– Pójdzie pan ze mną. – Uniósł Emilia za ramię.

– Nie, proszę posłuchać, ja...

– Cisz. – Wygiął jego ręce i przytrzymując kark, wyprowadził z pomieszczenia.

Rudnicka zakręciła się wokół, złapała kubek z kawą i spojrzała na Wolskiego.

– Co? – zapytała.

– Ostro.

– Krótka. Nie mam ochoty na pogawędkę. Jeśli dotrze do niego, że pójdzie siedzieć, zacznę śpiewać, jestem pewna.

– Albo nie. Mocno oponował przed wyjawieniem nazwiska kochanki.

– Dowiem się, kim ona jest. Prędzej czy później.

– Nie wątpię.

Uśmiechnęła się, napiła się kawy i usiadła na biurku.

– Każe sprawdzić hotele – powiedziała.

– Zakładasz, że nie meldował się w żadnym z nich, prawda?

– Mhm.

– Więc gdzie był?

– Gdybym wiedziała, byłabym o krok przed nim.

Mimo to Marcel miał dziwne przeczucie, że komisarz, podobnie jak Emilio Pulido, nie mówi całej prawdy. Błysk w jej oku kazał sądzić, że wpadła na ważny trop.

Usiadł obok.

– Mam wrażenie, że śmierć Diany wywołała lawinę nowych faktów – stwierdził.

– Śmierć Diany jest faktem – sprostowała. – Rodzice do tej pory mieli nadzieję, że dziewczyna żyje.

– To straszne. Jeśli Emilio jest zamieszany w śmierć własnej córki...

Wyszedłszy na parking przed komendą, Marcel odpakował nową paczkę papierosów. Wyjął jednego i podał opakowanie Rudnickiej, jednak ona utkwiała wzrok gdzieś za jego plecami. Powędrował za jej spojrzeniem i dostrzegł w oddali znajomą sylwetkę.

Damian Lewicki, w oliwkowej koszuli i spodniach w kant, niespiesznym krokiem szedł w stronę policjantów. Spoglądał na mijane samochody, a przynajmniej tak mogło się wydawać, bo oczy ukrył za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych. Kiedy zbliżył się na odległość kilku kroków, zdjął je i schował w dłoni.

– Dobry wieczór – powiedział, siląc się na spokojny ton. Czujnie lustrował okolicę, jakby spodziewał się oddziału antyterrorystycznego, który wyskoczy zza rogu.

– No, proszę. – Rudnicka zapaliła papierosa i zaciągnęła się z lubością. – Nasz nieobecny.

– Sąsiadka przekazała, że była u mnie policja. Przepraszam, cały dzień spędziłem poza domem. Czy coś się stało?

– I postanowiłeś sam zgłosić się na dołek?

– Pomyślałem, że chcecie ze mną porozmawiać. Zadzwońlibym do pani, ale zgubiłem numer.

Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Przekrwione, podkrążone oczy; zmarszczki na czole i ręce zaczerwienione na kostkach, jakby wychowawca odbył porządny bokerski trening.

– Słyszałem o Dianie – odezwał się. – Straszna tragedia... Podobno ktoś ją zamordował, to prawda?

– Skąd pan wie? – zapytał Wolski.

– Czytałem w internecie.

No tak, wieści szybko się rozchodzą. Zawsze znajdzie się ktoś, kto doniesie mediom. Dziennikarze potrafią umiejętnie pociągnąć za język nawet najbardziej opornego rozmówcę.

– Chcieliście ze mną porozmawiać? – podjął wychowawca.

– Gdzie pan był wczoraj pomiędzy osiemnastą a dwudziestą? – Marcel nie spuszczał wzroku z Lewickiego.

– W domu.

– Jacyś świadkowie? – włączyła się Rudnicka.

– Tak, moja córka.

– Znowu?

– Dzielę się opieką z żoną.

Lena nie wyglądała na przekonaną. Alibi w postaci córki to słabe alibi.

– Powinienem państwu o czymś powiedzieć. – Lewicki skubał zębami dolną wargę, sondując reakcję rozmówców. – Zbyt długo ukrywałem pewne informacje – dodał.

– Mhm, niby jakie?

– Wiecie o moich spotkaniach z dziewczynkami, prawda?

Lena mimowolnie się skrzywiła. Dziewczynki mają osiem lat, nie szesnaście czy dziewiętnaście.

– Otóż... Spotykałem się z nimi, ponieważ... – Urwał, wzdychając ciężko. – Trudno mi o tym mówić, przepraszam.

Rudnicka nerwowo paliła papierosa, wypuszczając dym prosto w twarz wychowawcy. Lewickiemu najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało, bo nie odsunął się ani o krok. Dotknął dłonią czoła, jakby zastanawiał się nad doborem odpowiednich słów.

– Diana, Roksana i Natalia zaufały mi – powiedział. – Nie wspomniałem wcześniej o powodach, dla których zostawały ze mną po zajęciach, ponieważ bałem się nadużyć ich zaufanie. Biorąc pod uwagę, że dwie z nich nie żyją... Sytuacja się zmieniła, chociaż przyznaję, że trudno o tym mówić. Roksana wciąż żyje i nie chciałbym, żeby dowiedziała się o naszej rozmowie. Czy mogę prosić o dyskrecję?

– Co to za sprawa? – spytała Lena.

– Mogę prosić o dyskrecję? To dla mnie naprawdę ważne.

– Zobaczymy.

Lewicki spojrzął na przejeżdżający samochód. Gdy czerwony fiat minął policyjny parking, obrócił głowę w stronę Rudnickiej.

– Z wykształcenia jestem psychologiem. Nie pracuję w zawodzie, jak wiecie, ale coś tam pamiętam ze studiów.

– Chcesz powiedzieć, że dziewczyny przychodziły na poradę psychologiczną?

– Wszystkie trzy były ofiarami molestowania.

Lena zmrużyła oczy.

– Diana zaczęła przychodzić jako pierwsza – wyjaśnił. – Właściwie sam namówiłem ją do rozmowy. Na początku szło opornie, wiecie, nie każdy lubi dzielić się z innymi swoimi problemami. Potem dołączyła Natalia, a później dziewczyny sprowadziły Roksanę. Jak na ironię Roksana była w najgorszym stanie psychicznym, a jako jedyna wciąż żyje. – Odetchnął ciężko. – One potrzebowały rozmowy. Nie wiedziały, do kogo się zwrócić. To są dzieci. Wstydziły się iść na policję, do rodziców, do szkolnego psychologa. Rozmawiając ze mną, miały pewność, że nikomu nie doniosę, o czym rozmawiamy.

– Powinien pan wysłać je na policję – zauważył Marcel.

– Oczywiście. Całej trójce to sugerowałem, ale odmówiły. Sam nie mogłem złożyć zawiadomienia. Straciłbym ich zaufanie. Bałem się, że coś sobie zrobią.

– Dwie z nich już nie żyją.

– Nie mogę przestać o tym myśleć. Mam poczucie, że to moja wina. Ale proszę mi wierzyć, starałem się im pomóc. Dużo rozmawialiśmy. Sądziłem, że jestem bliski namówienia ich do złożenia zeznań. Chciałem, żeby ich koszmar się skończył, ale przecież mi zaufały. Nie mogłem ich zawieść.

– Tym sposobem doprowadziłeś do śmierci dwóch z nich – mruknęła Rudnicka. – Świetnie.

– Po śmierci Diany przyszła do mnie Roksana. Nie radziła sobie ze śmiercią koleżanki. Płakała, mówiła, że najchętniej zrobiłaby to samo. Próbowałem skontaktować się z Natalią Sztompke, ale nie odbierała ode mnie telefonów. Zresztą z nią straciłem kontakt wcześniej.

– Lewicki złożył dłonie. – Pytaliście mnie o zmianę zakończenia w przedstawieniu. Otóż to Diana zainicjowała zmianę scenariusza. Rzuciła pomysł, inne dziewczyny go zaakceptowały, więc nie miałem nic do gadania. Zgodziłem się, ale skąd miałem wiedzieć, że to był wstęp do jej samobójczej śmierci?

– Diana nie popełniła samobójstwa.

– No tak, tak.

Lena wyrzuciła niedopałek. Wersja Lewickiego zgadzała się z tym, co zastali w domu Roksany. Dziewczyna była nie tylko bita, ale i molestowana przez własnego ojca. Sęk w tym, że Diana i Natalia nie żyją, więc nie mogą potwierdzić słów wychowawcy, a Roksana do gadatliwych nie należy. Istniała możliwość, że Lewicki dowiedział się

o problemach w domu Antolaków i naprędce zmyślił bajkę o molestowaniu. Albo mówił prawdę. Jeśli tak, nasuwało się kolejne pytanie.

– Kto je molestował?

– Niestety, tego nie wiem.

– Nie pytał pan? – włączył się Marcel.

– Oczywiście, że pytałem. Dziewczyny nie chciały powiedzieć, a ja nie chciałem naciskać. Odniosłem wrażenie, że rozmowy, które prowadziliśmy, bardzo im pomagają. Stały się nieco weselsze, a Diana znalazła sobie nawet chłopaka.

– Diana zmieniła zakończenie w przedstawieniu – przypomniała Rudnicka. – Dlaczego więc z niego zrezygnowała?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że chodziło o jej chłopaka.

– To znaczy?

– Spędzała z nim dużo czasu. Potem, jak już mówiłem, zrezygnowała z kółka teatralnego, a jej miejsce zajęła Natalia.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym wcześniej?

– Roksana żyła i nie chciałem nadużyć jej zaufania.

Rudnicka nie odpowiedziała. Za plecami Lewickiego wyrosła niewielka dziewczynka, w ogrodniczkach, z dwoma blond kucykami po bokach głowy.

– Tato – powiedziała. – Nudzi mi się.

Lewicki odwrócił się i posłał w jej kierunku karcące spojrzenie.

– Mówiłem, żebyś została w samochodzie. Zaraz do ciebie przyjdę.

– Nudzi mi się. – Tupnęła nogą i skrzyżowała ramiona, wydymając usta.

– Przepraszam, to moja córka. – Kucnął naprzeciw niej, mówiąc: – Dwie minutki, dobrze? I zaraz do ciebie idę.

Dziewczynka wyglądała na obrażoną, ale posłusznie pomaszerowała w kierunku srebrnego audi. Trzasnęła drzwiami i wystawiła język.

– Jest trochę rozpieszczona – wyjaśnił.

Wolski spojrzął na dziewczynkę, która wciąż stroiła głupie miny. Rozpłaszczyła na szybie nos i zrobiła śmiesznego zęza.

– Dlaczego mnie szukaliście? – zapytał Lewicki.

Rudnicka z uśmiechem wsunęła rękę do kieszeni spodni.

– Dziękujemy, że podzielił się pan z nami informacjami – powiedziała, przybierając służbowy ton. Ruszyła w kierunku fabii, ponaglając Marcela ruchem ręki.

Wolski posłał wychowawcy przepaszające spojrzenie i dołączył do komisarzy.

Axel ścisnął w rękę nóż tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Dotknął ostrej końcówki czubkiem palca, uważając, by nie rozciąć powierzchni skóry. Spojrzał na twardą, drewnianą rękojeść. Przypomniał mu się dzień, gdy miał sześć lat. Ośmioletnia wówczas Diana bawiła się z kilkutygodniowymi kotkami. Małe, szarobure kuleczki podskakiwały wokół, czepiając się pazurami nogawek spodni. Jeden kotek, największy, szczególnie upodobał sobie sznurówki wystające z tenisówek Diany. Wpiął się pazurkami, przekręcając się na plecy, i podgryzał dyndające sznurki. To były ulubione buty siostry. Mama kupiła je Dianie na urodziny. Kosztowały sporo, ale rodzice oszczędzali każdy grosz, żeby sprawić radość ukochanej córeczce. Axel chodził w przetartych i nierzadko dziurawych adidasach po siostrze, narażając się przy tym na docinki ze strony kolegów. Adrian z piątej klasy śmiał się z niego, że nosi damskie kapciuszki, jednak Axel nie naciskał na rodziców. Pogodził się z losem młodszego dziecka. Młodszy zawsze otrzymywał ubrania po starszym rodzeństwie, powtarzała babcia. Ale tamtego dnia coś w nim pękło.

Buciki siostry zyskały kilka dodatkowych rys na czubku. Diana próbowała odpędzić się od natrętnego kociaka, ale ten mimo młodego wieku był całkiem zwinny. Wpiął się w but. Diana krzyczała, by puścić, próbowała go zrzucić. Bezskutecznie. Uniosła nogę. Kocię zawisło w powietrzu, trzymając się za sznurówki.

Potem opuściła stopę prosto na kociaka.

Zgniotła go.

Słabe, niedostatecznie wykształcone kostki popękały. Kotek miauknął, zapiszczał i zamilkł.

Diana, zadowolona z siebie, odeszła z podniesioną głową, zostawiwszy zwłoki zwierzaka na trawie. Inne kotki podeszły do niego, obwąchiwały, lizały, starając się zmusić brata, by wstał i dołączył do zabawy.

Axel pamiętał swoją wściekłość. Chwycił nóż, którym mama chwilę temu obcinała kwiaty do wazonu, i pobiegł do siostry. Był gotów zatopić ostrze w jej ciele. Zabić ją, tak jak ona zabiła bezbronny kotka.

Gdyby nie ojciec, zrobiłby to.

– Mówiłam, tato. Mówiłam, on jest szalony. – Diana schowała się za ojcem, oplatając go ramionami w pasie.

Axel spojrział na nóż trzymany w dłoni, a potem na surową twarz Emilia Pulido.

– Axel, odłóż nóż. – Zrobił krok w kierunku syna. Axel mimowolnie się cofnął, nie opuszczając ręki.

– On zamordował małego kotka! – krzyczała Diana. – Wdeptał go w ziemię. A potem powiedział, że mnie też zabije!

– Nie zabiłem kota. To ona! – Wskazał na siostrę. – Zdeptała go!

Spojrział na nóż. To był ten sam nóż, który trzymał w dłoni kilka lat temu. Ojciec nie uwierzył Axelowi. Diana znowu wygrała. Zabiła kociaka, ale karę poniósł Axel.

Zatopił ostrze w miękkiej margarynie, sięgnął po chleb i rozsmarował masło. Położył szynkę i pomidora, a potem zaniósł talerz do pokoju matki.

Hanna leżała nieruchomo na łóżku. Płakała. Jej plecy drżały. Oczy pozostały zamknięte, ale Axel wiedział, że matka nie śpi. Postawił talerz na stoliku.

– Musisz coś zjeść, mamó.

Nie odezwała się. Policzki miała mokre od łez, a dolna warga dygotała. Pogłaskał ją po głowie, jakby była małym dzieckiem. Odsunęła się.

– Mamó, zjedz coś.

– Nie chcę.

Rozpacz, jaką zobaczył w jej oczach, rozdzierała mu serce. Po wizycie policjantów, którzy zabrali ojca, matka rozsypała się na tysiąc kawałków. Axel próbował ją poskładać, ale odtrącała pomoc. Kazała mu się wynosić. Krzyczała, że chce zostać sama. Posłusznie opuścił pokój, ale teraz się nie cofnął. Siedział przy jej boku i gładził ją po włosach.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił.

– Zabrali ojca.

– Wiem, ale wszystko się wyjaśni, mamó. Obiecuję.

– Ojciec kłamał. Oszukał mnie i policję. Powinnam od razu powiedzieć, że nie był z nami nad morzem.

– Chciałaś go chronić.

– Nie udało mi się.

– Nie chciałaś źle. Wszystko się wyjaśni. Przecież ojciec jest niewinny.

– Skąd wiesz?

Axel nie odpowiedział. Był pewien, że ojciec nie ma nic wspólnego ze śmiercią Diany. To dobry człowiek. Muchy by nie skrzywdził. Ojciec zrobił Axelowi wiele przykrości, ale on jeden go rozumiał. Matka faworyzowała Dianę. Ojciec był jego najlepszym przyjacielem.

Najlepszym przyjacielem, powtórzył w myślach. A on wydał go policji.

Jak mógł?

– Sami sobie nie poradzimy – zaszlochała matka. – Bez ojca, bez Diany.

– Tacie nie postawiono żadnych zarzutów.

– Został w areszcie. – Hanna nagle podniosła się do pozycji siedzącej. – Gdyby był niewinny, wróciliby do domu.

– To pomyłka.

Pokręciła głową. Zdawało się, że jest przeświadczona o jego winie, a w Axelu narastała złość. Jak ona śmiała wątpić w uczciwość własnego męża?

Axel wstał i wyszedł z pokoju.

– Dokąd idziesz?

Nie odwrócił się. Trzasnął drzwiami, zostawiwszy matkę samą. Przed wyjściem słyszał jeszcze, jak wybuchnęła płaczem, a potem zrzuciła na podłogę talerz z kanapkami.

Wjechał na polną drogę, analizował ostatnie wydarzenia. Niesamowite, że wystarczył jeden błąd, a całe jego dotychczasowe życie runęło niczym kostki domina. Jeden klocek pchnął drugi i żadna siła nie potrafiła powstrzymać katastrofy.

A zaczęło się od niewinnej rozmowy z policjantami, gdy skłamał po raz pierwszy; potem... na samą myśl o Marzenie serce zamieniało się w coś, co przypominało zgniecioną puszkę.

Kiedy stał się mordercą, który trzyma zwłoki byłej żony w salonie? Który bije ludzi, ucieka przed policją i przetrzymuje niewinnego dziennikarza w domku pod lasem?

To się musi skończyć, myślał, ale zmęczony umysł nie podpowiadał żadnego logicznego wyjścia z sytuacji. Jeśli wypuści dziennikarza, nie uniknie konsekwencji i najprawdopodobniej trafi do więzienia. Owczarek widział zwłoki Marzeny. Nie było odwrotu. Należało pozbyć się również jego. Damian nie może iść do więzienia, nie pozwoli, żeby jego córka została sierotą.

Gdy odwoził ją do babci, zapytała, gdzie jest mama. Damiana aż ścisnęło w gardle, ale z kamienną twarzą wyjaśnił córce, że mama wyjechała w sprawach służbowych. Kłamstwo przyszło mu niespodziewanie łatwo. Naprędce zmyślił historię o wyjeździe Marzeny do ośrodka szkoleniowego i zapewnił małą, że mamusia na pewno się do niej odezwie.

Nie odezwie się, ponieważ nie żyje.

Damian przygotowywał podwaliny pod swój plan. Plan może niezbyt błyskotliwy, ocenił w duchu, ale dopóki nie wymyśli niczego innego, musi trzymać się ustalonej wcześniej wersji.

Poinformował byłą teściową, że Marzena wyjechała, a jemu powierzyła opiekę nad dzieckiem. Potem pojechał do mieszkania byłej żony pod pretekstem zabrania podręczników dla córki, a w rzeczywistości zapakował ubrania Marzeny do torby podróżnej, żeby upozorować ucieczkę. Za kilka dni zamierzał zgłosić policji jej zaginięcie. Powie, że od chwili wyjazdu nie miał z nią żadnego kontaktu; wytrzyma kilka tygodni poszukiwań, a potem wszystko wróci do normy. Wszyscy zapomną o Marzenie, a Damian będzie wiódł spokojne życie z córką.

Nie miał wyboru.

Długo rozważał wizytę na policji. Wiązała się ze sporym ryzykiem. W końcu gliniarze szukali go w mieszkaniu. Mogło to oznaczać dwie rzeczy, po pierwsze: dowiedzieli się o śmierci Marzeny – może któryś z sąsiadów zobaczył, jak Damian wynosił dywan, i doniósł na policję?, a po drugie: chcieli porozmawiać w sprawie Diany Pulido.

Na szczęście druga opcja okazała się prawdziwa. Nie aresztowali Damiana, co utwierdziło go w przekonaniu, że nic na niego nie mają. Humor mu się poprawił. Gdyby na oczach córki zakuli go w kajdanki, do końca życia by sobie nie wybaczył, że naraził ją na

taki stres. Dał policjantom coś w zamian. Sprawdzenie informacji, które przekazał, zajmie im chwilę, a on zyska czas na pozbycie się zwłok.

To, że nie zamknęli go w areszcie, miało jeszcze jeden plus – nikt nie wie o śmierci Marzeny. Najwyraźniej jej nieobecność nikogo nie zaniepokoiła i szczerze mówiąc, w ogóle się temu nie dziwił. Marzena nie należała do najmilszych osób, nigdy nie miała wiernych przyjaciółek, co w tym momencie było mu na rękę. Jej matkę też nie zdziwił nagły wyjazd córki. Marzena nie miała z nią dobrych stosunków. Prawdopodobnie utrzymywała je tylko ze względu na Basię. I na to, że babcia chętnie opiekowała się wnuczką, której matka sypiała z tabunem przypadkowych facetów.

Zmienił bieg na niższy i podjechał pod niewielką górkę, na której stał drewniany domek. Sebastian Tolis palił elektronicznego papierosa na ganku. Strużka dymu ulatywała ponad wysmarowanymi żelem włosami i znikła w powietrzu.

– Załatwiłeś? – zapytał.

Damian skinął głową i powiodł wzrokiem dookoła.

Sebastian podszedł i nieśmiałym ruchem położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie mogę się w to mieszać – rzekł.

Damian znieruchomiał. Spodziewał się, że Sebastian mocno przeżywa dzisiejsze wydarzenia. Kiedy powiedział mu o wypadku z Marzeną, ten doradził mu, by nie zgłaszał się na policję. Nie był zaskoczony, jakby śmierć byłej żony Damiana nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Damianowi przemknęło przez myśl, że Sebastian chce powiedzieć coś, co mu się nie spodoba.

– Zrozum – tłumaczył. – Ten dziennikarz – wskazał drzwi domku – to dla mnie za dużo. Nie dam rady, Damian. Nie mogę się w to mieszać.

Damian obrócił się ku niemu.

– Nie możesz? Szkoda, że nie byłeś taki sceptyczny, gdy przywaliłem mu w łeb.

– Robił nam zdjęcia.

Dziennikarz zrobił całą serię zdjęć i jeśli którekolwiek ujrzałoby światło dzienne lub trafiło do mediów, kariera Sebastiana ległaby w gruzach. Byłby skończony. Gdy spostrzegli czyjąś głowę w oknie, Damian, niewiele myśląc, ruszył za domek. Dopadłszy dziennikarza, miał ochotę go zabić, ale Sebastian w porę go powstrzymał.

– Nie mówiłem, żebyś przywiązał gościa do kaloryfera – dodał senator. – Kazałem zabrać aparat i usunąć zdjęcia. – Zmarszczył wyskubane brwi. Jego poprawiona przez chirurga twarz wyrażała obojętność, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Damiana. – Przetrzyj go w domu – ciągnął. – To wbrew prawu. Wiesz, co się stanie, jak ten przygłup poleci do swojej gazety i o wszystkim opowie? Będę skończony. A ty razem ze mną.

Damian nigdy nie uciekał się do przemocy. A dzisiaj zabił byłą żonę i skatował niewinnego człowieka. Zrobił to wszystko dla Sebastiana, tymczasem on nawet nie

podziękował. Chciał zostawić go samego. Z tym całym gównem. Marzena nie żyła, ta myśl uderzyła go jak obuchem. Zamordował matkę swojego dziecka. Zabił ją.

A to wszystko przez Sebastiana. To on zrobił z niego mordercę, a teraz zamierza uciec jak ostatni tchórz. Damian chciał go chronić, a on nawet nie podziękował. Gdy zniknęło ciało Diany, był z Sebastianem. Kochali się całą noc, ale nie mógł powiedzieć o tym żonie. Wściekłyby się. Była zagorzałą konserwatystką, skompromitowałyby go w pracy, uznała za potwora i uniemożliwiła kontakt z córką. Ale nie dlatego kłamał. Kłamał, by chronić Sebastiana. Gdyby powiedział policji prawdę, musiałyby ujawnić personalia kochanka. Wieść rozniosłaby się lotem błyskawicy. Dziennikarze zwęszyliby temat do plotek.

By chronić Sebastiana, uświadomił sobie, zabiłem własną żonę i uwięziłem dziennikarza.

Co się ze mną stało?

– Zostawisz mnie? – spytał Damian, rozkładając ręce.

– Nie mam wyjścia. Nie mogę być zamieszany w morderstwo.

– Nikogo nie zabiłeś.

– Ale ty zabiłeś! – huknął polityk. – Własną, kurwa, żonę! Co jest z tobą nie tak, do chuja?!

– Gdy mnie pieprzyłeś, jakoś ci to nie przeszkadzało.

Tamten machnął ręką. Chciałem cię tylko przelecieć, zdawał się mówić.

– Pomóż mi – jęknął Damian, podchodząc bliżej.

Sebastian cofnął się o krok.

– Pomogłem ci – odparł. – Kiedy rozbiłeś auto dziennikarza, pamiętasz? Raptem dwie godziny temu.

Wjechali volkswagenem Owczarka w drzewo i rozbili samochód. Wcześniej polali siedzenia wódką, a puste butelki rzucili na podłogę, by upozorować ucieczkę pijanego kierowcy z miejsca wypadku. Może nie był to najlepszy pomysł, ale jedyny, jaki przyszedł Damianowi do głowy. Tylko że powstał kolejny problem. To Damian prowadził samochód i wjechał nim w drzewo. To jego odciski będą w samochodzie. Sebastian stał z boku.

Sebastian był czysty.

– Nie pomogłeś – warknął. – Nic nie zrobiłeś.

– Żartujesz, Damian? Jestem zamieszany w tę sprawę tak samo jak ty.

– Nie jesteś. Zdjęć już nie ma. Nie jesteś w nic zamieszany. To ja pójdę siedzieć.

– Siedzieć? – Polityk się zaśmiał. – Daj spokój, przecież nikt się nie domyśli, że to ty. Masz dobry plan. Wszystko się uda. – Poglądził go po ramieniu. – Wszystko będzie dobrze. Musisz trzymać się planu.

– Ale ty się zmywasz, tak?

Sebastian spochmurniał. Przeszedł się po podjeździe, ciągnąc za sobą dym z elektronicznej fajki. Cukierkowa woń rozlała się w powietrzu.

– Odezwę się do ciebie jutro – obiecał, chowając papierosa. – Rano mam kilka wywiadów. Zadzwoń, jak skończę.

Sebastian będzie udzielał wywiadów, kiedy Damian będzie zakopywał zwłoki byłej żony.

– Co mam zrobić z dziennikarzem? – zapytał.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Przykułeś go do pieprzonego kaloryfera. Mówiłem, żebyś tego nie robił.

– Pomogłeś mi.

Senator uniósł wzrok ku niebu, jakby oczekiwał stamtąd pomocy. Nie doczekawszy się, przeniósł spojrzenie na kochankę.

– Do jutra, Damian.

Wsiadł do samochodu, zapiął pas i uruchomił komputer pokładowy, łącząc się z telefonem. W towarzystwie muzyki chłopaków z Coldplay powoli zjechał z górki i zniknął za zakrętem.

Damian patrzył na tuman kurzu, jaki pozostawił po sobie Sebastian. Czuł wściekłość i nieodpartą chęć, by uderzać w treningowy worek, aż pobieleją knykcie. Chciał poczuć zapach krwi lecącej z rozciętej skóry. Spojrzał na drzwi, za którymi leżał Krystian Owczarek.

Bił jak opętany. Nie mógł złapać tchu, a na skroniach pojawiły się krople potu, kapiące prosto na zakrwawioną twarz dziennikarza.

ROZDZIAŁ V

PIĄTEK, 29 CZERWCA

1

Dzień zaczęła o czwartej czterdzieści od szybkiego prysznica i porannej kawy na stacji. O piątej rano siedziała już w swoim gabinecie w towarzystwie drugiego kubka małej czarnej i prywatnego laptopa. Po raz setny oglądała film nagrany przez Dianę Pulido, próbując wyczytać z twarzy dziewczyny coś, co wskazywałoby na problemy, z jakimi tamta się borykała.

Molestowanie? Możliwe, zważywszy na sytuację Roksany. Być może dziewczyny połączyło wspólne cierpienie. Lena nie wykluczała takiej opcji, jednak wciąż trudno było jej uwierzyć, że szesnastolatka tak sprawnie sama przygotowała całą akcję. Musiała mieć pomocnika, a Lena przeczuwała, kim mógł być ten pomocnik.

Dziejdziej.

Ze względu na zbyt późną porę wczoraj nie przesłuchali chłopaka. Zrobią to dzisiaj. Kolejną sprawą była Natalia Sztompke. Jeśli Lewicki mówił prawdę, ona również doświadczyła molestowania. Wychowawca twierdził, że nie wie, kto krzywdził dziewczyny, ale Lena miała pewien trop.

Napiła się kawy. Smakowała znacznie lepiej niż lura ze stacji, ale czuła, że jeden kubek to zbyt mało, by jej umysł wrócił na właściwe tory. Kawą popiła pigułkę oksykodonu. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna odurzać się lekami. Przywrócenie umysłu do życia raczej nie współgra z oxycontinem.

Wróciła wczoraj do domu tak śpiąca, że gdyby nie siła woli, padłaby zaraz po wyjściu z samochodu, prosto na płyty loftowego parkingu. Ochroniarz musiałby ją zbierać i zapewne powiadomiłby Krzysztofa, a to nie wchodziło w grę. Nie chciała, aby ktokolwiek dowiedział się o jej upodobaniu do leków. Źle się stało, że Wolski przyszedł do niej, kiedy była w takim stanie. Krzysztof mimo wszystko charakteryzował się jedną nader cenną cechą – nie ingerował w jej życie. Nie interesowało go, co robi jego żona, gdzie jest ani nawet to, że łyka opioidowe pigułki jak cukierki na garden party. Marcel był inny

i dlatego stanowił większy problem. Był jak kret, który drąży tunel, aż nie dokopie się do prawdy. On zaczeka na odpowiedni moment do rozmowy. Cierpliwości mu nie brakowało.

Ale ona знаła wiele sposobów, by się maskować. Jednym z nich były małe dawki. Wówczas możliwe jest zachowanie równowagi pomiędzy odprężeniem, życiem bez bólu i sprawnym umysłem. Tak też miała zamiar robić. Małe dawki, w równych odstępach czasowych.

Po telefonie do Wolskiego wskoczyła do jaguara i po upływie kilku minut zaparkowała przed kamienicą przy Szóstego Sierpnia. Ulice jeszcze świeciły pustkami, ale miasto powoli budziło się do życia wraz ze słońcem, które nieśmiało wyglądało zza chmur, próbując się przebić przez kuliste obłoki. Zapowiadał się kolejny pogodny dzień.

Załomotała w drzwi, a potem nasłuchiwała dźwięków dobiegających z wnętrza kawalerki. Czekala kilka minut, zanim Marcel raczył jej otworzyć. Miał na sobie tylko dresowe spodenki sięgające do połowy uda i fryzurę w kształcie ptasiego gniazda. Poskręcane, czarne kosmyki sterczały na wszystkie strony. Na policzku odcisnęła się poduszka, a twarz miał czerwoną, zapewne z powodu panującej temperatury. Choć przez uchylone okno wpadało rześkie, poranne powietrze, w ciasnej kawalerce było duszno.

– Ubierz się – poleciła, mijając Marcela w progu. Weszła do środka i w kuchnio-sypialnio-salonie rzuciła na stół papierową torbę, a potem sięgnęła po lodowe westy leżące na blacie.

– Która godzina? – stęknął, przecierając oczy.

– Szósta.

– Nie możesz spać? – Usiadł na skraju materaca, na przemian trąc oczy i gładząc potargane włosy.

– Dziwię się, że ty możesz.

Podniósł na nią wzrok.

Rudnicka na końcu języka miała kąśliwy komentarz dotyczący zgubionej broni, ale się powstrzymała. Zaciągnęła się papierosem i podeszła do ekspresu, w którym zaparzyła dwie kawy. Jeden kubek podała Wolskiemu.

– Chciałbym zapytać o cel twojej porannej wizyty – rzekł. – Ale nie zrobię tego.

– Hm?

– Spodziewałem się odwetu.

– Za co?

– Dwukrotnie wszedłem do twojego mieszkania bez pytania.

Nie pomyślała o tym.

– Mam dla ciebie wiadomość – oznajmiła w zamian.

– Jaką? – Wstał, rozglądając się za koszulką. Otworzył szafę i pokręcił głową. Zrezygnowany usiadł przy stole.

– Mógłbyś się ubrać? Trudno zachować powagę, gadając z gołym gliną.

– Nie jestem goły.

Westchnęła.

– Rozmawiałam z Pułkownikiem i mam dwie wiadomości – rzekła. – Dobrą i złą. Od której zacząć?

– Od złej. Potem poprawię sobie humor tą dobrą.

– Ciekawe rozumowanie.

Uśmiechnął się.

– W podziemiu nie ma twojego glocka. – Usiadła po drugiej stronie stołu. – A co za tym idzie, ma go ktoś, kto nie szuka łatwego zarobku przez sprzedaż broni.

Marcel z westchnieniem opadł na oparcie.

– Która z tych wiadomości jest dobra? – spytał.

– Pierwsza – odparła. – Gdyby wpadł w ręce handlarzy bronią, mógłby już być daleko stąd. Albo gdyby się połapali, że należy do gliniarza, zażądałoby od ciebie sporo kasy.

– Której nie mam.

Wypili kawę, zjedli po dwa pączki, które Lena kupiła po drodze, i pojechali na Pomorską, gdzie Marcel miał umówioną wizytę u lekarza. Lena obserwowała nudzące się w poczekalni dzieci, które wraz z udręczonymi matkami ziewały i snuły się, przysiadając na kolorowych krzeselkach. Tylko na oko trzyletnie bliźniaki tryskały energią, rzucając pluszowymi konikami w stronę chudej jak szczapa rejestratorki.

– Urwanie głowy z tymi dwoma – westchnęła ich matka. Korpulentna kobieta z poobgryzаныmi paznokciami spojrzała na Lenę, szukając zrozumienia. Nie uzyskała go. Rudnicka kiwnęła głową z grzeczności. Nie miała w zwyczaju wdawać się w dyskusję z przypadkowymi ludźmi. Nie interesowała jej ich historia ani to, jak ciężko poradzić sobie samej z trzyletnimi bliźniakami. Kobieta jednak nie dawała za wygraną.

– Mąż mnie zostawił – kontynuowała. – Po pięciu latach małżeństwa znalazł sobie młodszą. Rozumie pani? Wszystko było w porządku i nagle bach! Wrócił z pracy, powiedział, że się zakochał. Spakował walizki i wyszedł, a mnie zostawił z trójką dzieci. – Spojrzała na swoje pociechy, dodając: – W domu został starszy synek. Ma osiem lat, pokażę pani. – Wyjęła telefon i przesunęła w stronę rozmówczynie. Lena zamiast na zdjęcie zerknęła na drzwi gabinetu lekarskiego, modląc się w duchu, by Wolski się pospieszył. Nie wiadomo, jak długo Lena da radę wysłuchiwać tych bzdur. – Dzieci to samo szczęście, ale w liczbie dwóch za jednym razem robi się kłopot – zwróciła się kobieta.

Rudnicka przewróciła oczami.

– Nie mam ich z kim zostawić. Moja matka nie żyje, a na teściową nie mogę liczyć. Są jeszcze opiekunki. Ale wie pani, jaką usłyszałam cenę? Rozbój w biały dzień, proszę pani. Żeby opłacić opiekunkę, musiałabym pracować dzień i noc, żeby na życie starczyło.

– Ojca nie mają? – zapytała.

– No, mają. Mówiłam, zostawił nas. Dzieci ciągle pytają, dokąd poszedł, a co ja mam im powiedzieć? Że wolał młodszą, ładniejszą i chudsza. Proszę pani, urodziłam trójkę dzieci, pracuję i wychowuję je sama. Nie mam czasu na malowanie paznokci, pani zobaczy. –

Wystawiła palce, które przypominały pałki do ubijania ziemniaków. – To ze stresu – dodała.

– Jeśli mają ojca, powinien płacić alimenty.

– Och, powinien. Ale nie płaci! Złamanego grosza nie dał!

– Niech pani wniesie sprawę do sądu.

Kobieta spojrzała, jakby Lena zaproponowała lot w kosmos.

– Nie mogę – odrzekła. – To ojciec moich dzieci. Nie chcę ciągać go po sądach.

– Kiedy odszedł?

– Niedawno.

– Kiedy?

– Trzy miesiące temu.

– Proszę iść do sądu, bo jeśli nie zapłacił do tej pory, to raczej w ogóle nie zamierza.

Drzwi się uchyliły. Marcel pomachał nadgarstkiem.

– Masz L4? – zapytała Rudnicka.

– A powinienem?

– Zapytaj Ostrowskiego.

– Skoro tobie odpuścił, może i mnie wybaczy.

– Chodźmy stąd, bo oszaleję.

Energicznie podniosła się z krzesła i wyszła na zewnątrz. Wzięła od Wolskiego westa.

– Ostatni raz poszłam z tobą do lekarza – oznajmiła, zaciągając się. – Koszmar.

– Ucięłaś sobie pogawędkę w poczekalni?

Zignorowała pytanie.

– O czym rozmawiałaś z Liz? – podjął Marcel po chwili.

Gdy jechali do przychodni, do Leny zadzwoniła policyjna technik. Komisarz nie zdążyła podzielić się nowościami.

– Przyszły wyniki DNA spermy z prześcieradła – odparła. – Zgadnij, do kogo należy.

Rozłożył dłonie.

– Do Dżejdzēja – obwieściła.

– To chyba nic dziwnego?

– Nie, to nic dziwnego. Kiedy matka Diany wyjechała, plemniki chłopaka odtańczyły taniec hula.

Marcel uniósł brwi.

– Dżejdzėj ma dwadzieścia lat – wyjaśniła. – Pukałby wszystko, co wpadnie mu w ręce. To przez dopaminę, dzięki niej odczuwamy przyjemność, między innymi podniecenie. Wiesz, o czym mówię? – Puściła do niego oko. – Twoje libido jest w szczytowej formie.

Zarumienił się.

Wolski odchrząknął, po czym zapalił papierosa.

– Co z tym prześcieradłem? – zapytał.

– Ach, tak. Na prześcieradle były dwa rodzaje spermy.

– Dwa rodzaje? To znaczy, że... że Diana spała z dwoma facetami?

– I tak, i nie.

Niesamowite, że dzisiejsze szesnastolatki mogą mieć bujniejsze życie seksualne niż trzydziestopięcioletnia kobieta. Lena zaciągnęła się, obracając w głowie to spostrzeżenie.

– Sperma należała do Dżejdzēja – rzekła. – I do Emilia.

– Do Emilia?

– Dokładnie tak.

– Emilio Pulido uprawiał seks z własną córką?

– Wątpię. – Odwróciła się do niego. – Raczej ją gwałcił.

Wolski znieruchomiał.

Emilio gwałcił Dianę? W takim razie decyzja o ucieczce dziewczyny zdawała się coraz bardziej logiczna. I potwierdzała się wersja Damiana Lewickiego. Diana była molestowana przez ojca, podobnie Roksana, ale co z Natalią?

Wypowiedział pytanie na głos.

– Chcę się tego dowiedzieć – odparła Lena. – Jedziemy do Roksany, a potem do rodziców Natalii. Pogadamy z matką, chociaż sądząc po naszej ostatniej rozmowie, nie dowiemy się nic nowego.

Dziewczyny się przyjaźniły. Nastolatki traktują przyjaźnie bardzo poważnie. Dziwnym trafem ufają koleżankom bardziej niż własnym rodzicom.

Diana była nastolatką, a jej kontakt z matką można określić jako dobry. Nie bardzo dobry, lecz dobry. Jak się okazało, Diana nie mówiła matce wszystkiego, i nie chodzi o potencjalną relację z ojcem, ale nie informowała jej o zwykłych przyziemnych sprawach. Hanna nie wiedziała nawet, że córka ma chłopaka.

Z tą refleksją policjanci zapukali do drzwi Roksany Antolak. Otworzyła im Izabela, w zdobionej koralikami bluzce i dżinsowych spodniach, z których wylewała się potężna fałda brzucha. Lena odnotowała, że kobieta wreszcie pozbyła się paskudnej podomki.

Zaprowadziła policjantów do dużego pokoju i zawołała córkę. Roksana zjawiała się po kilku minutach, również odmieniona. Z twarzy spłynęło zmęczenie i podenerwowanie; czarne podkoszulki zamieniły się na niebieską dopasowaną sukienkę, a paznokcie zyskały żółty lakier. Nic nie wskazywało na to, że jeszcze wczoraj dziewczyna była bita i molestowana przez własnego ojca. Rudnicka wiedziała, że to jedynie wizualna zmiana. Roksane czekała teraz najważniejsza walka – z własną psychiką.

– Znaleźliśmy ciało Diany. – Lena postanowiła nie owijać w bawełnę. Zresztą Roksana miała w domu telewizor i na pewno oglądała wieczorne wiadomości. Każdy dziennik trąbił o odnalezieniu ciała nastolatki, której szukał cały kraj.

– Wiem – odrzekła, wbijając wzrok w splecione na kolanach dłonie. Jej palce przypominały frytki z powiększonego zestawu McDonald's. Długie i tak cienkie, że złamałyby się pod naciskiem rączek małego dziecka.

To było złudne wrażenie. Roksana, mimo postury małej dziewczynki, okazała się najtwardsza z całej trójki. Wciąż żyła, co stanowiło najlepsze potwierdzenie tej tezy.

W gruncie rzeczy była bardzo ładną dziewczyną. Może miała zbyt wąskie usta i kościste policzki, które po ścięciu włosów uwydatniły się jeszcze mocniej, jednak posiadała w sobie delikatność. Ta cecha dodawała jej uroku. I wzbudzała opiekuńcze odruchy. Może dlatego, pomyślała Lena, postanowiłam jej pomóc? Wielokrotnie podczas pracy w policji spotykała się z ofiarami przemocy domowej. Nigdy nie zamieniała się w dobroduszną policjantkę. Nie naciskała na biedne kobiety, dzwoniące w środku nocy po pomoc, kiedy ich mąż wpadł w szal i tłukł, co tylko wpadło mu w ręce, włącznie z nimi. Zgłoszenia zazwyczaj kończyły się pouczeniem. Złęknione kobiety bały się złożyć zawiadomienie na swoich oprawców. Podobnie jak Izabela Antolak, a mimo wszystko Lena postanowiła zadziałać.

– Wiedziałaś, że Diana nie popełniła samobójstwa, prawda? – zapytała.

Roksana potrząsnęła głową, jakby starała się wyrzucić z niej wspomnienia związane z przyjaciółką.

– Tak – przyznała tak cicho, jakby ktoś wcisnął guzik pilota i przyciszył jej głos do minimum. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj nas, Roksano. – Marcel siedział obok Leny, czując ciepło jej ciała. Kanapa, którą zajęli, przeznaczona była dla trzech osób, mimo to Lena usiadła tak blisko, że stykali się udami. Po chwili założyła nogę na nogę, a prawą rękę zwiesiła na kolanie.

– Myślałam, że Diana ucieknie – powiedziała Roksana, a potem się rozplakała. Ocierała dłońmi oczy, powstrzymując łzy, jednak te ciekły, jakby ktoś odkręcił kurek z wodą.

– Myślałaś, że Diana ucieknie? – Lena przysunęła się bliżej. – Co to znaczy?

Dziewczyna zaszlochała.

– Pani nam pomogła, choć o to nie prosiliśmy. Jestem pani winna wyjaśnienia. – Spojrzała w okno, a jej dolna warga zadrżała. – To wszystko... Nagranie filmu, umieszczenie go w sieci... zrobiliśmy to specjalnie, żeby Diana mogła uciec.

– Uciec? Dokąd?

– Boże, jak to się wyda, to pani Pulido się załamie!

– Roksana, najwyższa pora, żebyś powiedziała prawdę. – Lena rzekła to tonem znacznie ostrzejszym, niż zamierzała. Traciła już cierpliwość, o czym świadczyły zaciśnięte wargi.

Dziewczyna nabrała tchu, jakby szykowała się do wygłoszenia co najmniej godzinnego wykładu, ale z jej ust wyskoczyły raptem trzy słowa.

– Ojciec ją molestował.

– Emilio? – spytała Lena.

– Tak... – Dziewczyna zawahała się. – Źle się wyraziłam. Ojciec ją molestował i zmuszał do seksu.

– Dlatego postanowiła upozorować własną śmierć?

– To bardziej skomplikowane. – Roksana przetarła czerwone oczy. – Diana najpierw chciała uciec. Spakować rzeczy i zniknąć z Dżejdzemem, ale wiedziała, że prędzej czy później ją znajdą. Diana była słaba – stwierdziła. – Nie chciała dłużej tak żyć, ale obawiała się o mamę. Uważała, że nie zniesie tej wiadomości. Sądziła też, że oskarży ją o kłamstwo.

– Mogła iść na policję – zauważył Marcel i ugryzł się w język. Roksana również była ofiarą własnego ojca i również nie poszła na policję. Zdał sobie sprawę, że wstyd jest największym wrogiem człowieka. Wstyd przed opinią ludzi, przed niewłaściwym osądem i strach przed konsekwencjami. To wszystko razem popchnęło nastolatkę do samobójstwa.

Roksana zignorowała sierżanta i zwróciła się do Leny.

– Diana bała się iść na policję – powiedziała. – Pan Damian też namawiał ją na złożenie zeznań, ale nie chciała.

– Wychowawca twierdzi, że podzieliliście się z nim swoimi problemami.

Kiwnęła głową.

– Tak, to prawda.

– Jak to się zaczęło? – zapytała Lena.

– Dianę znałam od dawna, ale nie byłyśmy przyjaciółkami. Widywałyśmy się w przelocie, w końcu mieszkamy niedaleko. Któregoś dnia spotkałyśmy się na przystanku. Zaczęłyśmy rozmawiać i wtedy... wtedy Diana zauważyła to. – Wystawiła nadgarstki, ozdobione mniejszymi i większymi siniakami. – Nie chciałam z nią rozmawiać, ale ona pokazała mi swoje blizny. A potem zaproponowała, żebym przyszła po zajęciach kółka teatralnego. Powiedziała, że jest tam ktoś, z kim warto porozmawiać. I można mu ufać.

– I tak poznałaś Lewickiego?

– Poszłam, ale nie od razu. Minęły dwa tygodnie, zanim pojawiłam się u pana Damiana. Tam poznałam też Natalię...

– Natalia i Diana znały się wcześniej?

– Tak, poznały się na kółku.

– Natalia też była molestowana?

Roksana dłuższą chwilę wpatrywała się w migoczący ekran telewizora. O czym rozmawiali bohaterowie tureckiego serialu, pozostawało zagadką, ponieważ głos został wyłączony.

– Nie, Natalia nie była molestowana – powiedziała Roksana.

Lena spojrzała na Marcela. Mina sierżanta kazała sądzić, że się pogubił.

– Natalia została zgwałcona – dodała dziewczyna.

– Zgwałcona? – Lena zacisnęła dłoń w pięść. – Przez kogo?

– Przez ojca Diany.

O cholera.

– Kiedyś mama Diany wyjechała w sprawach służbowych. Natalia przyszła do Diany i oglądały razem film, a wtedy przyszedł jej ojciec, był pijany i... Upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu, jak to się mówi. – Spróbowała się uśmiechnąć, ale jej usta wygięły się

w grymasie. – Podejrzewam, że w tamtym momencie Diana opowiedziała Natalii o tym, co się dzieje w jej domu. Kilka dni później pan Damian zobaczył u dziewczyn siniaki. Podczas próby do jednego przedstawienia obie musiały założyć kostiumy bez ramiączek. Resztę już znacie.

– Czekaj. – Lena uniosła dłoń. – Jak rozumiem, dziewczyny zaczęły spotykać się z Lewickim. W jakim charakterze występował? Doradcy?

– Powiernika – odparła Roksana bez namysłu. – Słuchał nas. To było dla nas bardzo ważne. Miałyśmy tylko siebie. Wstydziłyśmy się komukolwiek o tym powiedzieć. Diana bała się reakcji matki, Natalia też.

I Roksana również obawiała się powiedzieć o wszystkim matce, dodała Rudnicka w duchu.

– Co z przedstawieniem? – włączył się Wolski. – Diana zmieniła zakończenie na takie, które zamieściła w swoim filmie.

– Zrobiła to specjalnie.

– Przygotowywała się od dłuższego czasu do ucieczki?

– Na początku chciała nastraszyć ojca. Wysłać mu ten film i sprawić, żeby przestał ją dręczyć. Chciała, żeby się bał. Dlatego przygotowała film z samobójstwa.

– Nie bardzo rozumiem. – Wolski podrapał się w skroń. – Jak to się ma do zmiany scenariusza?

– Och, to proste. Diana była też nieco próżna. Zmieniła zakończenie, żeby media się tym zainteresowały. W internecie krążą filmy z konkursów teatralnych. Zakładała, że dziennikarze w końcu dokopią się do nich.

– Chciała być sławna?

– Nie – odezwała się Lena. – Chciała odwrócić uwagę dziennikarzy. I policji.

Roksana kiwnęła głową.

– Gdyby zaginęła, matka na pewno poruszyłaby niebo i ziemię, żeby ją znaleźć. Pobieglaby do telewizji i nagłośniła sprawę. A tak wszyscy szukali jej ciała, a nie żywej Diany.

– Diana zyskała czas na ucieczkę. Ale dlaczego nie uciekła?

– Nie mam pojęcia. – Roksana zmarszczyła brwi. – Coś poszło nie tak.

– Coś? To znaczy co?

– Planowała ucieczkę z Dżejdzajem. To on wszystko zorganizował. Mieli jechać do Niemiec, a potem na południe Europy.

– Dżejdzaj siedzi w areszcie.

– Wiem. Widziałam się z Dianą.

Lena zaczerpnęła powietrza, prostując się jak struna.

– Widziałaś się z Dianą? – powtórzyła.

– W poniedziałek. Zaraz po tym, jak wybuchła ta cała afera.

– I nic nie powiedziałaś?

– Obiecałam milczeć – usprawiedliwiła się Roksana. – Byłam raz przed komendą, chciałam powiedzieć prawdę, ale... nie mogłam.

Świetnie, skonstatowała Rudnicka w duchu.

– Rozmawiałaś z nią też przez telefon, prawda?

Roksana nieśmiało skinęła głową.

– W niedzielę, przed wrzuceniem filmiku do sieci – stwierdziła komisarz.

– To prawda.

– O czym rozmawiałyście?

– Diana powiedziała, że już czas.

– Gdzie Diana się ukrywała?

– Nie wiem. Naprawdę.

– Kłamiesz.

Roksana zasznurowała usta.

– Gdzie się ukrywała? – powtórzyła komisarz.

– Nie wiem, przepraszam.

Marcel kątem oka widział, że jeszcze chwila, a Lena utraci nad sobą kontrolę. Postanowił interweniować.

– A Natalia Sztompke? – zapytał, czując, jak prawa noga Rudnickiej porusza się w szybkim tempie w górę i w dół. Posłał jej uspokajające spojrzenie, ale nie poskutkowało. Położył rękę na jej udzie.

Znieruchomiła.

– Z Natalią nie miałam dobrego kontaktu – odparła Roksana. Patrzyła w okno, nie zwracając uwagi na policjantów. – Nie wiedziałam, że chciała się zabić.

– Miała za sobą jedną próbę samobójczą.

– Nieudaną. Próbowwała się zabić, zaraz po tym, jak... jak Emilio ją zgwałcił.

Dlatego Natalia mówiła matce, że nie wytrzyma dłużej z tym piętnem, pomyślał.

Zerknął na Lenę.

– Nie będziemy zajmować ci więcej czasu – rzekł. – Gdybyśmy czegoś potrzebowali, odezwiemy się, dobrze?

Roksana nie odpowiedziała.

2

Areszt śledczy przy ulicy Smutnej to największa jednostka penitencjarna w Łodzi. Trzy pawilony, w każdym cztery oddziały, setki korytarzy i ponad tysiąc osadzonych, oddzielonych od reszty świata wysokim, czterometrowym murem. I w tym wszystkim, wśród morderców, gwałcicieli i pedofili, tkwił Jerzy Jurek.

Dwudziestolatek wyglądał, jakby wpadł do betoniarki. Kilkukrotnie przemielony, zmieszany z błotem, siedział nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń ponad

głowami policjantów. Skamieniałe oczy były dowodem, że w ciągu kilku dni jego życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Mój dostawca ma kontakty – rzekł, wskazując swoje podbite oko. Opuchlizna nachodziła aż na powiekę.

Lena dowiedziała się, że Dzejdziej wsypał kilku dilerów. Sądził, że idąc na współpracę z policją i prokuraturą, zagwarantuje sobie łagodniejszy wymiar kary. Prawdopodobnie miał rację, ale odsiadka była nieunikniona. Tak samo jak nieunikniony był odwet ze strony, jak określiły media, narkotykowego gangu.

Gang narkotykowy to nie było najtrafniejsze określenie, ale media lubiły wielkie słowa. W rzeczywistości policja zamknęła kilka płotek, a szefowie całej grupy pozostawali nieuchwytni. Dobranie się im do tyłków graniczyło z cudem. Ale o tym już nikt nie wspominał.

W Polsce mimo starań policji handel i produkcja amfetaminy działały w najlepsze. Nielegalne zakłady produkcyjne wytwarzały jedną z najczystszych form narkotyku w Europie.

Zabawne, że świat zachwycał się serialem o nauczycielu chemii, który dowiedziawszy się o raku płuc, rozpoczął własną produkcję narkotyku, dorabiając się milionów na nielegalnym interesie, a tymczasem Polska miała swojego rodzimego króla kryształów, wytwarzającego narkotyk w ziemiance na wsi w okolicy Sochaczewa. Niemal osiemdziesięcioletni emerytowany chemik może nie dorobił się własnego serialu, ale trzeba przyznać, że polski Heisenberg nie spoczął na laurach. Wciąż doskonalił metodę produkcji, dochodząc do perfekcji w swoim fachu. Amfetamina z „Domku Hobbita”, jak nazywano laboratorium w ziemiance, zyskała rzesze amatorów w całym kraju.

– Prokurator żąda kary na podstawie artykułu pięćdziesiąt dziewięć – poinformował ich Dzejdziej.

Ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii. Dilerka w typie podstawowym. Od roku do dziesięciu lat.

– Zmniejszą wyrok za współpracę – zauważyła Rudnicka, rozglądając się po wnętrzu. Było zimne. I brudne. Ohydne ściany, stare krzesła i lepiący się od brudu stolik, przy którym siedzieli. Chłopak nie przeżyje tu nawet miesiąca, pomyślała. Mimo blizn na twarzy mógł spodobać się innym więźniom. Był młody i naiwny, więc czekał go marny los.

– Słyszałeś o Dianie? – zapytał Marcel.

Jerzy Jurek spojrział na policjantów, a w jego oczach błysnęła iskierka zainteresowania.

– Znalezliśmy jej ciało – poinformowała Rudnicka.

Chłopak nabrał powietrza, jakby zaraz miał zniknąć pod wodą. Nie poruszył się, ale nerwowe mruganie okiem zdradzało, że wiadomość nim wstrząsnęła.

Potem się uśmiechnął.

– To niemożliwe – orzekł. – Zaszła pomyłka.

– Znaleźliśmy ciało Diany – powtórzyła komisarz.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Nie, nie. – Dzejdziej pokręcił głową. – To niemożliwe, przecież Diana...

– Miała uciec? – Lena weszła mu w słowo. – Najwyraźniej coś poszło nie tak.

– Nie żyje? – spytał chłopak, niemal bezgłośnie. Jego spierzchnięte wargi zadrżały.

Rudnicka kiwnęła głową i założyła nogę na nogę.

– Niestety – rzuciła.

– Jak?

– Prawdopodobnie doszło do nieszczęśliwego wypadku.

– Wypadku? To jakiś żart, tak? – Dzejdziej przeniósł wzrok na Wolskiego, a potem z powrotem na Rudnicką. – Próbujecie mnie wrobić, żeby wyciągnąć informacje?

Lena wyjęła telefon, wklepała odpowiednie hasło i obróciła ekranem w stronę chłopaka. Pobladł.

Artykuł miał sugestywny tytuł: *Zaginiona Diana Pulido odnaleziona martwa w Lesie Łagiewnickim*.

– To nie żart – powiedziała. – Uwierz, że wcale nie jest mi do śmiechu.

– Boże...

– Przyczyną śmierci było uderzenie głową w kamień o ostrych krawędziach. Zmarła na miejscu.

Dzejdziej wybuchnął płaczem. Zalał się łzami niczym mały chłopczyk, któremu odmówiono ulubionej bajki. Bajka Dzejdżeja i Diany prysnęła w momencie, gdy na jego nadgarstkach zaciśnięto kajdanki. Wciąż jednak miał nadzieję, że plan Diany się powiedzie i po wyjściu z więzienia dołączy do niej i rozpoczną nowe życie.

Dzieciaki są naprawdę naiwne.

– Teraz – Lena postukała palcem w blat – musisz powiedzieć nam całą prawdę, rozumiesz?

Kiwał głową jak samochodowy piesek.

– Tak, tak, tak – obiecał. – Już mi nie zależy. Wszystko na nic. Boże, cały plan na nic!

– Właśnie. Plan. Opowiedz o nim.

Spojrzał zaskoczony.

– Rozmawialiśmy z Roksaną – wyjaśniła Rudnicka. – Wiemy o spreparowanym filmiku, planowanej ucieczce i problemach Diany.

– Wiecie o ojcu?

– Tak.

Westchnął.

– Więc co jeszcze chcecie wiedzieć?

– Plan. Interesuje mnie, jaki miała plan. I co naprawdę wydarzyło się w niedzielę.

– Nie kłamałem.

– W związku z czym?

– Z niedzielą. Byłem u Diany w niedzielę. Wyszedłem około północy.

Wtedy, gdy dziewczyna rozbroiła alarm. Już to przerabiali. Lena ponagliła chłopaka ręką.

– Diana zamierzała wrzucić film w poniedziałek rano – kontynuował chłopak. – Jej rodzice mieli wrócić we wtorek. Ale potem wszystko się sypnęło.

– Co się sypnęło?

– Kiedy wyszedłem, przyszedł Emilio... – Zawahał się. – Nie wiedzieliśmy, że został w mieście. Diana sądziła, że razem z matką i Axelem wyjechał nad morze. Emilio wszedł do domu, był pijany. Zgwałcił Dianę. Rozumiecie? Ten skurwiel znowu ją zgwałcił.

Rudnicka dłuższą chwilę siedziała w bezruchu.

To by wyjaśniało, dlaczego alarm nie został uruchomiony. Istniały dwie możliwości: Diana nie zdążyła go włączyć, ponieważ ojciec ją zaskoczył, albo ojciec sam go dezaktywował. W końcu znał kod. I wyjaśniałoby ślady spermy Emilia na prześcieradle.

Lena poczuła narastającą wściekłość.

– Co działo się potem? – zapytała.

– Diana zamierzała uciec w poniedziałek, ale po wszystkim zadzwoniła do mnie. Mówiła, że chce wrzucić film teraz i uciec. Nie miała siły dłużej czekać. Spać w tym samym łóżku. Siedzieć w tych samych ścianach... Wiedziała, że jak tylko udostępni nagranie, matka wróci do domu i rozpęta się afera. Nie myliła się.

Diana wrzuciła film o trzeciej rano, w poniedziałek. Jeśli Emilio wyszedł z domu przed trzecią, miał wystarczająco dużo czasu, by przyjechać nad morze. Pewnie nie przypuszczał, że zaraz po tym, jak przyjedzie, będzie musiał wracać.

– Diana udostępniła nagranie – mówił Dzejdzęj. – A potem po nią przyjechałem i zawiozłem na działki. Następnego dnia podrzuciłem ją do mieszkania mojej babci. Wyjechała do sanatorium, więc było wolne przez cały miesiąc. Miała tam na mnie poczekać, aż rozprowadzę towar. Potrzebowałem tygodnia, żeby wszystko opchnąć. Mam trochę oszczędności. – Uśmiechnął się. – Moja branża jest dobrze płatna. Chcieliśmy wyjechać za granicę.

– Diana przez cały czas przebywała w mieszkaniu twojej babci?

– Tak.

– Gdzie znajduje się to mieszkanie?

– Na Stokach.

Stoki to osiedle przylegające do Mileszek. Przez cały ten czas Diana była tak blisko. I jednocześnie tak daleko.

– Na jakiej ulicy? – zapytała komisarz.

Dzejdzęj bez wahania podał adres.

– Miałeś z nią kontakt, prawda?

– Tak. Spędziłem z nią noc z poniedziałku na wtorek – odparł. – Gdy zastaliście mnie na ogródkach działkowych... Wróciłem po towar. Musiałem go popakować, rozumiecie?

Potem miałem jechać rozprować trochę po mieście i wrócić do Diany.

– Ale nie wróciłeś.

– Nie. Myślę, że to zaniepokoiło Dianę. Została sama. Boże, tak się o nią martwiłem. Pewnie usłyszała o mnie w mediach... Co musiała wtedy czuć? Cholera, obiecałem jej inne życie, a teraz... – Jego oczy znowu wypełniły się łzami. Pociągnął nosem i przetarł rękawem twarz. – A teraz Diana nie żyje. Kto to zrobił? Kto mógł ją zabić?

– Jak sądzisz?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Czy Diana wspominała o spotkaniu w Lesie Łagiewnickim?

– Nie. Nic nie wiem o żadnym spotkaniu. Miała siedzieć w mieszkaniu i na mnie czekać. Zabroniłem jej nawet chodzić do sklepu, bo ktoś mógłby ją rozpoznać. A przecież została uznana za zmarłą.

– Pomogłeś jej przygotować film? – włączył się Marcel.

– Znam się trochę na komputerach. – Chłopak wzruszył ramionami.

– Powinieneś poinformować nas o wszystkim wcześniej. Może udałoby się zapobiec...

– Śmierci Diany? Naprawdę tak pan sądzi? – Dżejdzęj zmrużył oczy. Wolski poruszył się niespokojnie. Naprawdę tak sądził. Uważał, że śmierci dziewczyny można było zapobiec.

Rudnicka uniosła dłoń, wchodząc w rolę rozjemcy.

– Co z Emiliem? – zapytała. – Kiedy dowiedziałeś się, że molestuje Dianę?

– Jakiś czas temu. Nie pamiętam dokładnie. – Chłopak potrząsnął głową. – Zabijcie mnie, ale nie wiem, kiedy dokładnie się o tym dowiedziałem. Ale zaraz potem poszedłem do jej ojca. Mieliśmy... krótką rozmowę.

– Jak sądzę, raczej nieprzyjemną?

– Gdyby nie Axel, mógłbym go zabić.

Zapadła cisza, podczas której Lena usiłowała przypomnieć sobie, czy Axel wspominał o znajomości z Dżejdzęjem.

– Znałeś jej brata? – podjęła.

– Widziałem go parę razy – odparł Dżejdzęj obojętnie. – Czy znałem? Nie powiedziałbym.

– Co to znaczy?

– Mijaliśmy się kilka razy w domu Diany, kiedy jej rodziców nie było. Tyle.

Wolski uniósł brwi i spojrzał na Lenę. Między Emiliem a Dżejdzęjem doszło do spięcia. To tłumaczyłoby niechęć ojca do chłopaka córki. Wcale nie była spowodowana wyglądem ani przeszłością chłopaka. Ojciec chciał ukrócić Dianie kontakty z Jurkiem, ponieważ zwyczajnie się bał, że ten może przysporzyć mu wiele problemów.

Zarówno Roksana, jak i Diana nie chciały donieść policji na ojca. Dżejdzęj to inna historia.

– A Lewicki? – podjął Marcel. – Znasz go?

– Diana wspominała o nim. Podobno to miły facet.

– Miły facet?

– Twierdziła, że bardzo jej pomógł. Nie tylko jej.

Sprawa Diany Pulido powoli nabierała kolorów. Emilio siedział w policyjnym areszcie. Odpowie za molestowanie córki i gwałt na Natalii Sztompke, jednak w całym śledztwie pozostawała wciąż jedna nierozwiązana sprawa.

Kto spotkał się w lesie z Dianą? I kto przyczynił się do jej śmierci?

3

Nadzieja zniknęła wraz ze wschodem słońca. Nastął nowy dzień, a Krystian wciąż tkwił w tym samym miejscu – przywiązany do żeliwnego kaloryfera. Był głodny, chciało mu się pić i – co najważniejsze – potrzebował skorzystać z toalety. Żebra paliły go pod skórą, jakby ktoś posypał je gorącymi węgielkami, a nos właściwie przestał istnieć. Prawdopodobnie był złamany. Gdy poprzedniego wieczoru Lewicki wrócił do domku, przywitał Krystiana kopniakiem w twarz. Krystian na szczęście stracił przytomność, a gdy się przebudził, miał wrażenie, że ktoś dokleił mu na twarz kilka dodatkowych warstw skóry. Opuchlizna nie pozwalała otworzyć oka, a obraz przypominał poruszone zdjęcie.

Wszystko wskazywało na to, że Lewicki nie poprzestał na jednym kopniaku.

Krystian poruszył rękami. Więzy zdawały się jeszcze ciaśniejsze. Doszedł do smutnego wniosku, że nawet gdyby pojawiła się szansa ucieczki, nie starczyłoby mu sił, by dojść do drzwi.

Usłyszał jakiś ruch w pomieszczeniu za ścianą. Po chwili dołączyło do niego głośnie charknięcie i dźwięk odkręcanej butelki. Odgłos zwalnianych sprężyn w materacu, ciche szuranie butów na gumowej podeszwie.

Lewicki stanął w progu, przeciągnął się i nie patrząc na Krystiana, przeszedł do kolejnego pomieszczenia. Dźwięk talerzy, sztućców, pstryknięcie elektrycznego czajnika, zapach chińskiej zupki. Chyba pomidorowej.

Nim Krystian się obejrzał, Lewicki postawił przed nim porcelanową miszkę z obtłuczonym brzegiem. Kilka kropli zupy wylało się na podłogę, ale wychowawca nawet tam nie spojrzał. Usiadł w fotelu, na stoliku postawił swoją porcję śniadania i zamieszał łyżką przyprawę, które wysypał z foliowych saszetek.

Krystian zerknął na zupę, potem przeniósł wzrok na swojego oprawcę. Trudno mu było uwierzyć, że jeszcze dobę temu wybrzydzał, gapiąc się w menu bułgarskiej knajpy, zaś dziś rozradował go widok chemicznej zupy z proszku.

Wskazał głową na związane ręce.

– Masz mnie za idiotę? – Głos Lewickiego był zachrypnięty.

– Jak mam zjeść? – Krystian nie brzmiał lepiej. Miał wrażenie, że jego własny głos nie należy do niego.

– Możesz nie jeść.

Krystian rozważył w głowie możliwe opcje. Lewicki dał mu jedzenie, co oznaczało, że wciąż – jakkolwiek to brzmi – uważał go za człowieka. I być może chciał utrzymać go przy życiu. Krystian był głodny. Przętyk domagał się wody. Czy warto się tak poniżyć?

Warto.

Schylił się i jak pies liznął powierzchnię zupy. Wrzątek poparzył język. Gorąco buchnęło w twarz. Zakaszłał, czując pieczenie na całej twarzy. Dmuchnął, odsuwając głowę, by ulatująca para nie podrażniła otwartych ran, i upił mikroskopijny łyk, chłodząc płyn w ustach. Smakował ohydnie. Na dnie miski osadził się proszek z saszetki, zaś na gorze pływała ledwo zabarwiona woda z twardymi kluskami.

– Muszę się ciebie pozbyć – rzekł Lewicki.

Tak po prostu.

Krystian przełknął ślinę.

– Za dużo wiesz – dodał i wymownie spojrzął na zwinięty dywan. Wystająca z niego głowa kobiety przypominała kudłatego pieska, z rodzaju tych, które wzrostem nie przekraczają rozmiaru świnki morskiej.

– Nic nie powiem – wychrypiał Owczarek.

Na twarzy Lewickiego zamajaczył cyniczny uśmieszek.

– Wiesz, czasem tak w życiu bywa, że człowiek znajdzie się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. To powiedzenie idealnie pasuje w twoim przypadku.

– Nikomu nic nie powiem – powtórzył Krystian.

– Znam was, dziennikarzy. Lubicie szum. Wszędzie szukacie sensacji. Jak sądzisz, jak sprzedawałby się egzemplarz tego twojego tygodnika, z tytułem: *Nauczyciel niepełnosprawnych dzieci szalonym mordercą!* albo *Wspomnienia dziennikarza więzionego przez szalonego mordercę?* Szalony – podkreślił. – Ten przymiotnik jest bardzo ważny. Szalony morderca sprzedaje się lepiej niż zwykły morderca. Bo kim jest zwykły morderca? Ma zwykłe życie, nudną pracę, ale szalony brzmi chwytliwie. Niezrównoważony psychicznie człowiek przetrzymywał niewinnego dziennikarza w towarzystwie truchła byłej żony. – Lewicki zamieszał zupę. – Ale jest jeden problem. – Spojrzął na więźnia. – Nie jestem wariatem.

Krystian śmiał w to wątpić.

– Nie chciałem zrobić żadnej z tych rzeczy – ciągnął Lewicki. – Samo wyszło. Nie potrafię zatrzymać tej lawiny. Ale wiesz, co jest najgorsze?

Dziennikarz milczał.

– Że mam to gdzieś – wyznał. – Już mi nie zależy. Mógłbym cię zabić nawet teraz. – Pomachał małym nożykiem. – Na przykład tym.

Krystian poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Ale tego nie zrobię – dodał Lewicki. – Przynajmniej nie teraz. Muszę gdzieś was ukryć, prawda? Tak, żeby policja was nie znalazła. Nie chcę iść do więzienia, to chyba logiczne? Więc cała ta sprawa wymaga namysłu.

Lekki ton Lewickiego przyprawiał Krystiana o ciarki. Mówił o zabójstwie, jakby rozważał, w którym miejscu ogrodu posadzić kwiaty. Albo wciąż jest pijany, pomyślał dziennikarz, albo naprawdę szalony.

Krystian nie miał pojęcia, jak zginęła kobieta z dywanu, ale przypomniał sobie artykuł, który czytał kilka tygodni temu, dotyczący słynnych morderców. Wielu z nich dojrzało latami, zanim dopadło pierwszą ofiarę. Łatwowierny umysł Krystiana wciąż jednak upatrywał szansy na ocalenie. Przecież to nie mogło się tak skończyć.

Pomyślał o Joannie i o tym, że jeżeli umrze w licej chacie, zadźgany kuchennym nożem, nie będzie miał szansy się z nią pożegnać. I przeprosić. Rozstali się w złości, pośród krzyków i wzajemnych oskarżeń, lecz Krystian wciąż ją kochał. Kochał ją jak nikogo innego na świecie. Kochał jej śmiech i zapach włosów, kochał jej czarny humor oraz to, że nigdy nie nauczyła się sprzątać kubka po porannej kawie. W obliczu śmierci błahe rzeczy, którymi przejmujemy się na co dzień, stają się małymi, nic nieznaczącymi kamykami.

Chciałby wziąć Joannę w ramiona, przytulić i przeprosić. Była kobietą jego życia, ale już nigdy się o tym nie dowie.

Krystian umrze. Jeśli nie teraz, to za kilka godzin bądź dni. Nikt nie będzie go szukał. Nie ma rodziny ani dzieci, a Joanna jest na niego wściekła.

Ogarnęła go pustka. Pustka człowieka, który nie ma w życiu nic oprócz porcelanowej miski z chińską zupą.

4

Poznali się na studenckiej imprezie, w akademiku numer dziesięć przy Lumumby. Na imprezę zaprosiła ją Karolina, długonoga studentka marząca o karierze w modelingu.

Hanna wolała kameralne przyjęcia, ale tamtego dnia coś ją tknęło. Może wewnętrzny głos podpowiedział, że i ona zasługuje na trochę rozrywki. Może to los pchnął ją do założenia kwiecistej sukienki, zakupienia puszki z procentami i wizyty na trzecim piętrze akademika numer dziesięć?

Którąkolwiek wersję przyjmując, Hanna wiedziała, że gdyby nie Karolina i jej zaproszenie na studencką popijawę, nigdy nie poznałaby Emilia. Dostrzegła go siedzącego na schodach prowadzących na czwarte piętro. Pił, jakżeby inaczej, piwo w charakterystycznej żółtej puszcze. Ich oczy się spotkały, lecz Hanna nie należała do śmiałych dziewcząt, które podrywają faceta jako pierwsze. Odwzajemniła uśmiech i przez całą imprezę starała się nie okazywać zainteresowania południową urodą chłopaka.

W rzeczywistości bardzo chciała, by zagał rozmowę. Krążyła w pobliżu, posyłała mu ukradkowe spojrzenia. Emilio wydawał się równie zdezorientowany jak ona. Wyglądał, jakby ktoś posadził go na schodach za karę i kazał siedzieć w bezruchu pod groźbą śmierci. Czuł się nie na miejscu, mimo to nie zagadnął Hanny.

Zrobił to dopiero, gdy wychodziła, jakby świeże powietrze przed budynkiem dodało mu odwagi. Łamaną polszczyzną zapytał, czy miałyby ochoty wybrać się z nim na kawę.

Zgodziła się zbyt szybko i zbyt entuzjastycznie, ale zestresowany Emilio niczego nie zauważył. Tak rozpoczęła się ich wspólna przygoda. Od kawy i ciastka w lokalu przy Piotrkowskiej. Potem wspólne lekcje polskiego. Emilio mówił dobrze, lecz zdarzały mu się błędy składniowe. Był pilnym uczniem. Nie wiadomo, czy uczył się tak szybko, by sprawić przyjemność nauczycielce, czy miał językowy dryg, ale po kilku tygodniach byli w stanie porozumieć się w niemal każdej kwestii.

Ślub wzięli szybko. Nie planowali wielkiej imprezy. Hanna nigdy nie była kobietą marzącą o hucznym weselu. Dzieci pojawiły się chwilę później. Najpierw Diana, potem Axel. Wspólny kredyt, wspólny dom, wspólne życie. Piękne życie, które teraz zamieniło się w koszmar.

Hanna patrzyła na policjantów nieobecny wzrokiem. Była na lekach, o czym nie omieszkała poinformować, by wyjaśnić swój stan psychiczny i – może nawet bardziej – fizyczny. Nieumyte włosy spięła w bezładny kucyk, a na piżamowej bluzce w półksiężycy widniała plama po soku pomidorowym, który skapnął ubiegłego wieczoru.

Marcel siedział wyprostowany. Sztywne plecy, prosty kręgosłup i pustka w głowie. Co można powiedzieć kobiecie, której życie w ciągu kilku dni legło w gruzach? Samobójstwo córki okazało się mistyfikacją, potem otrzymała wiadomość o śmierci, a teraz przyszło im uświadomić Hannie, że człowiek, z którym spędziła pół życia, jest potworem.

Wolski spoglądał na Lenę. Zazwyczaj podczas śledztwa wyłączała emocje, ale zdawało się, że przy tej sprawie wymiękła nawet doświadczona komisarz.

– Cóż to za pilna sprawa? – spytała Hanna. Na kolanach trzymała tekturowe pudełko chusteczek. Wyciągała z niego jedną i chowała z powrotem.

Zapadła cisza. Zbyt długa, ocenił Marcel i zabrał głos.

– Chodzi o pani męża.

– O Emilia? – Hanna pokiwała głową, upychając chusteczkę w pudełku. – Chciałam do pani zadzwonić. – Spojrzała na Lenę. – Dlaczego Emilio nie wrócił na noc? Jest o coś oskarżony? Wczoraj przyjechali policjanci i bez słowa wyjaśnienia zabrali go na komendę.

Składający się z aspiranta Kolskiego i sierżanta Kota patrol, który dostał zadanie doprowadzenia Emilia na Sienkiewicza, przekazał, że podczas wizyty w domu państwa Pulido Hanna zachowywała się nadzwyczaj spokojnie. Widocznie zażywała bardzo silne leki.

– Czy mąż przebywał z panią nad morzem? – zapytała Rudnicka.

Tamta wybałuszyła na nią oczy. Zacisnęła wargi, namyślając się nad odpowiedzią.

– Nie – przyznała.

– Skłamała pani.

– Nie skłamałam. Nie powiedziałam, że Emilio był z nami nad morzem.

Rudnicka wróciła myślami do pierwszej rozmowy z Hanną. Nie potrafiła sobie przypomnieć szczegółów i poczuła frustrację. Czyżby coś złego działo się z jej umysłem i przeoczyła tak istotny szczegół?

Nie. To niemożliwe. Podczas wizyty w domu państwa Pulido była trzeźwa. A przynajmniej tak jej się wydawało, dopóki nie przypomniała sobie, że zanim wyszli z Krzysztofem z mieszkania, połknęła trzy tabletki oxycontin, każda po dwadzieścia miligramów.

– Dobrze – stwierdziła z wahaniem. – Co nie zmienia faktu, że zataiła pani tę informację.

– Nie sądziłam, że jest istotna.

– Jest bardzo istotna. Gdyby powiedziała nam pani wcześniej, że mąż nie przebywał z wami nad morzem, to by wiele zmieniło. – Ton, w jakim wypowiedziała słowa, był ostry. Nie planowała tego.

Hanna, zaskoczona nagłym oskarżeniem, poruszyła się nerwowo. Odstawiła pudełko z chusteczkami, ale zaraz wzięła je ponownie. Wyciągnęła jedną i wydmuchała nos.

– Pani Hanno. – Marcel nachylił się do niej. – Mąż powiedział pani, że był w pracy?

– Tak, miał kurs do Gdańska.

– Zadzwoniliśmy do firmy, w której pracuje pani mąż. Nie miał żadnego kursu.

– Co to znaczy?

– Kiedy z nim rozmawialiśmy, twierdził, że został w Łodzi. Sprawdziliśmy hotele. Emilio Pulido w żadnym się nie meldował.

– Co to znaczy? – powtórzyła.

– Pani mąż kłamał, mówiąc, że został w pracy. Kłamał również, twierdząc, że był w hotelu.

– Przepraszam, nie rozumiem. Dlaczego miałby być w hotelu? Powiedział, że szef wysłał go na kurs do Gdańska.

– Szef nie wysłał Emilia do Gdańska.

Przyswojenie tych słów zajęło Hannie kilka długich sekund.

– Kłamał? – spytała.

– Okłamał zarówno panią, jak i policję.

– W takim razie... gdzie przebywał mój mąż?

– Zrobimy wszystko, żeby się tego dowiedzieć – zapewnił Wolski.

Rudnicka zerknęła na Hannę, przypominając sobie, że ona również złożyła kobiecie pewną obietnicę. Przynajmniej, że odnajdzie ciało jej córki. Dotrzymała słowa, ale z wiadomych przyczyn nie czuła satysfakcji.

– Pani mąż kłamał nie tylko w sprawie wyjazdu – dodała komisarz.

Hanna zacisnęła palce na tekturowym pudełku. Czuła się zagrożona. W stresujących sytuacjach ludzie tworzą bariery, którymi odgradzają się od potencjalnego niebezpieczeństwa. Krzyżowanie ramion, jeśli nie jest nawykiem, jest gestem dodającym

pewności siebie i reakcją na stres. W przypadku Hanny barierę stanowiło pudełko z chusteczkami. Osłaniając się nim, dawała do zrozumienia, że odczuwa niepokój.

– Oszukał nas również w kwestii chłopaka Diany – mówiła Lena. – Spotkał Dzejdżeja co najmniej kilka razy.

– Wciąż nie rozumiem. Dlaczego Emilio miałby kłamać, że nie zna tego chłopaka?

– Nie wspomniała pani również o kilkudniowej absencji Diany w szkole.

Co zrobił specjalnie, pomyślała Lena, aby pod nieobecność domowników krzywdzić własną córkę.

– Dlaczego mi to mówicie? – zapytała Hanna. – Co sugerujecie, do cholery? Proszę, przestańcie owijać w bawełnę i wyjaśnijcie mi, o co chodzi.

Marcel nabrał powietrza w płuca. Kątem oka dostrzegł, że Lena opadła na fotel, co było czytelnym komunikatem, by on przejął inicjatywę.

– Mamy świadków, którzy twierdzą, że... – Umilkł. Spoczęły mu się dłonie. Wytrzeł je o spodnie, zbierając się w sobie. – Twierdzą, że Emilio molestował Dianę.

Hanna nie poruszyła się nawet o milimetr.

– Oraz... dopuścił się gwałtu na jej koleżance.

Wiszący na szyi Hanny kamień jak gdyby zyskał wiele dodatkowych kilogramów i pociągnął ją w dół. Zsunęła się z fotela, odrzucając głowę do tyłu. Pudełko z chusteczkami odbiło się o kant stolika i wpadło pod kanapę.

– Pani Hanno! – Marcel poderwał się, łapiąc kobietę za ramiona, jednocześnie ratując od uderzenia głową w szklany stolik. – Pani Hanno! – Przewróciła białkami i zaczerpnęła tchu, jakby nagle odcięto jej dopływ powietrza.

Mamrotała coś niewyraźnie.

– Lena, przynieś wodę – polecił.

Rudnicka przez chwilę analizowała sytuację, po czym przeszła do kuchni i napełniła kubek gazowaną cisowianką. Wolski podetknął szklanę do ust Hanny.

– Przepraszam – wybełkotała kobieta.

– Nic się nie stało, pani Hanno. – Posadził ją na kanapie. – Nic się nie stało – powtórzył.

– Ostatnio jest pani narażona na ogromny stres. Nic dziwnego, że organizm się zbuntował.

– Zakręciło mi się w głowie.

– Spokojnie. – Spojrzał wymownie na Lenę. Z ociąganiem wstała i ponownie napełniła szklanę.

– Proszę. – Marcel przejął od niej naczynie i podał Hannie. Objęła szkło dłońmi, oddychając ciężko.

– Czy to prawda? – zapytała, wbijając wzrok w podłogę.

– Mamy świadków, którzy tak twierdzą – odparł, siadając na swoim miejscu. Miał wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu wzrosła o kilka stopni.

– Mój mąż molestował Dianę?

Policjanci nie odpowiedzieli.

– Dlatego to zrobiła? – dopytywała Hanna. – Dlatego upozorowała własną śmierć? Dlatego uciekła... Boże! Czemu ze mną nie porozmawiała! Pomogłabym!

Reakcja Hanny zaskoczyła ich. Podejrzewali, że kobieta zacznie wypierać prawdę, bronić męża, ale tak się nie stało. Najwyraźniej ostatnie wydarzenia pozbawiły Hannę złudzeń.

– To prawda? Jesteście pewni?

– Jeszcze nie rozmawialiśmy z pani mężem – odparła Lena. – Najpierw chcieliśmy porozmawiać z panią. Czy mąż... – Zawahała się. – Czy mąż wykazywał ponadprzeciętne zainteresowanie córką?

Zdawała sobie sprawę, że pytanie brzmi absurdalnie, ale jak inaczej zapytać matkę i żonę, czy jej mąż gwałcił ich wspólne dziecko?

– Nie, nic nie zauważyłam.

– Jaki stosunek miała Diana do ojca?

– Axel lepiej się z nim dogadywał. Dla chłopców ojciec zwykle jest autorytetem. – Hanna mówiła spokojnie, lecz jej ciało dygotało jak na silnym wietrze.

– A w ostatnim czasie? – zapytała Rudnicka. – Jak wyglądały ich relacje?

– Jak zwykle... To znaczy... Diana przestała jadać z nami kolację. Zawsze dbałam, żebyśmy jedli wspólnie choć jeden posiłek. To zbliża rodzinę, tak słyszałam w telewizji i postanowiłam wprowadzić tę zasadę w życie. Ostatnio Diana nie przychodziła na kolację. Tłumaczyła się nawałem nauki i brakiem apetytu.

– Unikała ojca?

– Nie patrzyłam na to w ten sposób. Być może.

Hanna pociągnęła nosem.

– Wiem, że to dla pani bolesne, ale czy Emilio kiedykolwiek zachowywał się wobec Diany inaczej, niż wymagała tego relacja ojciec–córka?

– Nie! – Kobieta uniosła się. – Nigdy.

Lena zerknęła w stronę korytarza. Zdawało się jej, że usłyszała szmer. Przeniosła wzrok z powrotem na Hannę.

– Jak zachowywał się Emilio po zaginięciu Diany? – spytała.

– Był załamany. Widziałam, że mu ciężko, ale trzymał się dla mnie. Wieczorami przesiadywał przy łóżku, pomagał, zajmował się Axelem.

– Czy wychodził z domu?

– Wychodził? – Kobieta otworzyła usta. – Dokąd?

Diana ukrywała się w mieszkaniu na Stokach. Może jakimś cudem Emilio dowiedział się, co planuje córka, i złożył jej wizytę? Albo spotkał się z nią w lesie? Dopóki nie odnajdą człowieka, który przyczynił się do śmierci dziewczyny, muszą brać pod uwagę każdy scenariusz.

Poza tym fakty stawiały Emilia w kręgu głównych podejrzanych.

– Nie wychodził – dodała Hanna po namyśle. – Chyba że... Dużo spałam. Może wtedy wyszedł. Nie mam pojęcia.

Marcel spojrzał na Lenę. Jego wzrok wypowiedział nieme pytanie – czy na pewno powinni zmuszać tę kobietę do dalszej rozmowy? Rudnicka przygryzła wargę, ale Hanna odezwała się po raz kolejny.

– Sądzicie, że Emilio spotkał się z Dianą w lesie? To niemożliwe. Był ze mną. W domu.

– Czy ktoś oprócz pani może to potwierdzić? – pytała Lena.

– Może Axel? – podsunął Marcel.

– Nie, nikt. Byliśmy sami.

Rudnicka zastanowiła się, czy można ufać tej kobiecie. Istniało ryzyko, że próbuje zapewnić mężowi fałszywe alibi. Ale czy Hanna, która właśnie dowiedziała się o kłamstwach męża i molestowaniu, próbowałaby chronić Emilia? Raczej nie, uznała.

– Znajdziecie mordercę? – zapytała Hanna. – Dorwiecie potwora, który zabił moją córkę?

– Tak – odparła Rudnicka, a potem uderzyła ją pewna myśl. – Na miejscu zbrodni znaleźliśmy mnóstwo śladów. Odcisk buta, włos, ślady daktyloskopijne, naskórek spod paznokci. Wie pani, technika poszła teraz do przodu. Odnalezienie sprawcy to jedynie kwestia czasu.

Wolski spojrzał zdumiony. Pierwsze słyszał, żeby dysponowali aż taką ilością śladów.

– Boże, znajdźcie go! Ten sukinsyn musi ponieść karę!

– Znajdziemy – zapewniła Lena, wstając. – Odezwiemy się do pani.

Hanna skinęła głową. Wolski również się podniósł, powędrował wzrokiem w kierunku korytarza i zamarł.

Lena trzymała w rękach glocka, mierząc w Axela Pulido.

Chłopak stał na szeroko rozstawionych nogach, ściskając oburącz rękojeść pistoletu. Nie wiedzieć czemu lufę wycelował w Marcela.

– Axel! – Hanna zakryła dłonią usta.

– Mamo, wyjdź.

– Niech pani zostanie – poleciła Rudnicka. Nie powinna tego mówić. Zostawienie cywila na linii strzału wiązało się z niebezpieczeństwem, Lena jednak była pewna, że chłopak nie odważy się strzelić do matki.

Marcel poczuł, jak puls mu przyspiesza, koszulka klei się do pleców, a serce łomocze w piersi.

Rudnicka wyglądała na opanowaną.

– Axel, odłóż broń – powiedziała tonem łagodnej perswazji.

– Niech pani odłoży – warknął. – Bo odstrzelę tego tutaj. – Wskazał na Wolskiego, który uniósł dłonie.

– Axel, nikomu nie chcesz zrobić krzywdy, prawda? – mówiła komisarz. – Odłóż pistolet.

– Nie! Przysięgam, że go zabiję!

– Synku! – Hanna spróbowała wstać, lecz ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Opadła na kanapę.

– Mamo, nie wtrącaj się!

Axel zrobił dwa kroki w stronę Marcela. Lena nie słyszała dźwięku przeładowywania, ale nie mogła ryzykować. Musiała założyć, że dzieciak potrafi posługiwać się bronią. Może chodził z ojcem na strzelnicę albo obejrzał filmy instruktażowe w internecie. Wydawał się zdesperowany. Wystarczyłby jeden błąd, a Marcel zarobi kulkę w łeb. Z tej odległości nawet najgorszy strzelec by nie chybił. Ewentualnie moc wystrzału poruszyłaby ręką chłopaka tak, że kula trafiłaby Wolskiego w brzuch. Albo w klatkę piersiową.

Przełknęła ślinę.

– Okej – powiedziała, unosząc broń do góry. – Odkładam, widzisz? – Ostrożnie położyła pistolet na ziemi, ale nie kopnęła go w stronę chłopaka, choć tego zazwyczaj życzą sobie przestępcy na filmach sensacyjnych. Najwyraźniej ten dzieciak nie przepadał za kinem akcji, ponieważ nie wpadł na ten pomysł. Wciąż celował w Marcela.

– Axel, synku! Co robisz?! Odłóż pistolet, błagam!

Chłopak szybko zerknął na matkę.

– Nie mogę – odparł. – Oni poznali prawdę! Nie mogę! – Jego dłonie chygotały się, jakby kilogramowy pistolet ważył co najmniej trzy razy więcej.

Lena dojrzała charakterystyczny kształt rękojeści. Dobrze go znała. Przed chwilą jej dłonie trzymały dokładnie taki sam obrys.

Glock 17.

Służbowa broń Wolskiego.

– Poznamy prawdę, Axel? – zapytała. – Co masz na myśli?

– Pani dobrze wie!

Wiedziała.

– Powiedz, proszę.

– Pani już wie! Dlatego pani tu przyszła!

„Pani”. Dobry znak. Gówniarz nie wyzbył się szacunku do policji. Kilka razy zdarzyło się, że grożono jej bronią, ale wówczas nikt nie tytułował ją panią. Lecz Axel nie był przestępcą, wyzywającym policjantkę od dziwek. Był zagubionym czternastolatkiem z pryszczami na twarzy.

– Axel? – podjęła. – Nie chcesz zrobić nic głupiego, prawda? Żałujesz tego, co się stało. Nie chcesz popełnić kolejnego błędu.

– To nie tak! – krzyknął, robiąc krok w stronę Marcela. Dzieliło ich około trzech, może czterech metrów. Jeśli strzeli, Wolski zginie na miejscu.

Lena poczuła, jakby cały świat usuwał jej się spod nóg. Gdyby coś stało się Marcelowi, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

– Zabiję go – zagroził.

– Spokojnie. – Uniosła otwarte dłonie na wysokość ramion.

Axel zadrzał. Jego chudym ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Nie chciałem, żeby umarła – powiedział cicho.

– Wiem. To był wypadek.

– Nie – warknął. – Nie mogłem pozwolić, żeby ona wsadziła tatę do więzienia.

Lena milczała, czekając na więcej. Zauważyła przestraszone spojrzenie Wolskiego, ale teraz musiała skupić się na chłopaku.

– Mamo, słyszysz? – Odwrócił się. – Ona chciała, żeby tata poszedł do więzienia! Nienawidziła go!

– O czym ty mówisz, synku?

– Diana mówiła, że on robił jej... Że robił złe rzeczy.

– Chciała iść na policję? – zapytała Lena, postępując krok w stronę Axela.

Chłopak się nie zorientował.

– Tak – mówił. – Nie wierzyłem jej. I głupia suka się doigrała.

Hanna wciągnęła głośno powietrze.

– Tak! – wrzasnął. – Kusiła ojca, a potem postanowiła donieść na niego na policję! On tego nie chciał! Mówił, że się bronił, ale ona nalegała!

Rudnicka wstrzymała się od komentarza. Koncentrowała się na glocku i odległości dzielącej ją od chłopaka. Nie miała doświadczenia jako negocjator. W policji istnieje specjalna komórka negocjacyjna, lecz wezwanie jej teraz było niemożliwe. Musiała improwizować.

– Uważasz, że to, co robił ojciec, było winą Diany? – zapytała.

Kolejny krok umknął uwadze chłopaka.

– Oczywiście.

– Może masz rację.

– No pewnie, że mam. – Nachmurzył się.

– Diana była cwana, prawda?

– Oj, bardzo. Cwana suka. Myślała, że wszystkich przechytrzy.

– Miała haka na twojego ojca?

To był ryzykowny wybieg, lecz Rudnicka miała nadzieję, że słuszny.

– Tak – przyznał. Wyglądał już nieco spokojniej. Wyrównał oddech, jednak nie opuścił broni. – Miała nagranie.

Bingo.

– Jakie nagranie, Axel? – pytała Lena.

Spojrzał nieufnie. Krosty na jego twarzy poczerwieniały.

– Nic nie wiecie? – Zaśmiał się, a potem spoważniał. – Nie wysłała wam nagrań? Czyli jednak nie była taka cwana!

– Axel, wytłumacz, o jakich nagraniach mówisz?

– Nagrała ich. Siebie i tatę. Ukryła kamerę w misiu. Mam te filmy – dodał z dumą, wyjmując z kieszeni kartę pamięci.

– Skąd je masz? Diana dała ci kartę?

– Nie. Chciała, żebym przyniósł ją do lasu. Zadzwoiła do mnie.

– Kiedy?

Poruszył się. Ręce z glockiem znowu się obniżyły na wysokość klatki piersiowej. Wolski posłał Lenie błagalne spojrzenie, ale ona nie patrzyła na niego. Oddychała spokojnie jak kot szykujący się do skoku.

– Zanim umarła – odrzekł Axel.

– Dzwoniła do ciebie?

– Tak.

– Żeby się spotkać?

– Prosiła, żebym nikomu nie mówił. Powiedziała, że będzie czekała w lesie. Żeby nikt jej nie widział. Chciała zniknąć, tak mówiła.

– Co się wydarzyło w lesie? – Rudnicka zrobiła kolejny krok.

– Dzwoniła, bo zapomniała karty, kiedy uciekła. – Uśmiechnął się. – Powiedziała, że tata u niej był. Wtedy. W niedzielę. A właściwie w poniedziałek.

Słowa Dżejdzēja znalazły potwierdzenie. Zeznał, że po jego wyjściu zjawił się Emilio. To wydarzenie poruszyło lawinę tragicznych zdarzeń. Roztrzęsiona Diana zapomniała zabrać z domu karty pamięci. Jednak w dalszym ciągu jedno się nie zgadzało. Skoro Diana miała dowód w postaci nagrania, dlaczego sfingowała film z samobójstwa? Mogła przedstawić dowód policji. Nie byłoby żadnych wątpliwości. Jej koszmar by się skończył.

Axel chyba czytał jej w myślach.

– Szantażowała ojca – warknął. – Zagroziła, że jeżeli będzie jej szukał, pójdzie na policję.

– Skąd wiesz?

– Powiedziała mi. Zanim dała mi tę cholerną kartę do lasu. – Zmarszczył brwi. – Byłem w szoku. Sądziłem, że umarła, a ona nagle zadzwoniła. Myślałem, że zwariowałem.

– Co wydarzyło się w lesie? – Dwa kroki.

– Opowiedziała o swoim durnym planie. Nie mogłem na to pozwolić. Nie mogłem pozwolić, żeby pogrążyła ojca.

– Robił jej krzywdę.

– Sama tego chciała.

Lena odważyła się spojrzeć na Wolskiego. Miodowe oczy przybrały nieco ciemniejszą barwę. Ścisnęło ją za serce.

– Nie oddałeś karty? – zapytała.

– Zaczęła się szarpać... – Urwał. – Chciała mi ją zabrać, a potem...

– Zrobiłeś to niechcący.

– Nieprawda. – Chłopak wbił wzrok w Marcela. – Chodziłem za nim – dodał. – Wydawał się miły. Chciałem z nim porozmawiać o telefonie Diany, ale wystraszyłem się konsekwencji. Powinienem wcześniej powiadomić, że Diana skontaktowała się ze mną, ale było już za późno. Zaczęlibyście mnie przepytować. Gdy poszedłem za nim na miasto, ten głupek zostawił spluwę. – Pomachał głockiem. – Na kanapie, w knajpie na OFF-ie.

Marcel przełknął ślinę. Przechytrzył go czternastolatek. Gorzej być nie mogło.

– Dlaczego nie oddałeś pistoletu? – spytała Rudnicka.

– Pomyślałem, że mi się przyda.

Zmrużyła oczy.

– Chciałem zabić Dianę – dodał.

Hanna wydała z siebie cichy jęk.

– I tak każdy myślał, że umarła – mówił beztrąsko. – Co za różnica? Uratowałem tatę.

– Diana nie zamierzała upublicznić filmu – zauważyła Lena.

Następny krok.

– Ale mogła – odparł. – Mogła mieć kopię, nie?

– Skoro prosiła, żebyś jej oddał kartę pamięci, sądzę, że nie miała kopii.

Chłopak zastanowił się.

– Może. – Wzruszył ramionami. – Wolałem nie ryzykować.

– Axel! – Hanna wstała. – Chciałeś zabić własną siostrę?! – Podparła się ręką o stół.

Marcel próbował jej pomóc, lecz chłopak powstrzymał go, zbliżając się na odległość dwóch metrów.

Rudnicka wystawiła dłoń w geście sugerującym, by Hanna powstrzymała się od gwałtownych ruchów. Tamta posłuchała.

– Teraz mi już nie zależy – powiedział. – Pójdę siedzieć.

– Axel, jesteś nieletni – zauważyła Rudnicka.

– I co z tego?

– Masz czternaście lat. Nie będziesz sądzony jako dorosły.

Jeśli tak zdecyduje sąd, dodała w duchu. Podzielenie się tą informacją z Axelem nie było konieczne. Żywiła nadzieję, że skłoni chłopaka do refleksji. Jeśli sądził, że jego życie się posypało, musiała sprawić, że odnajdzie klej i poskleja je na nowo. Tylko wtedy powstrzyma go od głupoty, jaką usiłował zrobić.

I uratuje tyłek Marcelowi.

– Nieumyślne spowodowanie śmierci – ciągnęła. – Na pewno słyszałeś ten termin. W Polsce nieletni za nieumyślne spowodowanie śmierci nie trafiają do więzienia.

Axel przeniósł wzrok na Marcela i przesunął palec na spust pistoletu.

Wolski się cofnął.

– Nie. To nieprawda. Nie wierzę pani.

– Synku, opamiętaj się, błagam. – Hanna wyciągnęła do niego rękę. Axel rozluźnił ramiona, jakby szykował się do strzału.

– Hej, naprawdę ci nie zależy? – mówiła Rudnicka, stawiając następny krok naprzód. – Mnie też zabijesz? Co ci to da? Pomyśl, nasza śmierć niczego nie zmieni. Jeżeli chcesz uniknąć odpowiedzialności, powinieneś uciec.

– Uciec? – Axel wydawał się zaintrygowany.

– Pozwolę ci to zrobić, jeśli oddasz broń.

– Gówno prawda.

– Okej, więc pozwól odejść jemu. – Wskazała Marcela.

– Lena, przestań. – Wolski stęknął.

– Pozwól mu odejść – kontynuowała. – Ja zostanę. Bez broni, jak widzisz. – Zerknęła na swojego glocka. Żeby go dosięgnąć, musiałyby się odwrócić. – Zrobisz, co zechcesz. Porozmawiamy albo...

– Albo panią zabiję – przerwał.

– Istnieje takie ryzyko, aczkolwiek wolałabym tego uniknąć.

Chłopak zastanowił się nad propozycją.

– Dobra – rzucił.

– Lena, nie. – Marcel wystąpił naprzód, lecz Axel okazał się szybszy. Obrócił się tak, że teraz stał za plecami sierżanta.

– Idź – warknął. – Mamo, ty też.

Wolski nie miał pojęcia, co kombinuje Rudnicka, ale ten pomysł zdecydowanie mu się nie podobał.

– Wychodźcie – ponagliła komisarz.

Marcel przełknął ślinę. Nie chciał zostawiać jej sam na sam z tym szalonym dzieciakiem. Tym bardziej że nie miała broni. Być może była lepszym gliną od niego. Z większym doświadczeniem. Rozwiązała dziesiątki spraw. Ale wiedział też, że jej nadmierna pewność siebie i porywczy charakter mogą ją zgubić.

Skinęła na niego głową, sugerując, by się pospieszył.

– Axel. – Hanna spojrzała błagalnie. – Proszę...

– Mamo, powinnaś wyjść. – Chłopak odwrócił się w jej stronę.

Ta chwila nieuwagi wystarczyła, by Rudnicka zdążyła przesunąć stopą glocka i błyskawicznie się po niego schylić.

Gdy Axel zorientował się w sytuacji, zobaczył, że komisarz już nie stoi tam, gdzie kilka sekund wcześniej. Czuł ją za swoimi plecami.

– Dobra, główniarzu – warknęła. – Skończył się Dzień Dziecka. Żadnych gwałtownych ruchów. Chyba że chcesz wylądować na oddziale intensywnej terapii.

Kiedy Axel odwracał się do matki, jego ramiona pod wpływem ciężkiego glocka mimowolnie się opuściły na wysokość brzucha Wolskiego. Axel, czując na swoich plecach oddech komisarz, nie odważył się zmienić położenia rąk.

– Rzuć broń.

– Jest pani cwana – odparł. – Jak moja siostra. Oby nie skończyła pani tak samo jak ona.

– To mi nie grozi.

– Ale jemu tak. – Nagle uniósł ramiona, rozstawiając szerzej nogi. Sekundy dzieliły go od decyzji, by nacisnąć spust.

Lena dokładnie na to liczyła. Na moment zawahania, który da jej przewagę. Napotkała spojrzenie Wolskiego i kiwnęła głową. Zrozumiał bez słów.

Kopnęła Axela w staw kolanowy. Nogi ugięły się, a chłopak padł na kolana. Nie zdążył pociągnąć spustu, a nawet gdyby zdążył, Marcel i tak – spełniając bezgłośnie polecenie Rudnickiej – usunął się z linii strzału. Podniósł swoją broń. Dotknął lufy, jakby witał się z dawno niewidzianym przyjacielem.

Usłyszał brzęk kajdanek, które Lena zacisnęła na nadgarstkach chłopaka.

– Kurwa! – jęknął. – Złamałaś mi nogę, suko!

Już nie była „panią”.

– Co najwyżej zerwałam więzadła – odparła.

Wewnętrzna strona kolana jest mocno unerwiona. Umiejętne kopnięcie powoduje niemal natychmiastowy upadek. Rzecz w tym, by użyć tyle siły, ile wymaga obezwładnienie przeciwnika, ale nie zrobić mu krzywdy.

Sądząc po jękach, jakie wydawał Axel, nieco przesadziła.

– Pozwę cię, dziwko!

– Nie mogę się doczekać. – Ujęła go pod ramiona, lecz prawa noga chłopaka odmówiła posłuszeństwa.

Hanna przyklęknęła obok syna, głaszcząc go po włosach. Odrzucił głowę na bok.

– Wezwij patrol – poleciła Rudnicka.

Marcel spojrzał na nią, a potem na chłopaka, który jęczał niczym ranny pies. Miał związane ręce i unieruchomione kolano. Raczej nie ucieknie, pomyślał Wolski i pociągnął Lenę na korytarz.

– Moja broń – powiedział.

– No? Co z nią? Była przeładowana? – Zerknęła kontrolnie w kierunku salonu. Hanna wciąż siedziała przy synu.

– Tak.

– Więc cieszymy się, że wszystko się dobrze skończyło. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Znalazłeś broń i mamy sprawcę.

– Niezupełnie.

Dopiero teraz spostrzegła, że dłonie Marcela dygocą, jakby stali na lodowcu Arktyki, a nie w nagrzanym od słońca wiatrołapie.

– Jak to załatwimy? – spytał.

Przygryzła dolną wargę.

– Coś wymyślę – odparła.

– Powinienem powiedzieć prawdę.

– Ani mi się waż – zabroniła. – Coś wymyślę.

Ruszyła do salonu, lecz zastąpił jej drogę.

Spojrzała na niego.

– Ani Hanna, ani Axel nie chcą problemów, prawda? – Uśmiechnęła się i omijając go, przeszła do salonu.

Marcel wiedział, co oznaczał ten uśmiech. Kłamstwo. Lena sądziła, że Hanna skłamała, by chronić syna, a Axel nie pogrążył sam siebie, co w praktyce oznaczało, że przed chwilą nikt nikomu nie groził bronią. A Marcel wcale nie zgubił służbowego glocka.

Nie pomyliła się. Oboje przystali na jej propozycję.

5

Oficjalne przesłuchanie Axela Pulido zostało przesunięte w czasie. Podczas gdy Rudnicka wraz z Wolskim wieźli chłopaka na Sienkiewicza, do Leny zadzwonił znajomy z drogówki z informacją, że na drodze dojazdowej w okolicy wsi Karpin znaleziono rozbitą samochód. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale po sprawdzeniu numerów okazało się, że samochód był zarejestrowany na Krystiana Owczarka.

Na miejsce przyjechał również dziennikarz z lokalnej gazety, który powiadomił kolegów po fachu. Wieść szybko się rozniosła i dotarła do Oliviera Majera, czyli kolegi Krystiana Owczarka, a jednocześnie szefa działu kryminalnego, w którym publikował Owczarek.

Dotarcie na miejsce zajęło policjantom jakieś czterdzieści minut – nie udało się ominąć korków przy wyjeździe z miasta – więc gdy Lena zaparkowała jaguara na leśnej drodze, technicy właśnie skończyli pracę.

Olivier Majer, wysoki brunet o szarych oczach i orlim nosie, od razu podbiegł do Rudnickiej, twierdząc, że ma do przekazania ważne informacje. Jakże? – zapytała, lecz dziennikarz był dziwnie pobudzony. Kręcił ostrzyżoną na krótko głowę, mruczając coś pod nosem. Przywodził na myśl wychudzonego żołnierza piechoty. I tak też się nosił – ubrany w koszulkę khaki i militarne bojówki, a na jego szyi dyndały dwa nieśmiertelniki na koralikowym łańcuszku.

– Nie tutaj – oświadczył. – To poufne. Czuję, że to grubsza sprawa.

Rudnicka popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Grubsza sprawa? Sytuacja wyglądała na standardową ucieczkę z miejsca wypadku. Najwyraźniej Owczarek nie stronił od procentów, upił się, rozbił samochód i prysnął, aby uniknąć konsekwencji.

Majer nie dał się zbyć.

– Za pół godziny będę czekał przy sklepie – powiedział. – Tym przy straży, wie pani gdzie?

Wiedziała. Gdy jechali na miejsce, mijali budynek z czerwonej cegły, nad którym wisiał zielony szyld sklepu spożywczego. Chyba jedyne w okolicy.

Zgodziła się na spotkanie.

Wieś Karpin przynależała do rejonu numer jeden, czyli komendy Widzew Wschód. Rudnicka i Wolski służyli w komendzie miejskiej, nie było więc powodu, by zostali wzywani na miejsce wypadku. Lena nie omieszkała o tym poinformować.

– Nie po to dorobiłam się stopnia komisarza, żeby jeździć do rozbitych wozów – rzuciła z irytacją.

Starszy aspirant Tomaszewski, niski i przysadzisty mężczyzna, wyjął coś z kieszeni i bez słowa podał Rudnickiej.

Wzięła do ręki foliową torebkę z kartonikiem w środku. Dopiero gdy go odwróciła, zorientowała się, że to jej wizytówka. Matowy papier, średniej grubości – wystarczającej, by wizytówka wyglądała elegancko i nie gniotła się przy każdej okazji, lecz nie na tyle sztywny, by kojarzyła się z majątymi prawnikami lub korpodyrektorami.

– Skąd to masz? – zapytała.

Tomaszewski wyduł usta, urażony protekcyjnym tonem.

– Było w samochodzie – odparł.

– Moja wizytówka była w samochodzie Owczarka?

– Tak.

Nie przypominała sobie, by dawała ją dziennikarzowi. Co prawda jej numer miało wiele osób, ale na pewno nie dawała go Owczarkowi. Kiedy spotkali się przed komendą, Owczarek znał jej imię i nazwisko i wiedział, kim jest. Pewnie dostał numer Leny od któregoś z kolegów po fachu. Wraz z wizytówką.

– No dobrze – odezwała się. – Znaleźliście moją wizytówkę. I co z tego?

– Ten facet, który tu się kręcił...

– Ten dziennikarzyna?

– Aha. – Tomaszewski kiwnął głową. – Mówił, że zajmowaliście się wspólną sprawą.

– Kto? Ja i Owczarek?

– Mhm.

– Bujda. Widziałam się z nim dwa razy. Próbował wydębić informacje o śledztwie.

– Pisał artykuł na temat zaginionej Diany Pulido – wyjaśnił Marcel.

– Ten dziennikarz sugerował, żebyśmy skontaktowali się z tobą i powiadomili o samochodzie.

Lena uniosła brwi. Wolski zapalił papierosa i jej podał.

– Od kiedy – zaciągnęła się – jakiś pismak mówi policjantom, co mają robić?

– Twierdził, że wypadek ma związek z waszym śledztwem.

– Jaki związek?

– Nie wiem.

Nie widziała związku. A może nie chciała widzieć? Zapaliła się do przesłuchania Emilia i Axela Pulido, chciała rozwiązać sprawę. Czyżby przegapiła coś istotnego? Może właśnie o tym chciał porozmawiać Majer?

– No dobra – rzekła. – Co z samochodem?

– Wygląda na standardowy wypadek – odparł Tomaszewski. – Auto uderzyło w drzewo. Rozbity przód, lekko pęknięta szyba.

– Ale?

– Chodźcie. – Poprowadził ich do volkswagena bory. – Spójrzcie, nie ma śladów hamowania.

– Są za to ślady cofania – zauważyła Rudnicka, wypuszczając dym.

– Dokładnie. – Aspirant spojrział z uznaniem. – Na pierwszy rzut oka wszystko sugeruje, że pijany kierowca zjechał na pobocze i uderzył w drzewo. W środku znaleźliśmy pustą butelkę po wódce. Była odkręcona. Ślady alkoholu są na siedzeniach, więc wódka wylała się podczas jazdy lub w momencie uderzenia albo...

– Albo ktoś rozlał ją specjalnie – dokończyła komisarz i wyrzuciła na wpół wypalonego papierosa. Zajrzała do wnętrza wozu. Zapach przywodził na myśl wizytę w najgorszej spelunie w trakcie rutynowych interwencji. Tam unosiła się podobna woń zwietrzałej wódki. – Zbyt intensywna woń – zawyrokowała.

– Co masz na myśli? – zapytał Wolski.

– Jeżeli Owczarek pił w samochodzie lub podczas jazdy i był tak nawalony, że uderzył w drzewo, sądzę, że musiał trochę tej wódki upić. A tu śmierdzi, jakby ktoś wylał nie tylko pół litra czystej, ale na dodatek podlał siedzenia zero siódmką.

– Brawo, pani detektyw. – Tomaszewski wskazał na technika, obok jego nóg leżała zabezpieczona butelka soplicy. Pojemność zero siedem. – Znaleźliśmy ją metr od samochodu – dodał.

– Okej, ale to nie oznacza, że nie wyrzucił jej Owczarek – zauważył Marcel.

– Nie oznacza. – Lena przygryzła wargę. Chociaż przyznała mu rację, Marcel wiedział, że komisarz zwęszyła trop. Pionowa zmarszczka na czole wskazywała, że wcześniejszy sceptycyzm wobec wizyty na miejscu wypadku uleciał gdzieś daleko.

– Ślady cofania. – Wskazała na wybrzuszenie w ziemi o wysokości nie więcej niż dwóch centymetrów. – To w tym miejscu zatrzymały się tylne koła, obróciły się o trzysta sześćdziesiąt stopni i ruszyły naprzód. Co to znaczy, sierżancie? – Spojrzała na Wolskiego.

– Czyli... – Marcel się zawahał.

– Czyli ktoś kilkakrotnie wrzucał wsteczny.

Wolski spojrział na odbite w ziemi ślady i przeniósł wzrok na Lenę.

– Ktoś kilkakrotnie uderzał w drzewo? – zapytał.

– Tak sądzę.

– Może Owczarek był tak pijany, że pomylił biegi?

– Jesteś kierowcą. – Odwróciła się do niego. – Nawet najbardziej nawalony kierowca, który przywalił w drzewo, wie, że przywalił w drzewo. Dlaczego miałyby uderzać w nie ponownie?

– Owczarek wrzucił wsteczny, chciał wycofać, potem wrzucił jedynekę, ale trafił w pień.

– Ale nie obracał kierownicą. Jak chciał wycofać?

- Skąd wiesz?
- Ponieważ na ziemi są tylko równoległe ślady. Nie skręcał opon.
- Był pijany.
- Nawet pijani wiedzą, że kierownica się obraca.

Na to Marcel nie miał odpowiedzi.

– Owczarek uderzał samochodem, żeby go rozbić? – zapytał. – To próbujesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że ten, kto siedział na fotelu kierowcy, chciał rozbić samochód.

– Okej, czyli uważasz, że to nie był Owczarek?

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś. Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie.

Posłała mu coś na kształt uśmiechu.

– Jest jeszcze coś, co powinniście wiedzieć – odezwał się Tomaszewski. – Sądzę, że kierowca bora wysiadł i odjechał innym samochodem.

– Skąd ten wniosek? – Lena skrzyżowała ramiona.

– Ta droga nie jest uczęszczana – wyjaśnił. – Nie wiemy, od kiedy stoi tu rozbity samochód, ale po nim na drogę wjechało inne auto. – Wskazał na drogę. Była to zwykła leśna ścieżka z pasem zieleni pośrodku. – Gdzieniegdzie jest porośnięta trawą, ale w głównej mierze składa się z suchej ziemi. Bieżnik opon volkswagena odbił się dość wyraźnie, ale w niektórych miejscach przykrył go inny wzór. Wzór bieżnika volkswagena jest w tę stronę. – Zrobił ruch ręką. – Ślady kończą się w tym miejscu.

– Tamten samochód nie pojechał dalej niż rozbita bora?

– Właśnie.

Coś tu nie grało.

– O ile dobrze zrozumiałem – wtrącił Marcel – zakładacie, że wjechały tutaj dwa samochody. Volkswagen bora i jeszcze jeden. Ktoś, być może Owczarek, rozbił boreę i odjechał innym samochodem?

– Może ktoś go zmusił, żeby rozbił samochód? – podsunął Tomaszewski. – Jechał za nim, kazał upozorować wypadek i zapakował do swojego samochodu?

– Może – mruknęła Lena.

– To by się zgadzało – powiedział Tomaszewski. – Zanim przyjechaliście, tamten dziennikarz mówił, że Owczarek nie przyszedł dziś do pracy. Może ktoś go przetrzymuje?

Rudnicka powiodła wzrokiem dokoła.

– Macie odciski? – zapytała.

– Owszem. Technik zebrał ślady z kierownicy i butelki wódki.

Olivier Majer czekał w umówionym miejscu, paląc jednego papierosa po drugim.

Lena zjechała z głównej drogi i wjechała w zatoczkę, gdzie znajdował się budynek sklepu. Nie przypominał typowego wiejskiego sklepiku, z wystawionymi na zewnątrz warzywami i miłą panią za ladą. Sprawiał raczej przygnębiające wrażenie.

Rudnicka zatrzymała jaguara tak, by nie zastawiać wyjazdu sprzed sklepu. Nie zdążyła wysiąść, kiedy Majer dopadł drzwi. Otworzył je i uniósł ręce.

– Dobrze, że pani jest! – zawołał. – Bałem się, że mnie pani wystawiła.

– Obiecałam, że będę, więc jestem – odparła.

– Coś pani pokażę.

Wyjął telefon, przejechał palcem po ekranie i podał go Lenie.

– „Mam bombę na jedynekę. To będzie hit. Zadzwoń wieczorem” – odczytała. – Co to jest?

– SMS od Krystiana.

– No kurwa, przecież widzę, że nie od Krzysztofa Ibisza. Po co mi to pokazujesz?

– Nie rozumie pani? Chodzi o to, że...

– Wiem, o co chodzi.

Spojrzał zdezorientowany. Lena dostrzegła, że białka jego oczu otaczają niewielkie czerwone żyłki, a źrenice są powiększone. Teraz zrozumiała, że podekscytowanie Majera nie wynika jedynie z faktu odnalezienia samochodu kolegi z pracy.

Był naćpany.

– I co z tym zrobimy? – zapytał.

Rudnicka wymieniła spojrzenia z Marcelem.

– Twój kolega napisał, że ma bombę na pierwszą stronę – podsumowała. – Uważasz, że dowiedział się czegoś i... i co?

– Bombę! Rozumiecie?

– Nie – odrzekł Wolski. Wyciągnął z samochodu butelkę wody, upił łyk i podał Lenie. Choć upał nie był tak intensywny, jak w ciągu ostatnich dni, temperatura wciąż nie spadała poniżej trzydziestu stopni. Było zdecydowanie gorąco.

– Coś się stało – oświadczył Olivier. – Z Krystianem.

– Okej. – Rudnicka zakręciła butelkę i wrzuciła ją na tylne siedzenie. – Martwisz się o kumpla. Spoko. Zacznijmy od początku. Dlaczego myślisz, że coś się z nim stało? Rozbił samochód, w środku znaleźliśmy morze wódki, więc może Owczarek popił, rozwalił auto i uciekł?

Mogła powiedzieć Majerowi o śladach opon i wstępnej teorii, do jakiej doszli, ale nie chciała. Uznała, że najpierw wysłucha, co ma do powiedzenia, a potem zdecyduje, czy warto włączyć go do sprawy.

– Nie chcę, żeby to głupio zabrzmiało, ale Owczarek nigdy nie jeździł po alkoholu – powiedział Majer.

– To żaden argument.

– To mocny argument – zaoponował. – Nie jeździ po alkoholu, rozumie pani?

Nie rozumiała. To, że ktoś nigdy nie wsiadł za kółko po drinku, nie oznaczało, że nie mógł zrobić tego po raz pierwszy. I przy okazji rozbić samochód.

– Siedzieliśmy kiedyś u znajomych – zaczął Olivier. – Sześć osób. Krystian jako jedyny przyjechał samochodem. Nocował, więc mógł się napić. Wypił parę piw, a pech chciał, że nasza koleżanka Ilona zaczęła rodzić. Była w ósmym miesiącu ciąży, mówiłem to już? – Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, więc kontynuował: – Krystian przyjechał samochodem. Jako jedyny. I nie odwiózł jej do szpitala. Cholera, nawet gdyby złapali go gliniarze, pewnie by mu darowali. Przecież Ilona rodziła. Ale nie. On się uparł. Mówił, że skoro pił, nie pojedzie. Teraz pani rozumie?

– Nie – ucięła. – To świadczy jedynie o tym, że Owczarek wykazał się odpowiedzialnością. Gdyby coś się stało, naraziłby tę waszą koleżankę i jej nienarodzone dziecko.

– Okej, mam coś jeszcze.

– Słucham.

– Krystian nie pił wódki.

Westchnęła.

– Mówię poważnie – dodał. – Piwo, wino, whisky, owszem. Wódki nie tykał.

– Założmy, że ci wierzę. Powiedz, do czego prowadzi ta dyskusja?

– Do tego, że Krystian nie jechał tym samochodem.

Rudnicka pokiwała głową. Dziennikarz może przyćpał, ale wciąż wysnuwał odpowiednie wnioski. Spodobał jej się.

– Mów dalej – ponagliła.

– Dostałem SMS-a o siedemnastej pięćdziesiąt. Odczytałem wiadomość godzinę później, ponieważ byłem na basenie. Oddzwoniłem od razu, chcąc dowiedzieć się, co to za bomba, o której pisał, ale Owczarek nie odebrał.

– Może był zajęty?

– Nie przyszedł dziś do pracy.

– Coś mu wypadło?

– Od dziesięciu lat nic mu nie wypadło. Nigdy nawet się nie spóźnił.

Okej, przyznała w duchu, to dziwne, lecz nie na tyle, by podejrzewać porwanie.

– Domyślasz się, co to za bomba? – zapytała.

– Krystian pracował nad tematem waszej niedoszłej samobójczyni, a dokładniej: zajął się wychowawcą z domu kultury, Lewińskim czy jak mu tam...

– Lewickim.

– Tak. – Kiwnął głową. – Myślę, że on coś mu zrobił.

– Coś? To znaczy co?

– Owczarek do czegoś się dokopał, do czegoś, czego nie powinien wiedzieć. Tak sądzę.

– I co? Wychowawca upozorował wypadek? Rozmawiałam z nim wczoraj.

– O czym? – Majer ożywił się jak typowy dziennikarz, który zwietrzył świeży temat.

- O śledztwie.
- Coś więcej?
- Wybacz, ale nie będę wtajemniczać cię w szczegóły śledztwa.
- Rozumiem. – Zamyślił się. – A o której godzinie się pani z nim widziała?
- Około dwudziestej. Był z córką.

Majer krążył wokół samochodu. Co kilka sekund zerkał na Lenę, jakby chciał upewnić się, że nie jest wytworem jego wyobraźni.

- Dzwoniłeś do rodziny Owczarka? – spytała.
- Krystian nie ma rodziny. Rodzice zginęli w wypadku, rodzeństwa brak. Parę dni temu zerwał z dziewczyną. Właściwie z narzeczoną.
- Dlaczego się rozstali?
- Nie wiem.
- Może pojechał do niej? Jak ona się nazywa?
- Joanna. Nie pamiętam nazwiska. Sprawdźcie na Facebooku. Na profilu Krystiana są ich wspólne zdjęcia. Joanna jest tam oznaczona.

Skoro zerwała z nim narzeczoną, miał powód, żeby się napić. I popełniać głupstwa. Mimo wszystko Lena postanowiła porozmawiać z tą całą Joanną. Choć do rewelacji Majera podchodziła sceptycznie, musiała przyznać, że było w tej sprawie coś dziwnego. Jeżeli Owczarek wpadł na trop „bomby” i jeśli Lewicki miał z tym coś wspólnego, postanowiła jeszcze raz przyjrzeć się wychowawcy.

6

I co? – Rudnicka skręciła w Narutowicza. Dochodziła piętnasta, więc najprawdopodobniej uda im się umknąć przed popołudniowymi korkami. Odcinek od biblioteki uniwersyteckiej do skrzyżowania z Kopcińskiego to jedno z łódzkich wąskich gardeł.

- Joanna Skorupka.
- Skorupka?
- Skorupka – powtórzył Wolski, podnosząc wzrok znad telefonu. – Lat trzydzieści dwa, ukończyła pediatrię, pracuje w zawodzie. Poglądy polityczne: raczej lewica niż prawica, znak zodiaku: Byk, lubi czytać książki, ostatnio odwiedzała Bistro Bar na Piotrkowskiej, status związku: wolna.
- Ładna?
- Nie wiem. – Spojrzał na zdjęcie profilowe. Kasztanowe włosy, piwne oczy, przyjazny uśmiech pani doktor rozdającej dzieciakom naklejki „Dzielny pacjent”.
- Pokaż. – Wyciągnęła rękę.
- Prowadzisz.
- Chciałabym prowadzić. Na razie nie było mi dane wrzucić dwójki. Podał jej telefon. Lena przejrzała kilka zdjęć.

- Ładna – oceniła. – Zobacz to w lekarskim kitlu.
- Przypomina moją ciocię Bogusię.
- Dlaczego?
- Też była lekarzem.
- Pediatrą?
- Nie, ginekologiem.

Rudnicka wreszcie wrzuciła drugi bieg. Kierowca czerwonego passata jadącego przed nimi nie zdążył przed zmianą świateł. Znowu stanęli.

– Dlaczego była? – zapytała.

– Umarła. Była alkoholizką.

– Gdybym codziennie oglądała, jak dziesiątki kobiet rozkładają przede mną nogi, pewnie też bym tak skończyła.

Marcel schował komórkę, uśmiechając się pod nosem.

– Ja nie miałbym nic przeciwko temu – bąknął.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Sprawdzamy ją? – zapytał.

– Już ją sprawdziliśmy – odparła. – Facebook wie więcej niż policyjna baza danych. Poza tym laska jest lekarzem, raczej nie ma bogatej kartoteki.

– Miałem na myśli, czy złożymy jej wizytę.

– Owszem.

Ale najpierw załatwimy przesłuchanie Emilia i Axela, pomyślała, to priorytet, a dopiero później zajmiemy się sprawą Owczarka.

Rudnicka zaparkowała przed komendą. Gdy wyszła na upalne powietrze, zdjęła gumkę z nadgarstka i związała włosy w kok na czubku głowy. Kilka kosmyków wysunęło się i opadło luźno wokół twarzy.

Zapaliwszy papierosa, przedstawiła Wolskiemu plan na najbliższe godziny, kiedy nagle jej twarz stężała, jakby ktoś wylał na nią garść szybkoschnącego cementu. Marcel dostrzegł, że spięła wszystkie mięśnie, wyprostowała plecy, a palce lewej dłoni mimowolnie zacisnęła w pięść.

– Cześć, kochanie.

Prokurator prezentował się – jak zawsze – nieskazitelnie: jasnoniebieski garnitur, kosztujący pewnie tyle, ile wynosiła miesięczna pensja Wolskiego, oraz cienki wiśniowy krawat.

Uśmiechnął się, całując żonę w policzek.

– Co tu robisz? – spytał.

– Pracuję.

Znowu się uśmiechnął.

– A ty? – zapytała Lena.

– Dostałem telefon, że macie sprawcę.

- Mhm, Axela Pulido.
- Dzieciak ma z piętnaście lat.
- Czternaście.
- To straszne – westchnął. – Taki młody, a już nabruździł sobie w życiu.

Wcale tak nie uważał, Lena była o tym przekonana. Krzysztofa nie obchodził los innych ludzi. Nawet dzieci. Nie interesowało go, czy prowadzi sprawę zabójstwa bezdomnego, czy szesnastoletniej dziewczyny.

– Nie wiedziałem, że palisz. – Krzysztof spojrział najpierw na żonę, potem na Marcela, jakby sierżant siłą wepchnął Rudnickiej papierosa w palce.

Wyrzuciła niedopałek.

– Chodźmy – powiedziała. – Mamy dużo pracy.

Wolski ruszył przodem, zachowując od małżonków stosowną odległość. Słyszał, jak Nawrocki zaprasza Lenę na kolację do francuskiej restauracji. Odmówiła, wkręcając się nawałem obowiązków, chociaż wcale nie mieli ich aż tak dużo. Marcel zdał sobie sprawę, że odmowa Rudnickiej poprawiła mu nastrój. Wcześniej zaproponowała Marcelowi, by po przesłuchaniu poszli coś zjeść. Mężowi powiedziała, że przed chwilą jadła, chociaż dziesięć minut temu jęczała, że umiera z głodu.

Dotarli na właściwe piętro. Stanęli przed drzwiami, szerokimi i solidnymi, przez które przejść mogli tylko funkcjonariusze posiadający uprawnienia. Rudnicka przyłożyła identyfikator, a system zwolnił zamek, żeby wpuścić ich do środka.

Przeszli korytarzem. W powietrzu unosił się zapach przefiltrowanego przez klimatyzator letniego wiatru zmieszanego z charakterystyczną wonią nowych mebli.

Emilio siedział w pokoju przesłuchań. Grube, krótkie palce splótł na blacie. Funkcjonariusz, który go pilnował, zrezygnował z przypięcia rąk Emilia do belki na środku stołu, a szkoda, pomyślał Marcel, bo kajdanki mocno wpijają się w skórę, nierzadko ścierając ją do krwi. Wolski najchętniej podszedłby do Hiszpana i sam wymierzył mu sprawiedliwość. Może nie był mistrzem sztuk walki – właściwie nawet nigdy się nie bił, nie licząc dzieciństwa, kiedy wielką frajdę sprawiały mu zapasy ze starszymi kuzynami – ale wściekłość na Emilia była tak wielka, że sprąbłby go na kwaśne jabłko i starł z twarzy cyniczny uśmiezek.

Nawrocki nie wszedł do środka. Nie zajmował się postępowaniem przeciwko Emiliowi, ale zeznania ojca Axela mogły mieć związek ze śledztwem w sprawie śmierci Diany Pulido. Dlatego postanowił przysłuchiwać się rozmowie zza szyby.

Marcel odniósł wrażenie, że oboje – zarówno on, jak i Lena – nie czują się swobodnie w obecności Krzysztofa. Roztaczał wokół siebie aurę wyższości. Zdawało się, że prokurator ma przewagę na wszystkich frontach i zmiotłby Marcela jednym pstryknięciem palca. W towarzystwie męża Lena była spięta. Nie odzywała się i nerwowo pocierała bliznę przy obojczyku. Kilkanaście minut temu miała dobry humor, wynikający zapewne

z tego, że zbliżali się do końca śledztwa w sprawie Diany, ale teraz jej nastrój zmienił się diametralnie.

Usiadła naprzeciwko Emilia i sprawnym ruchem odsunęła krzesło, zwiększając odległość pomiędzy nią a Marcelem.

Milczała. Wolski uznał, że powinien przejąć inicjatywę, i zastanowił się, jak zacząć rozmowę z człowiekiem, który molestował własną córkę, ale to Lena odezwała się pierwsza.

– Postaram się, żebyś zgnił w pierdłu.

Emilio uniósł głowę. Wąs nad górną wargą poruszył się kilka razy.

– O co chodzi? – zapytał.

– Niewłaściwe pytanie – warknęła. – Powinieneś spytać: co na mnie macie? Ułatwię ci sprawę i od razu odpowiem. – Nachyliła się. – Wystarczająco dużo, żeby cię posadzić.

– Przepraszam, ale macie obowiązek przedstawić powód mojego zatrzymania oraz tego, dlaczego kazaliście mi spędzić noc w tym paskudnym miejscu.

Lena opadła na oparcie i założyła nogę na nogę. Nie miała nic więcej do dodania.

– Zatrzymaliśmy pańskiego syna – odezwał się Wolski.

Emilio znowu poruszył wąsem.

– Przyznał się, że doprowadził do śmierci Diany – dodał.

– Słucham? W jaki sposób?

– Spotkał się z nią w lesie. Wywiązała się kłótnia, on ją popchnął i uderzył głową w kamień.

– Mój syn wiedział, że Diana żyje?

– Wiedział również o pana relacji z córką.

Hiszpan wciągnął ze świstem powietrze. Wymamrotał pod nosem kilka hiszpańskich przekleństw i ściągnął ręce z blatu, by schować je pod stołem. Żyła na jego krótkiej szyi pulsowała w górę i w dół. Serce pompowało krew zdecydowanie za szybko. Twarz Emilia nabrała koloru purpury.

– Nie ma pan nic do powiedzenia? – zapytał Wolski.

– Czy Axel pójdzie do więzienia?

– Sąd o tym zdecyduje.

– Och – wyrwało mu się. – A co z moją żoną? Jak ona się czuje?

– Przebywa z Axelem w szpitalu.

– W szpitalu?

– Axel miał mały wypadek.

Marcel dostrzegł, że Rudnicka uśmiechnęła się.

– Coś poważnego? – pytał Pulido.

– Nie – uciął. – Przejdźmy do drugiej kwestii, o której chcemy z panem porozmawiać. Mianowicie do pana... kontaktów z córką.

– Bardzo kocham moją żonę, choć pewnie w tym momencie mnie nienawidzi.

– Wybaczy pan, ale jakoś się jej nie dziwię.

– To nie tak, panie władzo.

Panie władzo.

– Więc jak?

– Żałuję tego, co zrobiłem mojej córce – powiedział Emilio.

– Nie tylko jej.

– Ma pani rację. – Spojrzał na Lenę. – Powinienem zgnić w więzieniu.

Nie odpowiedziała.

– Proszę powiedzieć, gdzie przebywał pan w ubiegłym tygodniu między piątkiem a poniedziałkiem? – zapytał Wolski.

– Byłem w hotelu.

– Nie było pana w hotelu. Proszę powiedzieć prawdę.

– Byłem w hotelu – powtórzył.

– Sprawdziliśmy to.

Emilio umilkł. Na jego czole pojawiło się kilka dodatkowych zmarszczek. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że zweryfikowanie jego alibi jest prostsze niż ułożenie wieży z klocków Lego. Może gdyby Hiszpan nieco bardziej się wysilił, wpadłby na coś bardziej wiarygodnego.

Odchrząknął.

– Nie mogę powiedzieć – odrzekł.

– Nie może pan? – Marcel uniósł brwi.

– Nie mogę.

– Nie musi pan. Wiemy, że w niedzielę złożył pan wizytę córce. To nam wystarczy.

Spojrzał na Emilia. Wbrew temu, co mówił, nie wyglądał, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia. Wolski odniósł wrażenie, że przez twarz Emilia przemknął cień uśmiechu. Może był dumny z tego, co robił? Uśmiech szybko zniknął, a Hiszpan znowu wszedł w rolę zatroskanego ojca. Był dobrym aktorem. Przez całe śledztwo mydlił policjantom oczy.

Marcel poczuł, jak narasta w nim złość.

– Nie chciałem tego – odezwał się Pulido. – Usiłowałem się powstrzymać, ale nie mogłem. To było silniejsze ode mnie.

Wolski zacisnął dłoń w pięść.

– Nie mogłeś? – warknął.

– Chciałbym przeprosić Dianę.

– Przeprosić? – Marcel wstał. – Za późno. Diana nie żyje. Przez ciebie. – Obszedł stół i zajrzał Hiszpanowi w oczy. – Miała szesnaście lat. Była dzieckiem.

– Marcel – upomniała go Lena.

– Słyszysz? Była dzieckiem! Wstydziła się iść po pomoc, bała się powiedzieć matce. Nie chciała rozbijać rodziny tylko dlatego, że Hanna, jak na ironię, bardzo cię kochała!

Skazałeś tę biedną dziewczynę na śmierć. – Zbliżył się do Emilia. – Wykorzystałeś jej bezradność. – Marcel chwycił go za materiał przepoconej koszulki i szarpnął.

– Marcel! – Rudnicka poderwała się i złapała Wolskiego za ramię.

– Teraz mówisz, że nie mogłeś się powstrzymać? – Odepchnął Emilia, który odbił się plecami o oparcie krzesła i upadł na podłogę.

Wolski dyszał jak pitbull szykujący się do walki. Spojrzał na Lenę, zdumiony własną reakcją, i cofnął się.

– Wyjdź – rozkazała.

Wolski nie posłuchał.

Wyprowadziła go za drzwi. Nawrockiego już nie było.

– Odwaliło ci? – Popchnęła Wolskiego na ścianę.

Minął ją i zatoczył kilka kółek, ściskając w dłoni paczkę westów.

– Przepraszam – bąknął.

– Przepraszam? Kurwa, co się z tobą dzieje?

W jej głosie usłyszał dziwną nutę. Zmarszczył brwi i zerknął za szybę. Emilio podniósł się i usiadł na krześle.

– Przepraszam – powtórzył.

– Mnie nie musisz przepraszać. Mam gdzieś, czy mu przywalisz, ale tutaj mógł stać każdy. Na przykład kapuś, który już poleciał do starego z rewelacją, że synalek komendanta znęca się nad świadkiem. Z twoim ojcem mam wystarczająco dużo problemów. Nie wiedzieć czemu ojczulek uważa, że jestem odpowiedzialna za każde twoje przewinienie na tej pieprzonej komendzie.

– Mój ojciec uważa, że jesteś odpowiedzialna za każde moje przewinienie? – powtórzył.

Parsknęła, kręcąc głową.

– Nie zmieniaj tematu – poleciła.

– Odpowiedz.

Spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na zamknięte drzwi, jakby oczekiwała, że zaraz ktoś wejdzie i wybawi ją od odpowiedzi.

– Wtedy rozmawiałaś z ojcem o mnie, prawda? – drążył.

– Kiedy?

– Kiedy wychodziliśmy z komendy. Ojciec zatrzymał cię, ponieważ chciał zamienić z tobą słowo.

– Może.

– Chciał, żebyś mnie pilnowała?

– Nie.

Teraz zrozumiał. Puzzle jeden po drugim wskakiwały na swoje miejsce.

– Chciał, żebyś mnie odsunęła – stwierdził. – Dlatego po śledztwie w sprawie Klemensa Chmielnego traktowałaś mnie jak powietrze. Z tego samego powodu próbowałaś wykluczyć mnie z dochodzenia w sprawie Diany i zleciłaś wypełnianie głupich raportów.

Rozchyliła usta, lecz Marcel nie dał jej dojść do słowa.

– Nie zaprzeczaj – zastrzegł. – Znam mojego ojca i wiem, do czego jest zdolny. – Potarł nerwowo czoło. – Mogłaś mi powiedzieć. Spróbowałbym z nim porozmawiać. A ja przez cały ten czas myślałem, że masz mnie w dupie.

– Twój ojciec miał rację.

– Rację? Z czym? Z tym, żeby nie narażać mnie na problemy? Jestem dorosły, do cholery. A on wciąż sądzi, że mam dziewiętnaście lat i sieczkę w głowie.

– Z tą sieczką może mieć trochę racji.

– Och, daj spokój! Dobrze wiem, że po akcji z postrzeleniem pokojówki najchętniej usadziłby mnie za biurkiem. Mimo że sam namawiał mnie do pracy w kryminalnym.

– Nie każdy nadaje się do tej roboty.

– Uważasz, że się nie nadaję? Bo nie wyzbyłem się empatii? Bo ruszają mnie takie rzeczy jak molestowanie nastolatek?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale pomyślałaś.

– Nieprawda.

Prychnął.

– Nie wierzę, że go posłuchałaś – mruknął.

– A może w ogóle nie musiałam go słuchać?

Nie dopuszczał do siebie takiej możliwości. Lena starała się wyjść z tego z twarzą. Prawdą jednak było, że jeśli Andrzej Wolski czegoś chciał, zawsze to dostawał. Zażądał od Rudnickiej, by odsunęła od siebie Marcela, więc to zrobiła, ale tym razem ojciec nie wygrał.

Kolejny puzzle do układanki. Dlatego Rudnicka oponowała przed zgłoszeniem zagubienia broni przez Marcela. Nie bała się, że go wywalą. Martwiła się o siebie.

Jednak w głębi duszy odezwał się głos, który mówił, że to nie do końca prawda.

Do pokoju wszedł Nawrocki. Jego wzrok powędrował w stronę Emilia, a potem zatrzymał się na Lenie.

– Skończyliście? – zapytał.

– Sierżant Wolski skończył – odparła. – Ja jadę do Axela, do szpitala.

Marcel zacisnął pięści. Wyprzedził małżonków i puścił się korytarzem, wyciągając po drodze westa. Gdy wyszedł na parking, zapalił papierosa. Obserwował, jak Nawrocki otwiera Lenie drzwi do swojego audi, obchodzi samochód i siada za kierownicą.

W tym momencie zalała go fala wściekłości. Wyrzucił niedopałek, wskoczył po schodach i pchnął drzwi gabinetu ojca.

Andrzej Wolski podniósł głowę i wystawił otwartą dłoń, przyciskając telefon do ucha.

– Wyjdz – powiedział niemal bezgłośnie.

Marcel nie zareagował. Zaciskał palce, aż pobielały mu knykcie.

– Oddzwonię później – rzucił komendant do słuchawki, jednak rozmówca nie zrozumiał przekazu, ponieważ mówił jeszcze przez dobre dwie minuty, podczas których Marcel krążył po pokoju, przemierzając odcinek pomiędzy drzwiami a oknem.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – huknął starszy Wolski. Odłożył komórkę na blat, tuż obok ich rodzinnego zdjęcia. Marcel miał na nim piętnaście lat, pryszcze na twarzy i włosy przypominające żołnierski hełm. Ogarnął go wstyd, kiedy zdał sobie sprawę, że Rudnicka wielokrotnie siadała na fotelu przed dębowym biurkiem ojca i patrzyła na tę fotografię. Nic dziwnego, że uważa mnie za półgłówka, pomyślał. Patrząc na siebie sprzed dwunastu lat, miał wrażenie, że chłopak ze zdjęcia, z tym durnym uśmiechem na twarzy, naprawdę jest opóźniony w rozwoju.

– Słucham? – Ojciec ściągnął z nosa okulary i potarł łysy placek pośrodku głowy.

– Co powiedziałaś Lenie?!

– Uważaj, chłopcze.

Marcel zaśmiał się ponuro.

– Kazałaś jej odsunąć mnie od śledztwa!

– Skąd wiesz?

– Nieważne.

– Powiedziała ci?

– Wiesz, że nigdy by tego nie zrobiła.

– Ja wiem – odparł. – Dziwi mnie, że ty to wiesz. Nie sądziłem, że znacie się aż tak dobrze.

Marcel poczerwieniał. Nigdy nie odzywał się do ojca takim tonem. Cenił go i podziwiał. Zapewne Marcel nie osiągnie nawet połowy tego co on, ale emocje odebrały mu zdolność racjonalnego myślenia.

– Usiłowałaś odsunąć mnie od śledztwa?

– Zrobiłem to dla twojego dobra.

– Dla mojego dobra? Dla mojego dobra niszczysz mi karierę?

– Robię to, co uważam za stosowne. A karierę zniszczysz sobie sam, pracując z Rudnicką.

– Bzdury.

– Synku. – Andrzej Wolski splótł palce, oparł dłonie na biurku i spojrzał karcącym wzrokiem. Marcel znał to spojrzenie. Nie wróżyło nic dobrego. – Usiądź – polecił.

– Postoję.

– Przestań zachowywać się jak rozkapryszony nastolatek i siadaj.

Usiadł.

Komendant westchnął, nałożył okulary i ponownie je zdjął.

– Rudnicka jest dobrą policjantką – rzekł. – Zresztą znasz moje zdanie na jej temat. Cenię ją. Jest świetnym gliną.

– Więc dlaczego nie pozwalasz mi z nią pracować? – wszedł ojcu w słowo. – Sam chciałeś, żebym przeniósł się z Warszawy do Łodzi i z nią pracował. Mówiłeś, że wiele się od niej nauczę, a teraz robisz wszystko, żeby mnie znienawidziła.

– Słucham? Kto naopowiadał ci takich bzdur?

– Przez miesiące traktowała mnie gorzej niż worek śmieci.

– Widzisz. – Potarł podbródek. – Ona właśnie taka jest.

– Jaka?

– Widziałem, jak bardzo zaangażowałeś się w tamto śledztwo. Wiązałeś z Leną duże nadzieje, ale kiedy rozwiązaliście sprawę, przestałeś być jej potrzebny.

– To nieprawda.

– Prawda, synu. Wyłączyłem cię z jej zespołu, ale nie zakazałem kontaktów z tobą. Marcel, za kogo ty mnie masz? Pracujecie w jednym budynku, to normalne, że będziecie się widywać. W żadnym wypadku nie chciałem, żeby cię znienawidziła.

– Nie, tato. Nigdy nie byłem Lenie potrzebny. Mogła mnie olać, ale mimo to pracowała ze mną.

– Ponieważ jej kazałem.

Marcel zdawał sobie sprawę, że Rudnicka nie była zachwycona nakazem współpracy z synem komendanta, ale teraz poczuł się, jakby dostał w twarz.

– Widzisz, synu. – Ojciec nachylił się, ściskając w dłoni okulary. – Po akcji, podczas której użyłeś broni i ściągnąłeś na nas kontrolę z Biura Spraw Wewnętrznych, zrozumiałem, że mój pomysł był zły. Rudnicka ma dar ściągnięcia na siebie kłopotów. Czasem nie działa racjonalnie i szczerze mówiąc, wciąż zdumiewa mnie, że uchodzi z życiem. Być może tam na górze ktoś nad nią czuwa albo ma wyjątkowe szczęście. Wiem, co mówię. Znam ją dłużej niż ty. Poznałem ją, kiedy miała dwadzieścia lat i zaczynała od interwencji na Piotrkowskiej, gdzie rozdzielala naprutyh studentów bijących się pod klubem. W ogóle się nie zmieniła. Jest popędliwa i nie widzi niczego oprócz czubka własnego nosa. Zastanawiałeś się, dlaczego zaszła tak daleko? Ma dopiero trzydzieści pięć lat, stopień komisarza i zna ją całe województwo. Ponieważ Rudnicka nie ogląda się na nikogo, rozumiesz? Inni mogliby dla niej nie istnieć. I tu właśnie leży problem, synu. Praca z nią stanowi dla ciebie zagrożenie. Boję się, że jej impulsywność i chęć rozwiązania sprawy przyćmi troskę o partnera. Lena nie dba o nikogo, oprócz siebie.

– To nie jest prawda. Nie znasz jej.

– Marcel, na Boga, a jak długo ty ją znasz? Kilka miesięcy? Opowiem ci coś. – Nałożył okulary. – Przydzieliłem jej kiedyś partnera. Nazywał się Janicki. Pracowali nad sprawą morderstwa i wplątali się w porachunki gangów. Stara sprawa. Podczas jednej z akcji rozpętała się strzelanina. Hubert został ranny. Postrzelił go jeden z goryli Pułkownika...

Marcel drgnął.

– Wiesz, synu, jak doszło do tego, że Hubert jest teraz przykuty do wózka? – ciągnął ojciec. – Lena nie wykonała dokładnego rozpoznania. Chciała rozwiązać sprawę. Tylko na

tym jej zależało. Nie sprawdziła terenu. Puściła Huberta na ślepo i rozpoczęła się jatka. Hubert został postrzelony w rdzeń kręgowy. Paskudna sprawa.

Marcel nie wierzył w ani jedno słowo ojca. Nie wierzył, że Lena mogłaby narazić czyjeś życie. Nie ona. Gdy stali w salonie, w domu Pulido, a Axel mierzył do niego z pistoletu, Rudnicka robiła wszystko, by chłopak się opamiętał. Widział w jej oczach troskę. Kiedy potem jej dziękował, zbyła go, ale Marcel miał poczucie, że Lena zrobiłaby wszystko, aby go uratować. Przyszło mu wówczas do głowy, że byłaby gotowa osłonić go własnym ciałem.

Nie, Lena nigdy nie naraziłaby partnera. Nikogo nie naraziłaby na niebezpieczeństwo, pomyślał, a potem przypomniał sobie sytuację sprzed dziewięciu miesięcy, kiedy Lena zlekceważyła procedury i sama wybrała się na akcję, podczas której zginęła nastoletnia dziewczynka.

– Rudnicka jest bardzo ładna – rzekł ojciec. – Być może to odbiera ci instynkt samozachowawczy.

– Tato, nie o to chodzi...

– Ona ma męża.

– Wiem.

– Ale czasem zapominasz, prawda?

Marcel zacisnął usta.

– Nie w tym rzecz – powiedział.

– Jest od ciebie znacznie starsza. Nie powinieneś zaprzętać sobie nią głowy.

Ojciec miał rację, ale było już za późno.

7

Minęli okrągłą fontannę na dziedzińcu, kiedy Krzysztof nagle przystanął. Potoczył wzrokiem dokoła. Większość okien w szpitalu była otwarta na oścież. W niektórych siedzieli pacjenci w szlafrokach. Jeden z parapetów zajmowała chuda dziewczyna w wieku około dwudziestu lat, w kolorowej chustce na głowie i maseczce na ustach.

Krzysztof odwrócił głowę, patrząc na Lenę.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać – powiedział.

– O czym? – Lena uniosła głowę. Lekko posiwiałe skronie męża lśniły w słońcu, jakby wysmarował je nabłyszczającym żelem.

– Wiesz, o czym – odparł. – Nie miałem okazji cię przeprosić.

– Nie masz za co przeproszać.

– Mam.

Nie chciała ciągnąć tej rozmowy. Ruszyła do przodu, lecz Krzysztof przytrzymał ją za ramię.

– Przepraszam, Lenka. To już nigdy się nie powtórzy.

– Okej.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Ona wiedziała. Jaboulet Pierre Aiguille Gigondas. Rocznik 2013. Ponad stówka za butelkę. Co było zaskakujące, bo Krzysztof nie pijał trunków poniżej dwustu złotych.

– Nie mam nic do tego chłopaka – mówił, jakby chciał przekonać sam siebie. – Wiem, że nic cię z nim nie łączy.

– Bo nie łączy.

– Wiem. Przepraszam, strasznie się wygłupiłem.

Delikatnie powiedziane.

– Jak zobaczyłem twój samochód przed jego kamienicą... Sama rozumiesz...

– Nie, nie rozumiem jednej rzeczy. – Spojrzała mu w oczy. – Nie rozumiem tego, że mnie śledziłeś.

Westchnął. Spojrzał na przechodzące małżeństwo z dziecięcym wózkiem. Malec kwękał, chcąc się wydostać, jednak ojciec pchał wózek przed siebie, nie zważając na protesty.

– Nie śledziłem cię – odparł. – Pojechałem za tobą.

– To jest śledzenie.

– Byłem na parkingu, kiedy przyjechałaś. Rozmawiałaś przez telefon, a potem odjechałaś, jakby się paliło, więc ruszyłem za tobą.

– Mogłeś zadzwonić i zapytać.

– Byłem zły.

– Pamiętam, jak bardzo. – Jej słowa przeszyły powietrze i zawisły nad ich głowami. Krzysztof zerknął na brzuch Leny. Pod materiałem bluzki skrywała siniaki i ranę po spotkaniu ze szkłem.

Przełknął ślinę.

– Lena? – Uniósł dłoń i przesunął wierzchem po jej policzku. Odwrócił głowę, by spojrzeć na małżeństwo z wózkiem. – Chcieliśmy rozpocząć nowy rozdział. Nie udało nam się. Chyba wiem dlaczego.

Zmrużyła oczy.

– Mijamy się – mówił. – Dlatego dochodzi między nami do spięć. W ogóle ze sobą nie rozmawiamy. Myślałem, że wyjazd nad morze coś zmieni, ale twoja praca jak zwykle stanęła nam na przeszkodzie.

Lena miała ochotę zapalić papierosa. Szkoda, że nie ma tutaj Wolskiego z paczką westów, pomyślała.

– Chciałbym mieć z tobą dziecko – oznajmił Krzysztof.

Poczuła się, jakby dostała czymś ciężkim w głowę.

– Zwariowałaś? – zapytała. – O czym ty mówisz?

– Dziecko nas połączy. Mamy gorszy okres, ale to się zmieni, gwarantuję. Jesteśmy sześć lat po ślubie, nie ma na co czekać.

Dziecko. Podczas sześciu lat związku rozmawiali o dziecku tylko raz i oboje mieli w tym temacie podobne zdanie – nie nadawali się na rodziców. Oboje stawiali na karierę, a posiadanie potomstwa oddali tym, którzy mieli do tego powołanie. Dziecko oznaczałoby dla Leny katastrofę. Zarówno zawodową, jak i prywatną. Krzysztof mógł ją krzywdzić, ale nie mogła pozwolić, by to samo robił dziecku.

– Krzysztof, nie sypiamy ze sobą – powiedziała.

Ściągnął brwi. Stąpiła po grząskim gruncie. Spodziewała się ofensywy, ale twarz Krzysztofa nagle złagodniała. Uśmiechnął się i ujął jej twarz w dłonie. Musnął wargami usta. Delikatnie, jakby bał się, że Lena zaraz go odepchnie. Nie zrobiła tego.

– Wszystko się zmieni – rzekł, błędząc kciukiem po jej policzku.

– Co masz na myśli?

Odsunął się.

– Umówiłem się na wizytę do lekarza.

Zamarła.

– Niedługo wszystko wróci do normy – dodał. – Stworzymy prawdziwą rodzinę.

Nie wierzyła własnym uszom. Dlaczego akurat teraz?, zdziwiła się, a potem z tym pytaniem zwróciła się do Krzysztofa.

– Ta sytuacja trwa zbyt długo, Lena – zapewnił. – Musimy poszukać pomocy. Sami nie damy sobie z tym rady.

– Porozmawiamy w domu – powiedziała, unikając wzroku męża. – Chodźmy przesłuchać Axela.

Pokonali ciąg schodów i korytarzy. Izolatki, w której umieszczono Axela Pulido, pilnował umundurowany policjant, z wiszącym brzuchem i nogami grubymi jak kłody. Skinął głową i ustąpił miejsca, by wpuścić Lenę i Krzysztofa do sali. Według lekarzy staw skokowy Axela wymagał co najmniej kilkutygodniowej rehabilitacji, ale na Rudnickiej widok jęczącego z bólu chłopaka nie zrobił wrażenia.

Hanna Pulido – blada jak ściana, w umorusanej bluzce – spojrzała na Lenę z wyrzutem. Zapewne gdyby nie to, że Axel groził policjantom bronią, z pewnością złożyłaby w prokuraturze doniesienie o napaści na jej syna.

Rudnicka oparła się plecami o parapet.

– Jak noga? – zapytała.

– Spierdalaj! – odburknął chłopak, układając usta w coś na kształt ironicznego uśmiechu.

Krzysztof stanął po drugiej stronie niewielkiego pokoju. Poprawił wiśniowy krawat i wsunął dłonie w kieszenie spodni.

Hanna zabrała torebkę i skierowała się do drzwi, lecz głos Nawrockiego zatrzymał ją w pół kroku.

– Może pani zostać.

Zawahała się, zerknęła na syna i przysiadła na krześle. Paznokciami skubała materiał torebki, którą trzymała na kolanach.

– Teraz opowiesz nam wszystko od początku – powiedziała Lena, zwracając się do Axela.

– Nie mam nic do dodania.

– Owszem, masz.

Przytrzymała spojrzenie chłopaka znacznie dłużej, niż wymagała tego sytuacja, odepchnęła się od parapetu i przysiadła na krześle obok łóżka.

Axel zgrywał pokrzywdzonego, ale był w tej roli mało przekonujący, sprawiał raczej wrażenie, jakby rozpierała go duma. Chyba nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swojego czynu.

Jego matka miała zapuchnięte oczy i zaczerwieniony nos, ale zachowanie wobec syna było co najmniej niepokojące. Hanna wiedziała, co zrobił Axel, ale wypychała ze świadomości, że przyczynił się do śmierci Diany, oszukiwał w trakcie śledztwa i groził policjantom bronią. Być może to właśnie jest ten słynny instynkt macierzyński, o którym Rudnicka nie miała pojęcia.

Lena знаła takie dzieciaki jak Axel. Przystępczą karierę zaczynali wcześniej, od bójk w szkole lub niewielkich kradzieży, a kończyli z wyrokami kilku lat odsiadki. Sęk w tym, że Axel Pulido w niczym nie przypominał tamtych chłopaków. Teoretycznie był zwykłym nastolatkiem, ale w praktyce dorastał w cieniu starszej siostry, piątkowej uczennicy z aktorskimi aspiracjami.

Rodzice faworyzowali Dianę. Lena przypuszczała, że głównie Hanna stawiała córkę ponad syna, co tłumaczyłoby świetny kontakt Axela z ojcem. Chłopak dorastał z poczuciem niższości i krzywdy. Diana nie żyła, a jego nastawienie do niej nie uległo zmianie. Axel sprawiał wrażenie, jakby cieszył się, że wreszcie pozbył się rywalki w walce o względy rodziców.

Rodziło się więc pytanie, czy ten dzieciak jest zły, czy po prostu się pogubił.

Rudnicka zmusiła Axela, aby powtórzył przy prokuratorze wszystko, co opowiedział w salonie swojego rodzinnego domu.

Siostra zadzwoniła do niego na dzień przed śmiercią. Axel, początkowo zdumiony, zgodził się na spotkanie. Diana prosiła, by wyjął z szuflady jej biurka kartę pamięci i zabrał na spotkanie w Lesie Łagiewnickim. Axel spełnił tę prośbę, a w międzyczasie podkraść Wolskiemu broń. Diana powiedziała przez telefon, że nagrania na karcie pogrążą ojca. Użyła określenia, że wreszcie ma na niego haka, co pchnęło Axela do usunięcia siostry.

Zapytany, czy obejrzał film, który znajdował się na karcie pamięci, odparł, że nie miał czasu.

W lesie wybuchła kłótnia. Axel nie chciał oddać karty, a Diana próbowała mu ją wyrwać. Axel popchnął siostrę, która straciła równowagę i uderzyła głową w kamień.

Axel nie sprawdził, czy siostra żyje. Przestraszył się. Zaciągnął Dianę w zarośla, by przechodnie nie zauważyli ciała. Potem uciekł, z bronią Marcela wetkniętą za pasek spodni

i kartą pamięci w kieszeni.

Był przerażony. Dlatego przyszedł do policjantów. Dlatego skierował podejrzenie na ojca.

Z oczywistych względów pominął fragmenty dotyczące Wolskiego, ale uzupełnił je zaraz po tym, jak Nawrocki wyszedł z pokoju, by odebrać dzwoniący telefon.

– Bałeś się, że dojdziemy do prawdy? – zapytała Lena, gdy skończył. – Że pójdziesz do więzienia za zabicie siostry? Dlatego wyskoczyłeś z tym pistoletem?

Przytaknął bez przekonania.

– Okej – rzuciła. – Ale dla twojego dobra nie chwaliłabym się tym przed prokuratorem. I dla dobra Marcela, dodała w duchu.

– Jeżeli pani nie puści pary z ust, to ja również – zapewnił.

Lena uderzyła dłońmi w uda i wstała. Sprawdziła kieszeń, by upewnić się, że karta pamięci jest na swoim miejscu, i spojrzała w kierunku drzwi.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedziała. – Znasz Damiana Lewickiego?

– Nie – odburknął, wciskając głowę w poduszkę.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Ja go znam – odezwała się Hanna. Po raz pierwszy, odkąd Axel zaczął opowieść o spotkaniu z Dianą. – To wychowawca z kółka teatralnego, prawda?

– Poznała go pani osobiście?

– Nie, ale mój... mąż mówił, że to miły człowiek. Dlaczego pani o niego pyta?

– Emilio znał Lewickiego? – Uniosła brwi. Mogli się znać. Może Emilio odebrał kiedyś Dianę z zajęć i wtedy się poznali? Wymienili uściski i każdy poszedł w swoją stronę?

– Nie znam szczegółów, przepraszam.

Axel wciąż wciskał głowę w materiał poduszki. Lena odniosła wrażenie, że z jego ust wydobył się cichy jęk. Płakał?

– Czy mój syn pójdzie do więzienia? – spytała Hanna.

Rudnicka spojrzała na nią i pomyślała, że bardzo by tego chciała.

8

Półtorej godziny później Rudnicka była już na parkingu przed komendą. Weszła do środka, by poszukać Marcela, kiedy napotkała jakąś młodą policjantkę, od której dowiedziała się, że Marcel wyszedł do sklepu.

Zawróciła na parking, wsiadła do jaguara, odpaliła silnik i uruchomiła klimatyzację. Marcela dostrzegła pięć minut później, gdy przechodził przez pasy z czteropakami red bulli pod pachą.

Podjechała bliżej i opuściła szybę od strony pasażera.

– Wsiadaj – rzuciła.

Rozejrzał się wokół, jakby nie był pewien, czy te słowa są na pewno skierowane do niego, po czym wskoczył do środka. Odpakował jedną puszkę, pociągnął zawleczkę i podał Lenie.

Odebrała napój i za jednym podejściem opróżniła całą puszkę. Wytarła dłonią usta i włączyła się do ruchu.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

Lena nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem.

– Jak było na przesłuchaniu? – spróbował raz jeszcze.

– Normalnie.

– Och, świetna odpowiedź.

Rudnicka przyspieszyła. Wyprzedziła srebrną toyotę i minęła opla, kiedy z naprzeciwka wyłonił się biały dostawczak. Gwałtownie zjechała na prawy pas, nie siląc się na włączenie kierunkowskazu.

Kierowca jadący za nimi użył klaksonu, by zmanifestować swoje niezadowolenie.

– Z reguły lewy pas służy do jazdy w przeciwnym kierunku – zauważył Wolski. Otworzył red bulla i pociągnął łyk. Był idealnie schłodzony.

– Gówniarz i mamuśka nie puszcza farby. Możesz być spokojny.

– To dobrze. – Pokiwał głową. – To bardzo dobrze. Chyba powinienem ci podziękować.

– Już dziękowałeś.

Rudnicka wyprzedziła dwa samochody i w ostatniej chwili uniknęła zderzenia z tramwajem.

Marcel złapał za rączkę przy suficie.

– Jezu – stęknął. – Może ja poprowadzę?

– Szybciej dojechałabym dorożką ciągniętą przez szetlandzkie kuce.

Wolski milczał przez chwilę, popijając energetyka.

– Mimo wszystko dziękuję – odezwał się.

– Mimo wszystko nie ma za co.

– Powiesz mi, dokąd jedziemy?

– Do pani doktor.

– Do Joanny Skorupki?

– Mhm.

Marcel spoglądał ukradkiem na Rudnicką. Przypomniały mu się słowa ojca dotyczące Huberta Janickiego. Nie mógł uwierzyć w to, że Lena byłaby w stanie narazić partnera na niebezpieczeństwo.

– Czas zająć się dziennikarzem. – Z zamyślenia wyrwał go głos Leny. – Rozmawiałam z Majerem. Owczarek wciąż się nie odezwał. W pracy również się nie pojawił. Kazałam sprawdzić chłopakom jego telefon, ale jest nieaktywny. Nie mamy podstaw, żeby wystąpić do operatora o billing. Poza tym nikt nie zgłosił zaginięcia.

– Myślisz, że coś mu się stało?

Lena skręciła w ulicę Sierakowskiego i zaparkowała przed przychodnią.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Nie żebym zapalała miłością do dziennikarzy, ale warto przyjrzeć się tej sprawie. Co o tym sądzisz? – Wyłączyła silnik i obróciła się do Marcela.

Zaskoczyło go to pytanie. Wsiadł z jaguara, wyjął paczkę westów i zapalił jednego.

– Nie zaszkodzi się trochę rozejrzeć – stwierdził.

– Może być tak – także zapaliła papierosa – że kiedy narzeczona rzuciła Owczarka, postanowił uciec i odpocząć.

– Majer mówił, że Owczarek nie zaniedbywał pracy.

Lena wypuściła dym.

– Mundurowi nie zastali Lewickiego w mieszkaniu – powiedziała.

– Wysłałeś po niego patrol?

Przytaknęła. Kilka kosmyków wypadło jej z koka i owinęło się wokół twarzy. Odgarnęła je, wyrzuciła niedopałek i ruszyła przed siebie.

W poczekalni doktor Skorupki tłumów nie było. Może z racji pory – dochodziła dwudziesta – a może większość dzieciaków przełożyła chorowanie na okres powakacyjny.

W kącie siedziała kobieta o zmęczonej i poorly zmarszczkami twarzy. Obok kręciło się dwóch chłopców w wieku około trzech i pięciu lat. Mały blondynek uderzał kolorowymi klockami w zakurzoną posadzkę. Matka w tym czasie obojętnie kartkowała nowe wydanie „Twojego Stylu”. Starszy chłopiec – w czerwonych spodenkach i zielonej koszulce – podchodził do wszystkich drzwi i naciskał po kolei klamki, ale kiedy żadna nie ustąpiła, oczy mu zwilgotniały, a pyzata buzia oblała się purpurą. Wrzasnął raz. Potem drugi. Matka zareagowała dopiero na trzeci skowyt. Odłożyła gazetę i z ociąganiem wzięła syna na kolana. Blondynek od klocków najwyraźniej poczuł ukłucie zazdrości, bo rzucił klockiem, kopnął go i podreptał do matki.

Z gabinetu pani doktor wyszła dziewczynka w wieku przedszkolnym, krocząc dumnie z naklejką „Dzielny pacjent” na kieszonce. Spozrzegła bałagan na podłodze i ochoczo kopnęła stosik klocków. Rezulutna matka szybko wyprowadziła ją na zewnątrz.

Kobieta od „Twojego Stylu” poderwała się, o mało nie zrzucając przy tym z kolan swoich dwóch latorośli. Rudnicka okazała się szybsza. Machnęła jej odznaką i wparowała do środka. Marcel pospieszył za nią.

Joanna Skorupka wyglądała jak typowa pani doktor – włosy związane w ciasny kok z milionem wystających wsuwek, spódnica przed kolano i dobrotliwy uśmiech. Zmarszczyła cienkie brwi i przeniosła wzrok na podłogę, jakby oczekiwała, że gdzieś pod nogami policjantów pałęta się rozwrzeszczany kilkulatek.

– Tak? – spytała. Głos miała melodyjny, aksamitny i przepełniony troską o pacjenta, którego jednak nie zobaczyła.

– Krystian Owczarek – powiedziała Lena i usiadła na miejscu pacjenta, przy biurku lekarki. Wolski zajął krzeselko obok, z króliczymi uszami na oparciu, przeznaczone dla ludzi o wzroście poniżej metra czterdziestu. Kolana miał niemal pod brodą.

– Dlaczego z nim zerwałaś? – zapytała Rudnicka.

– Kim państwo są?

Lena szybko wyjęła odznakę i równie szybko ją schowała. Kobieta nie zdążyła dojrzeć nawet zdjęcia.

– Policja?

– Lepsze to niż kontrola ze skarbówki, nie?

– W jakiej sprawie?

– Niedoszłego narzeczonego.

– Krystiana? – Spojrzała na nich badawczo. – Czy coś zrobił?

Zazwyczaj pierwsze pytanie, jakie pada z ust ludzi, do których przychodzą policjanci, brzmi: Co się stało? Lekarka z góry założyła, że Owczarek prędzej coś przeszkrobał, niż miało go spotkać coś złego.

Ciekawe.

– No właśnie w tym problem – rzekła Lena, sięgając w stronę kolorowych naklejek dla dzieci. Wzięła jedną, z uśmiechniętym krokodylem. – Owczarek nie przyszedł do pracy, nie ma z nim kontaktu...

– I co z tego? – przerwała jej Skorupka.

– Na leśnej drodze między Łodzią a Tomaszowem znaleźliśmy samochód Krystiana – wyjaśnił Wolski.

– Znaleźliście samochód? – Lekarka odchyliła się do tyłu, jakby spodziewała się najgorszego.

– Ślady wskazują, że Krystian uderzył w drzewo, ale zanim to zrobił, wpił sporą ilość czystej wódki i...

– Jechał pod wpływem alkoholu?

Wolski skinął głową.

– To niemożliwe – stanowczo oświadczyła Skorupka. Poprawiła kitel i splotła dłonie na biurku. – Krystian po alkoholu nigdy nie siadał za kierownicą. I nigdy nie pił wódki, bo jego ojciec był alkoholikiem. Prowadził po pijanemu, razem z matką Krystiana zginęli w wypadku.

Brzmiało logicznie.

– Rozmawialiśmy z Olivierem Majerem, kolegą Krystiana z pracy, i...

– Wiem, kim jest Olivier.

– No tak – przyznał Marcel. – Majer również twierdzi, że Krystian po alkoholu nie prowadziłby samochodu.

– Był odpowiedzialny. Przynajmniej jeśli o to chodzi, bo z innymi sprawami kiepsko mu szło. Czy coś mu się stało?

– Czy to prawda, że się rozstaliście? – zapytała Rudnicka.
– Tak, parę dni temu. – Lekarka ściągnęła usta. – O co chodzi?
– Jaki był powód rozstania?
– To moja prywatna sprawa.
– Mamy podejrzenie, że Krystianowi grozi niebezpieczeństwo.
Skorupka zaczerpnęła powietrze. W oczach błysnęło zaniepokojenie.
– Coś mu grozi? – spytała.
– Proszę odpowiedzieć na pytanie.
– Okej, dobrze. – Potarła skronie. – Rozeszliśmy się z błahego powodu. Miałam dość jego pracoholizmu. Całe dni spędzał w pracy. Nie miał dla mnie czasu. Dlatego podjęłam decyzję o odejściu. Nie wytrzymałam.
– Kiedy widzieliście się po raz ostatni?
– W poniedziałek. – Zamyśliła się. – Nie, w niedzielę. Którą też spędził w pracy.
– Kontaktowaliście się później?
– Dzwonił do mnie w poniedziałek, a potem przestał. Widziałam w internecie jego artykuł. Pracował nad nowym tematem. Nic dziwnego, że przestał dzwonić. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Ostatni raz widziałam go w sobotę.
– Przez cały tydzień się nie widzieliście?
Skorupka potwierdziła.
– Co mu grozi? – spytała.
– Czy zdarzyło się, że Krystian zaniebdywał pracę? – W świetle wcześniejszych słów narzeczonej pytanie wydawało się zbędne.
– Nigdy.
– Wyjeżdżał bez słowa?
– Nie.
Rudnicka zerknęła na Marcela, po czym wstała i głośno wsunęła krzesło.
– Proszę się nie martwić – powiedziała. – To rutynowe pytania.
– Rutynowe pytania? – Skorupka również się podniosła. Oparła dłonie na biurku niczym surowa nauczycielka. – Co sobie myślicie? Przychodzicie, napędzacie mi stracha, a potem mówicie, że to wszystko rutynowe pytania?

Gdyby Lena została w gabinecie lekarki choć kilka sekund dłużej, zobaczyłaby, że Joanna Skorupka próbuje dodzwonić się do byłego narzeczonego. Jak nietrudno się domyślić – bezskutecznie.

Kiedy wyruszyli sprzed przychodni, Lena nerwowo spoglądała na zegar na desce rozdzielczej. Wskazywał dwudziestą dwadzieścia. Skręciła w Limanowskiego, docisnęła pedał gazu i ponownie skontrolowała godzinę, jakby siłą woli usiłowała powstrzymać upływający czas. Przemierzyła Stare Miasto, objechała rondo na placu Wolności, wjeżdżając – wbrew zakazowi – na Piotrkowską. Minęła zatłoczone restauracyjne ogródki

i sprawnie lawirując między spoconymi cyklistami, zaparkowała przed kamienicą Wolskiego.

- Nie wiedziałem, że jedziemy do mnie – stwierdził, mrużąc oczy.
- Idziemy coś zjeść – odparła. – Przecież mówiłam, że jestem cholernie głodna.
- To było kilka godzin temu. Sądziłem, że oferta wygasła.
- No właśnie, kilka godzin temu. Teraz zjadłabym nawet suchy gruz.

Marcel się uśmiechnął.

– Najpierw jednak muszę coś załatwić – zastrzegła. – Ty tu czekasz. – Wysiadła z samochodu.

Wolski zrównał się z nią na skrzyżowaniu Szóstego Sierpnia z Piotrkowską.

- Czy ty nie możesz chociaż raz mnie posłuchać?
- Dokąd się wybierasz?
- Idź do Irish Pubu i weź coś do żarcia – odwarknęła. – Zaraz dołączę.

Nie oglądając się za siebie, ruszyła w kierunku Zielonej. Mogła podjechać samochodem, ale wtedy musiałaby targać z sobą Wolskiego, a tego wolała uniknąć. I tak wiedział już za dużo. Poza tym był zbyt wrażliwy. Wolała nie mieszać go w takie sprawy. Przystanęła na rogu Zielonej, naprzeciwko baru z kebabem, i zlustrowała okolicę. Przed lokalem z zapiekankami czekała kolejka, na przystanku tramwajowym kręciło się kilka osób, a na pobliskiej ławce siedziały dwie dziewczyny z dwoma kudłatymi border collie.

Wyłowiła wzrokiem znajomą sylwetkę, a potem zobaczyła drugą – tę lepiej znaną. Wolski uśmiechnął się do niej, przeszedł na drugą stronę jezdni i stanął obok.

- Którego ze słów nie zrozumiałaś, gdy powiedziałam, że zaraz przyjdę? – wycedziła.

Zanim zdążył odpowiedzieć, dostrzegli zbliżającą się postać Pułkownika – tego Pułkownika, którego współpracownik – jak twierdził stary Wolski – doprowadził Huberta Janickiego do kalectwa.

Wielkim cielskiem wkroczył na pasy, nie rozglądając się na boki. Sprawiał wrażenie, jakby cała ulica należała do niego. I prawdopodobnie tak właśnie jest, pomyślał Marcel, facet ma w garści niejedną ulicę w mieście, a teraz zmierza na spotkanie z dwoma policjantami.

Cóż za ironia.

Stał naprzeciwko. Jego szeroko rozstawione nogi przypominały dwa bloki cementu. Wsunął ręce do kieszeni sztruksowych spodni i mlasnął niczym lew szykujący się do obfitego posiłku. Oczy skrywał za przyciemnianymi ray-banami.

- Akcja odwołana – powiedziała Rudnicka na przywitanie.
- Miałaś być, kurwa, sama – odparł, a jego głos brzmiał jak bicie kościelnego dzwonu.
- Nieistotne – ucięła.
- Istotne. Mieliśmy omówić szczegóły, a ty ciągniesz ze sobą tego chłoptasia.
- Sam się tu przyciągnął.

– Sprawdziłem cię, kurwa – zwrócił się do Marcela, który wyprostował się, choć pod naporem ciężkiego spojrzenia Pułkownika najchętniej rozplątałby się w powietrzu. – To, kurwa, syn Wolskiego.

– Mówiłam.

Teraz Pułkownik przeniósł wzrok na komisarz.

– Myślałem, że ściemniasz. – Podszedł nieco bliżej. – Powiedz mi, w co ty, kurwa, pogrywasz?

– Posłuchaj, młodym Wolskim nie musisz się przejmować. Jest nieszkodliwy.

– Nie wygląda na takiego.

Marcel przełknął ślinę. Bezkarność tego faceta była zatrważająca. Gdyby ojciec się dowiedział, że Marcel poznał Pułkownika, dożywotnio zakazałby mu kontaktów z Leną.

– Jesteś kapusiem? – spytał Pułkownik, przejechał językiem po zębach i wsunął do ust papierosa.

– Nie.

– Co ty myślisz? – wyparowała Rudnicka. – Za kogo ty mnie masz? Sądzisz, że młody jest na tyle głupi, żeby polecieć do tatuśka i wyklepać, że zgubił gnata i kazał go szukać bossowi narkotykowego gangu?

Marcel uniósł brwi. Narkotykowy gang? Sądził, że Pułkownik zajmuje się handlem nielegalną bronią.

– Nie lubię ryzyka, chłopcze. – Pułkownik zrobił krok w stronę Marcela. – Ją lubię. – Wskazał na Lenę. – Ciebie nie. Ale jeżeli coś odwalisz, pożegnasz się ze swoją lalką, zrozumiano?

Wolski poczuł, że koszulka przylepiła mu się do pleców.

– Pytam, czy zrozumiano.

– Tak.

– Świetnie. – Uśmiechnął się. – Nie zrozum mnie źle. W biznesie nie ma miejsca na przyjaźnię, więc lepiej trzymaj gębę na kłódkę. – Obrócił się do Rudnickiej. – Pogadamy innym razem. I nie zabieraj więcej tego frajera.

Pułkownik odszedł.

Marcel dopiero teraz spostrzegł, że kilkanaście metrów dalej stoi czarny sedan z przyciemnianymi szybami. Oczami wyobraźni widział, jak w środku siedzi przynajmniej trzech mężczyzn, w kominiarkach na głowie, z tommy gunami, którymi mogą oddać nawet sześćset strzałów na minutę. Gangus wsiadł, a samochód bardzo powoli – zachowując wszelkie zasady drogowego savoir-vivre'u – włączył się do ruchu. Wewnątrz siedział tylko kierowca. I nie miał na głowie kominiarki.

Zanim Marcel oprzytomniał i wyrównał oddech, uspokajając szaleńcze tempo serca, Rudnickiej już nie było.

Szybkim krokiem szła w górę Piotrkowskiej. Kiedy Wolski ją dogonił, przystanąła, wyjęła coś z tylnej kieszeni i z szelmowskim uśmiechem na ustach przykleiła mu na piersi

naklejkę „Dzielny pacjent”.

– Dzięki – mruknął. – Po spotkaniu z gangsterem potrzebowałem właśnie naklejki z aligatorem.

– To jest krokodyl.

– Bez różnicy.

– Krokodyl i aligator to nie jest to samo.

– Jasne.

– Należą do tego samego gatunku, ale różnią się od siebie. Krokodyl jest większy i widać mu zęby.

– Słucham?

– Kiedy ma zamkniętą paszczę, widać wystające zęby.

– Dziękuję za lekcję zoologii, ale wolałbym wiedzieć, po co spotkałaś się z tym gościem.

– Herpetologia.

– Co?

– To nauka o płazach i gadach.

Potrząsnął głową.

– O co chodzi, Lena?

Rudnicka wsunęła dłonie do kieszeni spodni i spojrzała tęsknie w stronę mijanego Bobby Burgera.

– Wplątałaś się w coś?

– To nie twoja sprawa, więc nie powinieneś się tym interesować.

– Jeżeli przeze mnie i moją głupotę wiesz przysługę Pułkownikowi, jest to jak najbardziej moja sprawa.

Przystanęła.

– Nikomu nic nie wieszę, okej? Nie myśl o tym.

– Co mieliście omówić?

– Hę? – Ruszyła naprzód.

– Mówił, że mieliście omówić szczegóły.

– Zadajesz za dużo pytań.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Jeżeli nie powiesz, dowiem się tego na własną rękę – stwierdził.

Lena zacisnęła wargi. Nie chciała wtajemniczać Wolskiego w sprawy między nią a Pułkownikiem. Było oczywiste, że Pułkownik nie wyświadcza przysługi za darmo. I choć na szczęście glock się odnalazł, a Marcel uniknął konsekwencji, Rudnicka zawarła pewien układ, z którego nie mogła się wycofać.

– Mam coś dla niego sprawdzić – skłamała.

– Co?

– W starych aktach.

– Tylko tyle?

– Potrzebuje informacji, a ja mu ją dostarczę. Koniec tematu.

Przekroczywszy bramy Irish Pubu, zajęli ustronne miejsce w ogródku, pod ogromnym parasolem z logo dużego browaru. Grupa facetów w koszulkach popijała piwo na ratanowej kanapie, a przy stolikach siedziało kilka osób bujających się w rytm granej na żywo muzyki. Dzisiaj przygrywał akustyczny zespół, którego nazwy nikt nie znał, ale plakaty przed wejściem szumnie głosiły, że klienci – oprócz dziesięcioprocentowego rabatu na guinnessa – otrzymają również niezapomniany wieczór w towarzystwie najlepszych polskich muzyków w stylu country.

Kiedy do stolika podszedł kelner, złożyli zamówienie. Lena przejrzała menu i zdecydowała się na „indyjskie curry z pierśią kurczaka i chlebkiem naan”. Nie miała pojęcia, czym jest chlebek naan, ale lubiła curry. Kurczak też brzmiał nieźle.

Marcel miał gest, bo oprócz penne z szynką zamówił dwa razy Ostoya Violet Martini, po dwadzieścia osiem złotych każdy, o wielce obiecującym składzie: Ostoya, Beefeater, Lillet Blanc, Parfait Amour i Bitters pomarańczowy. Lenie ani Marcelowi nic nie mówiły te nazwy. Nie wiedzieli, czego się spodziewać. Rudnicka rozpoznała jedynie Beefeater – londyński gin. Paskudnie drogi.

– Tatuś podwyższył kieszonkowe? – spytała z przekąsem, gdy kelner odmaszerował do baru. – Ty stawiasz. Ja za trzy dychy kupiłabym butlę lubuskiego i miałabym paliwo na cały wieczór.

– Chciałbym się odwdzińczyć.

– O, super. Więc stawiasz też obiad.

Uśmiechnął się na znak zgody.

– Raczej późną kolację – odparł.

Lena odwzajemniła uśmiech i spojrzała na telefon. Dzwonił Olivier Majer.

Przez pięć minut słuchała monologu dziennikarza. W tym czasie kelner zdążył postawić na stoliku zamówione drinki i oznajmić, że czas oczekiwania na dania wynosi dwadzieścia minut. Zbyt długo, oceniła Lena i spróbowała dziwnego specyfiku w fikuśnej szklance. Ostoya Violet Martini miał wyczuwalną na języku gorycz i smakował wszystkim po trochu. Trochę wódki, szczypta ginu, egzotycznego likieru Lillet Blanc oraz wiśniowo-pomarańczowego Parfait Amour. Lena dopiero kilka miesięcy później dowiedziała się, że fioletowy likier nazywają idealną miłością.

Cóż. Obecnie z idealną miłością nie miała nic wspólnego, ale drink smakował nieźle. Przyszło jej do głowy, że po takiej mieszance alkoholi będzie zmuszona wrócić do domu taksówką i zostawić jaguara przed kamienicą Wolskiego.

Wciąż słuchała Majera. Monolog trwał już siedem minut, co sprawdziła, gdy odsunęła telefon od ucha, a z jej szklanki ubyła już połowa fioletowego napoju. Jak tak dalej pójdzie, tajemniczy chlebek naan będzie jadła w towarzystwie naćpanego dziennikarza, a Wolski wyda całą pensję na kolorowe drinki.

– Uspokój się – powiedziała w końcu.

Majer umilkł, a po chwili wysnuł stos obiekcji dotyczących swojego przyjaciela. Owczarek awansował na przyjaciela, choć jeszcze kilka godzin temu był jedynie kolegą z pracy.

Włączyła tryb głośnomówiący i położyła komórkę na stoliku.

– Krystian jest w niebezpieczeństwie. – Majer wyrzucał słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Nie ma go w domu. Byłem tam. Sąsiadka go nie widziała. Pytałem. Coś się stało. Czuję to. Proszę pani, trzeba coś zrobić. Musimy zacząć działać. Halo? Pospieszmy się...

– Dobrze – przerwała. – Spokojnie. Zajmiemy się tym...

– Zadzwoń do mnie narzeczona Krystiana. Mówiła, że coś się stało. Podobno u niej byliście. Rozmawialiście z nią?

– Tak...

– To dobrze. Nie widziała go. Powiedziała, że go nie widziała.

– Policja sprawdziła mieszkanie Lewickiego – wtrąciła Lena. – Nie zastali go.

– A w pracy?

– Też nie.

Marcel spojrzał zdumiony. Rudnicka nie raczyła go poinformować. Chwilę później dowiedział się też, że patrol w mieście dostał zdjęcie Lewickiego. Rudnicka zapewniła Majera, że przyjrzą się sprawie, po czym błyskawicznie się rozłączyła.

Odetchnęła z ulgą.

– Czyli zaczynamy działać? – zapytał Wolski.

– Sama nie wiem, Marcel. – Napiła się drinka. – Biorąc pod uwagę ślady, jakie znaleźliśmy w samochodzie, zniknięcie Owczarka może wydawać się podejrzanym. Ale nie jest nienormalne.

– Fakty?

– Pokłócił się z dziewczyną...

– Narzeczoną – poprawił.

– Narzeczoną. – Kiwnęła głową. – Na pozór był spokojny, nie pił alkoholu, nie zaniebyszał pracy, ale umówmy się, takie słowa można powiedzieć o większości ludzi. Może Owczarkowi zwyczajnie odwaliło? Spakował walizki i wyjechał do ciepłych krajów?

– Nie poznaję cię.

Zmarszczyła czoło.

– Odpuszczasz? – zapytał.

– Nie – ucięła. – Ale nie mamy nic, żeby przypuszczać, że Lewicki mógłby wyrządzić Owczarkowi krzywdę.

– Owczarek pracował nad artykułem na jego temat... – Marcel urwał, czekając, aż kelner postawi dwa talerze i oddali się do baru.

Rudnicka przystąpiła do jedzenia, jakby kurczak w curry miał być ostatnim posiłkiem w jej życiu. Ugryzła chlebek naan, płaski placek z drożdżowego ciasta z dodatkiem czosnku.

– Owczarek dzwonił do ciebie przed wypadkiem, prawda? – dodał Wolski.

– Mhm.

– Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki, zastanowiłbym się nad słowami Majera.

Uniosła brwi, jakby zaskoczona słowami sierżanta, po czym przepiła tę refleksję końcówką Ostoya Violet Martini.

Kelner prawdopodobnie liczył na solidny napiwek, bo błyskawicznie znalazł się obok z dwoma pełnymi szklaneczkami. Policjanci nie zaoponowali, gdy stawiał je na stoliku.

– Może Owczarek coś odkrył – mówił Marcel. – Chciał podzielić się z tobą zdobytymi informacjami, ale nie zdążył.

– Oddzwaniałam, ale nie odbierał.

Wolski pokiwał głową w geście „a nie mówiłem?”.

– Niech ci będzie – powiedziała. – Zajmiemy się tym jutro.

– A co robimy ze sprawą Diany?

– Zamknięta. Znaleźliśmy ciało, mamy Axela i Emilia, który najpewniej trafi za kraty na parę lat.

– Rodzina Natalii Sztompke już wie?

Przytaknęła.

– To straszne. – Marcel odłożył widelec i z drinkiem w dłoni opadł na oparcie. – Zaczynaliśmy od poszukiwania nastolatki, a skończyliśmy na dwóch trupach, molestowaniu i dramacie rodzinnym.

– Nie jednym – sprostowała.

– Trzech. Hanna Pulido w ciągu tygodnia straciła córkę, dowiedziała się, że mąż jest pieprzonym pedofilem, a syn przyczynił się do śmierci Diany.

– Dodaj rodziców Sztompke i Roksanę Antolak.

– Ona jako jedyna wytrzymała ten koszmar.

– Na kilka lat będzie mieć spokój od ojca. Jej matka również.

– Dzięki tobie.

– Mhm.

– Pomogłaś jej.

– Jedyne, co zrobiłam, to potraktowałam starego pijaka gazem łzawiącym.

„Rudnicka nie ogląda się na nikogo, synu”.

„Nieprawda, tato”.

„Hubert Janicki jest przykuty do wózka”.

– Dlaczego mi pomogłaś? – spytał.

– Słucham?

– Kiedy zgubiłem glocka, dlaczego mi pomogłaś?

Spojrzała na niego, jakby nie rozumiała pytania.

– Chodziło o mojego ojca? – naciskał Wolski.

– Co?

– Kazał ci odpieprzyć się ode mnie. Bałaś się, że obwini cię o to, że zgubiłem broń?

– Zdurniałeś? Przecież to nie moja wina, że jesteś idiotą. O to prędzej oskarżyłabym twojego ojca.

– Tak czy nie?

Dopiła Ostoya Violet Martini. Otarła dłonią usta i zgarnęła włos z rękawa marynarki. Przyjrzała mu się, jakby pochodził z innej planety. Zdawało jej się, że jest siwy.

– Krzysztof chce mieć ze mną dziecko – oznajmiła.

Niepozorny Ostoya Violet Martini miał chyba większą siłę rażenia, niż sądziła.

Marcel znieruchomiał.

– Wyobrażasz to sobie? – Zaśmiała się.

Marcel nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Chcesz mieć z nim dziecko? – spytał.

– To nie jest ważne.

– Żeby mieć dziecko, potrzeba dwóch osób.

– Dzięki, nie wiedziałam. – Uśmiechnęła się krzywo, a potem westchnęła przeciągle. – Porozmawiajmy o tobie. Dlaczego nie masz dziewczyny, co?

– Nie rozumiem.

– Powinieneś sobie jakąś znaleźć. O, tamta by się nadała. – Wskazała na blondynkę w kapeluszu. Potrząsała głową w rytm muzyki, a jej warkocz opadał ciężko na plecy. Dziewczyna poczuła na sobie czyjś wzrok i obróciła się.

Lena przywołała ją ruchem ręki.

– Hej, jak masz na imię? – zapytała, gdy blondynka podeszła bliżej. Jej odsłonięte piersi przypominały kule do kręgli.

– Aneta.

Rudnicka się skrzywiła.

– Może być – powiedziała. – Masz chłopaka?

– Nie.

– Narzeczonego?

– Nie mam.

– Męża?

Pokręciła głową.

– Znasz Marcela?

Blondynka spojrzała na Wolskiego. Rudnicka wstała.

– Marcel, to jest Aneta, Aneto, przedstawiam ci Marcela. To miły chłopak. Chociaż trochę gapowaty. Czasem zapomina różnych rzeczy.

– Przepraszam, ale...

– Marcel szuka dziewczyny – przerwała jej. – Prawda, Marcel? No dobra, skoro się poznaliście, mogę opuścić ten przybytek miłości. – Rzuciła kilka banknotów na stół. – To za obiad – powiedziała. – Za drinki płacisz ty. Sam się zaoferowałeś. – Spojrzała na Anetę, a potem wymaszerowała z ogródka Irish Pubu.

Zerknęła na zegarek. Dwudziesta druga dziesiąta. Iść do domu czy spędzić noc w hotelu? Wolałaby uniknąć rozmowy z Krzysztofem.

Dziecko. Krzysztof nie odpuści, była tego pewna. Naprawdę wierzył, że dziecko zmieni coś w ich związku.

Ale nie to było najgorsze.

Bardziej przerażająca była decyzja Krzysztofa o leczeniu impotencji. Miała nadzieję, że kuracja potrwa długo. Do końca życia. W innym wypadku będzie musiała...

Poczuła, że ktoś łapie ją za ramię. Odwróciła się.

– Upiłeś się – powiedział Marcel.

– Pieprz się.

– Nie musisz załatwiać mi dziewczyn.

– Muszę, bo nie jesteś zbyt lotny w tym temacie.

Chwycił Lenę za rękę i pociągnął w bramę pomiędzy kamienicami.

– Co ty robisz? – zapytał.

– Mogłabym zadać to samo pytanie. – Wyszarpnęła dłoń. Zrobiła krok naprzód, lecz Marcel zagroził jej przejście.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Jakie?

– Dlaczego pomogłaś mi z bronią?

– Bo jesteś moim partnerem? Kurwa, a myślałeś, że dlaczego?

– Podobno nie oglądasz się na partnerów.

Zmrużyła oczy.

– Słucham? – zapytała.

– Hubert Janicki.

– Co z nim? – Cofnęła się.

– Jeździ na wózku.

– I co z tego?

– Co z tego?

– Skąd wiesz? – Popchnęła go. – Poleciałeś na plotki do tatusia? Gratuluję!

– Wystawiłaś go?

– A co? – Zajrzała Marcelowi w oczy. – Wolałbyś usłyszeć bajkę o tym, że usiłowałam zasłonić go własnym ciałem, a potem dostałam medal za bohaterstwo?

– Wystawiłaś czy nie?

– Pieprz się – warknęła.

– Nie wierzę.

- To twój problem.
 - Mnie też byś wystawiła? Śledztwo jest najważniejsze, prawda? Statystyki...
 - Nie brnij w coś, o czym nie masz pojęcia.
 - Co by się stało, gdyby Magdalena Rudnicka nie rozwiązała jakiejś sprawy?
- Magdalena.
- Zamknij się, bo zaraz powiesz o jedno słowo za dużo.
 - Chyba już powiedziałem.
 - O co ci chodzi? Na kogo się wściekasz? Na mnie czy na ojca?
 - Na ciebie.

Prychnęła. Zrobiła krok przed siebie, ale Marcel wciąż blokował jej przejście.

- Jestem zły na ciebie za to, jak mnie traktujesz – powiedział.

– Jak?

– Jak gównno.

Zabolało.

– Co mam zrobić? – zapytała. – Przeprosić cię? Wybacz, ale nie mam za co. Dorośnij wreszcie, bo zachowujesz się jak rozkapryszony nastolatek.

– Chciałaś zrobić mi na złość?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, to raz, a dwa, że nie mam zamiaru uczestniczyć w tej arcydziwnej rozmowie.

– Masz mnie za idiotę. – Zaśmiał się. – Rozumiem. Ale myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Uniosła brwi. Miała wrażenie, że oboje mówią w innym języku.

– I to ja jestem pijana? – spytała.

Spowaźniał.

– Dla ciebie jestem nikim – powiedział, starając się uspokoić oddech.

– Nikim?

– Naprawdę sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi, ale teraz wszystko zrozumiałem. Ty nie posłuchałaś mojego ojca. Traktowałaś mnie źle, bo tak chciałaś. Zawsze robisz, co chcesz. Było mi przykro, ale pomyślałem, że może masz gorszy okres. Tylko ten gorszy okres trwał trzy miesiące i wcale nie istniał. Gdyby nie braki na komendzie, nie wzięłabyś mnie do sprawy. Gdyby nie zakaz ojca, nie pomogłabyś z glockiem. Teraz zrozumiałem. Tak nie działa przyjaźń, Lena.

Rudnicka znieruchomiała.

– Załapałem – ciągnął Marcel. – Przepraszam, że tak długo mi to zajęło. Masz swoje życie. Sądziłem, że po tym, co wydarzyło się między nami, będziemy potrafili utrzymać normalne kontakty. Czasem wyjść na piwo, porozmawiać... Pomyliłem się. Ty tak nie funkcjonujesz.

Nie zobaczyła w jego oczach pretensji. Zobaczyła smutek. Poczowała, jak jej serce zaciska się w pięść.

Patrzyła za Marcelem. Wyszedł z mroku kamienic i skręcił w Piotrkowską.

9

„Kłopot ze światem jest taki, że jest on zawsze trzy drinki do tyłu”, na barowej ladzie ktoś umieścił aforyzm Humphreya Bogarta. Marcel wpatrywał się w czarne litery na złotym tle i przypominała mu się przewrotna mądrość Ernesta Hemingwaya: „Zawsze jest coś, czego nie powinno być”. W przypadku Marcela na stoliku, przy którym siedział, nie powinno być sześciu pustych kieliszków po czystej wódce.

Miał wrażenie, jakby ktoś nałożył mu na oczy okulary 3D i wsadził go na diabelski młyn. Chciało mu się wymiotować, co było jasnym sygnałem, by jak najszybciej opuścić bar.

Podtrzymał się stolika i opierając się o ścianę, która go asekurowała, wszedł na schodki. Droga na górę – kilka stopni, które na trzeźwo pokonałby w trzy sekundy – zajęła zdecydowanie zbyt wiele czasu. Nie przejmował się jednak drwiącym spojrzeniem szatniarza ani kąśliwymi uwagami dziewczyny, której stopa zupełnie przypadkiem znalazła się pod podeszwą buta Wolskiego.

Na zewnątrz odetchnął świeżym powietrzem. Miła odmiana po przesyconym papierosowym dymem pomieszczeniu dla palaczy. W głowie wirowało, a żołądek przypominał wypełniony balon. Czuł podchodzącą do gardła żółć. Serii kieliszków wódki nie powinienem zapijać piwem, pomyślał. Mieszanie alkoholi nikomu nie wychodzi na zdrowie.

Przeszedł przez pasy, szukając ustronnego miejsca, by z dala od ciekawskich oczu przechodniów wydalić nadmiar procentów. Spojrzał na zaułek kamienic, potem na drugi. W mieszkaniach paliły się światła. Ktoś mógłby go zobaczyć. A nieładnie wymiotować na cudzym podwórku, prawda?

Z każdym uderzeniem serca balon pęczniał. Zaraz wybuchnie, przemknęło mu przez myśl i zakrył dłonią usta. Nigdy nie miał silnej głowy do alkoholu, chociaż przypominało mu się, jak na pierwszym roku studiów założył się z kolegą, który z nich wypije więcej piw. Marcel wlał w siebie dziesięć zielonych lechów i obrzygał cały pokój w studenckim mieszkaniu. Ale wygrał. Satysfakcja łagodziła ból żołądka i głowy, z którymi mierzył się następnego dnia.

Rozejrzał się wokół. Nie miał pojęcia, dokąd idzie ani gdzie dokładnie się znajduje. Pił w pubie Biblioteka. Chyba. Nie pamiętał, w jaki sposób tam trafił, ale nie to było najważniejsze. Jeżeli znalazł się w Bibliotece, od mieszkania dzielił go półkilometrowy spacer. Niedaleko, ale zdał sobie sprawę, że podąża w przeciwnym kierunku.

Odwrócił się. To, co przekazywały oczy, przypominało film bez stabilizacji obrazu. Rozmyte światła samochodów i zamazani ludzie krążyli wokół niego jak na karuzeli.

Niedobrze.

Zdołał zrobić krok, gdy poczuł, jak ściany balonika pękają. Zdążył jedynie odejść na pobocze i zwymiotował. Ilość treści żołądka może nie prezentowała się tak imponująco jak po dziesięciu lechach, ale znalazłaby się w pierwszej piątce. Torsje wstrząsały jego ciałem, a on wytaczał z siebie ostatnią porcję wymiocin.

Ogarnęła go ulga, jakby momentalnie wytrzeźwiał. Wiedział, że na doprowadzenie się do porządku potrzeba więcej czasu, ale żołądek zwolnił trochę miejsca, a wirowanie w głowie zmieniło się w lekkie kołowanie. Subtelna różnica, ale jakże znacząca.

Wysypał na rękę kilka gum do żucia i poczekał, aż mięta usunie posmak rzygowin, po czym wrócił na chodnik. Ludzie, którzy wcześniej wydawali się tak daleko, stali raptem parę metrów obok i na pewno nie omieszkali odsądzić rzygającego w krzakach faceta od czci i wiary. Marcela naszała ochota, by wytłumaczyć wszystkim, że nie jest alkoholikiem, a to, co zobaczyli, zdarza mu się bardzo rzadko, ale ugryzł się w język.

Ojciec od dziecka wpajał Marcelowi, że powinien być odpowiedzialnym mężczyzną. Kłaniać się sąsiadom, wracać o wyznaczonej porze do domu i pomagać rodzicom w pracach domowych. Marcel rzadko sprzeciwiał się ojcu i rzadko się z nim kłócił, ponieważ rozmowę oraz wymianę słownych argumentów uważał za najlepszą formę komunikacji.

Zmieniłeś się, synu, powiedziałby ojciec, nie tak cię wychowałem. Ale Marcel miał dość bycia porządnym i odpowiedzialnym mężczyzną. Przez całe życie zawsze postępował zgodnie z wewnętrznym dekalogiem, ale przyjazd do Łodzi wywrócił stare życie do góry nogami. Marcel nie poznawał sam siebie. Nie żeby nigdy nie upił się do nieprzytomności, ale czuł, że coś się zmieniło. Coś pękło i sprawiło, że Marcel Wolski już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem.

Minął ludzi na przystanku. Wydawało się, że przyglądają mu się uważnie, jakby oczekiwali przeprosin. Albo chociaż słowa wyjaśnienia. W rzeczywistości pewnie już dawno zapomnieli o facecie w krzakach i zajęli się swoimi sprawami. Może zastanawiali się, co kupić jutro na obiad albo na jaki film warto wybrać się do kina? Marcel nie pamiętał, kiedy był ostatnio w kinie.

Kiedy ponownie znalazł się przed pubem Biblioteka, dostrzegł w oddali jakąś sylwetkę. Przystanął. Zamknął oczy i otworzył ponownie.

Nieemożliwe.

Przyspieszył kroku, odruchowo sięgając w miejsce, gdzie powinna wisieć kabura z glockiem. Oczywiście jej nie było. Wolał nie kusić losu i zostawił broń na komendzie. Tak będzie lepiej, myślał jeszcze kilka godzin temu, ale w tym momencie dałby wiele, by poczuć w ręce ciężar naładowanego pistoletu.

Postać również przyspieszyła, zmuszając Marcela do biegu. Odległość pomiędzy nimi wynosiła około stu metrów i zwiększyła się w chwili, gdy ten z przodu puścił się sprintem przed siebie, skręcając w najbliższą uliczkę. Marcel poczuł, że pałą go płuca. Oto skutki

niezdrowego trybu życia i zamiłowania do papierosów – zadyszka po kilkudziesięciu metrach.

Może gdyby przed skręceniem w zaciemnioną ulicę zatrzymał się i spokojnie wykręcił numer Rudnickiej, nic by się nie stało. Tymczasem z telefonem w ręce biegł niczym sprinter na dystansie czterystu metrów i skręcił w alejkę, w której jedynym oświetleniem była mrugająca słabym światłem uliczna lampa.

Staął jak wryty. Ulica była pusta. Nigdzie nie dostrzegł uciekiniera. Serce biło jak szalone, a w żyłach buzowała adrenalina.

– Mnie pan szuka? – usłyszał za plecami. Nie zdążył się odwrócić.

Poczuł, jak coś z ogromną siłą uderza go w tył pleców. Miał wrażenie, że jego kręgosłup roztrzaskuje się na pół. Upadł, uderzając głową o chodnikowy beton. Zaciągnął powietrze. Po skroni spłynęła strużka krwi. Odruchowo uniósł rękę, by ją zetrzeć, kiedy kątem oka dostrzegł zbliżający się czubek buta. Wylądował na jego brzuchu.

Zakaszłał, usiłując złapać oddech, i przyciągnął głowę do kolan, by zniwelować siłę następnego ciosu.

Nie zdążył.

Ciężki but przygniótł mu twarz.

ROZDZIAŁ VI

SOBOTA, 30 CZERWCA / NIEDZIELA, 1 LIPCA

1

Dla Leny Rudnickiej dzień zaczął się całkiem zwyczajnie. Zapłaciła za pokój w hotelu, pojechała taksówką po samochód, zabrała jaguara sprzed kamienicy Wolskiego i wróciła do mieszkania. Wzięła prysznic, przebrała się w świeże ciuchy i zasiadła przy kuchennej wyspie. Krzysztof kręcił się w kuchni, przygotowując grzanki z masłem orzechowym i dżemem. Podał Lenie talerz, do którego po chwili dołączyły dwie kawy: espresso w miniaturowej filiżance i czarna kawa w wielkim kubku z czterema łyżeczkami cukru. Lena upiła łyk i dorzuciła piątą, a potem szóstą łyżeczkę, zamieszała. Teraz kawa smakowała idealnie.

– Nie zapytasz, jak wczorajsza wizyta? – Krzysztof usiadł naprzeciwko Leny i uważając na kruszący się chleb, ugryzł grzankę.

Spojrzała na niego.

– Umówiłem się na wizytę – wyjaśnił. – Mówiłem wczoraj, nie pamiętasz?

– Pamiętam, ale sądziłam, że na wizytę trzeba trochę poczekać.

– Poszedłem prywatnie.

No tak.

– Długo rozmawiałem z tym lekarzem – ciągnął. – Doktor Kaszuba jest świetnym specjalistą. Obiecał, że mi pomoże.

– Cieszę się.

– Zdałem sobie sprawę, jakim byłem durniem. Nasze małżeństwo zawisło na włosku, tylko dlatego że wstydziłem się pójść do lekarza i poprosić o pomoc.

Lena polemizowałaby z powodem beznadziejnego pożycia małżeńskiego, ale zachowała te przemyślenia dla siebie.

– Wszystko mi wyjaśnił. To się zdarza. Najważniejsze, żeby zgłosić się do lekarza. Zwlekałem z tym ponad dwa lata. Zdecydowanie za długo.

– Czego się dowiedziałeś?

Krzysztof odłożył chleb. Temat impotencji i łózkowych problemów Krzysztofa był tematem tabu. Ale nie dziś. Dzisiaj Lena miała wrażenie, że mąż naprawdę chce porozmawiać.

– Zrobiłem badania – powiedział. – Może chodzić o jakąś ukrytą chorobę, ale kiedy opisałem lekarzowi mój problem, uznał, że przyczyną najprawdopodobniej jest podłoże psychiczne. To oczywiście nie jest przesądzone. Muszę poczekać na wyniki, ale wiesz, co mam na myśli?

Wiedziała.

Lęk przed ośmieszeniem może mieć silniejszy wpływ na hormony, niż nam się wydaje. Choć nigdy nie poruszali tematu, Lena przypuszczała, że Krzysztof odczuwa pociąg seksualny, ale nie jest w stanie osiągnąć erekcji. Bał się zbliżeń i ewentualnej kompromitacji, przez co frustracja w jego głowie urastała do rozmiarów piłki koszykowej, a wtedy wyładowywał się, okładając żonę.

Rzecz w tym, że początek problemów Krzysztofa z erekcją zaczął się znacznie wcześniej. Zanim zaczął komunikować się za pomocą pięści.

– Nie zamierzam czekać – mówił. – Wystarczająco długo czekałem, więc poczyniłem pewne przygotowania. Możesz się śmiać, ale doktor Kaszuba mówił, że warto wspomagać się naturalnymi metodami. – Wstał i podszedł do kuchennej szafki. – Chyba nie zaszkodzi, prawda? – Wyjął pudełka, czytając nazwy: – Miłorząb, żeń-szeń, L-arginina... Zapisalem się też na zajęcia jogi.

Lena odchrząknęła.

– Jogi?

– Oczyszczenie umysłu i ciała. – Uśmiechnął się. – Dwa razy w tygodniu. I dwa razy treningi biegowe. Już postanowiłem. I nawet kupiłem strój. Pokazać ci?

– Nigdy nie biegałeś.

– I w tym problem. Regularne ćwiczenia mogą pomóc w przypadku mojej... niesprawności.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Dopiła kawę i wsadziła kubek do zmywarki.

– Nic nie zjadłaś. – Wskazał na talerz pełen grzanek.

– Nie jestem głodna.

Krzysztof podszedł bliżej, uniemożliwiając Lenie wyjście z kuchni. Odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

– Cieszysz się, prawda? – zapytał.

– Oczywiście.

– A nie wyglądasz.

– Mam dużo na głowie.

– Co masz na głowie? Śledztwo jest zamknięte.

Zastanowiła się, czy powiedzieć Krzysztofowi o Owczarku, ale uznała, że nie jest to konieczne. Pewnie kazałby jej odpuścić i wziąć kilka dni wolnego. W kółko powtarzał, że za dużo pracuje.

– Papierkowa robota – odparła. – Znasz Ostrowskiego.

– No tak.

Kąciki jego ust drgnęły ku górze. Lena miała wrażenie, że stoi przed nią człowiek, za którego sześć lat temu wyszła za mąż. Człowiek, który nigdy nie podniósłby na nią ręki.

Wiedziała, że to tylko pozory. Krzysztof nie zmieni się tak szybko. O ile w ogóle będzie w stanie. Dzisiejszego ranka przyczyną świetnego humoru męża jest nadzieja. Nadzieja na normalne życie. Lecz nadzieja zniknie w momencie odkorkowywania butelki francuskiego wina.

Na komendzie zjawiła się kilka minut po ósmej. Dokończyła raport dla Ostrowskiego, wypła kolejną kawę i mentalnie szykowała się na spotkanie z naczelnikiem, kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się z hukiem.

Grzegorz Ostrowski najpierw zmarszczył brwi, a na jego kanciastej twarzy odmalowało się zdziwienie.

– Jesteś – stwierdził.

– Dzień dobry?

– Myślałem, że cię nie ma. Przyszedłem sprawdzić.

– Dlaczego miałoby mnie nie być?

– Bo twojego przydupasa nie ma.

– Jakiego przydupasa?

– Wolskiego.

Tym razem to Lena zmarszczyła brwi.

– Co z tego? – zapytała.

– Masz, kurwa, rację. Nie ma nic dziwnego w tym, że pracownik nie przychodzi, kurwa, do pracy.

– Może coś mu wypadło.

– Niech mu wypada po pracy.

Lena podeszła do Ostrowskiego i podała mu tekturową teczkę z raportami. Ujął ją, jakby odbierał plany sekretnej operacji NATO.

– Mam was, kurwa, dosyć – powiedział, pstrykając gumką. – Jak Boga kocham, kiedyś się doigracie. Oboje. Jak jedno przychodzi, to drugie leci w chuja.

– Daj spokój, pewnie zaraz przyjdzie.

– Lepiej do niego zadzwoń, bo jak się wkurwię, to pomaszuję prosto do starego Wolskiego.

Tak zrobiła. Zaraz po wyjściu naczelnika zadzwoniła do Marcela. Dwa razy. Nie odebrał. Napisała mu więc SMS-a, by natychmiast pojawił się na komendzie. Nie odpisał ani na pierwszą, ani na dwie kolejne wiadomości.

Wolski nie przyszedł do pracy. To było do niego niepodobne. Gdyby miał się spóźnić, dałby znać Lenie albo komuś z komendy.

Nikogo nie powiadomił, co Rudnicka sprawdziła na policyjnej recepcji. No cóż. Trudno. Może po wczorajszej kłótni się obraził i postanowił zrobić sobie wolne? Skoro tak, to nie jej problem. Skończyli wspólne śledztwo i nie miała zamiaru ingerować więcej w policyjną karierę Marcela. Poza tym po pijackich wynurzeniach, jakie zaserwował, nie miała ochoty z nim rozmawiać.

Postanowiła skupić się na Krystianie Owczarku. Połknęła tabletkę oxycontin i odbyła rozmowę z Majerem. Dziennikarz potwierdził, że Owczarek nie dał żadnego znaku życia.

Pojechała do Lewickiego, ale nie zastała wychowawcy w mieszkaniu. Wypytała więc sąsiadów, a wszyscy, z którymi rozmawiała, twierdzili, że nie widzieli go od dwóch dni. Potem odwiedziła dom kultury, gdzie dowiedziała się, że Lewicki od dwóch dni nie pojawiał się w pracy.

Tak jak Krystian Owczarek.

Zadzwoniła do Liz i poleciła sprawdzić rodzinę Lewickiego. Okazało się, że jego rodzice wyjechali za granicę, ale teściowie mieszkają przy Kościuszki.

Dziesięć minut później zapukała do ich drzwi.

Kiedy się uchyliły, w progu stanęła starsza kobieta około sześćdziesiątki, z przewieszoną przez ramię ścierką. Nie wyglądała, jakby lubiła przyjmować gości.

– Arleta Machoń? – spytała Rudnicka.

– Tak?

– Dzień dobry, komisarz Rudnicka, możemy porozmawiać?

– Komisarz?

– W sprawie pani zięcia.

– Damiana?

– Owszem.

– Nie rozumiem?

Rudnicka zastanowiła się, czy kobieta każdą wypowiedź kończy znakiem zapytania. Arleta Machoń falowała głosem, jakby pochodziła z Europy Wschodniej.

– Policja w sprawie Damiana? – zapytała. – To ci niespodzianka!

– Mogę wejść?

– Nie mam czasu.

– Zajmę pani chwilę.

– Skoro pani tak twierdzi.

Odsunęła się, by wpuścić Lenę do środka. Poprowadziła ją do mikroskopijnej kuchni, plasnęła szmatą o kuchenną szafkę i spojrzała na Rudnicką, jakby namyślała się, czy tego

samego nie zrobić z twarzą policjantki. Ostatecznie zabrała się do sprzątnięcia stołu. Półmiski z ugotowanymi warzywami wylądowały na kuchence gazowej, a litrowy słoje majonezu w lodówce.

Gospodyni bez słowa zasiadła przy stole, spoglądając ostentacyjnie na ścienny zegar.

– Robię sałatkę jarzynową – odezwała się w końcu. – To znaczy robiłabym, gdyby nie pani wizyta.

– Kiedy widziała się pani z zięciem? – spytała Rudnicka.

– Wczoraj.

– O której godzinie?

– Czy to przesłuchanie? – Kobieta zmarszczyła czoło, a jej drugi podbródek zyskał dodatkową warstwę.

– Nie.

– W takim razie z jakiego powodu mnie pani nachodzi?

– Szukam Damiana Lewickiego, ponieważ może być zamieszany w jedną ze spraw, które prowadzę.

– Nie obchodzi mnie, w co Damian jest zamieszany. Moja córka się z nim rozwiodła. – Wypowiedziała te słowa z odrazą. – I w dalszym ciągu nie rozumiem, co pani robi w moim domu, pani komisarz.

– Damiana nie ma w domu i od dwóch dni nie pojawia się w pracy. Jego rodzice wyjechali, więc moje pytanie brzmi: czy wie pani, gdzie przebywa Damian Lewicki?

– A skąd mam wiedzieć? – Kobieta zamyśliła się. – Zaraz, zaraz. Co pani powiedziała? Że Damian nie przychodzi do pracy?

– Od dwóch dni.

– To niemożliwe – stwierdziła. – Wczoraj został do późna w pracy.

– Skąd pani to wie?

– Bo mi powiedział. Przyjechał wczoraj około dwudziestej czwartej, żeby odwiedzić Baśkę.

– Kim jest Baśka?

– Córka Damiana i Marzeny. Marzena, moja córka, wyjechała w sprawach służbowych. Damian ma dużo pracy i poprosił, żebym zajęła się małą. Zgodziłam się. To cudowna dziewczynka. Damian wczoraj wpadł w odwiedziny. Późno skończył pracę, to znaczy tak powiedział, dlatego przyszedł o tej porze.

– Odwiedzał córkę o północy?

– Basia późno chodzi spać.

W domu kultury nie pracuje się tak długo. Poza tym Lewickiego przecież wcale nie było w pracy. Okłamał teściową. Dlaczego?

– O której wyszedł? – zapytała Rudnicka.

– Parę minut po północy. Spieszył się.

– Dokąd?

– Nie pytałam.

– Od kiedy dziewczynka jest u państwa?

– Od dwóch dni. – Arleta Machoń skubała palcami postrzępioną ceratę.

Dwa dni. Znowu dwa dni. Co działo się dwa dni temu? Lena wysłała po Lewickiego patrol, lecz nie zastali go w mieszkaniu. Potem wychowawca sam przyszedł na komendę, by porozmawiać. Był z córką. Zapewne po spotkaniu podwiózł dziewczynkę do dziadków.

Ciało Diany Pulido znaleziono również dwa dni temu, ale udział wychowawcy w sprawie został wykluczony. Chyba że coś pominęli. Zastanowiła się. Nie, to niemożliwe. Zniknięcie Lewickiego nie ma nic wspólnego ze śmiercią Diany. Gdyby było inaczej, na pewno wpadliby na jakiś ślad.

– Mogłaby pani podać numer córki? – spytała.

Kobieta sięgnęła po notes i przepisała numer.

– Marzena nie odbiera – zastrzegła. – Pewnie się pani nie dodzwoni.

– Dlaczego nie odbiera?

– Nie rozmawiałam z córką od czasu wyjazdu. Pewnie jest zajęta.

– Marzena wyjechała dwa dni temu?

– Tak.

Dwa dni.

– Gdzie pracuje córka? – zapytała Rudnicka.

– W solarium na Legionów.

– Marzena wyjeżdżała wcześniej służbowo?

– Zdarzało się – odparła kobieta, w jej oczach błysnął strach. – Po co zadaje pani te pytania? Czy mojej córce coś się stało?

– Czy przed wyjazdem rozmawiała z nią pani?

– Nie rozmawiałam.

– Więc skąd pani wie, że wyjechała służbowo?

– Damian tak powiedział. Do czego pani zmierza?

– Próbuję ustalić, czy zniknięcie Damiana ma coś wspólnego z wyjazdem pani córki.

Na pewno ma, skonstatowała w duchu. Może się pomylili i Lewicki jednak maczał palce w śmierci nastolatek? Lewicki znika, chce uciec, a była żona razem z nim? Szykują kryjówkę, a potem wrócą po córkę?

– Czy Marzena utrzymywała z Damianem dobre stosunki? – spytała Lena.

– Ze względu na Basię starali się żyć w zgodzie.

– Spotykali się?

– Nie... – Kobieta zawahała się. – Nie wiem.

W mieszkaniu rozległ się dźwięk przekreścanego klucza. Do środka weszli starszy mężczyzna i dziewczynka w ogrodniczkach, z dwoma kucykami po bokach głowy. Spojrzała na Rudnicką, a kiedy jej świdrujące oczy spoczęły na kaburze z glockiem,

jęknęła zdumiona i cofnęła się o krok. Zakryła dłonią usta, ale błyskawicznie odzyskała rezon i zaraz wystąpiła do przodu niczym mała żołnierka.

– Pani jest policjantką? – zapytała, przekrzywiając głowę.

– Tak.

– Jak ma pani na imię?

– Lena.

– Ładnie – skwitowała. – A ile ma pani lat?

– Trzydzieści pięć, a ty?

– Siedem – odparła dziewczynka. – Chodzę do szkoły.

– Poważna sprawa.

– Przyszła pani po mnie? Dzieci nie idą do więzienia, prawda?

Arleta Machoń wstała i objęła ramieniem wnuczkę.

– Co ty wygadujesz? – mruknęła.

Mężczyzna spojrział na wnuczkę, ale ta nie dała dziadkowi dojść do słowa.

– Ta pani przyszła do mnie. – Wskazała palcem na Lenę. – Babciu, mogę porozmawiać z panią policjantką?

– Nie ma takiej potrzeby, kochanie.

– Co tu się dzieje? – powtórzył mężczyzna. W wyblakłej koszuli, garniturowych spodniach i drucianych okularach na nosie wyglądał jak profesor akademicki w stanie głębokiego spoczynku. I rzeczywiście tak było, co Lena sprawdziła, zanim zjawiała się w mieszkaniu państwa Machoniów.

– Proszę, babciu.

Kobieta pociągnęła Basię za rękę, lecz upór siedmiolatki wygrał ze zwiotczalymi mięśniami staruszki. Dziewczynka wyrwała dłoń, przemaszerowała przez kuchnię i usiadła naprzeciwko Rudnickiej. Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Niech pani ich przekona – zarządziła, krzyżując chude ramiona.

Rudnicka odwzajemniła uśmiech. Spodobała jej się ta mała łobuziara. Odwróciła się do Machoniów.

– Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zamieniły z Basią słowo?

– Mowy nie ma – ucięła Arleta. – Baśka, do pokoju!

Dziewczynka nie ruszyła się z miejsca.

Arleta spojrzała na nią bezradnie, po czym wymieniła spojrzenie z mężem. Profesor wzruszył ramionami. Raczej miał w tym domu niewiele do powiedzenia, a pod ciężkim spojrzeniem żony robił się coraz mniejszy.

– Pięć minut – powiedziała Arleta. – I nie wiem, dlaczego się na to zgadzam. – Pokręciła głową. – Jak wróci mama, wszystko jej powiem. Poskarżę się, że nie słuchasz babci. – Popchnęła męża i oboje opuścili kuchnię.

– Dziadkowie – mruknęła Basia, tonem, jakby przeżyła na tym świecie co najmniej sto lat – ciągle się martwią.

– Dziadkowie już tacy są.

Dziewczynka wyduła usta. Oparła łokcie na stole i podparła brodę na splecionych dłoniach.

– Serio jest pani policjantką? – zapytała.

– Serio.

– Nie ma pani munduru ani policyjnej czapki.

– Nie każdy policjant musi nosić mundur.

– A umie pani strzelać?

– Umiem.

Basia zwinnie wskoczyła na krzesło i klasnęła w dłonie.

– Ale super!

Rudnicka się uśmiechnęła.

– Basiu, skąd pomysł, że przyszedłam porozmawiać akurat z tobą? – spytała. Dziewczynka zmarkotniała. Przesiadła się na krzesło obok Leny. Jej małe stopy, ubrane w różowe skarpety z kotem, nie sięgały podłogi. Majtała nimi w przód i w tył.

– Nie wolno kłamać – powiedziała. – Mama tak mówi.

– Racja. Nieładnie jest kłamać.

– Nie powie pani babci? – Złożyła dłonie jak do modlitwy.

– O czym?

Przesunęła się bliżej i oparła rękę na udzie Leny.

– Kiedy babcia kładzie się spać, oglądam w nocy telewizję – wyszeptała jej na ucho.

Rudnicka zachowała całkowitą powagę.

– W takim razie musisz być bardzo ostrożna – poradziła. – Wystarczy jeden nieostrożny ruch, a dziadkowie się obudzą.

Basia przyłożyła palce do ust i namyślała się chwilę.

– Dziadek śpi jak zabity – stwierdziła. – I chrapie. Kiedy babcia pyta, czy oglądałam w nocy telewizję, mówię, że nie. Nie wolno kłamać babci, prawda?

Rudnicka patrzyła na dziewczynkę, czekając na ciąg dalszy.

– Ma pani dzieci? – Basia skubała materiał dzinsów Leny.

– Nie mam.

– Ja chciałabym mieć brata. Dałabym mu na imię Józek.

– Józek to ładne imię.

– Wolałaby mieć pani dziewczynkę czy chłopczyka?

– Hm. Myślę, że nie miałabym na to wpływu.

– A jakby miała pani dziecko i ono nie posłuchałoby pani, to byłaby pani zła?

– Wszystko zależy od tego, co by zrobiło.

– Gdyby skłamało.

– Rodzice nie potrafią długo złościć się na swoje dzieci.

Basia pomachała nogami, rozprostowała plecy i nachyliła się do Leny.

– Okłamałam panów policjantów – wyszeptała. – Pójdę do więzienia?

Wizja więzienia raczej nie stanowiła dla Basi większego problemu. Zaczęła skubać skórki przy paznokciach, ale z jej twarzy nie schodził uśmiech.

– W jakiej sprawie okłamałaś policjantów? – zapytała Rudnicka.

– Mama mówi, że nie wolno kłamać, ale tatuś mi kazał.

– Tata kazał ci okłamać policjantów?

– Mówił, że to zabawa. Kazał mi powiedzieć, że byłam z nim w domu, ale to nieprawda. Byłam wtedy z mamą. To nie jest żadna zabawa, proszę pani. Nie jestem małym dzieckiem. Wiem, że policjanci nigdy się nie bawią. Oni zamykają złych ludzi i nie wolno ich okłamywać. Oglądałam w telewizji, jak pan policjant mówił, że za kłamstwo można iść do więzienia. Ale proszę, niech pani mnie nie wyda przed babcią! Ona mi nie pozwala oglądać takich programów. Mówi, że są brutalne i nie dla dzieci.

Rudnicka od początku czuła, że alibi Lewickiego jest niewiarygodne. Oczywiście policja je sprawdziła. Córka Lewickiego powiedziała, że przebywała z ojcem w domu.

– Wiesz, gdzie wtedy był tata? – zapytała.

Basia pokręciła głową.

– Pójdę do więzienia?

– Oczywiście, że nie. Dzieci nie idą do więzienia.

– Czyli mogą kłamać?

Rudnicka zastanowiła się nad odpowiedzią. Rozmowy z dziećmi bywają naprawdę trudne.

Na szczęście do kuchni wparowała Arleta.

– Powinna pani już iść – oznajmiła głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Lena nie polemizowała. Zabrała Machoniom wystarczająco dużo czasu.

Schodząc po schodach, myślała o Damianie Lewickim. Po pierwsze: wychowawca się ukrywał. Lena nie miała żadnych wątpliwości, że jego zniknięcie nie pozostaje bez znaczenia. Wieczorne odwiedziny u córki również. Nocą łatwiej pozostać niezauważonym. Po drugie: Marzena Lewicka. Była żona wychowawcy wyjechała dwa dni temu. Nie poinformowała o wyjeździe matki i nie skontaktowała się z rodziną. Choć jeszcze nie ma w tym nic podejrzanego. Mogła zgubić komórkę albo rzeczywiście jest zajęta.

Co za bzdury.

Lewicka była matką. Matki zawsze dzwonią, aby choć przez kilka minut posłuchać głosu swoich dzieci.

Rudnicka wsiadła do jaguara i skierowała się na ulicę Legionów. Jeszcze w samochodzie połknęła tabletkę oxycontin i popiła red bullem, którego zostawił wczoraj Wolski. Puszka długo leżała w samochodzie. Napój był ciepły i niesmaczny, mimo to Lena opróżniła puszkę jednym haustem. W drodze zadzwoniła do Marcela. Nie odebrał.

Przestąpiwszy próg solarium, znalazła się w przestronnym pomieszczeniu, utrzymanym w szaro-białych barwach, które rozświetlały neonowe lampy łózek do opalania. Długonoga

brunetka niemal podskoczyła za biurkiem. Poderwała się i na cienkich jak wiosenne gałązki obcasach przytruchtała do klientki. Miała idealnie trójkątną twarz w kształcie diamentu, chociaż z kruszców brunetka preferowała raczej metale, które w postaci okrągłych bransoletek dźwięczały przy każdym uniesieniu ręki.

Aldona, bo takie imię widniało na przypince wydekoltowanej bluzki, przystąpiła do objaśniania najnowszej promocji – piętnaście wejść w cenie dziesięciu – i zapytała Lenę, czy to jej pierwsza wizyta w solarium. Rudnicka automatycznie kiwnęła głową. Nigdy nie korzystała z solarium. Przerazała ją myśl, że po zamknięciu wieka mogłaby się usmażyć jak pieczarka na grillu.

Aldona umilkła, a Rudnicka uświadomiła sobie, że odkąd zawitała w dolinie sztucznego słońca, nie odezwała się ani słowem.

– Policja – powiedziała w końcu.

Aldona wybałuszyła oczy.

– Marzena Lewicka to twoja szefowa, prawda? – spytała Lena.

– Marzeny nie ma. – Aldona cofnęła się kilka kroków, jakby w obawie, że policjantka powali ją na ziemię i zakuje w kajdany.

– Wyjechała służbowo?

– Tak.

– Skąd wiesz?

– Pracuję tutaj. – Rozłożyła ręce. – Muszę wiedzieć o wyjazdach, żeby zmienić grafik i tak dalej.

– Mam na myśli, skąd wiesz, że Marzena wyjechała służbowo?

Drzwi od solarium się otworzyły. Do środka wpadły dwie roześmiane dziewczyny. Rudnicka obróciła się, chwytając odruchowo za broń.

– Zamknięte – rzuciła.

– Na drzwiach jest napisane, że czynne od dziesiątej do...

– Ale jest zamknięte. Mam przeliterować? Przyjdźcie za dziesięć minut.

Dziewczyny pospiesznie opuściły solarium. Lena była pewna, że nie tylko nie przyjdą za dziesięć minut, ale już nigdy nie rozciągną się na neonowym łożu przy ulicy Legionów.

Trudno.

– Odstrasza mi pani klientów!

– Odpowiedz na pytanie. Skąd wiesz o wyjeździe Marzeny?

– Od jej byłego męża.

– Przyszedł tutaj?

Aldona przytaknęła.

– Straszny gbur – dodała.

– Kiedy?

– Dwa dni temu.

– Co powiedział?

Aldona namyślała się chwilę.

– Powiedział, że Marzena wyjechała i mam do niej nie dzwonić.

– Podał powód?

– Musiała nagle wyjechać na jakieś targi. Podobno myślała nad zmianą łóżek. To bez sensu, ponieważ łóżka zmieniliśmy rok temu. Chciałam zadzwonić do Marzeny i omówić zakup. Uważam, że ten pomysł to strata pieniędzy, ale ten prostak wyrwał mi telefon.

– Odbywają się teraz jakieś targi?

– Nie sprawdzałam.

– Możesz to zrobić?

– Oczywiście.

Aldona podeszła do komputera. Uruchomiła dokument, przebiegła go wzrokiem i uniosła głowę.

– W naszym kalendarzu Marzena nic nie zaznaczyła – oznajmiła. – A wpisywała wszystkie targi. Nawet takie, na które się nie wybierałyśmy. Chciała wiedzieć, co się dzieje w branży. Ale sprawdzę jeszcze w internecie. Może coś przeoczyłyśmy.

Sprawdziła. W tym tygodniu w Polsce nie organizowano żadnych targów.

– Wróćmy do wizyty Lewickiego – powiedziała Rudnicka. – O której godzinie przyszedł?

– Nie pamiętam dokładnie. Wieczorem, tuż przed zamknięciem.

– Do której macie czynne?

– Do dwudziestej.

– Okej. Przyszedł i co dalej?

Aldona potarła czoło.

– Całe popołudnie dzwoniłam do Marzeny – odparła. – Nie pojawiła się w pracy. Umówiłyśmy się, że tego dnia wyjdę wcześniej, ponieważ obiecałam matce, że zawiozę ją do lekarza. Ustaliłam z Marzeną, że zmieni mnie przed czternastą, ale nie przyszła, nie odbierała też telefonu. Wściekłam się. Matce przepadła wizyta, a na następną musi czekać kilka tygodni. Potem przyszedł Lewicki i poinformował mnie, że Marzena wyjechała. Nie uwierzyłam mu. Córka nie wspomniała o żadnym wyjeździe, ale kiedy powiedział o tych łóżkach, szlag mnie trafił.

– I wtedy do niej zadzwoniłaś?

– Tak, ale nie odebrała. W końcu ten cały Damian się wkurzył i próbował wyrwać mi telefon. Nie mam pojęcia, co Marzena widziała w tym facecie, ale według mnie to psychopata.

Rudnicka przypomniała sobie rozmowy z Lewickim. Zachowywał się raczej powściągliwie.

– Co działo się potem? – spytała Lena.

– Nic specjalnego. Damian wyszedł, zamknęłam solarium, a kiedy pojechałam do domu, Marzena wysłała SMS-a, że wyjeżdża, przeprasza i nie wie, kiedy wróci. Pewnie Damian

jej przekazał, że chciałam porozmawiać.

– Odpisałaś na wiadomość?

Aldona oparła się o biurko.

– Nawet zadzwoniłam – stwierdziła. – Marzena wyłączyła telefon.

– Jakie relacje utrzymywała z Lewickim?

– Średnie.

– Co to znaczy?

– Kiedy byli małżeństwem, Lewicki miał kochankę.

To wiele wyjaśnia.

– Tragedii nie było – dodała Aldona. – Ze względu na córkę starali się żyć w zgodzie.

– A w trakcie małżeństwa? Kłócili się?

– Wtedy nie znałam Marzeny. Kiedyś poruszyłam temat, a Marzena uznała w rozmowie, że ich małżeństwo się posypało, ponieważ zjadła ich rutyna i pewnie z tego powodu Damian znalazł sobie inną. Nic nowego – westchnęła. – Faceci są straszni. Jakby byli zaprogramowani tylko do szukania nowych dziurek.

Rudnicka pokiwała głową i podała kobiecie wizytówkę.

– Gdyby Marzena jednak się odezwała, proszę zadzwonić – powiedziała.

2

Damian Lewicki brzydził się przemocą i nigdy nie zrobił nikomu krzywdy bez powodu.

Kiedyś, gdy miał osiem lub dziewięć lat, poznał nowego kolegę – Adriana. Adrian był rok młodszy i miał dziwny zwyczaj podkradania zabawek. Uważał, że jeżeli dotknie któregoś samochodzika, ten automatycznie staje się jego własnością. Nazywał to prawem ręki. Damian liczył się z prawem ręki do czasu, kiedy mama kupiła mu wóz strażacki na baterie. Samochód był duży, kosztował majątek i można nim było sterować za pomocą pilota.

Wypas.

Damian próbował ukrywać nową zabawkę. Jeździł samochodem tylko w domu, by Adrian nie mógł zastosować prawa ręki, ale jak to w życiu bywa, nadeszła wiosna, wyszło słońce, a wraz z nim na podwórku zaczęło pojawiać się coraz więcej dzieciaków. Pokusa była wielka. Damian walczył ze sobą kilka dni, a kiedy mama powiedziała, że Adrianek spod szóstki wyjechał do babci, Damian zabrał wóz pod pachę i pomaszerował na dwór.

Co to była za radość! Mógł swobodnie jeździć wozem po chodniku i wreszcie uruchomić syrenę. W domu mama zabraniała. Mówiła, że boli ją głowa, ale mały Damian wątpił, by prawdziwą przyczyną bólu głowy matki była strażacka syrena. Nie wiedzieć czemu ataki migreny nasilały się wieczorem, w momencie gdy ojciec przekraczał próg mieszkania.

Wokół samochodu zebrała się spora grupka chłopców. Każdy z nich chciał choć przez chwilę posterować wozem. Damian niechętnie się zgadzał. Obawiał się, że któryś z nich za

mocno wciśnie guzik i wóz rozbije się o krawężnik albo wpadnie pod koła przejeżdżającego samochodu.

Ale stało się coś jeszcze gorszego.

Mama była największą plotkarą w okolicy. Zasięgiem obejmowała nie tylko swoją kamienicę, ale dzięki rozbudowanej siatce informatorów wieści spływały też do niej z całej okolicy. Rzadko się myliła. Damian pamiętał dzień, gdy spędzał czas w pokoju, układając klocki, a w odwiedziny wpadła sąsiadka z parteru. Na tapecie znalazła się rodzina Halickich z drugiego piętra. Bożena, mówię ci, że oni się rozwiodą. Stary Halicki ma babę, grzmiała matka. Bożena nie wierzyła, kręciła głową, a na przetrwanie tej złowrogiej wróżby podlewała się śliwkową nalewką.

Trzy miesiące później okazało się, że stary Halicki miał babę. Żona urządziła przymusową eksmisję, zabarykadowała drzwi, a ubrania niewiernego małżonka wyrzuciła przez okno.

Matka zawsze miała rację.

Dlatego Damian uwierzył, kiedy oznajmiła, że Adrianek spod szóstki wyjechał do babci, ale tym razem się pomyliła.

Adrian wcale nie wyjechał do babci i nawet nie miał tego w planach. Siedział w domu, a gdy zobaczył przez okno nową podwórkową atrakcję, wystrzelił z mieszkania jak z procy. Na widok biegnącego Adriana Damian odruchowo zasłonił wóz. W głowie dudniło mu prawo ręki. Niewiele myśląc, ujął samochód pod pachę i biegł ile sił w nogach, by przedostać się na drugą stronę ruchliwej ulicy.

Obrócił się, żeby ocenić szansę ucieczki, i wówczas zobaczył roześmianą twarz kolegi. Adrian puścił się za nim w pogoń i nie rozglądając się na boki, wbiegł na jezdnię.

Damian nie zdążył krzyknąć, kiedy ciężarówka z naczepą pełną gruzu uderzyła w Adriana. Widział jedynie, jak ciało chłopca, ubrane w niebieskie spodenki, turla się pod ogromnymi kołami, a po upływie kilku sekund pozostaje w tyle za hamującym samochodem. Kierowca zatrzymał się raptem parę metrów dalej.

Damian nigdy nie zrobił nikomu krzywdy bez powodu. Nie czuł się winien śmierci Adriana, ale od tamtej pory nie wyzbył się dziecięcej satysfakcji. Uratował swój strażacki wóz. To było najważniejsze. Czasem zastanawiał się, czemu nie zapłakał na pogrzebie kolegi. Nie był odarty z uczuć, ale łzy nie chciały popłynąć. Patrzył na martwe ciało z dumą, jakby mimo własnych słabości udało mu się pokonać przeciwnika.

Nie wiedział, dlaczego akurat teraz przypomniała mu się tamta historia. Może na stare lata robi się sentymentalny? A może wydarzenia ostatnich dni przywołały wspomnienia? Gdyby zastanowić się nad całą sytuacją, śmierć towarzyszyła Damianowi od dziecka, jakby była wpisana w jego życie.

Nie wolno zmieniać przeznaczenia.

Spojrzał na rozpościerające się dookoła pola. W oddali dostrzegł światła mercedesa okularnika. Wyszedł naprzeciw, uśmiechając się pod nosem.

Sebastian Tolis zatrzymał samochód przed domkiem. Wysiadł, ściskając w ręku elektronicznego papierosa. Garnitur miał pomięty i wilgotny, jakby dopiero wyciągnął go z pralki. Zdjął marynarkę; na plecach widniała plama potu. Przeczesał dłonią włosy i odpiął dwa guziki koszuli.

– Co ty odpierdalasz? – warknął.

– Masz kasę? – Damian zmrużył oczy.

– Pogrzało cię?

– Potrzebuję forsy.

– Mam gdzieś, czego potrzebujesz. Myślisz, że możesz mnie szantażować?

Damian westchnął.

– Zamówienie nie zostało zrealizowane – rzekł. – Szuka mnie policja. Chcę uciec za granicę, dopóki nie wystawili za mną pieprzonego listu gończego. I żeby uciec, potrzebuję gotówki.

– Nie mam takiej kasy.

– Ile masz?

– Pięćdziesiąt tysięcy, których i tak nie dostaniesz.

– Może być. – Damian spojrzał na Tolisa z uśmiechem. – Wiem, że masz kasę przy sobie. Nie jesteś idiotą. Nie ryzykowałbyś.

Tolis rozpiął kolejny guzik.

– Jaką mam pewność, że nie wrzucisz zdjęć do sieci? – zapytał senator.

– Żadnej. Musisz mi zaufać.

– Nie ufam ci, odkąd dowiedziałem się, że zabiłeś własną żonę.

– Byłą żonę – poprawił go Damian. – I zabiłem ją niechcący.

– Niechcący?! Kurwa, mówisz, jakbyś stłukł wazon!

Damian spojrzał w tylną szybę mercedesa. Ciekawe, gdzie Tolis schował pieniądze? Na pewno wziął kasę ze sobą. Polityczna kariera była dla niego najważniejsza. Gdyby ludzie zobaczyli zdjęcia z senatorem zażywającym narkotyki w towarzystwie mężczyzny podejrzanego o morderstwo, wybuchłby skandal na całą Polskę. Dlatego Tolis zapłaci każdą cenę, by uniknąć afery. Zrobi wszystko, żeby zdjęcia z aparatu Krystiana Owczarka nie ujrzały światła dziennego.

– Dzisiaj pięćdziesiąt patyków – rzekł Damian. – Jutro reszta.

– Kolejne pięćdziesiąt tysięcy?! – Tolis poczerwieniał. – Skąd mam wytrzasnąć tyle kasy?!

– Nie obchodzi mnie skąd. Weź kredyt. Masz takie dochody, że nie będziesz miał problemów ze zdolnością kredytową. Albo pożycz od bogatych kolegów z branży.

Sebastian spojrzał na Damiana, zaciskając pięści.

– Nie spodziewałem się tego po tobie. – Otworzył drzwi pasażera i z samochodowego schowka wyciągnął papierową torbę. Rzucił ją w stronę Damiana. – Mówiłeś, że skasowałeś te cholerne zdjęcia.

– A ja nie spodziewałem się, że zostawisz mnie z tym gównem. – Damian otworzył torbę i zajrzał do środka. Poczul przyjemny zapach pieniędzy. – Pomogłem ci, a ty mnie zostawiłeś.

Tolis ze złością pociągnął dymek z elektronicznego papierosa.

– Jeżeli wywiniesz jakiś numer... – ostrzegł go Damian.

– Zapomnij. Gdybym chciał donieść policji, dawno bym to zrobił.

– Słusznie. Pamiętaj, że nie jesteś bez winy.

Tolis doskonale o tym wiedział. Lista jego przewinień była długa: zataił morderstwo przed policją, pobił dziennikarza, pomógł upozorować wypadek. A do tego wiedział, gdzie ukrył się poszukiwany, i nie zawiadomił organów ścigania. Gorzej być nie mogło.

– Masz czas do jutra – rzekł Damian. – Przywieziesz resztę forsy i zapomnimy o wszystkim.

3

Rudnicka ponownie stanęła przed kamienicą Machoniów. Nie chciała niepokoić staruszków, ale po tym, czego dowiedziała się od dziewczyny z solarium, sceptycyzm dotyczący zaginięcia Owczarka zniknął.

Coś się stało, a Lena była o jeden dzień do tyłu. Zlekceważyła zniknięcie dziennikarza. Satysfakcja z rozwiązania sprawy Diany Pulido przyćmiła jej czujność. Informacja o śladach w samochodzie Owczarka powinna zapalić w jej głowie czerwoną lampkę. Umysł pracował na zwolnionych obrotach, jakby ktoś zaciągnął hamulec ręczny.

Nie ktoś. Coś.

Dobrze wiedziała, co jest przyczyną tego stanu. Spojrzała na dwie tabletki leżące w zagłębieniu dłoni, a potem szybko wrzuciła je z powrotem do plastikowego pojemnika.

Nie teraz.

Zapukała do Machoniów. Przez długie sekundy nasłuchiwała dźwięków z wnętrza. Zapukała raz jeszcze, po czym drzwi naprzeciwko uchyliły się na długość zamontowanego w drzwiach łańcucha, a w szparze pojawiły się siwe włosy upstrzone kolorowymi wałkami.

– Nie ma ich – poinformowała ją sąsiadka Machoniów. Głos miała ochryply, jakby wykopciła całą paczkę papierosów bez filtra naraz. – Widziałam, jak wychodzili z wnuczką – dodała. – Pewnie na spacer.

– Wie pani, dokąd mogli pójść?

– A niby skąd mam wiedzieć? – obruszyła się. – Coś przekazać?

Rudnicka zacisnęła usta i pokręciła głową. Zeszła ze schodów, wyjmując komórkę. Zadzwoiła do Wolskiego. Bez odpowiedzi.

Powiodła wzrokiem po ulicy. Czuła się, jakby miała związane ręce. Od czego zacząć? I jak dotrzeć do Lewickiego? Cholera, nawet nie miała pewności, czego szukać. Czy

Lewicki zrobił coś złego dziennikarzowi? I czy Marzena miała coś wspólnego ze zniknięciem byłego męża?

Podeszła do jaguara, wyjęła ostatnią puszkę red bulla i wyrzuciła do ulicznego kosza paczkę po czteropaku. Upiła łyk, kiedy nagle coś przykuło jej uwagę.

Kwadratowa paczuszka w arktycznym kolorze leżała parę metrów od przedniego koła jaguara.

Westy.

Postawiła red bulla na dachu i podniosła paczkę. Zawahała się, jakby niewidzialna siła zatrzymała rękę w powietrzu. Jeżeli w środku jest to, co myśli...

Szybko wyjęła zapalniczkę. Dokładnie tę, którą wczoraj sama zapalała papierosa. Naklejka z galopującymi końmi była zdarta do połowy.

To była zapalniczka Marcela.

4

Pędziła setką po mieście. Zatłoczone centrum nie jest dobrym miejscem do testowania mocy silnika, ale posiadanie policyjnej odznaki ma swoje dobre strony. Jakkolwiek by było, funkcjonariusze rzadko wlepiają mandaty koleżance po fachu.

Lawirowała między samochodami, nie zdejmując nogi z gazu. Na Sienkiewicza dotarła pięć minut później. Z paczką westów w kieszeni marynarki wpadła do pokoju zajmowanego przez policyjnych techników.

– Gdzie Liz?! – Technicy unieśli głowy, ale nie zdążyli odpowiedzieć.

– Tutaj! – Rudowłosa Liz przywołała ją z sąsiedniego pokoju.

Rudnicka nie czekała na zaproszenie. Z hukiem zatrasnęła za sobą drzwi i spojrzała na Krajewską.

– Musisz namierzyć Marcela – oświadczyła.

Liz opadła na oparcie fotela, przerzuciła przez ramię gruby warkocz i splotła dłonie na brzuchu.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie mam czasu na tłumaczenie. Musisz...

– Stój. – Liz uniosła rękę. – Powiedz, co się dzieje.

Lena westchnęła, próbując się uspokoić, a potem szybko streściła Krajewskiej sytuację. Począwszy od znalezienia samochodu Owczarka, poprzez podejrzenia Majera wobec Lewickiego, na paczce westów kończąc. Technik słuchała uważnie, kiwając głową. Gdy Rudnicka skończyła mówić, Liz milczała przez chwilę, po czym uruchomiła komputer.

– Daj numer Marcela – powiedziała.

Lena podała telefon z wyświetlonym numerem Wolskiego.

– Usiądź. To chwilę zajmie.

– Ile? – Rudnicka nie skorzystała z propozycji.

– Zależy, czy Marcel ma włączony telefon i włożoną kartę SIM, bo...
– Ma – ucięła Lena. – Jest sygnał.
Liz wklepała cyfry.
– Żeby namierzyć telefon, musi mieć on połączenie ze stacją bazową – wyjaśniła technik. – Czyli mieć zasięg...
– Wiem, czym jest stacja bazowa.
– Można skorzystać z numeru IMEI lub numeru telefonu. – Kilka razy kliknęła myszką.
– Ponieważ jeśli jest połączenie między urządzeniem a stacją bazową, dochodzi do wymiany informacji. Jest tylko jedno ale. – Liz spojrzała na Lenę. – Dokładniejsza lokalizacja wymaga zasięgu trzech stacji.
– Wiem, jeżeli będzie mniej stacji, możemy dostać okrąg nawet kilku kilometrów. Wiem.
Liz przez chwilę wpatrywała się w monitor.
– Gdyby ktoś się dowiedział, dostanę po głowie. – Przeniosła wzrok na Lenę, która krążyła po pokoju. – Powinnam zwrócić się do prokuratora, a potem do operatora.
– Biorę to na siebie.
– Jak zwykle. – Liz się uśmiechnęła. – Swoją drogą to fascynujące, że w App Store możemy za darmo pobrać aplikacje do śledzenia ludzi, a policja musi występować o zgodę.
– Zmrużyła oczy. – Marcel jest geniuszem.
Lena stanęła za plecami technik i spojrzała na ekran.
– W jego telefonie jest uruchomiona transmisja danych i GPS – powiedziała Liz. – Urządzenie na bieżąco wysyła informacje o lokalizacji. – Dotknęła palcem monitora. – Znajduje się na drodze pomiędzy Łodzią a Tomaszowem Mazowieckim.
Rudnicka poczuła, że oblewa ją zimny pot. Znała tę drogę.
– Od prawie dwunastu godzin nie zmienił położenia – dodała technik.

5

Powinnaś powiadomić komendanta o swoich podejrzeniach. – Liz mówiła spokojnie, ale niepokój w jej głosie był tak silny, że Rudnickiej przyszło do głowy, że tę dwójkę łączy coś więcej niż relacje zawodowe.

W komendzie przy Sienkiewicza pracuje tysiąc sześciuset funkcjonariuszy. Dużo? Owszem, to dużo, warto jednak pamiętać, że praca w policji to zawód jak każdy inny, przynajmniej w pewnych aspektach. W policji także znajdzie się parę osób, które mówią znacznie więcej, niż powinny. W tym przypadku tą osobą był aspirant Bartosz Krzemień, człowiek mający w życiu więcej szczęścia niż rozumu i wyjątkowa papla. Język miał tak długi, a znajomości tak rozległe, że zasięgiem obejmował wszystkie wydziały. To dzięki Krzemieniowi Lena dowiedziała się, że kontakty Marcela z Liz wykraczały poza obszar relacji zawodowej. Nie ma w tym nic dziwnego, odpowiedziała Krzemieniowi i wówczas naprawdę tak myślała. Jakkolwiek by patrzeć, wśród tych tysiąca sześciuset

funkcjonariuszy siłą rzeczy tworzą się grupki, które spędzają ze sobą czas po robocie. Ludzie w tej branży posiadają charakterystyczną cechę – nie wylewają za kołnierz. Niektórzy nie są w tym względzie przebojowi – wypijają piwko lub dwa w zaciszu własnego domu – i to chyba najbardziej zgubne przyzwyczajenie, ponieważ z czasem jedno lub dwa piwka zamieniają się w trzy lub cztery, a potem w pięć lub sześć, by na końcu, kilka lat przed emeryturą, przybrać postać półlitrowej butelki czystej, popijanej samotnie podczas oglądania reality show na TVN-ie. Drugą grupą policjantów są ci, którzy piją, bo nic innego nie mają do roboty – żona odeszła, facet znalazł sobie młodszą, a w domu nikt nie czeka.

Tak więc gdy Bartosz Krzemień szepnął Rudnickiej, że syn komendanta już któryś raz wychodzi po pracy z rudą technik, Lena nie widziała w tym nic nieprzyzwoitego. W końcu oboje są wolni. Właściwie Lena nie miałaby nic przeciwko, gdyby zostali parą. Pasowaliby do siebie, uznała. Liz to świetna dziewczyna z trochę pokręconym życiorysem – jej małżeństwo trwało krócej niż znajomość z ukochanym (dwa miesiące pożycia do trzech miesięcy znajomości) – i choć stanowczo się tego wypierała, Liz była romantyczką. Marzyła o białej sukni, domu pod miastem, trójce dzieci i biszkoptowym labradorze. Marcel miał podobne marzenia. Mogliby stworzyć udany związek.

Rudnicka nie miała pojęcia, dokąd Liz i Marcel chadzają po pracy, i – mówiąc szczerze – nie bardzo ją to obchodziło.

Aż do teraz.

– Słuchasz mnie? – Liz spojrzała na Lenę karcącym wzrokiem. Jedną ręką bawiła się pasem bezpieczeństwa. Chowała go i wyciągała. W końcu puściła, a czarna taśma wstrzeliła się pomiędzy piersi.

– Pójdę do starego Wolskiego, jak zbiorę więcej informacji. Może Marcel zabalował. Nie siejmy paniki.

Lena objechała rondo, kierując się na Karpin.

Przez chwilę jechały w milczeniu.

– Jeżeli uważasz, że ten facet... – odezwała się technik.

– Lewicki.

– Lewicki. – Liz przytaknęła. – Zrobił coś Marcelowi, powinniśmy powiadomić komendanta. W końcu to jego syn. Stary Wolski postawi na nogi policję w całym mieście, żeby go odnaleźć.

– Właśnie w tym rzecz, Liz.

– W czym? W tym, że komendant zarządzi poszukiwania Marcela? Chyba o to chodzi, prawda? Jeżeli grozi mu niebezpieczeństwo, musimy zrobić wszystko, żeby go odnaleźć.

– Nic nie rozumiesz.

– Nie? – Liz westchnęła. – No dobrze. Nie będę się z tobą kłócić. Wyłumacz, czego nie rozumiem?

– Później.

Liz oparła głowę o szybę.

– Jakim cudem Marcel wpadł w łapy Lewickiego? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Ten szczeniak zawsze ładuje się w kłopoty.

– To prawda. Jest strasznie nieuważny.

Rudnicka zmarszczyła brwi.

– Paczkę papierosów Marcela znalazłaś przy kamienicy Machoniów? – zapytała Liz.

– Tak.

– Po co Marcel tam poszedł? Może się do czegoś dokopał? Chciał pomówić z Machoniami i wpadł na Lewickiego?

– Wątpię – ucięła Lena, a potem przypomniała sobie, że Wolski był żywo zainteresowany zniknięciem Owczarka. Czyżby postanowił działać na własną rękę? Miała mętlik w głowie. Jeżeli Marcelowi coś się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Przyspieszyła.

– Nie wiem, dlaczego Marcel znalazł się przed kamienicą Machoniów – powiedziała. – I to jest najgorsze. Nie wiem, co się dzieje.

– Nie wierzę, żeby Marcel specjalnie nie odbierał telefonu. Nigdy tak nie robi.

– Zadzwoń do niego – poleciła komisarz.

– Słucham? Mówiłaś, że do niego dzwoniłaś.

– Bo dzwoniłam, ale skoro zawsze od ciebie odbiera, spróbuj zadzwonić.

– Od ciebie nie odbiera?

– Trochę się wczoraj pokłóciliśmy.

Liz nie skomentowała. Wykonała połączenie, ale Marcel się nie zgłosił.

– Kurwa mać – mruknęła Rudnicka, dodając gazu.

– Już niedaleko.

Minęły sklep, przy którym Lena rozmawiała z Majerem, i po kilku kilometrach jaguar zatrzymał się na poboczu. iPhone Marcela leżał w trawie nieopodal jezdni. Aż dziw, że nikt go nie znalazł. Rudnicka rozejrzała się wokół. Nie miałby kto go znaleźć, uznała, przy drodze nie było chodnika, a najbliższe domy stały po drugiej stronie jezdni, pół kilometra dalej. Z okien przejeżdżających samochodów czarny telefon był niedostrzegalny.

– Pole – stwierdziła Liz. – Tak jak pokazał GPS.

Faktycznie lokalizacja w telefonie nie pokazała żadnego adresu. Wiedziały, że komórka leży przy drodze, ale nie przyjechały tutaj bez powodu. Rudnicka liczyła, że znajdzie w iPhone jakież informacje, które pomogą dowiedzieć się, co robił Wolski po wyjściu z Irish Pubu. A jeśli nie, Lena zamierzała objechać okoliczne domy. Może ktoś widział Marcela.

Dzisiejsza technologia miała swoje plusy, a Marcel na bieżąco korzystał z sieci. Najwyraźniej należał do ludzi, którzy cały czas pozostawali online, dzięki czemu Lena otrzymała dostęp do wszystkich miejsc, w których przebywał.

Najpierw jednak musiała pokonać barierę w postaci odcisku palca. Zmieniła ekran na opcję z kodem zabezpieczającym i zastanowiła się, jakie hasło mógł ustawić Wolski. Po wpisaniu jedynki, dwójki, trójki i czwórki telefon oznajmił, że pozostały dwie próby.

Cholera.

– Wpisz jedynkę, piątkę, zero i szóstkę – powiedziała Liz.

– Co to za liczby?

– Data urodzenia Marcela. Ludzie często ustawiają hasła z datą urodzin.

Rudnicka uniosła brwi. Nie miała pojęcia, skąd Liz zna datę urodzin Wolskiego. Zresztą teraz to nie miało znaczenia. Po chwili jednak dotarło do niej, że raptem kilka dni temu Marcel miał urodziny. Nie złożyła mu życzeń.

iPhone zaakceptował hasło.

– Pamiętam, ponieważ Marcel zrobił urodzinową imprezę – wyjaśniła technik i oblała się rumieńcem, jakby zdała sobie sprawę z faux pas.

Leny wcale nie zdziwiło to, że nie dostała zaproszenia na przyjęcie. Kazała się Wolskiemu odpiardolić i tak też uczynił.

Przejrzała zawartość telefonu.

– Nie dzwonił do nikogo podejrzanego – powiedziała. – O dwudziestej trzeciej rozmawiał z ojcem. W wiadomościach też nie ma nic ciekawego. – Oprócz folderu z SMS-ami od Liz, do którego Lena nie zajrzała. – Według GPS-u po wyjściu z Irish Pubu poszedł do Biblioteki przy Struga, potem w lewo ulicą Kościuszki i zawrócił. Dotarł w okolice numeru dwadzieścia sześć, potem tutaj. To znaczy wyrzucił telefon.

– Jechał samochodem?

– Tak. Inaczej by tu nie dotarł.

Liz zmarkotniała.

– Wniosek z tego jest jeden – powiedziała Lena. – Lewicki go porwał.

6

Komendant Andrzej Wolski uporządkował dokumenty na biurku, ułożył je w zgrabny stosik i przesunął na róg blatu. Obok położył kilka kodeksów. Poprawił dębowy krzyżyk wiszący za plecami. Chciał, by oko kamery również go uchwyciło.

Andrzej Wolski był człowiekiem wierzącym. Nie uważał siebie za radykalistę, ale medialne akcje ze zdejmowaniem krzyży w miejscach publicznych uważał za głupie prowokacje środowisk lewicowych. Jeśli ktoś wierzy w Boga, powinien mieć prawo do posiadania krzyża.

Tyle w temacie.

Wyglądził mundur, usiadł za biurkiem i położył ręce na blacie. Denerwował się. Dawno nie udzielał wywiadu, ale gdy kilka dni temu zadzwoniła reporterka, która przygotowywała materiał o pracy polskiej policji, nie mógł odmówić. W mediach zbyt mało mówi się

o tym, ile dobrego robią policjanci na co dzień i ile wysiłku wkładają w swoją pracę, a zbyt wiele zajmują dyskusje o przewinieniach pojedynczych funkcjonariuszy. W każdym stadzie znajdzie się czarna owca.

Spojrzał na zegarek. Dziennikarka powinna być za piętnaście minut. Zadzwoił do żony. Spokojny głos Małgorzaty dodał mu otuchy. Poczuł się pewniej. Schował komórkę i opadł na fotel.

Dziesięć minut.

Nagle otworzyły się drzwi gabinetu. Lena Rudnicka wpadła do środka niczym burza i wymierzyła w niego palec.

– Musimy porozmawiać.

Zawróciła i kopnęła butem drzwi. Zamknęły się z hukiem, jakby zaraz miały wypaść z futryny.

– O, nie, moja droga. – Komendant wstał. – Wyjdź! Za dziesięć minut mam ważne spotkanie.

– Musi je pan przełożyć.

– Uznam twoją wizytę za żart i zapomnę o sprawie, jeśli natychmiast opuścisz mój gabinet.

Rudnicka nie ruszyła się z miejsca. Wolski otworzył usta, ale ona okazała się szybsza.

– Chodzi o Marcela – wyjaśniła.

– O Marcela?

– Rozmawiał z nim pan wczoraj o dwudziestej trzeciej, prawda?

– Dlaczego pytasz?

– O czym rozmawialiście?

– Lena? – Spojrzał na nią surowo, ale jego twarz nieco złagodniała.

– Niech pan odpowie na pytanie. Zaraz wszystko wyjaśnię.

– Był pijany. Kazałem mu iść do domu.

– Ale to Marcel do pana dzwonił. Nie na odwrót. Czego chciał? Chodziło o tę pana nieszczęsną prośbę?

– Skąd wiesz?

– Powiedział, że rozmawialiście. Zresztą nieważne. – Machnęła ręką.

Komendant uniósł dłoń i ściągnął brwi. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Zapewne wolałby, aby Marcel zachował ich rozmowę dla siebie.

– Po co przyszłaś? – zapytał. – Zakładam, że chodzi o coś ważnego.

– Marcel nie przyszedł do pracy.

– Co to znaczy?

– To, co powiedziałam.

– Rozmawiałaś z nim? Wytłumaczył nieobecność?

Uciekła wzrokiem za okno. Andrzej Wolski instynktownie rozpoznał tę reakcję.

Oparł się w fotelu, a wtedy Lena zaczęła mówić. Chociaż czasu mieli niewiele, starała się nie pominąć żadnego szczegółu, włącznie z tym, że zlekceważyła zniknięcie Owczarka. Oczywiście formalnie śledztwo w tej sprawie nie należało do niej. Formalnie, bo w rzeczywistości wiedziała, co zaraz usłyszy.

– To twoja wina.

– Szefie, ja naprawdę...

– Coś ty narobiła?!

Milczała. Czuła się cholernie winna. Powinna posłuchać Wolskiego i odpieprzyć się od Marcela. Gdyby pracował za biurkiem, nic by się mu nie przydarzyło.

– Roześlę patrolę. – Andrzej Wolski podniósł się z za biurka. Po jego szyi płynęła strużka potu.

– Myślę, że...

– Gównu mnie obchodzi, co myślisz! – huknął. – To jest mój syn! Mój jedyny syn, który przez ciebie wpakował się w kłopoty. Wiedziałem, że tak to się skończy! Ostrzegałem, żebyś dała mu spokój! – Załamał ręce. – To moja wina. To był mój pomysł, żeby sprowadzić Marcela do Łodzi....

– Odnajdę go.

– Ty? – Podeszedł bliżej. – Wylatujesz.

Znieruchomiła.

– Słucham?

– Wyłączam cię z tej sprawy! Do widzenia.

– Szefie...

– Rozumiesz, co powiedziałem? Jeżeli zaczniesz mieszać się w poszukiwania Marcela, wyciągnę konsekwencje.

– Wyrzuci mnie pan?

– Tego bym nie chciał.

Ale byłby do tego zdolny. Lena widziała to w jego oczach. W tej chwili był gotów chwycić ją za szyję i ścisnąć tak mocno, żeby zabrakło jej powietrza.

– Kto poprowadzi poszukiwania? – zapytała.

– Ktokolwiek, byle nie ty. Wystarczająco namieszałaś.

– Kto?

– Wyjdz. Wysyłam cię na przymusowy dwutygodniowy urlop.

To niemożliwe. Nie mógł jej odsunąć. Nie teraz.

– Znajdę go, obiecuję – spróbowała, lecz komendant bez słowa opuścił gabinet. W korytarzu minął się z reporterką i operatorem kamery. Nie zwrócił na nich uwagi.

Kiedy w bocznej szybie mignęło logo McDonald'sa, zawróciła i zatrzymała się przed restauracją. Kupiła big maca, duże frytki i czarną kawę. Była głodna – od wczoraj nic nie jadła, wypiła za to morze kawy i red bulli, ale kiedy zajęła miejsce na zewnątrz i postawiła na stoliku tackę z jedzeniem, poczuła, jak żołądek zawiązuje się jej w supeł. Rozchyliła wieko pudełka z big makiem, popatrzyła na ociekające tłuszczem placki wołowiny, pływający cheddar i wetknięte liście sałaty i zrobiło jej się niedobrze. Dotknęła palcem sezamowej bułki, idealnie podpieczonej i idealnie miękkiej, dokładniej takiej, jaką widzimy na reklamach, kiedy przeszczęśliwi ludzie z radością wgryzają się w przetworzone jedzenie. Z kanapki wysunęły się dwa cienkie jak papier plastry kiszzonego ogórka. Zamknęła pudełko i przesunęła je na koniec stołu.

Zwilżyła usta kawą. Świeżo zmielona arabica była znacznie smaczniejsza niż tańsza robusta i pozostawiała na języku delikatny, słodko-gorzki posmak. Lena sięgnęła po saszetki z cukrem, oderwała końce i wysypała zawartość do papierowego kubka. Zamieszała patyczkiem i upiła łyk.

Powiodła wzrokiem dookoła. Restaurację z jednej strony otaczał hotel, pięciopiętrowy budynek z klinkierowej cegły, z drugiej znajdowała się zatłoczona stacja paliw. Nad całym przybytkiem górował kilkumetrowy słup z logo McDonald'sa.

Lena wychowała się w mieście, nauczyła się żyć w betonowej dżungli. Sporadyczne wizyty na wsi traktowała jak wyprawy do innej galaktyki. Przywykła do tłumów na ulicach, dźwięku klaksonów, głośnego turkotania tramwajów sunących po szynach. Wieś z tą swoją ciszą i spokojem zwyczajnie ją przerażała. W tym momencie jednak dałaby wiele, by przenieść się na jakąś odległą planetę. Dzisiaj wszystko ją irytowało. Samochody przejeżdżały za szybko, opony szurały o asfalt, a robotnicy parę metrów dalej hurkotali jakąś maszyną, drążąc dziurę w chodnikowej płycie. Dzieciaki bawiły się na zjeździe, dudniąc butami o plastikową tubę, a ich matki ćwierkały przy stoliku, delektując się kolejnymi łyżkami mcflurry.

Rudnicka wetknęła frytkę do ust. Smażone ziemniaki wystygły. W smaku przypominały rozmięknięty papier utopiony w oleju.

Sprawdziła telefon. Brak wiadomości.

Po wyjściu z komendy wstąpiła do Liz. Technik nie powiedziała jej nic nowego. Namierzenie Lewickiego jest niemożliwe, przynajmniej jeśli chodzi o przechwycenie lokalizacji z telefonu, ponieważ – oficjalnie – do wychowawcy nie przypisano żadnego numeru komórkowego.

Nigdy.

W praktyce oznaczało to jedynie, że wychowawca przez całe życie posługiwał się telefonami na kartę, a po wejściu w życie przepisów o obowiązku rejestracji numerów kupił kartę SIM w internecie albo za granicą.

Rudnicka postanowiła więc pogrzebać w jego przeszłości. Oczywiście nie ma nic dziwnego w tym, że ktoś używa telefonu na kartę. Ludzie mają różne dziwactwa. Przy

dzisiejszym rozwoju technologii trudno o prywatność. Niektórzy nie zakładają konta na Facebooku w obawie przed inwigilacją, a inni strzegą swoich danych, posługując się niezarejestrowanymi numerami. Lena widziała sens w takim postępowaniu. Sama ostrożnie podchodziła do wszelkich nowinek technicznych lub dziwnych urządzeń gospodarstwa domowego, które – nie wiedząc czemu – usilnie próbują uzyskać dostęp do domowego wi-fi, a przy okazji gromadzić o nas przeróżne informacje. Jednak przecucie kazało jej sądzić, że ostrożność Lewickiego miała zupełnie inne podłoże.

Kiedy uruchomiła komputer i spróbowała zalogować się na służbowe konto, ekran wypluł komunikat o tymczasowej blokadzie. I to by było na tyle z jej cichego śledztwa. Komendant dotrzymał słowa i poczynił kroki, by nie mieszała się do sprawy. I jakoś specjalnie mu się nie dziwiła.

Mimo to czuła się jak w klatce. Dostęp do policyjnych informacji dawał wiele możliwości. Lenę wykluczono również z poszukiwań. Była pewna, że zaraz po jej wyjściu cała komenda została postawiona na nogi. Porwanie policjanta to priorytet. A porwanie policjanta, którego ojcem jest komendant jednostki, to misja angażująca gliniarzy wszystkich wydziałów. Nikt nie chce stracić kolegi.

Rudnicka miała jednak asa w rękawie i wtyczkę w postaci Liz. Lena знаła Lewickiego lepiej niż którykolwiek z policjantów, a technik obiecała, że będzie kontaktować się z Rudnicką, kiedy uda jej się znaleźć coś na temat wychowawcy. Liz przekazała również, że poszukiwaniem Marcela zawiaduje niejaki Dawid Cajmer, kompletny buc z głównianym doświadczeniem. Jedyne, co mu dobrze wychodzi, to chrapanie w ducato podczas nocnej służby.

Dawid Cajmer miał bogatą historię zawodową. Kiedy dochrapał się dwóch gwiazdek na pagonie, czyli uzyskał stopień podkomisarza, urządził imprezę w barze przy Narutowicza, z której do domu odwoziła go nocna zmiana w postaci dwóch sierżantów. Cajmer wlał w siebie hektolitry wódki – bez popijania, ponieważ twierdził, że prawdziwi mężczyźni nie przepijają – a potem, razem z resztą podchmielonego towarzystwa, załadował się do budy ducato, gdzie zazwyczaj przewożono zatrzymanych. Jednak ducato ma to do siebie, że waży ponad dwie tony, a młody sierżant siedzący za kierownicą nie był obeznany z tematem, dlatego jazda w boksie przypominała rejs jachtem przez wzburzone fale, z tym wyjątkiem, że widoki były raczej średnie. Cajmer jako przodujący wilk morski zażyczył sobie uruchomienia sygnałów świetlnych – no bo jak świętować, to z pompą – ale nie przemyślał tego, że morze bywa zdradliwe, szczególnie kiedy kapitan jest w stanie bardziej niż wskazującym. Gdy sierżant buchnął wielką kipą, wchodząc w zakręt, Cajmer nie zdążył złapać się uchwytu i runął na kolebę, a jego żołądek z nawiązką zwrócił to, co przed chwilą do niego wlewał. W budzie wybuchła awantura i gdyby ktoś spojrział z boku, uznałby, że dwóch sierżantów przewozi wyjątkowo agresywnych więźniów. W rzeczywistości nagrzeni towarzysze Cajmera, wszyscy jak jeden mąż, zostali potraktowani treścią żołądka świeżo upieczonego podkomisarza.

Do dziś na komendzie krążą legendy o sierżantach, którzy całą noc szorowali wnętrze ducato, by zostawić następnej zmianie czysty samochód. Trzeba przyznać Cajmerowi, że miał dar przekonywania, ponieważ do tej pory żaden z kolegów nie doniósł komendantowi o skutkach szalonej imprezy.

Dlatego Lena nie dziwiła się, że Andrzej Wolski przydzielił Cajmera do kierowania poszukiwaniami Marcela. Komendant miał go za kulturalnego i – co najważniejsze – posłusznego gliniarza, wykonującego bez wahania każde polecenie przełożonego. Prawda była jednak taka, że Cajmer był zwykłym dupowłazem, cholernym wazeliniarzem, który wiedział, jak się ustawić i komu przynieść butelkę whisky, niby do spróbowania, bo przecież nikt nie pomyślałby o łapówce.

Przydzielenie do sprawy Dawida Cajmera oznaczało, że całą sprawą kierować będzie Andrzej Wolski, a Cajmer jak wyszkolony piesek posłusznie wykona wszystkie polecenia.

Niedobrze.

Andrzej Wolski działał pod wpływem ojcowskich emocji, co utrudniało racjonalne podejmowanie decyzji. Jedną z tych decyzji było zarządzenie przeszukania terenu w promieniu kilku kilometrów wokół znalezionej komórki Marcela. To rozwiązanie miało trzy wady. Po pierwsze: musiało zaangażować wielu policjantów, po drugie: wieść o buszujących w okolicy gliniarzach rozniesie się po wsi lotem błyskawicy, dotrze do Lewickiego, a porywacz spanikowany to porywacz nieobliczalny. Po trzecie: takie poszukiwania nie przyniosą nic dobrego. Lewicki nie jest idiotą. Wie, że policja prędzej czy później odnajdzie telefon Marcela. Nie wyrzuciłby komórki w miejscu, w którym się ukrywa.

Rudnicka wzięła łyk zimnej już kawy i się skrzywiła. Spojrzała na kobiety przy stoliku obok. Grono matek zyskało nowe członkinie. Jedna z nich, blondynka z ogromnym biustem, tuliła do piersi niemowlaka otulonego chustą.

Lena wyjęła paczkę westów Wolskiego. Przez chwilę rolowała w palcach papierosa, po czym schowała go z powrotem do paczki. Wyrzuciła niedojedzone frytki i kubek z kawą. Pudełko z big makiem wzięła w rękę i pomaszerowała na stację benzynową. Kupiła dwa zimne red bulle i trzy schłodzone piwa. Kiedy wyszła z klimatyzowanej stacji, w twarz buchnęło jej gorące powietrze, a na skronie wystąpiły krople potu. Przewiesiła przez ramię marynarkę, zerkając kontrolnie na siniaki przy obręczy barkowej.

Mężczyzna – z długą siwą brodą i zaniedbanymi włosami – siedział na krawężniku. Skubał nogawki przybrudzonych spodni, bujając się w przód i w tył. Gdy dostrzegł zbliżającą się policjantkę z dyndającym przy boku glockiem, mimowolnie się wyprostował.

Rudnicka stanęła naprzeciwko.

– Ja nic... – Zająknął się, unosząc dłonie. – Nic nie robię. Na sekundkę przysiadłem i już mnie nie ma. – Chwycił płócienną torbę, lecz Rudnicka powstrzymała go ruchem ręki.

Podawała mu big maca. Bezdomny złapał pudełko, jakby w środku grzechotały diamenty. Uchylił wieko i zaskoczony podniósł wzrok. Lena podała mężczyźnie reklamówkę.

Odebrał torebkę i zajrzał do środka. Twarz mu pojaśniała.

– Schłodzone! – Wyjął piwo. – Dziękuję, królowo złota!

Rudnicka sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i podała bezdomnemu pięćdziesięciozłotowy banknot.

– Nie przechłaj wszystkiego – rzuciła. – Kup sobie chociaż jakąś bułkę.

– Tak zrobię, kochanieńka! Dziękuję!

Duszką wypila red bulla i wsiadła do jaguara. Sprawdziła telefon. Żadnych wiadomości od Liz.

Niecałe dziesięć minut później zaparkowała przed kamienicą Machoniów. Liczyła, że małżeństwo wróciło już ze spaceru, a jej udało się zdążyć przed wysłannikiem Cajmera. Podwójna wizyta policji mogłaby rozsierdzić staruszków.

Zapukała do drzwi. Klatkę schodową wypełniał zapach smażonych kotletów i kiszzonej kapusty.

– Znowu pani? – Arleta Machoń wyjrzała za drzwi, jakby oczekiwała, że na schodach ustawił się kordon policji.

– Zajmę tylko chwilę.

– Już pani zajęła chwilę. Parę godzin temu. Wystraszyła pani moją wnuczkę.

– Pojawiły się nowe fakty dotyczące Marzeny. – Rudnicka wystawiła najcięższe działa. Żadna matka nie przejdzie obojętnie obok takiej informacji.

– Mojej córki? – Kobieta uniosła brwi i odsunęła się, by przepuścić policjantkę.

Weszły do kuchni. Arleta uprzątnęła brudne talerze ze stołu i zaniósła do zawalonego zlewu. Z wieszaka ściągnęła ściereczkę i przetrąła blat. Ruchy emerytki były nerwowe, jakby ganiła się w myślach za własną opieszałość.

Rudnicka poczuła ukłucie w tyle pleców. Obróciła się. Basia stała tuż za nią i okręcała kucyk wokół palca.

– Basiu, idź do pokoju – poinstruowała wnuczkę Arleta. – Muszę porozmawiać z panią.

Dziewczynka chciała zaprotestować, ale srogie spojrzenie babci zamknęło jej usta. Skrzyżowała ramiona na piersi i obrażona zniknęła w korytarzu. W akcie niezadowolenia pogłośniła telewizor.

– Basia długo nie usiedzi w miejscu. – Arleta usiadła przy stole. – Więc proszę się pospieszyć.

– Damian Lewicki powierzył państwu pod opiekę córkę. – Rudnicka również usiadła. – Przypuszczam, że kontaktuje się z wami telefonicznie?

– Mam numer Damiana, jeśli o to pani pyta. Ale on się nie zgłasza.

– Nie odbiera?

– Nie ma sygnału. Po pani wyjściu próbowałam się z nim skontaktować. Bezskutecznie.

– Wcześniej telefon był aktywny?

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, wcześniej nie dzwoniłam do Damiana. Nie widziałam takiej potrzeby. Przywiózł Basię bez uprzedzenia. Oczywiście zajęliśmy się małą. Jesteśmy dziadkami. Ale przedtem nie utrzymywałam z Damianem żadnych kontaktów.

Rudnicka zastanowiła się, czy poprosić kobietę o kolejną próbę skontaktowania się z zięciem. Ostatecznie porzuciła ten pomysł. Jeśli Lewicki miał nieaktywny telefon, zapewne już dawno pozbył się numeru.

– Damian ukrywa się przed policją – powiedziała Lena. – Czy wie pani, gdzie może przebywać?

– Nie.

– Może Damian lub Marzena posiadają domek za miastem?

– Nie, nasza rodzina nie ma żadnego domu za miastem. I z tego co wiem, Damian również nie posiada. Gdyby było inaczej, wiedziałabym. W końcu byli z Marzeną małżeństwem.

Rudnickiej nie spodobała się taka odpowiedź.

– Skąd pochodzi Damian? – zapytała.

– Z jakiejś wsi, niedaleko Rokicin.

Rokiciny leżą wzdłuż drogi, przy której znaleziono samochód Owczarka. Rudnicka ożywiła się, ale nie zdołała zadać kolejnego pytania. Rozległo się głośnie łomotanie w drzwi. Arleta spojrzała na Lenę, która skinęła głową. Dobrze wiedziała, kogo zaraz zobaczy, choć nie spodziewała się, że tym kimś będzie Dawid Cajmer we własnej osobie. Przypuszczała, iż podkomisarz pośle mundurowego, a sam zajmie się koordynacją poszukiwań na miejscu, w komendzie.

Cajmer bez słowa wparował do kuchni. Z jego stukilowego cielska buchała wściekłość. Prawdopodobnie zauważył zaparkowanego przed kamienicą jaguara i przez całą drogę na piętro obmyślał plan, jak wyciągnąć Rudnicką na zewnątrz, by nie mieszać emerytki w wewnętrzne konflikty policjantów.

Lena postanowiła ułatwić Cajmerowi zadanie. Pożegnała się z Arletą Machoń i wyszła przed kamienicę. Czuła za sobą ciężkie kroki podkomisarza i woń potu, która ciągnęła się za nim niczym nieodłączna chmura.

Kiedy otworzyła drzwi jaguara, Cajmer pchnął je. Zatrzasnęły się z hukiem.

– Mało ci? – syknął. Głęboko osadzone oczy tkwiły w kanciastej twarzy niczym dziury po erupcji wulkanu.

– Pieprz się, Cajmer.

– Wyleciałaś. I nie masz prawa mieszać się w sprawę. Złamałaś polecenie komendanta.

O czym Cajmer doniesie zaraz po powrocie na Sienkiewicza, pomyślała Rudnicka i uśmiechnęła się pogardliwie.

– To przez ciebie jego synalek wpadł w kłopoty – ciągnął. – Więc lepiej jedź do domu i nie wpierdalaj się tam, gdzie cię nie chcą.

– To ty wpierdalasz się tam, gdzie cię nie chcą – odparowała. – Na przykład w dupę przełożonych.

Zaczeplił palce na sprzączce parcianego paska, ponad którym falowała obfita fałda brzucha.

– Dobrze ci radzę – rzekł. – Odpuść.

– Ty odpuść, Cajmer. Dobrze wiem, dlaczego nie chcesz, żebym się mieszała.

– Ciekawe.

– Jeżeli sądzisz, że na odnalezieniu Marcela dochrapiesz się awansu, to wystarczający powód, żeby stwierdzić, że jesteś niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu. Mogę przeszkodzić ci w drodze do chwały, co? – Stała naprzeciwko niego, wsuwając dłonie w kieszenie dżinsów. Uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. – Tobie nie zależy, żeby go znaleźć. Oczekujesz jedynie poklasku od Wolskiego.

– Widocznie Wolski bardziej ufa mnie niż tobie. – Puścił do niej oko. – Stary ma fioła na punkcie synalka. Jeśli coś mu się stanie, urządzi ci piekło.

Akurat w to Rudnicka nie wątpiła.

– Nie wchodź mi w drogę – warknęła, wsiadając do jaguara.

– Chociaż raz posłuchaj kogoś mądrzejszego! – zawołał za nią. – To twoja wina. Gdybyś odpierdoliła się od młodego, siedziałby teraz w domu i popijał kakao. A tak? Nie wiadomo, czy w ogóle żyje.

Rudnicka poczuła się, jakby ktoś przyłożył jej kijem baseballowym w głowę. Cajmer miał rację.

Kiedy zatrzymała się na skrzyżowaniu, zadzwonił telefon. Uruchomiła tryb głośnomówiący i usłyszała głos Liz.

– Za piętnaście minut na parkingu przy Piotrkowskiej i Narutowicza. Nie spóźnij się.

W umówione miejsce Lena dotarła kilka minut później. Wypatrywała czerwonego Citroëna Liz, opierając się o maskę samochodu i walcząc z pokusą zapalenia papierosa. Paczka westów wypalała dziurę w tylnej kieszeni spodni.

Zaparkowawszy obok, Liz wyskoczyła na zakurzony parking. Jej policzki były zaczerwienione, bynajmniej nie z powodu panującego upału. Technik stresowała się złamaniem zakazu komendanta. Cała Luiza Krajewska. Do bólu praworządna.

– Lena, nie mam dużo czasu.

– Jasne. Ostatnio nikt nie ma dla mnie czasu.

Liz skrzywiła się na te słowa.

– Chodzi o to, że...

– Wiem, o co chodzi – ucięła Lena. – Mów, co dla mnie masz.

– Okej. Są dwie sprawy. Chłopaki przejeździ monitoring z Kościuszki. Zapis z ulicznych kamer pokrył się z zapisem GPS-u w telefonie Marcela. I uprzedzając twoje pytanie: kamery uchwyciły go, kiedy wchodził w uliczkę. Poprawka! – Uniosła palec. – Wbiegał

w uliczkę. Nie zarejestrowały, jak wychodził. Ale zaraz potem na nagraniu pojawiło się audi Lewickiego.

– Chcesz powiedzieć, że Wolski rzucił się w pościg za Lewickim?

– W stanie lekko wskazującym. Chwilę wcześniej rzygał w krzakach.

– Nie miał broni. – Rudnicka potarła skronie. Pamiętała, że Marcel zostawił broń na komendzie. Trzęsły mu się dłonie i musiała mu pomóc wyjąć glocka z kabury.

– Zgadza się. Broń Marcela jest na Sienkiewicza.

– Co on sobie myślał?

– Wszystko wskazuje na to, że spotkał Lewickiego przypadkiem. On też jest na nagraniu. Zanim kamera straciła Marcela z oczu, próbował gdzieś zadzwonić. To znaczy tak sądzę, ponieważ biegł z telefonem w rękę i starał się wybrać numer.

– Nie zdążył.

Liz kiwnęła głową.

– Co to za druga sprawa? – zapytała Rudnicka.

– Lewicki nazywał się kiedyś Artur Bodnar.

– Słucham?

– Zmienił imię i nazwisko parę lat temu.

Rudnicka uniosła brwi. Spodziewałaby się wszystkiego. Ale nie tego, że Damian Lewicki nie jest Damianem Lewickim.

– Wiadomo, dlaczego zmienił personalia?

– W starych aktach jest wzmianka o Bodnarze. – Liz podeszła bliżej. – Był świadkiem w sprawie handlu dziewczynami z za wschodniej granicy.

– Co to za sprawa?

– Parę lat temu zatrzymano Dariusza Klimę. Podejrzewano, że przerzuca dziewczyny na zachód. Głównie Ukrainki i Rosjanki, ale znalazło się też parę Litwinek. Klima wpadł, gdy znaleziono martwą dziewczynę w hotelowym pokoju. Po nitce do kłębka policjanci doszli do Klimy. Nie mogli jednak przedstawić mu zarzutu morderstwa, bo nie mieli żadnych dowodów. Do tego Bodnar zeznał na korzyść Klimy, jednocześnie zapewniając mu alibi.

– Co to za alibi?

– Bodnar twierdził, że był z Klimą w noc morderstwa.

Rudnicka zmarszczyła czoło.

– Jaki związek z Klimą ma Bodnar? – spytała.

– Żaden – odparła Liz, drapiąc się w skroń. – W tym problem. Bodnar przedstawił jakieś nagrania, na których zabawiali się z dziewczynami. Oczywiście sprawdzono te nagrania, okazały się prawdziwe. Związki Bodnara z Klimą są niejasne. Bodnar pracował wówczas jako psycholog. Nieposzlakowana opinia i tak dalej. – Liz westchnęła. – Dzięki zeznaniom Bodnara i dziwek Klimę oczyszczono z zarzutów.

– Skoro wspólnie posuwali dziwki, musieli się całkiem nieźle znać. Jakim cudem policja do niczego nie doszła?

- Dobre pytanie. Oficjalnie Lewicki nie jest zamieszany w nic nielegalnego. Rudnicka zatoczyła koło wokół Liz. Zaciśnęła usta i spojrzała w niebo.
- Musi coś być – mruknęła.
- Wiem, Lena.
- Ta sprawa śmierdzi na odległość. – Lena przeniosła wzrok na Liz. – Co z Klimą?
- Przebywa za granicą.
- To oznacza, że Lewicki może do niego dołączyć.
- Jeżeli nadal utrzymują kontakt.
- Sądysz, że nie?

Liz splotła dłonie. Lena знаła ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Liz nie wyklucza związku między tymi sprawami.

– To było osiem lat temu – przypomniała technik. – Jeżeli utrzymują kontakt, a policja nic o tym nie wie, Lewicki jest geniuszem.

– Widocznie bystrzejszy z niego facet, niż sądziliśmy.

Milczały przez chwilę.

– To zmienia postać rzeczy – stwierdziła Rudnicka, ściskając w dłoni paczkę westów. – Jeśli Lewicki dorwał Marcela...

– Możemy już nigdy go nie zobaczyć – dokończyła Liz.

Rudnickiej zakręciło się w głowie. Wolski usiłował schwytać wychowawcę z domu kultury, a wpadł w łapy faceta powiązanego z handlem ludźmi. Być może Lewicki zwyczajnie spanikował. Sądził, że Marcel dokopał się do jego przeszłości. Najbezpieczniej było pozbycie się niewygodnego policjanta, a nie przysporzyło mu to większych trudności, zważywszy na stan Wolskiego. Pijanemu trudno utrzymać własne ciało w pionie. Nie wspominając o łapaniu przestępców.

– Komendant szaleje – odezwała się Liz.

– Marcelowi grozi niebezpieczeństwo. To zrozumiałe. Przeze mnie może stracić syna.

– To nie twoja wina.

Rudnicka prychnęła, kręcąc głową.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnaś wiedzieć – powiedziała Liz.

– Co takiego? – Lena ścisnęła papierosy mocniej. Kartonik był tak pomięty, jakby wyciągnęła go z kosza na śmieci.

– Chłopaki zajęli się mieszkaniem Lewickiego. – Liz zawiesiła głos. – Znaleźli ślady krwi.

Rudnicka przytrzymała powietrze w płucach.

– Starte – dodała Liz. – Ktoś, najprawdopodobniej Lewicki, usiłował zmyć krew, ale nie dał rady posprzątać wszystkiego. Technicy znaleźli ślady na framudze i w zagłębieniach paneli. Nie wiem, czy są świeże. – W głosie Liz pojawiła się nadzieja. – Czekam na informację.

– Jeżeli to krew Marcela... – Lena odetchnęła. – Lewicki pożałuje. Dorwę go. I zabiję.

- Lena, proszę cię. Nie mieszaj się w tę sprawę.
- Liz, skończ pierdolić. Już dzisiaj słyszałam tę gadkę. Nawet dwa razy.
- To niebezpieczne. Sama nic nie działasz, a narazisz się na niebezpieczeństwo. Lewicki to niebezpieczny gracz. Komendant uruchomił wszystkie siły. Znajdziemy Marcela, a ty naprawdę...
- Mam to gdzieś – odburknęła Lena. – Choćbym miała zarobić kulkę w drugi bark, znajdę tego szczeniaka, a potem przyprowadzę całego i zdrowego do tatusia. Ale najpierw osobiście skopię mu dupsko.

8

Robocza teoria Rudnickiej brzmiała następująco: Damian Lewicki był zamieszany w sprawę Diany Pulido. Koniec kropka.

Lena początkowo zakładała, że Lewicki utrzymywał intymne kontakty z dziewczynami, które zostawały po zajęciach. Prawda okazała się inna. Lewicki, z wykształcenia psycholog, pomagał Dianie Pulido, Natalii Sztompke i Roksanie Antolak uporać się z psychiczną traumą. Może rzeczywiście tak było, a może to tylko część prawdy?

Lewicki vel Bodnar był również zamieszany w handel kobietami. Co do tego Rudnicka nie miała wątpliwości. Na pewno istniał jakiś logiczny związek między wychowawcą a Klimą. Zwyczajne koleżeństwo nie wchodziło w grę.

Lena miała pewne przypuszczenia. Aby znaleźć potwierdzenie, zapukała do drzwi Roksanie Antolak. Niestety nie zastała dziewczyny w domu. Drugim kołem ratunkowym był Jerzy Jurek.

Poprosiła o pilne widzenie. Strażnik nie tryskał entuzjazmem. Rudnicka wytoczyła więc największy kaliber i powołała się na znajomość z komendantem Wolskim. Podziałało. Konsekwencjami będzie przejmowała się później.

Klawisz poprowadził Lenę do sali widzeń. Usiadła w kącie, plecami do ściany, aby mieć ogłąd na całą salę. Oprócz Rudnickiej przy stolikach siedziało jeszcze trzech odwiedzających. A dokładniej trzy kobiety, które zerkały na nią ukradkiem, jakby zastanawiały się, kim jest wybraniec, którego przysła odwiedzić. Synem, kochankiem czy może mężem? Jedna z nich, o twarzy zatroskanej matki, przyciskała splecione dłonie do piersi. Dwie pozostałe, dość młode, szybko straciły zainteresowanie policjantką i skupiły się na rozmowie ze skazańcami. Kim byli? Rudnicka miała przed sobą jedynie szerokie plecy, barczyste ramiona i ogolone głowy, ale kiedy wchodziła, zdążyła się przyjrzeć ich twarzom. Z pewnością nie była to ich pierwsza odsiadka. I zapewne nie ostatnia.

Gdy klawisz wprowadził Dżejdzęja, matka rozplotła dłonie i posłała Lenie współczujące spojrzenie, jakby chciała ją wesprzeć.

Rudnicka uświadomiła sobie, że gdyby postarała się w młodości, Dżejdzęj mógłby być jej synem. Szybko wyrzuciła z głowy tę myśl.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze panią zobaczę – powiedział i popatrzył za odchodzącym klawiszem.

– Nie przyszłam tutaj na wspominki.

– Wie pani, jak tu jest? – Powiedział wzrokiem po suficie. Opuchlizna wokół zapadniętych oczu przypominała bąbelkową czekoladę. Ukrył twarz w dłoniach. – W ogóle nie sypiam.

Rudnicka pokiwała głową. Wiedziała, co Dżejdzzej ma na myśli. Więzienie to nie miejsce dla młodego chłopaka.

– Chyba nie jest aż tak źle – rzuciła. – Wciąż możesz siedzieć.

– Śmiesz to panią?

– Ależ skąd. To nie mój problem. Gdybyś był niewinny, piłbyś teraz piwo w ogródku i nabijał levele w Call of Duty.

– Gra pani w Call of Duty?

– Grałam kiedyś w Simsy. Miałam straszną radochę, kiedy kazałam simsowi kąpać się w basenie, a potem usuwałam drabinkę.

Dżejdzzej się skrzywił.

– Poprosiłem o izolatkę – powiedział.

– Żeby dostać izolatkę, musiałbyś na przykład zadźgać gościa na spacerniaku.

– Niezły pomysł.

– Raczej słaby – ucięła. – Bo handel fetą zamieni się na morderstwo, dołożą ci ćwiartkę i wyjdiesz przed sześćdziesiątką.

– Mnie już nie zależy.

– Mnie tym bardziej. – Zabębniła palcami o blat. – Ale nie przyszłam tutaj, żeby rozmawiać o twoich egzystencjalnych rozterkach.

– A o czym?

– O Dianie.

Dżejdzzej poprawił się na krześle.

– Posłuchaj, nie mam czasu na pierdolenie, rozumiesz? – Nachyliła się nad stołem. – Ja pytam, ty odpowiadasz.

– Jak pani chce.

– Sprzedawałeś amfetaminę i faszerowałeś dragami Natalię Sztompke, zgadza się?

– Słucham?

– Odpowiadaj.

– Nie!

– Spokój tam! – Wartownik wystąpił do przodu.

– Nie dawałem Natalii narkotyków. – Jurek zniżył głos.

Rudnicka westchnęła.

– Okej, zacznijmy od początku. – Zarzuciła rękę na oparcie. – Damian Lewicki. Skąd go znasz?

– Mówiłem już...

– Wiem, co mówiłeś – przerwała. – I mam w dupie zeznania, które składałeś przed prokuratorem. Teraz mówisz prawdę. I uważaj, jak stawiasz kroki, chłopaku. Mogę ci pomóc albo bardzo zaszkodzić. Wybieraj.

– W jaki sposób może mi pani pomóc? – Propozycja Rudnickiej nieco ożywiła Jurka. Wpatrywał się w nią czujnym wzrokiem.

– Nie pisnę słowa o tym, że sprzedawałeś towar Lewickiemu – powiedziała. – W twojej sytuacji to wiele by zmieniło.

Dżejdzęj znieruchomiał.

– Skąd pani o tym wie?

Nie wiedziała. Zagrała w ciemno, ale sądząc po reakcji chłopaka, miała rację.

– Dodałam dwa do dwóch – odparła zgodnie z prawdą. – Wynik okazał się dla ciebie wyjątkowo niekorzystny.

– Dobrze. – Przymknął oczy i odchylił głowę do tyłu. – Zanim zaczniemy, musi pani obiecać, że zatrzyma pani tę rozmowę dla siebie.

– Mogę obiecać – rzuciła. – Ale nie jestem dobra w dotrzymywaniu słowa. Parę lat temu obiecałam mężowi wierność i kiepsko mi to wychodzi. Sęk w tym, że ty nie masz innego wyboru, bo jeśli nie zaczniesz śpiewać, pójdziesz stąd prosto do prokuratury.

– Dlaczego pani tak zależy? Przecież sprawa Diany jest zamknięta. To Axel jest winny.

– Ponieważ mam zamiar przygnieść robaka o nazwisku Lewicki wyjątkowo ciężkim butem.

Dżejdzęj ściągnął brwi, jakby dotarło do niego, że policjantki wcale nie obchodzi jego los. Interesuje ją tylko Lewicki.

Westchnął.

– Okej – rzekł. – Lewicki kupował ode mnie prochy.

– Powiedz coś, o czym nie wiem.

– Raz w tygodniu dostarczałem Lewickiemu sporą ilość amfetaminy.

– Którą rozprowadzał wśród dziewczyn z kółka teatralnego?

– Może – bąknął.

– Tak czy nie?

– Tak, chyba tak – przyznał, szurając nerwowo paznokciem po blacie. Po chwili uniósł palec, pytając: – Pani wie o Lewickim, prawda? – Zaśmiał się. – Na pewno pani wie! Inaczej nie byłoby pani tutaj.

– Narkotyki w rękach faceta zajmującego się handlem kobietami to poważna broń.

Dżejdzęj spojrział na Lenę. W jednej chwili z handlarza amfetaminą zamienił się w małego chłopca.

– Nie wiedziałem, czym zajmuje się Lewicki – powiedział. – Przyrzekam. Nie miałem o niczym pojęcia. – Położył sobie dłoń na sercu.

– Wiesz, jak działają sutenerzy? – zapytała, odchylając się na oparcie. – Czasem udają gości z branży modelingowej. Mówią biednym dziewczynom, że są piękne, że pomogą im

w rozwoju kariery. Przyszłe dziwki lecą jak na skrzydłach, bo przecież każdy chce zarabiać w euro. Zwodzą je sesjami fotograficznymi, okręcają wokół palca, podtykają dragi, żeby je uzależnić od siebie. A te łykają wszystko jak pelikany. Podoba im się takie życie. Kasa, imprezy, alkohol. Tyle że chwilowy luksus szybko się kończy i lądują w podrzędnym burdelu przy granicy, ale wtedy już nie mają szans na normalne życie. Uzależnione od narkotyków i pracodawców. Przyjmują dziennie nawet trzydziestu klientów, a wypłatę odbierają w działkach heroiny, amfetaminy albo innego gówna.

– Po co mi to pani mówi?

– Lewicki jest tylko pionkiem – ciągnęła, czując, jak z każdym słowem zalewa ją fala gorąca. – Zajmował się mamieniem młodych dziewczyn z problemami i podtykał im narkotyki. Co obiecał Dianie? Nowe życie za granicą? Ty też dałeś się nabrać, co?

– Diana mówiła, że Lewicki to dobry człowiek. Miał nam pomóc w ucieczce.

– Diana chciała uciec od ojca, a wpadła w łapy sutenera? Na ciebie Lewicki też miał haka? Dlatego tak się wystraszyłeś, gdy przyszliśmy z Wolskim na ogródki działkowe. Nie chodziło o porachunki z chłopakami z miasta. Sądziłeś, że jesteśmy ludźmi Lewickiego.

Dżejdzęj skinął głową.

Rudnicka zacisnęła usta. Puzzle zaczęły wskakiwać na właściwe miejsca.

– Planowaliśmy wyjazd w poniedziałek. Rodzice Diany mieli wrócić we wtorek. Wcześniej przygotowaliśmy ten głupi filmik z samobójstwem.

– Czekaj – przerwała. – Ojciec molestował Dianę. Opowiedziała o swoich problemach Lewickiemu, a ten obiecał, że pomoże wam w ucieczce. – Spojrzała na Dżejdzęja. Siedział nieruchomo, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. – Ten film, który spreparowaliście, nie był dla Emilia, prawda? Adresatem nagrania był Lewicki?

– W niedzielę po moim wyjściu przyszedł Emilio. On... On robił Dianie krzywdę. Pech chciał, że zapomniałem telefonu. Kiedy wróciłem... – Zawahał się. – Dobrze, że Diana mnie odciągnęła, bo inaczej bym go zabił. Zabrałem Dianę i zawiozłem do mieszkania na Stokach.

– To Emilio wysprzątał mieszkanie? – Lena zacisnęła pięści tak mocno, że czuła, jak paznokcie rozcinają skórę na wewnętrznej stronie dłoni.

– Pewnie chciał usunąć ślady swojej obecności – odparł Dżejdzęj. – Kiedy przyjechaliśmy na Stoki, Diana wrzuciła film do sieci.

– Emilio zobaczył film i spanikował. – Choć Dżejdzęj siedział naprzeciwko, Lena na chwilę zapomniała o jego obecności. – Na nagraniu widać, jak Diana popełnia samobójstwo we własnym pokoju. Bał się, że policja powiąże go ze śmiercią córki. Dlatego starannie posprzątał i wyrzucił telefon z prześcieradłem.

Chłopak pokiwał głową.

– Bał się również, że sprawa molestowania wyjdzie na jaw – dodał. – Na odchodne Diana powiedziała ojcu, że ma dowód przeciwko niemu.

– Masz na myśli nagranie, które Axel miał przekazać Dianie w lesie?

– Zapomniała zabrać tej pieprzonej karty pamięci. Kurwa mać – westchnął. – Gdyby Diana zabrała kartę ze sobą, toby żyła.

– Axel nie chciał, żeby ojciec poszedł do więzienia. Sądził, że Diana chce zgłosić sprawę policji.

– Emilio to potwór.

Z tym Lena nie zamierzała dyskutować.

– Diana zagroziła ojcu, że jeśli zacznie jej szukać, nagranie z molestowania trafi na policję – powiedział.

– Myślał też, że film z samobójstwa nagrała dla niego?

– Tak.

– Ale się mylił.

– Film nagraliśmy dla Lewickiego. Cała ta szopka z poszukiwaniem ciała była dla Lewickiego. Niedzielna wizyta Emilia to przypadek, który wszystko przyspieszył. Diana musiała zniknąć, dlatego wstawiliśmy film wcześniej. Wszystko się sypnęło. Plan był inny... Nagranie miało trafić do sieci dobę później.

– Jak się zorientowaliście, co kombinuje Lewicki?

– Gdyby nie dziewczyna, która do nas przyszła, pewnie obsługiwalibyśmy teraz jakiegoś klienta....

– Jaka dziewczyna?

– Nie przedstawiła się.

Lena skinęła głową i ponagliła chłopaka ruchem ręki.

– Przyszła do Diany kilka dni wcześniej – wyjaśnił. – Opowiedziała swoją historię. Znała Lewickiego, kiedy nazywał się Bondar czy jakoś podobnie...

– Bodnar – poprawiła.

– Może i tak – mruknął. – Nie wyjaśniła, skąd dowiedziała się o Dianie. Może zobaczyła ją na ulicy z Lewickim. Nie mam pojęcia. W każdym razie ten Bodnar sprzedał jej siostrę do Niemiec. Siostrze udało się uciec, ale nigdy nie zgłosiła sprawy na policję.

– Bała się?

– Tak – przyznał z westchnieniem. – Obiecywał siostrze tej dziewczyny, że zacznie nowe życie za granicą. Zapewniał, że załatwi mieszkanie i pracę... Ona była jego pacjentką. Kiedy usłyszeliśmy tę historię, wpadliśmy w panikę. Dziewczyna twierdziła, że jeśli wdepnęliśmy w bagno Lewickiego, nigdy się nie wygrzebiemy. Jeżeli Lewicki dostał za nas pieniądze, zrobi wszystko, by dostarczyć towar. Baliśmy się o życie. Diana wpadła na pomysł z filmem. Uważała, że jeśli Lewicki uzna ją za zmarłą, nie będzie nas szukać. Dlatego w filmie jest nawiązanie do przedstawienia, w którym grała. To wiadomość dla Lewickiego.

– Rzeczywiście planowaliście ucieczkę, ale nie od Emilia, ale od Lewickiego.

– Prawie się udało, ale Diana uparła się, że musi odzyskać tę kartę pamięci. Chciała mieć ją przy sobie. Na wypadek gdyby ojciec jej szukał. No i nie chciała, żeby matka się na nią

natknęła.

– Ale potem zamknęła cię policja, a Diana została sama.

Dżejdzęj przytaknął.

– Sztompke też chciała nagrać film z samobójstwa, prawda? – Rudnicka nerwowo skubała materiał dżinsów.

– Tak.

– Więc dlaczego tego nie zrobiła?

– To dość śmieszne. – Chłopak uśmiechnął się blado. – Padła nam bateria w aparacie. Mogliśmy nagrać komórką, ale wtedy nie przyszło nam to do głowy.

– Jak Sztompke dowiedziała się o wszystkim?

– Diana powiedziała Natalii i zaproponowała, żeby wyjechała z nami i ułożyła sobie życie za granicą. Tylko że z Natalią był pewien problem...

– Uzależniła się od amfetaminy – dokończyła Lena. Sekcja zwłok Sztompke wykazała, że w chwili śmierci była pod wpływem środków odurzających.

– Tak. – Jurek objął się ramionami. – Myślę, że kiedy Natalia dowiedziała się o filmie Diany, zaczęła świrować. Już wcześniej dziwnie się zachowywała. Jeśli była naćpana, wpadła w panikę i się powiesiła. Poza tym cholernie bała się Lewickiego. Miała dziwne schizy, uważała, że ktoś ją śledzi.

Rudnicka patrzyła na chłopaka. Nagle uderzyła ją pewna myśl. Dwie z trzech dziewczyn, które miały wyjechać za granicę, nie żyją, ale wciąż pozostała trzecia.

– Co z Roksaną Antolak? – zapytała.

– Całą trójkę połączyła jedna sprawa – odparł. – Oraz jeden cel. Wszystkim trzem Lewicki obiecał wyjazd za granicę.

Rudnicka błyskawicznie wyciągnęła telefon.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam prawdy wcześniej? – Wilgotnymi dłońmi usiłowała uporać się z blokadą odcisku palca. Ze złością wpisała kod i odszukała w kontaktach numer Luizy Krajewskiej.

– Bałem się – wyszeptał Dżejdzęj, ale Rudnicka już wyszła z sali.

Z telefonem przy uchu pokonywała więzienny korytarz w asyście strażnika. Liz nie odebrała. Kiedy ostatnia zasuwa z chrobotem wypuściła Rudnicką na wolność, telefon zawibrował jej w dłoni.

– Lena, teraz nie mogę...

– Roksana Antolak. – Rudnicka nie dała Liz dokończyć. – Wyślijcie patrol do domu Roksany Antolak.

– O co chodzi? – spytała Liz. W tle słyszała gwar rozmów. Wyobraziła sobie tymczasowe centrum dowodzenia i policjantów gnieźdzących się w mikroskopijnym pokoju rudowłosej technik.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. – Wyszła na zewnątrz i oparła się ręką o maskę jaguara. Serce dudniło jej w piersi. – Niech chłopaki zabiorą dziewczynę i matkę w bezpieczne

miejsce, słyszysz?!

– Oczywiście. Już wysyłam patrol.

9

Spojrzenie Pułkownika skupiło się na Lenie. Szedł ku niej zamaszystym krokiem, a jego wielkie łapska cięły powietrze niczym dwa topory, gotowe jednym ruchem zmieść przeciwnika z powierzchni ziemi.

Na miejsce spotkania Rudnicka wybrała wiadukt nad aleją Piłsudskiego. Wprawdzie gangster nie miał oporów przed pokazywaniem się w centrum, ale wolała tym razem nie ryzykować. Zacieniony wiadukt przy ruchliwej drodze był więc idealnym miejscem na spotkanie. Przechodnie rzadko się tu pojawiali, a samochody przejeżdżały zbyt szybko, by ktokolwiek mógł coś dostrzec.

Pułkownik stanął naprzeciw Leny. Przejechał dłonią po prze poczonej koszuli.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego – odezwał się, zerkając na zegarek. – W tej chwili powinienem być w drodze do Mielna.

– Co jest w Mielnie?

– Woda morska, w której planowałem dziś zamoczyć jaja.

Rudnicka przewróciła oczami.

– Każdemu należy się odpoczynek, złotko – dodał. – Nawet przestępcom. Choć rzekłbym, że przede wszystkim przestępcom. Mamy niewdzięczną pracę.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Nic nowego. – Pułkownik ściągnął popękane wargi w ciekłą kreskę. Czekał.

– Dariusz Klima. Znasz gościa?

– Czy znam? – Zarechotał.

– Sutener – wyjaśniła.

– Wiem, kim jest Klima, złotko. – Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni piersiówkę i podał Lenie, ale pokręciła odmownie głową. Upił więc łyk, oblizał wargi i mlasnął przeciągle. – Nazywanie Klimy sutenerem to niedopowiedzenie.

– Co to znaczy?

– Nic, złotko. Nie zaprzataj sobie tym swojej ślicznej główki.

– Siedzi za granicą, prawda? – zapytała.

– Prawda. – Kolejny łyczek.

– Ale wciąż ma ludzi w mieście?

– Może ma, może nie ma. Nie robi w mojej branży. A ten, kto mi nie brudzi, lata mi koło pióra.

– Ma czy nie ma?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem niczym bokserzy przed walką, oceniający szanse na pokonanie przeciwnika.

- Jakiej informacji potrzebujesz? – zapytał Pułkownik.
- Muszę dowiedzieć się, gdzie ludzie Klimy trzymają dziewczyny przed wywiezieniem ich za granicę.
- Skąd pomysł, że gdzieś je trzymają?
- Sprowadzają dziwki zza wschodniej granicy – odparła. – Muszą mieć jakąś pieprzoną dziuplę.
- Może przewożą je od razu?
- Jeżeli załatwiają dziwki z Ukrainy, do zachodniej granicy mają ponad osiemset kilometrów. To ponad dwadzieścia cztery godziny drogi. A Łódź, w samym środku Polski, jest idealnym miejscem na przystanek.
- Główka pracuje, co? – Gangster postukał się w skroń.
- Najlepszym miejscem byłaby dziupla za miastem, z dala od cywilizacji – ciągnęła, nie zwracając na niego uwagi. – Gdzie wścibski sąsiad nie zajrzy przez płot i nie napatoczy się żaden przechodzień. Dom w lesie albo w szczerym polu.
- Równie dobrze mogą przekimać laleczki w wieżowcu na Widzewie. Urok dużego miasta. Każdy ma cię w dupie. A laleczki nie robią hałasu. Wyjeżdżają dobrowolnie i czekają na drogie rżnięcie. Liczy się duża kasa. Wszystkie dziwki mają złotówki w oczach.
- Bo nie wiedzą, na co się piszą. Poza tym większość jest naćpana, a gdyby przez mieszkanie przewijało się stado narkomanek, sąsiedzi zwróciliby uwagę. Za duże ryzyko. To jest Polska, a nie Nowy Jork. W każdym bloku jest wścibska sąsiadka, która pełni rolę osiedlowego monitoringu.
- Pułkownik westchnął, przechylił piersiówkę i otarł usta wierzchem dłoni.
- Nagle zainteresowałaś się sutenerami, złotko? – spytał.
- Zainteresowałam się jednym.
- Dlaczego akurat Klimą?
- Rudnicka zerknęła na przejeżdżającego obok rowerzystę. Zastanowiła się, czy wtajemniczyć Pułkownika w sprawę porwania Marcela. Potrzebowała jego pomocy. I na razie nie miała lepszego pomysłu. Musiała zaryzykować. Streściła gangsterowi całą historię. Wysłuchał jej w milczeniu, a potem pociągnął solidny łyk z piersiówki.
- Nieładnie, pani komisarz – podsumował, zakręcając buteleczkę. – I za to cię lubię. Zawsze idziesz pod wiatr. Obrzucają cię kamieniami, a ty zakładasz kask i zapierdalasz dalej.
- Pomożesz czy nie?
- To kosztuje.
- Ile?
- Nie mówię o pieniądzach.
- Wiem.

Rozległe kontakty Pułkownika pozwalały na dojście do ludzi Klimy. Ale wszystko ma swoją cenę. Rudnicka nie raz się o tym przekonała.

– Więc pewnie wiesz też, czego oczekuję – powiedział. Wyjął papierosa i wsunął go sobie między wargi.

– Wykluczone – odparła. – Za duże ryzyko. Wyleciałabym z policji. Wystarczy, że zgodziłam się na twoje poprzednie żądanie.

– Nie zrobiłaś tego bez powodu.

Prawda.

– Nie mogę, aż tak ryzykować, rozumiesz? – Wsunęła ręce w kieszenie spodni i obserwowała przejeżdżające samochody. Jeśli przystanie na warunki Pułkownika, położy na szali nie tylko swoją karierę w policji, ale i życie. Gdyby ktoś się dowiedział, wyleciałaby z pracy z dyscyplinarką na karku i widmem kilkuletniego wyroku.

– Twoja wola – uciął. – Widocznie nie zależy ci na odnalezieniu chłoptasia.

– Okej.

– Co?

– Zgadzam się.

Wygiął usta w uśmiechu.

– No widzisz? Jednak potrafimy się dogadać. – Rolował w palcach wilgotnego od śliny papierosa.

– Kiedy będziesz coś wiedział?

– Niecierpliwość to twoja najgorsza cecha.

– Pytam, kiedy.

– Każę moim ludziom rozejrzeć się po mieście.

– Zależy mi na czasie.

– Spokojnie. – Zaśmiał się chrapliwie, a po chwili zaniósł się suchym kaszlem. – Obiecałem, że pomogę, to pomogę, złotko. Twój szczeniaczek wróci do domu cały i zdrowy. Czekał na telefon.

10

Usłyszał jakiś głos.

Usiłował zlokalizować źródło dźwięku, ale ból, jaki zawładnął jego ciałem, nie pozwalał mu się skupić. Miał wrażenie, że zebra popękały mu na kawałki. Oddychał z trudem. Paliły go płuca, a mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Przed oczami miał ciemność. Dopiero po kilku sekundach uzmysłowił sobie, że rzęsy zahaczają o miękki materiał. Miał przewiązane oczy. Poruszył głową, czując, jak ucisk w czaszce wędruje z lewej do prawej skroni.

Znowu pojawił się głos, lecz Marcel nie zdołał zrozumieć żadnego słowa.

Walczył z bólem.

Przełyk miał suchy, jakby ktoś wsypał mu do gardła wywrotkę piasku. Marzył o łyku chłodnej wody.

Powoli zaczął rozeznawać się w sytuacji. Leżał na zimnej podłodze. Poruszył rękoma. Były związane twardym sznurem, który obcierał nadgarstki. Spróbował ruszyć nogami. Mięśnie czworogłowe ud zapłonęły żywym ogniem. Zupełnie jak wtedy, gdy wpadł mu do głowy szalony pomysł, by wystartować w biegu ulicznym. Po pierwszym pięciokilometrowym treningu nabawił się zakwasów, a mięśnie ud zamieniły się w ciężkie, cementowe bloki. Tak samo czuł się w tej chwili. Zbyt słaby, żeby podnieść własną nogę.

W pomieszczeniu unosił się zapach stęchlizny. I czegoś jeszcze. Drewna, może starości.

Głos odezwał się po raz trzeci. Teraz Marcel usłyszał, że dochodzi z bliska, jakby jego właściciel był tuż obok.

– Żyjesz?

Skądś znał ten głos. Melodyjny, aksamitny i czysty, o radiowym zabarwieniu. Przypomniał sobie mężczyznę w okularach, z dziennikarską torbą przewieszoną przez ramię. Krystian Owczarek? Nie zdążył się upewnić. W oddali zadudniły czyjeś kroki. Wraz z przybyszem wdarł się do środka zapach świeżego powietrza.

Nagle ktoś ściągnął mu opaskę z oczu. Oślepiiony Marcel zmrużył oczy. Po chwili je otworzył, usiłując przyzwyczaić się do promieni słońca, które wżerały się w źrenicę.

Przed sobą miał brudne dżinsy, upaprane ziemią i strzępkami trawy. Z wysiłkiem uniósł głowę i zobaczył Damiana Lewickiego. Wychowawca, nieogolony, z rozczochranymi włosami i szyderczym uśmiechem, wpatrywał się w więźnia. Bez słowa rozsupłał sznur krępujący mu nogi. W ręku trzymał nóż.

– Wstawaj.

Wolski spróbował przenieść ciężar ciała na kolana. Ze związanymi rękoma nie było to łatwe. Podparł się splątanymi nadgarstkami, kiedy niespodziewanie but Lewickiego wylądował na jego brzuchu. Marcel zakaszłał, zgiął się wpół i wypluł ślinę zmieszaną z krwią. Kolejny cios ciężkiego buta został wymierzony w jego głowę. Ze skroni pociekła strużka krwi. Otworzyła się przyschnięta rana na policzku. Marcel poczuł rozlewające się ciepło i gęstą ciecz spływającą po kości policzkowej na szyję. Spojrzał w dół i dostrzegł, że jego śnieżnobiały podkoszulek upstrzony jest czerwonymi plamami.

– Wstawaj – rozkazał Lewicki.

Błysnęło ostrze noża. Marcel nie potrzebował większej zachęty. Przewyciężając ból, podniósł się na kolana, potem zgiął jedną nogę i chwiejąc się jak dziecko, wstał.

– Ruchy!

Kiedy Lewicki brutalnie go popchnął, Marcel wpadł na skórzany fotel. Odepchnął się obiema rękami, ale było już za późno. Lewicki wymierzył mu kopniaka w wewnętrzną stronę kolana. Prawa noga zgięła się wpół, a zaraz dołączyła do niej lewa. Wolski uderzył twarzą w kant stołu. Odbił się o twarde drewno i runął na podłogę.

– Spróbuj wywinąć jakiś numer, a cię zabiję.

Marcel nie zamierzał z nim dyskutować. Jaki numer miałby wywinąć w tym stanie?

Tamten wypchnął go na korytarz. Marcel kątem oka zerknął w kuchenne okno. Zdążył się zorientować, że dom otaczają pola i łąki. Nie miał pojęcia, dokąd wywiózł go Lewicki. W samochodzie na moment odzyskał przytomność. Wówczas napastnik walnął go w głowę, a przedtem obszukał mu kieszenie i wyrzucił telefon na pobocze. Komórka była ostatnią deską ratunku.

Powoli wszedł na schody prowadzące do zatęchłej piwnicy. Na plecach czuł ostrze. Lewicki coraz mocniej napierał nożem. Marcel pokonał kolejny schodek, i następny. Dopiero na czwartym lekko się zakołysał. To wystarczyło, by Lewicki stracił cierpliwość. Z całej siły kopnął go w plecy. Marcel niczym szmaciana kukła uderzył w ścianę, a potem z głośnym łoskotem, waląc głową o każdy stopień, stoczył się z kamiennych schodów.

Miał wrażenie, że wnętrzności wywróciły mu się do góry nogami. Z ran na głowie sączyła się krew.

Po chwili ogarnęła go ciemność.

11

Rudnicka wyskoczyła z jaguara i szybkim krokiem ruszyła do drzwi komendy, gotowa rozszarpać każdego, kto stanąłby jej na drodze. Po spotkaniu z Pułkownikiem przyjechała prosto na Sienkiewicza, ponieważ dostała od Liz wiadomość, że Roksana Antolak i jej matka przebywają tam całe i zdrowe. Rudnicka zażądała rozmowy z dziewczyną. Zamierzała zapytać ją o plany Lewickiego, ale popełniła jeden błąd. Streściła Liz informacje, jakie uzyskała od Dżejdzēja. Powinna przewidzieć, co się stanie.

Policjant, który pilnował Roksany, zabronił Lenie porozmawiać z dziewczyną. Zapewne dostał polecenie z góry, od samego komendanta. Gdyby Rudnicka w porę ugryzła się w język, miałaby kartę przetargową w postaci informacji od Dżejdzēja, a tymczasem nie miała nic.

Nie wytrzymała. Coś w niej pękło. Gdyby Liz nie zdążyła z interwencją, Rudnicka wyładowałaby frustrację w inny sposób. Na przykład przywaliła w głowę gówniarzowi, bo ośmielił się zabronić jej wstępu do pokoju, w którym przebywała Roksana z matką.

Liz niczym surowa matka wyprowadziła Lenę na parking i zastrzegła, że wróci za kilka minut. Najpierw zamierzała uspokoić Andrzeja Wolskiego, który usłyszawszy o wizycie Rudnickiej, nabrał ochoty, by osobiście rozprawić się z – jak to określił – wykolejoną policjantką.

Rudnicka przystanęła. Włożyła dłonie do kieszeni. Czekwała, obserwując wchodzących i wychodzących policjantów. Niektórzy witali się z nią przyjaznym skinieniem głowy, inni mijali ją obojętnie. Dwudziestoparoletnia funkcjonariuszka w zdecydowanie za dużym mundurze obeszała policyjną kię, jakby oglądała samochód wystawiony na sprzedaż. Jeździła palcem po masce, otwierała i zamykała drzwi od strony kierowcy, przypatrywała

się nadkolom, jak gdyby szukała rysy, jakiegoś zgniecenia, dzięki któremu mogłaby zbić cenę. Wyraźnie się spieszyła, gdy zdała sobie sprawę, że jest obserwowana przez starszą koleżankę. Przypominała zalęknioną maturzystkę przystępującą do ustnego egzaminu. Zapewne stresowała się pierwszą służbą w terenie. Lena usiłowała przypomnieć sobie pierwszy dzień służby, ale w głowie miała pustkę. Nie potrafiła przywołać wspomnień. Pamiętała jedynie determinację, jaka towarzyszyła jej od dnia, gdy dostała list o przyjęciu do szkoły policyjnej w Szczytnie. Miała dwadzieścia kilka lat, kilka podrozdziałów pracy magisterskiej i propozycję promotora, by rozważyła karierę jako wykładowca na uczelni. Była młoda, nieopierzona i zdesperowana. Chciała łapać złodziei, wsadzać morderców za kraty i śmiało patrzeć w twarz psychopatam.

Praca była dla Leny sensem życia. Przez dwanaście lat służby robiła wszystko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Oczywiście popełniła kilka błędów, ale kto ich nie popełnia? Wybuchowy charakter czasem ściągał na nią kłopoty, ale zawsze spadała na cztery łapy.

Właśnie dlatego nie lubiła pracować z partnerami. Partner to odpowiedzialność. Jest jak członek rodziny. Jego życie i zdrowie jest priorytetem, a Lena nie przywykła martwić się o innych. Nie lubiła, gdy ktoś przeszkadzał w śledztwie i mówił, co powinna zrobić.

A właśnie tak się stało.

Komendant odciął ją od poszukiwań Marcela. Nie potrafiła pomóc partnerowi. Jakby utkwiała w ulicznym korku. Nie mogła się cofnąć ani ruszyć naprzód.

– Co się z tobą dzieje? – Obróciła się przez ramię. Liz zapaliła cienkiego papierosa, zaciągnęła się i wypuściła dym. Tytoniowa chmurka rozplynęła się w powietrzu. – O mało nie pobiłaś tego biednego chłopaka.

Rudnicka nie odpowiedziała.

– Źle wyglądasz – oceniła Liz. – Powinnaś jechać do domu i się przespać. Jadłaś coś dzisiaj?

Lena prychnęła. Gdyby miała się przespać, musiałaby zjeść pół opakowania oxycontin, co – swoją drogą – nie było złym pomysłem.

– Co z Roksana? – zapytała.

– Patrol przyjechał, kiedy wracała z matką z zakupów. Zgodnie z twoim poleceniem przewieźliśmy je na komendę. Wynajmiemy im jakiś pokój w hotelu i postawimy ochronę. Na wypadek gdyby Lewicki zamierzał porwać dziewczynę.

– Nie sądzę. Za duże ryzyko. Jeżeli ktoś miałby ją porwać, to raczej ten, któremu Lewicki obiecał nowy towar.

– O ile Lewicki ujawnił tożsamość Roksany.

– Rozmawiałaś z nią? – Rudnicka tęsknie spoglądała na papierosa tłącego się między palcami koleżanki.

– Twierdzi, że nie miała pojęcia o działalności Lewickiego.

– Proponował jej wyjazd?

– Zasugerował – sprostowała Liz. – Roksana twierdzi, że faktycznie chodziła do Lewickiego pogadać. Jak większość ludzi uważała wychowawcę za porządnego człowieka, który pomagał jej uporać się z problemami. Lewicki zasugerował Roksanie wyjazd za granicę. Mówił, że załatwi jej nowe życie i pracę. Zapewniał, że nie będzie sama, ponieważ Diana i Natalia również zdecydowały się wyjechać. Ale przyznała, że nie wiedziała, czym naprawdę zajmuje się Lewicki.

– Diana i Natalia nie poinformowały Roksany o całej sytuacji?

Liz zaprzeczyła.

– Prawdopodobnie dlatego, że Roksana odmówiła wyjazdu – dodała. – Martwiła się o matkę. Nie chciała zostawić jej samej z ojcem.

– Jak zareagował Lewicki?

– Starał się ją przekonać. Mówił, że jej życie jest beznadziejne, że nie ma przed sobą żadnej przyszłości, jeśli zostanie w domu z ojcem psychopatą. Wychodziła od niego jeszcze bardziej zdołowana, więc z czasem odwiedzała go coraz rzadziej. Choć nadal była przekonana, że facet chce jej pomóc.

– Robił to specjalnie, żeby popchnąć ją do wyjazdu. – Rudnicka przywołała w pamięci twarz dziewczyny, jej załężniony wzrok i pocięte nadgarstki. Roksana łudziła się, że spotkania z Lewickim przyniosą jej ulgę, a tymczasem mogła wpaść w poważne tarapaty.

– Kiedy zobaczyła film Diany, uznała, że to prowokacja. Tamta wspominała koleżance o swoich planach. Roksana uznała, że Diana żyje, a nagranie ma być ostrzeżeniem dla ojca. Poza tym Diana od dłuższego czasu przebąkiwała o ucieczce. Roksana sądziła więc, że koleżanka zwyczajnie związała.

Lena przejechała palcami wzdłuż obojczyka. Jak mogła się tak pomylić? Wprawdzie nie wierzyła w dobre serce Lewickiego, ale nie przypuszczała, że wychowawca para się handlem kobietami. Może był tylko pionkiem zajmującym się werbowaniem dziewcząt, ale jego związek z Klimą był oczywisty, tyle że policja nie miała żadnego znaczącego dowodu oprócz zeznań dwudziestolatka zamkniętego za handel narkotykami. Mało wiarygodne źródło informacji. Dwóch kluczowych świadków nie żyje, Roksana nie ma pojęcia o działalności Lewickiego, a dotarcie do dziewczyny, która poinformowała o całej sprawie Dzejdżeja i Dianę, wydaje się niemal niemożliwe. Jeśli Lewicki utrzymuje formę i wciąż jest tak sprytny jak dotychczas, będą mieli problem z udowodnieniem mu udziału w porwaniu dziennikarza i Marcela. Wystarczy, że starannie zataił ślady po ewentualnym morderstwie i dobrze ukrył zwłoki, a policja nigdy nie odnajdzie ciał.

– Ej, wszystko w porządku? – Liz złapała Lenę za ramię. – Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

– Wszystko gra. – Rudnicka strąciła rękę koleżanki.

– Może zadzwonię do Krzysztofa? – zaproponowała Krajewska. – Zabierze cię do domu. Lena rozprostowała plecy i pokręciła głową.

– Nic mi nie jest.

Tamta spojrzała na Lenę, jakby miała ochotę o coś zapytać. Wahała się przez chwilę, a potem wciągnęła w płuca solidną porcję dymu. Wyrzuciła niedopałek i oparła się plecami o chłodny mur komendy.

– Na razie nic nie mamy – powiedziała. – Nic, rozumiesz? Lewicki z Marcelem rozplynęli się w powietrzu. Szef wysłał nawet helikopter. Szukali srebrnego audi Lewickiego. Na nagraniach z monitoringu widać, że nie zmienił tablicy rejestracyjnej, więc chłopaki wypatrują blach z okien śmigłowca.

– Może zmienił blachy później?

– Niewykluczone.

– Albo garażuje samochód. – Lena zagryzła wargę. – Helikopter nic nie da.

– Masz inny pomysł?

Miała. I nawet wprowadziła go w życie, kontaktując się z Pułkownikiem. Jednak nie podzieliła się z koleżanką tą informacją. Liz nie jest głupia. Od razu zapytałaby, co Pułkownik zażądał w zamian. A tego Lena nie mogła ujawnić.

– Boję się o Marcela. – Oczy Luizy się zaszklily. – A co, jeśli go nie odnajdziemy? – Wytarła policzek w miejscu, gdzie łaza pozostawiła wilgotną ścieżkę.

– Przestań pieprzyć, Liz.

– Nie pomyślałaś o tym, że może nam się nie udać? Co wtedy zrobimy?

– Uda nam się – ucięła Lena. – Sprowadzimy go do domu, a potem znowu będziecie chodzić sobie na piwo po pracy.

Liz spojrzała zaskoczona.

– Marcel to świetny facet – powiedziała Rudnicka.

– Pewnie.

– Muszę iść. Będziemy w kontakcie.

Wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce i spojrzała w miejsce, gdzie przed chwilą stała jej koleżanka, ale tamta zniknęła już za drzwiami komendy. Lena przymknęła oczy, zastanawiając się, skąd pojawiło się to dziwne uczucie. Nie miała powodu, by złościć się na Liz.

A jednak.

12

Zegarek wskazywał kilka minut po dwudziestej pierwszej, kiedy Rudnicka wjechała za bramę osiedla Scheiblera. W powietrzu unosił się zapach lata i nadchodzącej burzy. Śnieżnobiałe obłoki spowiła szarość. Oberwanie chmury było kwestią minut.

Lena wysiadła z samochodu i przemierzyła drogę do mieszkania, walcząc z uporczywym pulsowaniem w głowie. Miała ochotę połknąć oxycontin, ale w porę się powstrzymała. Nie powinna odurzać się lekami.

Pokonując ostatnie stopnie na piętro, pomacała kieszeń w poszukiwaniu telefonu i zamarła. W lewej kieszeni zwykła trzymać policyjną legitymację i klucze, w prawej zaś komórkę. Pewnie zostawiła telefon na siedzeniu.

Wróciła na parking. Grube mury zapewniały przyjemny chłód i wytchnienie od sauny na zewnątrz. Otworzyła drzwi jaguara, sprawdziła siedzenia i szparę przy desce rozdzielczej. Aparat był dość duży, więc czasem go tam kładła, kiedy prowadziła, bo inaczej wysuwał się z dzinsów i lądował pod fotelami.

Ale nigdzie go nie było.

Nagle poczuła za sobą czyjś oddech. Nie zdążyła się odwrócić.

– Rzuć pistolet na ziemię – usłyszała tuż przy uchu. Mężczyzna stał tuż za nią. Ich twarze dzieliły centymetry. Czuła kwaśny zapach wydobywający się z jego ust. Nie musiała jednak się odwracać, by wiedzieć, kim jest intruz.

Damian Lewicki.

– Wyjmij spluwę i rzuć na ziemię – powtórzył.

Posłuchała, chociaż rozważała w głowie kilka opcji. Mogłaby zacząć krzyczeć. W końcu po terenie loftów zawsze kręci się jakiś ochroniarz. Mogłaby też kopnąć go w kolano albo w czułe miejsce, ale z takim działaniem wiązało się pewne ryzyko. Zgiąłby się wpół albo zdążyłby zablokować cios. Biorąc pod uwagę, że ona stała tyłem i nie widziała dokładnie napastnika, mogłaby zwyczajnie nie trafić.

Glock wylądował na ziemi.

– Wsiadaj do wozu – warknął.

Dopiero teraz Rudnicka spostrzegła długą lufę tłumika nałożonego na poręcznego colta. To nie wróżyło niczego dobrego.

Wsiadła do samochodu. Lewicki najpierw kopnął glocka w stronę przednich świateł jaguara, gdzie nie sięgało oko kamery, i dopiero wtedy schował broń za pasek spodni. Zrobił wcześniej rozeznanie i sprawdził rozkład kamer monitoringu.

Zajął fotel pasażera. Miał na sobie wyprasowaną na sztywno koszulę, ciemne spodnie i okulary przeciwsłoneczne, chociaż słońce już dawno zniknęło za chmurami. W prawej ręce trzymał colta. Palec wskazujący położył na spuście. Glocka Rudnickiej schował pod koszulę. Obrys rękojeści odznaczał się pod białym materiałem.

– Ruszaj – rozkazał. Lufę colta wycelował prosto w bok Rudnickiej. Gdyby strzelił, kula roztrzaskałaby jej żebra.

Odpaliła silnik, wycofała samochód i wyjechała z parkingu. Przy bramie wyjazdowej ochroniarz skinął głową na przywitanie. Ochroniarze najwyraźniej zmienili wartę, bo gdy wjeżdżała, w stróżówce stacjonował stary wąsacz, który całą służbę przesiadywał na fotelu przed przenośnym telewizorem.

– W lewo – polecił Lewicki, kiedy zatrzymała jaguara na skrzyżowaniu.

– Dokąd jedziemy? – Włączyła kierunkowskaz i skręciła w lewo.

Nie odpowiedział. Kątem oka dostrzegła, że rozluźnił nieco rękę z coltem, ale nie na tyle, by zdołała wyrwać mu pistolet.

Oceniła szybko sytuację. Lewicki nie zamierzał jej zabić. Przynajmniej nie w tej chwili. Gdyby chciał ją zastrzelić, nie przychodziłby na teren loftów, gdzie ktoś mógłby go rozpoznać. Zrobiliby to w bardziej ustronnym miejscu.

Tymczasem kazał jej dokądś jechać, prawdopodobnie za miasto, gdzie nie napatoczą się na żaden patrol. Po co? Może właśnie tam pociągnie za spust?

Początkowo Rudnicka zakładała, że Lewicki kieruje samochód do swojej dziupli za miastem, jednak się pomyliła. Jechali w przeciwnym kierunku, w stronę Arturówka.

– Łapy na kierownicy! – warknęła.

Czuła pulsującą w żyłach krew. Jechała powoli, pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, jakby usiłowała odwlec własną śmierć. Lewicki uchylił szybę, a wewnątrz samochodu wypełnił świst wpadającego przez szparę powietrza. Oddychał niespokojnie, nerwowo szurał butami po gumowym dywaniku, a ręka z coltem lekko mu drżała.

Miało to swoje plusy. Zdenerwowanego człowieka łatwiej wybić z rytmu. Zdenerwowany przestępca staje się jednak nieobliczalny. Nie myśli logicznie i działa pod wpływem impulsu.

– Skręć tutaj.

Wjechała w Skrzydlatą, wzdłuż której ciągnął się Las Łagiewnicki. Latem przyciągał wielu spacerowiczów, ale dzisiaj w okolicy nie było żywej duszy. Najwyraźniej pierwsze krople deszczu, które odbijały się od przedniej szyby, wystraszyły nawet najtwardszych piechurów. Nad koronami drzew wisiała czarna chmura, a brudne niebo przecięła błyskawica.

– Nie wiem, czy spacer po lesie jest dobrym pomysłem – zauważyła Rudnicka. – Drzewa przyciągają pioruny.

Jej zuchwały ton zdenerwował Lewickiego. Nachylił się nad dźwignią zmiany biegów. Rudnicka mimowolnie się wyprostowała, czując, jak zimny metal napiera na skórę. Lufa znajdowała się na wysokości wątroby.

– Zatrzymaj samochód.

Wykonała polecenie. Nie miała pojęcia, gdzie dokładnie się znajdują. Rzadko odwiedzała tę część Łodzi. Ostatnio w Lesie Łagiewnickim była przed paroma dniami, kiedy odnaleziono ciało Diany Pulido, ale wcześniej spacerowała tutaj z matką dawno temu. Miała wówczas kilka lat. Matka uwielbiała spacerować i ruch na świeżym powietrzu. Gdyby żyła, pewnie by dołączyła do grona kobiet, które co wieczór uderzają kijami do nordic walkingu w chodnikowe płyty.

– Szybciej! – Lewicki popchnął ją w stronę lasu.

– Po co tutaj przyjechaliśmy? – Ruszyła do przodu. Lewicki szedł o krok za nią. – Jeśli chcesz mnie zastrzelić, nie krępuj się. Tu nikogo nie ma.

– Stul pysk!

– Mówię poważnie. Będziesz musiał przenieść ciało do samochodu. Jeśli mnie zostawisz, ktoś prędzej czy później znajdzie zwłoki. Powinieneś znaleźć lepszą kryjówkę.

Stąpała po cienkim lodzie, ale ryzyko się opłacało.

– Nie chcę cię zabić – odrzekł, wbijając Lenie colta pomiędzy łopatki.

Bingo.

– Więc po co mnie tu przywiozłeś?

– Zamknij się wreszcie! – Twarda rękojeść colta trafiła ją w tył głowy. Lena upadła, zatapiając ręce w leśnej ściółce. Szyszka wbiła się w wewnętrzną część jej dłoni. – Wstawaj! – Pociągnął ją za koszulkę i popchnął do przodu. Odwróciła się twarzą do niego, a wtedy kopnął ją w brzuch. Zakaszlała i zgięła się wpół, ale cios nie wyrządził jej krzywdy. Przerabiała podobne uderzenia z Krzysztofem. Ciało najwyraźniej przywykło do bólu w okolicach śledziony.

Lewicki kontrolnie zerknął przez ramię. Wokół panowała głucha cisza. Oblizął wargi. Na białym materiale jego koszuli wykwitły ciemne plamy potu. Podwinął rękawy, jakby szykował się do dalszej bitwy.

– Czego chcesz?! – warknęła. Głos na przekór rozsądkowi zabrzmiał wyzywająco. Nie powinna prowokować Lewickiego, ale w środku czuła pustkę. Gdyby jednak zdecydował się ją zabić, nikt nie odczułby jej braku.

Deszcz wezbrał na sile.

Lewicki zawahał się, a potem uderzył ją pięścią w kość policzkową. Lena zatoczyła się i upadła w cierniste zarośla, które pokancerowały jej dłonie i przedramiona. Z czerwonych pręg wytoczyły się strużki krwi. Podparła się rękoma, ale nie zdołała wyswobodzić się z pnączy. Kiedy but Lewickiego ponownie wylądował na jej brzuchu, kaszlnęła, czując, jak ciepło rozlewa się po całym ciele.

– Patrz na mnie, suko.

Lena nie zareagowała. Skupiła się na szczypiących zadrapaniach. Poharatane ramiona przypominały sierść zebry, z tym wyjątkiem, że zamiast czarnych pasów na ziemi spływały czerwone smugi.

Chwycił ją za nadgarstek i szarpnięciem wyciągnął z zarośli. Upadła na miękkim mech. Miła odmiana.

– Spróbuj coś odpierdolić, a rozwalę ci łeb.

Wypluła krew i wytarła dłonią usta. Czuła na wargach posmak wilgotnej ziemi.

– Jeżeli chcesz zobaczyć gliniarza żywego, zrobisz, co każę.

Dopiero teraz uniosła głowę. Deszcz się wzmacniał. Wielkie krople smagały po twarzy.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Mam chłopaka i dziennikarza.

– Domyślam się.

– Naszała cię ochota na żarty, co? – Podszedł bliżej. – Kurwa, taka mądra jesteś?! – Spodziewała się kolejnego kopniaka, ale Lewicki pohamował złość. Cofnął się, jakby

nagle dotarło do niego, co chciał zrobić. – Nie pójdę do pierdła, rozumiesz?

– Skoro mnie tutaj przywiozłeś, wnioskuję, że masz dla mnie jakąś propozycję. – Przełknęła ślinę. Zdała sobie sprawę, że z rozciętej wargi płynie krew. Chciała ją wytrzeć, ale całą dłoń miała upapraną w ziemi.

– Pomożesz mi uciec – powiedział.

– Co to znaczy?

– Odgonisz ode mnie psy, a ja w tym czasie przedostanę się za granicę.

– Wyłączyli mnie ze sprawy. Gównno mogę.

– Więc zrobisz wszystko, żeby cię włączyli z powrotem.

– Na co czekałeś? – spytała. – Dlaczego jeszcze nie jesteś za granicą?

– Jutro wyjeżdżam – odparł. – A ty powstrzymasz list gończy i przekroczysz ze mną granicę. Potem ci powiem, gdzie znaleźć chłopaka.

To nie miało sensu.

– Gdzie Marcel? – Podparła się rękoma i spróbowała wstać.

– Żyje.

– Gdzie jest?

– Myślisz, że jestem idiotą? – Przypatrywał się, jak Rudnicka opiera się o drzewo i staje na nogi. – Jeśli mi pomożesz, nie zabiję go. Nie jestem mordercą.

– A to ciekawe.

– Nie znasz mnie.

– Oszukiwałeś naiwne dziewczyny i przerzucałeś je do burdeli. Wybacz, ale nie jesteś wiarygodnym człowiekiem.

– Nie jestem mordercą – powtórzył. – Nie chcę zabić gliniarza ani reportera. Chcę uciec z Polski i rozpocząć nowe życie.

Spojrzała na niego. Mówił prawdę. Przedstawienie, jakie zaserwował, miało być pokazem wyższości, ale stanowiło tylko wyraz prawdziwego lęku, który tlił się w jego oczach. Nagle do Leny dotarło, po co tutaj przyjechali. Lewicki potrzebował pomocy w ucieczce. Życie Marcela było kartą przetargową.

– Wyjedziemy jutro po południu – rzekł. – Kiedy przekroczę granicę i będę bezpieczny, wskażę ci miejsce pobytu policjanta. Ale do tego czasu zrobisz wszystko, żeby mnie nie znaleźli.

– A co, jeśli się nie zgodzę?

– Gliniarz zdechnie.

Wzdrygnęła się.

– Nikt go nie znajdzie – dodał. – A sam nigdy się nie wydostanie.

Nie wiedzieć czemu uwierzyła Lewickiemu. Serce załomotało jej w piersi na myśl o tym, w jakich warunkach mógł przetrzymywać Marcela.

– Teraz odejdę – odezwał się. – A ty grzecznie pojedziesz do domu i będziesz na mnie czekała, rozumiesz?

Zmrużyła oczy.

– Pamiętaj, że jeżeli zrobisz jakąś głupotę i policja znajdzie mnie wcześniej, nigdy nie wyjawię, gdzie jest chłoptaś. – Potarł brodę. – Podobno człowiek wytrzymuje maksymalnie sześć dni bez wody. – Uśmiechnął się. – Może za parę tygodni mi się przypomni, gdzie go ukryłem. Nie jestem pozbawiony uczuć. Dam ci szansę, żebyś urządziła mu pogrzeb z asystą policji.

Podszedł nieco bliżej. Patrzył na Lenę, jakby była jego ostatnią deską ratunku.

– Nie jestem mordercą – rzekł, a potem z całej siły uderzył ją w głowę.

13

Nie miała pojęcia, ile czasu leżała w błocie. Deszcz ustał, a niebo spowiła czerń nocy. Dotknęła twarzy oblepionej lepką ziemią i drobinkami sosnowych igieł. Rozcięta warga przestała krwawić, ale pod okiem czuła rosnącego siniaka. Szramy na przedramionach paliły, jakby ktoś wysypał rozżarzone węgle.

Podniosła się i odruchowo sprawdziła kaburę. Glock był na swoim miejscu. Widocznie Lewicki okazał się tak wspaniałomyślny, że wsadził pistolet z powrotem, zaraz po tym, jak Lena straciła przytomność. Przynajmniej jeden problem z głowy.

Ubłocona i poplamiona krwią podkoszulka przylepiła jej się do ciała, włosy przeszły zapachem igliwia, a spodnie nasiąknęły wodą, jakby wskoczyła w nich prosto do morza.

Czuła się fatalnie.

Wokół panowała ciemność. Nawet wysuszona ziemia nie wchłonęła takiej ilości wody i utworzyły się wielkie kałuże. Lena kierowała się w stronę majaczących między drzewami świateł latarni. Słyszała swój ciężki oddech i trzask łamanych gałązek. Pod podeszwami jej butów przetaczały się szyszki, sprawiając, że chwilami traciła równowagę. Przytrzymała się drzewa i wyszła na szosę.

Droga była pusta. Rudnicka zerknęła w prawo, potem w lewo, szukając wzrokiem jaguara. Stał jakieś dwieście metrów dalej. Widocznie idąc przez las, nieco zboczyła z trasy. Teraz musiała pokonać sieć kałuż, by dostać się do samochodu. Wsunęła rękę do kieszeni. Ostrożnie, żeby nie urazić świeżych ran na dłoni. Syknęła z bólu, czując, jak zdarta skóra styka się z materiałem. Wyciągnęła rękę. Z zadrapań pociekło trochę krwi. Otworzyła jaguara i usiadła w fotelu kierowcy. Na wszelki wypadek zamknęła samochód od wewnątrz. Wsunęła kluczyk do stacyjki i oparła głowę na zagłówku.

Adrenalina, która trzymała ją od początku spotkania z Lewickim, wyparowała. Rudnicka usiłowała sobie przypomnieć, co właściwie zaszło w lesie. Wychowawca bez trudu mógł ją zabić. Wystarczyło, żeby pociągnął spust. Drażniąc go, sama się o to prosiła. Dlaczego nie próbowała się bronić? Nigdy wcześniej nie była tak bierna. Co się stało?

Usłyszała dźwięk SMS-a. Rozejrzała się po wnętrzu samochodu. Na podłodze, przy tylnej kanapie, świecił ekran. Opierając się o podłokietnik, sięgnęła po komórkę

i odczytała wiadomość od Krzysztofa. Trzeci raz pytał, kiedy Lena wróci do domu. Zablokowała ekran, rzuciła telefon na siedzenie pasażera i oparła głowę na kierownicy. Nagle uderzyła ją pewna myśl.

Wyjęła z samochodowego schowka oxycontin i przeliczyła tabletki. Brakowało trzech. A może czterech? Nie pamiętała dokładnie, ile pigułek było wcześniej w środku. Powinna zacząć sobie zapisywać. Co się z nią dzieje, do cholery?

Odpaliła silnik i wyjechała na drogę, unikając spoglądania we wsteczne lusterko. Wolała nie patrzeć na siebie w takim stanie. Wydawało jej się, że zamknięte w plastikowym pudełku tabletki zaczęły krzyczeć.

Gwałtownie zjechała na chodnik i uruchomiła światła awaryjne. Bez namysłu wrzuciła flakonik do ulicznego kosza. Na pełnym gazie wróciła na drogę, starając się wypędzić z głowy natrętne myśli.

Kilkanaście minut później zaparkowała na terenie osiedla loftów. Pognała schodami na górę, jakby ucieczka z samochodu mogła uwolnić ją od problemów. Zatrzymała się przed szerokimi drzwiami mieszkania. Odliczyła do dziesięciu. Krzysztof z pewnością jest w domu. Gdy zobaczy żonę w takim stanie, zasypie ją pytaniami, a Lena na żadne z nich nie miała dobrej odpowiedzi.

Nie pomyliła się, bo gdy tylko pchnęła ciężkie drzwi, Krzysztof zjawił się w korytarzu. Miał na sobie ciemne spodnie i koszulę. Pachniał żelem pod prysznic i perfumami Hugo Boss o letnim, cytrusowym zapachu. Przez ramię miał przewieszoną ścierkę pobrudzoną czerwoną mazią. W całym mieszkaniu unosiła się woń sosu pomidorowego. No tak, Krzysztof wyszedł wcześniej z pracy, by przygotować kolację, ulubione danie Leny – spaghetti bolognese. Przez to wszystko kompletnie zapomniała, że umówiła się z mężem.

– Jezu, Lena – stęknął.

Podszedł bliżej i rozchylił usta w zdumieniu. Nie powiedział nic więcej. Nie dotknął jej. Tylko patrzył, jakby miał przed sobą najohydniejszy obraz na świecie.

Lena bez słowa minęła męża i skierowała się do łazienki. Zostawiała za sobą mokre plamy na podłodze, bo z przemoczonego ubrania sączyła się woda. Krzysztof stanął w progu, opierając się ramieniem o framugę. Obserwował, jak Lena ściąga z siebie poszczególne części ubrania. Mokra koszulka wylądowała tuż przy jego stopach.

– Trzeba wyrzucić te ciuchy do śmieci – powiedział. – I tak się nie dopiorą.

– Tak zrobię. Przyniesiesz mi coś na zmianę?

Krzysztof zawahał się, ale skinął głową. Po chwili wrócił i podał Lenie szorty i czarny sweter. Zamknęła się w łazience, stanęła pod prysznicem i starannie się umyła, uważając na bolące miejsca. Nie patrzyła w lustro. Nie chciała na siebie patrzeć. Wystarczyło, że czuła się koszmarnie. Rozczesała wilgotne włosy, wyjmując z nich resztki sosnowych igieł. Myślała o tym, żeby jak najszybciej zadzwonić do Liz. Technik nie kontaktowała się z nią, co oznaczało, że najprawdopodobniej nie ma żadnych nowych wieści w sprawie Marcela, ale za to Lena miała jej wiele do przekazania.

Po wyjściu z łazienki skierowała się do kuchni i sięgnęła po telefon leżący na blacie. Krzysztof jednak okazał się szybszy, jednym ruchem zabrał jej iPhone'a i schował do kieszeni, wskazując palcem na krzesło.

- Usiądź – powiedział tonem, jakim rodzice zwracają się do niesfornych dzieci.
- Zaraz, muszę zadzwonić.
- Powiedziałem, żebyś usiadła.

Lena zmarszczyła brwi, ale posłusznie zajęła miejsce przy stole. Obserwowała męża, który otworzył jedną z szafek, wyjął plastikowe pudełko i postawił je na ziemi.

- Ściągnij sweter – polecił, przyklękając przy Lenie.
- Słucham?
- Ściągaj sweter, Lena.

Zrobiła, co kazał. Czuła skrępowanie, siedząc przed własnym mężem ubrana jedynie w czarny stanik i szorty.

Popatrzył na nią niczym ubezpieczyciel oceniający szkody, po czym wyjął coś z pudełka.

- Będzie szczypać – uprzedził.
- Co to jest? – Odsunęła się.
- Spray antyseptyczny. Trzeba zdezynfekować rany.
- Umyłam się.
- To nie wystarczy.

Położył rękę na jej kości biodrowej, a Lena mimowolnie się wyprostowała. Dawno nie dotykał jej w tym miejscu i nie chciała, by to robił. Ale nie zaprotestowała. Przejechał dłonią ku górze, wywołując na jej ciele gęsią skórkę.

- Boże drogi – stęknął. – Coś ty robiła?
- Nic takiego.
- Źle to wygląda. – Podniósł na nią wzrok. – Powinniśmy jechać do szpitala.
- Wykluczone.
- Możesz mieć złamane żebra.
- Nic mi nie jest. To raptem parę siniaków. Przyzwyczyłam się.

Napiął mięśnie i ściągnął brwi, a w jego oczach błysnął gniew. Odetchnął głęboko, jakby próbował powstrzymać emocje, sięgnął po wacik i psiknął na ranę znajdującą się najbliżej biodra. Głęboka kreska o długości pięciu centymetrów wypełniła się pianą. Lena jęknęła, zaciskając palce na ramieniu Krzysztofa. Powtórzył czynność z trzema kolejnymi zadrapaniami, a potem spojrział na starszą ranę, opancerzoną grubym strupem. Pamiątką po ich ostatniej kłótni.

– Posmaruję jeszcze żelem gojącym. – Wyciągnął tubkę z pudełka i nałożył pierwszą warstwę, delikatnie rozsmarowując maść. Po zetknięciu skóry z zimnym żelem Lena wzdrygnęła się, błyskawicznie puszczając męża, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zaciska palce na jego ramieniu. – Przestań się wiercić – przykazał, nakładając ostatnią porcję żelu.

– Nie musisz tego robić.

– I nie muszę się o ciebie martwić, prawda? – Zakręcił tubkę. – Nic nie muszę. Nie muszę z tobą rozmawiać, nie muszę do ciebie dzwonić, nie muszę wiedzieć, gdzie i z kim jesteś. Czekam na ciebie godzinami, a kiedy wracasz, wyglądasz, jakbyś zeszła z pola bitwy. – Zaśmiał się. – A potem mówisz, że to nic takiego, nic się nie stało, wszystko jest dobrze, i idziesz do sypialni. Wstaniesz rano wcześniej, żebym przypadkiem nie spotkał cię na korytarzu i nie zapytał, czy wszystko w porządku.

Przełknęła ślinę.

– Daj rękę. – Ujął nadgarstek Leny i przez chwilę wpatrywał się w sznyty znaczące dłonie i przedramiona, spryskał je dezynfekującym sprayem i starł strużkę płynu, żeby nie skapnęła na podłogę. – Wyglądasz tragicznie.

– Dzięki.

– To nie była przygana, Lena. – Złapał drugą rękę i niczym wprawny lekarz zajął się odkażaniem kolejnych zadrapań. – Powinnaś się zastanowić.

– Nad czym?

– Nad sobą.

Zdawało jej się, że usłyszała w głosie Krzysztofa troskę.

– Nie chciałbym wracać do tamtej sprawy sprzed paru miesięcy – rzekł. – Ale od tamtego postrzału dzieje się z tobą coś niedobrego.

– Nic się nie dzieje.

– Zawsze byłaś nierozważna i ładowałaś się w najgorsze bagno, a ja cię z niego wyciągałem, ale to zaszło za daleko. Jeżeli twoja praca rzutuje na twoje zdrowie, powinnaś przemyśleć tę sprawę.

– Jaką sprawę? Co mam przemyśleć? Sugerujesz, że powinnam rzucić pracę?

– Nie. – Ostrożnie wsmarowywał żel w pręgi na jej rękach. – Nigdy nie namawiałbym cię na rezygnację z pracy. Wiem, ile dla ciebie znaczy. Ale sugeruję, żebyś zatrzymała się na chwilę. Może zmieniła rodzaj pracy? Przecież są w policji inne etaty...

– Słucham?

– Może pomogłaby ci zmiana wydziału...

– Chciałbyś, żebym usiadła za biurkiem i klepała przez osiem godzin w komputer?

Westchnął. Zamknął pudełko i schował je do szafki, po czym nałożył na talerz solidną porcję spaghetti i postawił przed Leną.

– Nie jestem głodna.

– Co dzisiaj jadłaś?

– Frytki.

– Przez cały dzień?

– Nie jestem głodna – powtórzyła z naciskiem.

– Nie możesz tak żyć.

– Och, daj spokój.

– Wykończysz się, tak nie można.

– Nagle zacząłeś się o mnie martwić? Szkoda, że dopiero teraz dotarło do ciebie, że nie jestem ze stali.

Lena szybko zganiła się w myślach za ostrą nutę, ale było już za późno. Krzysztof zmarszczył brwi, a potem wyjął z kieszeni czerwone pudełeczko i postawił na stole. Rudnicka wpatrywała się w ozdobne opakowanie, po czym uniosła pytająco wzrok.

– To dla ciebie – powiedział, opierając się o blat.

– Co to jest?

– Otwórz.

Otworzyła.

– Co to ma być?

– Dałem twoją obrączkę do zmniejszenia – wyjaśnił. – Mówiłaś, że jest za luźna i dlatego jej nie nosisz. Teraz będziesz mogła mieć ją na sobie cały czas.

Lena nie wierzyła własnym oczom. Owszem, obrączka była na nią za luźna, ale nie z tego powodu przestała ją nosić.

– Źle zrobiłem?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Przepraszam, ale nie mam do tego głowy.

– Jesteś moją żoną. Myślę, że powinnaś ją nosić. Poza tym może odstraszy potencjalnych natrętów.

– Jakich natrętów?

– Tych, którzy się koło ciebie kręcą.

Jak na ironię?

– Chyba tego chcieliśmy, prawda? Zostałam przy własnym nazwisku, żeby nikt nie łączył mnie z tobą w kwestiach zawodowych, ale nie wyszło. Wszyscy o tym wiedzą

– Skoro tak, to może warto zmienić tę sytuację? Magdalena Nawrocka brzmi całkiem nieźle.

Lena siedziała w bezruchu. Krzysztof przysunął krzesło i usiadł obok niej. Położył dłoń na jej udzie, ale odruchowo cofnęła nogę.

– Wystarczy pójść do urzędu i zapłacić – ciągnął. – Teraz to zajmuje tylko chwilę.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

– Kiedy?

– Nie wiem, Krzysiek. Dlaczego akurat dzisiaj chcesz o tym rozmawiać? Miałam ciężki dzień i naprawdę...

– Ponieważ wreszcie jesteś w domu. Doceń, że nie pytam, gdzie byłaś przez cały ten czas.

– Oddasz mi telefon? – zapytała. – Muszę zadzwonić.

– Do kogo?

– Do Liz.

– Do Liz? Ale po co? Podobno jesteś na przymusowym urlopie. Już nie zajmujesz się tym śledztwem.

Lena wstała. Nie sądziła, że Krzysztof już wie, ale jak widać, wieści szybko się rozchodzą. Na komendzie trudno utrzymać cokolwiek w tajemnicy.

– Powiedz, kto ci to zrobił.

– Nie mam nastroju, żeby o tym rozmawiać. To długa historia.

– Lena?

Spojrzała na niego.

– Chodzi o tego dzieciaka, prawda? – spytał, przerzucając komórkę Leny z jednej ręki do drugiej. – Wiem, że zniknął i że być może ktoś go porwał.

– Nie mam ochoty na gierki. Boli mnie głowa i nie mam siły się z tobą kłócić. Po prostu oddaj mój telefon i...

– I daj święty spokój?

– Nie o to chodzi.

– Nie kłócę się z tobą, tylko próbuję porozmawiać.

– Szkoda, że dopiero teraz, bo wcześniej preferowałeś inne formy komunikacji.

Krzysztof odchylił się na oparcie. Słyszała jego ciężki oddech. Przez dłuższą chwilę patrzył na nią, po czym położył telefon na blacie i wyszedł. Słyszała, jak zakłada buty, zdejmuje z wieszaka marynarkę i wsuwa ręce w śliski materiał rękawów.

Trzasnął drzwiami.

Siedziała nieruchomo, pocierając skronie. Nie chciała, żeby ta rozmowa tak się potoczyła. Krzysztof pewnie zamówi taksówkę i pojedzie do baru, by się upić. Jutro wstanie z bólem głowy i kacem, więc Lena musiała znaleźć sposób, żeby ulotnić się z domu, zanim mąż wstanie.

Ale teraz miała na głowie większe problemy.

Wybrała numer Liz, odczekała trzy sygnały i rzuciła komórkę na stół. Szybkim krokiem przemierzyła salon. Wyjrzała przez okno, zastanawiając się, co powinna zrobić w sytuacji, w jakiej postawił ją Lewicki.

Marcel żyje. Tak przynajmniej twierdził tamten. Zastanawiała się, czy mu zaufać, ale nie brała pod uwagę innej opcji. Marcel musi żyć. Pewnie siedzi w kryjówce Lewickiego i czeka na ratunek.

Spełnienie prośby wychowawcy wiązało się z ryzykiem. On nie miał nic do stracenia, a Lena wręcz przeciwnie. Była pewna, że najpóźniej jutro policja w całym kraju będzie go szukała. Policjanci i funkcjonariusze straży granicznej dostaną zdjęcia, a przekroczenie granicy – chociaż są otwarte – zostanie utrudnione. Istniało prawdopodobieństwo, że ktoś rozpozna zbiega. A wtedy, zgodnie z groźbą, nie wyjawi miejsca przetrzymywania Marcela. Była przekonana, że tak właśnie się stanie. Marcel był jego przepustką do wolności.

Tylko jak miałyby to zrobić? Zablokować wysłanie fotografii Lewickiego to jedno, ale poruszanie się po kraju z poszukiwanym przestępcą i pomoc w przekroczeniu granicy to drugie. Nie miała też pewności, czy Lewicki później po prostu jej nie zabije. Lena stanie się przecież niewygodnym świadkiem.

Kręciła się po pokoju, rozważając różne opcje.

Gdyby opowiedziała o sprawie komendantowi, z pewnością poleciliby jej przekroczyć z Lewickim granicę, wysłałby cichy patrol, który by ich śledził i czuwał nad bezpieczeństwem Leny, a w odpowiednim momencie – gdyby Lewicki wyjawiał miejsce pobytu Marcela – policjanci ujęliby wychowawcę. Problem w tym, że gdyby Lewicki się zorientował, szanse Marcela zmalałyby do zera.

Drugą możliwością było poproszenie o pomoc Liz. Technik mogłaby śledzić telefon Leny i zareagować, gdyby Lewicki wpadł na pomysł, by przerzucić Lenę do jakiegoś przygranicznego burdelu. W końcu tym się zajmował, a przed wspólną podróżą zapewne kazałby pozbyć się glocka. Po drugiej stronie czekali by jego koledzy, zagrozili bronią, a potem Lena obudziłaby się w brudnym łóżku w przerwie pomiędzy klientami.

Mało kusząca opcja. I nie dawała żadnego poczucia bezpieczeństwa, ponieważ Liz nie byłaby w stanie zareagować, gdyby doszło do strzelaniny.

Rudnicka usiadła przy stole i pogrzebała widelcem w cienkich nitkach makaronu. Nabiła kawałek mięsa i wsadziła sobie do ust. Najchętniej by wymiotowała – nie z powodu obrzydliwego smaku dania, Krzysztof zawsze dobrze gotował, ale przez napięcie, jakie odczuwała. Z trudem przełknęła mięso i popiła pepsi z lodówki. Gazowany napój wypełnił żołądek. To powinno wystarczyć na jakiś czas.

Lena była na siebie wściekła. Gdyby nie straciła przytomności, może udałoby się wysledzić Lewickiego. Cholera, dlaczego tak łatwo pozbyła się glocka na parkingu? Dlaczego nie próbowała się bronić?

Umysł powoli odmawiał posłuszeństwa. Potarła zmęczone oczy, spojrzała na zadrapania na rękach i naciągnęła rękawy swetra. Ile jest w stanie znieść jeden człowiek? Dlaczego Lena Rudnicka nie potrafiła żyć jak inni ludzie? Dlaczego napięcie, które towarzyszy jej od lat, nie chce zgasnąć?

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk wiadomości. Chwyciła za telefon z nadzieją, że Liz wysłała SMS-a z nowymi informacjami o Marcelu. Serce jej przyspieszyło, gdy spostrzegła, że wiadomość pochodzi od nieznanego nadawcy. Trzęsącymi dłońmi odblokowała ekran, kliknęła w ikonę koperty i zamarła.

To niemożliwe.

To niemożliwe, żeby Pułkownik uprzedził działania policji. Nie żeby nie wierzyła w rozległą sieć kontaktów gangstera. Pułkownik mógł wiele, ale nie sądziła, że to uda mu

się tak szybko. Niestety, wkrótce Lena będzie musiała zapłacić za ten pozornie miły gest, teraz jednak nie było czasu, by się tym martwić.

Dociskała pedał gazu. Licznik wskazywał grubo ponad sto kilometrów na godzinę, Dochodziła północ, więc o tej porze drogi były prawie puste. Podczas jazdy wykonała przynajmniej pięć połączeń, a następne pięć zrealizowała, siedząc już za sterami jaguara. Problem w tym, że technik wciąż nie odbierała, a była jedyną osobą, do której Lena mogła się zwrócić. Ufała Liz na tyle, żeby wtajemniczyć ją w swoje plany.

Gwałtownie wyhamowała na poboczu. Wokół panowała ciemność. Mający na niebie rogal rzucał skąpą poświatę na okoliczne pola. Kolejny raz wyświetliła na ekranie zdjęcie podpisane jako „P.”. Przypuszczała, że nigdy się nie dowie, w jaki sposób Pułkownik dotarł do kryjówki Lewickiego, ale nawet nie zamierzała pytać. Wołała nie wiedzieć.

Fotografia przedstawiała odręczny rysunek trasy między Łodzią a Tomaszowem Mazowieckim, z licznymi odnogami rozpoczynającymi się zaraz po zjeździe z ronda kierującego na miejscowość Rokiciny. Przylegająca wieś, Rokiciny-Kolonia, ciągnęła się wzdłuż głównej drogi. Punkt zaznaczony na prowizorycznej mapce jako „L” znajdował się kawałek za wsią. Dotarcie do niego wymagało przejechania przez tory kolejowe, a następnie zabudowania wsi i zjechania w polną drogę. Rzecz w tym, że Lena nie wiedziała, który zjazd jest właściwy. Minęła już przynajmniej trzy polne drogi, choć nie wykluczała, że było ich więcej, a przy słabej widoczności po prostu ich nie zauważyła.

W międzyczasie wystukała wiadomość do Liz. Technik w końcu weźmie do ręki telefon, więc lepiej, żeby wiedziała, dokąd Lena się wybiera.

Spojrzała jeszcze raz na narysowaną mapę. Autor nie miał talentu kreślarskiego, linie były krzywe, a litery przypominały pismo siedmiolatka. Gdy z bijącym sercem gapiała się na błędny ekran telefonu, doznała olśnienia.

Niepotrzebnie mijała te wszystkie polne drogi. Autor rysunku zaznaczył jeden jedyny zjazd. Pierwszy, jaki pojawiał się po wyjeździe ze wsi Rokiciny.

Szybko zawróciła, dotarła do pierwszego zjazdu i stanęła na polnej drodze, wpatrując się w ciemność. Przekalkulowała ryzyko, jakie wiązało się z jazdą samochodem.

Znajdowała się na polu, wokół nie świeciły żadne latarnie. Nie miała pojęcia, jak daleko od głównej drogi stoi dom Lewickiego, ale nie mogła narażać się na sytuację, kiedy Lewicki zauważy światła jaguara i przygotuje się na niezapowiedzianą wizytę. Krew przyspieszyła jej na myśl o tym, że dom mógł stać tuż za zjazdem, a reflektory jaguara odbiły się w którejś z szyb. Postanowiła więc iść pieszo. Zapobiegliwie przeładowała broń. Glock jak zwykle nie zawiódł. Nabój bez problemu wskoczył do komory i był gotowy do strzału.

Nad polami unosiła się lekka mgła. Skutek wieczornej ulewy. Powietrze wypełniał silny zapach wilgotnej ziemi. W ciągu kilku godzin temperatura spadła przynajmniej o dziesięć stopni, a krótkie szorty i sweter z wielkimi oczkami nie chroniły Leny przed chłodem. Wyszła z domu w pośpiechu i nie zdążyła się przebrać, dlatego teraz dygotała nie tylko

z powodu buzującej we krwi adrenaliny, ale również z zimna. Drżały jej ręce, które z trudem utrzymywały ciężki pistolet. Zakłęła pod nosem. Gdyby przyszło oddać strzał, nie trafiłaby nawet w najdalszy okrąg na tarczy strzeleckiej. Odetchnęła głęboko, posuwając się do przodu i jednocześnie lustrując wzrokiem okolicę. Usiłowała dostrzec cokolwiek w ciemności, ale mgła nie pozwalała sięgnąć wzrokiem dalej niż na odległość kilkunastu metrów.

Nie wiedzieć czemu przypomniła sobie sprawę sprzed kilku miesięcy, kiedy porywacz dwóch dziewczynek poczęstował ją kulką w bark. Wówczas również była sama, bez wsparcia, i na własne życzenie wpakowała się w kłopoty. Skutki operacji były najgorsze z możliwych. Jedna z dziewczynek zmarła wskutek postrzału. Lenę zgubiła nadmierna pewność siebie i brawura. Wiele się wtedy nauczyła, ale nie chłodnej kalkulacji. Stojąc w hangarze i celując prosto w pierś porywacza, sądziła, że miesiące szkoleń i ćwiczeń na strzelnicy oraz szybkość, jaką wyrobiła sobie dzięki forsownym treningom, dadzą jej przewagę. Ale dzisiaj już nie była tą samą osobą. Czuła się słaba, mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa.

Dostrzegła skąpy, przysłonięty mrokiem poblask majaczący nad łąkami zboża. Przystanęła. Wydawał się bardzo daleko, ale oszacowanie odległości zaburzała mgła. W rzeczywistości odcinek mógł wynosić nie więcej niż trzysta metrów.

Ostrożnie ruszyła naprzód.

Domek stał na lekkim wzniesieniu, w otoczeniu drzew. Na podjeździe nie było żadnego samochodu, ale między niewysokimi sosnami spostrzegła metalowy blaszak, który pewnie służył za garaż. Światło omiatające ganek padało z kuchennych okien. W pozostałych pomieszczeniach było ciemno.

Obeszła domek, kryjąc się w mroku pośród gęstych drzew. Wokół panowała głucha, przeszywająca cisza, jakby leśne stworzenia wszystkie naraz zapadły w sen. Lena słyszała jedynie własny oddech i szelest liści pod podeszwami butów. Serce łomotało jej w piersi. Miała wrażenie, że dźwięk wlatuje echem ponad korony drzew i wpada w uchylone kuchenne okno. Kilka kropel zsunęło się z liści i skapnęło jej na czoło. Rękawem swetra otarła twarz. Przykucnęła w zaroślach, obserwując otoczenie, kiedy poczuła w kieszeni vibracje telefonu. W tym samym momencie światło w jednym z pokoi rozbłysło. Zamarła w bezruchu, wpatrzona w okno. Dostrzegła sylwetkę Lewickiego. Wyjął coś z szafy, przeszedł przez pomieszczenie i ponownie zgasił żarówki.

Była przekonana, że jej nie zauważył. Znajdowała się w odpowiedniej odległości, schowana w ciemnościach. Cofnęła się kilka kroków, nie spuszczając wzroku z domu. Czasem wystarczą sekundy nieuwagi, by popełnić błąd. Położyła dłoń na telefonie. Jeżeli odczyta wiadomość, Lewicki może zauważyć błysk ekranu. Wcześniej wygasiała ekran na minimalną jasność, jednak w ciemności nawet słabe światło będzie dostrzegalne. Poza tym nadawcą wiadomości może być Liz. Technik najpewniej przekazała policjantom informację od Leny. Namierzyli GPS Rudnickiej, żeby dokładnie określić położenie.

Mapka mogła być niewystarczająca. Lena musiała wiedzieć, na czym stoi. Musiała wiedzieć, czy wiadomość wysłała Liz i czy komenda wysłała wsparcie. Już nigdy nie popełni tego samego błędu. Nie zaryzykuje życia Marcela dla własnej ambicji. Była gotowa czekać, obserwując budynek, a inicjatywę oddać specjalistom. Wolski wyjdzie z tego pieprzonego domu żywy.

Trzy sekundy zajęło Lenie wybudzenie ekranu i odczytanie SMS-a od Liz: „Za 20 min będziemy”.

Trzeba do tego dodać trzy minuty na dojście do domku, oddział antyterrorystów zaparkuje w odpowiedniej odległości, oraz dwie minuty na rozstawienie na pozycjach. Łącznie dwadzieścia pięć minut. To profesjonaliści. Lena nie miała co do tego wątpliwości.

Rozważała dwa scenariusze po dotarciu oddziału na miejsce. Pierwszy zakładał rozwiązanie siłowe, otoczenie domu dookoła w celu odcięcia drogi ucieczki, wyważenie drzwi, błyskawiczne wejście do środka i odbicie zakładników. Antyterrorysty są tak wyszkoleni, że pewnie świetnie poradzą sobie z tym zadaniem. Ujmą porywacza, ale raz na kilka przypadków zdarza się, że zakładnicy nie wychodzą z operacji żywi. Drugi scenariusz zakładał negocjacje. I właśnie w taki sposób zapewne rozpocznie się cała akcja.

Dwadzieścia minut. Tyle Lena czekała ukryta za drzewami. W ciągu dwudziestu minut nie zapaliło się ani jedno dodatkowe światło w domu. Lewicki nie wyszedł na zewnątrz ani nikt do niego nie przyjechał.

Sweter Leny nasiąknął wilgocią, chłonał wodę jak gąbka, przez co zyskał kilka dodatkowych kilogramów. Podmuchy wiatru stały się silniejsze, a Rudnicka dygotała na całym ciele. Poruszając się za drzewami, widziała przemykających kolegów z oddziału AT, w kuloodpornych kamizelkach, z karabinami w ręku. Doliczyła się czterech, ale była pewna, że jest ich znacznie więcej. W ciemności wypatrzyła zaparkowane samochody. Najwyraźniej – podobnie jak ona – przemieszczali się bez świateł, bo wcześniej z zarośli nie wychwyciła żadnego błysku.

W cywilnym wozie transportowym siedział Andrzej Wolski z Dawidem Cajmerem. Rozmawiali szeptem. Kiedy Rudnicka stanęła naprzeciwko, nagle umilkli. Komendant zmierzył ją wzrokiem. Maskę twardego policjanta opadła, zastąpiona trwogą o życie jedyne dziecko.

Cajmer, ubrany w kamizelkę kuloodporną, wstał z miejsca i ciągnąc ze sobą sporą nadwagę, wysiadł z samochodu, który pod naporem jego ciężaru buchnął na boki. Obrzucił Lenę niechętnym spojrzeniem i odszedł do stojącej nieopodal Liz.

– Jak do niego dotarłaś? – spytał Wolski.

Obracał w rękach pistolet. Wyglądał na przygaszonego, ale w jego oczach Lena dostrzegła determinację. Pomyślała, że byłby gotów własnoręcznie rozprawić się z Lewickim, by uratować syna.

– Lepiej, żebym nie wiedział, prawda?

– Kiedy chłopaki wchodzą do środka? – zapytała, obejmując się mocno ramionami. Silne podmuchy wiatru sprawiały, że dygotała.

– Musimy zachować ostrożność.

– To oczywiste.

– Nie chcemy, żeby ktoś ucierpiał. Chodzi o życie mojego syna.

Spojrzała na domek. Czarni stali już na ganku.

– Negocjacje? – Skrzyżowała ramiona, dygocąc z zimna.

– Nie wiemy, czy tutaj przetrzymuje Marcela.

– Lena, jak dobrze, że jesteś! – Liz podbiegła i uścisnęła komisarz niczym starą przyjaciółkę spotkaną po latach. Lena odsunęła się, nienawykła do takiej bliskości. – Bałam się, że wejdiesz tam sama!

– Nie jestem idiotką.

– Czarni załatwią sprawę – dodał komendant. – Nie wiemy tylko, czy Lewicki jest w domu sam i czy jest uzbrojony. Zakładamy, że tak.

– Ma broń – poinformowała go Lena. – Przypuszczam, że jest sam, ale nie jestem tego pewna na sto procent.

Komendant skinął ręką na Cajmera. Podkomisarz błyskawicznie stanął u jego boku.

– Lewicki jest uzbrojony – powiedział Wolski. – Przekaż chłopakom.

– Zakładaliśmy taką możliwość.

– Teraz mamy pewność.

– Skąd ta pewność, szefie? – Cajmer zerknął na Rudnicką. – Jeśli źródłem jest pani komisarz, wziąłbym poprawkę na jej słowa.

– Rób, co mówię. Przekaż tę informację, zamiast stać i się wymądrzać.

– Tak jest.

– Lena, chodź do wozu. – Liz pociągnęła Rudnicką za rękaw. – O rany, jak ty wyglądasz! Rudnicka odpowiedziała koleżance zdawkowym uśmiechem.

Kiedy znalazły się w sąsiednim ducato, technik usadziła Lenę na kanapie i okryła jej ramiona kocem. Lena opowiedziała o spotkaniu z Lewickim. Tamta słuchała w milczeniu.

– Sądził, że będzie dyktował nam warunki? – zdenerwowała się. – Niedoczekanie! Chyba nie chciałaś pójść z nim na współpracę?

– Nie wiem.

– Powinnaś go zastrzelić na tym cholernym parkingu!

Liz nie panowała nad emocjami. I chociaż to było zrozumiałe, bo wszyscy byli zdenerwowani i martwili się o Marcela, w postawie Krajewskiej Lena dostrzegła coś dziwnego, czego jeszcze nie potrafiła rozgryźć.

– Przyszło mi do głowy, żeby pójść z Lewickim na współpracę – przyznała. – Ale potem dostałam mapkę.

– Od kogo?

Lena pokręciła głową.

– Nieistotne.

Technik rozchyliła usta, ale Cajmer, który nagle wyrósł za plecami Liz, wszedł jej w słowo.

– Rudnicka? Jest problem.

– Jaki? – Lena zrzuciła koc z ramion i wyskoczyła z samochodu.

– Lewicki chce się z tobą widzieć.

– Słucham?

– Wypuści dziennikarza, jeśli wejdiesz do środka i porozmawiasz z nim.

– Wykluczone – warknęła Liz, Lena jednak nie zwróciła na nią uwagi.

– A Marcel? – zapytała.

– Lewicki wie, że policjant jest cenniejszym zakładnikiem. Więc chce zrobić wymianę. Masz iść bez broni.

– Do czego ja jestem mu potrzebna? – Lena poczuła przyływ adrenaliny.

Cajmer rozejrzał się na boki.

– Jeżeli nie wjedziesz tam w ciągu trzech minut, zagroził, że zastrzeli Marcela.

Lena znieruchomiała.

– Antyterrorysty nie mogą po prostu wyważyć drzwi? – zaproponowała Liz. – Przecież to niebezpieczne, żeby Lena szła tam bez broni! To jakiś absurd! Jeżeli ona pójdzie nieuzbrojona, Lewicki zyska dwóch zakładników, którzy są funkcjonariuszami policji!

– Zapewnił, że wypuści dziennikarza? – upewniła się Lena.

Cajmer kiwnął głową.

– Okej, to wchodzę.

– Lena, zwariowałaś? – Liz załamała rękę.

– Owczarek to cywil – powiedziała. – Muszę coś zrobić.

Komisarz spojrzała w stronę domu. Wejście do środka wiązało się z niebezpieczeństwem, ale postanowiła zaryzykować.

– Zostały dwie minuty. – Cajmer podał jej kamizelkę kuloodporną. Nie przejmując się jego obecnością, Lena zdjęła mokry sweter, zapięła kamizelkę, na którą ponownie nałożyła sweter. Przypięła do paska przenośne radio. – Oddział będzie czekał w gotowości, ale załatw sprawę jak najmniejszym kosztem – dodał, odwracając wzrok.

– Jak najmniejszym kosztem?

– Po prostu nie zrób żadnej głupoty.

Nie odpowiedziała.

Szybkim krokiem przeszła na ganek. Czarni się rozsunęli, żeby zrobić jej przejście. Zmurszałe deski uginały się i trzeszczały pod naciskiem ich ciężkich butów.

– Macie odejść!

Usłyszała głos Lewickiego. Nie stał tuż za drzwiami. Nie był głupi. Uznała, że skrył się za filarem albo za ścianą, będąc przekonany, że gdy Lena otworzy drzwi, antyterrorysty w ułamku sekundy zaczną strzelać.

Nagle zrozumiała sens tej sytuacji. Antyterroryści do tej pory nie użyli broni. W całym domu nie paliło się światło. Gdyby weszli siłą, a Lewicki miałby pod ręką Marcela, ubiegłby nawet najwprawniejszego strzelca. Potrzebowałby raptem dwóch sekund, żeby pociągnąć za spust. Zbyt mało czasu, by któryś z funkcjonariuszy po wyważeniu drzwi zlokalizował porywacza i oddał strzał. Z tego samego powodu oddział znajdujący się na tyłach domu nie próbował wejść przez balkonowe okno. Po prostu by nie zdążyli.

Mężczyzna skinął ręką. Drewno znowu zaskrzypiało. Oddział znalazł się kilka metrów od ganek, ustawiony w linii, gotowy, by odeprzeć ewentualny atak.

Ale kiedy Lena pociągnęła klamkę, atak nie nastąpił. Krystian Owczarek – ze związanymi rękoma i ustami zaklejonymi taśmą – stał w progu. Twarz miał spuchniętą i powleczoną zaschniętą krwią. Nie przypominał już krewkiego dziennikarza, którego Lena spotkała przed kilkoma dniami. W ogóle nie przypominał człowieka. Wyblakłe i pozbawione nadziei oczy przywodziły na myśl ślepiea maltretowanego zwierzęcia.

– Idź – powiedziała, przetykając ślinę. – Na miejscu jest karetka.

Powłóczęc nogami, wyszedł na ganek. Lena miała ochotę sprowadzić go ze schodów, ale w porę się powstrzymała. Lewicki mógłby źle odczytać jej intencje.

Zamknęła za sobą drzwi domku. Serce waliło jej jak młotem. Bez glocka czuła się bezbronna. Kamizelka kuloodporna dawała jedynie złudną ochronę. Wystarczyłoby, żeby Lewicki uniósł pistolet nieco wyżej, a kula roztrzaskałaby czaszkę Leny. Jej umysł przypominał studnię bez dna. Myśli uderzały z każdej strony. Nie miała pojęcia, której powinna posłuchać. Stała więc w korytarzu, czekając na jakikolwiek ruch przeciwnika.

– Tutaj – usłyszała znajomy głos.

Zrobiła krok, uważając, by nie uczynić żadnego gwałtownego ruchu.

Antyterroryści się pomylili. Lewicki stał sam, schowany za filarem. Oburącz ścisnął colta, wycelowanego prosto w Rudnicką. Uniosła ręce na wysokość ramion, aby pokazać, że nie ma przy sobie broni.

– Odwróć się – rozkazał. Głos miał zimny i pozornie beznamiętny, ale Rudnicka jednak wychwyciła nutę przerażenia. Improwizował. Zapewne nie spodziewał się, że Rudnicka tak szybko namierzy jego kryjówkę.

Obróciła się.

– Podnieś sweter.

Uniosła materiał, a potem odwróciła się przodem do Lewickiego, aby pokazać, że nie schowała pistoletu pod ubraniem.

Wciągnął głośno powietrze.

– Teraz zrobisz, co ci każę, rozumiesz? – spytał, a ręka z coltem drgnęła.

– Czego chcesz?

– Powiesz czarnuchom z karabinami, żeby odjechali.

– Wiesz, że tego nie zrobią.

– Pierdolę sposób, w jaki ich przekonasz – warknął. – Mają zniknąć.

- To jest twój plan?
- To jest część mojego planu.
- A co będzie dalej?
- Czarnuchy mają zniknąć. Potem dowiesz się reszty.

Lena sięgnęła po radio, ale nie włączyła go. Domyślała się reszty planu Lewickiego, ale na razie nie ryzykowała.

- Gdzie jest Marcel? – spytała.
- Odwołaj czarnuchów.
- Najpierw chcę zobaczyć Marcela.

W ułamku sekundy doskoczył do Rudnickiej. Zamachnął się. Twardą rękojeścią pistoletu uderzył ją w skroń. Lena odbiła się od ściany i próbując złapać równowagę, upadła na drewnianą podłogę.

– Myślisz, kurwo, że możesz ze mną pogrywać? – Szarpnął ją za włosy. Z tyłu głowy czuła zimną lufę pistoletu. – Mogę cię zająć w każdej chwili. Mnie już nie zależy.

Rudnicka usiłowała przezwyciężyć szum w głowie. Sięgnęła po radio.

- Cajmer? – powiedziała. – Chłopaki muszą się wycofać.
- Co?

Lewicki wyrwał urządzenie.

- Wycofaj czarnuchów, bo zabiję tę sukę! – huknął.
- Spokojnie, spróbujmy...
- Dwie minuty! Podjeżdża wóz, czarnuchy wsiadają i odjeżdżają! Wszyscy mają spierdalać sprzed domu!

Rozłączył się.

Krażył po korytarzu i zaglądał w okna, unikając ewentualnego strzału. Plecy przelepione do ściany, minimalne ruchy głowy. Rudnicka pomyślała, że dostał kilka instrukcji od znajomych z półświatka albo naoglądał się amerykańskich filmów. Nieważne, która opcja była prawdziwa. Ważne, że skuteczna, ponieważ minimalizował w ten sposób narażenie się na strzał.

Dwie minuty dłużyły się w nieskończoność. Lena czuła, jak pot oblewa jej plecy. Starła się zachować spokój. Nie powinna drażnić Lewickiego. I tak był zbyt pobudzony. Adrenalina wystarczająco nakręciła jego zmysły. W takim stanie był nieobliczalny. Nie zdziwiłaby się, gdyby w akcie desperacji naprawdę ją zastrzelił.

- Upewnij się, że odjechali – polecił.

Wzięła radio i skontaktowała się z Cajmerem.

– Oddział jest w wozie – zapewnił podkomisarz. W tle słyszała jakieś trzaski i zastanowiła się, czy rzeczywiście antyterrorysty siedzieli w samochodach.

Lewicki ruchem ręki kazał się rozłączyć.

- Idziemy – powiedział.
- Dokąd?

– Zamknij się i nie zadawaj głupich pytań. – Celował w jej głowę. Widział już, że ma na sobie kamizelkę kuloodporną, więc nie miał zamiaru marnować naboju.

– Chcę zobaczyć Marcela.

Zaśmiał się.

– Myślisz, że ty tu rządzisz? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Możesz mnie zabić – odparła. Głos zabrzmiał zaskakująco pewnie. – Ale nie wyjdę stąd, jeśli go nie zobaczę.

Namyślał się chwilę. Musiał dostrzec determinację Rudnickiej, bo otworzył drzwi do piwnicy i pchnął ją na schody. Rękami przytrzymała się ściany, żeby nie spaść. Schody były strome i nierówne, w niektórych miejscach beton skruszał, więc nieostrożne postawienie stopy groziło upadkiem. Czuła za sobą jego ciężki oddech. Z każdym stopniem piwniczna woń wilgoci coraz silniej drażniła nozdrza.

Gdy zeszła z ostatniego schodka, Lewicki wepchnął ją do jednego z pomieszczeń. Modliła się w duchu, by oddział czarnych był jednak w pobliżu i pod nieobecność Lewickiego wszedł do domu. To idealna okazja, żeby go zaskoczyć.

Przestąpiwszy próg małego pomieszczenia, zobaczyła Marcela. Ścisnęło ją w żołądku. Leżał skrępowany na betonowej posadzce. Twarz miał poobijaną, włosy posklejane krwią. Pod prawym okiem wyrósł wielki siniak. Usta miał sklezione taśmą, zabarwioną czerwonymi smugami krwi. Był nieprzytomny.

– Marcel! – Dopadła do niego i ujęła jego twarz w dłonie. Sprawdziła puls. Krew w jej żyłach płynęła tak szybko, że Lena nie potrafiła wyczuć tętna na szyi chłopaka. Odetchnęła z ulgą, kiedy spostrzegła, że jego klatka piersiowa unosi się w górę i powoli opada. Oddychał.

– Wstawaj. – Usłyszała głos Lewickiego i poczuła wściekłość. Widok Wolskiego w takim stanie był impulsem, który wyrwał ją z odrętwienia. Wołała nie wiedzieć, co przeszedł Marcel przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

– Dawaj kamizelkę! – rozkazał.

Zmrużyła oczy, oddychając ciężko. Zdjęła sweter. Ciało smagnał chłód, lecz mimo to nie wzdrygnęła się. Adrenalina ją rozgrzewała. Ściągnęła kamizelkę, podała Lewickiemu i z powrotem włożyła sweter. Obserwowała każdy ruch oprawcy. Najmniejsze drgnienie powiek nie uszło jej uwadze. Czekwała, aż Lewicki zacznie zakładać kamizelkę. Była mu niezbędna. Rudnicka przejrzała plan wychowawcy. Nie był zbyt pomysłowy, ale musiała przyznać, że nie był też pozbawiony sensu.

Lewicki pozbył się antyterrorystów. A przynajmniej tak sądził. Z przodu dom był otoczony przez policję, ale z tyłu droga była wolna. Pewnie zamierzał wypuścić zakładniczkę na ganek w chwili, gdy otworzy balkonowe okno i ucieknie w gęstwinę lasu. Kamizelka była mu potrzebna na wypadek, gdyby któryś z funkcjonariuszy oddał strzał. Nie wziął jednak pod uwagę, że antyterrorysty wrócili na pozycje, gdy on zszedł do piwnicy, ani tego, że część funkcjonariuszy pozostała na swoich miejscach. Nie był

najbystrzejszym przestępcą. Nie myślał perspektywicznie, nie przewidywał ruchów przeciwnika. Skupiał się na ucieczce, choć przecież mógł zabić Rudnicką tutaj, w piwnicy, i spróbować uciec bez jej pomocy. Plan był dobry, ale nieprzemyślany.

Wsunął lewe ramię w otwór, w prawej ręce ściskając pistolet. Rudnicka wiedziała, że zaraz albo przełoży broń do lewej ręki, albo wsunie prawe ramię z palcem na spuście. Druga możliwość była ryzykowna. Musiałby użyć drugiej ręki i na kilka sekund opuścić broń.

Kilka sekund wystarczyło.

Rudnicka zrobiła krok w bok, by uniknąć przypadkowego trafienia. W momencie gdy Lewicki naciągał kamizelkę na prawe ramię, chwyciła colta w połowie długości lufy i skierowała w ziemię, jednocześnie uderzając kolaniem Lewickiego w brzuch. Zgiął się wpół i zwolnił palce zaciśnięte na rękojeści broni.

Dudniło jej w uszach. Miała wrażenie, że drewniana chatka zadrżała w posadach, ale szybko zdała sobie sprawę, że to tupot ciężkich butów na drewnianej podłodze. Spojrzała na Lewickiego. Łapał oddech, powoli się wyprostowując.

Teraz albo nigdy.

Błyskawicznym ruchem sprawdziła, czy colt jest przeładowany, a potem nacisnęła spust. Nabój przeszył udo wychowawcy. Najchętniej oddałaby strzał prosto w serce, ale w tych okolicznościach zadowolila się nogą. W gruncie rzeczy wcale nie musiała strzelać. Była na wygranej pozycji, gdy przejęła broń. Nie groziło jej niebezpieczeństwo. Kierowała się chęcią zemsty. Lewicki zrobił krzywdę Marcelowi. Nie mogła mu tego puścić płazem. Piwnicę wypełniły donośne głosy antyterrorystów.

Z bijącym sercem przekazała Cajmerowi colta, obserwując, jak antyterrorysty wywlekają z piwnicy wijącego się z bólu Damiana Lewickiego. Za chwilę w ich miejsce zjawili się ratownicy medyczni.

Zerknęła w górę. U szczytu schodów stał Andrzej Wolski. Przeniósł na nią wzrok i nieznacznie skinął głową.

15

Kiedy do sali weszła Lena, Marcel wpatrywał się w okno wychodzące na szpitalny dziedziniec. Zamknęła drzwi i oparła się plecami o framugę. Oddychała ciężko, jakby wizyta w szpitalu wiele ją kosztowała. I rzeczywiście tak było. Nie spała od dwudziestu czterech godzin i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie urwała chociaż kilka minut snu.

Do siódmej rano, wraz z zespołem policjantów, pracowała w domu Lewickiego. Uporaliby się znacznie szybciej, gdyby nie grób, który odkryli za blaszanym garażem. W przykrytym plandeką dole spoczywały zawilgocone i ubrudzone ziemią zwłoki byłej żony Lewickiego. Rudnicka widziała w życiu wiele trupów, ale ten na długo pozostanie

w pamięci. Odór, jaki buchnął po uniesieniu plandeki, nawet u zahartowanej komisarz wywołał odruch wymiotny.

– Nie powinienes leżeć i odpoczywać? – zapytała. – Czy coś w ten deseń?

Wolski miał zmierzwione włosy, podpuchnięte oczy, a klatkę piersiową owiniętą bandażem.

– Ciebie mógłbym zapytać o to samo – odparł, wskazując jej podbite oko. Skóra pod nim powoli nabierała zgnłosinej barwy.

– To nic takiego.

– Czyżby?

– Nieważne.

– Kto ci to zrobił?

Zawinęła kosmyk włosów za ucho, mimowolnie odsłaniając poranione nadgarstki. Szybko naciągnęła rękawy, ale Marcel zdążył dostrzec zadrapania. Podeszedł bliżej, złapał Lenę za przeguby i odsłonił materiał swetra. Wyszarpnęła rękę. Przez chwilę miała wrażenie, że chce ją o coś zapytać, ale tylko pokręcił głową z rezygnacją.

– Powinnaś się przespać – powiedział.

– Ty też.

– Mówię poważnie. Nie wyglądasz najlepiej.

– Och, wybacz, ale przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny byłam zajęta szukaniem pewnego kretyna, który zgrywał bohatera.

– Ojciec był u mnie i powiedział mi o wszystkim. O tym, co zrobiłaś.

– Świetnie. Na pewno wspomniał też, że to moja wina, że władowałaś się w to bagno.

– Nie wyjaśnił tylko jednej kwestii. Skąd miałaś informację o lokalizacji domku Lewickiego? Ojciec twierdzi, że Cajmer i spółka do niczego nie doszli.

Nie odpowiedziała.

– Mnie możesz powiedzieć – naciskał. – Wpakowałaś się w coś, prawda?

Cofnęła się. Zaczynała żałować, że tutaj przyszła. Powinna wrócić do domu, wziąć gorącą kąpiel i wreszcie się odprężyć. Ale nie mogła. Na własne oczy musiała się przekonać, że Marcel jest cały i zdrowy. Miała jedynie nadzieję, że na szpitalnym korytarzu nie spotka komendanta. Wprawdzie zakopali topór wojenny, ale przez jakiś czas wolała nie wchodzić mu w drogę.

– Muszę już iść – mruknęła bez przekonania. – Wpadłam tylko zobaczyć, czy żyjesz...

– Dzięki tobie?

– Przestań pieprzyć.

– Pułkownik dał ci namiar na Lewickiego?

– Skąd ten wniosek?

– Ojciec odsunął cię od poszukiwań, więc znalazłaś inny sposób, by dowiedzieć się, dokąd Lewicki zabiera dziewczyny. I tylko Pułkownik przychodzi mi do głowy.

– Najważniejsze, że cię znaleźliśmy. Reszta nie ma znaczenia.

Marcel nerwowym ruchem potarł czoło. W głowie miał tyle pytań, że nie wiedział, od którego zacząć.

– Co z Lewickim? – zapytał w końcu.

– Przyznał się. Nie miał zresztą innego wyjścia. Był ugotowany.

– Do wszystkiego?

– Owszem.

Marcel nie spodziewał się, że Lewicki tak łatwo odpuści. Ale być może Lena miała rację i rzeczywiście nie miał innego wyjścia.

– Chociaż twierdzi, że nie zamordował byłej żony – dodała. – Utrzymuje, że to był nieszczęśliwy wypadek. Liz potwierdziła, że krew, którą znaleźli w mieszkaniu Lewickiego, to krew Marzeny. Cholerny skurwiel wrzucił ją do dołu za domem jak jakiegoś psa.

– Owczarek uważa, że kiedy Lewicki nakrył go na robieniu zdjęć, Marzena jeszcze żyła.

– Marcel przełknął ślinę. – Podobno leżała zawinięta w dywan.

– Bardzo możliwe. Patolog ma potwierdzić czas zgonu, ale przypuszczamy, że zmarła dopiero kilka godzin po uderzeniu w głowę. Wykrwawiła się.

– Jezu.

– Lewicki wpadł w amok – wyjaśniła Lena. – Nie myślał racjonalnie. Wcześniej był ostrożny, ale gdy popchnął Marzenę, sądził, że ją zabił. Zaczął popełniać błędy. Uciekł przed policją, ponieważ był przekonany, że szukamy go właśnie z powodu morderstwa. Zawinął ciało w dywan i przewiózł do domku. Obawiał się, że któryś z sąsiadów go zobaczył i wezwał policję. Kiedy przed blokiem zjawił się patrol, Lewicki ukrył się u sąsiadki. Owczarek okazał się bystrzejszy niż mundurowi i postanowił go śledzić. Dotarł za Lewickim aż do domku na wsi.

– Dlaczego nie wyjechał zaraz po śmierci Marzeny? – spytał Wolski. – Na co czekał?

To samo pytanie zadawała sobie Lena. Gdyby Lewicki uciekł za granicę zaraz po tym, jak Marzena uderzyła głową o framugę, prawdopodobnie policja nigdy by go nie znalazła.

– Na pieniądze od Tolisa – wyjaśniła. – Potrzebował kasy. To zrozumiałe. A nie miał ich z przerwania dziewczyn, bo jak wiemy, obie nie żyją. Chatka w lesie była punktem przystankowym dla dziewczyn nagranych przez Lewickiego. Większość pochodziła ze wschodu, a wieś pod Łodzią to idealne miejsce, w połowie drogi. Nocowały w domku, a potem ruszały dalej. A poza tym Tolis jest narkomanem. Lewicki załatwiał mu fetę od naszego Jerzego Jurka. Owczarek śledził Lewickiego, gdy tamtemu udało się zwać policji, zrobił nawet fotki, jak Tolis kupuje towar, ale pech chciał, że Lewicki i Tolis go nakryli. No a resztę już wiesz.

– Pobili Owczarka i przetrzymywali w domu tylko z powodu narkotyków?

– Nie tylko – odparła. – Fotki były pikantne. Tolis i Lewicki zabawiali się także ze sobą. Gdyby zdjęcia wyszły na jaw, Tolis straciłby wszystko. To podobno znany polityk. Zresztą Lewicki był z Tolisem w dniu, kiedy Diana wrzuciła film do internetu. Dlatego podał

falszywe alibi. I z tego samego powodu skłamał Emilio. Został w Łodzi i zabawiał się z dziewczynami Lewickiego. – Lena się zamyśliła. – Na domiar złego Lewicki sądził, że Owczarek dokopał się do jego nielegalnej działalności. Ciebie porwał niejako przez przypadek. Twierdzi, że działał pod wpływem impulsu, rąbnął cię w głowę i przewiózł do domku, ponieważ sądził, że szukasz go za morderstwo i handel kobietami.

– Dobrze usprawiedliwienie dla sądu.

– To prawda. – Pokiwała głową. – A odpowiadając dodatkowo na twoje pytanie, Lewicki nie wyjechał wcześniej, ponieważ czekając na pieniądze od Tolisa, szantażował polityka zdjęciami.

– Nie chodziło tylko o ucieczkę przed policją. Lewicki uciekał też przed ludźmi Klimy, prawda?

Lena zmrużyła oczy. Ojciec, zdając Marcelowi relację, najwyraźniej nie pominął żadnego szczegółu.

– Obiecał Klimie trzy dziewczyny, które miał dostarczyć w tym tygodniu – odparła. – Nie zrealizował zamówienia. Do tego wisiał Klimie sporo kasy. Pieniądze od Tolisa miałyby mu pomóc rozpocząć nowe życie.

– Znaleźliście coś na Klimę? – spytał Marcel, pokonując odcinek pomiędzy oknem a szpitalnym łóżkiem.

– Dzięki Lewickiemu znamy miejsce pobytu Klimy. Jego zeznania wiele nam ułatwiają. Tolisowi też się dostanie. Brał udział w pobiciu, przetrzymywaniu dziennikarza i dodatkowo nie poinformował policji o śmierci Marzeny Lewickiej.

Wolski zatrzymał się i spojrzał na Lenę.

– Kiedy zobaczyłem tego gnoja na ulicy, myślałem, że uda mi się go złapać.

– No jasne – zachnęła się. – Z kilkoma promilami we krwi na pewno poszłoby gładko.

Marcel zatrzymał wzrok na siniaku pod okiem Leny.

– To przeze mnie, prawda? – spytał, choć dobrze znał odpowiedź na to pytanie.

– Nieważne.

– Lewicki ci to zrobił?

Wzruszyła ramionami i podążyła do drzwi, lecz zatrzymała się w pół kroku.

– Jesteśmy kwita, młody – powiedziała. – Oberwało się i mnie, i tobie.

– Gówno prawda. Przez moją głupotę facet mógł cię zabić.

– Ale nie zabił.

Marcel miał taką minę, jakby miał się rozpłakać. Odwrócił się plecami do komisarz.

– Nic nie rozumiesz. Jestem idiotą.

– Z grzeczności nie zaprzeczę.

– Nie wiem, co ja sobie wyobrażałem. Że złapię przestępcę?

– Pomysł był dobry. Gorzej z wykonaniem.

– Nie nadaję się do tej roboty.

Świadomość, że przez jego lekkomyślność Lenie groziło niebezpieczeństwo, była nie do zniesienia. Aż zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się ramy łóżka.

– Lepiej usiądź, rycerzu – mruknęła Rudnicka.

– Powiedz to.

Zmarszczyła czoło.

– Co mam powiedzieć? – zapytała.

– Że powinienem odejść z policji.

– Zwariowałaś?

– Miałaś rację, jestem najgorszym gliną w historii. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Najpierw zgubiłem broń, a potem dałem się zamknąć Lewickiemu. Czy może być gorzej?

– Nie dramatyzuj. Wszystko dobrze się skończyło. Odpoczniesz trochę w szpitalu, ochłoniesz i...

– Dobrze się skończyło? Patrzyłaś dziś w lustro?

Chwyił Lenę za przeguby i obrócił twarzą do siebie. Dostrzegła w jego oczach rezygnację. Nie spodziewała się, że Wolski aż tak bardzo przeżywa sytuację.

– Uspokój się – mruknęła.

Wolski wbijał w nią wzrok. Przesunął kciukiem po jej policzku, a Lena uświadomiła sobie, że wydarzenia minionego dnia mogły mieć zupełnie inne zakończenie. Mogli już nigdy się nie zobaczyć. Ta myśl sprawiła, że żołądek zacisnął jej się w supeł. Nie chciała okazywać słabości, ale gdy patrzyła na Wolskiego, łzy same napłynęły jej do oczu.

– Bałam się o ciebie, kretynie – wyszeptwała.

– Ja o ciebie też.

Milczeli przez chwilę. Nie musieli mówić nic więcej.

Lena uniosła lekko głowę, by zajrzeć mu w oczy. Wahała się. Marcel czuł na ustach jej urywany oddech.

– O cholera. Przepraszam. – W drzwiach stała Liz. Zamrugwała nerwowo, obróciła się na pięcie i uciekła.

Rudnicka zaklęła pod nosem i odsunęła się od Wolskiego.

– Pójdę już – rzuciła.

– Poczekaj.

Marcel próbował ją zatrzymać, ale strąciła jego dłoń i wyszła na korytarz. Szukała wzrokiem Liz. Znalazła ją dopiero na dziedzińcu. Rudowłosa technik siedziała na murku i podjadała czekoladę z wiklinowego kosza wypełnionego słodkościami.

– Liz, to nie tak, jak myślisz. – Rudnicka stanęła naprzeciwko koleżanki.

– Nie musicie mi się tłumaczyć. Przyniosłam Marcelowi coś na osłodę. Ale mogę chwilę poczekać.

– Liz, to nie tak...

– Lena – przerwała. – Jesteśmy dorośli. Naprawdę nie musisz się przede mną tłumaczyć.

– To nie tak – powiedziała. – Ty i Marcel chyba... To znaczy... Kibicuję wam. Mówię poważnie. Nie będę stawać wam na drodze.

TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ

Dom stał na niewielkim wzniesieniu, w otoczeniu starannie przyciętych klombów, uformowanych w kule w różnych odcieniach zieleni. Marcel wprawdzie nie znał się na ogrodnictwie, ale musiał przyznać, że praca, jaką ktoś wykonał przy roślinach, robiła wrażenie. Wstąpił na ścieżkę prowadzącą na ganek. Ozdobne kamyczki chrzęściły pod podszewkami butów. W tafli oczka wodnego odbijały się promienie popołudniowego słońca. Marcel ściągnął ciemne okulary, zawiesił dłoń nad klamką i zapukał.

Z wnętrza dobiegło go jazgotanie małego pieska.

Serce biło mu coraz szybciej. Długo zastanawiał się, czy tutaj przyjść. Właściwie jeszcze dzisiaj rano nie był przekonany. Zdawał sobie sprawę, że ta rozmowa wiele zmieni w jego życiu. A może nie? Może nie zmieni nic, a spotkanie z Hubertem Janickim jest próbą utwierdzenia się we własnych przekonaniach?

Po tym wszystkim, co wydarzyło się pod koniec czerwca, musiał mieć pewność. Gdyby Lena dowiedziała się o tej wizycie, byłaby wściekła. Pomyślałaby, że Marcel ją sprawdza, grzebie w jej przeszłości, ale od rozmowy z ojcem nie potrafił odegnąć od siebie myśli o tym, że Lena wystawiła partnera. To było do niej niepodobne. Tak wiele zrobiła, żeby odnaleźć Marcela, gdy został porwany przez Lewickiego.

Drzwi uchyliły się, a na ganek wyleciał rozwścieczony chihuahua. Doskoczył do buta Marcela i wgryzł się w czubek, warcząc groźnie, jakby nie zdawał sobie sprawy ze swoich mikrych gabarytów. Kiedy Marcel poruszył stopą, piesek czmychnął z powrotem do domu.

– Przepraszam, czasem nie potrafię go opanować. – W progu pojawił około czterdziestoletni mężczyzna. Miał na sobie czarny podkoszulek polo, a ponad paskiem widniała niewielka oponka tłuszczu. Marcel mimowolnie przeniósł wzrok na jego nogi. Wychudzone łydki przypominały dwa patyki, pozbawione mięśni, przyczepione bezładnie do ciała.

– Pan Hubert Janicki? – spytał Marcel, obserwując psa, który ponownie wystrzelił z domu niczym z procy.

– Przepraszam za niego. Zawsze tak się zachowuje, kiedy mamy gości. Biega tam i z powrotem, jakby się szaleju najadł. Chyba w ten sposób wyraża swoje szczęście, nie wiem. – Mężczyzna podrapał się w głowę. – Kiedyś oglądałem program w telewizji z treserem psów. Gdyby pan widział, co robią inne zwierzaki, kiedy ich właściciel przyjmuje gości! Przy tamtych mój Szarik to złoty pies.

– Szarik?

– Aha – przytaknął tamten. – Poprosiłem rodzinę, żeby na urodziny kupili mi psa. Kurka wodna, spodziewałem się owczarka niemieckiego. Byłem pewien, że się domyślą, bo

uwielbiam *Czterech pancernych*. Mógłbym oglądać ten serial godzinami. No a potem dostałem pudełko, z którego wystawały uszy wielkości pinezki, a później wysunął się ten maluch. Ugryzł mnie na powitanie, więc pomyślałem, że się dogadamy. – Zerknął na Szarika, który zakręcił kółko po ogrodzie i wbiegł do domu. – Kurka wodna, gadam bez sensu. Przecież pan o coś pytał. Tak, jestem Hubert Janicki, a o co chodzi? Jakaś paczka dla mnie? – Okręcił koła wózka, by zerknąć za drzwi w poszukiwaniu paczki.

– Nie jestem kurierem. Nazywam się Marcel Wolski.

– No? Tośmy się poznali. – Gospodarz się zaśmiał. – Ale kim pan jest?

Marcel odchrząknął.

– Jestem policjantem – odparł.

– Zaraz, zaraz... Wolski? Syn Andrzeja?

Marcel westchnął w duchu. Czy zawsze ludzie będą postrzegać go jako syna komendanta?

– Niech mnie licho – powiedział Janicki. – Kiedy ostatni raz cię widziałem, srałeś pod siebie.

– Słucham?

– Miałeś z piętnaście lat... – zastanowił się – albo siedemnaście, a ojciec dawał ci bure za bójkę w szkole. Robiłem wtedy w prewencji. To były czasy.

Marcel pamiętał tamten dzień. Walnął wówczas Krzysztofa z innej klasy, ponieważ tamten po wufie zabrał mu spodnie i zaniósł do damskiej szatni. Gdy Marcel wyszedł spod prysznic, miał na sobie jedynie mokre slipki. Kiedy wpadł do przebieralni dla dziewcząt, miał nadzieję, że zdążyły się przebrać. Niestety. Zobaczył przed sobą kilka par nagich piersi i okrągłych tyłeczków. Jednym z tych tyłeczków były pośladki należące do Ani z pierwszej c, z którą chciał się umówić. Po niefortunnym zdarzeniu nie doszło do randki. Ania, jak większość dziewcząt, uznała go za zboka.

Hubert Janicki nagle zmarszczył brwi.

– Co cię do mnie sprowadza, chłopcze? – spytał.

– Chciałem porozmawiać.

– O czym? Albo nie odpowiadaj. Wchodź. – Hubert odjechał wózkiem, by zrobić Marcelowi przejście. – Napijesz się piwa?

– Chętnie, ale jestem samochodem.

Hubert podjechał do lodówki i wyjął dwie butelki.

– To radler – powiedział. – Ma dwa procenty. Zanim wypijesz, zdąży wyparować.

Marcel nie był przekonany, ale nie chciał odmawiać Hubertowi. Przyjął piwo i upił łyk. Jabłkowo-miętowy napój, który szumnie nazywano piwem, w rzeczywistości smakował jak sok.

– No więc mów, co to za sprawa? – Hubert trzymał butelkę na udach. Marcel dostrzegł, że Janicki wybrał dla siebie bogatszą wersję, z siedmioma procentami. Delektował się

każdym łykiem, mlaszcząc przy tym, jakby smakował piwo z regionalnego browaru, a nie koncernowe siki.

Wolski odchrząknął.

– Pracuję z Leną Rudnicką – zaczął niepewnie. Długo zastanawiał się, jak potoczy się ta rozmowa, ale ostatecznie uznał, że najlepiej przejść od razu do rzeczy.

Janicki zawiesił butelkę w drodze do ust. Opuścił ją i ponownie postawił na udach.

– Przepraszam, jeżeli nie chcesz o tym rozmawiać... – zaczął Marcel, lecz Janicki wszedł mu w słowo.

– Okej, co chcesz wiedzieć? Bo domyślam się, że przyszedłeś pogadać o mojej niedyspozycji. Tak to nazywam. – Zaśmiał się. – Niedyspozycja to lepsze słowo niż kalectwo, prawda?

– Chyba tak.

– Rudnicka to dobra policjantka. Powinieneś się cieszyć, że z nią pracujesz.

– Ojciec mówił, że cię wystawiła – wypalił Marcel i od razu pożałował swoich słów. Zawisły w powietrzu niczym gradowa chmura.

– Tak, no tak. – Hubert spojrzał na Szarika, który zziębnięty chłęptał wodę z miski.

– Chciałbym tylko, żebyś powiedział mi, czy to prawda.

– Och, Marcelu. Nie oszukuj się. Gdybyś chciał się dowiedzieć, czy to prawda, wcale byś tutaj nie przychodził. Jesteś gliną. Chcesz znać każdy szczegół, myślę się?

Nie mylił się.

– Ale nie mogę ci wszystkiego wyjawić – dodał. – Obowiązuje mnie tajemnica.

– Czy to prawda? – powtórzył Marcel, zaciskając palce na zimnej butelce.

– Tak, to prawda. – Hubert westchnął, jakby mówienie o tym sprawiało mu trudność. – Rudnicka mnie wystawiła. Widzisz to? – Postukał w wózek. – Przez nią wylądowałem na tym ustrojstwie. Przez tę całą pieprzoną robotę nawet nie mogę się normalnie wysrać.

Marcel znieruchomiał. Miał wrażenie, że świat na chwilę się zatrzymał. To niemożliwe.

– Prowadziliśmy kiedyś sprawę morderstwa – ciągnął Hubert. – Możesz sobie sprawdzić w aktach. Wydawało się, że to rutynowa robota. Ktoś zaciukał kierowcę ciężarówki na parkingu pod lasem. W kabinie morze krwi, brak narzędzia zbrodni, brak odcisków. Rudnicka chciała węszyć. Była strasznie napalona na tę robotę. To zabawne, bo dopiero gdy ona przyjechała na miejsce zdarzenia, kazała otworzyć przyczepę. Nikt wcześniej na to nie wpadł, rozumiesz? – Pokręcił głową. – I okazało się, że kierowca przewoził prochy, popakowane w kartony z ziemniakami. Kurwa, stary, przewalaliśmy te pudła, a pod stertą kartofli znaleźliśmy kupę dragów, zapakowanych elegancko w foliowe torebki. Nie wiem, ile tam było kasy, ale na pewno parę baniek. No i sprawa zmieniła priorytet.

– Kierowca miał powiązania z handlarzami narkotyków?

– Wiesz, jak bywa. Z czasem dokopaliśmy się do świadków, wypłynęły nowe fakty. Koniec końców dotarliśmy do Pułkownika. To jeden z łódzkich gangsterów. Ma kupę forsy, kupę ludzi pod sobą.

Marcel poczuł, jak robi mu się gorąco.

– Sądziłem, że Pułkownik nie zajmuje się narkotykami – wtrącił.

Hubert uśmiechnął się szeroko.

– Wielu rzeczy nie wiesz – skwitował. – Pułkownik zajmuje się wszystkim, na czym może zarobić. Wracając do tematu, miał powiązania z facetem z ciężarówki. No, i tu zaczynają się schody, ponieważ Rudnicka nagle odpuściła.

– Lena odpuściła? – Marcel uniósł brwi.

– Też mnie to zdziwiło. Najpierw chodziła nakręcona, a potem nagle zlekceważyła sprawę. – Zastanowił się. – Mówiła, żeby odpuścić, bo to nie nasz rejon, i takie tam bzdety, które do niej nie pasowały. Wprawdzie krótko pracowaliśmy razem i słabo ją znałem, ale takich spraw się nie odpuszcza, rozumiesz? Czułem, że to będzie coś dużego, więc zacząłem grzebać... – Zawiesił głos.

– Czego się dowiedziałeś? – Wolski przełknął ślinę. Odpowiedź mogła mu się nie spodobać.

– Odkryłem powiązania między Rudnicką a Pułkownikiem.

Marcel zdębiał.

– Co to za powiązania? – zapytał, nerwowo skubiąc etykietę na butelce.

Hubert tylko pokręcił głową.

– To duża sprawa, młody – rzekł. – Spójrz – wskazał zdjęcie na lodówce – mam rodzinę. Nie mogę ryzykować. I nie chcę. Mam to gdzieś. Już dawno nie robię w firmie. Odpuściłem, jak kazała. Szkoda, że okupiłem to kulką w kręgosłupie, ale człowiek uczy się na błędach.

Marcel zerknął na fotografię. Z pewnością pochodziła sprzed kilku lat. Uśmiechnięty Hubert obejmował długowłosą blondynkę z niemowlęciem w objęciach.

– Proszę. Muszę to wiedzieć.

– Bohater z ciebie, co? Przestań zbawiać świat. Świat zawsze jest i będzie zepsuty. W tej robocie łatwo przejść na drugą stronę, a Rudnicka chyba już dawno przekroczyła tę granicę. Wiesz, pieniądze to wielka pokusa. Pułkownik zapewne dobrze płaci swoim ludziom. A gangsterzy lubią mieć swoich w policji.

Marcel miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Lena nie mogła być przecież kretem Pułkownika. Postanowił za wszelką cenę poznać prawdę.

KONIEC

Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

ROZDZIAŁ II

WTOREK, 26 CZERWCA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

ROZDZIAŁ III

ŚRODA, 27 CZERWCA

1

2

3

4

5

6

7

8
9
10
11
12
13
14
15
16

ROZDZIAŁ IV

CZWARTEK, 28 CZERWCA

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15

ROZDZIAŁ V

PIĄTEK, 29 CZERWCA

1
2
3
4
5
6
7
8
9

ROZDZIAŁ VI

SOBOTA, 30 CZERWCA / NIEDZIELA, 1 LIPCA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ